

CLAVELL

JAMES



UJCIECZKA

**James Clavell**

**Ucieczka**

*(Escape)*

# **Księga pierwsza**

# PIĄTEK, 9 LUTEGO 1979

TEHERAN,  
APARTAMENT McIVERÓW,  
GODZINA 20.30.

Wszyscy troje słuchali radia, sygnał na falach krótkich był niewyraźny i słabo dostrojony.

– Tu BBC World Service, jest godzina siedemnasta czasu Greenwich...

Piąta po południu czasu Greenwich odpowiadała wpół do dziewiątej wieczorem czasu miejscowego. Dwaj mężczyźni odruchowo spojrzeli na zegarki. Kobieta pociągnęła łyk martini z wódką. Na dworze było ciemno, z oddali dochodziły odgłosy strzałów. Nie zwracali na nie uwagi. Kobieta znowu upiła trochę martini. W apartamencie było zimno, centralne ogrzewanie wyłączono przed kilkoma tygodniami. Jedyne źródło ciepła stanowił teraz mały elektryczny kominek, działający podobnie jak przyćmione żarówki na pół mocy.

– ...o godzinie siedemnastej trzydzieści nadamy specjalny raport naszego korespondenta z Persji, obecnie nazywanej Iranem...

– Świetnie – mruknęła kobieta i wszyscy pokiwali głowami.

Atrakcyjna i nie wyglądająca na swoje pięćdziesiąt jeden lat, miała jasne włosy, niebieskie oczy i okulary w ciemnych oprawkach. Genevere McIver, dla przyjaciół Genny.

– ...najpierw jednak skrót wiadomości ze świata: sytuacja w Iranie zmienia się z godziny na godzinę. Uzbrojone frakcje walczą o władzę. Premier Callaghan ogłosił, że królowa poleci w poniedziałek do Kuwejtu, rozpoczynając w ten sposób trzytygodniową wizytę w państwach Zatoki Perskiej. W Waszyngtonie prezy...

Sygnał kompletnie zanikł. Wyższy mężczyzna zaklął.

– Cierpliwości, Charlie – powiedziała łagodnym głosem Genny. – Zaraz się znowu odezwie.

– Masz rację, Genny – odparł Charlie Pettikin, urodzony w Afryce Południowej były pilot RAF-u, o ciemnych, przetykanych nitkami siwizny włosach. Miał czterdzieści sześć lat i był głównym pilotem oraz szefem kursu pilotażu śmigłowców, prowadzonego dla irańskich sił lotniczych. W oddali rozległy się kolejne strzały.

– Trochę ryzykują, wysyłając królową do Kuwejtu – stwierdziła Genny. Bogaty szejkanat Kuwejtu leżał po drugiej stronie Zatoki, granicząc z Arabią Saudyjską i Irakiem. – W tym momencie nie jest to zbyt rozsądne, prawda?

– To czysta głupota. Rząd daje dupy stąd aż do Aberdeen – mruknął z przekąsem jej mąż Duncan McIver.

Genny roześmiała się.

– To dosyć daleko, Duncan.

– Nie dla mnie, Gen! – McIver był dyrektorem S-G Helicopters, brytyjskiej firmy działającej od

wielu lat w Iranie, głównie w przemyśle naftowym. Miał pięćdziesiąt osiem lat, posturę boksera i siwą czuprynę. – Callaghan to stary pierdoła... – podjął i urwał, słysząc łoskot jadącego ulicą ciężkiego pojazdu. Apartament mieścił się na najwyższym, piątym piętrze nowoczesnego bloku mieszkalnego na północnych przedmieściach Teheranu. Po chwili przejechał następny pojazd.

– To mi wygląda na czołgi – zauważyła Genny.

– To są czołgi – powiedział Charlie Pettikin.

– Jutro czeka nas chyba kolejny zły dzień – stwierdziła.

Od wielu tygodni każdy dzień był gorszy od poprzedniego. Najpierw we wrześniu ogłoszono stan wojenny. Szach wprowadził zakaz zgromadzeń publicznych i godzinę policyjną od dziewiętej wieczorem do piątej rano, co jeszcze bardziej rozwścieczyło ludzi. Zwłaszcza w stolicy. Doszło do wielu zabójstw i aktów przemocy. Po długich wahaniach szach zawiesił nagle w ostatnich dniach grudnia stan wojenny, powierzył tekę premiera umiarkowanemu politykowi Bachtiarowi, poczynił wiele ustępstw, a potem, ku zaskoczeniu wszystkich, wyjechał szesnastego stycznia z Iranu „na wakacje”. Bachtiar sformował rząd, a ajatollah Chomeini – wciąż na wygnaniu we Francji – potępił go i wszystkich, którzy za nim stali. Zamieszki wzmagaly się, liczba ofiar rosła. Bachtiar próbował negocjować z ajatollahem, który nie chciał się z nim spotykać ani rozmawiać. Ludzie i wojsko burzyli się, przed ajatollahem zamknięto, a następnie otwarto wszystkie lotniska. I wreszcie, co było jeszcze bardziej zaskakujące, przed ośmioma dniami, pierwszego lutego, ajatollah wrócił. Zaczęła się prawdziwa rewolucja.

– Muszę się jeszcze napić – Genny wstała, żeby ukryć przechodzący ją dreszcz. – Zrobić ci drinka, Duncan?

– Bardzo proszę, Gen.

– Charlie? – zapytała, ruszając do kuchni po lód.

– Dziękuję, Genny, sam sobie zrobię.

Radio odezwało się ponownie i zatrzymała się w progu.

– ...Chiny informują o poważnych starciach z Wietnamem i zaprzeczają, jakoby...

Sygnal ponownie zanikł i słycać było tylko trzaski. Później dobiegły ich kolejne strzały, tym razem trochę bliższe.

– Idąc do was, wstąpiłem na drinka do klubu prasowego – powiedział po chwili Pettikin. – Krążą plotki, że Bachtiar chce stłumić zamieszki. Inni twierdzą, że doszło do ciężkich walk w Meszhedzie, gdzie tłum powiesił szefa policji i kilku jego podwładnych.

– To straszne – mruknęła.

– Modlę się, żeby się opamiętali. Iran jest wspaniałym krajem i nie chcę stąd wyjeżdżać. – Radio odezwało się na sekundę, a potem znowu umilkło. – To chyba plamy na słońcu.

– Człowiek ma ochotę rzygać krwią – stwierdził McIver.

Podobnie jak Pettikin, służył kiedyś w RAF-ie. Był pierwszym pilotem zatrudnionym przez S-G Helicopters, a obecnie, jako dyrektor oddziału irańskiego, również dyrektorem wykonawczym IHC – Iran Helicopter Company, utworzonej wspólnie z obowiązkowym irańskim partnerem firmy, która podpisywała ich kontrakty, zawierała ich umowy i dysponowała ich pieniędzmi. Bez McIvera nie mogliby działać na terenie Iranu. Pochylił się do przodu, żeby dostroić lepiej stację, ale potem rozmyślił się.

– Sygnal sam wróci – powiedziała Genny. – Zgadza się, że Callaghan to stary pierdoła.

Duncan uśmiechnął się do niej. Byli małżeństwem od trzydziestu lat.

– Nieżle wyglądasz, Genny – oznajmił. – Całkiem nieżle.

– Za to jedno możesz dostać następną whisky.

– Dzięki, ale tym razem dolej trochę wo...

– ...w związku z pogarszającą się sytuacją w Iranie, stacjonująca w rejonie Filipin flotylla okrętów wojennych otrzymała rozkaz... – Głos spikera BBC zagłuszyła inna stacja, a potem obie umilkły.

Czekali w napięciu na ciąg dalszy. Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie, próbując ukryć szok. Genny podeszła do kredensu, na którym stała prawie pusta butelka whisky. Obok, zajmując niemal cały blat, stał nadajnik wysokich częstotliwości, przez który McIver komunikował się, jeśli pozwalały na to warunki, ze wszystkimi ich bazami helikopterowymi w Iranie. Apartament był duży i wygodny, miał trzy sypialnie i dwa salony. Przed kilkoma miesiącami, gdy ogłoszono stan wojenny i wybuchły zamieszki uliczne, Pettikin zamieszkał u nich – po rozwodzie, który wziął przed rokiem, był teraz samotny – i ten układ wszystkim odpowiadał.

Podmuch wiatru załomotał o ramy okien. Genny wyjrzała na zewnątrz. W domach naprzeciwko paliło się kilka przyćmionych świateł, uliczne latarnie były zgaszone. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się niska zabudowa. Śnieg leżał na dachach i na ziemi. Większość z mieszkających w mieście pięciu czy sześciu milionów ludzi żyła w biedzie. Ale ten teren, na północy Teheranu, gdzie mieszkali cudzoziemcy i zamożni Irańczycy, był dobrze strzeżony.

Genny zrobiła sobie lekkiego drinka, składającego się głównie z wody sodowej i wróciła z nim do salonu.

– Wybuchnie wojna domowa, zobaczycie – stwierdziła. – Nie będziemy mogli tu zostać.

– Wszystko dobrze się ułoży, Carter nie pozwoli...

Nagle zgasły żarówki i wyłączył się elektryczny kominek.

– Cholera – jęknęła Genny. – Dzięki Bogu, że mamy kuchenkę na butan.

– Może przerwa w dostawie energii nie będzie długa.

McIver pomógł jej zapalić świece, które stały już na stole, i zerknął w stronę drzwi. Stał przy nich czterogalonowy kanister z benzyną – zapas na czarną godzinę. Nie podobało mu się, że trzymają benzynę w mieszkaniu, zwłaszcza że codziennie musieli używać świeczek. Ale już od wielu tygodni trzeba było stać od pięciu do dwudziestu czterech godzin na stacjach benzynowych i nawet po tak długim oczekiwaniu irański pracownik mógł nie nalać paliwa, dlatego że klient był cudzoziemcem. Wielokrotnie spuszczano im z baku benzynę – zamki nie stanowiły żadnej przeszkody. Mieli więcej szczęścia od innych, ponieważ mogli korzystać z paliwa lotniczego, ale zwykłemu człowiekowi, przede wszystkim cudzoziemcom, kolejki zatruwały życie. Na czarnym rynku benzyna kosztowała sto sześćdziesiąt rialów za litr – dwa dolary za litr i osiem za galon, jeśli udało się tyle kupić.

– Mówiłeś coś o Carterze?

– Kłopot polega na tym, że jeśli Carter wpadnie w panikę i wyśle trochę oddziałów albo samolotów, aby wesprzeć zamach wojskowy, zrobi się tu niezła chryja. Wszyscy naokoło, a szczególnie Sowieci, podniosą wielki wrzask, trzeba będzie zareagować i Iran stanie się zarzewiem trzeciej wojny światowej.

– Prowadzimy trzecią wojnę światową od czterdziestego piątego, Charlie... – mruknął McIver.

Przerwał mu głośniejszy szum radia. Zaraz potem odezwał się ponownie głos spikera:

– ...za nielegalną działalność szpiegowską. Szef sztabu kuwejckich sił zbrojnych poinformował, że Kuwejt otrzymał duże dostawy broni ze Związku Sowieckiego...

– Chryste – mruknęli jednocześnie obaj mężczyźni.

– ...prezydent Carter zapewnił po raz kolejny o swoim poparciu dla rządu Bachtara i „procesu konstytucyjnego”. Przechodząca przez Wyspy Brytyjskie fala obfitych opadów śniegu, silnych huraganów i powodzi sparaliżowała prawie cały kraj. Zamknięte zostało lotnisko Heathrow i wstrzymany ruch lotniczy. Na tym kończymy skrót wiadomości. A teraz program naszej redakcji rolnej „Drób i nierogaczna”. Zaczynamy od...

McIver wyłączył radio.

– Niech ich wszyscy diabli. W gruzy wali się cały świat, a BBC chrzani o nierogacznie.

Genny roześmiała się.

– Co ty byś począł bez BBC, telewizji i futbolu? Huragany i powodzie. – Podniosła bez większych nadziei słuchawkę. Była jak zwykle głucha. Od paru miesięcy nie można było w ogóle korzystać z telefonu; sygnał centrali nikł i pojawiał się z powrotem bez żadnego określonego powodu. – Mam nadzieję, że dzieci są zdrowe. – Mieli żonatego syna i zamężną córkę oraz dwójkę wnuków. – Mała Karen tak łatwo się przeziębła, a Sarah nawet w wieku dwudziestu trzech lat nigdy nie pamięta, żeby się ciepło ubrać! Czy to dziecko nigdy nie dorośnie?

– To draństwo, że człowiek nie może skorzystać z telefonu, kiedy ma na to ochotę – oświadczył Pettikin.

– Owszem. Tak czy owak, czas wrzucić coś na ząb. Na rynku trzeci dzień z rzędu prawie nic nie było. Miałam więc do wyboru albo stare pieczone jagnię z ryżem, albo coś specjalnego. Wybrałam coś specjalnego i zużyłam dwie ostatnie puszki. Mamy dzisiaj marynowaną wołowinę, kalafior *au gratin*, ciasto z melasą oraz niespodziankę szefa kuchni.

Genny zabrała świeczkę i wyszła do kuchni, zamykając za sobą drzwi.

– Ciekawe, dlaczego ona zawsze robi kalafior *au gratin*? – burknął McIver, obserwując migoczące na drzwiach światło świecy. – Nienawidzę tego świństwa! Mówiłem już jej pięćdziesiąt razy... – Jego uwagę zwróciło nagle coś na dworze. Podeszedł do okna. W mieście panował mrok z powodu wyłączeń prądu. Tylko na południowym wschodzie na niebie jaśniała czerwona luna. – Znowu Dżaleh – powiedział krótko.

Przed kilkoma miesiącami dziesiątki tysięcy ludzi wyszły na ulice Teheranu, żeby zaprotestować przeciwko ogłoszeniu przez szacha stanu wojennego. Do najbardziej ostrych protestów doszło w Dżaleh – biednym, gęsto zaludnionym przedmieściu – gdzie wzniesiono pożary i wznoszono barykady z płonących opon. Kiedy pojawiły się siły bezpieczeństwa, rozwścieczony tłum nie chciał się rozejść. Gaz łzawiący nie odniósł żadnego skutku. Pomogły dopiero kule z karabinów. Według rządu na ulicach poległo dziewięćdziesiąt siedem osób, według grup skrajnej opozycji od dwóch do trzech tysięcy.

Nagle zadzwonił telefon, wprawiając ich wszystkich w zaskoczenie.

– Stawiam pięć funtów, że to inkasent – powiedział Pettikin, uśmiechając się do Genny, która równie zdumiona wyjrzała z kuchni.

– Nie zakładam się, Charlie!

Banki strajkowały od dwóch miesięcy w odpowiedzi na wezwanie Chomeiniego do strajku generalnego, w związku z czym nikt – osoby prywatne, firmy i nawet rząd – nie był w stanie pobrać żadnej gotówki. A Irańczycy używali przede wszystkim gotówki, nie czeków. McIver podniósł słuchawkę, nie mając pojęcia, czego albo kogo się spodziewać.

– Halo? – zapytał.

– Chwała Bogu, to dziadostwo w końcu działa – odezwał się czyjś głos. – Słyszysz mnie, Duncan?

– Tak, tak, słyszę. Kto mówi?

– Talbot. George Talbot z ambasady brytyjskiej. Przykro mi, stary, ale zrobiło się cholernie gorąco. Chomeini wyznaczył własnego premiera i wezwał Bachtara do ustąpienia. Około miliona ludzi szuka w tej chwili guza na ulicach Teheranu. Dowiedzieliśmy się właśnie o buncie w bazie lotniczej w Doszan Tappeh. Bachtiar powiedział, że jeśli się nie poddadzą, wyśle przeciwko nim Nieśmiertelnych. – Mianem Nieśmiertelnych określano oddziały szturmowe fanatycznie oddanej szachowi Gwardii Cesarskiej. – Rząd Jej Królewskiej Mości, wraz z rządem Stanów Zjednoczonych, Kanady i tak dalej, wzywa wszystkich swoich obywateli, których obecność w tym kraju nie jest niezbędna, żeby natychmiast wyjechali...

McIver starał się, żeby na jego twarzy nie odbił się niepokój.

– Talbot z ambasady – szepnął do pozostałych.

– Nie dalej jak wczoraj Amerykanin z ExTex Oil oraz jakiś irański urzędnik wpadli w zasadzkę i zostali zabici przez „uzbrojonych mężczyzn” koło Ahwazu na południowym wschodzie kraju... – Serce McIvera zabiło trochę szybciej. – Chyba prowadzicie tam działalność, prawda?

– Niedaleko. W Bandar-e Daylam na wybrzeżu – odparł McIver, nie zmieniając tonu głosu.

– Ilu macie tu obywateli brytyjskich, nie licząc osób towarzyszących?

McIver chwilę się zastanawiał.

– Czterdziestu pięciu na sześćdziesięciu siedmiu członków personelu, na który składa się dwudziestu sześciu pilotów, trzydziestu sześciu mechaników oraz pięciu pracowników administracji. To minimalna obsada.

– Kim są ci inni?

– Wśród pilotów są czterej Amerykanie, dwaj Niemcy, dwaj Francuzi i jeden Fin. Poza tym dwaj amerykańscy mechanicy. Jeśli to będzie konieczne, potraktujemy ich wszystkich jak Brytyjczyków.

– A osoby towarzyszące?

– Cztery, wszystkie żony, żadnych dzieci. Resztę wyprawiliśmy stąd przed trzema tygodniami.

Genny jest tutaj, poza tym jedna Amerykanka w Kowissie i dwie Iranki.

– Iranki przyślijcie lepiej jutro do ambasady z ich świadectwami ślubu. Są tu w Teheranie?

– Jedna tutaj, druga w Tabrizie. To żona Erikkiego, Azadeh.

– Powinniście im jak najszybciej załatwić nowe paszporty.

Na mocy irańskiego prawa wszyscy powracający do kraju Irańczycy musieli oddawać paszporty w biurze imigracyjnym, gdzie przechowywano je do następnego wyjazdu. Aby ponownie opuścić Iran, trzeba było osobiście złożyć podanie w odpowiednim biurze, przedstawiając dowód tożsamości, istotną przyczynę wyjazdu oraz, jeśli podróż miała się odbyć samolotem, opłacony bilet na konkretny lot. Otrzymanie pozwolenia mogło zabrać kilka dni albo tygodni. W normalnych okolicznościach.

– Na szczęście nie mamy żadnych zatargów z ajatollahem, Bachtarem ani generałami – mówił dalej Talbot. – Ponieważ jednak obecnie na ataki narażony jest każdy obcokrajowiec, radzimy wam oficjalnie wysłać stąd jak najszybciej wszystkie osoby towarzyszące i ograniczyć liczebność personelu do minimum. Jutro na lotnisku będą się dziać dantejskie sceny. Oceniamy, że wciąż jest tutaj około pięciu tysięcy cudzoziemców, głównie Amerykanów. Poprosiliśmy British Airways o pomoc i zwiększenie liczby lotów dla nas i naszych obywateli. Najgorsze jest to, że strajkują



cywilni kontrolerzy lotów. Bachtiar zastąpił ich wojskowymi, ale oni są jeszcze bardziej upierdliwi. Jesteśmy pewni, że jutro zacznie się kolejny exodus.

W zeszłym miesiącu rozjuszeni ludzie wyszli na ulice Isfahanu – dużego przemysłowego miasta z hutami stali, rafinerią ropy, fabrykami przemysłu zbrojeniowego oraz śmigłowców i dużą, liczącą pięćdziesiąt tysięcy osób kolonią Amerykanów. Tłum spalił banki – Koran zabrania pożyczać pieniądze dla zysku – sklepy monopolowe – Koran zabrania picia alkoholu – oraz dwa kina – od dawna znienawidzone przez fundamentalistów siedliska pornografii i zachodniej propagandy – zniszczył instalacje fabryczne, po czym obrzucił koktajlami Mołotowa i zrównał z ziemią czteropiętrową siedzibę Grumman Aircraft. Wtedy nastąpił pierwszy „exodus”.

Tysiące ludzi zebrały się na teherańskim lotnisku, zmieniając jego halę i wszystkie poczekalnie w rejon klęski żywiołowej. Mężczyźni, kobiety i dzieci koczowali na podłodze, bojąc się, że stracą miejsca. Nie było żadnego rozkładu lotów, żadnych priorytetów i komputerowej rezerwacji. Na każde miejsce czekało dwudziestu pasażerów, a bilety wypisywało ręcznie kilku ponurych urzędników, w większości otwarcie wrogich i nie mówiących po angielsku. Wkrótce lotnisko tonęło w brudzie i smrodzie.

Chaos powiększały tysiące Irańczyków, którzy chcieli uciec, póki to było jeszcze możliwe. Pozbawieni skrupułów i zamożni wpychali się bez kolejki. Wielu urzędników zarobiło wtedy krocie. A potem zastrajkowali kontrolerzy lotów i lotnisko całkowicie się zakorkowało.

W końcu wszyscy obcokrajowcy, którzy chcieli wyjechać, wyjechali. „Jeśli cudzoziemiec chce wyjechać – powiedział ajatollah – pozwólmy mu wyjechać; to amerykański materializm jest Wielkim Szatanem...”. Ci, którzy zostali, żeby obsługiwać pola naftowe i załadunek tankowców, pilotować samoloty, kontynuować budowę elektrowni jądrowych, pracować w fabrykach chemicznych – oraz chronić swe gigantyczne inwestycje – próbowali nie rzucać się w oczy.

McIver przycisnął słuchawkę do ucha. Głos Talbota zabrzmiał trochę ciszej i bał się, że połączenie zaraz się urwie.

– Tak, George... co takiego mówiłeś?

– Mówiłem właśnie, Duncan, że naszym zdaniem wszystko na pewno się dobrze skończy. Nie ma mowy, żeby nastąpił totalny wybuch. Ze źródeł nieoficjalnych wiadomo, że przygotowywane jest porozumienie, na mocy którego szach abdykuje na rzecz swojego syna Rezy. Rząd Jej Królewskiej Mości popiera ten kompromis. Przejście do rządów konstytucyjnych, które wesprze grubo spóźniony wojskowy zamach stanu, może być nieco burzliwe, ale nie ma potrzeby się martwić. Przepraszam, lecz muszę już kończyć... dajcie mi znać, co postanowicie.

W słuchawce zapadła cisza.

McIver zaklął, wcisnął kilka razy widelki, po czym powtórzył, co usłyszał od Talbota. Genny uśmiechnęła się słodko.

– Nie patrz tak na mnie. Odpowiedź brzmi „nie”. Zgadzam się, że...

– Ale Talbot...

– Zgadzam się, że inne powinny wyjechać, ale ja zostaję. Kolacja jest już prawie gotowa – dodała, po czym wyszła do kuchni, zamykając w ten sposób wszelką dyskusję.

– Wysyłam ją stąd i koniec – stwierdził McIver.

– Stawiam moje całoroczne wynagrodzenie, że się nie zgodzi... chyba że ty wyjedziesz razem z nią – powiedział Pettikin. – Swoją drogą, dlaczego tego nie zrobisz? Potrafię wszystkiego dopilnować.

– Nie. Dziękuję, ale nie skorzystam. – Twarz McIvera rozjaśniła się nagle w półmroku. – Właściwie to tak, jakbyśmy znowu mieli wojnę, nie sądzisz? Trzeba tylko dostosować się, opiekować oddziałem i wykonywać rozkazy. – Obserwował przez chwilę Pettikina, który próbował połączyć się z ich bazą w Bandar-e Daylam. – Znałeś tego Amerykanina, którego zabili, Stansona?

– Nie. A ty?

– Owszem. Całkiem zwyczajny facet, dyrektor terenowy ExTexu. Spotkałem go raz. Opowiadano, że pracuje w CIA, ale to chyba nieprawda. – McIver wlepił wzrok w swoją szklankę. – Talbot miał rację co do jednego: mamy szczęście, że jesteśmy Brytyjczykami. Jankesi mają o wiele gorzej. To niesprawiedliwe.

– Tak, ale ty zadbałeś o naszych Jankesów najlepiej, jak mogłeś.

– Mam nadzieję. – Kiedy szach wyjechał i nastąpiła eskalacja przemocy, McIver wydał wszystkim Amerykanom brytyjskie dowody tożsamości. – Nie powinni mieć kłopotów, dopóki Gwardia Rewolucyjna, policja albo SAVAK nie zażąda od nich licencji pilotów.

Na mocy irańskiego prawa wszyscy cudzoziemcy powinni mieć ważną wizę, którą trzeba było anulować przed wyjazdem z kraju, ważny dowód tożsamości z wpisaną nazwą firmy – a wszyscy piloci dodatkowo aktualną irańską licencję. Żeby się bardziej zabezpieczyć, McIver kazał wydać pracownikom legitymacje podpisane przez ich irańskich partnerów w Teheranie. Na razie nie spotkali się z żadnymi problemami.

Pettikin usiłował bezskutecznie wywołać Bandar-e Daylam.

– Spróbujemy później – powiedział McIver. – Wszystkie bazy będą prowadziły nasłuch o ósmej trzydzieści rano. Do tego czasu zastanowimy się, co robić. Chryste, to nie będzie wcale łatwe. Jak sądzisz? Mamy ewakuować tylko osoby towarzyszące?

Pettikin wstał, wziął świeczkę i podszedł z zatroskaną miną do przypiętej do ściany mapy. Naniesione były na niej wszystkie ich bazy, z podaną w ramkach liczbą personelu latającego i naziemnego oraz liczbą maszyn. Bazy miały na ogół własne środki transportu, części zamienne, a także warsztaty. Porozrzucane były po całym Iranie, od ośrodka sił powietrznych w Teheranie i wojskowego ośrodka szkoleniowego w Isfahanie, po tartaki w Tabrizie na północnym zachodzie, kopalnie uranu przy granicy afgańskiej, rurociąg naftowy na wybrzeżu Morza Kaspijskiego oraz pola naftowe przy Zatoce Perskiej i cieśninie Ormuz. W tych wszystkich miejscach działalność prowadziło obecnie tylko pięć baz.

– Jeśli idzie o maszyny, mamy piętnaście dwieścieczterdzieści, w tym dwie w trakcie przeglądu po dwóch tysiącach przelatanych godzin, siedem dwieścieczterdzieści i trzy alouette, wszystkie w doskonałym stanie technicznym...

– I wszystkie oddane w leasing na mocy legalnych umów, z których żadna nie została nieważniona, mimo że dotychczas nie dostaliśmy ani grosza – stwierdził poirytowanym tonem McIver. – Nie wolno nam wycofać żadnej maszyny bez zgody kontrahenta lub zgody naszych kochanych irańskich partnerów... chyba że ogłosimy stan wyższej konieczności.

– Nie możemy tego na razie zrobić. Musimy, dopóki się da, zachować status quo.

Talbot był dobrej myśli.

– Chciałbym, żeby wszystko zostało po staremu, Charlie. Mój Boże, w zeszłym roku o tej porze mieliśmy czterdzieści dwieścieczterdzieści i całą resztę.

McIver nalał sobie kolejną whisky.

– Trochę sobie odpuść – powiedział półgłosem Pettikin. – Genny urządzi ci piekło. Wiesz, że

podnosi ci się ciśnienie i nie powinieneś tyle pić.

– To najlepsze lekarstwo, na litość boską. – Śweczka zamigotała i zgasła. McIver podniósł się, zapalił następną i podszedł do mapy. – Myślę, że powinniśmy wycofać Azadeh i naszego „latającego Fina”. Może trochę odpocząć: jego dwieście dwunastka przechodzi właśnie przegląd techniczny po półtora tysiącu przelatanych godzin. – Mówił o kapitanie Erikkim Yokkonen i jego irańskiej żonie Azadeh, stacjonujących w bazie niedaleko Tabrizu w Azerbejdżanie Wschodnim, kilkanaście mil od granicy sowieckiej. – Moglibyśmy wziąć dwieście szóstkę i przywieźć ich tutaj. Musimy podrzucić tam trochę części zamiennych i zaoszczędzilibyśmy im trzystu pięćdziesięciu mil jazdy po tych bezdrożach.

Pettikin rozpromienił się.

– Mógłbym sam po nich polecieć – stwierdził. – Uzgodnię dziś w nocy plan lotu, wystartuję o świcie, zatankuję w Bandar-e Pahlavi i kupię nam trochę kawioru.

– Marzyciel. Ale Gen byłaby zachwycona. Wiesz, co myślę o tym świństwie. – McIver odwrócił się plecami do mapy. – Jeżeli sytuacja ulegnie pogorszeniu, Charlie, dostaniemy nieźle po dupie.

– Tylko jeśli nam to pisane.

# ROZDZIAŁ I

**BAZA TABRIZ JEDEN,  
GODZINA 23.05.**

Erikki Yokkonen leżał nago w zbudowanej własnymi rękoma saunie. Temperatura wynosiła czterdzieści pięć stopni, pot lał się z niego strumieniami, na ławce naprzeciwko leżała na grubym ręczniku jego żona Azadeh. Erikki oparł głowę o dłoń i zerknął na nią. Miała zamknięte oczy. Patrząc na unoszące się w oddechu piersi, kruczoczarne włosy, rzeźbione aryjskie rysy, piękne ciało i mleczną skórę, jak zwykle zachwyił się nią, tak drobną przy jego sześciu stopach i czterech calach wzrostu. Urodzony w Finlandii i wyedukowany w szkołach brytyjskich i amerykańskich, miał trzydzieści siedem lat i był, jak większość pilotów helikopterów, kosmopolitą.

Wcześniej wraz z dwoma angielskimi mechanikami i kierownikiem ich bazy, Alim Dajatom, zjedli wspólnie kolację i wypili dwie butelki najlepszej rosyjskiej wódki, którą kupił na czarnym rynku w Tabrizie.

– Teraz idziemy do sauny – oznajmił o wpół do jedenastej. Ale oni jak zwykle odmówili, ledwie mogąc dojść do własnych domów. – Chodź, Azadeh! – zawołał.

– Nie, dzisiaj nie, proszę, Erikki – powiedziała, lecz on zaśmiał się tylko, owinał ją w futro i wyniósł na dwór.

Gałęzie sosen ugięły się pod śniegiem, temperatura spadła poniżej zera. Azadeh była lekka jak piórko. Wszedł wraz z nią do małej chatki, która przylegała z tyłu do ich domu, najpierw do ciepłej szatni, a potem, gdy się rozebrali, do samej sauny. Leżeli tam teraz, Erikki zrelaksowany, Azadeh nawet po roku małżeństwa nie przyzwyczajona do nocnego rytuału.

Dziękuję, że daliście mi taką kobietę, bogowie mych przodków, pomyślał. Przez moment nie potrafił sobie uświadomić, w jakim zrobił to języku. Był czterojęzyczny: mówił płynnie po fińsku, szwedzku, rosyjsku i angielsku. Jakie to w końcu ma znaczenie, powiedział sobie, poddając się z powrotem ciepłu i pozwalając myślom płynąć swobodnie wraz z parą, która unosiła się z ułożonych przez niego starannie kamieni. Fakt, że zgodnie z powinnością mężczyzny własnoręcznie zbudował swoją saunę – rąbiąc i ociosując drzewo, jak czynili to od wieków jego przodkowie – sprawiał mu ogromną satysfakcję.

Wybranie i ścięcie drzew było pierwszą rzeczą, jaką zrobił, gdy przysłano go tu przed czterema laty. Pozostali myśleli, że zwariował. Erikki wzruszał wesoło ramionami. „Bez sauny życie jest nic niewarte. Najpierw buduje się saunę, potem dom. Bez sauny dom nie jest domem. Wy, Anglicy, nie macie pojęcia o życiu”. Miał ochotę zdradzić im, że podobnie jak wielu Finów, on też urodził się w saunie – całkiem rozsądny wybór, gdy weźmie się pod uwagę, że to najcieplejsze, najspokojniejsze i najczystsze miejsce w całym domu. Lecz powiedział o tym tylko Azadeh. Zrozumiała go. O tak, pomyślał zadowolony, ona rozumie wszystko.

Na dworze, na bezchmurnym niebie świeciły jasno gwiazdy. Śnieg tłumiał wszystkie hałasy. Pół

mili od ich domu biegła jedyna droga przez góry. Jadąc na północny zachód, docierało się nią po dziesięciu milach do Tabrizu, a potem do położonej kilka mil dalej granicy sowieckiej. Jadąc na południowy wschód – do oddalonego o trzysta pięćdziesiąt mil Teheranu.

W bazie Tabriz Jeden stacjonowali dwaj piloci – drugi wyjechał na urlop do Anglii – oraz dwaj angielscy mechanicy. Pozostali – dwaj kucharze, ośmiu robotników, radiotelegrafista oraz kierownik stacji – byli Irańczykami. Za wzgórzem leżała ich wioska Abu Mard, a niżej, w dolinie, fabryka celulozy należąca do drzewnego monopolu Iran-Timber, który obsługiwali zgodnie z zawartą umową. Helikoptery zabierały drwali i sprzęt do lasu, wykorzystywano je przy budowie obozów oraz wytyczaniu dróg, dostarczały na górę nowych pracowników i wywoziły rannych. Dla większości położonych w głuszy obozów dwieście dwunastki stanowiły jedyne połączenie ze światem i piloci cieszyli się wielką estymą. Erikkiemu podobało się tutejsze życie i okolica tak bardzo przypominająca Finlandię, o powrocie do której czasami marzył.

Zbudowana przez niego sauna dopełniała miary szczęścia. Niewielka dwuizbowa chatka stała na uboczu na tyłach mieszkalnego kontenera. Erikki uszczelnił bale w tradycyjny sposób mchem, zapewniając dzięki temu odpowiednią wentylację palenisku, w którym grzały się kamienie. Te, które leżały na samej górze, sprowadził z Finlandii. Jego dziadek wyłowił je z dna jeziora i przekazał wnukowi przed osiemnastoma miesiącami, gdy ten przyjechał po raz ostatni na urlop do domu.

– Weź je, mój synu. Nigdy nie zgadnę, dlaczego chcesz ożenić się z cudzoziemką, ale razem z tymi kamieniami na pewno pojedzie z tobą dobry fiński tonto – powiedział, mając na myśli małego brązowego elfa, ducha sauny.

– Kiedy ją zobaczysz, dziadku, ty też się w niej zakochasz. Ma niebieskozielone oczy, ciemne jak węgiel włosy i...

– Jeśli urodzi ci wielu synów, wtedy może zobaczymy. Z pewnością już najwyższy czas, żebyś się ożenił, ale dlaczego z cudzoziemką? Mówisz, że jest nauczycielką?

– Należy do Irańskiego Korpusu Oświatowego. To młodzi ochotnicy, którzy jeżdżą na wieś i uczą dzieci i dorosłych, ale przede wszystkim dzieci, czytać i pisać. Korpus założyli przed kilku laty szach i cesarzowa. Azadeh wstąpiła do niego, kiedy miała dwadzieścia jeden lat. Pochodzi z Tabrizu, gdzie pracuję, i jest nauczycielką w wiejskiej szkółce koło naszej bazy. Spotkałem ją przed siedmioma miesiącami i trzema dniami. Miała wtedy dwadzieścia cztery lata...

Erikki rozpromienił się, wspominając dzień, gdy ją po raz pierwszy zobaczył. Ubrana w elegancki uniform, z kaskadą opadających na ramiona włosów, siedziała otoczona dziećmi na leśnej polanie i kiedy uśmiechnęła się, podziwiając jego potężną sylwetkę, od razu zorientował się, że to kobieta, której szukał przez całe życie. Miał wtedy trzydzieści sześć lat. Przyglądając się leniwym wzrokiem żonie, po raz kolejny dziękował leśnemu duchowi, który skierował wówczas jego kroki ku tamtej polanie. Zostało mu jeszcze trzy miesiące pracy, potem miał dwa miesiące urlopu. Bardzo chciał jej pokazać Suomi – Finlandię.

– Już czas, kochanie – powiedział.

– Nie, Erikki, jeszcze nie, jeszcze nie – odparła odurzona gorącem, lecz nie alkoholem, ponieważ nie wypila nawet kieliszka. – Proszę, Erikki, jeszcze nie...

– Za duży skwar może ci zaszkodzić – stwierdził stanowczo.

Rozmawiali ze sobą zawsze po angielsku, choć Azadeh знаła również dobrze rosyjski – jej matka była pół-Gruzinką i pochodziła z terenów pogranicza, gdzie dobrze jest być dwujęzycznym. Znała także turecki, język najczęściej używany w tej części Iranu, i oczywiście farsi. W obu tych językach

Erikki znał tylko parę słów. Usiadł i pogodzony ze światem otarł pot z czoła, a potem pochylił się i pocałował ją. Azadeh odwzajemniła pocałunek i drżąc odnalazła szukające ją ręce Erikkiego.

– Jesteś złym człowiekiem – powiedziała, rozkosznie się przeciągając.

– Gotowa?

– Tak.

Przytuliła się do niego mocno, a on wziął ją w ramiona, przeniósł do przebieralni, otworzył drzwi na dwór i wyszedł na mroźne powietrze. Azadeh westchnęła i przywarła do niego kurczowo, kiedy nabrał trochę śniegu i zaczął ją nacierać. Po kilku sekundach płonęła cała na zewnątrz i od środka. Przez całą zimę przyzwyczajała się do śnieżnej kąpieli po saunie. Bez niej cała ceremonia byłaby niepełna. Natarła Erikkiego i uciekła do ciepłego wnętrza, zostawiając go na dworze, żeby mógł wytarzać się i pobaraszkować na śniegu. Robiąc to, nie zauważył grupki mężczyzn, którzy stali zdumieni na wzniesieniu pięćdziesiąt jardów dalej, skryci częściowo za rosnącymi wzdłuż ścieżki drzewami. Zobaczył ich dopiero, kiedy wracał do środka. Rozwścieczony zatrzęsł drzwi.

– Na dworze jest kilku wieśniaków. Musieli nas podglądać. Wszyscy wiedzą, że wstęp tutaj jest wzbroniony!

Azadeh była równie jak on oburzona. Zaczęli się szybko ubierać. Erikki włożył futrzane buty, ciepły sweter i spodnie, złapał siekierę i wybiegł na dwór. Mężczyźni wciąż tam stali. Zaatakował ich głośno rycząc, z podniesioną nad głową siekierą. W pierwszej chwili rozpierzchli się, ale potem jeden z nich podniósł pistolet maszynowy i puścił w powietrze krótką serię, która odbiła się echem od górskich zboczy. Erikki poślizgnął się i zatrzymał. W jednej chwili opuścił go cały gniew. Nikt nigdy nie groził mu bronią ani nie wciskał jej w brzuch.

– Odłóż siekierę albo cię zabiję – zagroził łamaną angielszczyzną mężczyzna.

Erikki zawahał się. W tym samym momencie wpadła między nich Azadeh, odsuwając na bok lufę pistoletu i krzycząc po turecku.

– Jak śmiecie tutaj przychodzić? Jak śmiecie grozić nam bronią? Kim jesteście? Bandytami? To nasza ziemia! Wynoście się stąd albo każę was zamknąć do więzienia!

Zarzuciła na sukienkę ciężkie futro, ale cała trzęsła się z gniewu.

– Ta ziemia należy do ludu – stwierdził ponuro mężczyzna. – Zasłoń włosy, kobieto. Zasłoń...

– Kim jesteś? Nie mieszkasz w mojej wiosce. Kim jesteś?

– Jestem Mahmud, mułła z Tabrizu.

– Nie masz tabrizkiego akcentu. Kim jesteś? Fałszywym mułłą, który próbuje ożenić Koran z Marksem i służy obcym panom?

– Służymy Bogu i masom. Nie jestem jednym z twoich lokajów – odparł gniewnie mułła i zaatakowany przez Erikkiego uskoczył na bok.

Stojący obok mężczyzna odbezpieczył strzelbę i wycelował w nich.

– Na Allacha i jego Proroka, powstrzymaj tę cudzoziemską świnię albo pošlę was oboje do piekła, na które zasłużyliście!

– Zaczekaj, Erikki. Zostaw tych psów mnie! – zawołała po angielsku. – Czego tutaj chcecie? – krzyknęła na nich. – To nasza ziemia, ziemia mojego ojca, Abdollaha, chana Gorgonów, spokrewnionego z Kadżarami, którzy panują tu od wieków!

Jej oczy przyzwyczyły się już do ciemności i przyjrzała się uważnie intruzom. Było ich dziesięciu – wszyscy młodzi, wszyscy uzbrojeni i wszyscy obcy, z wyjątkiem jednej osoby: kalandara, sołtysa ich wioski.

– Jak śmiałeś tu przyjść? – zapytała go.

– Przepraszam, Wasza Wysokość – odparł kalendar – ale mułła powiedział, że mam ich przyprowadzić boczną ścieżką, więc...

– Czego chcesz, pasożycie? – zwróciła się do mułły.

– Okaż szacunek, kobieto – odpowiedział jeszcze bardziej zagniewanym tonem. – Wkrótce obejmiemy władzę. Koran ustanowił prawa przeciw nagości i rozpuście. Karze za nie ukamienowaniem i chłostą.

– Koran ustanowił prawa przeciwko fałszywym mułłom i bandytom, którzy nachodzą spokojnych ludzi i buntują się przeciwko swoim wodzom i panom. Nie jestem jedną z waszych zastraszonych analfabetek. Wiem, kim jesteście i kim zawsze byliście. Pasożytami wykorzystującymi naiwność ludu. Czego chcecie?

Od strony bazy zbliżali się ludzie z latarkami. Dwaj mechanicy, Dibble i Arberry, wysforowali się do przodu, za ich plecami krył się ostrożnie Ali Dajati. Wszyscy byli zaspani, potargani i zaniepokojeni.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał Dajati, przyglądając się intruzom przez grube szkła okularów. Jego rodzina od lat pozostawała pod opieką chana Gorgonów. – Kim jesteście?

– Te psy przyszły tutaj w nocy... – zaczęła Azadeh.

– Powściągnij język, kobieto – skarcił ją mułła. – Kim jesteś? – zapytał Dajatiego.

Kiedy kierownik stacji zobaczył, że ma do czynienia z mułłą, jego zachowanie natychmiast się zmieniło.

– Jestem dyrektorem tutejszego oddziału Iran-Timber, Ekscelencjo – odparł z szacunkiem. – Czy mogę zapytać, o co chodzi? Czym mogę służyć?

– Potrzebny nam helikopter. O świcie chcę oblecieć nim nasze obozy.

– Przykro mi, Ekscelencjo, ale maszyna przechodzi właśnie remont i jest rozebrana na części. Wymagają tego cudzoziemskie przepisy...

– Jakim prawem macie czelność przychodzić tutaj w środku nocy? – przerwała mu gniewnie Azadeh.

– Proszę, Wasza Wysokość – uspokajał ją Dajati. – Proszę zostawić to mnie, błagam panią.

Ale ona wściekała się dalej, mułła nie pozostawał jej dłużny, do sporu dołączyli się inni i w końcu Erikki, rozwścieczony tym, że nie rozumie ani słowa, ryknął głośno i podniósł swoją siekiere. Zapadła nagle cisza, a po sekundzie kolejny napastnik podniósł pistolet maszynowy.

– Czego chce ten sukinsyn? – zapytał Erikki.

Azadeh wyjaśniła mu.

– Powiedz mu, że nie dostanie mojej dwieściedwunastki, Dajati. Jeśli się stąd zaraz nie wyniesie, wezwę policję.

– Proszę, kapitanie, niech pan mi pozwoli to załatwić – odparł Dajati, pocąc się ze strachu. – Proszę, Wasza Wysokość, niech pani stąd odejdzie – powiedział, nim zdążyła mu przerwać. – Wszystko jest w porządku – dodał, zwracając się do dwóch mechaników. – Możecie wracać do łóżek, ja się tym zajmę.

Dopiero teraz Erikki zauważył, że Azadeh stoi boso na śniegu.

– Powiedz temu matierjebcy i innym, że jeśli przyjdą tu jeszcze kiedyś w nocy, skręcę im karki. A jeśli któryś z nich tknie małym palcem moją kobietę, dopadnę go nawet w piekle – powiedział Dajatiemu, po czym wziął ją na ręce i odszedł, wściekły i wielki jak tur. Dwaj mechanicy ruszyli

w ślad za nim.

– Czy mógłbym zamienić z panem kilka słów, kapitanie Yokkonen? – zatrzymał go głos po rosyjsku.

Erikki obejrzał się. Azadeh znieruchomiała w jego ramionach. Mężczyzna, który się odezwał, był ubrany w kurtkę, stał trochę z tyłu i nie różnił się specjalnie od innych.

– Owszem, ale nie wolno panu wchodzić do mojego domu z nożem lub pistoletem – odparł po rosyjsku Erikki i oddalił się.

Muła podszedł do Dajatiego i zmierzył go kamiennym wzrokiem.

– Co takiego mówił ten cudzoziemski diabeł?

– Był ordynarny. Wszyscy cudzoziemcy są ordynarni. Jej Wyso... kobieta też była ordynarna.

Muła splunął na śnieg.

– Prorok ustanowił kary za takie zachowanie, a lud wprowadził prawo, które zabrania dziedziczenia bogactw i kradzieży ziemi. Cała ziemia należy do ludu. Wkrótce wejdą w życie poprawione prawa i kary i w Iranie zapanuje pokój. Tarzać się nago na śniegu! – dodał, zwracając się do swoich towarzyszy. – Obnażać się publicznie, za nic mając wstyd i skromność! Ladacznic! Kim są Gorgonowie, jeśli nie lokajami tego zdrajcy szacha i jego psa, Bachtalara? Co za kłamstwa opowiadałeś o helikopterze?

Dajati wyjaśnił szybko, że przegląd techniczny przeprowadzono zgodnie z cudzoziemskimi przepisami, do których przestrzegania zmusił go szach i jego rząd.

– Nielegalny rząd – wtrącił muła.

– Oczywiście, oczywiście, nielegalny – zgodził się natychmiast Dajati, po czym zaprowadził ich do hangaru i zapalił światła. Baza miała własne generatory, co uniezależniało ją od przerw w dostawie energii. Części silników dwieście dwunastki poukładane były elegancko jedna obok drugiej.

– To nie ma nic wspólnego ze mną, Ekscelencjo. Cudzoziemcy robią, co im się podoba – oświadczył. – I chociaż wszyscy wiemy, że Iran-Timber należy do ludu, szach zabierał całe pieniądze. Nie mam żadnego wpływu na cudzoziemskich diablów ani na ich przepisy. Nie mogę nic zrobić.

– Kiedy helikopter będzie zdalny do lotu? – zapytał po turecku mężczyzna, który przedtem zwrócił się po rosyjsku do Yokkonena.

– Mechanicy twierdzą, że za dwa dni – odparł, modląc się w duchu, Dajati. Był ciężko wystraszony, choć starał się tego nie okazywać. Wiedział już, że intruzi są lewicowymi mudzahedinami, wyznawcami sponsorowanej przez Sowieków ideologii, łączącej islam i Marksa. – Wszystko jest w rękach Boga. Cudzoziemscy mechanicy czekają na jakieś części, które dawno powinny zostać dostarczone.

– Co to za części?

Dajati powiedział mu, trzęsąc się ze strachu. Chodziło o kilka mniej ważnych elementów i łopatę tylnego rotora.

– Ile przelatanych godzin ma stara łopata?

Dajati zajrzał do swoich danych.

– Tysiąc siedemdziesiąt trzy.

– Bóg jest z nami – stwierdził mężczyzna, po czym odwrócił się do muły. – Możemy jej bezpiecznie używać co najmniej przez pięćdziesiąt godzin.



– Ale okres użytkowania łopaty rotora jest... maszyna nie ma aktualnego certyfikatu – wtrącił bez namysłu Dajati. – Pilot nie poleci, ponieważ przepisy o ruchu lotniczym wymagają, aby...

– Diabelskie przepisy!

– To prawda – wtrącił ten, który mówił po rosyjsku. – Niektóre z nich są diabelskie. Ale przepisy regulujące kwestie bezpieczeństwa są ważne dla ludu. Allah ustanowił w Koranie prawa dotyczące wielbłądów, koni i opieki nad nimi. Te same prawa odnoszą się do helikopterów, które także są boskim darem i przenoszą nas z miejsca na miejsce, abyśmy mogli wykonać boże dzieło. Musimy w związku z tym odpowiednio o nie dbać. Chyba się ze mną zgodzisz, mułło?

– Oczywiście – odparł zniecierpliwionym tonem mułła, wbijając oczy w Dajatiego, który znowu zaczął się trząść ze strachu. – Wrócę za dwa dni o świcie. Helikopter i pilot mają być gotowi do bożej posługi na rzecz ludu. Odwiedzę wszystkie obozy w górach. Czy są tutaj jakieś inne kobiety?

– Tylko dwie żony robotników i moja własna.

– Czy noszą czador i welon?

– Oczywiście – skłamał szybko Dajati.

Prawo irańskie zabraniało noszenia welonu. Reza Szach zdelegalizował welon w 1936 roku, czador uczynił kwestią wolnego wyboru, a Mohammed Szach nadał dalsze prawa kobietom w 1964 roku.

– To dobrze. Przypomnij im, że Bóg i lud widzą je nawet na ziemi, która należy do cudzoziemców.

Mahmud obrócił się na pięcie i odmaszerował wraz ze swymi ludźmi.

Dajati otarł pot z czoła, dziękując Bogu, iż jest wiernym wyznawcą islamu i teraz jego żona będzie znowu nosić czador, słuchać go i zachowywać się skromnie jak jego matka, a nie jak paradująca w dżinsach Jej Wysokość.

W DOMU ERIKKIEGO, 23.23.

Dwaj mężczyźni siedzieli przy stole naprzeciwko siebie. Przed wejściem gościa Erikki kazał Azadeh iść do sypialni, ale zostawił uchylone drzwi, żeby wszystko słyszała. Dał jej strzelbę, z którą chodził na polowania.

– Użyj jej bez wahania. Jeśli wejdzie do sypialni, ja będę już martwy – powiedział, chowając swój nóż pukoh za pasek na plecach.

Pukoh to tradycyjna broń wszystkich Finów. Uważa się powszechnie, że ten, kto go nie nosi, naraża się na niebezpieczeństwo. Jawne noszenie noża jest w Finlandii zabronione przez prawo – mogłoby to zostać potraktowane jako wyzwanie. Ale wszyscy i tak go noszą, zwłaszcza w górach.

– Przepraszam za najście, kapitanie. – Gość miał trzydzieści parę lat, ciemne włosy oraz oczy i trochę mniej niż sześć stóp wzrostu. Rysy ogorzalej twarzy świadczyły o jego mongolsko-słowiańskim pochodzeniu. – Nazywam się Fedor Rakoczy.

– Rakoczy był węgierskim rewolucjonistą – stwierdził Erikki. – Po pana akcencie poznaję, że jest pan Gruzinem. Rakoczy nie był Gruzinem. Jakie jest pańskie prawdziwe nazwisko i stopień w KGB?

Mężczyzna roześmiał się.

– To prawda, że mam gruziński akcent. Jestem Rosjaninem z Gruzji, z Tbilisi. Mój dziadek przyjechał tam z Węgier, ale nie był spokrewniony z siedmiogrodzkim księciem, który stał się rewolucjonistą. W przeciwieństwie do mnie i mojego ojca nie był również muzułmaninem. Jak pan

widzi, obaj znamy trochę naszą historię – stwierdził przyjaznym tonem. – Pracuję jako inżynier przy sowiecko-irańskim gazociągu zaraz za granicą, w Astarze nad Morzem Kaspijskim. Popieram Iran i Chomeiniego, niech Allah ma go w swojej opiece, i jestem przeciwko szachowi i Amerykanom.

Rosjanin cieszył się, że zapoznano go dokładnie z dossier Erikkiego Yokkonena. Część jego opowieści była prawdziwa. Rzeczywiście pochodził z Gruzji, z Tbilisi, nie był jednak muzułmaninem i nie nazywał się Rakoczy. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Igor Mzytryk i był kapitanem KGB. Oddelegowany do stacjonującej w pobliżu granicy, na północ od Tabrizu, 116. Dywizji Desantowej, należał do grupy kilkuset agentów, którzy przekroczyli w ciągu ostatnich miesięcy granicę Iranu i prowadzili tam obecnie prawie jawną działalność. Podobnie jak jego ojciec, był zawodowym kagebistą, miał trzydzieści cztery lata i przebywał w Azerbejdżanie od sześciu miesięcy. Mówił dobrze po angielsku, płynnie po turecku i w farsy, i chociaż nie umiał latać, znał się na napędzanych silnikami tłokowymi śmigłowcach, w które wyposażona była jego dywizja.

– Co do mojego stopnia – dodał najbardziej pojednawczym tonem, na jaki mógł się zdobyć – to jestem przyjacielem. My, Rosjanie, jesteśmy przecież dobrymi przyjaciółmi Finów, czyż nie?

– To prawda. Przyjaźnimy się z Rosjanami, ale nie z komunistami. Nie z Sowietami. Byliśmy przyjaciółmi świętej Rosji dawno temu, gdy wchodziliśmy w jej skład jako Wielkie Księstwo. Byliśmy przyjaciółmi ateistycznej Rosji w roku tysiąc dziewięćset siedemnastym, kiedy odzyskaliśmy niepodległość. Jesteśmy przyjaciółmi sowieckiej Rosji teraz. Teraz tak. Ale nie w trzydziestym dziewiątym. Nie podczas wojny zimowej. Wtedy nie byliśmy przyjaciółmi.

– W czterdziestym pierwszym wy też nie zachowaliście się jak przyjaciele – odparł ostro Rakoczy. – Napadliście na nas razem ze śmierdzącymi nazistami. Stanęliście po ich stronie przeciwko nam.

– Zgadza się, ale tylko po to, żeby odebrać naszą ziemię, naszą Karelię, którą nam ukradliście. Nie pomaszerowaliśmy na Leningrad, chociaż mogliśmy to zrobić. – Erikki czuł przylegający do pleców nóż i cieszył się, że go tam schował. – Jest pan uzbrojony?

– Nie. Powiedział pan przecież, że bym nie wchodził tutaj z bronią. Pistolet zostawiłem za drzwiami. Nie mam przy sobie noża pukoh i wcale go nie potrzebuję. Na Allacha, przychodzę tutaj jako przyjaciel.

– To dobrze. Człowiek potrzebuje przyjaciół.

Erikki nie spuszczał oczu z mężczyzny, nienawidząc z całego serca tego, co reprezentuje: sowieckiej Rosji, która niczym nie sprowokowana najechała Finlandię po podpisaniu w roku 1939 paktu Ribbentrop-Mołotow. Niewielka armia fińska przez sto dni opierała się sowieckim hordom, w końcu jednak musiała się wycofać. Ojciec Erikkiego zginął, broniąc leżącej na południowym wschodzie Karelii, w której Yokkonenowie mieszkali od wieków. Sowiecka Rosja bardzo szybko ją zaanektowała. I bardzo szybko uciekli z niej wszyscy Finowie. Wszyscy co do jednego. Nikt nie chciał pozostać pod sowiecką flagą. Erikki miał wtedy tylko dziesięć miesięcy. W czasie exodusu zginęły tysiące jego rodaków. Zginęła jego matka. Była to najgorsza zima, jaką pamiętali ludzie.

A w roku 1945, myślał Erikki, starając się powściągnąć gniew, Ameryka i Anglia zdradziły nas i oddały naszą ziemię agresorowi. Ale my nie zapomnieliśmy. Podobnie jak nie zapomnieli Estończycy, Łotysze, Litwini, wschodni Niemcy, Czesi, Bułgarzy, Rumuni – lista pokrzywdzonych jest bardzo długa. Nadejdzie jednak kiedyś dzień wyrównania rachunków z Sowietami, o tak, ten dzień na pewno nadejdzie i porachują się z nimi przede wszystkim Rosjanie, którzy najbardziej cierpieli pod ich jarzmem.

– Jak na Gruzina dużo pan wie o Finlandii – stwierdził chłodnym tonem.

– Finlandia jest bardzo ważna dla Rosji. Nasze stosunki ułożyły się bardzo dobrze i dzięki temu świat widzi, że antysowiecka amerykańska propaganda jest mitem.

Erikki uśmiechnął się.

– Nie mamy chyba czasu na politykę? Jest już późno. Czego pan ode mnie chce?

– Przyjaźni.

– Łatwo się o nią prosi, ale chyba pan dobrze wie, że Finowie nie ofiarowują jej byle komu. –

Erikki wyjął z kredensu prawie pustą butelkę wódki i dwa kieliszki. – Jest pan szytą?

– Tak, ale niezbyt przykładowym, niech Allach mi wybaczy. Czasami piję wódkę, jeśli o to pan pyta.

Erikki napełnił kieliszki.

– Zdrowie. A teraz przejdźmy do rzeczy – powiedział, kiedy wypili.

– Bachtiar i jego amerykańscy lokaje zostaną wkrótce wygnani z Iranu. W Azerbejdżanie dojdzie do rozruchów, ale pan nie ma się czego obawiać. Cieszy się pan tutaj dobrą opinią, podobnie jak pańska żona i jej rodzina. Chcemy, żeby pomógł pan nam zaprowadzić z powrotem pokój w tych górach.

– Jestem tylko pilotem helikoptera, zatrudnionym przez brytyjską firmę, która wykonuje prace na rzecz Iran-Timber. Nie interesuje mnie polityka. Zapomniał pan, że my, Finowie, nie zajmujemy się polityką?

– Jesteśmy przyjaciółmi, owszem. I my, i wy działamy na rzecz światowego pokoju.

Olbrzymia prawa pięść Erikkiego rąbnęła w stół. Rosjanin skrzywił się, a pusta butelka przewróciła się i spadła na podłogę.

– Prosiłem pana grzecznie dwa razy, żeby przeszedł pan do rzeczy – powiedział chłodnym tonem Fin. – Zostało panu dziesięć sekund.

– Proszę bardzo – odparł przez zaciśnięte zęby Rakoczy. – Chcemy, żeby w ciągu kilku następnych dni przewoził pan naszych ludzi. Chcemy...

– Jakich ludzi?

– Mułłów z Tabrizu i ich zwolenników. Chcemy...

– Wykonuję polecenia mojej firmy, a nie mułłów, rewolucjonistów i ludzi, którzy przychodzą do mnie uzbrojeni w środku nocy. Rozumie pan?

– Przekona się pan wkrótce, że lepiej nas słuchać, kapitanie Yokkonen. Przekonają się o tym także Gorgonowie. Wszyscy – oznajmił Rakoczy i Erikki poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. – Iran-Timber strajkuje już i jest po naszej stronie. Ci ludzie przekażą panu odpowiednie polecenia.

– W takim wypadku zaczekam na te polecenia. – Erikki wstał z krzesła. – Dobranoc.

Rosjanin również wstał i posłał mu gniewne spojrzenie.

– Pan i pańska żona jesteście zbyt inteligentni, żeby nie rozumieć, że bez Amerykanów i ich parszywej CIA Bachtiar nie ma żadnych szans. Ten szaleniec Carter skierował amerykańską piechotę morską i śmigłowce do Turcji, do Zatoki płynie amerykańska flota z atomowym lotniskowcem i uzbrojonymi w głowice atomowe samolotami... flota wojenna...

– Nie wierzę w to!

– Lepiej niech pan w to uwierzy. To jasne, że chcą wywołać wojnę, ponieważ my musimy zareagować na ich kroki, musimy odpowiedzieć groźbą wojny na ich groźbę wojny. Musimy, bo chcą wykorzystać przeciwko nam Iran. Wszystko to jest szaleństwem... nie chcemy wojny nuklearnej.

Rakoczy wierzył z całego serca w to, co mówił. Zaledwie przed kilku godzinami jego dowódca ostrzegł go szyfrem przez radio, że wszystkie stojące na granicy siły rosyjskie ogłosiły żółty alarm – który dzieli tylko jeden stopień od alarmu czerwonego – a w związku ze zbliżaniem się lotniskowca z głowicami nuklearnymi, ten sam alarm objął jednostki raketowe. Co gorsza, zaobserwowano ruchy wojsk chińskich wzdłuż całej mającej pięć tysięcy mil granicy sowiecko-chińskiej.

– Ten sukinsyn Carter ze swoim pierdolonym układem o przyjaźni z Chinami wyśle nas wszystkich do piekła, jeśli tylko damy mu szansę...

– Co ma być, to będzie – zauważył filozoficznie Erikki.

– InszAllah, owszem, ale po co ma pan się wysługiwać parszywym Amerykanom albo ich równie parszywym brytyjskim sojusznikom? Sprawa ludu zwycięży, odniesiemy zwycięstwo. Niech pan nam pomoże, a nie pożałuje pan tego, kapitanie. Potrzebujemy pańskiej współpracy tylko przez kilka dni...

Rakoczy przerwał nagle. Usłyszeli, jak ktoś biegnie w stronę domu. Nóż Erikkiego znalazł się w mgnieniu oka w jego ręku. Gdy otworzyły się frontowe drzwi, skoczył niczym kot w stronę sypialni.

– SAVAK! – krzyknął skryty w mroku mężczyzna i uciekł.

Rakoczy wybiegł z domu i złapał swój pistolet maszynowy.

– Potrzebujemy pańskiej pomocy, kapitanie. Niech pan o tym pamięta! – zawołał i zniknął w ciemnościach.

Azadeh weszła do salonu z gotową do strzału strzelbą i pobladłą twarzą.

– Co on opowiadał o tym lotniskowcu? Nie zrozumiałam go.

Erikki wyjaśnił jej. Na jej twarzy odbił się szok.

– To oznacza wojnę, Erikki.

– Owszem, jeśli do tego dojdzie. Zostań tutaj.

Erikki włożył swoją puchową kurtkę i wyszedł. Zamykając za sobą drzwi, zobaczył światła pojazdów pędzących polną drogą, która łączyła ich bazę z główną szosą. Kiedy jego oczy przywykły do ciemności, rozpoznał dwa samochody osobowe i wojskową ciężarówkę. Po kilku chwilach jadący na czele pojazd zatrzymał się i wyskoczyli z niego policjanci i żołnierze. Dowodzący nimi oficer zasalutował.

– To pan, kapitanie Yokkonen. Dobry wieczór. Dowiedzieliśmy się, że kręcili się tutaj jacyś rewolucjoniści albo komuniści z Tudeh. Doszło podobno do strzelaniny – powiedział nienaganną angielszczyzną. – Czy Jej Wysokości nic się nie stało? Macie jakieś problemy?

– W tej chwili już nie, pułkowniku Mazardi.

Erikki znał całkiem dobrze oficera. Był kuzynem Azadeh i komendantem policji w Tabrizie. Ale SAVAK? To zupełnie coś innego, pomyślał z niechęcią. Jeśli to prawda, trudno, ale ja nie chcę o tym nic wiedzieć, pomyślał.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Azadeh ucieszyła się na widok kuzyna. Podziękowała mu za przyjazd i razem z Erikkim opowiedziała, co się wydarzyło.

– Rosjanin twierdził, że nazywa się Rakoczy, Fedor Rakoczy? – zapytał Mazardi.

– Tak, ale to na pewno nie jest jego prawdziwe nazwisko. Facet jest agentem KGB – odparł Erikki.

– I nie powiedział, dlaczego chce odwiedzić obozy?

– Nie.

Pułkownik przez chwilę się zastanawiał, a potem westchnął.

– Więc mułła Mahmud ma ochotę sobie polatać, tak? To głupie, żeby sługa boży fruwał nad ziemią. Bardzo niebezpieczne, szczególnie że jest islamskim marksistą... cóż za świętokradztwo! Słyszałem, że z lecącego helikoptera można bardzo łatwo wypaść. Może powinniśmy spełnić jego życzenie... – Mazardi miał koło czterdziestki, był wysoki, bardzo przystojny, ubrany w nieskazitelny mundur. – Nie martwcie się. Ci wichrzyciele wkrótce znajdą się z powrotem w swoich zawszonych norach. Bachtiar da nam rozkaz i wytępimy to robactwo. Co do tego zdrajcy i podżegacza Chomeiniego... szybko go zastrzelimy. Francuzi powinni go zastrzelić, kiedy tylko do nich przyjechał. Nieudolni głupcy. Ale oni zawsze byli nieudolni, spiskowali i występowali przeciwko nam. Francuzi zawsze zazdrościli Iranowi. – Pułkownik wstał. – Dajcie mi znać, kiedy helikopter będzie zdolny do lotu. Za dwa dni wrócimy tutaj przed świtem. Miejmy nadzieję, że mułła i jego przyjaciele, zwłaszcza ten Rosjanin, także się pojawią.

Mazardi wyszedł. Erikki postawił czajnik, żeby zrobić kawy.

– Spakuj torbę, Azadeh – powiedział zatroskanym tonem.

– Dlaczego? – zdziwiła się, wlepiając w niego oczy.

– Weźmiemy samochód i pojedziemy do Teheranu. Wyjeżdżamy za parę minut.

– Nie musimy wyjeżdżać, Erikki.

– Gdyby helikopter był sprawny, polecilibyśmy nim, ale nie możemy.

– Nie ma się czym martwić, kochanie. Rosjanie zawsze bruździli w Azerbejdżanie i zawsze będą to robić, czy to pod rządami carów, czy Sowietów. Zawsze chcieli opanować Iran, a my zawsze trzymaliśmy ich na dystans. Nie musisz się niepokoić z powodu kilku fanatyków i jednego Rosjanina, Erikki.

– Niepokoją mnie amerykańscy żołnierze w Turcji i amerykański lotniskowiec w Zatoce – powiedział, patrząc na nią. – Niepokoi mnie, dlaczego KGB uważa, że ty i ja jesteśmy „zbyt inteligentni”, dlaczego Rakoczy był taki podenerwowany, dlaczego tyle o mnie wiedzą i dlaczego tak bardzo chcą skorzystać z moich usług. Idź i spakuj torbę, kochanie, póki jeszcze czas.

– Dobrze. Ale nie jedźmy do Teheranu i nie dziś wieczorem. To zbyt niebezpieczne. Najpierw musimy się zobaczyć z chanem, moim ojcem.

**SOBOTA**

## ROZDZIAŁ 2

### W POBLIŻU TABRIZU, GODZINA 18.05.

Dwieścieszóstka Pettikina wyskoczyła znad wzniesienia i poleciała dalej wzdłuż drogi, muskając zaśnieżone czubki drzew i nabierając wysokości przed przełęczą.

– Tabriz Jeden, tu HFC z Teheranu. Czy mnie słyszysz? – zawołał po raz któryś z rzędu.

Żadnej odpowiedzi. Zbliżał się zmierzch, popołudniowe słońce skryło się za gęstą pokrywą chmur, które wisiały zaledwie kilkaset stóp nad nim, szare i śnieżne. Ponownie spróbował wywołać bazę. Był bardzo zmęczony, pokiereszowana twarz wciąż bolała go po porannych razach. Rękawiczki i zdarta skóra na kłykciach sprawiały, że niewygodnie mu było obsługiwać radio.

– Tabriz Jeden, tu HFC z Teheranu. Czy mnie słyszysz?

Znowu nie doczekał się żadnej odpowiedzi, ale specjalnie go to nie zdziwiło. Łączność w górach była zawsze zła, nikt się go nie spodziewał i nie było powodu, aby Erikki albo kierownik bazy zlecili nasłuch. Droga pięła się pod górę, chmury były coraz niższe, ale zobaczył, że grań jest na szczęście widoczna. Kiedy ją przeskoczy, droga opadnie w dół, a pół mili dalej jest baza.

Poranny dojazd do małej bazy wojskowej w Galeg Morghi, niedaleko międzynarodowego lotniska w Teheranie, zajął mu więcej czasu, niż się spodziewał. Chociaż wyjechał z domu jeszcze przed świtem, gdy dotarł na miejsce, blade słońce wisiało już całkiem wysoko na zadymionym niebie. Kilka razy musiał skręcać z normalnej trasy. W mieście wciąż trwały walki i wiele ulic było zablokowanych – część przez wzniesione specjalnie w tym celu barykady, część przez wypalone wraki samochodów i autobusów. Na zaśnieżonych chodnikach i jezdniach leżeli zabici i ranni. Dwa razy natknął się na policjantów, którzy kazali mu zawrócić. Zamiast ich posłuchać, wybrał jednak jeszcze bardziej okrężną drogę. Ku jego zdziwieniu brama prowadząca do tej części bazy, gdzie odbywały się szkolenia, była otwarta i nie strzeżona. Normalnie pilnowali jej żołnierze wojsk powietrznych. Wjechał do środka i zaparkował samochód w hangarze S-G, wewnątrz nie znalazł jednak ani jednej osoby z personelu naziemnego.

Dzień był mroźny i Pettikin miał na sobie zimową lotniczą kurtkę. Śnieg leżał na polu i większej części pasa startowego. Czekał na pracowników, sprawdził dwieścieszóstkę, którą miał zamiar polecieć. Wszystko było w porządku. Części, których potrzebowali w Tabrizie, tylny rotor oraz dwie hydrauliczne pompy, znajdowały się w przedziale bagażowym. Zbiorniki były pełne, co oznaczało, że paliwa starczy na dwie i pół do trzech godzin lotu – czyli dwieście do trzystu mil w zależności od wiatru, wysokości i ciągu silników. Musiał i tak zatankować po drodze. Plan lotu przewidywał, że zrobi to w Bandar-e Pahlavi, porcie nad Morzem Kaspijskim. Bez trudu wytoczył helikopter na zewnątrz i w tym samym momencie rozpętało się piekło. Pettikin znalazł się nagle w samym środku bitwy.

Przez bramę wjechały ciężarówki z żołnierzami, powitane gradem pocisków, które posypały się

od strony hangarów, koszar oraz budynków administracyjnych bazy. Inne ciężarówki popędziły wzdłuż ogrodzenia, ostrzeliwując się podczas jazdy, a potem pojawił się pojazd opancerzony, plując ogniem ze swoich karabinów maszynowych. Osłupiały Pettikin rozpoznał odznaki i hełmy Nieśmiertelnych. W ślad za nimi pokazały się opancerzone autobusy z paramilitarną policją, która przejęła tę część bazy. Zanim się zorientował, czterech policjantów złapało go pod pachy i powlokło do jednego z autobusów, wrzeszcząc w farsi.

– Na litość boską, ja nie mówię w waszym języku – krzyczał, próbując uwolnić się z ich uścisku.

Jeden z nich uderzył go w żołądek. Pettikinowi zrobiło się niedobrze, a potem wyrwał się i walnął napastnika w twarz. Jego kolega natychmiast wyciągnął pistolet i strzelił. Kula przeszła przez kołnierz kurtki Pettikina i odbiła się rykoszetem od autobusu, krzesząc iskry płonącego kordytu. Pettikin znieruchomiał. Któryś z policjantów uderzył go mocno w usta, inni zaczęli okładać pięściami i kopać. Po chwili podszedł do nich dowódca.

– Amerykanin? Ty Amerykanin? – zapytał.

– Jestem Brytyjczykiem – jęknął Pettikin z ustami pełnymi krwi, próbując wyrwać się napastnikom, którzy przygwoździli go do maski autobusu. – Jestem z S-G Helicopters i to jest mój...

– Amerykanin! Sabotażysta! – Oficer przystawił mu lufę pistoletu do twarzy. Pettikin widział, jak jego palec zaciska się na cynglu. – My w SAVAK wiemy, że to Amerykanie wpędzili nas we wszystkie kłopoty!

A potem, półżywy z przerażenia, usłyszał czyjś głos w farsi i poczuł, jak słabnie żelazny uścisk trzymających go rąk. Nie wierząc własnym oczom, ujrzał przed sobą młodego brytyjskiego kapitana w mundurze spadochroniarza i czerwonym berecie na głowie oraz dwóch niewielkich, uzbrojonych po zęby żołnierzy o orientalnych twarzach, z plecakami i wiązkami granatów przy bandoletach. Kapitan podrzucał nonszalanckim ruchem granat, jakby to była pomarańcza. Za pasem miał pistolet i dziwnie zakrzywiony nóż w pochwie. Nagle przestał podrzucać granat, powiedział coś w farsi, wskazując Pettikina oraz stojący nieopodal helikopter, po czym odprawił władczy gestem dłoni policjanta i zsalutował Pettikinowi.

– Na litość boską, niech pan udaje kogoś ważnego, kapitanie Pettikin – odezwał się z krzepiącym szkockim akcentem, strącając dłoń policjanta z jego ramienia.

Jeden z Irańczyków uniósł broń, ale potem zamarł w bezruchu, gdy kapitan wyciągnął zawleczkę z granatu, nie zwalniając przy tym dźwigni. Starszy z dwóch brytyjskich żołnierzy uśmiechnął się i poluzował nóż w pochwie.

– Czy pański helikopter jest gotów do lotu? – zapytał kapitan.

– Tak... oczywiście – wymamrotał Pettikin.

– Więc proszę go uruchomić, jeśli pan potrafi. Niech pan zostawi drzwi otwarte i kiedy będzie pan gotów do startu, podniesie kciuki w górę. Będziemy lecieć nisko i szybko. Tenzing, idź razem z nim.

Kapitan wskazał palcem stojący pięćdziesiąt jardów dalej helikopter, po czym przerzucił się z powrotem na farsi i zaczął rугać Irańczyków, każąc im przenieść się na drugą stronę bazy, gdzie walki nieco ustały. Tenzing podbiegł do helikoptera wraz z oszołomionym Pettikinem.

– Niech pan się pośpieszy, sahibie – powiedział, opierając się o drzwiczki, z gotowym do strzału pistoletem.

Pettikin nie potrzebował zachęty.

Obok przejeżdżały, nie zatrzymując się przy nich, kolejne wozy opancerzone, a w ślad za nimi



ciężarówki z policjantami i żołnierzami, którzy starali się za wszelką cenę obronić bazę przed zbliżającym się tłumem. Za ich plecami spadochroniarz kłócił się z policjantem. Podwładni tego ostatniego oglądali się nerwowo przez ramię, słysząc potężniejący z każdą chwilą ryk „Allachu akbar”. Towarzyszyły mu odgłosy strzałów i eksplozji. Dwieście jardów dalej, na drodze biegnącej wokół ogrodzenia, tłum podpalił samochód, który wyleciał w powietrze.

Świst odrzutowych silników helikoptera rozwścieczył policjanta, ale w tym samym momencie przez bramę wbiegła grupa uzbrojonych młodych cywili.

– Mudzahedini! – krzyknął ktoś.

Wszyscy natychmiast rzucili się w ich stronę i zaczęli strzelać. Korzystając z zamieszania, Szkot i drugi żołnierz podbiegli do helikoptera i wskoczyli do środka. Pettikin włączył pełen ciąg, przeleciał kilka cali nad trawą, skręcił, żeby nie wpaść na płonąca ciężarówkę, i dopiero wtedy poderwał maszynę nosem do góry. Szkot stracił równowagę, o mało nie wypuścił z ręki granatu i nie zdołał wsunąć z powrotem zawleczeni. Siedząc na przednim fotelu, pochylił się, otworzył drzwi, wyrzucił granat na zewnątrz i przez chwilę patrzył, jak leci łagodnym łukiem w dół.

Granat wybuchł, nie robiąc nikomu krzywdy.

– To było dobre – stwierdził Szkot, po czym zamknął drzwi, zapiął pas, sprawdził, czy jego dwóm żołnierzom nic się nie stało, i pokazał Pettikinowi podniesione kciuki.

Pettikin prawie tego nie zauważył. Kiedy oddalili się od Teheranu, wylądował w szczerym polu, wysiadł i sprawdził, czy helikopter nie został trafiony przez kule. Nie stwierdziwszy żadnych szkód, odetchnął z ulgą.

– Chryste, nie wiem, jak panu dziękować – powiedział, wyciągając rękę do Szkota. Piekielnie bolała go głowa. – Z początku wziąłem pana za zjawę, kapitanie...

– Ross. A to sierżant Tenzing i kapral Gueng.

Pettikin uściskał ręce i podziękował im obu. Byli niskimi pogodnymi mężczyznami, twardymi i zwinnymi. Starszy z nich, Tenzing, mógł mieć koło pięćdziesiątki.

– Wszystkich was przysłało niebo – stwierdził Pettikin.

Ross uśmiechnął się, błyskając białymi zębami na tle opalonej twarzy.

– Nie bardzo wiedziałem, jak się stamtąd wydostaniemy. Rozwalenie tych policjantów i w ogóle kogokolwiek, nawet ludzi z SAVAK, nie byłoby zbyt eleganckie.

– Zgadzam się. – Pettikin nigdy nie widział takich błękitnych oczu u mężczyzny. Oceniał, że Ross zbliża się do trzydziestki. – Co się tam, do diabła, działo?

– Kilka oddziałów wojsk powietrznych przeszło na stronę Chomeiniego i oficerowie wierni rządowi chcieli stłumić bunt. Słyszeliśmy, że zwolennicy Chomeiniego i lewicowi aktywiści szli z pomocą buntownikom.

– Co za burdel! Nie wiem, jak wam dziękować. Skąd pan wiedział, jak się nazywam?

– Dostałem cynk, że zatwierdzono pana lot do Tabrizu przez Bandar-e Pahlavi, i chciałem się z panem zabrać. Spóźniliśmy się prawie godzinę i myśleliśmy, że już pan odleciał... ciągle kazano nam jechać okreśną drogą. Ale w końcu się spotkaliśmy.

– Dzięki Bogu. Jesteście z regimentu Gurkhów?

– Powiedzmy, że nie należymy do regularnych formacji.

Pettikin pokiwał w zamyśleniu głową. Zauważył już, że nie mają żadnych naszywek na ramieniu ani insygniów – z wyjątkiem kapitańskich gwiazdek Rossa i czerwonych beretów na głowach.

– W jaki sposób żołnierze nieregularnych formacji dowiedzieli się o moim locie?

– Naprawdę nie mam pojęcia. Wykonuję po prostu rozkazy – odparł beztrząs Ross i rozejrzał się dookoła. Okolica była płaska i kamienista, ziemia pokryta śniegiem. – Nie sądzi pan, że powinniśmy ruszać dalej? Jesteśmy tutaj raczej odsłonięci.

Pettikin wsiadł z powrotem do kabiny.

– Co się dzieje w Tabrizie? – zapytał.

– Nie lecimy do Tabrizu. Jeśli to panu nie przeszkadza, chcielibyśmy, żeby wysadził nas pan przed Bandar-e Pahlavi.

– Oczywiście. – Pettikin rozpoczął machinalnie procedurę startową. – Co macie tam do załatwienia?

– Powiedzmy, że musimy się spotkać w sprawie pewnego psa.

Pettikin roześmiał się. Czuł, że zaczyna lubić tego faceta.

– Tam jest mnóstwo psów! W porządku, lecimy do Bandar-e Pahlavi i przestaję zadawać pytania.

– Przepraszam, ale wie pan, jak to jest. Byłbym również wdzięczny, gdyby zapomniał pan, jak się nazywam i że w ogóle z panem lecieliśmy.

– A co mam powiedzieć władzom... jeśli mnie zapytają. Nasz odlot widziało wielu ludzi.

– Nie powiedziałem panu, jak się nazywam. Po prostu kazałem lecieć – stwierdził z uśmiechem Ross – grożąc strasznymi konsekwencjami, jeśli pan nie posłucha.

– W porządku. Ale na pewno nie zapomnę pańskiego nazwiska.

Pettikin wylądował kilka mil od portu Bandar-e Pahlavi. Ross wybrał to miejsce, korzystając z mapy, którą miał ze sobą. Siedli na piaszczystej plaży, z dala od jakiegokolwiek wioski. Błękitna tafla Morza Kaspijskiego upstrzona była rybackimi kutrami, po niebie płynęły wielkie cumulusy. W gorącym powietrzu brzęczały owady i nigdzie nie było śladu śniegu, ale góry Elburs za Teheranem stały całe w bieli. Lądując bez pozwolenia, Pettikin naruszał poważnie przepisy, lecz po uprzednim dwukrotnym wywołaniu lotniska w Bandar-e Pahlavi, na które nie otrzymał żadnej odpowiedzi, uznał, że może zawsze tłumaczyć to jakąś awarią.

– Powodzenia i jeszcze raz dziękuję – powiedział, ściskając im dłonie. – Jeśli będziecie kiedykolwiek czegoś ode mnie potrzebować, macie to jak w banku.

Żołnierze wysiedli szybko, założyli plecaki i ruszyli w stronę wydm. Nigdy więcej już ich nie zobaczył.

– Tabriz Jeden, czy mnie słyszysz?

Przez jakiś czas krążył na wysokości siedmiuset stóp, potem zszedł w dół. Ani śladu życia – nie paliło się żadne światło. Pełen najgorszych przeczuć, wylądował koło hangaru i przez chwilę czekał, gotów w każdej chwili dać drapaka. Nie wiedział, czego się spodziewać – wiadomości o buntach w armii, szczególnie w elitarnych ponoć siłach powietrznych, bardzo go zaniepokoiły. Nikt do niego jednak nie podchodził. Nic się nie działo. Niechętnie zablokował stery i wysiadł, zostawiając silniki na chodzie. Było to niezgodne z przepisami i bardzo niebezpieczne – gdyby blokada zsunęła się, helikopter mógł zacząć kręcić się sam po ziemi.

Nie chciał jednak, żeby ktoś go zaskoczył. Sprawdził jeszcze raz blokadę i ruszył szybko po śniegu w stronę budynku administracyjnego. Był pusty, podobnie jak kwatery pracowników oraz hangar, w którym zobaczył rozebraną na części dwieściedwunastkę. Ani żywej duszy – i żadnego śladu walki. Trochę uspokojony, przeszedł najszybciej, jak mógł, przez obóz. Na stole w domu Erikkiego stała pusta butelka wódki. W lodówce znalazł pełną – miał wielką ochotę się napić, ale

alkoholu nie można pogodzić z lataniem. Była tam również jakaś irańska woda mineralna w butelce i suszona szynka. Wypił łączywie wodę. Zjem coś, kiedy obejdę cały obóz, powiedział sobie.

W sypialni łóżko było posłane, ale buty leżały każdy w innym miejscu. Stopniowo odnajdywał coraz więcej śladów pośpiesznej rejterady. Bałagan panujący w innych domkach potwierdził jego przypuszczenia. W całej bazie nie było żadnego środka transportu, zniknął także czerwony range rover Erikkiego. Najwyraźniej baza została opuszczona w pośpiechu. Ale dlaczego?

Spojrzał na niebo. Zerwał się wiatr i słyszał jego świst, a także stłumiony pomruk pracujących na jałowym biegu silników helikoptera. Mimo lotniczej kurtki, grubych spodni i wysokich butów zrobiło mu się zimno. Jego ciało domagało się ciepłego prysznicu – a jeszcze bardziej sauny Erikkiego – porządnej kolacji, gorącego grogu i ośmiu godzin snu. Wiatr nie stanowił na razie wielkiego problemu, lecz pozostała mu najwyżej godzina na zatankowanie i powrót przez przełęcz na nizinę. A może lepiej będzie spędzić noc tutaj?

Pettikin nie czuł się zbyt dobrze ani w lesie, ani w górach. Znał pustynię, busz, dżunglę, veld i kamieniste pustkowia Arabii Saudyjskiej. Szerokie przestrzenie nigdy go nie deprymowały. Ale zimno owszem. I śnieg. Najpierw zatankuję, pomyślał.

W hangarze nie znalazł jednak ani kropli paliwa. Stało tam mnóstwo czterdziestogalonowych beczek, lecz wszystkie puste. To nic, powiedział sobie, starając się nie wpadać w panikę. Mam dość paliwa na powrót do Bandar-e Pahlavi. Mógłbym polecieć na lotnisko w Tabrizie albo spróbować wyżebrać trochę na stacji ExTeksu w Ardebilu, ale to cholernie blisko granicy sowieckiej.

Ponownie spojrzał na niebo. Do diabła! Mogę przenocować tutaj albo gdzieś po drodze. Gdzie lepiej?

Tutaj. W bazie powinno być bezpieczniej.

Wyłączył silniki dwieścieczóstk i wtoczył ją do hangaru. Cisza, która zapadła, dzwoniła mu w uszach. Przez chwilę się wahał, a potem wyszedł na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi. Śnieg skrzypiał pod jego stopami, wiatr dmuchał prosto w twarz. W połowie drogi do domku Erikkiego zatrzymał się czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Rozejrzał się dookoła, lustrując wzrokiem bazę i las. Rękaw do pomiaru wiatru tańczył szarpany podmuchami, które gięły wysokie konary drzew, i nagle przypomniał sobie obóz narciarski w Zagros, na którym Tom Lochart, jeden z pilotów, siedział przy ognisku i opowiadał kanadyjską legendę o Wendigo, leśnym demonie zrodzonym z huraganu, który kryje się w koronach drzew, zawodząc i czyhając na nieświadomego wędrowca, a potem, gdy go zobaczy, zsuwa się w dół. Wędrowiec rzuca się do ucieczki, ale przez cały czas czuje za sobą lodowaty oddech demona. Biegnie i biegnie, sadząc coraz większymi susami, aż w końcu jego stopy zamieniają się w krwawe kikuty, a wtedy Wendigo wciąga go wysoko na drzewo, gdzie biedak umiera.

Poczuł, jak przechodzi go dreszcz. Denerwowało go, że jest tutaj sam. To dziwne, dotąd sobie tego nie uświadamiał, ale prawie zawsze ktoś przy nim był: mechanik, pilot, Genny, Duncan albo dawniej Claire.

Wciąż badał uważnie wzrokiem las. Gdzieś w oddali zaczęły szczekać psy. W dalszym ciągu miał silne wrażenie, że ktoś go obserwuje. Z trudem opanował niepokój, wrócił do helikoptera i zabrał z niego pistolet Verey Light. Wracając do domku Erikkiego, trzymał jawnie w ręku potężną broń z długą lufą, czując się o wiele pewniej. A jeszcze pewniej poczuł się, gdy zaryglował drzwi i zaciągnął zasłony.

Wkrótce zapadła noc. Z nadejściem nocy na łowy wyszły drapieżne zwierzęta.

TEHERAN, GODZINA 19.05.

McIver szedł zmęczony i głodny wyludnioną, wysadzaną drzewami aleją. Nie paliła się żadna latarnia i stąpał ostrożnie w półmroku, żeby nie wejść w którąś z zasp śniegu, zalegających pod ścianami eleganckich domów. Z oddali dochodziły odgłosy strzałów i niesione chłodnym wiatrem „Allah akbarr”. Skręcił na rogu i o mało nie wpadł na stojący w połowie na chodniku czołg Centurion. Natychmiast oślepiło go światło latarki. Żołnierze wyskoczyli z zasadzki.

– Kim pan jest, aga? – zapytał niezłą angielszczyzną młody oficer. – Co pan tutaj robi?

– Jestem kapitan... kapitan McIver, Duncan McIver. Wracam z biura... mój dom jest po drugiej stronie parku, za następnym rogiem.

– Proszę o dowód tożsamości.

McIver sięgnął szybko do wewnętrznej kieszeni. Oprócz dowodu miał tam dwie małe fotografie, jedną przedstawiającą szacha, drugą Chomeiniego, ale po docierających przez cały dzień wiadomościach o buntach w wojsku nie był pewien, która okaże się właściwa. Oficer zbadał jego dowód w świetle latarki. Kiedy oczy McIvera przyzwyczyły się do ciemności, zauważył na jego twarzy zmęczenie, kilkudniowy zarost i pognieciony mundur. Inni żołnierze obserwowali go w milczeniu. Centurion stał za nimi, złowrogi, jakby czaił się do skoku.

– Dziękuję. – Oficer oddał mu sfatygowany dowód. Strzały rozległy się ponownie, tym razem bliżej. Żołnierze czekali, wpatrując się w noc. – Lepiej nie chodzić po zmroku ulicą, aga. Dobranoc.

– Dobrze, dziękuję. Dobranoc.

McIver oddalił się z ulgą, zastanawiając się, czy miał do czynienia z lojalistami, czy buntownikami. Chryste, jeśli część jednostek zbuntuje się, a część nie, rozpęta się tu prawdziwe piekło. Kolejne skrzyżowanie i kolejna ciemna i pusta ulica, gdzie niedawno jeszcze po zalanych światłem chodnikach spacerowały tłumy roześmianych szczęśliwych ludzi, służby i dzieci. Tego właśnie najbardziej mi brakuje, pomyślał. Śmiechu. Ciekawe, czy kiedykolwiek jeszcze powrócą dawne czasy.

Dzień w biurze był frustrujący. Telefony nie działały, łączność radiowa była zła i nie udało się wywołać żadnej z baz. Ponownie nikt z personelu nie przyszedł do pracy, co jeszcze bardziej go zirytowało.

– Jutro będzie lepiej – mruknął pod nosem i przyśpieszył kroku, czując się nieswojo na pustej ulicy.

Ich blok mieszkalny miał pięć pięter, zajmowali jeden z apartamentów na samej górze. Klatka schodowa była słabo oświetlona, napięcie znów obniżone do połowy, winda nieczynna od kilku miesięcy. Wspinał się znużonym krokiem po schodach; ledwo ćmiące się żarówki dodatkowo go przygnębiały. Ale w mieszkaniu paliły się świece i na ich widok od razu poprawił mu się humor.

– Cześć, Genny! – zawołał głośno, po czym zaryglował za sobą drzwi i powiesił w przedpokoju stare palto. – Czas na whisky!

– Duncan! Jestem w jadalni, chodź tu na chwilę.

Przeszedł kilka kroków korytarzem, zatrzymał się w progu i otworzył usta ze zdziwienia. Stół uginał się pod ciężarem kilkunastu irańskich dań i pater z owocami. Wszędzie paliły się świece. Genny posłała mu promienny uśmiech. Obok niej stała, także uśmiechając się wesoło, Szarazad, żona jednego z pilotów, Toma Locharta.

– Nie wierzę własnym oczom. To twoje dzieło, Szarazad? Jak miło cię znowu widzieć...

– Ja też się bardzo cieszę, że cię widzę, Mac. Z każdym dniem wyglądasz coraz młodziej, oboje wyglądacie. Przepraszam za najście – trajkotała szybko Szarazad – ale przypomniałam sobie, że wczoraj była wasza rocznica ślubu, bo przypada na pięć dni przed moimi urodzinami, a wiem, jak lubicie horiszt z jagnięciny, polo i inne rzeczy, więc przyniosłam jedzenie i świecezki razem z Hassanem i Dewą. – Szarazad miała pięć stóp i trzy cale wzrostu: typowa perska piękność, którą uwiecznił w swojej poezji Omar Chajjam. – Teraz, kiedy już wróciłeś, zostawiam was samych.

– Zaczekaj chwilę. Może zostaniesz i zjesz razem z nami?

– Nie mogę. Bardzo bym chciała, ale ojciec wyprawia dzisiaj przyjęcie i muszę wracać. Zostawiam Hassana, żeby was obsłużył i posprzątał. Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić. Hassan! Dewa! – zawołała, po czym uściskała Genny i McIvera i pobiegła do drzwi, gdzie czekała na nią para służących.

Hassan podał jej futro. Włożyła je, owinęła głowę ciemnym czadorem, posłała Genny ostatni pocałunek i wyszła razem z Dewą. Hassan, wysoki uśmiechnięty mężczyzna koło trzydziestki, ubrany w białą kurtkę i czarne spodnie, zarygłował za nią drzwi.

– Czy mam podać kolację, proszę pani? – zapytał w farsji.

– Tak, za dziesięć minut – odparła zadowolona Genny. – Ale najpierw pan napije się whisky.

Hassan natychmiast podszedł do kredensu, nalał drinka, przyniósł wodę, uklonił się i wyszedł do kuchni.

– Na Boga, zupełnie jak za dawnych czasów – stwierdził rozpromieniony McIver.

– I pomyśleć, że żyliśmy tak zaledwie przed kilku miesiącami.

Mieli urocze małżeństwo służących: żonę, znakomitą kucharkę, gotującą równie dobrze po europejsku jak irańsku, i jej wesołego, nie palącego się zbytnio do roboty małżonka, którego McIver nazywał Ali Babą. Oboje nagle zniknęli, jak prawie cała pracująca u obcokrajowców służba. Bez jednego słowa wyjaśnienia.

– Zastanawiam się, co stało się z Ali Babą i jego żoną – mruknął.

– Na pewno dobrze się mają. Ali Baba miał lepkie ręce i zgromadził wystarczającą ilość zapasów, żeby żyć jak pan przez kilka miesięcy. Czy Charlie się odezwał?

– Jeszcze nie. Paula znowu zostaje na noc. Nogger nie. Poszli na kolację z kimś z załogi Alitalii.

Genny uniosła brwi. Paula była stewardesą.

– Nogger jest pewien, że dojrzała już do rwania, ale mam nadzieję, że się myli. Lubię Paulę – stwierdziła. Słyszeli krzątającego się w kuchni Hassana. – To najśłodszy dźwięk, jaki znam.

McIver uśmiechnął się do niej i uniosł szklanekę.

– Dziękujemy Bogu za Szarazad i za to, że nie będziemy zmywać.

– To jest najpiękniejsze. – Genny westchnęła. – Taka miła dziewczyna, taka troskliwa. Tom ma wielkie szczęście. Szarazad mówi, że jutro wraca.

– Mam nadzieję. Przywiezie nam pocztę. – McIver postanowił, że nie będzie nic mówić o czołgu.

– Może udałoby ci się wypożyczyć Hassana albo innego jej służącego na kilka dni lub tydzień? To by cię bardzo odciążało.

– Nie chcę prosić. Wiesz, jak to jest.

– Chyba masz rację, to denerwujące.

Zatrudnienie kogoś do pomocy było teraz prawie niemożliwe bez względu na to, jak wysoką proponowało się zapłatę. Jeszcze kilka miesięcy temu znalezienie porządnych miłych służących nie przysparzało żadnych kłopotów. Gdy znało się parę słów w farsji, prowadzenie z ich pomocą domu

było samą przyjemnością.

– To była jedna z najlepszych rzeczy w Iranie – powiedziała Genny. – Pozwalała zapomnieć o całej nędzy życia w tak bardzo obcym kraju.

– Więc wciąż uważasz Iran za obcy... po wszystkich tych latach?

– Bardziej niż kiedykolwiek. Spotykając się z tymi Irańczykami, których znamy, zawsze miałam wrażenie, że cała ich serdeczność i uprzejmość to tylko pozór. Dopiero teraz pokazali swoje prawdziwe uczucia. Nie mam oczywiście na myśli wszystkich. Nie naszych przyjaciół. Annousz na przykład jest najmilszą, najbardziej kochaną osobą pod słońcem. – Annousz była żoną generała Valika, jednego z ich głównych partnerów w Teheranie. – Większość żon odnosiła to samo wrażenie, Duncan – dodała zadumanym tonem. – Może dlatego obcokrajowcy starali się zawsze trzymać razem. Wszystkie te mecze tenisa, wyjazdy na narty, weekendy nad Morzem Kaspijskim... i służba, która nosiła za nami kosze z wiktuałami i sprzątała, kiedy zjedliśmy. Życie tutaj było prawdziwą sielanką, ale się skończyło.

– Mam nadzieję, że zarówno my, jak i oni jeszcze do niej wrócimy. W drodze do domu uświadomiłem sobie nagle, czego mi najbardziej brakuje. Śmiechu. Nikt się już teraz nie śmieje, mam na myśli ludzi na ulicy, nawet dzieci.

McIver wypił trochę whisky.

– Tak, rzeczywiście bardzo brakuje mi śmiechu – zgodziła się Genny. – I szacha. Przykro mi, że musiał wyjechać... jeszcze tak niedawno wszystko było w najlepszym porządku, przynajmniej jeśli o nas chodzi. Biedny człowiek... co za parszywy los zgotowaliśmy teraz jemu i jego uroczej żonie po wszystkich dowodach przyjaźni, jakie nam okazywał. Wstydzę się. Na pewno zrobił wszystko, co mógł, dla swego narodu.

– Niestety, Genny, większość Irańczyków uważa najwyraźniej, że zrobił za mało!

– Wiem. To smutne. Życie bywa czasami bardzo smutne. Ale nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Jesteś głodny?

– Jak wilk.

Światło świec nadało jadalni cieplejszy i bardziej swojski wygląd. Zasłony były zaciągnięte. Hassan wniósł wazy z parującym horisztem – czyli w dosłownym przekładzie zupą, która bardziej przypominała jednak gęsty gulasz z jagnięcego mięsa, kurczaków i warzyw, z rodzynekami i wszelkiego rodzaju przyprawami – oraz polo, wybornym irańskim ryżem, który wpierw gotuje się na parze, a potem piecze w wysmarowanym masłem półmisku, aż robi się chrupki i złocistobrązowy.

– Niech Bóg ma w swojej opiece Szarazad – mruknął McIver. – Jest balsamem na nasze rany.

Genny uśmiechnęła się do niego.

– Podobnie jak Paula.

– Ty też nie jesteś taka zła, Gen.

– Daj spokój. *Bon appetit*, jak powiedziałby Jean Luc.

Jedli ze smakiem. Dania były pyszne, przypominały im potrawy, które jadali kiedyś w domach przyjaciół.

– Spotkałem dziś na lunchu młodego Christiana Tollonena, pamiętasz go? Tego przyjaciela Erikiego z fińskiej ambasady – oznajmił McIver. – Powiedział, że paszport Azadeh jest już gotów. To dobrze, ale poruszyło mnie coś, co rzucił zupełnie mimochodem. Mniej więcej ośmiu z dziesięciu jego irańskich znajomych nie ma już w Iranie i jeśli nastąpi nowy exodus, zostaną tu tylko mułowie i ich owieczki. Zacząłem liczyć naszych tutejszych przyjaciół, tych, którzy należą do tak zwanej klasy

średniej i wyższej, i wyszły mi takie same proporcje.

– Nie winię ich, że wyjeżdżają. Ja zrobiłabym to samo – stwierdziła Genny. – Ale nie Szarazad – dodała mimo woli.

McIver posłał jej uważne spojrzenie.

– Tak?

Genny dziobnęła widelcem ziarnko ryżu i uznała, że wbrew temu, co postanowiła wcześniej, jednak mu powie.

– Proszę cię, nie mów nic Tomowi, bo chyba dostałby szalu... Nie wiem, ile jest w tym prawdy, ile dziewczęcego idealizmu, ale szepnęła mi rozentuzjasmowana, że prawie cały dzień spędziła w Doszan Tappeh, gdzie, jak stwierdziła, trwa prawdziwe powstanie z bronią palną, granatami...

– Chryste...

– ...i gdzie tysiące cywili wspierają, jak ich nazwała, „bohaterskich bojowników o wolność”, czyli zbuntowanych żołnierzy i oficerów sił powietrznych... przeciwko policji, wiernym rządowi oddziałom oraz Nieśmiertelnym...

**PONIEDZIAŁEK**



## ROZDZIAŁ 3

### BAZA TABRIZ JEDEN, GODZINA 8.12.

Charlie Pettikin spał niespokojnym snem, zwinięty w kłębek na materacu, ze związanymi z przodu rękoma. Dopiero świtało i było bardzo zimno. Napastnicy dali mu tylko jeden koc, nie pozwolili włączyć gazowego kominka i zamknęli w pomieszczeniu, które służyło Erikkiemu jako składzik. Szyby pokryte były kwiatami mrozu, małe okno zaryglowane od zewnątrz. Na parapecie leżał śnieg.

Pettikin otworzył oczy i podniósł się gwałtownie, nie wiedząc z początku, gdzie się znajduje. A potem przypomniał sobie wszystko i oparł się o ścianę, czując, jak boli go całe ciało.

– Niech to szlag! – mruknął, próbując rozprostować ramiona. Podniósł niezgrabnie do góry obie ręce, starł z oczu resztki snu i pomasował twarz. Pod palcami czuł dwudniową szczecinę. Nie cierpiał być brudny i nie ogolony.

Dzisiaj był poniedziałek. Przyleciał tu w sobotę przed zachodem słońca i uwięzili go wczoraj. Sukinsyny!

Przez cały sobotni wieczór słyszał hałasy wokół domu. Raz był całkiem pewien, że słyszy czyjeś stłumione głosy. Zgasił światło, odsunął cicho zasuwę i stanął na ganku z pistoletem w dłoni. Natężając wzrok, wpatrywał się w mrok. Po chwili zobaczył, albo wydawało mu się, że zobaczył, jakiś ruch mniej więcej trzydzieści jardów od domu. A potem coś poruszyło się trochę dalej.

– Jest tam kto? – zawołał. Jego głos odbijał się dziwnym echem. – Czego chcecie?

Nikt nie odpowiedział. Znowu coś się poruszyło. Gdzie? Trzydzieści, czterdzieści jardów od domu; w nocy trudno było ocenić odległość. A potem znowu! Czy to człowiek? A może jakieś zwierzę albo gałąź? Co stoi pod tą wielką sosną?

– Hej, ty tam! Czego chcesz?

Cisza. Nie potrafił powiedzieć, czy to człowiek, czy coś innego. Rozwścieczony i trochę przestraszony wycelował i nacisnął cyngiel. Huk wystrzału odbił się gromem od wysokich gór. Czerwony błysk pomknął w stronę drzewa i odbił się rykoszetem, sypiąc snopami iskier, które zasyczały i zgasły w śniegu. Pettikin czekał.

Nic się nie wydarzyło. Słyszał leśne hałasy i skrzypienie dachu hangaru. Wiatr zawodził w koronach drzew, śnieg spadał co jakiś czas z ciężkich gałęzi, które odginały się uwolnione do góry. Pettikin zatupał nogami na mrozie, zapalił światło, załadował ostentacyjnie pistolet i zamknął z powrotem drzwi.

– Na starość robi się z ciebie strachliwa baba, Charlie – powiedział głośno. – Bzdura! – dodał po chwili. – Nienawidzę ciszy, nienawidzę być sam, nienawidzę śniegu i mrozu i nienawidzę się bać. Dziś rano w Galeg Morghi dostałem nieźle w kość i nie ma temu co zaprzeczać... gdyby nie młody Ross, ten sukinszyn z SAVAK wysłałby mnie na tamten świat!

Sprawdził, czy drzwi i okna są dobrze zamknięte, zaciągnął zasłony, nalał sobie dużą wódkę,

zmieszał ją ze schłodzonym sokiem pomarańczowym, który znalazł w lodówce, zasiadł przy kominku i wkrótce poczuł się lepiej. Na śniadanie miał jajka, i był uzbrojony. Gazowy kominek działał bez zarzutu. W środku było przytulnie. Zanim ułożył się do snu w gościnnym pokoju, sprawdził jeszcze raz zamki. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, zdjął swoje lotnicze buty i wyciągnął się na łóżku. Wkrótce spał jak zabity.

Rano po nocnych obawach nie zostało ani śladu. Zjadł jajecznicę na grzance, dokładnie tak jak lubił, posprzątał w pokoju, włożył swój lotniczy kombinezon, otworzył drzwi i zobaczył wycelowaną w siebie lufę pistoletu maszynowego. Sześciu rewolucjonistów wpadło do środka i zaczęło się przesłuchanie. Ciągające się godzinami przesłuchanie.

– Nie jestem szpiegiem. Nie jestem Amerykaninem. Powtarzam wam, że jestem Brytyjczykiem.

– Kłamiesz, w twoich papierach napisali, że jesteś z Afryki Południowej. One też są fałszywe? – Przywódca, który przedstawił się jako Fedor Rakoczy, starszy i wyższy od innych, miał brązowe oczy i mówił po angielsku z obcym akcentem. Zadawał wciąż te same pytania: – Skąd jesteś, po co tu przyjechałeś, kto jest twoim zwierzchnikiem w CIA, z kim masz się tutaj kontaktować, gdzie jest Erikki Yokkonen?

– Nie wiem. Mówiłem wam pięćdziesiąt razy, że nie wiem. Kiedy wylądowałem tu wczoraj wieczorem, w bazie nie było nikogo. Wysłano mnie po Erikkiego, po niego i jego żonę. Mają do załatwienia sprawy w Teheranie.

– Kłamiesz! Uciekli stąd w nocy, dwa dni temu. Po co by uciekali, jeśli miałeś po nich przylecieć?

– Już wam mówiłem. Nikt się mnie nie spodziewał. Po co mieliby uciekać? Gdzie są Dibble i Arberry, nasi mechanicy? Gdzie jest nasz kierownik Dajati i gdzie...

– Kto jest twoim łącznikiem CIA w Tabrizie?

– Nie mam żadnego łącznika. Pracuję w brytyjskiej firmie i chcę się widzieć z brytyjskim konsulem. Żądam...

– Wróg ludu nie może niczego żądać! Nawet łaski. Z woli Boga przystąpiliśmy do wojny. Na wojnie rozstrzeliwuje się ludzi.

Przesłuchanie trwało cały ranek. Mimo protestów zabrali mu dokumenty, paszport z zezwoleniem na pobyt i wyjazd, zwiążali i zamknęli w składziku, grożąc śmiercią, gdyby próbował uciekać.

Rakoczy i dwaj rewolucjoniści wrócili po paru godzinach.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że przywiozłaś części zamienne do dwieście dwunastki?

– Bo mnie o to nie pytałeś – odparł gniewnie Pettikin. – Kim jesteście? Oddajcie moje papiery! Chcę się zobaczyć z brytyjskim konsulem. Rozwiążcie mi ręce, do stu tysięcy diabłów!

– Bóg skaże cię za bluźnierstwo! Padaj na kolana i błagaj o przebaczenie! – Zmusili go, żeby uklęknął. – Błagaj o przebaczenie!

Przeklinając ich w myślach, zrobił, co kazali.

– Potrafisz również pilotować dwieście dwunastkę?

– Nie – odparł, gramoląc się niezgrabnie na nogi.

– Kłamiesz. Tutaj piszą, że potrafisz. – Rakoczy rzucił na stół jego licencję. – Dlaczego kłamiesz?

– A jakie to ma znaczenie? I tak nie wierzycie w nic, co powiem. Nie wierzycie, kiedy mówię prawdę. Wiem, że możecie przeczytać o tym w mojej licencji. Widziałem, że ją zabraliście.

– Komiteh osądzi cię i skaże – oświadczył Rakoczy apodyktycznym tonem, od którego przeszedł

go dreszcz, po czym wszyscy trzej wyszli.

Przed zachodem słońca przynieśli mu trochę ryżu i zupy. W nocy mało co spał i teraz, o świcie, uświadomił sobie, w jak beznadziejnej jest sytuacji. Coraz bardziej się bał. Kiedyś w Wietnamie zestrzelono jego śmigłowiec i Wietkong skazał go na śmierć, ale eskadra wróciła po niego z Zielonymi Beretami. Ostrzelali całą wioskę i razem z nią oddziały Wietkongu. Wtedy po raz pierwszy uniknął pewnej śmierci. „Nigdy nie żegnaj się z życiem, póki nie jesteś martwy. To najlepsza recepta, mój stary, żeby spokojnie spać w nocy”, powiedział mu wtedy młody amerykański dowódca. Nazywał się Conroe Starke. Eskadra składała się z Amerykanów, Brytyjczyków i Kanadyjczyków, stacjonowała w Da-Nang. Tam też było gorąco!

Ciekawe, co porabia teraz Starke? Był komendantem ich bazy w Kowissie. Szczęściarz. Siedzi sobie bezpiecznie w Kowissie razem ze swoją Manułą, brązowooką pieszczoszką, zbudowaną niczym niedźwiadek koala i zaokrągloną wszędzie, gdzie trzeba.

Pozwolił luźno biec myślom, dumając o niej i o Starke’u, o tym, gdzie mogą teraz być Erikki i Azadeh, o wietnamskiej wiosce, a także o młodym kapitanie Rossie i jego ludziach. Ross był jego kolejnym zbawcą. Żeby przeżyć, człowiek potrzebuje zbawców, tych dziwnych ludzi, którzy pojawiają się w cudowny sposób i bez żadnego określonego powodu, by dać mu szansę, której rozpaczliwie potrzebuje, żeby wydobyć się z opałów. Czy wkraczają w jego życie dlatego, że modlił się o pomoc? W krytycznych sytuacjach człowiek zawsze się modli, jeśli nawet modlitwa nie jest skierowana do Boga. Bóg ma zresztą wiele imion.

Przypomniał sobie starego Soamesa z ambasady i jego wywody.

– Pamiętaj, Charlie, Prorok Mahomet ogłosił, że Allah ma trzy tysiące imion. Tysiąc imion jest znanych tylko aniołom, tysiąc tylko prorokom, trzysta jest w Torze, czyli Starym Testamencie, trzysta w Zaburze, czyli Psalmach Dawida, trzysta kolejnych w Nowym Testamencie i dziewięćdziesiąt dziewięć w Koranie. To daje nam razem dwa tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć imion. Jedno imię Bóg zataił. Po arabsku nazywa się ono „Ism Allah ala’zam”, czyli Najważniejsze Imię Boga. Każdy, kto czyta Koran, czyta je, nawet o tym nie wiedząc. Bóg mądrze zrobił, ukrywając swoje najważniejsze imię, nie sądzisz, Charlie?

Owszem, jeśli Bóg w ogóle istnieje, pomyślał zmarznięty i obolały Pettikin.

Drzwi otworzyły się. Do środka wszedł Rakoczy i jego dwaj ludzie. Ku zaskoczeniu Pettikina uśmiechnął się do niego, pomógł mu grzecznie wstać i zaczął rozwiązywać sznur, którym skrepowane były jego ręce.

– Dzień dobry, kapitanie Pettikin. Przykro mi, ale zaszła pomyłka. Proszę za mną. – Zaprowadzili go do salonu. Na stole stała kawa. – Pije pan czarną czy po angielsku, z mleczkiem i cukrem?

Pettikin masował zdrętwiałe nadgarstki, próbując zebrać myśli.

– Co to jest? Ostatni posiłek skazańca?

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Nieważne. – Pettikin wpatrywał się w niego, wciąż nie wiedząc, czego się spodziewać. – Z mleczkiem i cukrem. – Kawa była wspaniała i pomogła mu stanąć na nogi. Nalał sobie więcej. – Więc wszystko to była pomyłka?

– Tak. Sprawdziłem pańską opowieść i wszystko się zgadza. Zaraz pan stąd odleci. Z powrotem do Teheranu.

Ułaskawiony nagle Pettikin poczuł ucisk w gardle. Bał się, że to tylko jakaś gra.

– Muszę zatankować – powiedział. – W naszym składzie nie ma ani kropli paliwa, zostało

skradzione.

– Zbiorniki pańskiej maszyny już napełniono. Osobiście się tym zająłem.

– Zna się pan na helikopterach? – zapytał Pettikin, zastanawiając się, dlaczego facet jest taki zdenerwowany.

– Trochę.

– Przepraszam, ale nie pamiętam pańskiego nazwiska.

– Smith. Pan Smith – odparł z uśmiechem Rakoczy. – A teraz proszę wyjść.

Pettikin odnalazł swoje buty i włożył je. Rewolucjoniści obserwowali go w milczeniu. Zauważył, że mieli sowieckie pistolety maszynowe. Na stole przy drzwiach leżała jego torba, obok dokumenty: paszport, wiza, pozwolenie na pracę i wydana przez irańskie władze licencja pilota. Starając się nie okazywać zdumienia, upewnił się, czy niczego nie brakuje, i schował dokumenty do kieszeni. Kiedy chciał podejść do lodówki, jeden z mężczyzn zablokował mu drogę.

– Jestem głodny – oświadczył Pettikin, w dalszym ciągu im nie dowierzając.

– Zje pan coś w helikopterze. Proszę za mną.

Na dworze zaczerpnął z przyjemnością powietrza. Dzień był rześki, niebo intensywnie błękitne. Na zachodzie zbierały się śniegowe chmury. Na wschodzie niebo nad przełęczą było czyste. Wszędzie dookoła skrzył się przysypany świeżym śniegiem las. Przed hangarem stała dwieścieszóstka z oczyszczonymi wszystkimi szybami. W środku niczego nie ruszano; tylko jego mapa tkwiła teraz w bocznej kieszeni, a nie obok siedzenia, gdzie ją normalnie zostawiał. Zaczął bardzo skrupulatnie sprawdzać maszynę przed startem.

– Proszę się pośpieszyć – powiedział Rakoczy.

– Oczywiście.

Pettikin udawał, że się śpieszy, ale kontrolował wszystko po dwa razy, szukając śladu jakiegoś subtelnego albo mniej subtelnego sabotażu. Sprawdził benzynę, olej, wszystko. Rakoczy i jego towarzysze coraz bardziej się niecierpliwicko. Poza nimi w bazie nie było nikogo. W hangarze widział dwieściedwunastkę, a przy niej poukładane porządnie części silnika. Części, które przywiózł, leżały na ławce.

– Teraz może pan lecieć – oświadczył rozkazującym tonem Rakoczy. – Niech pan wsiada. Uzupełni pan paliwo w Bandar-e Pahlavi, tak jak poprzednio. – Nagle uściskał szybko swoich towarzyszy i siadł na prawym siedzeniu. – Niech pan startuje. Lecę do Teheranu razem z panem – oznajmił, po czym ścisnął między kolanami pistolet maszynowy, zapiął się, zamknął starannie drzwi i zdjął wiszący za nim hełmofon, najwyraźniej zaznajomiony z wnętrzem kabiny.

Pettikin zauważył, że dwaj rewolucjoniści zajęli pozycje obronne, obserwując drogę. Nacisnął przycisk startera. Znajomy świst silników i fakt, że „Smith” był na pokładzie, co raczej wykluczało sabotaż, poprawił mu humor.

– Lecimy – powiedział do mikrofonu, po czym wystartował ostro do przodu, przechylił maszynę na lewo i nabierając wysokości pomknął ku przełęczu.

– Bardzo ładnie – stwierdził Rakoczy. – Dobrze pan lata. – Niedbałym gestem położył sobie broń na kolanach, kierując lufę w stronę Pettikina. – Niech pan tylko nie próbuje latać zbyt dobrze.

– Niech pan zabezpieczy broń... albo w ogóle nigdzie nie polecimy.

Rakoczy zawahał się, a potem zabezpieczył pistolet.

– Zgadza się, to niebezpieczne podczas lotu.

Na wysokości sześciuset stóp Pettikin wyrównał pułap, a potem przechylił ostro helikopter

i zawrócił w stronę bazy.

– Co pan wyprawia?

– Chcę tylko ustalić nasze położenie.

Chociaż Smith najwyraźniej nie po raz pierwszy siedział w kabinie śmigłowca, Pettikin domyślał się, że nie potrafi kierować dwieścieszóstką. W przeciwnym razie nie potrzebowałby pilota. Lustrował oczyma teren, chcąc odkryć, dlaczego facetowi tak zależało na pośpiechu. Niedaleko miejsca, gdzie od głównej szosy odchodziła droga do bazy, zobaczył dwie ciężarówki. Obie jechały w stronę bazy. Z tej wysokości poznał, że należą do armii.

– Wyląduję, żeby zobaczyć, czego chcą – powiedział.

– Jeśli pan to robi – odparł spokojnie Rakoczy – będzie pan kaleką do końca życia. Niech pan leci do Teheranu... ale najpierw do Bandar-e Pahlavi.

– Jak pan się naprawdę nazywa?

– Smith.

Zadowolony tym, Pettikin zatoczył krąg i ruszył na południowy wschód, w stronę przełęczy. Wiedział, że gdzieś po drodze nadejdzie jego czas.

### PRZEDMIEŚCIA TABRIZU, GODZINA 9.30.

Czerwony range rover wyjechał z bramy pałacu chana i ruszył w dół w stronę Tabrizu i drogi do Teheranu. Erikki prowadził, Azadeh siedziała obok niego. Jej kuzyn, komendant policji pułkownik Mazardi przekonał Erikkiego, żeby nie jechał w piątek do Teheranu.

– W nocy to czyste samobójstwo... wystarczająco niebezpiecznie jest w ciągu dnia – mówił. – Buntownicy na razie nie powrócą, jesteście bezpieczni. Mądrzej będzie, jeśli pojedziecie do Jego Wysokości chana i zapytacie go o radę.

Azadeh przyznała mu rację.

– Oczywiście zrobimy, jak chcesz, Erikki, ale poczułabym się o wiele lepiej, gdybyśmy pojechali najpierw do ojca.

– Moja kuzynka ma rację, kapitanie. Naturalnie zrobi pan, co uważa za słuszne, ale przysięgam na Proroka, niech Bóg zachowa na wieki jego słowa, że bezpieczeństwo Jej Wysokości leży mi na sercu tak samo jak panu. Jeśli chce pan wyjechać, niech pan to zrobi jutro. Zapewniam, że w pałacu nie grozi wam żadne niebezpieczeństwo. Wystawię wartowników. Jeśli ten cały Rakoczy albo inny cudzoziemiec lub mułła zbliży się na pół mili do pałacu Gorgonów, gorzko tego pożałuje.

– O tak, Erikki, proszę – zawołała z entuzjazmem Azadeh. – Zrobimy, jak sobie życzysz, ale może będziesz chciał porozmawiać o swoich planach z Jego Wysokością, moim ojcem.

Erikki w końcu niechętnie się zgodził. Arberry i drugi mechanik Dibble postanowili, że spędzą noc w Tabrizie, w hotelu International.

– Części dotrą tutaj w poniedziałek, kapitanie. Stary kutwa McIver wie, że dwieściedwunastka ma być gotowa do pracy w środę albo będzie musiał przysłać inną, a to mu się na pewno nie opłaci. Przysiadziemy po prostu fałdów i przygotowujemy ją do lotu. Kierownik może przyjechać i zabrać nas do bazy. Jesteśmy Brytyjczykami, nie mamy się czego obawiać... nikt nie zrobi nam krzywdy. Nie zapominajmy, że pracujemy w końcu dla ich rządu, jakikolwiek by był, i nie drzemy kotów z żadną ze stron. Niech pan się o nas nie martwi, kapitanie, pan i pańska żona. Zrobimy to, co do nas należy, i spodziewamy się pana w środę. Przyjemnego pobytu w Teheranie.

Erikki opuścił więc bazę pod eskortą pułkownika Mazardiego. Rozległy pałac chana stał

u podnóża gór, pośród otoczonych wysokimi murami sadów i ogrodów. Kiedy przybyli, na ganek wylegli wszyscy mieszkańcy – macocha, przyrodnie siostry, siostrzenice, siostrzeńcy, dzieci oraz służba – wszyscy, z wyjątkiem ojca, Abdollah-chana. Azadeh przyjęto z otwartymi ramionami, łzami w oczach, radością, kolejnymi łzami i natychmiast zaczęto planować przyjęcie, które miało się odbyć nazajutrz, by uczcić jej powrót do domu po tak długiej nieobecności.

– Jakie to straszne! Bandyci i fałszywi mułlowie ośmielili się wtargnąć na naszą ziemię! Czyż Jego Wysokość, nasz czcigodny ojciec, nie ofiarował tysięcy rialów i setek akrów różnym meczetom w Tabrizie i jego okolicach?

Erikkiego powitano grzecznie, lecz z rezerwą. Wszyscy trochę się go bali – jego postury, szybkości, z jaką posługiwał się nożem, nagłych ataków gniewu – i nie rozumieli, jak bardzo jest serdeczny w stosunku do przyjaciół i jak wielką miłością darzy Azadeh. Miała sześć przyrodnych sióstr i jednego małego przyrodniego brata. Jej matka, od wielu lat nieżyjąca, była drugą żoną Abdollah-chana. Rodzony brat Azadeh, starszy o rok i uwielbiany przez nią Hakim, został wyrzucony z domu przez chana i wciąż przebywał na wygnaniu... w Chaju na północnym zachodzie. Wygnano go za zbrodnie przeciwko chanowi, chociaż zarówno on, jak i Azadeh przysięgali, że ich nie popełnił.

– Najpierw weźmiemy kąpiel – oznajmiły wesoło przyrodnie siostry. – Opowiesz nam dokładnie, co się wydarzyło. Ze wszystkimi szczegółami, ze wszystkimi szczegółami. – Uszczęśliwione porwały ją ze sobą. W przytulnym wnętrzu łaźni, cieplej, intymnej i położonej tam, gdzie nie miał wstępu żaden mężczyzna, rozmawiały i plotkowały aż do rana.

– Mój Mahmud nie kochał się ze mną od tygodnia – poskarżyła się potrząsając głową Nadzoud, najstarsza przyrodnia siostra Azadeh.

– Musi mieć jakąś inną kobietę – stwierdziła któraś z młodszych sióstr.

– Nie, to nie to. Ma kłopoty z erekcją...

– Och, jakaś ty biedna. Próbowalas go może karmić ostrygami?

– Albo nacierać piersi olejkami różanymi?

– Albo natrzeć go wyciągiem z dzakarandy, rogu nosorożca i piżma?

– Wyciąg z dzakarandy, rogu nosorożca i piżma? Nie słyszałam o czymś takim, Fazulio.

– To nowy eliksir sporządzony na podstawie starego przepisu z czasów Cyrusa Wielkiego. Penis Wielkiego Króla był całkiem mały jak na młodego mężczyznę, ale kiedy zdobył Medes, stał się cud i wszyscy zaczęli mu go zazdrościć. Wszystko wskazuje na to, że dostał tam magiczny eliksir, którym trzeba nacierać członek przez cały miesiąc. Ich najwyższy kapłan dał go Cyrusowi w zamian za ocalenie życia, pod warunkiem że Wielki Król obieca zachować sekret w rodzinie. Tajemnica przechodziła przez całe wieki z ojca na syna, a teraz, drogie siostry, przepis znajduje się w Tabrizie!

– U kogo, najdroższa siostrze Fazulio, u kogo? Niech Bóg ma cię zawsze w opiece, u kogo? Mój parszywy mąż Abdullah, niech czym prędzej wypadną mu trzy ostatnie zęby, nie miał erekcji od trzech lat. U kogo?

– Cicho, Zadi, jak Fazulia może ci powiedzieć, skoro jej ciągle przerywasz! Mów dalej, Fazulio.

– Tak, bądź cicho, Zadi, i ciesz się swoim szczęściem. Mój Hussan ma erekcję rano, w ciągu dnia i wieczorem i tak straszliwie mnie pożąda, że nie mam nawet czasu umyć zębów!

– Prapradziad obecnego właściciela kupił tajemnicę eliksiru za olbrzymią cenę, podobno za garść diamentów.

– Eeeee...

– Ale teraz można kupić małą fiolkę za pięćdziesiąt tysięcy rialów.

– Och, to za dużo! Gdzie ja znajdę tyle pieniędzy?

– Jak zawsze w kieszeni małżonka. I można się oczywiście potargować. Czy może istnieć dla nas zbyt wysoka cena, skoro nie wolno nam mieć innych mężczyzn?

– Jeśli eliksir odniesie skutek...

– Oczywiście, że odniesie skutek. Gdzie możemy go kupić, najdroższa Fazulio?

– Na bazarze, w sklepie Abu Bakry bin Hassana bin Saidiego. Wiem, jak tam trafić! Pójdziemy jutro. Przed lunchem. Pójdiesz z nami, droga Azadeh!

– Nie, dziękuję, droga siostrze.

Kobiety zaczęły chichotać.

– Biedna Azadeh nie potrzebuje dzakarandy i pierza – oznajmiła jedna z młodszych sióstr. – Potrzebuje czegoś odwrotnego!

– Dżakarandy i piżma, moje dziecko. I sproszkowanego rogu nosorożca – poprawiła ją Fazulia.

Azadeh śmiała się razem z nimi. Wszystkie pytały ją już wcześniej, otwarcie albo ukradkiem, czy jej mąż jest proporcjonalnie zbudowany i jak sobie radzi, taka krucha i chuda, z takim olbrzymem? „Magicznym sposobem”, odpowiadała młodszemu; „bez trudu” starszemu; i „w niewiarygodnej ekstazie, jakbym wstępowała do rajskiego ogrodu” zazdrosnym, których nie lubiła i którym chciała dokuczyć.

Nie wszystkie popierały jej małżeństwo z obcym wielkoludem. Wiele sióstr próbowało nastawić ojca przeciwko niej. Ale Azadeh postawiła na swoim i wiedziała teraz, kto jest jej wrogiem: myśląca tylko o seksie przyrodnia siostra Zadi, kłamliwa i przesadzająca we wszystkim kuzynka Fazulia, a przede wszystkim ta słodkosta żmija Nadżoud i jej podły mąż Mahmud, niech Bóg pokarze ich za podstępne knowania.

– Najdroższa Nadżoud, bardzo się cieszę, że jestem w domu, ale czas już udać się na spoczynek.

W końcu wszystkie poszły spać. Jedne zadowolone, inne smutne, jedne z miłością, inne z nienawiścią, jedne do swoich mężów, inne do pustego łóżka. Mężom wolno mieć zgodnie z Koranem cztery żony równocześnie, pod warunkiem że wszystkie traktują w ten sam sposób – tylko Prorok Mahomet mógł mieć tyle żon, ile zapragnął. Według legendy Prorok miał jedenaście żon, lecz nie wszystkie równocześnie. Niektóre zmarły, z innymi się rozwiódł, jeszcze inne przeżyły go. Ale wszystkie zawsze go szanowały.

Erikki obudził się, kiedy Azadeh wślizgnęła się do niego do łóżka.

– Powinniśmy jak najwcześniej wyjechać, kochanie...

– Tak – odparła czując, jak zamykają jej się oczy. Łóżko było takie wygodne, Erikki taki ciepły. – Oczywiście, jak sobie życzysz, ale nie wcześniej niż po lunchu. Najdroższa macocha wylałaby rzekę łez...

– Azadeh!

Ale ona już spała. Erikki westchnął i także zamknął oczy.

Nie wyjechali w niedzielę, jak planował; jej ojciec oznajmił, że to zły pomysł, ponieważ chce z nim wcześniej porozmawiać. Pozwolono im odjechać dopiero w poniedziałek o świcie – po odprawionych przez ojca modłach i po śniadaniu, składającym się z kawy, chleba, miodu, jogurtu i jajek. Zaraz po skręceniu z górskiej drogi na główną szosę do Teheranu zobaczyli przed sobą szlaban.

– To dziwne – mruknął Erikki. Pułkownik Mazardi obiecał, że się z nimi tu spotka, ale nigdzie go nie było. Nikt nie pilnował szlabanu.

– Policja! – odparła ziewając Azadeh. – Nigdy nie ma ich tam, gdzie są potrzebni.

Szosa pięła się ku przełęczy. Niebo było błękitne i czyste, szczyty gór skąpane w słońcu. W dolinie jednak było ciemno, zimno i wilgotno. Erikki nie przejmował się tym, że droga jest oblodzona i zaśnieżona: wiózł łańcuchy, a jego range rover miał napęd na cztery koła. Po jakimś czasie minęli skręt do bazy. Wiedział, że nikogo tam nie ma, a dwieście dwunastka czeka na części zamienne. Przed wyjazdem z pałacu próbował się bezskutecznie skontaktować z kierownikiem Dajatim. Było to bez znaczenia, gdyż miał pełny bak i sześć pięciogalonowych kanistrów, które dostał na prywatnej stacji Abdollaha.

Mogę dziś bez trudu dojechać do Teheranu, pomyślał. I wrócić w środę – jeśli w ogóle wrócę. Ten sukinsyn Rakoczy zalazł mi za skórę.

– Chcesz trochę kawy, kochanie? – zapytała Azadeh.

– Chętnie. Zobacz, czy uda się złapać BBC albo Głos Ameryki.

Z wdzięcznością wypił gorącą kawę z termosu, przysłuchując się szumom i trzaskom radia, przerywanym co jakiś czas przez sowieckie rozgłośnie. Irańskie stacje albo wciąż strajkowały, albo były zamknięte, z wyjątkiem tych, które obsługiwało wojsko.

W trakcie weekendu przyjaciele, krewni, kupcy i służba przynosili co chwila najróżniejsze plotki: o zbliżającej się inwazji sowieckiej, o zbliżającej się inwazji amerykańskiej, o udanym zamachu wojskowym w stolicy, a także o poddaniu się generałów Chomeiniemu i dymisji Bachtiaara.

– Bzdury! – skwitował tę ostatnią pogłoskę Abdollah-chan, korpulentny, obwieszony klejnotami sześćdziesięcioletni mężczyzna, z brodą, ciemnymi oczyma i wydatnymi ustami. – Dlaczego Bachtiar miałby składać dymisję? Niczego przez to nie osiągnie, więc na razie nie ma powodu tego robić.

– A jeśli Chomeini zwycięży? – zapytał Erikki.

– Wedle woli Boga. – Chan spoczywał na dywanach w Wielkiej Sali, Erikki i Azadeh siedzieli przed nim, z tyłu stał ochroniarz. – Ale jego triumf, jeśli nawet do niego dojdzie, będzie tylko tymczasowy. Armia prędzej czy później weźmie w karby Chomeiniego i jego mułłów. To stary człowiek. Wkrótce umrze i im szybciej to nastąpi, tym lepiej, bo choć stał się narzędziem Boga i usunął szacha, którego czas dobiegł kresu, jest ograniczony i tak samo, a może nawet bardziej, zapatrzony w siebie jak szach. Z pewnością zabije więcej Irańczyków, niż kiedykolwiek zrobił to szach.

– Czyż nie jest sługą bożym, pobożnym jak każdy ajatollah? – zapytał ostrożnie Erikki, nie wiedząc, czego się spodziewać. – Dlaczego miałby to robić?

– Tyrani taki już mają zwyczaj – roześmiał się chan, po czym wziął do ust kolejny kawałek chałwy, którą uwielbiał.

– A szach? Co się z nim stanie?

Chociaż w gruncie rzeczy nie lubił chana, Erikki cieszył się, że ma okazję zasięgnąć jego opinii. Od ojca Azadeh w dużym stopniu zależało to, jak im się żyło w Iranie, a on nie miał wcale ochoty wyjeżdżać.

– Będzie, jak Bóg chce. Szach Mohammed zrobił niewiarygodnie dużo dla Iranu, podobnie jak przedtem jego ojciec. Ale ostatnio zupełnie zamknął się w sobie i nikogo nie słuchał: nawet Szachbanu, cesarzowej Farah, która była mu oddana i mądra. Gdyby miał trochę oleju w głowie, abdykowałby na rzecz swego syna Rezy. Generałom potrzebne jest jakieś zajęcie. Mogliby go szkolić, póki nie byłby gotów do objęcia władzy. Niech pan nie zapomina, że Iran był monarchią przez prawie trzy tysiące lat, zawsze miał absolutnego władcę, niektórzy nawet powiedzieliby tyrana, którego panowaniu kres kładła dopiero śmierć.



Na zmysłowych wydatnych wargach chana ukazał się uśmiech.

– Z naszej prawowitej dynastii Kadżarów, która panowała przez sto pięćdziesiąt lat, tylko jeden szach, ostatni z linii, mój kuzyn, zmarł z przyczyn naturalnych. Jesteśmy ludźmi Wschodu, którzy rozumieją przemoc i tortury. Nie sędzimy życia i śmierci według waszych standardów. – Jego ciemne oczy jeszcze bardziej pociemniały. – Być może wolą Boga jest, by Kadżarowie wrócili... Iran kwitł pod ich rządami.

Słyszałem coś wprost przeciwnego, pomyślał Erikki, ale nie odezwał się ani słowem. Nie do niego należała ocena tego, co było i co miało się wydarzyć.

Przez całą niedzielę BBC i Głos Ameryki były zagłuszane, co specjalnie nikogo nie dziwiło. Radio moskiewskie grzmiało jak zwykle głośno i wyraźnie, podobnie jak nadawane z Tbilisi Radio Wolnego Iranu. Obie radiostacje informowały po angielsku i irańsku o ogarniającym cały kraj powstaniu przeciwko „nielegalnemu rządowi Bachtiaara, powołanemu przez wygnanego szacha oraz jego amerykańskich mocodawców pod wodzą kłamcy i podżegacza wojennego Cartera. Bachtiaar próbował dzisiaj przypodobać się masom, unieważniając wszystkie lichwiarskie kontrakty na łączną sumę trzynastu miliardów dolarów, narzucone krajowi przez wygnanego szacha: na osiem miliardów dolarów w Ameryce, na dwa miliardy trzysta milionów w Wielkiej Brytanii za dostawy czołgów Centurion oraz na dwa miliardy siedemset milionów za jeden niemiecki i dwa francuskie reaktory jądrowe. Wiadomość o tym wprawiała zachodnich przywódców w panikę i z pewnością doprowadzi do wielkiego i zasłużonego krachu na kapitalistycznych giełdach...”

– Przepraszam, że pytam, ojcze, ale czy na Zachodzie nastąpi teraz krach? – odezwała się Azadeh.

– Jeszcze nie – odparł chan i Erikki zobaczył, że przez jego twarz przebiega cień. – Dojdzie do niego dopiero, gdy Sowieci uznają, że czas już przestać spłacać osiemdziesiąt miliardów dolarów, które są winni zachodnim bankom... a także niektórym bankom na Wschodzie. – Chan roześmiał się złośliwie, bawiąc się wiszącym na szyi sznurem pereł. – Wschodni bankierzy są oczywiście o wiele sprytniejsi... i nie tak chciwi. Pożyczają ostrożnie, wymagają dodatkowych gwarancji i na pewno nie wierzą w bajki o „chrześcijańskiej miłości bliźniego”.

Wiadomo było powszechnie, że do Gorgonów należą olbrzymie połacie ziemi w Azerbejdżanie, pola naftowe, udziały w Iran-Timber, posiadłości nad Morzem Kaspijskim, duża część bazaru w Tabrizie i większość tutejszych banków.

Erikki przypomniał sobie pogłoski o skąpstwie i bezwzględności Abdollah-chana. Dotarły one do niego, gdy starał się o rękę jego córki. „Jeśli chcesz przenieść się do rajy albo piekła, pożycz od Abdollaha Okrutnego jednego riala, nie oddawaj mu długu i pozostań w Azerbejdżanie”.

– Pozwolisz, że spytam, ojcze, ale czy zerwanie tylu kontraktów nie doprowadzi do chaosu?

– Nie, nie pozwolę ci spytać. Zadałaś dość pytań jak na jeden dzień. Kobieta powinna trzymać język za zębami i słuchać. Możesz już odejść.

Azadeh natychmiast przeprosiła za okazaną śmiałość i wyszła.

Erikki wstał również, ale chan powstrzymał go gestem dłoni.

– Jeszcze cię nie odprawiłem. Siadaj. Dlaczego boisz się jednego Rosjanina?

– Nie boję się jego, lecz całego systemu. Facet musi być agentem KGB.

– Dlaczego go po prostu nie zabiłeś?

– To by nie pomogło, ale zaszkodziło. Zaszkoziło nam, bazie, Iran-Timber, Azadeh, być może

nawet panu. Wysłali go do mnie inni. Znał nas... znał i pana.

Erikki obserwował uważnie starszego mężczyznę.

– Znam ich wielu – oznajmił Abdollah-chan. – Rosjanie, czy to pod panowaniem carów, czy komunistów, zawsze patrzyli łakomym okiem na Azerbejdżan... ale robili z nami dobre interesy i wspierali przeciwko parszywym Brytyjczykom. Wolę ich od Brytyjczyków. Rozumiem ich. – Z twarzy chana znikł uśmiech. – Pozbycie się tego Rakoczego nie byłoby zbyt trudne – dodał.

– Więc dobrze, proszę się go pozbyć – odparł Erikki, wybuchając śmiechem. – I przy okazji całej reszty. To byłoby prawdziwe dzieło Boga.

– Nie zgadzam się – zaprotestował chan poirytowanym tonem. – To byłoby dzieło szatana. Nie mając przeciwko sobie Sowietów, Amerykanie i te psy, Brytyjczycy, zdominowałiby nas i cały świat. Z pewnością połknęliby Iran... pod szachem Mohammedem prawie im się to udało. Bez sowieckiej Rosji, bez względu na to, jak jest słaba, nie istniałaby żadna przeciwwaga dla zgniłej amerykańskiej polityki, ich zgniłej arogancji, zgniłych manier, zgniłych dżinsów, zgniłej muzyki i zgniłej demokracji, sposobu, w jaki odnoszą się do kobiet, do prawa i porządku, ich obrzydliwej pornografii, naiwnego podejścia do dyplomacji i szatańskiej, tak, to właściwe słowo, szatańskiej wrogości do islamu.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął Erikki, była kolejna awantura. Mimo to czuł, jak ogarnia go coraz większy gniew.

– Uzgodniliśmy wcześniej... – zaczął.

– To prawda, na Boga! – krzyknął chan.

– To nieprawda i uzgodniliśmy wcześniej przed waszym Bogiem i moimi duchami, że nie będziemy dyskutować o polityce... o pańskim i moim świecie.

– To prawda, przyznaj, że to prawda! – Twarz Abdollaha wykrzywiła się w grymasie gniewu, a prawa ręka powędrowała do ozdobnego noża przy pasie. Ochroniarz natychmiast zdjął z ramienia pistolet maszynowy i wycelował go w Erikkiego. – Na Allacha, zarzucasz mi kłamstwo w moim własnym domu?

– Przypominam tylko, Wasza Wysokość, co uzgodniliśmy!

Ciemne podbiegłe krwią oczy przeszywały go na wylot. Wytrzymał ich spojrzenie, gotów sięgnąć po swój własny nóż i zabić albo samemu zginąć. Jego życie wisiało na włosku.

– Tak, tak, to także prawda – mruknął chan. Atak gniewu minął tak samo szybko, jak nastąpił. Ojciec Azadeh spojrzął na ochroniarza i odprawił go gniewnym gestem dłoni. – Wynoś się.

W pokoju było bardzo cicho. Erikki wiedział, że w pobliżu są inni strażnicy, a w ścianach judasze. Czuł krople potu na czole i dotyk noża na plecach.

Abdollah-chan wiedział o tym nożu i wiedział, że Erikki użyje go bez wahania. Ale sam pozwolił mu niegdyś nosić broń w swojej obecności. Przed dwoma laty Erikki uratował mu życie.

Stało się to w dniu, w którym Yokkonen poprosił o rękę Azadeh i został odprawiony z kwitkiem.

– Nie, na Allacha, nie chcę mieć niewiernego w swojej rodzinie! Opuść natychmiast mój dom! Mówię po raz ostatni!

Erikki podniósł się ze smutkiem w sercu z dywanu. W tym samym momencie z korytarza dobiegły ich głośne krzyki, a potem strzały. Drzwi otworzyły się na oścież i do pokoju wpadli dwaj zabójcy uzbrojeni w pistolety maszynowe. Ochroniarz zabił jednego, ale drugi przeszył go krótką serią i odwrócił się w stronę siedzącego na dywanie zaskoczonego Abdollah-chana. Nim zdążył pociągnąć

po raz drugi za cyngiel, nóż Erikkiego wbił się w jego gardło. Erikki skoczył ku padającemu zabójcy, wyrwał mu broń z rąk i kiedy do pokoju wbiegł strzelając kolejny zamachowiec, trzasnął go nią w twarz, zabijając na miejscu, nieomal odrywając głowę od tułowia, tak silne było uderzenie. A potem wybiegł jak szalony na korytarz, gdzie leżeli już martwi albo dogorywający dwaj ochroniarze i trzech zamachowcy. Ostatni dwaj zabójcy chcieli uciec, ale Erikki położył ich trupem i pognął dalej. Uspokoił się dopiero, kiedy odnalazł Azadeh i przekonał się, że jest bezpieczna.

Pamiętał, że zostawił ją i wrócił powoli do Wielkiej Sali. Abdollah-chan wciąż siedział na dywanach.

– Kim byli ci ludzie?

– Nieprzyjaciółmi, podobnie jak strażnicy, którzy wpuścili ich do środka – oświadczył niechętnie chan. – Bóg chciał, żebyś tu był i ocalił mi życie, Bóg chciał, bym dalej żył. Możesz poślubić Azadeh, zgadzam się, ale ponieważ cię nie lubię, obaj przysięgniemy przed moim i twoim Bogiem, że nigdy nie będziemy dyskutować o religii ani o polityce. Wtedy być może nie będę musiał cię zabić.

Te same zimne czarne oczy wpatrywały się w niego w tej chwili. Abdollah-chan klasnął w dłonie. Natychmiast otworzyły się drzwi i stanął w nich służący.

– Przynies kawy. – Mężczyzna zniknął. – Zamiast mówić o twoim świecie porozmawiamy teraz o mojej córce Azadeh – oznajmił chan.

Erikki poczuł, jak ogarnia go jeszcze większy niepokój. Nie wiedział, do jakiego stopnia ojciec kontroluje córkę i jak daleko sięgają jego męzowskie prawa tu w Azerbejdżanie, który stanowił praktycznie udzielne księstwo chana. Czy Azadeh posłuchałaby ojca, gdyby kazał jej wrócić do domu albo wziąć rozwód z mężem? Chyba tak, obawiał się, że tak – nigdy nie pozwalała mu mówić źle o ojcu. Broniła nawet jego paranoicznej nienawiści do Ameryki, wyjaśniając, co ją spowodowało.

– Jego ojciec kazał mu tam pojechać i studiować na uniwersytecie – powiedziała kiedyś Erikkiemu. – Abdollah-chan strasznie cierpiał w Ameryce, ucząc się języka i starając się zrobić dyplom z ekonomii, bez którego jego ojciec nie chciał go przyjąć z powrotem w domu. Mój ojciec nienawidził innych studentów, którzy wyśmiewali się z niego, ponieważ wolno się uczył i był od nich grubszy. W Iranie jest to oznaką bogactwa, w Ameryce nie. Najbardziej jednak znienawidził ich za udręki, jakie był zmuszony znosić: za to, że musiał jeść nieczystą wieprzowinę, czego zabrania nasza religia, pić piwo, wino i mocniejsze trunki, czego również zabrania nasza religia, robić rzeczy, których nie da się opisać, i słuchać wyzwisk, których nie da się powtórzyć. Na jego miejscu też bym była wściekła. Proszę, miej do niego cierpliwość. Czy po tym, co wycierpieli twoi rodzice i twój kraj, krew nie zasnuwa ci mgłą oczu na wszelką wzmiankę o Sowietach? Błagam cię, miej do niego cierpliwość. Czyż nie zgodził się na nasze małżeństwo?

Byłem bardzo cierpliwy, myślał Erikki, cierpliwszy niż wobec kogokolwiek innego. Pragnął, by ta rozmowa dobiegła wreszcie końca.

– Dlaczego Wasza Wysokość chce rozmawiać o mojej żonie?

Abdollah-chan posłał mu łaskawy uśmiech.

– To naturalne, że przyszłość mojej córki leży mi na sercu. Jakie masz plany po przyjeździe do Teheranu?

– Nie mam żadnych planów. Myślę po prostu, że rozsądnie będzie na kilka dni wyjechać z Tabrizu. Rakoczy oznajmił, że „potrzebują” moich usług. Kiedy KGB mówi to w Iranie, Finlandii i nawet w Ameryce, trzeba się spodziewać kłopotów. Jeśli ją porwą, będę jak wosk w ich rękach.

– Jeśli takie mają plany, o wiele łatwiej będzie im porwać ją w Teheranie. Zapominasz, że jesteśmy w Azerbejdżanie, a nie w kraju Bachtara.

Chan skrzywił się z pogardą, wymawiając nazwisko premiera. Erikki poczuł się bezbronny pod jego baczny spojrzeniem.

– Moim zdaniem to dla niej najlepsze wyjście. Przysięgałem, że oddam w jej obronie własne życie, i zrobię to. Dopóki polityczna przyszłość Iranu nie zostanie ustalona przez Waszą Wysokość i innych Irańczyków... myślę, że to całkiem rozsądne rozwiązanie.

– W takim razie jedźcie – oświadczył ojciec Azadeh. Nagła zmiana decyzji prawie przestraszyła Erikkiego. – Jeśli będziesz potrzebował pomocy, zawiadom mnie umówionym szyfrem... – Przez chwilę się zastanawiał, a potem na jego ustach znowu pojawił się złośliwy uśmiech. – Napisz tylko jedno zdanie. „Wszyscy ludzie rodzą się wolni”. To także prawda, czyż nie?

– Nie wiem, Wasza Wysokość – odparł ostrożnie Erikki. – Czy to zdanie jest, czy nie jest prawdą, zależy od woli Boga.

Abdollah roześmiał się nagle, wstał i zostawił go samego w Wielkiej Sali. Erikki poczuł na karku zimne ciarki, wytracony z równowagi przez człowieka, którego myśli nigdy nie potrafił odczytać.

– Nie jest ci zimno, Erikki? – zapytała Azadeh.

– Co? Nie, skądże.

Jej głos wyrwał go z zamyślenia. Silnik rovera pracował równo, kiedy jechali górską drogą w stronę przełęczy. Dzielilo ich od niej zaledwie kilkaset jardów. W obie strony ruch był niewielki. Za zakrętem zaświeciło im w oczy słońce i wjechali na samą górę; Erikki natychmiast zmienił bieg i nabierając szybkości zaczął długi zjazd. Droga, zbudowana podobnie jak linia kolejowa na rozkaz Rezy Pahlawi, była cudem inżynierii, z mostami, nasypami i wykopami. Od strony przepaści nie było żadnej bariery, nawierzchnia śliska i zaśnieżona. Erikki zmienił ponownie bieg, jadąc szybko, ale ostrożnie, zadowolony, że nie wyruszyli w nocy.

– Czy mogę dostać jeszcze kawy?

Uśmiechnięta podała mu kubek.

– Tak się cieszę, że jedziemy do Teheranu. Razem z Szarazad wybierzemy się zaraz na zakupy. Mam całą listę rzeczy dla moich sióstr, muszę także kupić krem do twarzy dla macochy.

Prawie jej nie słuchał, rozmyślając o Rakoczym, Teheranie, McIverze i o tym, co ma robić dalej.

Droga wiła się serpentynami w dół. Erikki zwolnił i po jakimś czasie zobaczył w lusterku kilka jadących za nim pojazdów. Prowadził je jak zwykle przeładowany samochód osobowy. Kierowca podjeżdżał za blisko i za szybko do jego zderzaka i bez przerwy trąbił, nawet kiedy zupełnie nie sposób było ustąpić mu z drogi. Erikki starał się nie zwracać uwagi na niecierpliwość, do której nigdy się nie przyzwyczał, i na wariacki styl jazdy Irańczyków, w tym również Azadeh. Wziął następny zakręt i na krótkim odcinku prostej zobaczył jadącą powoli z naprzeciwka obładowaną ciężarówkę, którą wyprzedzał właśnie samochód osobowy. Zwolnił, żeby nasycić się pięknym górskim widokiem, i w tej samej chwili jadący z tyłu kierowca przyśpieszył, przeskoczył na sąsiednie pasmo i trąbiąc wściekle zaczął go na ślepo wyprzedzać. Dwa samochody zderzyły się ze sobą, wypadły z drogi, runęły pięćset stóp w dół i stanęły w płomieniach. Erikki zjechał na bok i zatrzymał się. Nadjeżdżająca z przeciwka ciężarówka minęła go i powlokła się dalej w górę, jakby nic się stało. To samo zrobili inni kierowcy.

Erikki stanął na skraju przepaści i spojrzął w dolinę. Płonące szczątki obu samochodów leżały

sześćset albo siedemset stóp niżej. Nikt nie miał prawa ocaleć i nie sposób było zejść w dół bez porządnego sprzętu wysokogórskiego. Wróciwszy do samochodu, potrząsnął ze smutkiem głową.

– InszAllah, kochanie – stwierdziła spokojnie Azadeh. – Taka była wola Boga.

– Nie, to była skrajna głupota.

– Oczywiście masz rację, kochany, to była skrajna głupota – odparła natychmiast najbardziej kojącym głosem, spostrzegając jego wściekłość, lecz nie rozumiejąc jej, podobnie jak nie rozumiała wielu myśli kłębiących się w głowie tego dziwnego mężczyzny, który był jej mężem. – Masz rację, Erikki. To była skrajna głupota, ale Bóg chciał, żeby przez głupotę tych kierowców zginęli oni sami oraz ci, którzy z nimi jechali. Taka była Jego wola, w przeciwnym razie droga byłaby wolna. Masz zupełną rację.

– Tak sądzisz? – zapytał znużonym tonem.

– Oczywiście, Erikki. Masz absolutną rację.

Ruszyli dalej. Wioski, które mijali po drodze, były biedne albo bardzo biedne: wąskie nieutwardzone uliczki, nędzne chaty i sklepiki, kilka obskurnych meczetów, kozy, owce, kury i wszechobecne muchy, które nie roiły się jednak tak gęsto jak w lecie. W rynsztokach i wszędzie na ulicach walały się odpadki i włóczyły stada pokrytych parchami psów, z których wiele było wściekłych. Ale pokryte śniegiem góry były malownicze i piękne, a dzień pogodny, choć zimny. Na błękitnym niebie zbierały się cumulusy.

W środku range rovera było ciepło i wygodnie. Azadeh miała na sobie niebieski narciarski kombinezon, pod nim kaszmirowy sweter tego samego koloru, na nogach krótkie botki. Teraz zdjęła kurtkę i wełnianą narciarską czapkę i jej ciężkie, układające się w fale ciemne włosy opadły na ramiona. Koło południa zatrzymali się na piknik przy górskim strumieniu. Potem minęli sady jabłoni, grusz i wiśni, teraz nagich, bezlistnych. W oddali widać było przedmieścia Kazwinu, miasta wielu meczetów, mającego sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców.

– Ile meczetów może być w całym Iranie, Azadeh? – zapytał Erikki.

– Słyszałam kiedyś, że dwadzieścia tysięcy – odparła sennym głosem, otwierając oczy i rozglądając się dookoła. – A, to Kazwin... Szybko jedziesz, Erikki. – Ziewnęła i ułożyła się wygodniej, szykując do dalszego snu. – Dwadzieścia tysięcy meczetów i pięćdziesiąt tysięcy mułłów. W tym tempie będziemy w Teheranie za dwie godziny...

Uśmiechnął się, kiedy umilkła. Po przejechaniu ponad połowy trasy czuł się o wiele bezpieczniej. Za Kazwinem droga była dobra aż do samego Teheranu. A w Teheranie Abdollah-chan posiadał wiele domów i apartamentów. Większość wynajmował cudzoziemcom, ale kilka zatrzymał dla siebie i swojej rodziny, i poinformował Erikkiego, że w związku z napiętą sytuacją mogą się zatrzymać w mieszkaniu blisko McIverów. Erikki gorąco mu podziękował.

– Zastanawiam się – powiedziała później Azadeh – dlaczego był taki miły. To do niego niepodobne. On nienawidzi ciebie i nienawidzi mnie bez względu na to, jak bardzo staram mu się przypodobać.

– On cię nie nienawidzi, Azadeh.

– Przykro mi, że się z tobą nie zgadzam, ale nienawidzi. Powtarzam ci jeszcze raz, to wszystko przez moją najstarszą siostrę Nadzoud, która podjudziła go przeciwko mnie i mojemu bratu. Ona i jej parszywy mąż. Nie zapominaj, że moja matka była drugą żoną chana, prawie o połowę młodszą i dwa razy ładniejszą od matki Nadzoud. Chociaż umarła, gdy miałam siedem lat, Nadzoud wciąż żywi do mnie urazę. Nie daje tego oczywiście po sobie poznać, jest na to o wiele za sprytna. Nie masz

pojęcia, Erikki, jak bardzo wyrafinowane, skryte i wpływowe potrafią być irańskie kobiety, jak bardzo są mściwe pod pozorami słodczy. Nadzoud jest gorsza niż wąż w rajskim ogrodzie! To ona jest przyczyną całego zła. – Urocze niebieskozielone oczy Azadeh zaszły łzami. – Kiedy byłam małą, ojciec naprawdę nas kochał, mnie i mojego brata Hakima. Spędzał więcej czasu w naszym domu niż w pałacu. Potem, gdy matka umarła, przenieśliśmy się do pałacu, ale nikt z naszych przyrodnych braci i sióstr tak naprawdę nas nie lubił. Kiedy zamieszkaliśmy w pałacu, wszystko się zmieniło. Przez Nadzoud.

– Zadręczysz się tą nienawiścią, Azadeh. To ty przez nią cierpisz, nie ona. Zapomnij o niej. Nadzoud nie ma już nad tobą żadnej władzy i powtarzam ci jeszcze raz: nie masz przeciwko niej żadnych dowodów.

– Nie potrzebuję dowodów. Po prostu wiem. I nigdy jej tego nie zapomnę.

Erikki dał za wygraną. Nie było sensu się spierać, nie było sensu przytaczać starych argumentów. Zamiast kazać jej tłamsić to w sobie, może lepiej było pozwolić od czasu do czasu się wyładować.

Sady się skończyły i wjechali do miasta, podobnie jak prawie każde irańskie miasto, hałaśliwego, ciasnego, brudnego i zatłoczonego. Wzdłuż ulicy ciągnęły się rowy, które okalały większość dróg w Iranie. Głębokie na trzy stopy, były miejscami wybetonowane i zapchane śniegiem, błotem i lodem. Rosły w nich drzewa, prano w nich ubrania, służyły raz za źródło wody pitnej, innym razem za ściek. Za rowami zaczynały się mury, a za murami domy i ogrody, duże i małe, piękne i szkaradne. Zbudowane z wypalanych lub suszonych na słońcu cegieł, niekiedy otynkowane, podobne do klocków miejskie domy były na ogół jednopiętrowe i prawie zawsze ukryte za murami. W większości z nich znajdowało się klepisko zamiast podłogi, w nielicznych była bieżąca woda i elektryczność, a jeszcze mniej miało urządzenia sanitarne.

Na ulicy zrobiło się nagle tłoczno. Jechały nią rowery, motocykle, autobusy, ciężarówki, pojazdy wszelkich marek, typów i roczników, od wiekowych po bardzo stare, prawie wszystkie zdezelowane i poobijane, niektóre ozdobione kolorowymi malunkami i małymi żaróweczkami, wedle kaprysu właściciela. W ciągu ostatnich lat Erikki wiele razy jeździł tą trasą i wiedział, w którym miejscu czekają go korki. Nie było jednak żadnej innej drogi, żadnej obwodnicy, która omijałaby miasto, chociaż od dawna planowano jej budowę. Uśmiechnął się krzywo, starając się nie zwracać uwagi na hałas. Nigdy nie zbudują obwodnicy, pomyślał, mieszkańcy Kazwinu nie znieśliby po prostu ciszy w swoim mieście. Mieszkańcy Kazwinu oraz Kasztu nad Morzem Kaspijskim stanowili przedmiot wielu irańskich żartów.

Przejechał obok wypalonego wraka, a potem wsunął do magnetofonu kasetę z Beethovenem i puścił ją głośniejsz, by zagłuszyć panujący na zewnątrz zgiełk. Niewiele to pomogło.

– Korki są gorsze niż zwykle. Gdzie się podziała policja? – zapytała Azadeh, teraz już całkowicie rozbudzona. – Chce ci się może pić?

– Nie, dziękuję. – Zerknął na nią, na sweter i czarne włosy, które podkreślały jej urodę. – Ale jestem głodny: mam apetyt na ciebie!

Azadeh roześmiała się i wzięła go za rękę.

– Ja nie mam apetytu. Ja konam z głodu.

– To dobrze – odparł tak samo jak ona zadowolony.

Nawierzchnia była jak zwykle fatalna. W niektórych miejscach w ogóle jej nie było, częściowo w wyniku zużycia, częściowo z powodu nigdy nie kończących się remontów i robót drogowych – rzadko kiedy oznakowanych czy zabezpieczonych ochronnymi barierami. Erikki ominął głęboką

dziurę, a potem kolejny wrak, zepchnięty beztrosko na bok. W tej samej chwili z naprzeciwka nadjechała, trąbiąc wściekle, zdezelowana ciężarówka. Jaskrawo wymalowana, miała obwiązane drutem zderzaki, otwartą, pozbawioną szyb kabinę i kawałek materiału zamiast pokrywy silnika. Wiozła wysoką stertę gałęzi, na których siedzieli niepewnie trzej pasażerowie. Kierowca ubrany był w postrzępiony kozuch z owczej skóry. W szoferce gnieździło się oprócz niego jeszcze dwóch mężczyzn. Mijając ich, Erikki dostrzegł, że patrzą na niego wilkiem. Kilka jardów dalej włókł się poobijany przeładowany autobus. Erikki podjechał do samego rowu i zatrzymał się, ustępując mu miejsca. Ponownie zobaczył, że kierowca i pasażerowie – kobiety w swoich czadorach i brodaci, opatuleni przed mrozem mężczyźni – przyglądają mu się spode łba. Jeden z nich pogroził pięścią. Inny rzucił przekleństwo.

Nigdy przedtem nie mieliśmy żadnych kłopotów, pomyślał z niepokojem. Wszędzie, gdzie się obrócił, witały go te same gniewne spojrzenia. Musiał jechać bardzo wolno, przeciskając się między nie przestrzegającymi żadnych przepisów motorami, rowerami, samochodami, autobusami i ciężarówkami, a potem z bocznej uliczki wyległo nagle stado owiec. Kierowcy zaczęli obrzucać przekleństwami pasterzy, pasterze nie pozostali im dłużni, wszyscy wściekli, zniecierpliwieni, w kakofonii nie milknących ani na chwilę klaksonów.

– Cholerny korek! Cholerne owce! – burknęła poirytowana Azadeh. – Ty też zatrąb, Erikki!

– Nie denerwuj się, spróbuj z powrotem zasnąć. I tak nie zdołam nikogo wyprzedzić – zawołał, przekrzykując tumult, świadom otaczającej ich wrogości. – Nie denerwuj się!

Przejechanie trzystu jardów zajęło im pół godziny. Wyjeżdżające z bocznych uliczek pojazdy dodatkowo tamowały ruch. Na ulicy pełno było przechodniów, kramarzy i zwierzęcych odchodów. Erikki posuwał się cal po calu za zajmującym prawie całą szerokość drogi autobusem, który ocierał się o jadące z drugiej strony samochody, z prawymi kołami zawieszonymi nad krawędzią rowu. Motocykliści przepychali się do przodu, waląc pięściami w karoserię range rovera i innych samochodów, kopiając, depcząc i odganiając owce, przeklinając jeden drugiego i wszystkich naokoło. Jadący z tyłu mały samochód trącał co jakiś czas zderzak rovera, a w pewnej chwili kierowca nacisnął klakson w paroksyzmie furii, która o mało nie wyprowadziła z równowagi Erikkiego. Udawaj, że tego nie słyszysz, rozkazał sobie. Zachowaj spokój! Nie możesz nic zrobić! Zachowaj spokój!

Stawało się to jednak coraz bardziej trudne. Po półgodzinie stado owiec skrzyżowało w boczną ulicę i korek trochę się rozładował. Ale za następnym skrzyżowaniem cała ulica była rozkopana, drogę blokował głęboki na sześć i długi na dziesięć stóp dół. Obok kuciała grupka robotników, odpowiadając przekleństwami na przekleństwa kierowców i wykonując pod ich adresem nieprzyzwoite gesty.

Nie sposób było jechać dalej ani zawrócić: cały strumień pojazdów musiał skrócić w wąską boczną uliczkę. Jadący przed Erikkim autobus nie zmieścił się na zakręcie i musiał zatrzymać się i cofnąć, co spowodowało jeszcze większy tumult, krzyki i irytację. Kiedy Erikki ruszył do tyłu, żeby zrobić mu miejsce, jadący za nim zdezelowany niebieski samochód przeskoczył na sąsiednie pasmo i wcisnął się przed niego. Nadjeżdżająca z naprzeciwka toyota musiała nagle zahamować i wpadła w poślizg. Jej przednie koło zawisło nad wykopem i cały samochód niebezpiecznie się przechylił. Teraz ruch był całkowicie zablokowany.

Rozwścieczony Erikki zaciągnął ręczny hamulec, otworzył drzwiczki, podszedł do toyoty i wepchnął ją z powrotem na drogę. Nikt mu nie pomógł, wszyscy naokoło klęli tylko i robili jeszcze

większe zamieszanie. Erikki zacisnął pięści i podszedł do niebieskiego samochodu. Jednak w tym samym momencie autobus zdołał skręcić, zrobiło się więcej miejsca, kierowca samochodu dodał gazu i odjechał.

Erikki z wysiłkiem rozluźnił pięści. Kierowcy po obu stronach ulicy trąbili na niego. Wsiadł do rovera i ruszył do przodu.

– Proszę – powiedziała Azadeh, podając mu filiżankę kawy.

– Dzięki – odparł, prowadząc jedną ręką. Po chwili samochody znowu zwolniły. Niebieskie auto zniknęło gdzieś. – Gdybym dorwał tego faceta, rozszarpałbym go na kawałki – oznajmił, kiedy mógł już spokojnie mówić.

– Tak, wiem, Erikki. Zauważyłeś, jak wrogo wszyscy się do nas odnoszą? Jacy są źli?

– Owszem, zauważyłem.

– Ale dlaczego? Przejeżdżaliśmy przez Kazwin ze dwadzieścia razy... – Azadeh uchyliła się mimowolnie, kiedy w jej szybę trafiła gruda nawozu, a potem przywarła przestraszona do Erikkiego, szukając ochrony.

Erikki zaklął głośno, zasunął szyby i zablokował drzwi z jej strony. Kolejny krowi placek trafił w przednią szybę.

– Co za diabeł wstąpił w tych matierjebców? – mruknął. – Zachowują się tak, jakbyśmy powiewali amerykańską flagą i portretami szacha.

Nie wiadomo skąd nadleciał kamień i odbił się od metalowej karoserii. Chwilę później jadący przed nimi autobus wyjechał z wąskiej uliczki na szeroki plac przed meczetem, gdzie stały uliczne stragany i w każdą stronę prowadziły dwa pasy ruchu. Erikki odetchnął z ulgą: mogli trochę przyspieszyć. W dalszym ciągu było tłoczno, ale posuwali się przynajmniej do przodu. Wrzucił dwójkę i skręcił w lewo, w stronę zjazdu na Teheran. W połowie placu musieli znowu zwolnić; coraz więcej samochodów dołączało do tych, które kierowały się w stronę stolicy.

– Nigdy nie było tak źle – stwierdził. – Skąd się wziął ten korek?

– To na pewno jakiś wypadek – odparła podenerwowana Azadeh. – Albo roboty drogowe. Czy nie powinniśmy zawrócić? W tamtą stronę ruch nie jest taki duży.

– Mamy mnóstwo czasu – powiedział, dodając jej otuchy. – Zaraz się stąd wyrwiemy. Kiedy wyjedziemy z miasta, wszystko będzie w porządku.

Samochody przed nimi jeszcze bardziej zwalniały. Dwa pasy zewęzły się z powrotem w jeden, jezdnię tarasowały kramy i wózki z towarami, klaksony wyły, ludzie klęli, pojazdy stawały, przejeżdżały kilka jardów z żółwią prędkością i znowu stawały. Wyjeżdżali już prawie z placu, kiedy kilku chłopców zaczęło biec obok samochodu, wykrzykując obelgi. Jeden z nich walnął pięścią w boczną szybę.

– Amerykański pies!

– Amerykańska świnia!

Do chuliganów dołączali kolejni, wśród nich kilka wymachujących pięściami kobiet w czadorach. Erikki nie miał żadnej możliwości manewru: nie mógł przyspieszyć, zwolnić, zjechać na bok ani zawrócić. Czuł, jak doprowadza go do pasji własna bezradność. Napastnicy walili pięściami w karoserię i w szyby range rovera, a ci, którzy biegli po stronie Azadeh, urągali jej, robili nieprzyzwoite gesty i próbowali otworzyć drzwiczki samochodu. Jeden z młodzieńców skoczył na maskę, ale ześlizgnął się z niej i Erikki o mało go nie przejechał.

Jadący przed nim autobus zatrzymał się. W jednej chwili do jego drzwi rzucił się tłum



pragnących wsiąść pasażerów, zderzając się z tymi, którzy chcieli wyjść. Widząc przed sobą lukę, Erikki dodał gazu, potrącił zderzakiem jednego z napastników, wyprzedził autobus, o mało nie wpadając przy tym na grupę nieostrożnych przechodniów, skręcił w boczną uliczkę, która cudownym zrzędzeniem losu była pusta, przejechał nią kilkadziesiąt jardów, skręcił w inną, wyminął z trudem kilku motocyklistów i popędził dalej. Wkrótce zupełnie się zgubił, ale zerknąwszy na rzucane przez słońce cienie, ustalił swoją pozycję i po jakimś czasie trafił na szerszą ulicę. Wcisnął się między jadące samochody i dotarł do ulicy, którą znał i którą dojechał do kolejnego placu przy kolejnym meczecie, a potem z powrotem do szosy na Teheran.

– Wszystko w porządku, Azadeh. To byli tylko chuligani.

– Tak – odparła drżącym głosem. – Powinno się ich wychłostać.

Erikki przyjrzał się tłumowi przy meczecie i na ulicy, próbując odkryć powód ich dziwnej wrogości. Coś się zmieniło, pomyślał. Ale co? A potem zabiło mu szybciej serce.

– Od wyjazdu z Tabrizu nie widziałem ani jednego żołnierza, ani jednej wojskowej ciężarówki – powiedział. – A ty?

– Teraz, kiedy o tym wspomniałeś... nie, nie widziałam.

– Coś się wydarzyło, coś poważnego.

Azadeh jeszcze bardziej zbladła.

– Wojna? Sowieci przekroczyli granicę?

– Wątpię. W takim wypadku na północ podążałyby oddziały wojska albo leciały samoloty. –

Erikki zerknął na nią. – Nie przejmuj się – dodał. – W Teheranie czekają nas wspaniałe dni z Szarazad i twoimi przyjaciółmi. Pora na jakąś odmianę. Może wezmę zaległy urlop i wybierzemy się na tydzień albo dwa do Finlandii...

Wyjechali już z centrum miasta i mijali przedmieścia: wszędzie takie same mury, rozpadające się domy i wyboje. Szosa miała tutaj cztery pasy, po dwa w każdą stronę, i chociaż była zatłoczona i prędkość nie przekraczała piętnastu mil na godzinę, Erikki nie przejmował się. Na południowy zachód odchodziła niedługo droga do Abadanu i Kermanszahu i wiedział, że przejmie dużą część ruchu. Machinalnie rzucił okiem na tablicę rozdzielczą, tak jak robił to, sprawdzając przyrządy w kabinie helikoptera, i nie po raz pierwszy pożałował, że nie leci wysoko nad całym tym bajzlem. Wskaźnik paliwa pokazywał jedną czwartą. Wkrótce będzie musiał dolać benzyny, ale nie stanowiło to problemu: miał dosyć zapasowych kanistrów.

Przyhamował za kolejną ciężarówką, która zatrzymała się beztrąsko przy ulicznym straganie. W nozdrza uderzył go smród spalin. Na przedniej szybie range rovera wylądowały znowu krowie placki.

– Może powinniśmy zawrócić, Erikki, i pojechać z powrotem do Tabrizu. Może ominiemy jakoś Kazwin.

– Nie – odparł. Słyszał w jej głosie strach i to było niesamowite: zazwyczaj niczego się nie bała.

– Nie – powtórzył łagodniej. – Pojedziemy do Teheranu, dowiemy się, co się dzieje, i wtedy podejmiemy decyzję.

Azadeh przysunęła się bliżej i położyła dłoń na jego kolanie.

– Ci chuligani naprawdę mnie nastraszyli, niech ich Bóg pokarze – mruknęła, ściskając nerwowo palcami drugiej ręki turkusy, które wisały na jej szyi. Większość Iranek nosiła naszyjniki z turkusów, niebieskich paciorków, albo pojedynczy niebieski kamień, który miał je strzec przed urokiem. – Psie syny! Dlaczego tak się zachowują? Diabły. Niech Bóg przeklnie ich na wieki!

Zaraz za miastem był duży wojskowy ośrodek szkoleniowy, a tuż obok baza lotnicza.

– Dlaczego nie ma tutaj żołnierzy? – zapytała Azadeh.

– Sam chciałbym to wiedzieć – odparł.

Na prawo odchodziła droga do Abadanu i Kermanszahu, przejmując dużą część ruchu. Wzdłuż obu szos biegło ogrodzenie z drutu kolczastego, jak przy większości głównych dróg w Iranie. Ogrodzenia stawiano, żeby owce, kozy, bydło, psy oraz ludzie nie przechodzili przez jezdnię. Wypadki zdarzały się często, śmiertelność była wysoka.

Taki już jest Iran, pomyślał Erikki. Przypomniawszy sobie tych biednych głupców, którzy spadli w przepaść – nikt o nich nie wiedział, nikt nie złożył raportu, nikt nie zajmie się zwłokami. Oprócz sępów, dzikich zwierząt i parszywych psów.

Zostawiwszy za sobą miasto, poczuli się lepiej. Znowu mieli wokół siebie otwarty teren. Za rowem i drutem kolczastym widać było sady, na północy wznosiły się wysoko góry Elburs, na południu ciągnęła pofalowana równina. Jednak zamiast przyspieszyć, samochody znowu zaczęły zwalniać, dwa pasy ruchu ścieśniły się niechętnie w jedno i wkrótce znowu zaczęły się przepychania i awantury. Przeklinając kolejne roboty drogowe, które musiały spowodować korek, Erikki zmienił bieg na niższy. Jego ręce i stopy poruszały się niezależnie od udziału woli, same wysprzęgłały, hamowały, wrzucały bieg, dodawały gazu i ponownie hamowały, obojętne na zgiełk i wycie klaksonów, przegrzewające się, pracujące na jałowym biegu silniki i wszechobecną frustrację.

Azadeh wskazała nagle ręką przed siebie.

– Popatrz!

Sto jardów przed nimi na drodze ustawiono blokadę. Stali przy niej biednie ubrani, częściowo uzbrojeni mężczyźni w cywilu. Zaraz dalej zaczynała się anonimowa wioska; przy drodze stały stragany, po drugiej stronie była łąka. Między cywilami kręcili się wieśniacy, wśród nich kobiety i dzieci. Wszystkie kobiety miały czarne albo szare czadory. Kilka samochodów stało na łące, a ich pasażerów przesłuchiwały grupki mężczyzn. Erikki zauważył, że niektórzy z nich są też uzbrojeni.

– To nie są Zielone Oddziały – powiedział.

– I nie mułowie. Widzisz wśród nich jakichś mułów?

– Nie.

– W takim razie to Tudeh albo mudżahedini. A może fedaini.

– Lepiej przygotuj swój dowód tożsamości – powiedział, uśmiechając się. – I włóż kurtkę i czapkę, żebyś nie przeziębila się, kiedy otworzę szybę. – Ale to nie zimno budziło jego niepokój. To był zarys jej piersi, prężących się dumnie pod swetrem, jej delikatna talia i rozpuszczone włosy.

W schowku na rękawiczki leżał mały nóż pukoh. Wsunął go do prawego buta. Drugi, duży, trzymał pod kurtką, pośrodku pleców.

Kiedy nadeszła ich kolej, samochód otoczyli brodaci prości mężczyźni. Kilku miało amerykańskie karabiny, jeden AK47. Towarzyszyło im parę kobiet w czadorach, które spoglądały z niechęcią na Azadeh.

– Papiery – powiedział w farsy jeden z mężczyzn, wyciągając rękę i chuchając im w twarz nieświeżym oddechem.

Przez otwarte okno doszedł ich odór nie mytych ciał i przepoconych ubrań. Azadeh utkwiała wzrok w przedniej szybie, starając się ignorować nieprzychylne spojrzenia, pomruki i prostactwo, z którym zetknęła się pierwszy raz w życiu.

Erikki podał grzecznie dowody tożsamości. Mężczyzna wziął je do ręki, obejrzał i wręczył

młodzieńcowi, który umiał czytać. Pozostali czekali w milczeniu, gapiąc się na nich i przytupując nogami na chłodzie.

– Jest cudzoziemcem i pochodzi z kraju, który nazywa się Finlandia – oświadczył w końcu młodzieniec w prymitywnym farsy. – Jedzie z Tabrizu. Nie jest Amerykaninem.

– Wygląda na Amerykanina – stwierdził ktoś inny.

– Kobieta nazywa się Gorgon i jest jego żoną. Tak przynajmniej stoi w jej papierach.

– Jestem jego żoną – oświadczyła krótko Azadeh. – Mogę to...

– A kto cię pytał? – przerwał jej ordynarnie pierwszy mężczyzna. – Nosisz nazwisko wielkich obszarników, masz jaśniepański akcent, jaśniepańskie maniery i jesteś najprawdopodobniej wrogiem ludu.

– Nie jestem niczym wrogiem. Proszę...

– Zamknij się. Kobiety powinny znać swoje miejsce, zakrywać twarz i być skromne i posłuszne nawet w państwie socjalistycznym. Dokąd jedziesz? – zapytał mężczyzna, zwracając się do Erikkiego.

– Czego on chce, Azadeh?

Przetłumaczyła mu.

– Do Teheranu – odparł cicho. – Powiedz mu, że jedziemy do Teheranu, Azadeh.

Naliczył sześć karabinów i jeden pistolet maszynowy. Ze wszystkich stron otaczały ich samochody, nie sposób było się wyrwać. Na razie.

Azadeh powtórzyła im, co powiedział.

– Mój mąż nie mówi w farsy – dodała.

– A skąd mamy to wiedzieć? Skąd mamy wiedzieć, że jesteście małżeństwem? Gdzie jest wasze świadectwo ślubu?

– Nie mam go przy sobie. O tym, że jesteśmy małżeństwem, można przeczytać w dowodzie.

– Ale to jest dowód wydany przez szacha. Nielegalny. Gdzie jest twój nowy dowód?

– Jaki dowód? Przez kogo wydany? – odparła podniesionym tonem. – Oddajcie nam dowody i pozwólcie przejechać!

Jej zdecydowanie wywarło wrażenie na mężczyźnie i jego towarzyszach.

– Musicie nas zrozumieć – wyjaśnił. – Wszędzie jest wielu szpiegów i wrogów ludu, których musimy złapać...

Erikki czuł, jak wali mu serce. Ponure twarze, ludzie przeniesieni żywcem ze średniowiecza. Brzydzy. Do otaczającej ich grupy podchodzili kolejni mężczyźni. Jeden z nich gniewnym gestem pokazał stojącym za nimi kierowcom, żeby podjeżdżali do kontroli. Nikt nie trąbił. Wszyscy czekali grzecznie na swoją kolej. Nad całym korkiem zawisła złowroga cisza.

– Co się tutaj dzieje?

Przez tłum przepychał się krępy mężczyzna. Inni ustępowali mu z szacunkiem drogi. Na ramieniu miał czechosłowacki pistolet maszynowy. Młodzieniec, który ich kontrolował, wyjaśnił mu sytuację i oddał dokumenty. Przysadzisty mężczyzna miał okrągłą nie ogoloną twarz, ciemne oczy i brudne ubranie. Na łące rozległ się nagle strzał i wszystkie głowy zwróciły się w tamtą stronę.

Koło małego samochodu osobowego, który skierowano na bok, leżał na ziemi mężczyzna. Jeden z kontrolujących stał nad nim z automatem w ręku. Drugi pasażer, który stał dotąd z rękoma splecionymi na karku, przedarł się nagle przez kordon i rzucił do ucieczki. Mężczyzna z automatem podniósł broń, strzelił i chybił, a potem strzelił ponownie. Za drugim razem uciekinier krzyknął

i upadł, wijąc się z bólu i wlokąc za sobą unieruchomione nogi. Mężczyzna z automatem nie śpiesząc się podszedł bliżej i władował w niego cały magazynek.

– Ahmed! – zawołał krępy. – Dlaczego marnujesz kule, kiedy wystarczyło wziąć go pod obcasy?

Co to za jedni?

– SAVAK!

Przez tłum przeszedł pomruk satysfakcji. Ktoś wznosił triumfalny okrzyk.

– Więc dlaczego tak szybko ich zabiłeś? Głupiec! Przynieś ich papiery!

– W ich papierach stało, że są biznesmenami z Teheranu, ale ja poznam psiego syna z SAVAK, kiedy tylko na niego spojrzę. Chcesz obejrzeć ich fałszywe papiery?

– Nie. Możesz je podrzeć. – Krępy odwrócił się z powrotem do Erikkiego i Azadeh. – W ten sposób oczyścimy Iran z wrogów ludu.

Azadeh nie odpowiedziała. Ich własne dowody tkwiły w brudnych paluchach krępego. Co będzie, jeśli też uznaje za fałszywe? InszAllah!

Mężczyzna sprawdził dowody i przyjrzał się uważnie najpierw Erikkiemu, a potem Azadeh.

– Twierdzisz, że nazywasz się Azadeh Gorgon Yok... Yokkonen i jesteś jego żoną?

– Tak.

– Dobrze. – Krępy wetknął dokumenty do kieszeni i wskazał kciukiem łakę. – Powiedz mu, żeby tam zjechał. Przeszukamy wasz samochód.

– Ale...

– Macie tam zjechać! Natychmiast! – Krępy skoczył na zderzak, zdrapując obcasami farbę. – Co to jest? – zapytał, wskazując namalowany na dachu biały krzyż na niebieskim tle.

– To fińska flaga – odparła Azadeh. – Mój mąż jest Finem.

– Dlaczego namalował ją na dachu?

– Bo tak mu się podobało.

Krępy splunął, a potem wskazał ponownie ręką łakę.

– Szybko! – Kiedy zjechali na bok, zeskoczył ze zderzaka. – Wysiadać! Chcę sprawdzić, czy nie przewozicie broni albo kontrabandy.

– Nie mamy żadnej broni ani kontra...

– Wysiadać! A ty, kobieto, powściągnij język. – Staruchy w tłumie zasyczały z aprobatą. Krępy pokazał dwa leżące w błocie trupy. – Nie zapominajcie, że ludowa sprawiedliwość jest szybka i nie ma od niej odwołania. Powtórz swojemu wielkiemu mężowi, co powiedziałem... jeśli jest twoim mężem – dodał, pokazując palcem Erikkiego.

– Erikki, on mówi, żebyśmy nie zapominali, że ludowa... że ludowa sprawiedliwość jest szybka i nie ma od niej odwołania. Uważaj, kochanie. Musimy... musimy wysiąść z samochodu. Chcą go przeszukać.

– W porządku. Ale przesuń się i wyjdź z mojej strony.

Erikki wysiadł i stanął przy samochodzie, górując nad tłumem. Ręką obejmował obronnym gestem Azadeh, ale zewsząd napierał na nich wrogi tłum. Odór nie mytych ciał był przytłaczający. Czuł, jak Azadeh drży, mimo że za wszelką cenę starała się to ukryć. Obserwowali razem, jak krępy mężczyzna i jego towarzysze włączają w zabłoconych buciorach do ich czystego samochodu. Inni otworzyli tylne drzwi i zaczęli niedbale wyjmować i rozrzucać ich rzeczy, sięgając brudnymi rękoma do kieszeni, otwierając wszystko – jej torby i jego torby. A potem jeden z mężczyzn podniósł w górę jej cienką bieliznę i w tłumie rozległy się gwizdy i śmiechy. Staruchy mruczały z dezaprobatą. Jedna

z nich wyciągnęła rękę i dotknęła włosów Azadeh. Ta cofnęła się, ale ludzie, którzy stali z tyłu, nie ustępowali jej miejsca. Erikki natychmiast przesunął się, żeby jej pomóc, zbity ciasno tłum nie cofnął się jednak. Stojący najbliżej, odpychani przez niego wieśniacy krzyczeli doprowadzając do jeszcze większej pasji innych, którzy pchali się do przodu, groźnie wrzeszcząc.

Po raz pierwszy w życiu Erikki zdał sobie nagle sprawę, że nie zdoła obronić Azadeh. Wiedział, że zanim im ulegnie i zginie, może zabić nawet kilkunastu, ale nie uda mu się jej obronić.

Świadomość tego wstrząsnęła nim.

Ugięły się pod nim nogi, poczuł przemożną chęć oddania moczu i dławiący strach. Tępo patrzył, jak plugawią ich rzeczy. Kilku mężczyzn oddalało się z bezcennymi kanistrami z benzyną, bez których nie mogli dojechać do Teheranu, ponieważ wszystkie stacje benzynowe strajkowały lub były zamknięte. Próbował się poruszyć, próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie. A potem jedna ze staruch wrzasnęła na odrętwiąłą Azadeh, która potrząsnęła głową. Mężczyźni zaczęli również krzyczeć, popychając oboje; robiło się coraz ciasniej, nozdrza wypełniał kwaśny odór wieśniaków, uszy zalepiały ich farsi.

Wciąż obejmował ją ramieniem. Azadeh podniosła wzrok i zobaczył, jak bardzo jest przerażona, ale zgiełk był taki, że nie słyszał, co do niego mówi. Ponownie spróbował odepchnąć najbliższych i ponownie nie zdołał tego zrobić. Desperacko starał się opanować atak klaustrofobii i żądzę walki wiedząc, że jeśli jej ulegnie, doprowadzi do jatki i śmierci Azadeh. Nie potrafił się jednak powstrzymać i zamachnął się na ślepo łokciem, trafiając stojącego z tyłu mężczyznę. W tym samym momencie tęga wieśniaczka o dziwnych, płonących gniewem oczach przedarła się przez kordon, cisnęła czador na piersi Azadeh i wylała z siebie potok obelg, odwracając uwagę tłumy od mężczyzny, który osunął się na ziemię z połamanymi zębami.

Tłum wrzeszczał na nich, najwyraźniej domagając się, żeby włożyła czador.

– Nie, nie, zostawcie mnie w spokoju – jęczała zdezorientowana Azadeh.

Nigdy w życiu tak się nie bała, nigdy nie znalazła się w tak zbitej masie ludzi, nigdy nie doświadczyła tak bliskiego fizycznego kontaktu z wieśniakami ani takiej wrogości z ich strony.

– Włóż to, ladacznico...

– W imię Boga, włóż czador...

– Nie w imię Boga, kobieto, ale w imię Ludu...

– Bóg jest wielki, słuchaj jego nakazów...

– Pluj na Boga, w imię rewolucji...

– Zakryj swoje włosy, kurwo i córko kurwy...

– Bądź posłuszna Prorokowi, którego imię niech będzie pochwalone...

Wrzaski były coraz głośniejsze. Tłum deptał konającego na ziemi mężczyznę, a potem Erikki poczuł, że ktoś łapie go za rękę, którą obejmował Azadeh, i zdał sobie sprawę, że jego druga ręka wędruje do wielkiego noża na plecach...

– Nie, nie rób tego, Erikki, oni cię zabiją! – zawołała Azadeh.

Ogarnięta paniką odepchnęła wieśniaczkę i naciągnęła czador na twarz, powtarzając rytmicznie „Allachu akbarr”. To uspokoiło trochę najbliższych stojących. Szyderstwa umilkły na chwilę, ale ci z tyłu chcieli lepiej widzieć, i popychali innych na range rovera. Wokół Erikkiego i Azadeh zrobiło się trochę luźniej, ale wciąż byli ze wszystkich stron otoczeni. Azadeh nie podnosiła wzroku, po prostu przywarła do Erikkiego, drżąc niczym zmarznięty szczeniak, z głową owiniętą w zgrzebne płótno czadoru. Jeden z mężczyzn nałożył sobie na piersi jej biustonosz i zaczął się mizdrzyć,

wywołując śmiech.

Dewastacja ich rzeczy trwała dalej, ale Erikki wyczuł, że coś się zmienia. Krępy mężczyzna i jego towarzysze przestali się nimi zajmować; wpatrywali się bacznie w stronę Kazwinu. Po chwili wycofali się w głąb tłumu i zniknęli. Inni pilnujący blokady mężczyźni wsiadali szybko do samochodów i ruszali z piskiem opon w stronę Teheranu. Wieśniacy również zaczęli spoglądać ku miastu i po chwili wszyscy odwrócili się w tamtym kierunku. Mijając stojące w kolejce samochody, drogą walała kolejna grupa mężczyzn, z mułami na czele. Wielu było uzbrojonych.

– Allachu akbar! Bóg i Chomeini! – krzyčili. Po chwili puścili się biegiem, atakując blokadę.

Rozległo się kilka strzałów. Ci z walczących, którzy nie mieli broni palnej, używali sztchet, kamieni i żelaznych prętów. Tłum rozpieczęł się w popłochu. Wieśniacy pobiegli do swoich chat, kierowcy i pasażerowie wyskoczyli z samochodów i szukali schronienia w rowach.

Odgłosy potyczki wyrwały wreszcie Erikkiego z paraliżu. Wepchnął Azadeh do samochodu, złapał kilka leżących najbliżej ich rzeczy, wrzucił je na tylne siedzenie i zatrzasnął drzwiczki. Kilku wieśniaków zaczęło rabować to, co pozostało, ale on odepchnął ich na bok, skoczył do środka, zapalił silnik, wrzucił najpierw tylny, potem przedni bieg i ruszył przez łąkę, równoległe do szosy. Po prawej stronie zobaczył krępego mężczyznę oraz trzech jego towarzyszy wsiadających do samochodu i przypomniał sobie, że facet ma ich papiery. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy się nie zatrzymać, natychmiast jednak porzucił tę myśl i popędził dalej w stronę rosnących przy drodze drzew. Ale potem zauważył, że krępy zdejmuje z ramienia broń, celuje i strzela. Seria poszła górą. Kiedy krępy ładował broń, Erikki gwałtownie skręcił w jego stronę i wcisnął gaz do dechy.

Potężny zderzak range rovera wbił mężczyznę w karoserię samochodu. Jego pistolet maszynowy strzelał, póki nie wyczerpał się magazynek, siekąc pociskami w metal i przednią szybę. Ogarnięty szaleńcem Erikki cofnął się i staranował ponownie samochód, przewracając go na bok i zabijając tych, którzy siedzieli w środku. Miał ochotę wyskoczyć z auta i dokończyć jatki gołymi rękoma, widząc jednak w tylnym lusterku biegnących ku niemu ludzi, wrzucił najpierw tylny, a potem pierwszy bieg i uciekł.

Range rover był stworzony do takiego terenu; zimowe opony trzymały się idealnie zmarzniętego gruntu. Znalazłszy się w bezpiecznym miejscu pośród drzew, Erikki skręcił w stronę drogi, zablokował obie przekładnie, zjechał do głębokiego rowu, rozerwał ogrodzenie z drutu kolczastego i wtoczył się z powrotem na jezdnię.

Dopiero po kilkuset jardach, gdy z jego oczu ustąpiła krwawa mgiełka, przypomniał sobie przeszywające samochód pociski i to, że jest z nim Azadeh. Przerażony spojrział na nią. Była sparaliżowana strachem, ale cała i zdrowa. Kulila się w fotelu, trzymając kurczowo drzwiczek. W szybie i dachu koło niej widniały dziury po pociskach, ale była cała i zdrowa, chociaż przez chwilę w ogóle jej nie poznawał: widział tylko oszpeconą przez czador irańską twarz, podobną do dziesiątków tysięcy, które widzieli w tłumie.

– Och, Azadeh – szepnął, a potem wyciągnął rękę i prowadząc jedną dłonią samochód, przytulił ją do siebie. Po chwili przyhamował, zjechał na bok i objął mocno wstrząsane szlochaniem ciało. Nie widział, że wskaźnik paliwa zbliża się do minimum, że na drodze wzmaga się ruch, że mijający obrzucają ich wrogimi spojrzeniami i że w wielu samochodach siedzą rewolucjoniści, którzy porzucili blokadę i uciekali do Teheranu.

## ROZDZIAŁ 4

### W POBLIŻU KAZWINU, GODZINA 15.17.

Od chwili kiedy wystartował z Tabrizu z Rakoczym – którego znał pod nazwiskiem Smith – Charlie Pettikin prowadził dwieście szesnastkę równo i spokojnie, mając nadzieję, że agent KGB zdrzemnie się albo że przynajmniej uda mu się uśpić jego czujność. Z tej samej przyczyny nie podejmował rozmowy, zsunawszy hełmofon na szyję. Rakoczy w końcu się poddał i obserwował po prostu ziemię na dole. Przez cały czas trzymał jednak broń na kolanach, zaciskając palec na bezpieczniku. Pettikin zastanawiał się, do jakiej grupy rewolucjonistów należy i dlaczego tak pilnie musi dostać się do Teheranu. Nie przyszło mu do głowy, że ma do czynienia z Rosjaninem, a nie Irańczykiem.

W Bandar-e Pahlavi, gdzie tankowanie zdawało się trwać całe wieki, nie odezwał się ani słowem, zapłacił po prostu ostatnimi dolarami, które mu zostały, a potem obserwował napełnianie zbiorników i podpisał oficjalny voucher IranOil. Rakoczy próbował nawiązać pogawędkę z pracownikiem bazy, ale facet odnosił się do nich z wrogością, bojąc się, że ktoś zobaczy, jak tankuje zagraniczny helikopter, a jeszcze bardziej leżącego na fotelu pistoletu maszynowego.

W trakcie postoju Pettikin liczył, że uda mu się wykorzystać chwilę nieuwagi „Smitha” i złapać broń. Nie nadarzyła się ani jedna okazja. W Korei było ich mnóstwo. I w Wietnamie. Mój Boże, pomyślał, wydaje się, jakby to było milion lat temu.

Wystartował z Bandar-e Pahlavi i leciał teraz na południe na wysokości tysiąca stóp, trzymając się drogi do Kazwinu. Na wschodzie widział plażę, gdzie wysadził kapitana Rossa i jego dwóch spadochroniarzy. Zachodził w głowę, skąd wiedzieli, że leci do Tabrizu i jaka była ich misja. Z całego serca życzył im sukcesu. Musiało to być coś pilnego i ważnego. Chciałbym zobaczyć się jeszcze kiedyś z Rossem, pomyślał.

– Dlaczego pan się uśmiecha, kapitanie?

Głos rozległ się w słuchawkach. Podczas startu machinalnie nałożył je na głowę. Spojrzał na Rakoczego, wzruszył ramionami i z powrotem zajął się przyrządami. Nad Kazwinem skręcił na południowy wschód i leciał teraz wzdłuż drogi do Teheranu. Cierpliwości, powtarzał sobie. Nagle zobaczył, że Rakoczy marszczy brwi, przytyka twarz do szyby i patrzy w dół.

– Niech pan skręci lekko w lewo – rozkazał mu. Koncentrował się wyłącznie na tym, co działo się na ziemi. Pettikin wprowadził maszynę w niewielki przechył; Rakoczy znalazł się na dole. – Wystarczy! Kurs sto osiemdziesiąt.

– Co tam się dzieje? – zapytał Pettikin. Przechylił helikopter jeszcze bardziej, zdając sobie nagle sprawę, że jego pasażer zapomniał o leżącym na kolanach pistolecie maszynowym. Zabiło mu szybciej serce.

– Tam na drodze. Widzi pan tę ciężarówkę?

Pettikin nie zwracał uwagi na drogę. Nie spuszczał oczu z pistoletu, oceniając starannie odległość.

– Gdzie? Nic nie widzę. – Ponownie przechylił maszynę, chcąc jak najszybciej wejść na nowy kurs. – Jaka ciężarówka? O co panu chodzi?

Złapał pistolet lewą ręką za lufę i cisnął go niezgrabnie przez otwarte przeszklone drzwiczki do tylnej kabiny. Jednocześnie prawą ręką przesunął drążek sterujący w lewo, potem szybko w prawo i znowu w lewo, i w prawo, kołysząc wściekle maszyną. Kompletnie zaskoczony Rakoczy walnął głową w bok kabiny. Pettikin zacisnął lewą dłoń w pięść i próbował zadać mu fachowy cios w szczękę i pozbawić przytomności. Znający karate i obdarzony szybkim refleksem przeciwnik zasłonił się jednak przedramieniem. Lekko zamroczony złapał Pettikina za nadgarstek i odzyskując z każdą sekundą siły, zaczął walczyć. Helikopter przechylał się niebezpiecznie na bok, Rakoczy wciąż tkwił na dole. Skrępowani pasami mocowali się, klnąc i głośno sapiąc. Rosjanin, który miał wolne obie ręce, zyskiwał powoli przewagę.

Pettikin wsunął drążek sterujący między kolana i ponownie uderzył Rakoczego w twarz. Cios nie był zbyt precyzyjny, lecz siła, z jaką go zadał, pozbawiła go równowagi. Drążek wyslizgnął się spomiędzy kolan i przesunął w lewo, stopy zsunęły się z pedałów. Maszyna natychmiast zaczęła się kręcić wokół własnej osi – żaden śmigłowiec nie jest w stanie latać sam nawet przez sekundę. Siła odśrodkowa odrzuciła Pettikina jeszcze bardziej w bok i w całym zamieszaniu dźwignia skoku przesunęła się w dół. Pozbawiony sterowności helikopter zaczął spadać.

Przerażony Pettikin przestał walczyć i próbował na oślep odzyskać panowanie nad maszyną. Silniki wyły, wszystkie zegary oszalały. Opadli dziewięćset stóp w dół, nim udało mu się ustabilizować kurs i pułap. Serce biło mu jak młotem, pokryta śniegiem ziemia znajdowała się zaledwie pięćdziesiąt stóp niżej.

Trzęsły mu się ręce i z trudem łapał oddech. A potem poczuł, jak coś twardego wbija mu się w kark, i usłyszał przekleństwa Rakoczego. Zdał sobie sprawę, że facet nie klnie po irańsku, lecz nie rozpoznawał języka. Zerkając w bok, zobaczył wykrzywioną gniewem twarz i szary metal samopowtarzalnego pistoletu, o którym wcale nie pomyślał. Rozwścieczony próbował odsunąć lufę, ale Rakoczy wcisnął ją jeszcze mocniej.

– Przestań albo odstrzelę ci łeb, ty matierjebcu!

Pettikin natychmiast przechylił maszynę na bok, lecz lufa wbijała mu się coraz silniej w kark, kalecząc go. Usłyszał kliknięcie odbezpieczanej broni.

– Daję ci ostatnią szansę!

Ziemia była bardzo blisko. Pettikin poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Uświadomił sobie, że nie zdoła go pokonać.

– W porządku... w porządku – wysapał, poddając się. Wyprostował śmigłowiec i zaczął nabierać wysokości, ale nacisk na jego kark się zwiększał, a wraz z nim i ból.

– Niech pan przestanie mnie kaleczyć, bo puszcze stery. Jak mogę lecieć, jeśli...

Rakoczy dalej wrzeszczał, obrzucając go przekleństwami i wbijając lufę w kark. Głowa Pettikina oparła się o framugę drzwi.

– Na litość boską! – wrzasnął zdesperowany, próbując nałożyć z powrotem hełmofon, który zsunął mu się z głowy podczas walki. – Jak, do diabła, mam lecieć z wbitą w kark lufą? – Nacisk zelżał lekko. – Jak się pan, do cholery, nazywa?

– Smith! – Rakoczy był tak samo wściekły jak on. Jeszcze sekunda, pomyślał, i pacnęlibyśmy



o ziemię niczym świeży krowi placek. – Myślisz, że masz do czynienia z pierdolonym amatorem? – zapytał i nie panując nad własną furią trzasnął Pettikina na odlew w twarz.

Siła uderzenia odrzuciła Pettikina do tyłu. Helikopter zakołysał się, ale udało mu się odzyskać nad nim panowanie.

– Jeśli zrobi pan to jeszcze raz, odwrócę maszynę na plecy – oznajmił zdecydowanym tonem. Czuł rozlewające się po twarzy ciepło.

– Ma pan rację – przyznał natychmiast Rakoczy. – Przepraszam za... za tę głupotę, kapitanie. – Oparł się wygodniej o swoje drzwi, ale wciąż celował w Pettikina z odbezpieczonego pistoletu. – Ma pan rację, nie było takiej potrzeby. Przepraszam.

Pettikin zamrugnął oczyma.

– Przeprasza pan?

– Tak. Proszę wybaczyć. To nie było konieczne. Nie jestem barbarzyńcą. – Rakoczy uspokajał się. – Jeśli da pan słowo, że nie będzie pan próbował mnie zaatakować, odłożę broń. Przysięgam, że nic panu nie grozi.

Pettikin przez chwilę się namyślał.

– Dobrze – powiedział. – Pod warunkiem że dowiem się, jak się pan nazywa i kim pan jest.

– Słowo?

– Tak.

– W porządku, wierzę panu. – Rakoczy zabezpieczył broń i schował ją do prawej kieszeni. – Nazywani się Ali bin Hassan Karakose i jestem Kurdem. Mój dom... moja wioska leży na stokach Araratu przy granicy sowiecko-irańskiej. Z łaski Boga jestem Żołnierzem Wolności. Walczę przeciw szachowi i każdemu, kto chciałby nas zniewolić. Czy to pana satysfakcjonuje?

– Owszem, satysfakcjonuje. Czy w takim razie...

– Proszę, później. Najpierw niech pan tam podleci... szybko. – Rakoczy wskazywał palcem w dół. – Proszę wyrównać kurs i podejść bliżej.

Lecieli na wysokości ośmiuset stóp; na prawo od nich biegła droga z Teheranu do Kazwinu. Mniej więcej milę dalej przycupnęła przy niej wioska. Pettikin widział niesione wiatrem smugi dymu.

– Gdzie dokładnie?

– Tam, przy drodze.

Z początku Pettikin nie zwracał uwagi na to, co pokazywał mu jego pasażer – gorączkowo próbował przypomnieć sobie, co wie o Kurdach i ich prowadzonych przez długie stulecia wojnach przeciwko perskim szachom – potem jednak zobaczył kilkanaście stojących na poboczu pojazdów i tłum otaczający nowoczesny samochód terenowy z wymalowanym na dachu niebieskim krzyżem na białym tle.

– Chodzi panu o ten samochód? – zapytał z wciąż obolałą twarzą i karkiem. – Z niebieskim krzyżem na dachu?

– Tak.

Pettikin zaczął posłusznie schodzić niżej.

– Co jest w nim takiego specjalnego? – mruknął i zerknął w bok. Jego pasażer przyglądał mu się podejrzliwie. – No? O co znowu, do diabła, panu chodzi?

– Naprawdę nie wie pan, co oznacza niebieski krzyż na białym tle?

– Nie. Co oznacza? Niech pan mówi!

Pettikin wpatrywał się w samochód, który był teraz o wiele bliżej, dość blisko, by dojrzał, że to czerwony range rover, że otacza go rozwścieczony tłum i jeden z mężczyzn wali kolbą karabinu w tylną szybę.

– To flaga Finlandii – usłyszał w słuchawkach i od razu pomyślał o Yokkonenie.

– Erikki ma czerwonego range rovera – zawołał. W tej samej chwili napastnikowi udało się wybić szybę. – Myśli pan, że to Erikki?

– To bardzo możliwe.

Pettikin natychmiast przyśpieszył i zszedł niżej, zapominając w podnieceniu o bólu i nie zadając sobie nawet pytania, skąd ten Żołnierz Wolności zna Yokkonena. Widział, że tłum obraca się w ich stronę i pierzcha na boki. Mimo że przeleciał bardzo nisko, nigdzie nie zobaczył Erikkiego.

– Widział go pan? – zapytał.

– Nie. Nie udało mi się zajrzeć do środka samochodu.

– Mnie też nie – stwierdził z niepokojem Pettikin – ale te sukinsyny mają broń i wybijają szyby. Widział ich pan?

– Tak. To muszą być fedaini. Jeden z nich strzelił w naszą stronę. Jeśli... – Rakoczy urwał nagle i złapał się fotela, gdy lecący na wysokości dwudziestu stóp śmigłowiec zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył ostro z powrotem.

Tym razem mężczyźni i kobiety rozpierzchli się w popłochu, wpadając na siebie. Jadące szosą pojazdy przyśpieszały albo stawały w miejscu. Jakaś przeładowana ciężarówka najechała na inną. Kilka zjechało z drogi, a jedna o mało nie wpadła do rowu.

Tuż przed range roverem Pettikin skrzył pod kątem prostym, żeby spojrzeć do środka. W powietrze wzbiła się natychmiast chmura śniegu, ale zdążył rozpoznać Erikkiego.

– To on – powiedział, po raz kolejny zakręcając i nabierając wysokości. – Widział pan dziury po pociskach w przedniej szybie? – zapytał zszokowany. – Niech pan weźmie z tylnej kabiny automat. Zabierzemy Erikkiego ze sobą. Szybko! Musimy zdążyć, zanim wrócą tamci.

Rakoczy odpiął pas i sięgnął do tyłu, ale automat leżał za daleko. Z trudem przekręcił się w fotelu i wsadził głowę w prowadzące do tylnej kabiny drzwiczki. Pettikin zdał sobie nagle sprawę, że facet jest teraz na jego łasce. Tak łatwo było otworzyć drzwi i wypchnąć go na zewnątrz. Tak łatwo. A jednak nie mógł tego zrobić.

– Szybciej! – zawołał, pomagając mu usadowić się z powrotem w fotelu. – Niech pan zapnie pas!

Rakoczy posłuchał, próbując złapać oddech i dziękując losowi, że Pettikin jest przyjacielem Fina. Wiedział, że na jego miejscu nie zawahałby się otworzyć drzwiczek.

– Jestem gotów – powiedział, odbezpieczając broń, zaskoczony głupotą Pettikina. Brytyjczycy są tacy głupi, że zasługują na to, żeby przegrać. – Co pan chce zro...?

– Lecimy! – Pettikin zawrócił, lecąc z maksymalną szybkością. Kilku uzbrojonych mężczyzn wciąż stało przy range roverze, celując ze swoich strzelb. – Trochę ich postraszę, a kiedy powiem „ognia”, niech pan puści serię nad ich głowami.

Range rover ruszył nagle ku nim, ale po kilku jardach zwolnił i skrzył w bok – w pobliżu nie było żadnych drzew – a potem znowu zwolnił i potoczył się w stronę śmigłowca zataczającego wokół niego krąg. Pettikin zatrzymał gwałtownie maszynę dwadzieścia jardów od samochodu, zawisając na wysokości dziesięciu stóp.

– Ognia! – rozkazał.

Rakoczy natychmiast posłał serię przez otwarte okno, celując nie nad głowami, lecz prosto

w grupkę mężczyzn i kobiet, zabijając albo raniąc kilka osób. Najbliżej stojący rzucili się do ucieczki – rykowi silników towarzyszyły krzyki rannych. Kierowcy i pasażerowie wyskakiwali ze swoich pojazdów i brnęli przez zasy. Kolejna seria spowodowała jeszcze większą panikę. Teraz wszyscy uciekali w popłochu i sparaliżowany został cały ruch. Na drodze pojawiło się kilku młodzieńców ze strzelbami. Rakoczy przejechał serią po nich i po tych, którzy znaleźli się obok.

– Kurs trzysta sześćdziesiąt! – zawołał.

Helikopter natychmiast wykręcił pirueta, ale nikogo nie było w pobliżu. Pettikin zobaczył cztery leżące w śniegu trupy.

– Powiedziałem, żeby strzelał pan nad głowami, na litość boską... – zaczął, lecz w tej samej chwili drzwiczki range rovera otworzyły się i na zewnątrz wyskoczył z nożem w ręku Erikki. Przez moment był sam, a potem pojawiła się obok niego kobieta w czadorze. Pettikin natychmiast posadził śmigłowiec na śniegu, gotów w każdej chwili poderwać go do góry.

– Chodźcie! – zawołał, ponaglaając ich gestem.

Erikki i Azadeh, której Pettikin jeszcze nie rozpoznał, pobiegli w ich stronę.

Rakoczy wyskoczył na ziemię i otworzył tylne drzwi, a potem odwrócił się czujnie i posłał kolejną serię w stronę ciężarówek. Na jego widok Erikki stanął jak wryty.

– Szybciej! – krzyknął Pettikin, nie rozumiejąc powodu jego wahania. – Chodź, Erikki! – Dopiero teraz poznał Azadeh. – Mój Boże... – mruknął. – Prędej, Erikki!

– Szybko, kończy mi się amunicja – zawołał po rosyjsku Rakoczy.

Erikki wziął Azadeh na ręce i puścił się biegiem. Obok nich przeleciało ze świstem kilka pocisków. Rakoczy pomógł wejść Azadeh do tylnej kabiny, ale powstrzymał Erikkiego lufą pistoletu.

– Ty wyrzuc noż i siadaj z przodu! – rozkazał po rosyjsku. – Szybko!

Wstrząśnięty Pettikin widział, jak Erikki stoi w miejscu z mieniącą się gniewem twarzą.

– Na Boga, mam dość amunicji, żeby zabić ciebie, ją i tego pierdolonego pilota. Wsiadaj!

Gdzieś od strony ciężarówek zaterkotał pistolet maszynowy. Erikki rzucił noż w śnieg i skoczył na przedni fotel, a Rakoczy wślizgnął się do tyłu obok Azadeh. Pettikin wystartował. Przez chwilę kluczył nad ziemią niczym przestraszona kuropatwa, a potem wzbił się wyżej.

– Co tam się, do diabła, działo? – zapytał, gdy odzyskał mowę.

Erikki nie odpowiedział. Odwrócił się, żeby sprawdzić, czy Azadeh dobrze się czuje. Skulona w fotelu, miała zamknięte oczy i ciężko oddychała. Rakoczy zapiął jej pas, ale gdy Erikki chciał jej dotknąć, pokazał mu pistoletem, żeby tego nie robił.

– Nic jej się nie stanie, obiecuję – oznajmił, w dalszym ciągu mówiąc po rosyjsku. – Pod warunkiem że będziesz się zachowywać tak, jak nauczyłem zachowywać się twojego przyjaciela. – Nie spuszczać oczu z Erikkiego, sięgnął do swojej niewielkiej torby i wyjął z niej magazynek. – Pamiętaj o tym. A teraz proszę odwrócić się do przodu.

Opanowując wściekłość, Erikki zrobił to i nałożył na głowę hełmofon. Rakoczy nie mógł ich w żaden sposób słyszeć – z tyłu nie było interkomu – i obaj czuli się dziwnie, będąc jednocześnie tak wolni i tak skrępowani.

– Jak nas znalazłeś, Charlie? Kto cię wysłał? – zapytał głębokim basem.

– Nikt mnie nie wysłał – odparł Pettikin. – Co to za sukinyś? Poleciałem do Tabrizu, żeby zabrać ciebie i Azadeh, ten kutas uwięził mnie, a teraz kazał mi lecieć do Teheranu. To, że cię zobaczyliśmy, to czysty przypadek. Co tu się działo?

– Skończyło nam się paliwo. – Erikki opowiedział mu w skrócie, co się wydarzyło. – Kiedy

zgasł silnik, wiedziałem, że już po nas. Wszyscy dostali tutaj kręćka. Przez jakiś czas byliśmy bezpieczni, ale potem znowu nas otoczyli, zupełnie jak przy tej blokadzie drogowej. Zablokowałem wszystkie drzwi, ale wiedziałem, że to tylko kwestia czasu...

Erikki ponownie się obejrzał. Azadeh otworzyła oczy i zsunęła z twarzy czador. Uśmiechnęła się do niego ze smutkiem, a potem wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, ale Rakoczy nie pozwolił jej.

– Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość – powiedział w farsy – ale musi pani poczekać, aż wylądujemy. Nic pani nie będzie. – Powtórzył to samo po rosyjsku i dodał: – Mam przy sobie trochę wody. Chce pan, żebym dał się napić pańskiej żonie?

Erikki pokiwał głową.

– Tak. Proszę. – Patrzył, jak Azadeh chciwie pije z manierki. – Dziękuję.

– Pan też chce?

– Nie, dziękuję – odparł grzecznie, mimo że wyschło mu w gardle. Nie chciał mieć wobec tego matierjebcy długów wdzięczności. Posłał krzepiący uśmiech żonie. – Jak manna z nieba, prawda, Azadeh? Charlie zjawił się niczym anioł!

– Tak... tak. Taka była wola Boga. Czuję się teraz dobrze, Erikki, bardzo dobrze, niech Bogu będą dzięki. Podziękuj Charliemu w moim imieniu.

Erikki starał się nie okazywać, jak bardzo się o nią boi. Drugi napad sparaliżował ją. Jego również i dlatego przysiągł sobie, że jeśli wyjdzie z tego żywy, zawsze już będzie podróżował z bronią, a jeszcze lepiej z ręcznymi granatami. Zobaczył, że Rakoczy go obserwuje. Pokiwał głową i odwrócił się z powrotem.

– Przeklęty matierjebiec – mruknął, machinalnie sprawdzając wskazania zegarów.

– To kompletny świr... nie musiał nikogo zabijać, powiedziałem mu, żeby puścił serię nad ich głowami. – Pettikin ściszył głos, krępując się mówić tak otwarcie, mimo że Rakoczy nie mógł ich usłyszeć. – Sukinsyn o mało mnie parę razy nie wykończył – dodał. – Skąd go znasz, Erikki? Czy ty albo Azadeh mieliście jakieś kontakty z Kurdami?

Erikki wlepił w niego zdumiony wzrok.

– Z Kurdami? Masz na myśli tego kutasa tam z tyłu?

– Tak, oczywiście. Nazywa się Ali bin Hassan Karakose. Pochodzi z okolic Araratu. Jest kurdyjskim Żołnierzem Wolności.

– To nie żaden Kurd, ale Rosjanin. Kagebista!

– Chryste Wszechmogący! Jesteś tego pewien?

Pettikin był kompletnie wstrząśnięty.

– Jak najbardziej. Twierdzi, że jest muzułmaninem, ale to też na pewno łgarstwo. Mnie powiedział, że nazywa się „Rakoczy”. Kolejne kłamstwo. Oni wszyscy są kłamcami... dlaczego zresztą mieliby nam, swoim przeciwnikom, mówić prawdę?

– Ale facet przysiągł, że to prawda, a ja dałem mu swoje słowo.

Zdenerwowany Pettikin opowiedział Erikkiemu o walce i o umowie, jaką zawarli.

– To ty jesteś głupcem, Charlie, nie on... nie czytałeś Lenina? Stalina? Marksa? Facet robi to samo, co wszyscy agenci KGB i zagorzali komuniści: korzysta z każdej okazji, by przysłużyć się świętej sprawie, zapewnić Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego absolutną władzę nad całym światem i doprowadzić do tego, żebyśmy powywieszali się nawzajem i oszczędzili im kłopotu. Mój Boże, napiłbym się wódki.

– Lepsza byłaby podwójna whisky.

– A jeszcze lepsze jedno i drugie. – Erikki przyglądał się leżącemu poniżej terenowi. Lot był łatwy, silniki pracowały równo, mieli mnóstwo paliwa. Szukał na horyzoncie Teheranu. – Już niedługo. Powiedział ci, gdzie masz lądować?

– Nie.

– Może nadarzy się jakaś okazja, żeby go załatwić.

– Może. – Pettikin poczuł, jak na nowo ogarniają go obawy. – Mówiłeś coś o blokadzie drogowej. Co się tam wydarzyło?

Twarz Erikkiego pociemniała.

– Zatrzymali nas. Lewicowcy. Musieliśmy uciekać. Nie mamy żadnych papierów, Azadeh ani ja. Zabrał je nam jeden taki gruby sukinsyn i nie mieliśmy czasu ich odebrać. – Przeszedł go nagły dreszcz. – Nigdy jeszcze tak się nie bałem, Charlie. Nigdy. Stojąc w tym tłumie byłem zupełnie bezradny i prawie srałem ze strachu, bo nie mogłem jej obronić. Ten tłusty śmierdziel zabrał mi wszystko: paszport, dowód tożsamości, licencję pilota...

– Mac załatwi ci nową, a twoja ambasada wyda wam paszporty.

– Nie martwię się o siebie. Co będzie z Azadeh?

– Ona też dostanie fiński paszport. Tak jak Szarazad kanadyjski. Nie musisz się martwić.

– Szarazad jest w Teheranie?

– Jasne. Tom chyba też. Miał przylecieć wczoraj z Zagrosu i przywieźć pocztę z domu... – To dziwne, przeszło przez głowę Pettikinowi. Anglia wciąż jest dla mnie domem, mimo że nie mam tam już Claire ani w ogóle niczego. – Wrócił właśnie z urlopu.

– O tym teraz myślę, o urlopie. Mam kilka zaległych tygodni. Może Mac znajdzie kogoś na moje miejsce. – Erikki szturchnął lekko Pettikina. – Nie martw się dzisiaj o to, co będzie jutro, prawda? Mówię ci, Charlie, to był majstersztyk. Kiedy zobaczyłem, jak do nas podchodzisz, myślałem, że śnię na jawie albo już nie żyję. Zobaczyłeś moją fińską flagę?

– Nie, to Ali. Jak go nazywasz? Rekowsky?

– Rakoczy.

– Rozpoznał ją Rakoczy. Gdyby nie on, w ogóle bym się nie kapnął. Przepraszam. – Pettikin zerknął w bok. – Czego on od ciebie chce?

– Nie wiem, ale na pewno chodzi o jakieś sowieckie machinacje. – Erikki zaklął pod nosem. – Więc zawdzięczamy życie również jemu?

– Na to wygląda – odparł po chwili Pettikin. – Sam nie zdołałbym tego zrobić. – Zerknął do tyłu. Rakoczy zachowywał czujność, Azadeh drzemała. Na jej twarzy kładły się cienie. Pettikin pokiwał głową i odwrócił się z powrotem. – Azadeh doszła chyba do siebie – oznajmił.

– Nie, Charlie, nie doszła – stwierdził z bólem Erikki. – Ten dzień był dla niej straszny. Powiedziała, że nigdy jeszcze nie zetknęła się tak blisko z wieśniakami, to znaczy nigdy nie była w takiej ciżbie, zdana na ich łaskę, osaczona. Zobaczyła prawdziwą twarz Iranu, prawdziwą twarz swoich ziomków. A także przymus czadom. – Ponownie przeszedł go dreszcz. – To był gwałt... zgwałcili jej duszę. Myślę, że teraz wszystko będzie dla niej inne, dla niej i dla nas. Będzie musiała wybrać: rodzinę albo mnie, Iran albo emigrację. Nie chcą nas tutaj. Pora, żebyśmy wyjechali, Charlie. Wszyscy.

– Nie masz racji. Może jeśli chodzi o Azadeh i ciebie sprawa wygląda inaczej, ale Irańczycy będą przecież nadal potrzebowali ropy i nadal potrzebne im będą śmigłowce. Czeka nas tutaj jeszcze kilka lat, kilka dobrych lat. – Pettikin poczuł klepnięcie w ramię i obejrzał się. Azadeh już nie spała.

Nie słysząc, co mówi do niego Rakoczy, zsunął z głowy hełmofon. – O co chodzi?

– Niech pan nie używa radia, kapitanie, i wylądуйте na przedmieściach, w miejscu, które panu wskażę.

– Muszę... muszę mieć pozwolenie.

– Niech pan nie robi z siebie idioty. Pozwolenie od kogo? Tam na dole wszyscy są za bardzo zajęci. Lotnisko w Teheranie jest obleżone – podobnie jak Doszan Tappeh i Galeg Morghi. Niech pan skorzysta z mojej rady i po rozstaniu ze mną wylądуйте na małym lotnisku Rudrama.

– Muszę o tym poinformować. Domaga się tego wojsko.

Rakoczy roześmiał się drwiąco.

– Wojsko? I o czym ich pan informuje? Że wylądował pan nielegalnie koło Kazwinu, pomógł zabić pięciu albo sześciu cywili i wziął na pokład dwóch cudzoziemców uciekających... no właśnie, przed kim? Przed gniewem ludu?

Pettikin odwrócił się z ponurą miną, żeby uzyskać połączenie, ale Rakoczy pochylił się do przodu i mocno nim potrząsnął.

– Obudź się, człowieku! Wojsko już nie istnieje. Generałowie oddali zwycięstwo Chomeiniemu. Poddali się!

Wszyscy spojrzeli na niego w milczeniu. Helikopter przechylił się na bok. Pettikin wyrównał szybko kurs.

– Zeszłej nocy generałowie kazali wojsku wracać do koszar. Wszystkim oddziałom... wszystkim służbom. Ustąpili przed Chomeinim i jego rewolucją. Nie ma teraz żadnego wojska, żadnej policji, żadnych żandarmów. Chomeini ma w ręku absolutną władzę: Lud zwyciężył!

– To niemożliwe – mruknął Pettikin.

– W żadnym wypadku – potwierdziła wystraszona Azadeh. – Wiedziałby o tym mój ojciec.

– Wielki Abdollah? – zapytał z kpina w głosie Rakoczy. – Teraz już wie... jeśli jeszcze żyje.

– To nieprawda.

– To możliwe, Azadeh – powiedział cicho Erikki. – To wyjaśnia, dlaczego nie widzieliśmy po drodze żadnej policji ani wojska. Dlaczego tłum odnosił się do nas z taką wrogością!

– Generałowie nie mogli tego zrobić – stwierdziła drżącym głosem, a potem odwróciła się do Rakoczego. – To by oznaczało samobójstwo dla nich i tysięcy innych. Powiedz prawdę, na Allacha!

Na twarzy Rosjanina malował się triumf. Cieszył się, że może zasiać niepokój i jeszcze bardziej wyprowadzić ich z równowagi.

– Teraz Iran jest w rękach Chomeiniego, jego mułłów i gwardii rewolucyjnej – wycodził.

– To kłamstwo.

– Jeśli to prawda, Bachtiar jest skończony – stwierdził Pettikin. – Nigdy nie...

– Ten głupiec nie zdążył nawet przejąć władzy! – Rakoczy wybuchnął śmiechem. – Ajatollah Chomeini napędził stracha generałom, a teraz poderżnie im gardła.

– W takim razie wojna domowa jest skończona.

– Ach, wojna... – mruknął chmurnie Rakoczy. – Dla jednych skończona, dla innych nie.

– Właśnie – podjął, drażniąc się z nim Erikki. – Jeśli to prawda, wojna skończyła się także dla ciebie: dla całego Tudehu i marksistów. Chomeini wszystkich was wyrznie.

– O nie, kapitanie. Ajatollah był mieczem, który pokonał szacha, ale to lud dzierży ten miecz w ręku.

– Chomeini razem ze swoimi mułłami i ludem zniszczy was. Komunistów nienawidzi tak samo

mocno jak Amerykanów.

– Lepiej poczekać. Po co macie się znowu ludzi. Chomeini jest człowiekiem praktycznym i niezależnie od tego, co dzisiaj mówi, lubi władzę.

Pettikin zobaczył, że Azadeh pobladała. Jego też przeszedł dreszcz.

– A Kurdowie? – zapytał chłodno. – Co będzie z Kurdami?

Rakoczy pochylił się do przodu z dziwnym uśmiechem.

– Jestem Kurdem bez względu na to, co Fin naopowiadał ci na temat Sowietów i KGB. Ciekawe, czy potrafi udowodnić to, co mówi. Oczywiście, że nie. Co się tyczy Kurdów, Chomeini, jeśli mu się pozwoli, będzie próbował nas wyeliminować. Wraz z innymi mniejszościami plemiennymi i religijnymi, cudzoziemcami, burżuazją, obszarnikami, bankierami, poplecznikami szacha i wszystkimi, którzy nie przyjmą jego interpretacji Koranu. Jeśli mu się pozwoli, przeleje rzekę krwi w imię swego Allacha... swojego, nie tego prawdziwego. – Zerknął przez okno, sprawdzając, gdzie się znajdują, a potem dodał z jeszcze większym przekąsem. – Ten heretycki Miecz Boga spełnił już swój cel i teraz zostanie przekuty na lemiesz... i pochowany!

– Masz na myśli „zamordowany”? – upewnił się Erikki.

– Pochowany. – Rakoczy ponownie się roześmiał – Zgodnie z wolą ludu.

Azadeh ocknęła się i miotając przekleństwa, chciała rozorać mu twarz paznokciami. Rakoczy złapał ją z łatwością i przez chwilę przytrzymał. Erikki przyglądał się temu z poszarzałą twarzą. W tym momencie nie był w stanie nic zrobić.

– Uspokój się! – zawołał ostro Rosjanin. – Tobie najbardziej powinno zależeć na usunięciu tego heretyka. Jeśli wygra, zniszczy Abdollah-chana, wszystkich Gorgonów i ciebie razem z nimi. Zachowuj się grzecznie, bo będę musiał zrobić ci krzywdę – powiedział, odpychając ją od siebie. – To prawda, tobie najbardziej powinno zależeć na jego śmierci. Odwróćcie się obaj do przodu – dodał i odbezpieczył broń.

Zrobili to, przeklinając Rosjanina i jego broń. Do przedmieść Teheranu zostało jakieś dziesięć mil. Lecieli równoległe do szosy i linii kolejowej, mając po lewej stronie góry Elburs i zbliżając się do miasta od zachodu. Niebo nad ich głowami było szare, żaden promień słońca nie przebijał się przez gęstą warstwę chmur.

– Widzi pan ten strumień, który przecina linia kolejowa, kapitanie? Ten mostek?

– Owszem, widzę – odparł Pettikin, podobnie jak Erikki starając się wymyślić jakiś plan, by pokrzyżować szyki Rosjaninowi. Zastanawiał się, czy uda mu się go złapać, ale siedział po złej stronie.

– Niech pan wylądować pół mili dalej na południe, koło tego wykopu.

Niedaleko wykopu biegła drugorzędna droga do Teheranu. Jechało nią niewiele samochodów.

– Tak. I co potem?

– Potem zwolnię pana. Na razie. – Rakoczy roześmiał się i szturchnął Pettikina w kark lufą pistoletu. – Z podziękowaniami. Ale niech pan się już nie odwraca. Patrzenie obaj prosto przed siebie, nie odpinajcie pasów i wiedźcie, że bacznie was obserwuję. Kiedy będzie pan lądował, niech pan to zrobi spokojnie i pewnie, a kiedy wysiądę, niech pan natychmiast odleci. I nie odwracajcie się, bo mogę się przestraszyć. A przestraszony człowiek łatwo pociąga za cyngiel. Zrozumiano?

– Tak. – Pettikin poprawił na głowie hełmofon i przyjrzał się miejscu lądowania. – Widzisz coś podejrzanego, Erikki?

– Nie. Obserwuj zasy – odparł Fin.

Lądowanie było proste i łatwe. Za oknami wirował śnieg podniesiony przez łopaty helikoptera.

– Nie odwracajcie się!

Nerwy obu mężczyzn były napięte jak postronki. Usłyszeli, jak otwierają się tylne drzwi i poczuli, jak do środka wpada zimne powietrze.

– Erikkiiii! – krzyknęła nagle Azadeh.

Mimo zakazu obydwaj się odwrócili. Rakoczy, z przewieszonym przez ramię pistoletem, był już na zewnątrz i ciągnął za sobą Azadeh, która szarpała się, wierzgała i próbowała złapać drzwi. Erikki natychmiast zeskoczył na ziemię, przebiegł skulony koło kadłuba i rzucił się na Rosjanina. Ale było już za późno. Zatrzymała go krótka seria pod nogi. Rakoczy stał dziesięć jardów dalej, poza zasięgiem łopat wirnika, w jednej ręce trzymając wycelowaną broń, drugą obejmując za szyję jego żonę. Azadeh przez chwilę stała nieruchomo, a potem nagle podjęła walkę, wyrывая się, krzycząc i okładając go kulakami. Erikki zaatakował.

Rakoczy złapał ją oburącz i pchnął gwałtownie na Fina, zwalając oboje z nóg, następnie zaś odbiegł kilkanaście jardów i ponownie odwrócił się z palcem zaciśniętym na spuście. Nie musiał strzelać: Erikki i jego żona w dalszym ciągu klęczeli oszołomieni na ziemi, pilot siedział w helikopterze. Po sekundzie dostrzegł, że Erikki podnosi się, odsuwa do tyłu Azadeh i szykuje się do kolejnej szarży.

– Stój! Bo tym razem cię zabiję! – rozkazał, puszczając ostrzegawczą serię w śnieg. – STÓJ! Wsiadajcie oboje do śmigłowca! – Erikki nieufnie go obserwował. – Idźcie! Jesteście wolni. Idźcie!

Przerażona Azadeh wdrapała się do kabiny. Erikki cofał się powoli, osłaniając ją własnym ciałem. Rakoczy nie opuszczał broni. Zobaczył, że Fin siada na tylnym siedzeniu i nie zamykając drzwi opiera stopy na płozie. Silniki natychmiast zawyły głośniejsze. Helikopter uniósł się stopę nad ziemią i powoli odwrócił dziobem do Rakoczego. Tylne drzwi zatrasnęły się. Serce zabiło mu szybciej w piersi. Czy wszyscy zginiecie już teraz, pomyślał, czy dokończymy tej walki innego dnia?

Wydawało mu się, że ta chwila trwa całe wieki. Śmigłowiec cofał się, stopa za stopą, wciąż stanowiąc dogodny cel. Palec Rosjanina zacisnął się na spuście, ale nie przesunął ani o cal. Kilka sekund później maszyna skrzyła w bok i wystartowała w górę.

Dobrze, pomyślał, czując, jak ogarnia go zmęczenie. Lepiej byłoby zatrzymać kobietę jako zakładniczkę, ale trudno. Porwiemy córkę starego Abdollah-chana jutro albo pojutrze. Może poczekać, podobnie jak Erikki Yokkonen. Tymczasem trzeba będzie zdobyć kraj i powybić generałów, mułłów, ajatollahów... i innych wrogów.



**WTOREK**

## ROZDZIAŁ 5

### PÓLNOCNE ZBOCZE SAWALANU, GODZINA 22.00.

Noc była bezchmurna i mroźna, na rozgwieżdżonym niebie świecił jasno księżyc. Kapitan Ross i jego dwaj Gurkhowie wspinali się ostrożnie za przewodnikiem i towarzyszącym im agentem CIA, Amerykaninem Rosemontem. Żołnierze ubrani byli w rękawice i białe śnieżne kombinezony z kapturami, naciągnięte na polowe mundury, lecz mimo to zimno dawało im się we znaki. Znajdowali się na wysokości mniej więcej ośmiu tysięcy stóp, pół mili od celu po drugiej stronie grani. Nad nimi wznosił się mający szesnaście tysięcy stóp potężny stożek wygasłego wulkanu.

– Zatrzymajmy się, żeby odpocząć, Meszgi – powiedział po turecku Amerykanin, zwracając się do przewodnika. Obaj byli odziani w proste miejscowe stroje.

– Skoro sobie życzysz, aga, proszę bardzo.

Przewodnik zszedł ze ścieżki i poprowadził ich przez śnieg do małej groty, której nikt nie zauważył. Był, stary, chudy, powykręcany niczym stare drzewo i ubrany w łachmany, ale po dwóch dniach wspinaczki zachował chyba najwięcej sił z nich wszystkich.

– Znakomicie – mruknął Amerykanin. – Zaszycjemy się tutaj do momentu, kiedy będziemy gotowi – zwrócił się do kapitana.

Ross zsunął z ramienia karabin i postawił z ulgą plecak na ziemi. Bolały go łydki, uda i plecy.

– Nie czuję nóg – stwierdził rozgoryczony – a jestem podobno w dobrej kondycji.

– Jest pan w dobrej formie, sahibie – powiedział w gurkhali sierżant Tenzing. – W trakcie następnego urlopu wypuścimy się razem na Everest.

– Nawet o tym nie marz – odparł po angielsku Ross i trzej żołnierze wybuchnęli śmiechem.

– To musi być coś: stanąć na takim szczycie – stwierdził Amerykanin.

Ross obejrzał się i zobaczył, że agent CIA lustruje wzrokiem zbocza góry. Spotkał się z nim po raz pierwszy przed dwoma dniami w Bandar-e Pahlavi i gdyby nie to, że poinformowano go, z kim będzie miał do czynienia, wziąłby go za Mongoła, Nepalczyka albo Tybetańczyka. Agent CIA miał ciemne włosy, żółtą skórę, skośne azjatyckie oczy i był ubrany jak nomada.

– Twój łącznik nazywa się Rosemont, Vien Rosemont – powiedział mu podczas odprawy w Teheranie pułkownik CIA. – Jest pół Wietnamczykiem, pół Amerykaninem. Ma dwadzieścia sześć lat, przebywa tutaj od roku, mówi po turecku i w farszi, jest agentem w drugim pokoleniu i możesz mieć do niego pełne zaufanie.

– Wygląda na to, że tak czy owak będę musiał mu ufać, nie sądzi pan?

– Co? No tak, oczywiście. Chyba tak. Spotkasz go na południe od Bandar-e Pahlavi w punkcie o tych współrzędnych. Rosemont będzie miał łódź. Popłyniecie nią wzdłuż wybrzeża i tuż przed granicą sowiecką dobijecie do brzegu i ruszycie w góry.

– Rosemont jest przewodnikiem?

– Nie. Po prostu zna Mekkę... tak brzmi nasz kryptonim stacji radarowej. Zorganizowanie przewodnika to jego problem, ale na pewno kogoś znajdzie. Jeśli nie pojawi się w umówionym punkcie, zaczekajcie do rana. Jeśli w niedzielę o świcie go nie będzie, to znaczy, że jest spalony i misja zostaje odwołana. Wszystko jasne?

– Tak jest. Czy dotarły do pana informacje o powstaniu w Azerbejdżanie?

– Z tego, co wiemy, doszło do zamieszek w Tabrizie i zachodniej części Azerbejdżanu. Wokół Ardabilu jest spokojnie. Rosemont będzie wiedział więcej. Wiemy, że Sowieci koncentrują swoje wojska i gotowi są wkroczyć, jeśli Azerowie wyrzucą ze swojego terytorium stronników Bachtara. Wszystko zależy od ich przywódców. Jednym z nich jest Abdollah-chan. Jeśli wpadniesz w kłopoty, wal prosto do niego. To nasz człowiek. Lojalny.

– W porządku. A ten pilot, Charles Pettikin? Co będzie, jeśli nie zechce nas zabrać?

– Zmusz go. W ten czy inny sposób. Ta misja uzyskała aprobatę samej góry zarówno z naszej, jak i z waszej strony, ale nie możemy dawać niczego na piśmie. Prawda, Bob?

Uczestniczący w odprawie Robert Armstrong, Anglik z Wydziału Specjalnego, pokiwał głową. Jego także Ross widział po raz pierwszy w życiu.

– A Irańczycy? Czy oni też to zaaprobowali?

– To kwestia bezpieczeństwa narodowego. Waszego i naszego. Ich również, ale oni mają w tym momencie inne rzeczy na głowie. Bachtar... Bachtar może się nie utrzymać.

– W takim razie to prawda. Ameryka postawiła na nim krzyżyk?

– Nic o tym nie wiem, kapitanie.

– Jeszcze jedno pytanie. Dlaczego nie wysyłacie waszych ludzi?

– Mają zbyt wiele innych zajęć – odparł za pułkownika Robert Armstrong. – Z waszym elitarnym wyszkoleniem dotrzecie tam najszybciej.

Z pewnością jesteśmy dobrze wyszkoleni, pomyślał Ross, masując ramiona, w które wrzynały mu się paski plecaka. Potrafimy się wspinać, skakać, jeździć na nartach, pływać pod wodą, zabijać po cichu i głośno, walczyć z terrorystami i wrogiem publicznym i wysadzić, jeśli to konieczne, każdy obiekt na lądzie i pod wodą. A poza tym mam wszystko, czego mi trzeba do szczęścia: zdrowie, ukończony uniwersytet, szkołę w Sandhurst, szkolenie SAS i moich ukochanych Gurkhów. Uśmiechnął się do nich i rzucił w wulgarnym dialekcie gurkhali sprośne słowo, które ubawiło ich do łez. Nagle spostrzegł, że przyglądają się im Vien Rosemont i przewodnik.

– Panowie wybaczą – stwierdził w farsy. – Mówiłem właśnie moim braciom, żeby grzecznie się zachowywali.

Meszi nie odezwał się, wlepił tylko z powrotem oczy w mrok.

Rosemont ściągnął buty i zaczął masować stopy, żeby je rozgrzać.

– Brytyjscy oficerowie, których widziałem, nie spoufalają się tak jak pan ze swoimi żołnierzami – oznajmił.

– Może mam więcej szczęścia od innych.

Ross obserwował kątem oka przewodnika, który podniósł się i stał teraz nasłuchując u wylotu grotu. W ciągu ostatnich kilku godzin stary sprawiał wrażenie coraz bardziej spiętego. Ross zastanawiał się, jak dalece można mu ufać. Posłał spojrzenie Guengowi, który siedział najbliżej. Mały Gurkha natychmiast pojął, o co chodzi, i skinął ledwo dostrzegalnie głową.

– Kapitan jest jednym z nas, proszę pana – wyjaśnił z dumą Tenzing, zwracając się do Rosemonta. – Podobnie jak przed nim jego ojciec i dziadek. Obaj byli *Sheng'khan*.

– Co to znaczy?

– To honorowy tytuł Gurkhów – odparł Ross, starając się ukryć dumę. – Władca Gór. Poza pułkiem nie ma większego znaczenia.

– Trzy pokolenia w tym samym mundurze. Czy to normalne?

Oczywiście, że nie, chciał odpowiedzieć Ross. Nie lubił osobistych pytań, mimo że właściwie polubił Rosemonta. Łódź czekała na nich o czasie, podróż wzdłuż wybrzeża, którą spędzili schowani pod brezentem, była szybka i bezpieczna. Wylądowali o zmroku i od razu ruszyli na miejsce następnego spotkania, gdzie czekał na nich przewodnik. Podczas marszu przez góry Rosemont nigdy się nie skarżył. Zasuwał ostro do przodu, prawie nie rozmawiając i wbrew temu, czego spodziewał się Ross, nie zadając prawie żadnych pytań.

Teraz też czekał cierpliwie, widząc, że coś zajmuje uwagę kapitana. Po chwili spostrzegł, że przewodnik wyszedł z groty, a potem wrócił i przykucnął przy wejściu, trzymając strzelbę na kolanach.

– O co chodzi, Meszgi? – zapytał.

– Nic takiego, aga. Doliną idą stada kóz i owiec.

Rosemont odchylił się wygodnie do tyłu. Dobrze, że znaleźliśmy tę grotę, pomyślał, to dobre miejsce, żeby się zaszyć. Zerknął na Rossa i zorientował się, że kapitan go obserwuje.

– Wspaniale jest być częścią zespołu – stwierdził po chwili.

– Jaki mamy teraz plan? – zapytał Ross.

– Kiedy dotrzemy do wejścia jaskini, ja pójdę przodem. Pan i pańscy ludzie zaczekacie na mnie, póki wszystkiego nie sprawdzę. W porządku?

– Jak pan sobie życzy, ale niech pan weźmie ze sobą sierżanta Tenzinga. Może pana osłaniać... a ja, razem z Guengiem, będę osłaniał was obu.

Po krótkiej chwili Rosemont pokiwał głową.

– Brzmi to niegłupio. W porządku, sierżancie.

– Tak, sahibie. Niech pan mi mówi, czego chce, prostym językiem. Mój angielski nie jest zbyt dobry.

– Wystarczająco dobry – odparł Rosemont, starając się ukryć zdenerwowanie. Wiedział, że jest na cenzurowanym. Ross obserwował go, podobnie jak on obserwował ich... stawka była bardzo wysoka.

– Wysadź po prostu Mekkę w cholere – powiedział mu dyrektor. – Mamy specjalną grupę, która ci pomoże. Nie wiemy, ile są warci, ale to na pewno najlepsi ludzie, jakich mogliśmy zorganizować. Dowódcą jest kapitan John Ross, tu masz jego zdjęcie. Ma ze sobą dwóch Gurkhów, nie wiemy, czy mówią po angielsku, ale mają dobre rekomendacje. On jest zawodowym oficerem. Ponieważ nigdy dotąd nie pracowałeś z Angolami, dam ci dobrą radę. Nie spoufalaj się i nie przechodź zbyt szybko na ty... jeż się jak kocury na wszelkie osobiste pytania, więc uważaj.

– Jasna sprawa.

– Z tego, co wiem, zastaniesz Mekkę pustą. Nasze inne stacje bliżej Turcji wciąż działają. Chcemy tam zostać tak długo, jak to możliwe, najlepiej do momentu kiedy generałowie dogadają się z nową władzą: Bachtiarem albo Chomeinim. Ale w Mekce... niech diabli wezmą kretynów, którzy narazili nas na takie ryzyko!

– Na czym ono polega?

– Mamy podstawy sądzić, że uciekli w pośpiechu i niczego nie zniszczyli. Byłeś tam przecież, na

litość boską! Mekkę naszpikowano taką ilością sprzętu podsłuchowego i obserwacyjnego, radarów dalekiego zasięgu, a także komputerów z wbudowanymi szyframi i kodami satelitarnymi, że jeśli to wszystko wpadnie w ręce mało nam przyjaznego szefa KGB, towarzysza Andropowa, faceta ogłoszą Człowiekiem Roku. Potrafisz w to uwierzyć? Ci kretyni po prostu wszystko tam zostawili!

– Zdradzili?

– Wątpię. Po prostu skrajna głupota. Nie mieli żadnego planu ewakuacyjnego... podobnie zresztą jak gdzie indziej. To chyba nie całkiem ich wina. Nikt z nas się nie spodziewał, że szach tak szybko się zwinie, a Chomeini złapie Bachtiara za jaja. Nikt nas nie ostrzegł... nawet SAVAK.

A teraz my musimy posprzątać zabawki, pomyślał Vien. Albo raczej wysadzić je w powietrze. Czuł się bardzo zmęczony. Zerknął na zegarek, a potem na księżyc. Lepiej poczekać jeszcze godzinę. Bolały go nogi i głowa. Zobaczył, że Ross wciąż mu się przygląda, i uśmiechnął się do siebie. Ja dam sobie radę, Angolu. A ty?

– Ruszamy za godzinę – powiedział.

– Po co tyle czekać?

– Księżyc będzie niżej. Tutaj jest bezpiecznie i mamy czas. Wie pan, co trzeba zrobić?

– Zaminować wejście do jaskini i wszystko, co pan pokaże. A potem wysadzić ją i wiać do domu.

Rosemont uśmiechnął się i trochę rozluźnił.

– Co jest dla pana domem?

– Tak naprawdę sam nie wiem – odparł zaskoczony Ross. Nigdy nie zadawał sobie tego pytania. Po chwili odpowiedział, bardziej sobie niż Amerykaninowi: – Może Szkocja, a może Nepal. Moi rodzice mieszkają w Katmandu. Są Szkotami jak ja, lecz przebywają tam od pięćdziesiątego pierwszego, kiedy ojciec przeszedł na emeryturę. Urodziłem się tutaj, ale uczyłem się na ogół w Szkocji. – Oba kraje są dla mnie domem, pomyślał. – A dla pana?

– Waszyngton; a tak naprawdę Falls Church w Wirginii, który stanowi prawie część Waszyngtonu. Tam się urodziłem. – Rosemont miał ochotę na papierosa, ale wiedział, że to może być niebezpieczne. Był zadowolony, że ma się do kogo odezwać. – Tato pracował w CIA. Teraz nie żyje, ale ostatnie lata spędził w Langley, które leży całkiem niedaleko. W kwaterze głównej CIA w Langley. Mama wciąż mieszka w Falls Church, ale ja nie byłem tam od dobrych kilku lat. Był pan kiedyś w Stanach?

– Nie, jeszcze nie.

Zerwał się niewielki wiatr i przez chwilę obaj obserwowali noc.

– Ucichnie zaraz po północy – oświadczył pewnym tonem Rosemont.

Ross zobaczył, że przewodnik znowu zmienia pozycję. Czy miał zamiar się ulotnić?

– Pracował pan już kiedyś z tym człowiekiem? – zapytał.

– Jasne. W zeszłym roku obszedłem z nim całe góry... spędziłem tu miesiąc. Rutynowe działania. Przeciwnik intensywnie infiltruje ten teren i próbowaliśmy mieć go na oku... podobnie jak on nas. – Rosemont przyglądał się przez chwilę przewodnikowi. – Meszgi to porządny facet. Kurdowie nie lubią Irańczyków i Irakijczyków, a także naszych przyjaciół z drugiej strony granicy. Ale miał pan prawo zapytać.

Ross dał znak Tenzingowi.

– Rozejrzyj się trochę. I uważaj na przewodnika. Zjesz później – powiedział w gurkhali. Sierżant natychmiast zostawił plecak i zniknął w ciemnościach. – Wysłałem go na zwiady – wyjaśnił.

– Dobrze – stwierdził Rosemont.

Przyglądał im się bardzo uważnie podczas wspinaczki i podziwiał, jak bardzo są zgrani, jak wzajemnie się kryją, zawsze zdają się wiedzieć, co mają robić, bez żadnych rozkazów i zawsze z odbezpieczoną bronią.

– Czy to nie jest przypadkiem niebezpieczne? – zapytał wcześniej.

– Owszem, panie Rosemont, jeśli ktoś nie zdaje sobie sprawy, co robi – odparł Brytyjczyk, lecz w jego głosie nie słychać było arogancji. – Ale kiedy za każdym drzewem, rogiem albo skałą może się czaić przeciwnik, odbezpieczona broń może uratować panu życie. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby panu pomóc, a potem bezpiecznie się wycofać – dodał wtedy szczerze i Vien Rosemont po raz kolejny zadał sobie pytanie, czy uda im się nie tyle wycofać, ile w ogóle wejść do środka. Od porzucenia Mekki minął prawie tydzień. Nikt nie wiedział, co zastaną tam po wejściu; stacja mogła być pusta, ograbiona albo nawet obsadzona przez przeciwnika.

– Wie pan, że cała ta misja to szaleństwo?

– Nie do nas należy jej ocena.

– Mamy po prostu wykonać zadanie albo umrzeć? To przecież bzdura!

– Jeśli to panu ulży, ja też uważam, że to bzdura.

Po raz pierwszy obaj się roześmieli. Rosemont poczuł się o wiele lepiej.

– Nie mówiłem tego, ale cieszę się, że mam was ze sobą – mruknął.

– My też się cieszymy, że tu jesteśmy – odparł Ross. Otwarty komplement wprowadził go w zakłopotanie, ale starał się tego nie okazywać. – Niech pan zje razem z nami, aga – zawołał w farsii do przewodnika.

– Dziękuję, aga, ale nie jestem głodny – odparł stary, w dalszym ciągu kucając przy wejściu do groty.

Rosemont włożył z powrotem buty.

– Macie dużo jednostek specjalnych w Iranie?

– Tylko sześć – odparł Ross, po czym otworzył plecak i rozdał puszki z wołowiną. – Szkolimy Irańczyków. Myśli pan, że Bachtiar się utrzyma?

– Nie. Wśród górskich klanów panuje przekonanie, że za tydzień już go nie będzie: prawdopodobnie zostanie zastrzelony.

Ross gwizdnął pod nosem.

– Aż tak źle?

– Gorzej: w ciągu roku Azerbejdżan stanie się sowieckim protektoratem.

– Niech to szlag!

– Zgadzam się. Ale nigdy nic nie wiadomo. – Rosemont uśmiechnął się. – To właśnie sprawia, że życie jest takie ciekawe.

Ross podał mu od niechcenia manierkę.

– Najlepszy irański biber, jaki można dostać – oznajmił.

Rosemont skrzywił się, ale po jednym łyku rozpromienił.

– Jezu Chryste, to najprawdziwsza szkocka – stwierdził i chciał wypić więcej, ale Ross był czujny i zabrał manierkę z powrotem.

– Spokojnie. To wszystko, co mamy, aga.

Rosemont wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zjedli szybko wołowinę. W jaskini było przytulnie i bezpiecznie.

– Był pan kiedyś w Wietnamie? – zapytał Rosemont. Chciał trochę pogadać i doszedł do wniosku, że nadszedł odpowiedni moment.

– Nie, nigdy. O mało tam nie wylądowałem, kiedy razem z ojcem wybraliśmy się do Hongkongu, ale zamiast do Sajgonu poleciliśmy do Bangkoku.

– Z Gurkhami?

– Nie, to było dawno temu, chociaż teraz mamy tam batalion. – Ross przez chwilę się zastanawiał. – Miałem wtedy siedem albo osiem lat. Mój ojciec miał jakichś krewnych w Hongkongu, nazywali się bodaj Dunrossowie i odbywało się coś w rodzaju zjazdu klanu. Nie zapamiętałem wiele z Hongkongu prócz trędownatego, który leżał na ziemi obok terminalu promowego. Musiałem codziennie go mijać... prawie codziennie.

– Mój tato stacjonował w Hongkongu w sześćdziesiątym trzecim – stwierdził z dumą Vien Rosemont. – Był zastępcą dyrektora tamtejszej placówki CIA. – Podniósł z ziemi kamień i przez chwilę się nim bawił. – Wie pan, że jestem półkrwi Wietnamczykiem?

– Tak, powiedzieli mi.

– Co panu jeszcze powiedzieli?

– Że mogę panu bezgranicznie ufać.

Rosemont uśmiechnął się krzywo.

– Miejmy nadzieję, że się nie mylili. – W zamyśleniu zaczął sprawdzać mechanizm swojego M16.

– Zawsze chciałem odwiedzić Wietnam. Mój tato, mój prawdziwy tato, był Wietnamczykiem, plantatorem, ale zginął jeszcze przed moim urodzeniem. To było w czasach, kiedy w Indochinach rządzą Francuzi. Ludzie z Wietkongu zatłukli go koło Dien Bien Phu. Mama... – Na jego twarzy pojawił się uśmiech – ...mama jest tak samo amerykańska jak Big Mac i kiedy wychodziła ponownie za mąż, wybrała sobie wspaniałego faceta. Żaden prawdziwy ojciec nie mógłby mnie bardziej kochać.

Gueng podniósł nagle karabin.

– Sahibie!

Ross i Rosemont złapali za broń, a potem rozległo się ciche kwilenie. Ross i Gueng odprężyli się.

– To Tenzing.

Sierżant wynurzył się z ciemności tak samo cicho, jak zniknął. Na jego twarzy malowała się troska.

– Droga w dolinie jedzie dużo ciężarówek, sahibie...

– Po angielsku, Tenzing.

– Tak, sahibie. Dużo ciężarówek. Naliczyłem jednaście, jadą w konwoju...

Rosemont zaklął.

– Ta droga prowadzi do Mekki. Jak daleko są?

Niski mężczyzna wzruszył ramionami.

– Przy wjeździe do doliny. Przeszedłem na drugą stronę grani, gdzie jest... – wtrącił słowo w gurkhali i Ross podpowiedział mu angielski ekwiwalent – ...skalna ostroga. Droga w dolinie zakręca, potem pnie się serpentynami w górę. Jeśli ogon węża jest w dolinie, a łeb na samej górze, to cztery ciężarówki minęły już ogon.

Rosemont ponownie zaklął.

– Będą tu najpóźniej za godzinę. Powinniśmy...

W tej samej chwili rozległ się jakiś hałas i odwrócili głowy w stronę wyjścia. Zobaczyli uciekającego przewodnika i puszczającego się za nim w pogoń Guenga.

– Co się z nim, do diabła...

– Z jakiegoś powodu opuszcza tonący okręt – stwierdził Ross. – Niech pan o nim zapomni. Czy godzina nam wystarczy?

– Jasne. W zupełności. – Założyli szybko plecaki i Rosemont załadował swój lekki pistolet maszynowy. – Co będzie z Guengiem?

– Dogoni nas.

– Wchodzimy do środka. Ja pierwszy. Jeśli wpadnę w opałę, wycofujecie się. Jasne?

Zimno stanowiło prawie fizyczną przeszkodę, którą musieli pokonać. Rosemont prowadził pewnym krokiem. Na krętej ścieżce nie leżało wiele śniegu, podeszwy butów trzymały się dobrze podłoża. Szybko pokonali grań i zeszli na drugą stronę. Ścieżka była tutaj bardziej śliska, zbocze gołe, tylko gdzieniegdzie przez śnieg przebijały kępy traw i chwastów. Przed sobą mieli wjazd do jaskini. Na zaśnieżonej drodze widać było ślady opon.

– To mogły być nasze ciężarówki – stwierdził Rosemont, starając się ukryć niepokój. – Śnieg nie padał już od kilku tygodni.

Dał znak, żeby zaczekali, po czym zbiegł na drogę i ruszył do wejścia. Tenzing pobiegł za nim, kryjąc się za głazami i poruszając równie szybko.

Ross zobaczył, że Rosemont znika w cieniu. A potem Tenzing. Coraz bardziej się niepokoił. Z miejsca, w którym stał, nie widział dalszego odcinka opadającej stromo drogi. W świetle księżyca skały i szeroka dolina nabrały złowrogiego wyglądu; czuł się odsłonięty i samotny i denerwowało go oczekiwanie. Nie tracił jednak odwagi.

– Jeśli są z tobą Gurkhowie, synu, masz szansę wyjść z największych tarapatów – powtarzał mu ojciec. – Chronić ich, a oni zawsze ochronią ciebie. I nie zapominaj, że przy odrobinie szczęścia ty też któregoś dnia zostaniesz *Sheng'khan*.

Ross uśmiechnął się wiedząc, że tytuł przyznawany jest nader rzadko; dostają go ludzie, którzy okryli honorem pułk, wspięli się samotnie na któryś z wielkich nepalskich szczytów, użyli kukri i ocalili życie żołnierzowi Gurków będącemu w służbie Wielkiego Raja. Jego dziadek, kapitan Kirk Ross z korpusu medycznego, który poległ w bitwie pod Somną, otrzymał tytuł pośmiertnie; jego ojciec, podpułkownik Gavin Ross, odznaczony orderem za wzorową służbę, otrzymał go w Birnie w roku 1943. A ja? Wspiąłem się na porządną górę – K4 – i na tym koniec, ale mam jeszcze mnóstwo czasu...

Wyczulone zmysły ostrzegły go, że ktoś się zbliża. Wyjął z pochwy kukri, ale to był tylko Gueng. Gurkha stanął przy nim, oddychając z trudem.

– Nie zareagowałeś dość szybko, sahibie. Mogłem cię przed chwilą dźgnąć – szepnął uszczęśliwiony w gurkhali, po czym podniósł do góry oderżniętą głowę i uśmiechnął się. – Przyniosłem ci prezent.

Ross nie widział jeszcze nigdy uciętej głowy. Oczy były otwarte, a twarz starego wykrzywiona z przerażenia. Zabił go Gueng, ale to ja wydałem rozkaz. Czy przewodnik narobił po prostu ze strachu w portki i chciał zwiać, póki jeszcze czas? Czy też był szpiegiem albo zdrajcą i miał zamiar donieść o nas wrogowi?

– O co chodzi, sahibie? – zapytał Gueng, podnosząc brew.

– O nic. Odłóż tę głowę.



Gueng odrzucił ją na bok. Potoczyła się kilka jardów po zboczach i zatrzymała.

– Przeszukałem go, sahibie – powiedział Gurkha i wręczył Rossowi amulet. – To znalazłem na szyi, a to – dodał, wyciągając małą skórzaną torebkę – zawiesił sobie przy jajach.

Amulet był zwykłym niebieskim kamieniem, który miał chronić przed złym urokiem. W torebce była mała laminowana karta. Ross przyjrzał się jej i serce zabiło mu szybciej. W tym samym momencie w mroźnym powietrzu rozległo się kolejne kwilenie, na trochę inną nutę. Obaj natychmiast złapali broń i pobiegli w stronę wejścia do jaskini, wiedząc, że to Tenzing daje im znak, iż droga jest wolna i powinni się pośpieszyć. W środku ciemność wydawała się jeszcze głębsza, ale po chwili, kiedy przywykli do niej oczy, zobaczyli błysk światła. To była latarka z częściowo zakrytym reflektorem.

– Tutaj, kapitanie. – Głos Rosemonta, chociaż niezbyt głośny, odbił się silnym echem. – Tędy. – Amerykanin wprowadził ich w głąb jaskini i gdy uznał, że to bezpieczne, oświetlił kamienne ściany. – Możecie zapalić wasze latarki.

Jaskinia była ogromna. Sklepienie wznosiło się pięćdziesiąt stóp nad ich głowami, od głównej nawy odchodziło wiele naturalnych oraz wykutych w skale korytarzy.

– Tu odbywał się rozładunek – oznajmił Rosemont, szukając właściwego korytarza. Znalazłszy go, oświetlił ściany latarką. Na samym końcu znajdowały się uchylone stalowe drzwi. – Powinny być zamknięte – stwierdził z niepokojem. – Nie wiem, czy tak je zostawiono, czy otworzył je ktoś inny, ale tędy właśnie musimy wejść.

Ross dał znak Tenzingowi. W rękę żołnierza natychmiast błysnął kukri i Gurkha zniknął w środku. Ross i Gueng instynktownie zajęli pozycje obronne. Ciekawe, przeciw komu, przemknęło przez głowę Rossowi. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że znaleźli się w pułapce. W każdym z korytarzy mogło się ukrywać pięćdziesięciu ludzi.

Sekundy wlokły się jedna za drugą. W końcu po raz kolejny rozległo się kwilenie. Ross wbiegł pierwszy do środka, za nim Gueng i Rosemont. Mijając drzwi, Amerykanin spostrzegł, że Tenzing stoi tuż obok i osłania ich. Zamknął drzwi i przekręcił kontakt. Oślepiło ich jaskrawe światło.

– Alleluja – powiedział, nie kryjąc ulgi. – Generałowie twierdzą, że jeśli generatory wciąż działają, wszystko pójdzie nam jak z płatka. Te drzwi nie przepuszczają światła.

Zasunął ciężkie rygle i zawiesił latarkę przy pasie.

Znajdowali się w kolejnej, znacznie mniejszej jaskini, zaadaptowanej do potrzeb stacji. Ściany wygładzono, podłogę wyrównano i pokryto wykładziną. Pomieszczenie przypominało sekretariat z biurkami i telefonami. Wszędzie walały się śmieci.

– Nie mieli czasu posprzątać – stwierdził z przekąsem Rosemont, zmierzając w stronę kolejnego tunelu, który zaprowadził ich do następnego pomieszczenia z biurkami, kilkoma ekranami radaru oraz szarymi i zielonymi telefonami.

– Szare linie są wewnętrzne. Zielone biegną do wieży i masztów na górze, a stamtąd przez satelitę do Teheranu i różnych innych tajnych miejsc. Mają wbudowane skramblery. – Rosemont podniósł słuchawkę jednego z aparatów. Nie było sygnału. – Może chłopcy z łączności zrobili jednak, co do nich należało. – Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowało się wejście do kolejnego tunelu. – Tam mieści się generator zaopatrujący w energię tę część stacji, gdzie jest sprzęt, który musimy zniszczyć. Kwatery mieszkalne, kuchnie, jadalnie i warsztaty znajdują się w innych grotach. Prowadzą do nich tunele ze stacji rozładunkowej. Pracowało tu na okrągło osiemdziesiąt osób.

– Czy jest stąd jakieś inne wyjście? – zapytał Ross. Nigdy w życiu nie czuł się tak szczelnie

zapuszkowany.

– Jasne, na szczycie, tam, dokąd idziemy.

Wykute w skale stopnie prowadziły na górę. Rosemont wspiał się po nich. Na podeście znajdowały się drzwi z napisem NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP SUROWO WZBRONIONY. One także były otwarte.

– Cholera – mruknął, wchodząc do kolejnej jaskini.

Tu ściany były otynkowane na biało, podłoga wyrównana. Wewnątrz znowu znajdowały się biurka, ekrany radarów, kilkadziesiąt komputerów, sprzęt elektroniczny. Dwa stojące na głównym biurku telefony były czerwone.

– Co to za połączenie?

– Bezpośrednio z Langley przez satelitę wojskowego.

Rosemont podniósł słuchawkę jednego z aparatów. Nie działał, podobnie jak drugi. Amerykanin wyjął kartkę papieru, sprawdził coś na niej, a potem podszedł do tablicy przełączników i wcisnął kilka z nich. Z jego ust wydarło się przekleństwo. Z cichym szumem włączyły się komputery, a wraz z nimi trzy ekrany radarowe. Obracały się na nich białe promienie, zostawiając za sobą rozproszone zarysy.

– Sukinsyny! Żeby tak wszystko zostawić! – Rosemont wskazał palcem cztery stojące z boku komputery. – Wysadźcie je... są najważniejsze.

– Gueng!

– Tak, sahibie. – Gurkha zdjął plecak i zaczął rozpakowywać ładunki plastiku i detonatory.

– Zapalniki półgodzinne? – zapytał Rosemont.

– Wystarczą. – Ross wpatrywał się zafascynowany w jeden z ekranów. Na północy widział większą część Kaukazu, całe Morze Kaspijskie, na zachodzie fragment Morza Czarnego, wszystkie kontury zaskakująco wyraźne. – Można sobie tutaj dużo pooglądać – mruknął.

Rosemont podszedł do klawiatury i wcisnął przełącznik.

Ross patrzył przez chwilę osłupiałym wzrokiem w ekran.

– Teraz rozumiem, dlaczego nas tutaj wysłano – stwierdził.

– To tylko fragment.

– Chryste! W takim razie zabierajmy się do dzieła. Co z wjazdem do jaskini?

– Nie mamy czasu, żeby to zrobić porządnie. Poza tym po drugiej stronie tych drzwi nie ma nic ważnego. Wysadzimy za sobą tunele i uciekniemy wyjściem ewakuacyjnym.

– To znaczy którądy?

Amerykanin podszedł do drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. Te były dla odmiany zamknięte. Wyjął pęk oznakowanych kluczy, odnalazł odpowiedni i wsadził go w zamek. Drzwi otworzyły się, odsłaniając biegnące stromo do góry wąskie spiralne schody.

– Można tędy wyjść na zewnątrz.

– Tenzing, upewnij się, czy droga jest wolna. – Gurkha ruszył na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. – Co teraz?

– Pokój szyfrów i sejfy. Potem łączność. Na końcu generator, dobrze?

– Tak. – Ross coraz bardziej podziwiał zdecydowanie Amerykanina. – Zanim wyjdziemy, niech pan lepiej rzuci na to okiem – powiedział, pokazując mu małą laminowaną kartę. – Gueng dogonił przewodnika. Miał to przy sobie.

Cała krew odpłynęła z twarzy Rosemonta. Na karcie był odcisk kciuka, napis po rosyjsku

i podpis.

– Legitymacja! – wyjąkał. – Komunistyczna legitymacja.

Stojący za nim Gueng zastygł w bezruchu.

– Tak myślałem – stwierdził Ross. – Co tam jest napisane?

– Nie wiem. Nie znam rosyjskiego, ale dam głowę, że to coś w rodzaju listu żelaznego.

Rosemont poczuł falę mdłości na myśl o wszystkich tych dniach i nocach, które spędził w towarzystwie przewodnika, włócząc się z nim po górach, śpiąc obok w szczerym polu, czując się absolutnie bezpieczny. Podczas gdy przez cały czas był rozpracowywany. Odrętwiały potrząsnął głową.

– Mieszki współpracował z nami przez cztery lata... należał do podziemnej grupy Ali bin Hassana Karakose. Ali jest jednym z naszych najlepszych łączników w górach. Wspaniały facet, na północy zapuszcza się nawet do Baku. Jezu, może został zdradzony. – Jeszcze raz spojrzął na kartę. – Po prostu nie wiem, co o tym sądzić.

– Ja myślę, że zostaliśmy wystawieni. Jak kaczkę na strzelnicy – stwierdził Ross. – Może konwój należy do całej operacji: jadące nim wojsko ma nas przyskrzynić. Musimy się chyba pośpieszyć.

Rosemont pokiwał głową, starając się opanować strach. Spokój Rossa trochę mu w tym pomógł.

– Tak, ma pan rację. – Wstrząśnięty ruszył małym korytarzykiem do najbliższych drzwi. Były zamknięte. – Jestem winien panu i pańskim ludziom przeprosiny – powiedział, przeglądając swoje klucze. – Nie wiem, jak dałem mu się zwieść i jak temu sukinsynowi udało się przejść lustrację, ale stało się i ma pan prawdopodobnie rację: zostaliśmy wystawieni. Niewiele to nam pomoże, ale przepraszam.

– Owszem, pomoże. – Ross wyszczerzył zęby w uśmiechu i obaj poczuli, jak opuszcza ich strach. – Na pewno pomoże.

– Dziękuję. Naprawdę dziękuję. Gueng zabił go?

– Tak – odparł krótko Ross. – Wręczył mi jego głowę. Normalnie przynoszą tylko uszy.

– Jezu... Długo pan z nimi służy?

– Z Gurkhami? Cztery lata.

Klucz wsunął się w zamek i drzwi się otworzyły. Pokój szyfrów był pedantycznie schludny. Ross zobaczył teleks, dalekopis i kilka kopiarek. Na osobnym biurku stała dziwna drukarka z własną klawiaturą.

– To dekodery – poinformował go Rosemont. – Przeciwnik dałby za niego każde pieniądze. – Na biurku leżały ułożone równo ołówki i kilka książek szyfrów. Amerykanin podniósł jeden z nich. – Słodki Jezu... – Wszystkie opatrzone były nagłówkiem MEKKA – WYŁĄCZNIE JEDNA KOPIA. – Zamknęli przynajmniej główny szyfr – stwierdził, po czym podszedł do wbudowanego w ścianę nowoczesnego sejfu z elektronicznym zamkiem szyfrowym. Wyjął z kieszeni karteczkę i wcisnął kilka cyfr, lecz zielone światelko nie zapaliło się. – Może pomyliłem jakąś cyfrę. Może mi je pan przeczytać?

– Oczywiście. – Ross zaczął czytać długi szereg cyfr.

Do pokoju szyfrów wślizgnął się bezszelestnie Tenzing. Nie usłyszeli go, a po chwili obaj jednocześnie wyczuli czyjąś obecność i spanikowani odwrócili się w jego stronę.

Tenzing promieniał z radości, nie zwracając uwagi na przekleństwa, jakimi go obrzucili. Czyż *Sheng'khan* nie kazał mu szkolić syna i nauczyć go sztuki cichego skradania się i zabijania? Czy on, Tenzing, nie przysiągł, że będzie go strzegł i stanie się jego nauczycielem? „Ale, na miłość boską,

Tenzing, nie zdradz nigdy memu synowi, o co cię prosiłem. Niech to będzie nasza wspólna tajemnica...”. Od kilku tygodni naprawdę trudno było zaskoczyć sahiba, pomyślał zadowolony. Ale Gueng podszedł go przed kwadrans, a teraz udało się to mnie. Lepiej, żebyśmy to byli my, a nie przeciwnik – który osacza nas teraz niczym pszczoły w ulu.

– Schody mają siedemdziesiąt pięć stopni i prowadzą do żelaznego wjazdu – poinformował ich. – Jest zardzewiały, ale podważyłem go. Na zewnątrz jest jaskinia, a dalej noc. To dobra droga ucieczki, sahibie. Niedobre jest to, że zobaczyłem stamtąd pierwsze ciężarówki konwoju. – Przez chwilę się zastanawiał, nie chcąc się pomylić. – Zostało nam mniej więcej pół godziny.

– Wracaj do pierwszych drzwi, Tenzing, do tych, które zaryglowaliśmy. Zaminuj korytarz po naszej stronie tak, żeby wybuch ich nie uszkodził. Zapalnik ustaw na dwadzieścia pięć minut od teraz. Powiedz Guengowi, żeby ustawił dokładnie tak samo czas odpalenia swoich ładunków.

– Tak, sahibie.

Ross odwrócił się. Zauważył krople potu na czole Rosemonta.

– Wszystko w porządku?

– Jasne! Stanęliśmy na stu trzech.

– Dalej mamy sześćset sześćdziesiąt, trzydzieści jeden. – Zobaczył, jak Amerykanin wciska klawisze. Zaczęło mrugać zielone światelko. Prawa ręka Rosemonta dotknęła dźwigni.

– Niech pan zaczeka! – Ross starł własny pot z podbródka, czując pod palcami twardą szczecinę. – Nie mogli chyba zaminować drzwiczek?

Rosemont popatrzył na niego, a potem na sejf.

– To możliwe. Tak, to całkiem możliwe.

– Więc wysadźmy po prostu sejf, nie otwierając drzwiczek.

– Muszę... muszę to sprawdzić. Muszę sprawdzić, czy w środku jest główna książka szyfrów Mekki. Ona i dekodery mają priorytet. – Rosemont ponownie spojrzał na migoczące światelko. – Niech pan przejdzie do drugiego pomieszczenia, zaczeka tam razem z Guengiem i zawoła, kiedy będziecie gotowi. Nie musicie się narażać.

Ross chwilę się wahał, a potem skinął głową i podniósł dwie paczki z materiałami wybuchowymi i detonatorami.

– Gdzie jest pokój łączności?

– Za następnymi drzwiami.

– Czy generator jest bardzo ważny?

– Nie. Tylko to pomieszczenie, dekodery i cztery komputery w pierwszej sali, chociaż moim zdaniem najlepiej byłoby wysadzić w cholerę całe piętro.

Rosemont zerknął na odchodzącego Rossa, a potem odwrócił się i spojrzał ponownie na dźwignię. W piersi czuł dziwny ucisk. Ten skurwysyn Meszgi! Oddałby za niego głowę.

– Gotowi? – zawołał niecierpliwie.

– Niech pan zaczeka!

Żołądek podszedł Rosemontowi do gardła. Ross bezszelestnie wrócił. W ręku trzymał długą cienką nylonową linę wspinaczkową, którą szybko obwiązał dźwignię.

– Niech pan przekręci dźwignię, kiedy powiem, ale nie otwiera drzwiczek. Zrobimy to stamtąd. – Ross pobiegł w stronę korytarza, który prowadził do drugiej sali. – Szybciej!

Rosemont wziął głęboki oddech, żeby uspokoić walące serce, przekręcił dźwignię na pozycję „Otwarte” i popędził w ślad za Rossem. Szkot dał mu znak, by przykucnął przy ścianie.

– Wysłałem Guenga, żeby ostrzegł Tenzinga. Gotów?

– Jasne.

Ross napiął linę, a potem ostro pociągnął. Bez skutku. Kiedy pociągnął mocniej, lina ustąpiła o jedną stopę i ani cala więcej. Nic się nie stało. Cisza. Obaj mężczyźni byli złani potem.

– Doskonale – oświadczył z ulgą Ross i wstał. – Lepiej dmuchać na...

Wybuch zagłuszył jego słowa. Potężna chmura kurzu i kawałki metalu wpadły przez korytarz do ich sali, przewracając stoły i krzesła i zapierając im dech w piersiach. Wszystkie ekrany radarów wybuchły, światło zgasło, a jeden z czerwonych telefonów przeleciał przez całe pomieszczenie i rozbił się o metalową obudowę komputera. Po pewnym czasie kurz opadł; obaj mężczyźni mieli wrażenie, że wyplują z siebie zaraz płuca.

Pierwszy doszedł do siebie Rosemont. Wciąż miał przy pasie latarkę. Sięgnął po nią.

– Sahibie? – zawołał zaniepokojony Tenzing, wbiegając do jaskini z zapaloną latarką. Tuż za nim szedł Gueng.

– Nic... nic mi nie jest – wykrztusił Ross, wciąż zanosząc się paskudnym kaszlem. Tenzing odnalazł go leżącego na rumowisku. Po twarzy ciekła mu strużka krwi, ale rana była powierzchowna: skaleczył go kawałek szkła.

– Bogom niech będą dzięki – mruknął Tenzing, pomagając mu wstać.

Ross z trudem się wyprostował.

– Chryste Wszechmogący...

Mrugając oczyma, przyjrzał się poboju, a potem pokuśtykał za Rosemontem do pokoju szyfrów. Sejf wyparował wraz z dekoderm, książkami szyfrów i telefonami. W skale ziała wielka dziura. Sprzęt elektroniczny zmienił się w masę poskręcane metalu i kabli. Tu i ówdzie tliły się niewielkie płomyki.

– Jezu. – Rosemont nie był w stanie wykrztusić nic więcej. Jego głos przypominał rżenie. Uciekaj, nim zostaniesz tu żywcem pogrzebany, przeleciało mu przez głowę. – Jezu Chryste! – powtórzył, a potem powłókł się do ściany, gdzie chwyciły go gwałtowne torsje.

– Powinniśmy chyba... – Ross zorientował się, że ma trudności z mówieniem. Dzwoniło mu w uszach, głowę rozrywał potworny ból. Czując przyływ adrenaliny, próbował opanować chęć ucieczki.

– Skończyłeś, Tenzing?

– Jeszcze dwie minuty, sahibie – odparł Gurkha, po czym oddalił się w pośpiechu.

– A ty, Gueng?

– Tak samo, sahibie. Dwie minuty.

Ross powłókł się do drugiej ściany i także zwymiotował. Trochę mu ulżyło. Znalazł manierkę, pociągnął długi łyk, otarł usta rękawem kurtki, a potem podszedł do opierającego się o ścianę Rosemonta.

– Proszę – powiedział, podając mu manierkę. – Dobrze się pan czuje?

– Oczywiście. – Rosemontowi w dalszym ciągu było niedobrze, ale powoli odzyskiwał jasność umysłu. W ustach czuł żółć i splunął nią w rumowisko. Tańczące wśród złomu płomyki rzucały zwariowane cienie na ściany jaskini. Pociągnął ostrożnie z manierki.

– Nie ma nic lepszego niż łyk szkockiej – stwierdził po chwili. Wypił jeszcze trochę i oddał manierkę. – Lepiej się stąd zmywajmy.

Przeszukał latarką złom, odnalazł powykrzywiane szczątki dekodera, przeniósł je do sąsiedniej

jaskini i umieścił przy ładunku założonym obok czterech narożnych komputerów.

– Nie rozumiem tylko – stwierdził znużonym tonem – dlaczego nie wybuchły nasze ładunki i nie wylecieliśmy razem z całą tą cholerną stacją w powietrze.

– Zanim wróciłem do pana z liną, kazałem Guengowi usunąć na wszelki wypadek wszystkie materiały wybuchowe i detonatory.

– Zawsze pan o wszystkim myśli?

Ross uśmiechnął się słabo.

– To wchodzi w zakres usług. Teraz do pokoju łączności?

Zaminowali go szybko. Rosemont spojrział na zegarek.

– Osiem minut do wybuchu. Darujemy sobie generatory.

– Dobrze. Prowadź, Tenzing.

Wspięli się po schodach ewakuacyjnych. Żelazny właz zaskrzypiał, kiedy go otwierali. W jaskini prowadzenie objął Ross. Ostrożnie wystawił głowę na zewnątrz i rozejrzał się dookoła. Księżyc wciąż wisiał wysoko na niebie. W odległości trzystu, czterystu jardów pokonywała powoli ostatnie wzniesienie prowadząca konwój ciężarówka.

– Którędy, Vien? – zapytał i Rosemontowi zrobiło się ciepło na sercu.

– Na górę – odparł, starając się tego nie okazywać. – Jeśli żołnierze ruszą za nami, kierujemy się w stronę Tabrizu. Jeśli nie będzie pościgu, zataczamy krąg i wracamy tą samą drogą, którą przyszliśmy.

Pierwszy szedł Tenzing. Umiał się wspinać jak kozica, ale wybierał najłatwiejszą drogę wiedząc, że Ross i Rosemont nie są w najlepszej formie. Zbocze było strome, lecz niezbyt zaśnieżone. Przeszli zaledwie kilkadziesiąt kroków, gdy ziemia zatrzęsa się pod ich stopami. Odgłos pierwszej eksplozji był prawie całkowicie stłumiony. Zaraz po niej nastąpiły kolejne wstrząsy.

Został jeszcze jeden, pomyślał Rosemont, wystawiając z radością twarz na chłodne rześkie powietrze. Ostatni wybuch – w pokoju łączności, gdzie zgromadzili wszystkie pozostałe materiały wybuchowe – był znacznie potężniejszy i naprawdę wstrząsnął ziemią. Niżej po prawej stronie od zbocza oderwał się kawał skały. Z powstałego krateru zaczęły się wydobywać gęste kłęby dymu.

– Chryste – mruknął Ross.

– To chyba przewód wentylacyjny.

– Spójrz w dół, sahibie!

Prowadząca konwój ciężarówka zatrzymała się przy wjeździe do jaskini. Wyskakujący z niej mężczyźni wpatrywali się w oświetlone przednimi reflektorami zbocze. Wszyscy byli uzbrojeni.

Ross, Rosemont i dwaj Gurkhowie schowali się głębiej w cieniu.

– Wdrapiemy się na tamtą grań – powiedział szeptem Rosemont, wskazując na lewo. – Zejdziemy im z pola widzenia i będziemy dobrze osłonięci. Potem kierujemy się na Tabriz, prawie dokładnie na zachód. Okej?

– Prowadź, Tenzing!

– Tak jest, sahibie.

Wspięli się na grań i ruszyli nią szybkim krokiem, posuwając się na zachód i starając się zachować siły na wiele, wiele mil, które musieli jeszcze pokonać. Droga była trudna i przeszkadzały im zaspy śniegu. Wkrótce mieli podarte rękawice, posiniaczone ręce i obolałe kostki, ale, nie objuczeni już ciężkimi plecakami, szli szybko do przodu i byli dobrej myśli.

Po jakimś czasie trafili na jedną ze ścieżek, które przecinały góry. Za każdym razem, gdy się

rozwidlały, wybierali tę, która prowadziła wyżej. W dolinie leżały wioski, tu na górze ich nie było.

– Nie schodźmy lepiej w dół – oznajmił Rosemont. – Mam nadzieję, że nikogo nie spotkamy.

– Myślisz, że będą do nas wrogo nastawieni?

– Na pewno. Tutejsi górale występują przeciw szachowi, przeciw Chomeiniemu i w ogóle przeciw każdemu. – Rosemont oddychał ciężko. – Każda wioska walczy z sąsiednią. Wymarzony kraj dla bandytów – stwierdził, po czym dał znak Tenzingowi, żeby ruszał dalej. Dziękował losowi, że świeci księżyc i że nie jest sam.

Tenzing nadawał tempo: odmierzone, niespieszne, stałe i mordercze. Po godzinie prowadzenie przejął po nim Gueng, potem Ross, Rosemont, a po nich ponownie Tenzing. Trzy minuty odpoczynku na godzinę i znowu w drogę.

Księżyc schodził coraz niżej. Znajdowali się teraz daleko od Mekki, trasa wiodła w dół i była łatwiejsza. Ścieżka wiła się zygzakiem, w zasadzie jednak posuwali się stale na zachód, w stronę dziwnie ukształtowanego uskoku w górskim paśmie. Rosemont rozpoznał go.

– Tam w dolinie biegnie boczna droga do Tabrizu. W zimie jest praktycznie nieprzejezdna, ale nie ma to dla nas znaczenia. Proponuję, żebyśmy szli do rana, a potem odpoczęli i zastanowili się, co dalej.

Po chwili minęli górną granicę regli. Szli teraz znacznie wolniej, dawało im się we znaki zmęczenie.

Tenzing prowadził, stąpając cicho po śniegu i rozkoszując się chłodnym czystym powietrzem. Nagle zwietrzył niebezpieczeństwo i stanął w miejscu. Ross zatrzymał się również. Wszyscy czekali w bezruchu. W końcu Ross ruszył bezszelestnie do przodu. Tenzing wpatrywał się przed siebie, w płataninę dziwnych cieni rzucanych przez sosny. Potem obaj mężczyźni rozejrzeli się na boki. Nic. Żadnego śladu ani zapachu. Czekali dalej. Trochę śniegu spadło z jednego z drzew. A po chwili jakiś nocny ptak zerwał się z gałęzi po prawej stronie i odfrunął, trzepocząc głośno skrzydłami. Tenzing dał Rossowi znak, żeby zaczekał, po czym wyjął kukri i ruszył samotnie do przodu, znikając w ciemności.

Po przejściu paru kroków zobaczył w odległości kilkudziesięciu jardów schowanego za drzewem mężczyznę i zabiło mu szybciej serce. Podeszedł bliżej, upewnił się, że facet go nie widzi. Jeszcze bliżej. Z lewej, a potem z prawej strony poruszyły się jakieś cienie i Tenzing wiedział już, co trzeba było wiedzieć.

– Zasadzka! – krzyknął, ile miał sił w płucach, i dał nurka między zarośla.

Pierwsza seria przeszła bardzo blisko, ale nie trafiła. Pocisk z drugiej serii przebił mu lewe płuco, wrywając dziurę w plecach i rzucając go na leżące na ziemi drzewo. Po drugiej stronie ścieżki odezwały się kolejne karabiny. Chowający się za drzewami i w jarach, Ross, Rosemont i Gueng znaleźli się w krzyżowym ogniu.

Przez chwilę Tenzing leżał bez sił w miejscu. Słyszał strzały, ale wydawały się dobiegać z daleka, chociaż wiedział, że muszą padać blisko. Ostatnim wysiłkiem podniósł się na nogi i zaatakował ludzi, którzy go śmiertelnie ranili. Zobaczył, że kilku napastników obraca się w jego stronę, i usłyszał, że ich kule przelatują tuż obok, rozrywając kaptur jego kurtki. Jedna trafiła go w ramię, ale nie poczuł jej, szczęśliwy, że umiera tak, jak powinni umierać żołnierze jego pułku. W natarciu. Bez cienia lęku. Naprawdę się nie boję. Jestem hinduistą i idę z radością na spotkanie z Siwą, modląc się do Brahmy, Wisznu i Siwy, bym narodził się powtórnie jako Gurkha.

Docierając do napastników, wbił nóż w czyjeś ramię, a potem ugięły się pod nim nogi. W jego

głowie zabłysło światło nie dające się porównać żadnym innym i nie czując bólu pomaszerował w objęcia śmierci.

– Wstrzymajcie ogień! – zawołał Ross.

Usiłował ustalić położenie przeciwników i zapanować nad sytuacją. Namierzył dwie ostrzeliwujące ich grupy, ale nie miał pojęcia, jak im się przeciwstawić. Miejsce zasadzki zostało dobrze wybrane, krzyżowy ogień przygważdżał ich do ziemi. Widział, że Tenzing został trafiony. Pragnął z całego serca mu pomóc, ale musiał przede wszystkim wygrać tę potyczkę i chronić pozostałych. Strzały odbijały się zwielokrotnionym echem od górskich zboczy. Zsunął z ramion plecak, znalazł cztery granaty i upewnił się, że jego karabin przestawiony jest na ogień ciągły. Nie wiedział jednak, jak wydostać się z zasadzki. A potem zobaczył, jak Tenzing podrywa się na nogi z bojowym okrzykiem, odwracając uwagę od nich trzech. To było dokładnie to, czego potrzebował.

– Oślaniaj mnie – zawołał do Rosemonta. – Tam! – rozkazał Guengowi, wskazując tę samą grupę, którą zaatakował Tenzing.

Gueng natychmiast wyskoczył ze swojego wozu i korzystając ze spowodowanego przez Tenzinga zamieszania, przebiegł kilkanaście kroków. Widząc, jak pada jego towarzysz, zapłonął gniewem. Zwolnił dźwignię granatu, cisnął go w sam środek grupy i dał nurka w śnieg. Sekundę po wybuchu był już z powrotem na nogach i posłał serię tam, skąd dobiegały krzyki, uciszając większość z nich. Ujrzał, jak jeden z napastników oddala się biegiem, a drugi desperacko pełźnie w kierunku zarośli. Krótka seria z karabinu przecięła w pół pierwszego, cięcie kukri odjęło część głowy drugiego. Gueng przypadł do ziemi, nie wiedząc, skąd może mu grozić kolejne niebezpieczeństwo. Wybuch następnego granatu kazał mu spojrzeć na zbocze po drugiej stronie ścieżki.

Ross wyczołgał się ze swojego schronienia. Wokół niego sypały się gęsto pociski, ale Rosemont posłał kilka serii, ściągając na siebie ogień i dając mu szansę, której potrzebował. Dotarł bezpiecznie do następnego drzewa, znalazł w śniegu głęboki rów i zaległ w nim. Przez sekundę leżał bez ruchu, łapiąc oddech, a potem poczołgał się po twardym zmarzniętym śniegu w kierunku strzałów. Znajdując się poza polem widzenia atakujących, posuwał się szybko pod górę. Po chwili usłyszał znowu wybuch granatu i krzyki. Miał nadzieję, że Gueng i Tenzing jeszcze żyją.

Strzały napastników rozbrzmiewały coraz bliżej. Kiedy uznał, że znajduje się w odpowiedniej pozycji, wyciągnął zawleczkę granatu i trzymając karabin w lewej ręce, wynurzył się z rowu. Zobaczył napastników, nie tam jednak, gdzie się spodziewał. Było ich pięciu, przykucnęli w odległości zaledwie dwudziestu jardów. Strzelby trzymali zwrócone w jego stronę, ale on miał o ułamek sekundy szybszy refleks. Nim którykolwiek zdążył pociągnąć za spust, schował się za drzewem, zwolnił dźwignię, policzył do czterech, cisnął wysokim łukiem granat i schował głowę w ramionach. Siła eksplozji uniosła go w górę, zasypała gałęziami i śniegiem i rozerwała na kawałki pień najbliższego drzewa.

Na ścieżce na dole Rosemont opróżnił cały magazynek, strzelając tam, gdzie jego zdaniem czaili się napastnicy. Klnąc, załadował nowy magazynek i posłał kolejną serię w mrok.

Po drugiej stronie ścieżki Gueng krył się za skałą czekając, aż ktoś się poruszy. Po chwili, nieopodal rozerwanego wybuchem drzewa, dostrzegł zgiętego wpół, uciekającego mężczyznę. Wziął go na cel i facet zginął. Znowu zapadła cisza.

Rosemontowi serce waliło jak młotem. Nie mógł już dłużej czekać.

– Oślaniaj mnie, Gueng – zawołał i pobiegł w stronę drzewa.

Koło prawego ucha zaświstały mu pociski, a potem Gueng rozpoczął ogień, rozległ się stłumiony



okrzyk i strzały ucichły. Trzymając przy biodrze karabin, Rosemont dobiegł aż do miejsca, gdzie urządzono na nich zasadzkę. Dwaj mężczyźni leżeli martwi, trzeci dogorywał. Ich strzelby były pogięte i powykręcane. Wszyscy mieli na sobie zgrzebne plemienne stroje. Kiedy im się przyglądał, ostatni mężczyzna zakrztusił się i skonał. Rosemont odwrócił się, podbiegł do następnego drzewa i zaczął odsuwać gałęzie, starając się dostać do Rossa.

Czuwający po drugiej stronie zbocza Gueng rozglądał się, gotów zabić wszystko, co się porusza. Coś zachrobotło za głazami, gdzie jego granat rozerwał na sztuki trzech mężczyzn. Gueng czekał, prawie nie oddychając, ale to był tylko żerujący gryzoń. Zwierzęta wkrótce oczyszczą i uzdrowią ziemię, pomyślał, podziwiając porządek ustanowiony przez bogów. Jego oczy przesuwają się powoli po zboczu. Zobaczył leżącego przy skale Tenzinga, który zaciskał w dłoni kukri. Zanim odejdziemy, będę musiał zabrać jego nóż, pomyślał Gueng. Jego rodzina przechowa go, a syn będzie nosił z równą czcią. Tenzing *Sheng'khan* żył i zginął jak mężczyzna i narodzi się ponownie zgodnie z wolą bogów. Karman.

Kilkadziesiąt jardów przed nim coś znowu się poruszyło. Gueng skoncentrował się.

Po drugiej stronie ścieżki Rosemont rozchyłał gałęzie, czując, jak bolą go ramiona. W końcu dotarł do Rossa i serce stanęło mu w piersi. Szkot leżał na boku obok swojego karabinu, osłaniając ramionami głowę. Krew ciekła po śniegu i po jego białym kombinezonie. Rosemont ukląkł, obrócił Rossa na wznak i o mało nie krzyknął z radości widząc, że jeszcze oddycha. Przez chwilę oczy Szkota były nieruchome, a potem utkwili je w Rosemoncie. W końcu usiadł i zamrugł powiekami.

– Co z Tenzingiem? I Guengiem?

– Tenzing oberwał. Gueng jest po drugiej stronie ścieżki i osłania nas. Cały i zdrowy.

– Dzięki Bogu. Biedny Tenzing.

– Sprawdź ręce i nogi.

Ross ostrożnie poruszył członkami. Wszystko funkcjonowało jak trzeba.

– Serce boli mnie jak wszyscy diabli, ale poza tym czuję się dobrze. – Rozejrzał się dookoła i zobaczył zwłoki napastników. – Co to za jedni?

– Górale. Może bandyci. – Rosemont badał wzrokiem ścieżkę. Nic się nie poruszało. Noc była jasna. – Lepiej wynośmy się stąd do diabła, zanim pojawią się następni. Możesz iść?

– Jasne. Daj mi tylko kilka sekund. – Ross przetarł twarz śniegiem i poczuł się trochę lepiej. – Chyba powinienem ci podziękować?

Rosemont uśmiechnął się.

– To wchodzi w zakres usług – odparł krótko. Ponownie przyjrzał się napastnikom. Pochylając się podszedł do nich i obszukał. Niczego nie znalazł. – Chyba miejscowi... albo zwykli bandyci. Ci dranie potrafią być naprawdę okrutni, kiedy złapią cię żywego.

Ross pokiwał głową. Nagle złapał go kolejny paroksyzm bólu.

– Czuję się już lepiej. Wiejmy stąd. Strzelaninę słyszeć było w promieniu wielu mil i nie ma się tu gdzie schować.

Rosemont zauważył skurcz bólu na jego twarzy.

– Poczekajmy jeszcze trochę.

– Nie. Moim zdaniem powinniśmy ruszać. – Ross zmobilizował siły. – Idziemy, Gueng – zawołał w gurkhali i chciał wstać, ale powstrzymał go nagły gwizd oznaczający zagrożenie. – Kryj się! – krzyknął, pociągając za sobą w dół Rosemonta.

Pojedyncza kula nadleciała z mroku, trafiając Amerykanina prosto w pierś i śmiertelnie go

raniąc. Po sekundzie rozległ się kolejny strzał i okrzyk bólu, a potem zapadła cisza.

Po jakimś czasie Gueng wrócił do Rossa.

– To był chyba ostatni, sahibie. Na razie.

– Tak.

Zostali z Vienem Rosemontem, póki nie umarł, a potem oddali jemu i Tenzingowi ostatnią posługę i ruszyli dalej.

## ROZDZIAŁ 6

TEHERAN.  
APARTAMENT SZARAZAD,  
GODZINA 19.30.

Szarazad leżała w pianistej kąpieli z głową opartą o wodoszczelną poduszkę, z zamkniętymi oczyma i włosami związanymi ręcznikiem.

– Och, moja droga Azadeh. Taka jestem szczęśliwa – mruknęła sennym głosem. Na jej czole perlily się kropelki potu.

Azadeh również leżała w wannie, opierając głowę o jej drugi brzeg, rozkoszując się ciepłem, intymnością, słodkim zapachem perfumowanej wody i luksusem. Włosy także owinęła ręcznikiem – wanna była duża, głęboka i świetnie mieściły się w niej obydwie – ale pod oczyma miała ciemne kręgi i nie potrafiła otrząsnąć się po okropnościach wczorajszego dnia. Za oknami zapadła noc. W oddali słychać było strzały. Żadna, z nich nie zwracała na nie najmniejszej uwagi.

– Chciałabym, żeby Erikki już wrócił – powiedziała Azadeh.

– Niedługo przyjdzie. Mac ma z nim mnóstwo spraw do omówienia. Kolacja jest dopiero o dziewiątej, więc mamy jeszcze półtorej godziny, żeby się przygotować. – Szarazad otworzyła oczy i położyła dłoń na smukłych udach przyjaciółki. – Nie przejmuj się, Azadeh, wkrótce się zjawi ten twój rudowłosy olbrzym! I nie zapominaj, że zostaję dzisiaj u swoich rodziców, żebyście mogli przez całą noc baraszkować nago w mieszkaniu. Ciesz się kąpielą, bądź szczęśliwa i mdlej z rozkoszy, gdy wróci. – Roześmiały się obie. – Wszystko jest w porządku, nic ci nie grozi, wszyscy jesteśmy bezpieczni, Iran jest bezpieczny. Imam z bożą pomocą zwyciężył i Iran jest bezpieczny i wolny.

– Chciałabym w to wierzyć, chciałabym w to wierzyć jak ty – mruknęła Azadeh. – Nie potrafię ci powiedzieć, jak okropni byli ci ludzie przy blokadzie drogowej... dławiała mnie po prostu ich nienawiść. Za co tak nas nienawidzili? Mnie i Erikkiego? Co im takiego zrobiliśmy? Absolutnie nic, a mimo to tak strasznie nas nienawidzili.

– Nie myśl o nich, moja droga. – Szarazad stłumiła ziewnięcie. – Wszyscy lewicowcy są szaleni twierdząc, że wyznają islam i wierzą jednocześnie w marksizm. Występują przeciwko Bogu i dlatego są przeklęci. A wieśniacy? Wieśniacy są, jak świetnie wiesz, niewykształceni i na ogół prymitywni. Nie przejmuj się... to wszystko należy do przeszłości, teraz będzie lepiej, zobaczysz.

– Mam nadzieję, że masz rację. Nie chcę, żeby było lepiej, wystarczy, że będzie tak samo jak przedtem, jak było zawsze. Normalnie, znowu normalnie.

– Na pewno będzie.

Szarazad była szczęśliwa, a woda jedwabista i ciepła jak w łonie matki. Jeszcze tylko trzy dni, pomyślała, i wróci mój Tommy, a potem następnego dnia będę wiedziała na pewno to, co wiem już teraz. Czyż nie miałam zawsze regularnego okresu? Będę mogła ofiarować Tommy'emu Boży dar, a on będzie taki dumny.

– Imam wykonuje wolę Boga – dodała. – Jak to, co robi, może nie być dobre?

– Nie wiem, Szarazad, ale w naszej historii mułłowie nigdy nie byli godni zaufania. To pasożyty żyjące kosztem chłopstwa.

– Teraz jest inaczej – stwierdziła Szarazad, nie mając ochoty na dyskusję o tak poważnych sprawach. – Teraz mamy przywódcę z prawdziwego zdarzenia. Po raz pierwszy w historii panuje nad całym Iranem. Czyż nie jest najbardziej pobożnym z ludzi, najbardziej uczonym w islamie i prawie? Czyż nie wykonuje Bożego dzieła? Czyż nie osiągnął niemożliwego, wyrzucając szacha oraz jego skorumpowanych dostojników, nie pozwalając generałom dokonać wspólnie z Amerykanami wojskowego zamachu stanu? Ojciec mówi, że nigdy jeszcze nie byliśmy tak bezpieczni.

– Czyżby?

Azadeh przypomniała sobie Rakoczego w helikopterze i to, co mówił o Chomeinim i cofaniu się koła historii. Wiedziała, że jest w tym wiele prawdy, i chciała rozorać mu twarz paznokciami, nienawidząc go, pragnąc, żeby zdechł, ponieważ należał do tych, którzy zamierzali posłużyć się głupimi mułłami, żeby wtrącić w niewolę innych.

– Chcesz podlegać islamskim prawom z czasów Proroka, sprzed półtora tysiąca lat? – zapytała. – Chcesz nosić czador i być pozbawiona wywalzonego z trudem prawa głosu, prawa do pracy i równości?

– Nie chcę głosować, pracować ani być równa. Jak kobieta może być równa mężczyźnie? Chcę być po prostu dobrą żoną dla Tommy’ego, a w Iranie wolę nosić czador na ulicy. – Szarazad stłumiła delikatnie kolejne ziewnięcie czując, jak usypia ją gorąco. – InszAllah, kochana Azadeh. Oczywiście, że wszystko będzie jak kiedyś, ale ojciec twierdzi, że nawet lepiej, bo teraz należy do nas nasz kraj, ropa naftowa i wszystko, co się tu znajduje. Teraz, kiedy nie ma już szacha, nie upokorzy nas żaden podły zagraniczny generał ani polityk. Będziemy żyli długo i szczęśliwie, ty ze swoim Erikkim, ja z moim Tommym i gromadą dzieci. Czy może być inaczej? Bóg jest z imamem, a imam jest z nami! Mamy wielkie szczęście! – Szarazad uśmiechnęła się i objęła czule nogi przyjaciółki. – Tak się cieszę, że się u mnie zatrzymałaś, Azadeh. Mam wrażenie, że minęły całe wieki od twojego ostatniego pobytu w Teheranie.

Przyjaźniły się od lat. Najpierw w Szwajcarii, gdzie spotkały się w szkole, wysoko w Alpach, chociaż Szarazad wytrzymała tam tylko jeden semestr, tak bardzo tęskniła za rodziną i Iranem, a potem na uniwersytecie w Teheranie. I teraz od ponad roku, ponieważ obie poślubiły cudzoziemców z tej samej firmy, stały się sobie jeszcze bliższe, bliższe niż siostry, i pomagały jedna drugiej znosić dzielnie cudzoziemskie dziwactwa.

– Czasami w ogóle nie rozumiem mojego Tommy’ego, Azadeh – zwierzała jej się na początku we łżach Szarazad. – Lubi być sam, to znaczy zupełnie sam, tylko ze mną, w pustym domu, nawet bez jednego służącego. Przyznał, że lubi poczytać coś w samotności: bez rodziny i dzieci, bez rozmowy i przyjaciół. Czasami jest wprost okropny.

– Erikki zachowuje się podobnie – pocieszyła ją wówczas Azadeh. – Cudzoziemcy różnią się od nas, są bardzo dziwni. Ja chcę spędzać całe dni z przyjaciółmi, dziećmi i rodziną, ale Erikki w ogóle tego nie uznaje. Dobrze, że on i Tommy pracują w dzień. Ty masz więcej szczęścia: Tommy wyjeżdża na całe dwa tygodnie i możesz wtedy zachowywać się normalnie. Powiem ci, że kilka miesięcy trwało, zanim przyzwyczaiałam się spać w łóżku.

– Ja nigdy nie mogłam się przyzwycząić! Tak wysoko nad podłogą i zawsze z wielkim

wgłębieniem po jego stronie, przez co jest potwornie niewygodnie i budzisz się rano z bólem w krzyżu. Łóżko jest okropne w porównaniu z miękkimi kołdrami na przepięknych dywanach, które są cywilizowane i wygodne.

– Owszem. Ale Erikki nie uznaje kołder i dywanów i nalega, żebyśmy spali w łóżku. Czasami odczuwam taką ulgę, kiedy go nie ma.

– A my śpimy tak jak trzeba, Azadeh. Skończyłam z tym zachodnim nonsensem już po pierwszym miesiącu.

– Jak ci się to udało?

– Wzdychałam przez całą noc i nie dawałam zasnąć memu ukochanemu, a potem spałam w dzień, żeby móc znowu wzdychać przez całą noc. – Szarazad roześmiała się wesoło. – Po siedmiu nocach mój ukochany dał za wygraną. Przez następne trzy noce spał jak dziecko na dywanie i teraz zawsze śpi, jak powinien spać cywilizowany człowiek... robi to nawet, kiedy jest w Zagrosie! Dlaczego nie spróbujesz tego sposobu? Gwarantuję, że ci się uda, kochanie, zwłaszcza jeśli zaczniesz narzekać, że od łóżka bolą cię plecy i chociaż oczywiście bardzo chcesz się kochać, błagasz go, żeby był ostrożny.

Azadeh roześmiała się.

– Mój Erikki jest sprytniejszy od twojego Tommy'ego. Kiedy poprosiłam go, żeby spał pod kołdrą na naszym dywanie, to on wzdychał przez całą noc, przewracał się z boku na bok i nie dawał mi spać. Po trzech nocach byłam taka wyczerpana, że całkiem polubiłam łóżko. Kiedy odwiedzam rodzinę, śpię w cywilizowany sposób, ale kiedy w pałacu jest ze mną Erikki, zawsze kładziemy się do łóżka. Mam jednak inny problem, kochanie. Kocham Erikkiego, ale czasami jest taki nieuprzejmy, że mam ochotę umrzeć. Kiedy o coś go pytam, powtarza tylko „tak” albo „nie”. Jak można podtrzymywać rozmowę, gdy słyszy się tylko „tak” i „nie”?

Uśmiechnęła się teraz do siebie. Tak, życie z nim jest bardzo trudne, ale życie bez niego wprost nie do pomyślenia – bez jego miłości, dobrego humoru, siły i tego, że zawsze robi to, czego od niego chcę, czasami nawet zbyt szybko, tak że nie mam okazji spróbować jakiegoś fortelu.

– Jesteśmy obie bardzo szczęśliwe, Szarazad, prawda?

– Owszem, kochanie. Czy nie mogłabyś zostać na tydzień albo dwa, jeśli nawet Erikki będzie musiał wyjechać? Proszę.

– Chętnie. Kiedy Erikki wróci... może go zapytam.

Szarazad poprawiła się w wannie, zgarnęła pianę z piersi i zdmuchnęła ją z dłoni.

– Mac mówił, że jeśli będzie późno, przyjadą tu prosto z lotniska. Genny przyjdzie nie wcześniej niż o dziewiątej. Zaprosiłam także Paulę, tę Włoszkę, nie ze względu na Noggera, ale na Charliego. – Zachichotała. – Ma maślane oczy, kiedy na nią patrzy.

– Charlie Pettikin? Och, to wspaniale. To bardzo dobrze. Będziemy mogli mu pomóc... tyle mu zawdzięczamy. Pomożemy mu usidlić piękną Włoszkę!

– Cudownie. Zastanówmy się, jak podsunąć mu Paulę.

– Jako kochankę czy jako żonę?

– Jako kochankę. Daj mi pomyśleć! Ile ona może mieć lat? Co najmniej dwadzieścia siedem. Nie sądzisz, że byłaby dla niego dobrą żoną? Charlie powinien się ożenić. Ja i Tommy pokazywaliśmy mu dyskretnie wiele dziewcząt, ale on uśmiechał się tylko i wzruszał ramionami. Przyproceedziłam nawet moją kuzynkę, która ma piętnaście lat, myśląc, że się na nią skusi, lecz nic z tego nie wyszło. Och, świetnie, teraz musimy wszystko zaplanować. Mamy mnóstwo czasu, żeby to zrobić, a potem się ubrać i przyszykować. Pokażę ci kilka cudnych sukienek, z których będziesz mogła coś wybrać.

– To takie dziwne, Szarazad, niczego nie mieć: dosłownie niczego. Pieniędzy, dokumentów. – Przez chwilę Azadeh miała wrażenie, że siedzi znowu w range roverze i patrzy na tłustego mudżahedina, który ukradł im papiery. Z pistoletu maszynowego sypią się kule, Erikki najeżdża na niego, rozgniatając jak karalucha o drugi samochód, z ust Irańczyka tryska krew. – Niczego nie mieć – powtórzyła, odsuwając od siebie złe wspomnienie. – Nawet pomadki do ust.

– Nie przejmuj się, ja mam dużo wszystkiego. A Tommy bardzo się ucieszy, mogąc gościć tutaj ciebie i Erikkiego. Nie martw się, moje ty biedactwo. Jesteś już bezpieczna.

Nie czuję się wcale bezpieczna, pomyślała Azadeh, nienawidząc lęku, który tak bardzo nie pasował do jej charakteru i wychowania – i nie pozwalał się nawet cieszyć kąpielą. Nie czuję się bezpieczna, odkąd rozstaliśmy się z Rakoczym. Nawet tamta chwila radości trwała bardzo krótko: radości, że ja, Erikki i Charlie uciekliśmy cali i zdrowi przed tym diabłem. Potem znaleźliśmy w małym hangarze samochód z benzyną, ale lęk nie ustąpił. Nie znoszę się bać.

Zanurzyła się trochę głębiej i odkręciła kran z gorącą wodą. W wannie zawirowały ciepłe prądy.

– Tak tu przyjemnie – mruknęła Szarazad. Piana była gęsta, woda pieściła jej ciało. – Tak się cieszę, że chcesz zostać.

Poprzedniego dnia Azadeh, Erikki i Charlie dotarli do mieszkania McIvera dopiero po zmroku. Nie mieli gdzie się podziąć – Azadeh była zbyt wystraszona, żeby nawet z Erikkim zamieszkać w apartamencie swojego ojca – zapytała więc Szarazad, czy nie mogliby zatrzymać się u niej do powrotu Toma Locharta. Szarazad natychmiast się zgodziła, ciesząc się, że będzie miała towarzystwo. Wszystko zaczęło wracać do normy, ale w trakcie kolacji gdzieś niedaleko rozległy się strzały i Azadeh podskoczyła w miejscu.

– Nie ma czego się bać – uspokoił ją McIver. – To tylko kilku narwańców, którzy nudzą się i strzelają prawdopodobnie na wiwat. Nie słyszałaś, że Chomeini wydał rozkaz złożenia całej broni? Wszyscy przytaknęli.

– Rozkaz imama zostanie wypełniony – oznajmiła Szarazad. Stale nazywała Chomeiniego imamem, stawiając go w jednym rzędzie z dwunastoma świętymi imamami szyizmu, bezpośrednimi potomkami Mahometa, co na pewno stanowiło świętokradztwo. – Imamowi udało się dokonać prawdziwego cudu – ciągnęła ze swoją czarującą niewinnością. – Nasza wolność jest darem Boga.

Potem rozgrzana i rozmarzona Azadeh wylądowała w łóżku z Erikkim, ale on był dziwnie zamyślony, zupełnie niepodobny do Erikkiego, którego znała.

– Co się stało, kochanie?

– Nic, Azadeh, naprawdę nic. Jutro zastanowię się, co robić dalej. Dziś wieczorem nie było czasu, żeby porozmawiać z McIverem. Jutro zastanowimy się, co robić, a teraz śpij, kochanie.

Dwa razy w ciągu nocy budziła się zrana potem i roztrzęsiona, wołając Erikkiego.

– Wszystko w porządku, Azadeh, jestem przy tobie. To był tylko zły sen, jesteś bezpieczna.

– Nie, nie jesteśmy bezpieczni. Nie czuję się bezpieczna, Erikki. Co się ze mną dzieje? Wracajmy do Tabrizu albo wyjedźmy stąd, wyjedźmy od tych okropnych ludzi.

Rano Erikki wyszedł do McIvera, a ona przespała się jeszcze trochę, ale sen wcale jej nie wzmocnił. Resztę przedpołudnia spędziła marząc na jawie i słuchając przynoszonych przez służbę plotek: o kolejnych zabitych generałach, o nowych aresztowaniach, o więzieniach, które zdobywał tłum. O podpalanych bądź ostrzeliwanych zachodnich hotelach. O objęciu władzy przez Bazargana, otwartej rebelii mudżahedinów na południu, buntujących się Kurdach na północy, o ogłoszeniu niepodległości przez Azerbejdżan, o zrzucających jarzmo Teheranu nomadzkich plemionach

Kaszakajów i Bachtiarów. O tym, że wszyscy oddają broń i że nikt nie oddaje broni. O tym, że premier Bachtiar został zabity i że uciekł w góry, do Turcji albo Ameryki. Że prezydent Carter przygotowuje inwazję i że prezydent Carter uznał rząd Chomeiniego. Że armia sowiecka koncentruje się przy granicy, aby dokonać inwazji, i że Breżniew przyjeżdża do Teheranu, żeby złożyć gratulacje Chomeiniemu. Że wspierany przez amerykańskie oddziały szach wylądował w Kurdystanie i że szach zmarł na wygnaniu.

Potem poszła z Szarazad na lunch do jej rodziców, którzy mieszkali koło bazaru, ale najpierw musiała po jej długich naleganiach włożyć czador – nienawidząc wszystkiego, co reprezentował. W dużym rodzinnym domu Bakravanów powitały ich kolejne plotki, ale nastrój był pogodny; żadnych obaw i wszechobecny optymizm. Podobnie jak w jej domu w Tabrizie, stół uginał się pod półmiskami z jedzeniem, służba uśmiechała się, dziękujemy Bogu za zwycięstwo, powtarzał jowialnie Dżared Bakravan, teraz gdy otwarto bazar i zamknięto wszystkie zagraniczne banki, interesy będą kwitły, tak jak to się działo przed wprowadzeniem bezbożnych praw szacha.

Po lunchu wróciły do apartamentu Szarazad. Pieszko. Otulone w czadory. Nie spotkały się z żadnymi problemami, wszyscy mężczyźni odnosili się do nich z szacunkiem. Na bazarze panował tłok. Towarów było żałośnie mało, ale każdy kupiec zapowiadał obfitość dóbr, które jadą już ciężarówkami, pociągami, samolotami – porty zablokowały setki wylądowanych po brzegi statków. Ulicą maszerowały tysiące ludzi, śpiewając „Allachu akbar”, imię Chomeiniego było na ustach wszystkich, niemal wszyscy mężczyźni i chłopcy mieli broń. Prawie nie widziało się starszych osób. W niektórych miejscach członkowie Gwardii Rewolucyjnej kierowali po amatorsku ruchem ulicznym, w innych stali po prostu z groźnymi minami. Gdzie indziej ruch po staremu regulowała policja. Jeźdźnią przetoczyły się dwa prowadzone przez żołnierzy czołgi, oblepione gwardzistami i cywilami, którzy machali do wiwatujących pieszych.

Mimo tych pozorów radości wszyscy wydawali się spięci, zwłaszcza otulone w zasłony kobiety. Wychodząc zza rogu, Azadeh i Szarazad zobaczyły grupkę młodzieńców, którzy otaczali ubraną w europejski strój ciemnowłosą kobietę, wyśmiewając się z niej, obrażając i wykonując sprośne gesty. Kilku obnażyło się i wymachiwało przed nią penisami. Kobieta mogła mieć koło trzydziestki. Elegancko ubrana w krótki płaszcz i spódnicę, miała długie nogi i długie włosy pod niewielkim kapelusikiem. Po chwili przepchał się do niej przez tłum jakiś mężczyzna i zaczął krzyczeć, że są Anglikami i żeby zostawiono ich w spokoju, ale napastnicy nie zwracali na niego uwagi. Odepchnęli go i dalej znęcali się nad przerażoną kobietą.

Szarazad i Azadeh nie były w stanie obejść szybko gęstniejącego tłumu i musiały to wszystko oglądać. Po pewnym czasie pojawił się jakiś mułła, który kazał rozejść się ludziom i upomniął cudzoziemców, że powinni przestrzegać islamskich zwyczajów. Dotarłszy do domu, obie czuły się zmęczone i zbrukane. Rozebrały się i razem położyły.

– Cieszę się, że dzisiaj wyszłam – stwierdziła przejęta do żywego Azadeh. – My, kobiety, powinnyśmy protestować, zanim będzie za późno. Powinnyśmy przejść ulicami bez czadorów i welonów, żeby pokazać mułłom, że nie jesteśmy sprzętem domowym, że mamy swoje prawa i to od nas, nie od nich, zależy, czy będziemy nosiły czadory.

– Tak, zorganizujemy protest! W końcu my też przyczyniłyśmy się do zwycięstwa! – Szarazad ziewnęła. – Och, taka jestem skonana.

Drzemka pomogła.

Azadeh patrzyła leniwym wzrokiem na pękające bańki piany. Woda była teraz cieplejsza, słodkie

perfumy bardzo przyjemne. Nagle usiadła i zgarnęła pianę z piersi i ramion.

– To dziwne, Szarazad, ale cieszyłam się, że miałam dziś na sobie czador. Ci mężczyźni byli tacy okropni.

– Mężczyźni na ulicy są zawsze okropni, droga Azadeh. – Szarazad otworzyła oczy i przyglądała się jej lśniącej złocistej skórze i sterczącym dumnie sutkom. – Jesteś taka piękna...

– Dziękuję, ale to ty jesteś piękna. – Azadeh oparła dłoń o brzuch przyjaciółki i lekko go poklepała. – A teraz zostaniesz mamusią?

– Och, tak bardzo bym tego chciała. – Szarazad westchnęła, zamknęła powieki i zanurzyła się głębiej w ciepłej wodzie. – W ogóle nie wyobrażam się w roli matki. Jeszcze trzy dni i będę wiedziała na pewno. Kiedy ty i Erikki będziecie mieli dzieci?

– Za rok albo dwa.

Azadeh powtórzyła spokojnie kłamstwo, które powtarzała wiele razy. W głębi duszy obawiała się jednak, że jest bezpłodna, ponieważ nie brała środków antykoncepcyjnych od ślubu z Erikkim i od samego początku pragnęła z całego serca mieć z nim dziecko. Od dawna prześladowała ją straszna myśl, że wbrew zapewnieniom niemieckiego doktora aborcja odebrała jej szansę na zostanie matką. Jak mogłam być taka głupia?

To stało się tak szybko. Byłam zakochana. Miałam tylko siedemnaście lat i byłam zakochana, po uszy zakochana. Nie tak jak w Erikkim, za którego z radością oddałabym życie. To, co wiąże mnie z Erikkim, jest prawdziwe, bezpieczne, miłe i pełne pasji. Z Jasnookim Johnem było niczym sen.

Ciekawe, gdzie teraz jesteś i co porabiasz, Jasnooki Johnie? Wysoki, aż do szpiku kości brytyjski, z blond włosami i niebieskozielonymi oczyma. Z kim się ożeniłeś? Ile serc jeszcze złamałeś, mój kochany?

Tamtego lata uczęszczał do szkoły w Rougemont – jej pensja mieściła się w sąsiedniej wiosce – podobno żeby uczyć się francuskiego. To było już po wyjeździe Szarazad. Spotkała go w Sonnenhof, opalającego się na słońcu i podziwianego otaczające Gstaad góry. Miał dziewiętnaście lat, ona trzy dni wcześniej skończyła siedemnaście i przez całe lato włóczyli się po górach i lasach, kąpiąc się w strumieniach, bawiąc i kochając wysoko nad chmurami.

Wokół mnie kłębiło się więcej chmur, niż chciałam dostrzec, pomyślała sennie. Chodziłam z głową w chmurach przez całe lato, niby wiedząc coś o mężczyznach i o życiu, w istocie jednak nie wiedząc nic. A potem z nadejściem jesieni usłyszała: „Przykro mi, ale muszę wyjechać. Wracam na uniwersytet, ale przyjadę na Boże Narodzenie”. Nigdy nie wrócił. Odkryła prawdę na długo przed Bożym Narodzeniem. Zamiast szczęścia zaznała tylko strachu i męki. Przerazona, że dowiedzą się w szkole i wtedy trzeba będzie zawiadomić rodziców – prawo szwajcarskie zabraniało przerywania ciąży bez zgody rodziców – pojechała do Niemiec, gdzie było to możliwe, i znalazła miłego doktora, który zapewnił, że nic jej nie będzie. Wszystko odbyło się bezboleśnie i bezproblemowo – miała tylko trochę trudności z pożyczaniem pieniędzy. Wciąż kochała Johnny’ego. W następnym roku skończyła szkołę i wróciła do Tabrizu. Macocha w jakiś sposób się dowiedziała: jestem pewna, że zdradziła mnie przyrodnia siostra, Nadzoud, która pożyczyła mi pieniądze. Potem dowiedział się ojciec.

Przez długi czas czuła się jak przekłuty szpilką motyl. Wreszcie nastąpiło zawieszenie broni – coś w rodzaju zawieszenia broni. Błagała ojca, by pozwolił jej studiować w Teheranie.

– Zgadzam się pod warunkiem, że nie będziesz miała żadnych romansów, okażesz absolutne posłuszeństwo i poślubisz tego, kogo ci wybiorę – odparł.



Była najlepsza na swoim roku. Później błagała, żeby pozwolił jej wstąpić do Korpusu Oświatowego. Każdy pretekst był dobry, aby tylko wyrwać się z pałacu.

– Zgadzam się, ale tylko w naszych posiadłościach. Mam więcej wiosek, niż zdołasz odwiedzić.

Wielu mężczyzn w Tabrizie chciało ją poślubić, ale ojciec odmawiał, bojąc się wstydu. W końcu pojawił się Erikki.

– Co będzie, jeśli ten cudzoziemiec... ten biedny jak mysz kościelna, wulgarny, źle wychowany, wierzący w duchy potwór, który nie zna nawet jednego słowa w farsi ani po turecku, nie zna naszych zwyczajów i historii, nie wie, jak zachowywać się wśród cywilizowanych ludzi, i którego jedynym powodem do chwały jest to, że może wypić morze wódki i pilotuje śmigłowiec... co będzie, jeśli odkryje, że nie jesteś dziewicą, że jesteś zbrukana, zepsuta i prawdopodobnie niezdatna do rodzenia dzieci?

– Już mu o tym powiedziałam, ojczy – odparła przez łzy. – I o tym, że bez twojej zgody nie mogę wyjść za mąż.

A potem stał się cud, wrogowie o mało nie zabili ojca w pałacu, a Erikki obronił go niczym rycerz ze starej baśni. Kolejnym cudem była zgoda na małżeństwo. Kochany Erikki zrozumiał wszystko, ale na razie nie mamy dziecka. Stary doktor Nutt twierdzi, że jestem zdrowa i normalna, i każe cierpliwie czekać. Z Bożą pomocą urodzę wkrótce syna i w końcu zaznam tego szczęścia, podobnie jak Szarazad, która jest taka piękna, ma śliczną twarz, piersi, biodra, jedwabiste włosy i skórę.

Czuła tę skórę pod palcami i sprawiało jej to wielką przyjemność. Nie myśląc o tym, zaczęła ją pieścić. Jakie to szczęście, że jesteśmy kobietami, pomyślała, że możemy się razem kąpać i spać, całować się, dotykać i kochać bez poczucia winy.

– Och, Szarazad – mruknęła, czując na piersiach jej dłoń. – Lubię, jak mnie dotykasz.

STARE MIASTO, 19.52.

Dżared Bakravan, ojciec Szarazad, siedział w swoim prywatnym gabinecie na piętrze kantoru, który należał do jego rodziny od pięciu pokoleń i mieścił się w jednym z najlepszych miejsc na całym bazarze, przy Uliczce Lichwiarzy. Bakravan specjalizował się w usługach finansowych i bankowości. Siedząc na kilku dywanach, popijał herbatę wraz ze swoim starym przyjacielem, Alim Kia, który objął właśnie wysokie stanowisko w rządzie Bazargana. Ali Kia był gładko ogolony i nosił okulary, Bakravan był ciężki i miał gęstą białą brodę. Obaj przekroczyli sześćdziesiątkę, a znali się prawie od dziecka.

– W jaki sposób dług zostanie spłacony? W przeciągu jakiego czasu? – zapytał Bakravan.

– Jak zwykle z dochodów za sprzedaż ropy – wyjaśnił cierpliwie Kia – tak jak za czasów szacha. Okres spłaty wyniesie ponad pięć lat, odsetki jeden procent miesięcznie. Mój przyjaciel Mehdi, Mehdi Bazargan, zapewnił, że parlament zagwarantuje kredyt na swoim pierwszym posiedzeniu. Ponieważ jestem nie tylko członkiem rady ministrów, lecz również wewnętrznego gabinetu Mehdiego – dodał, uśmiechając się i lekko mijając z prawdą – mogę tego osobiście dopilnować. Wiesz oczywiście, jak ważny jest ten kredyt dla nas i dla całego bazaru.

– Oczywiście. – Bakravan poskubał brodę, żeby nie parsknąć śmiechem. Biedny Ali, pomyślał, jak zwykle struga wielkiego waźniaka. – Nie powinienem pewnie o tym wspominać, stary przyjacielu, ale kilku kupców pytało mnie już, co będzie z tymi milionami w złocie i srebrze, którymi wsparliśmy rewolucję. Którymi wsparliśmy ajatollaha Chomeiniego, niech Bóg ma go w swojej

opiece – dodał z szacunkiem.

W głębi duszy pragnął czegoś wprost przeciwnego. Teraz, kiedy już wygraliśmy, niech Bóg jak najszybciej powoła go do siebie, zanim ze swymi zachłannymi, ograniczonymi umysłowo, żerującymi na ludzkiej nędzy mułłami wyrządzi zbyt wiele szkód. Co do ciebie, Ali, naginaczu prawdy i piewco własnej chwały, możesz być moim najstarszym przyjacielem, ale prędzej wielbłąd udławi się własnym łajnem, niż ja uwierzę w twoje obietnice.

– Te zobowiązania zostaną uregulowane, kiedy tylko będziemy mieli pieniądze... w tej samej sekundzie! Długi wobec kupców teherańskiego bazaru mają pierwszeństwo przed wszystkimi innymi wewnętrznymi długami. My, w rządzie, zdajemy sobie sprawę, jak ważna była wasza pomoc. Ale zanim będziemy mogli coś zrobić, stary przyjacielu, musimy uruchomić z powrotem wydobywanie ropy, żeby zaś tego dokonać, musimy mieć trochę gotówki. Premier...

Drzwi otworzyły się nagle i do pokoju wpadł Emir Paknouri. Miał przerażoną minę i potargane włosy.

– Oni chcą mnie aresztować, Dżared! – zawołał. Po twarzy płynęły mu łzy.

– Kto? Kto chce cię aresztować i za co? – oburzył się Bakravan.

Zakłócony został spokój jego domu. Z korytarza wyzierały przestraszone twarze asystentów, kasjerów, kierowników działów oraz chłopców parzących herbatę.

– Za zbrodnie przeciwko islamowi – załkał otwarcie Paknouri.

– To musi być jakaś pomyłka! To niemożliwe!

– Tak, to niemożliwe, lecz oni... oni przyszli po mnie do domu... pół godziny temu...

– Kto? Podaj mi ich nazwiska, a zniszczę ich ojców! Kto do ciebie przyszedł?

– Mówiłem ci! Gwardia Rewolucyjna, Zielone Oddziały, oczywiście, że oni – odparł Paknouri, nie zdając sobie sprawy, że nagle zapadła cisza.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – mruknął ktoś.

Ali Kia pobladł.

– Przyszli pół godziny temu – ciągnął Paknouri – z moim nazwiskiem na świstku papieru... moim nazwiskiem, Emira Paknouri, starszego cechu złotników, który ofiarował miliony riali... przyszli do mojego domu, oskarżając mnie... na Boga i jego Proroka, Dżared – zawołał, padając na kolana. – Nie popełniłem żadnej zbrodni... należę do starszyny bazaru, dałem miliony riali i... – nagle przerwał, widząc Alego Kię. – Wasza Ekscelencja wie najlepiej, jak bardzo wspomagałem rewolucję!

– Oczywiście – stwierdził Kia czując, jak serce wali mu w piersi. – To musi być jakaś pomyłka.

– Naturalnie, że to pomyłka. – Bakravan objął ramieniem biednego Emira i próbował go uspokoić. – Dajcie świeżej herbaty! – rozkazał.

– Whisky. Czy mógłbym dostać whisky? – wymamrotał Paknouri. – Herbaty napiję się później. Czy masz odrobinę whisky?

– Nie tutaj, biedny przyjacielu. Ale oczywiście mam wódkę.

Podano ją natychmiast. Paknouri krztusząc się wychylił do dna kieliszek i odmówił następnego. Po kilku minutach uspokoił się i zaczął opowiadać, co się wydarzyło.

– Dowódca gwardzistów... było ich pięciu... wymachiwał tą kartką i domagał się widzenia ze mną. Powiedział, że papier został podpisany przez kogoś, kto nazywa się Uwari, w imieniu Rewolucyjnego Komitehu. Kim oni są, na Boga? Kim jest ten Uwari? Co to za komiteh? Pan na pewno to wie, Ali Kia?

– Wymienia się wiele nazwisk – oznajmił z ważną miną Kia, kryjąc zakłopotanie, które ogarniało

go za każdym razem, gdy padała nazwa komitehu.

Podobnie jak inni członkowie rządu i ludzie poza nim, nie miał żadnych konkretnych informacji o składzie i siedzibie tego nowego tworu. Wiedział tylko, że został on powołany do życia po powrocie Chomeiniego do Iranu, zaledwie przed dwoma tygodniami, i że od wczoraj, kiedy Bachtiar uciekł ze stolicy, stanowił własne prawa, rządząc w imieniu Chomeiniego i z jego pełnomocnictwami, mianując pośpiesznie nowych sędziów, w większości bez żadnego prawniczego przygotowania, powołując sądy rewolucyjne, wydając nakazy aresztowania i natychmiastowych egzekucji, które naruszały normalne kodeksy i konstytucję.

– Dokładnie dziś rano mój przyjaciel Mehdi – zaczął poufnym tonem, przekazując krążące po całym mieście pogłoski, jakby to była ściśle tajna informacja – udał się z naszym błogosławieństwem do ajatollaha. Zagroził, że poda się do dymisji, jeśli komiteh nie przestanie wchodzić w jego kompetencje. W ten sposób raz na zawsze osadził ich w miejscu.

– Bogu niech będą dzięki! – zakrzyknął z ulgą Paknouri. – Nie wygraliśmy rewolucji po to, żeby miejsce SAVAK, zagranicznej dominacji i szacha zajęło kolejne bezprawie!

– Mój biedny przyjacielu – powiedział Bakravan. – Mój biedny przyjacielu, wyobrażam sobie, ile musiałeś wycierpieć. Nie przejmuj się, jesteś teraz bezpieczny. Zostań tu na noc. A ty, Ali, zaraz po pierwszej porannej modlitwie idź do gabinetu premiera i upewnij się, że sprawa została wyjaśniona, a ci głupcy ukarani. Wszyscy wiemy, że Emir Paknouri jest patriotą, że razem ze wszystkimi złotnikami popierał rewolucję i że od niego zależy udzielenie tego kredytu.

Zmęczony i głodny, puścił mimo uszu komunały Alego i stłumił ziewniecie. Uznał, że drzemka przed kolacją dobrze mu zrobi.

– Bardzo mi przykro, Ekscelencjo, ale czeka mnie teraz pilne spotkanie, w którym muszę uczestniczyć. Paknouri, stary przyjacielu, cieszę się, że wszystko się dobrze skończyło. Zostań tu na noc, służba przyniesie ci poduszki i kołdry, i nie przejmuj się! Ali, mój przyjacielu, pozwól, że odprowadzę cię do bramy bazaru. Czy masz jakiś środek transportu? – zapytał, wiedząc, że pierwszym przywilejem związanym z posadą wiceministra jest samochód z szoferem oraz nielimitowany przydział benzyny.

– Owszem, dziękuję, premier nalegał, żebym załatwił sobie limuzynę. Wynika to chyba ze znaczenia naszego ministerstwa.

– Wola nieba! – mruknął Bakravan.

Zadowoleni z siebie, zeszli po wąskich schodach. Kiedy weszli do obszernej sali na parterze, uśmiech spłynął im z twarzy i poczuli żółć w ustach.

Czekało tu na nich, rozpierając się na biurkach i krzesłach, pięciu członków Gwardii Rewolucyjnej, wszyscy uzbrojeni w wojskowe amerykańskie karabiny, wszyscy nie ogoleni lub brodaci, ubrani w brudne nędzne łachy i nie przekraczający dwudziestu paru lat. Kilku miało dziurawe buty, jeden był bez skarpetek. Dowódca dłużył w zębach, a pozostali palili papierosy, beztrąsko strząsając popiół na bezcenne kaszkajskie dywany. Jeden z nich zaciągając się papierosem, paskudnie kaszłał i miał rżęzący oddech.

Bakravan poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Cały jego personel stał bez ruchu pod ścianą. Wszyscy. Także jego ulubiony chłopiec podający herbatę. Na ulicy było bardzo cicho, nikt nie przechodził – zniknęli nawet właściciele kantorów mieszczących się po drugiej stronie.

– Salaam, aga, niech spłynie na ciebie Boże błogosławieństwo – powiedział grzecznie. – Czym mogę służyć?

Dowódca nie zwrócił na niego uwagi, świdrując wzrokiem Paknouriego. Miał ciemne włosy i oczy; przystojną twarz szpeciły jednak ślady choroby, przenoszonej przez pustynne muchy i prawie endemicznej w Iranie. Dłonie, w których trzymał karabin, oznaczone były ciężką pracą. Nazywał się Jusuf Senvar, Jusuf murarz.

Cisza przedłużała się i Paknouri nie mógł jej dłużej znieść.

– To wszystko pomyłka – krzyknął. – Popelniacie błąd!

– Myślałeś, że uciekając tutaj, ujdiesz przed Bożą zemstą? – zapytał cicho, prawie łagodnie Jusuf. Miał surowy wiejski akcent, którego Bakravan nie potrafił zlokalizować.

– Jaką Bożą zemstą? – wrzasnął Paknouri. – Nie zrobiłem nic złego, nic.

– Czy przez długie lata nie pracowałeś dla cudzoziemców, pomagając im wywozić za granicę bogactwa naszego narodu?

– Robiłem tak nie po to, żeby wywozić bogactwa, ale żeby tworzyć nowe miejsca pracy i rozwijać gospodarkę...

– Czy nie służyłeś przez długie lata szatańskiemu szachowi?

– Nieprawda, byłem w opozycji. Wszyscy wiedzą, że... byłem w opozycji...

– Lecz mimo to służyłeś mu i wykonywałeś jego rozkazy?

Strach wykrzywił rysy Paknouriego. Jego usta poruszały się, ale nie wydobywało się z nich ani jedno słowo.

– Wszyscy mu służyli – wychrypiał w końcu. – Wszyscy mu służyli, był przecież szachem, ale popieraliśmy rewolucję. Szach był szachem i to jasne, że wszyscy służyli mu, kiedy był u władzy...

– Imam nie służył – stwierdził Jusuf. Jego głos nagle stwardniał. – Imam Chomeini nigdy nie służył szachowi. Pytam was w imię Boga, czy to robił?

Powoli przesunął wzrokiem po ich twarzach. Nikt się nie odezwał. Bakravan patrzył, jak Jusuf sięga do swojej podartej kieszeni, wyjmując z niej świstek papieru i badawczo mu się przygląda. Wiedział, że on jeden może powstrzymać ten koszmar.

– Z rozkazu Rewolucyjnego Komitehu i Ali' Allacha Uwariego – zaczął Jusuf – Paknouri Sknero, masz stanąć przed sądem...

– Nie, Wasza Ekscelencjo – przerwał grzecznie, lecz stanowczo Bakravan, czując, jak krew pulsuje mu w uszach. – To jest bazar. Wiesz, że od zarania dziejów bazar rządzi się własnymi prawami i ma własnych przywódców. Emir Paknouri jest jednym z nich i nie może zostać aresztowany i zabrany wbrew swojej woli. Nie wolno go ruszyć: takie jest prawo bazaru od zarania dziejów.

Patrzył odważnie prosto w oczy młokosowi, wiedząc, że nawet szach i SAVAK nigdy nie ośmielili się naruszyć ich świętych praw.

– Czy prawo bazaru jest wyższe od Bożego, lichwiarzu Bakravanie?

Bakravan poczuł, jak przechodzi go zimny dreszcz.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– To dobrze. Ja przestrzegam Bożego prawa i szerzę Boże dzieło.

– Ale nie wolno wam areszto...

– Przestrzegam Bożego prawa i szerzę Boże dzieło. – Oczy mężczyzny były brązowe i nieprzeniknione pod czarnymi brwiami. Wskazał głową swój karabin. – Nie potrzebuję tej broni... nikt z nas nie potrzebuje karabinu, żeby szerzyć Boże dzieło. Modlę się z całego serca, by zostać męczennikiem, ponieważ pójdę wtedy prosto do rajy, nie będę sądzony i zostaną mi odpuszczone

wszystkie grzechy. Jeśli ma się to stać dzisiaj, wtedy umrę błogosławiąc tego, kto mnie zabije, bo wiem, że umrę, szerząc Boże dzieło.

– Bóg jest wielki – oznajmił nagle jeden z gwardzistów. Pozostali powtórzyli to za nim chórem.

– Owszem, Bóg jest wielki. Ale czy ty, lichwiarzu Bakravanie, modlisz się do Niego pięć razy dziennie, jak nakazał Prorok?

– Oczywiście, oczywiście – usłyszał swój własny głos Bakravan, wiedząc, że kłamstwo nie zostanie mu poczytane za grzech na mocy taqijah: dyspensy, jakiej udzielał Prorok każdemu wiernemu, który kłamie w obliczu zagrożenia swojego życia.

– To dobrze. Milcz i cierpliwie czekaj. Później przyjdzie czas i na ciebie. – Bakravana przeszedł kolejny dreszcz, gdy zobaczył, że Jusuf odwraca się do Paknouriego. – Z rozkazu Rewolucyjnego Komitehu i Ali' Allacha Uwariego: Paknouri Sknero, poddaj się woli Boga za popełnione przeciwko Niemu zbrodnie.

Paknouri poruszał nerwowo ustami.

– Ja... ja... nie możecie... tutaj...

Ali Kia głośno odchrząknął.

– Może lepiej będzie odłożyć tę sprawę do jutra – oznajmił, próbując dodać sobie ważności. – Emira Paknouriego najwyraźniej bardzo wzburzyła ta pomyłka...

– A ty coś za jeden? – Jusuf wbił w niego świdrujący wzrok, podobnie jak przedtem w Paknouriego i Bakravana. – Odpowiadaj!

– Nazywam się Ali Kia i jestem wiceministrem finansów i członkiem gabinetu premiera Bazargana – odparł Ali, starając się nie tracić kontenansu. – Proponuję, żeby zaczekał pan...

– Powiadam ci w imię Boże: ty, twoje ministerstwo finansów, twój gabinet i twój Bazargan nie mają nic wspólnego z nami. Ja podlegam mulle Uwariemu, który podlega komitehowi, który podlega imamowi, który podlega Bogu. – Jusuf podrapał się leniwie po głowie i z powrotem odwrócił do Paknouriego. – Na ulicę – rozkazał wciąż łagodnym głosem. – Albo wyciągniemy cię siłą.

Paknouri osunął się z jękiem na podłogę. Inni patrzyli na to bezradnie.

– Wola boska – powiedział ktoś i chłopiec podający herbatę zaczął szlochać.

– Cicho, mały – powiedział bez gniewu Jusuf. – Czy on nie żyje?

Jeden z jego ludzi ukucnął przy Paknourim.

– Żyje. Wedle woli Boga.

– Wedle woli Boga. Podnieś go, Hassan, i wsadź mu głowę do koryta z wodą. Jeśli się nie ocknie, będziemy musieli go nieść.

– Nie – przerwał im odważnie Bakravan. – Nie, on tu zostanie. Jest chory i...

– Jesteś głuchy, starcze?

W głosie Jusufa zabrzmiało rozdrażnienie. Wszystkich obleciał strach. Mały chłopiec zasłonił ręką usta, żeby powstrzymać szloch. Jusuf wpatrywał się w Bakravana, gdy gwardzista o imieniu Hassan, barczysty i silny, podniósł z łatwością Paknouriego i wyszedł z nim na ulicę.

– Wedle woli Boga – powtórzył, nie spuszczać oczu z Bakravana.

– Dokąd go zabieracie... jeśli wolno spytać?

– Oczywiście, że do więzienia. Gdzieżby indziej?

– Ale do którego?

Jeden z mężczyzn roześmiał się.

– Jakie to ma znaczenie, do którego?

Dżaredowi i innym zaczęło nagle brakować powietrza, mimo że drzwi na zewnątrz były jak zawsze otwarte.

– Chciałbym jednak wiedzieć, Ekscelencjo – powiedział ochryplym głosem, próbując ukryć wypełniającą go nienawiść. – Proszę.

– Do Evin. – Evin cieszyło się sławą najgorszego więzienia w całym Teheranie. Jusuf widział, jak ogarnia ich blady strach. Muszą być wszyscy winni, skoro tak się boją, pomyślał. – Daj mi tę kartkę – powiedział, odwracając się do młodszego brata.

Brat, niechlujny i zanoszący się kaszlem chłopak, nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat. Wyjął z kieszeni sześć albo siedem kartek i zaczął je przeglądać. W końcu znalazł tę, której szukał.

Jusuf dokładnie jej się przyjrzał.

– Jesteś pewien, że to ta?

– Tak. – Chłopak wskazał brudnym palcem nazwisko i powoli je przesyłabizował. – Dż-a-r-e-d B-a-k-r-a-v-a-n.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece! – mruknął ktoś.

W kompletnej ciszy Jusuf wziął kartkę od brata i podał ją Bakravanowi. Wszyscy wpatrywali się w niego jak urzeczeni.

Oddychając z trudem, starzec ujął ją w drżące palce. Przez moment nie potrafił skupić wzroku na literach. A potem odczytał treść wezwania. „Z rozkazu Rewolucyjnego Komitehu i Ali’Allacha Uwariego wzywa się Dżareda Bakravana z teherańskiego bazaru, by nazajutrz po pierwszej modlitwie stawiał się przed Trybunałem Rewolucyjnym w więzieniu Evin i odpowiedział na zadane mu pytania”. Dokument podpisany był niewprawną ręką „Ali’Allach”.

– Jakie pytania? – zapytał słabym głosem Bakravan.

– Wedle woli Boga. – Dowódca zawiesił na ramieniu karabin i wstał. – Staw się o świcie. Przynieś ze sobą wezwanie i nie spóźnij się.

## W POBLIŻU AMBASADY AMERYKAŃSKIEJ, 20.15.

Erikki czekał już prawie cztery godziny. Z okna położonego na pierwszym piętrze mieszkania swego przyjaciela Christiana Tollonena widział wysokie mury otaczające oświetlony kompleks ambasady i przytupujących nogami z zimna przy wielkiej stalowej bramie umundurowanych żołnierzy piechoty morskiej. Ruch był duży, tu i ówdzie robiły się korki, wszyscy trąbili i próbowali wyminąć innych, piesi jak zwykle nie zwracali uwagi na pojazdy. Nie było ulicznych świateł ani policji. Nie miało to zresztą większego znaczenia, pomyślał; teherańczycy nigdy nie przestrzegali i nie będą przestrzegać przepisów ruchu drogowego. Podobnie jak ci szaleńcy, którzy zabili się tam w górach. Jak mieszkańcy Tabrizu i Kazwinu.

Dłoń odruchowo zacisnęła mu się w pięść, gdy pomyślał o Kazwinie. Rano w ambasadzie fińskiej dowiedział się, że trwa tam rewolta, że azerscy nacjonałiści w Tabrizie zbuntowali się i walczą z siłami lojalnymi wobec Chomeiniego i że cała bogata w ropę i ważna strategicznie prowincja ponownie uniezależniła się od Teheranu, ogłaszając niepodległość, o którą walczyła od wielu stuleci, zawsze wspierana i podjudzana przez Rosję, starego wroga i grabieżcę należących do Iranu terytoriów. W Azerbejdżanie roilo się teraz od ludzi pokroju Rakoczego.

– Oczywiście, że Sowietci ostrzą sobie na nas zęby – stwierdził gniewnie Abdollah-chan w trakcie kłótni przed wyjazdem Erikkiego i Azadeh do Teheranu. – Oczywiście, że twój Rakoczy i jego ludzie są poważnym zagrożeniem. Stąpamy po cienkiej linii, ponieważ stanowimy klucz do

Zatoki i cieśniny Ormuz, która ma newralgiczne znaczenie dla Zachodu. Gdyby nie my, Gorgonowie, nasze plemienne kontakty i nasi kurdyjscy sojusznicy, byłibyśmy już dawno sowiecką prowincją, przyłączoną do drugiej połowy Azerbejdżanu, którą Sowietci zagarnęli przed wielu laty przy pomocy jak zawsze zdradzieckich Brytyjczyków... och, jak ja nienawidzę Brytyjczyków, bardziej nawet niż Amerykanów, którzy są po prostu głupimi i prymitywnymi barbarzyńcami. Przyznaj, że to prawda.

– Wcale tacy nie są, przynajmniej nie ci, których spotkałem. W S-G traktują mnie bardzo dobrze.

– Na razie. Ale zdradzą cię, zobaczysz. Oni zdradzają każdego, kto nie jest Brytyjczykiem, a jeśli im się to opłaca, zdradzą nawet swoich.

– InszAllah.

Abdollah-chan roześmiał się niewesoło.

– InszAllah! Allah chciał także, żeby sowiecka armia uciekła za granicę, żebyśmy rozprawili się z ich kolaborantami i zlikwidowali ich „Demokratyczną Republikę Azerbejdżanu” i „Ludową Republikę Kurdystanu”. Mimo to podziwiam Sowietów. Grają po to, żeby wygrać, i kiedy im to odpowiada, zmieniają reguły gry. Prawdziwym zwycięzcą waszej wojny światowej był Stalin. To wielki człowiek. Czyż nie dominował w Poczdamie, Jałcie i Teheranie... czyż nie wymanewrował Churchilla i Roosevelta? Czy Roosevelt nie zatrzymał się u niego w sowieckiej ambasadzie w Teheranie? Jak my, Irańczycy, się z tego śmieliśmy... „Wielki Prezydent” oddał Stalinowi przyszłość, mimo że miał możliwość zatrzymać go w jego granicach. Co za geniusz! Wasz sojusznik, Hitler, był w porównaniu z nim nieudolnym partaczem. InszAllah, prawda?

– Finlandia sprzymierzyła się z Hitlerem tylko po to, żeby odzyskać zagrabione przez Stalina prowincje.

– Ale przegraliście, stanęliście po złej stronie i przegraliście. Każdy kretyn widział, że Hitler przegra... jak Reza Szach mógł być taki głupi? Nigdy nie rozumiałem, kapitanie, dlaczego Stalin pozwolił wam, Finom, żyć. Na jego miejscu spustoszyłbym Finlandię, żeby dać wam nauczkę... tak jak to zrobił z wieloma innymi krajami. Dlaczego pozwolił wam żyć? Bo oparliście się mu podczas wojny zimowej?

– Nie wiem. Być może. Zgadzam się, że Sowietci nigdy się nie poddają.

– Nigdy, kapitanie. Podobnie jak my. My, Azerowie, zawsze zdołamy ich wymanewrować. Jak w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym.

Ale wtedy Zachód był silny i realizował doktrynę Trumana, skierowaną przeciwko ekspansji Sowietów, pomyślał ponuro Erikki. A teraz? Z Carterem przy władzy? Jakiej władzy?

Pochylił się do przodu i po raz któryś z rzędu napełnił kieliszek. Nie mógł się doczekać, kiedy wróci do Azadeh. W mieszkaniu było zimno i miał na sobie palto; centralne ogrzewanie nie działało, od okien ciągnęło chłodem. Ale pokój był duży i przyjemny; stare fotele i wiszące na ścianach niewielkie, lecz wartościowe perskie dywany nadawały mu męski charakter. Na stołach, krzesłach i półkach porozrzucone były książki, czasopisma i żurnale – fińskie, rosyjskie i irańskie – a na jednej z półek leżały beztrosko damskie pantofelki. Erikki wypił wódkę czując, jak robi mu się cieplej, a potem ponownie spojrzął przez okno na ambasadę. Przez moment zastanawiał się, czy nie byłoby rozsądnie wyemigrować wraz z Azadeh do Ameryki.

– Padają ostatnie bastiony – mruknął pod nosem. – Iran nie jest już bezpieczny, Europa totalnie odsłonięta, Finlandia na samej krawędzi...

Skupił uwagę na tym, co działo się na dole. Ruch był teraz całkowicie zablokowany przez watahy młodzieńców gromadzących się na obu ulicach – ambasada amerykańska mieściła się u zbiegu Takht-

e Jamshid i szerokiej alei Roosevelta. Byłej alei Roosevelta, poprawił się. Ciekawe, jak się teraz nazywa? Chomeiniego? Rewolucji?

Drzwi apartamentu otworzyły się.

– Cześć, Erikki – pozdrowił go z uśmiechem młody Fin. Christian Tollonen ubrany był w rosyjską futrzaną czapkę i podbity futrem płaszcz, rzeczy kupione w Leningradzie podczas spędzonego tam wraz z przyjaciółmi ze studiów pijackiego weekendu. – Co słychać?

– Czekałem na ciebie cztery godziny.

– Trzy godziny i dwadzieścia dwie minuty. Wypijając przy tym pół butelki najlepszej moskowskiej z przemytu, jaką można kupić za pieniądze. Uzgodniliśmy zresztą, że to potrwa od trzech do czterech godzin. – Christian Tollonen miał trzydzieści parę lat, jasne włosy i szare oczy, był kawalerem i pełnił funkcję attache kulturalnego fińskiej ambasady. Przyjaźnili się, odkąd przyjechał do Iranu kilka lat temu. – Nalej mi jednego, muszę wypić. Szykuje się kolejna demonstracja, ledwie się tu przepchałem.

Nie zdejmując płaszcza podszedł do okna.

Dwie grupy demonstrantów połączyły się teraz i ludzie stanęli przed wejściem do ambasady. Wszystkie bramy zamknięto. Erikki zauważył, że wśród demonstrujących nie było mułłów. Słyszał krzyki prowodyrów.

– Śmierć Ameryce, śmierć Carterowi – przetłumaczył Tollonen, który mówił dobrze w farsi. Jego ojciec również był tu dyplomatą i w młodości Christian spędził pięć lat w szkole w Teheranie. – Normalne bzdury przeciw Carterowi i amerykańskiemu imperializmowi.

– Nie słychać „Allachu akbar” – stwierdził Erikki. Przypomniawszy sobie blokadę na drodze i przeszedł go zimny dreszcz. – I nie ma mułłów.

– To prawda. Nie widziałem żadnego w okolicy. – Na ulicy różne grupy tłoczyły się wokół stalowej bramy. – Większość to studenci uniwersytetu. Wzięli mnie za Rosjanina i powiedzieli, że na uczelni trwają zawzięte walki między lewakami i Zielonymi Oddziałami. Zginęło lub zostało rannych co najmniej dwadzieścia osób. – Na ich oczach pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu młodych ludzi zaczęło walić w bramę. – Rwą się do walki.

– I nie ma policji, żeby ich powstrzymać – mruknął Erikki, podając mu kieliszek.

– Co byśmy poczęli bez wódki?

Erikki roześmiał się.

– Pili brandy – odparł. – Masz wszystko?

– Nie. Ale parę rzeczy udało mi się załatwić. – Christian usiadł w fotelu przy niskim stoliku i otworzył teczkę. – Oto kopia twojego świadectwa urodzenia i ślubu... dzięki Bogu, mieliśmy odpisy. Nowe paszporty dla was obojga... udało mi się znaleźć kogoś w urzędzie premiera, kto wbił w nie tymczasowe wizy pobytowe ważne trzy miesiące.

– Jesteś czarodziejem!

– Obiecali, że wydadzą ci nową irańską licencję, ale nie powiedzieli kiedy. Twierdzą, że na razie wystarczy, jeśli będziesz miał legitymację S-G i fotokopię brytyjskiej licencji. Paszport Azadeh jest tymczasowy. – Christian otworzył go i pokazał mu zdjęcie. – Fotografia nie jest standardowa, zrobiłem ją polaroidem ze zdjęcia, które mi dałeś... ale póki nie załatwimy jej właściwego, musi wystarczyć. Czy wyjeżdżała z kraju od waszego ślubu?

– Nie, dlaczego?

– Jeśli wyjedzie z fińskim paszportem... nie wiem, jak to się odbije na jej statusie. Tutejsze



władze były zawsze bardzo drażliwe na punkcie własnych obywateli. Chomeini wydaje się jeszcze większym ksenofobem, więc jego reżim będzie w tej kwestii bardzo twardy. Mogą dojść do wniosku, że wyjeżdżając, wyparła się w pewnym sensie własnego obywatelstwa. Nie sądzę, żeby wpuścili ją z powrotem.

Dobiegające z ulicy stłumione okrzyki odwróciły na chwilę ich uwagę. Setki ludzi wymachiwały zaciśniętymi pięściami. Ktoś przemawiał do nich przez megafon.

– W tej chwili najważniejsze jest dla mnie, żeby ją stąd wyrwać – stwierdził Erikki.

Christian uważnie mu się przyjrzał.

– Może powinna jednak wiedzieć, co jej grozi – powiedział po chwili. – Nie potrafię w żaden sposób załatwić jej zastępczych dokumentów ani irańskiego paszportu, a wyjeżdżając bez nich, podejmuje duże ryzyko. Dlaczego nie poprosisz jej ojca, żeby to załatwił? Dla niego to tyle co splunąć. Należy do niego podobno pół Tabrizu.

Erikki pokiwał bez entuzjazmu głową.

– Owszem, ale przed wyjazdem znowu się pokłóciliśmy. W dalszym ciągu nie pochwała naszego małżeństwa.

– Może dlatego, że nie macie dzieci – stwierdził Christian. – Wiesz, jacy są Irańczycy.

– Mamy jeszcze mnóstwo czasu na dzieci – odparł ze smutkiem Erikki.

Będziemy mieli dzieci, kiedy przyjdzie na to czas, pomyślał. Doktor Nutt twierdzi, że Azadeh jest zdrowa. Cholera! Jeśli powtórzę jej to, co Christian powiedział o irańskich papierach, nie zgodzi się wyjechać. Jeśli nic jej nie powiem i nie wpuszczą jej z powrotem do Iranu, nigdy mi nie wybaczy. A zresztą i tak nie wyjedzie bez zgody ojca.

– Żeby załatwić jej nowe dokumenty – powiedział – musielibyśmy wrócić do Tabrizu, a ja nie chcę tam wracać.

– Dlaczego, Erikki? Normalnie nie mogłeś się doczekać, żeby tam jechać.

– Z powodu Rakoczego.

Erikki opowiedział mu o wszystkim – nie wspomniał tylko o zabiciu mudżahedina przy blokadzie drogowej i ostrzelaniu przez Rakoczego atakujących ich ludzi. Są rzeczy, o których lepiej nie mówić, pomyślał ponuro.

Christian Tollonen wypił wódkę.

– O co ci tak naprawdę chodzi?

– O Rakoczego – odparł Erikki, wytrzymując jego spojrzenie.

Christian wzruszył ramionami i napełnił kieliszki, opróżniając do reszty butelkę.

– Prosit!

– Prosit! Dziękuję za dokumenty i paszporty.

Ponownie przyciągnęły ich uwagę krzyki na zewnątrz. Tłum, mimo że hałaśliwy, był dobrze zorganizowany. Na wewnętrznym dziedzińcu zapalono więcej świateł i widzieli twarze w oknach ambasady.

– Dobrze, że mają własne generatory – mruknął Erikki.

– A także własne ogrzewanie, stację benzynową, pocztę i wszystko. – Christian podszedł do kredensu i wyjął świeżą butelkę. – Właśnie to oraz przywileje, jakimi cieszyli się w Iranie: brak obowiązku wizowego, wyłączenie spod irańskiej jurysdykcji spowodowało tyle nienawiści.

– Boże, jak tu zimno! Nie masz trochę drewna na opał?

– Ani trochę. Cholerne ogrzewanie nie działa od dnia, kiedy tu się wprowadziłem, to znaczy od

trzech miesięcy, prawie przez całą zimę.

– Chyba ci to nie przeszkadza – stwierdził Erikki, wskazując parę damskich butów. – Co innego cię grzeje.

Christian uśmiechnął się.

– Czasami. Przyznaję, że Teheran jest... a przynajmniej był... jednym z najwspanialszych miejsc na świecie, jeśli chodzi o zmysłowe rozkosze. Ale teraz, przyjacielu... – Przez jego twarz przeszedł cień. – Teraz mam wrażenie, że Iran stanie się nie rajem, jak wierzą ci biedni głupcy, ale piekłem na ziemi. Zwłaszcza dla kobiet. – Wychylił kieliszek. Przez tłum przeszedł dreszcz podniecenia, kiedy jeden z młodzieńców, z amerykańskim karabinem na plecach, wspinał się po ramionach innych i próbował bezskutecznie wdrapać się na mur ambasady. – Zastanawiam się, co bym zrobił, gdyby to był mój mur, a te skurwysyny atakowały mnie całą bandą.

– Odstrelili byś im głowy... i miał byś do tego pełne prawo. Czyż nie?

Christian nagle się roześmiał.

– Tylko gdyby uszło mi to na sucho – odparł i spojrzał na Erikkiego. – Co zamierzasz? Jaki masz plan?

– Nie mam żadnego. Najpierw muszę porozmawiać z McIverem... dziś rano nie było okazji. Razem ze swoimi współpracownikami próbował skontaktować się z irańskimi partnerami, a potem spotkał się w ambasadzie brytyjskiej z facetem, który nazywa się... chyba Talbot...

Christian starał się ukryć nagle zainteresowanie.

– George Talbot?

– Tak, zgadza się. Znasz go?

– Jest drugim sekretarzem ambasady – odparł Christian. A także od wielu lat zakonspirowanym szefem brytyjskiego wywiadu w Iranie i bardzo ważną osobą, dodał w myśli. – Nie wiedziałem, że wciąż jest w Teheranie. Myślałem, że wyjechał parę dni temu. Czego chciał od niego McIver?

Erikki wzruszył ramionami, obserwując nieobecny wzrokiem kolejnych młodzieńców, którzy próbowali wdrapać się na mur, i wciąż zastanawiając się, jak załatwić dokumenty Azadeh.

– Dowiedział się od niego czegoś?

– Nie wiem. Nie miałem czasu się z nim skontaktować. Byłem... – Erikki nagle przerwał i zmierzył uważnym spojrzeniem przyjaciela. – Czy to takie ważne?

– Nie... nie, bynajmniej. Jesteś głodny? Mogę zaprosić ciebie i Azadeh na kolację?

– Przepraszam, ale nie dzisiaj. – Erikki zerknął na zegarek. – Lepiej będę już szedł. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

– Nie ma sprawy. Zacząłeś coś mówić o McIverze. Planują może jakieś zmiany?

– Nie sądzę. Miałem się z nim zobaczyć o trzeciej na lotnisku, ale spotkanie z tobą i załatwienie paszportów było dla mnie ważniejsze. – Erikki wstał i podał rękę niższemu odeń o głowę przyjacielowi. – Jeszcze raz dziękuję.

– Drobiazg. – Christian uściśnął mu dłoń. – Do zobaczenia jutro.

Zgiełk na ulicy ucichł i zapadła złowroga cisza. Obaj podeszli do okna. Wszyscy odwracali się w stronę głównej ulicy noszącej niegdyś imię Roosevelta.

– Allachuuuu akbar! – usłyszeli potężniejący z każdą chwilą krzyk.

– Czy jest stąd jakieś tylne wyjście? – zapytał Erikki.

– Nie, nie ma.

W pierwszych szeregach nowej demonstracji szli mułowie i żołnierze Zielonych Oddziałów,

w większości uzbrojeni, podobnie jak podążająca za nimi młodzież. Wszyscy krzyczeli chórem „Bóg jest wielki, Bóg jest wielki” i wyraźnie przewyższali liczebnie studentów przed ambasadą.

Lewacy natychmiast zajęli dogodne pozycje obronne przy wejściach do ambasady i między pojazdami. Uwięzieni w stojących w korku samochodach mężczyźni, kobiety i dzieci wyskoczyli z aut i zaczęli uciekać. Islamiści zblizali się bardzo szybko. Kiedy pierwsze szeregi ich pochodu dotarły, przeciskając się między samochodami, do oświetlonych murów ambasady, krzyk przybrał na sile. Demonstranci przyspieszyli kroku, gotując się do starcia. A potem, o dziwo, studenci zaczęli się wycofywać. W kompletnej ciszy. Zdezorientowani islamiści zawahali się.

Ponieważ odwrót był spokojny, nowi demonstranci też zachowali spokój. Wkrótce studenci wycofali się i żaden z nich nie zagrażał ambasadzie. Mułlowie i żołnierze Zielonych Oddziałów zaczęli kierować ruchem ulicznym. Ludzie, którzy zostawili swoje samochody, odetchnęli z ulgą i wracając do nich, dziękowali Bogu za wstawiennictwo. Wkrótce w powietrzu znowu rozbrzmiewały klaksony i przekleństwa. Samochody i piesi walczyli ze sobą o każde wolne miejsce. Wielka stalowa brama ambasady pozostała zamknięta, ale otworzyły się boczne drzwi.

Christianowi zaschło w gardle.

– Dałbym głowę, że dojdzie do ostrego starcia.

Erikki był równie zdumiony.

– Wyglądało to jak próba generalna... – Nagle urwał i podszedł bliżej do okna. – Zobacz! Tam, w tej bramie – zawołał czując, jak krew uderza mu do głowy. – To Rakoczy!

– Gdzie? Masz na myśli tego mężczyznę w lotniczej kurtce, który rozmawia z niskim facetem? – Christian zmrużył oczy i wpatrywał się w mrok. Dwaj mężczyźni stali w cieniu. Po chwili uściśnieli sobie ręce i wyszli z bramy. To był rzeczywiście Rakoczy... – Jesteś pewien, że...?

Ale Erikki wybiegł już z mieszkania i był w połowie schodów. Christian zdążył zobaczyć, jak wyciąga zza pasa swój wielki nóż pukoh i wsuwa go w rękaw, trzymając w dłoni rękojeść.

– Nie bądź głupcem, Erikki! – zawołał, ale po jego przyjacielu nie było już śladu. Podbiegł do okna i zobaczył Erikkiego, który wybiegł z domu i zaczął przeciskać się przez tłum. Rakoczy zniknął.

Erikki zdołał go jednak dostrzec. Rosjanin skręcał na południe w ulicę Roosevelta jakieś pięćdziesiąt jardów dalej. Dobiegłszy do skrzyżowania, Erikki zobaczył go przed sobą, idącego szybko, lecz nie nazbyt szybko. Ulicą walił tłum pieszych i samochodów. Rakoczy ominął stojące w korku ciężarówki, wyszedł na jezdnię, przepuścił trąbiącego, poobijanego volkswagena i obejrzał się. W tym momencie zobaczył Erikkiego. Trudno go było nie spostrzec – przewyższał o głowę wszystkich naokoło. Rosjanin rzucił się bez wahania do ucieczki, klucząc przez tłum i skręcając w boczną uliczkę. Erikki pognał za nim. Piesi przeklinali obydwu; jakiś popchnięty przez Rakoczego staruszek przewrócił się w błoto.

Uliczka była wąska, ciemna i zaśmiecona, sklepy i stragany dawno zamknięte. Nieliczni przechodnie dreptali znużonym krokiem do domu, mijając drzwi, bramy i schodki, które prowadziły do sypiących się ruder. Wszędzie unosił się smród moczu, odchodów i zgniłych jarzyn.

Rakoczego dzieliło od Fina jakieś czterdzieści kilka jardów. Skręcił w jeszcze mniejszy zaułek, potracił stragan, w którym spała cała rodzina, ścigany przekleństwami wbiegł w jedną, a potem drugą bramę, minął kolejną alejkę i straciwszy kompletnie orientację, skręcał raz w prawo, raz w lewo. W końcu zatrzymał się, przekonany, że trafił w ślepą uliczkę. Jego ręka powędrowała do pistoletu, a potem dostrzegł przed sobą wąskie przejście i pobiegł dalej.

Ściany stały tak blisko siebie, że mógł dotknąć obydwu. Zdyszany zagłębiał się coraz bardziej

w kręty, cuchnący labirynt. Wywrócił starą kobietę, która wypróżniała się do rynsztoka i nie zdążyła usunąć się na bok. Inni przywierali do ścian, żeby zejść mu z drogi. Erikki biegł zaledwie dwadzieścia jardów za nim, wściekłość dodawała mu sił. Przesadził leżącą w rynsztoku staruszkę i przyspieszył, doganiając Rakoczego. Za kolejnym rogiem Rosjanin przesunął stojący przy murze stragan na środek uliczki. Rozpędzony Erikki wpadł prosto na przeszkodę i na pół ogłuszony wywrócił się. Rycząc z gniewu, podniósł się, przez chwilę chwiał na nogach, a potem przelazł przez stos desek i pobiegł dalej, teraz już otwarcie trzymając w ręku pukoh.

Kiedy jednak skręcił w kolejną bramę, nikogo w niej nie było. Zlany potem zatrzymał się w miejscu, łapiąc kurczowo powietrze. Chociaż zawsze dobrze widział w nocy, teraz zupełnie się pogubił. W końcu dostrzegł przed sobą wąski korytarz. Trzymając w pogotowiu nóż, pobiegł nim i znalazł się na otwartym dziedzińcu, pośrodku którego stał zardzewiały szkielet splądrowanego samochodu. Dookoła widział wiele pozamykanych drzwi i rozklekotane schody, które prowadziły na wyższe piętra. Było cicho – złowieszczo cicho. Czuł, że obserwuje go wiele oczu. Kilka szczurów przestało grzebać w odpadkach i zniknęło pod zwałami gruzu.

Po drugiej stronie dziedzińca znajdowała się kolejna brama. Widniał nad nią stary napis w farsy, którego nie potrafił odczytać. We wnętrzu bramy panował jeszcze głębszy mrok. Po chwili stanął przed uchylonymi drzwiami. Drewniane i okute starym żelazem, trzymały się tylko na połowie zawiasów. Za nimi znajdowała się chyba jakaś sala. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył w środku migoczącą świecę.

– Czego tu chcesz?

Erikki poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku. Pytanie zostało zadane po angielsku – dziwnym ochrypłym głosem z obcym akcentem.

– Kim... kim jesteś? – zapytał, wlepiając oczy w egipskie ciemności. Zastanawiał się, czy to nie Rakoczy, który chce się podszyć pod kogoś innego.

– Czego chcesz?

– Chcę... ścigam mężczyznę – powiedział, nie wiedząc, w którą stronę się obrócić. Głos odbijał się echem od niewidocznego, wysoko sklepionego sufitu.

– Mężczyzny, którego szukasz, tutaj nie ma. Odejdź.

– Kim jesteś?

– To nieważne. Odejdź.

Płomień świecy był zaledwie małą iskierką, która pogłębiała ciemność.

– Czy ktoś tędy nie przechodził? Nie przebiegł?

Mężczyzna roześmiał się i powiedział kilka słów w farsy. Coś zaszeleściło i rozległ się stłumiony śmiech. Erikki odwrócił się na pięcie i machnął przed sobą nożem.

– Kim jesteście?

Szelesty nie milkły. Wszędzie wokół niego. Krople wody kapwały do cysterny. W powietrzu unosił się zjełczały wilgotny odór. Gdzieś w oddali rozległy się strzały. Kolejny szmer. Erikki ponownie się odwrócił, czując koło siebie ludzi, ale nie widząc nikogo, tylko zarys bramy i zalegającą za nią noc. Pot spływał mu po twarzy. Ostrożnie podszedł do drzwi i oparł się plecami o ścianę. Teraz był pewien, że Rakoczy tu jest. Cisza dzwoniła mu w uszach.

– Dlaczego nie odpowiadasz? – zapytał. – Widziałeś kogoś?

Usłyszał kolejny cichy chichot.

– Odejdź.

I znowu cisza.

– Czego się boisz? Kim jesteś?

– Kim jestem, nie powinno cię obchodzić. I zapewniam cię, że tylko ty jeden się tutaj boisz.

Głos był tak samo łagodny jak przedtem. Mężczyzna dodał coś w farsi i ponownie rozległy się stłumione śmiechy.

– Dlaczego mówisz do mnie po angielsku?

– Ponieważ żaden Irańczyk ani ten, kto zna język Księgi, nie wszedłby tutaj we dnie ani w nocy.

Mógł tu wejść tylko głupiec.

Erikki zobaczył kątem oka, że ktoś zasłania płomyk świecy. Natychmiast zacisnął w rękę nóż.

– Rakoczy?

– Tak nazywa się człowiek, którego szukasz?

– Tak, to on. Jest tutaj, prawda?

– Nie.

– Kimkolwiek jesteś, nie wierzę ci!

Cisza, a potem głębokie westchnienie.

– InszAllah.

Mężczyzna wydał w farsi jakieś polecenie i wokół Erikkiego zabłyśły zapalniczki. Zapaliły się świeczki i małe oliwne lampki. Fin otworzył szeroko usta. Przy ścianach i kolumnach podtrzymujących wysokie sklepienie leżeli owinięci w łachmany ludzie. Setki ludzi. Mężczyźni i kobiety. Chore ludzkie szczątki, gnijące na słomie, łóżkach albo stosach szmat. Osadzone w zniekształconych twarzach płonące oczy. Kikuty rąk i nóg. Jakaś starucha leżała prawie u jego stóp i widząc ją, odskoczył przestraszony w głąb bramy.

– Wszyscy jesteśmy trędowaci – powiedział mężczyzna. Leżał oparty o pobliską kolumnę: nieruchoma sterta gałganów. Szmata przykrywała jego oczy. Z lewej strony twarzy zostały tylko usta. Zatoczył krąg kikutem ręki. – Wszyscy jesteśmy trędowaci. Nieczyści. To leprozorium. Widzisz wśród nas tego człowieka?

– Nie, nie. Bardzo mi przykro – odparł drżącym głosem Erikki.

– Przykro ci? – powtórzył z ironią mężczyzna. – Tak. Wszystkim nam jest przykro. InszAllah! InszAllah.

Erikki pragnął rozpaczliwie odwrócić się i uciec, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Ktoś zaniósł się chrapliwym przeraźliwym kaszlem.

– Kim... Kim jesteś? – zapytał Erikki.

– Kiedyś byłem nauczycielem angielskiego. Teraz jestem nieczysty, jestem żywym trupem. Taka była wola Boga. Odejdź. Dziękuj Bogu za jego miłosierdzie.

Erikki zobaczył, że mężczyzna porusza kikutami rąk. Światła zaczęły posłusznie gasnąć, oczy wciąż go obserwowały.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, z trudem powstrzymał się przed paniczną ucieczką. Czuł się brudny, chciał natychmiast zrzucić całe ubranie, wykapać się, namydlić i znowu wykapać.

– Daj spokój – szepnął czując, jak przechodzą go ciarki. – Nie ma się czego bać.

# ŚRODA

## ROZDZIAŁ 7

**TEHERAN,  
GODZINA 16.17.**

Obaj mężczyźni wpatrywali się niecierpliwie w teleks w siedzibie S-G na najwyższym piętrze biurowca.

– No szybciej, na litość boską! – mruknął McIver i ponownie zerknął na zegarek. Pettikin bujał się w skrzypiącym starym fotelu.

– Zmywamy się stąd, kiedy tylko przyjdzie Genny – oznajmił.

Dopiero dzisiaj komitech zezwolił cudzoziemcom wejść do budynku. Przez cały rano sprząkali i próbowali uruchomić generator, w którym, oczywiście, skończyło się paliwo. Kiedy im się to udało, prawie od razu zawarczał teleks: „PILNE! PROSZĘ POTWIERDZIĆ, ŻE WASZ TELEKS PRACUJE, I ZAWIADOMIĆ PANA McIVERA, ŻE MAM DLA NIEGO DEPESE Z AYISYARD”. Wiadomość nadano z centrali S-G w Aberdeen. Słowo „Ayisyard” było ich wewnętrznym hasłem, rzadko używanym i oznaczającym, że ściśle tajna informacja przeznaczona jest wyłącznie dla McIvera i to on ma obsługiwać urządzenie. Dopiero za czwartym razem wywołali z powrotem Aberdeen.

– Mam nadzieję, że nie straciliśmy żadnego helikoptera – mruknął Pettikin, modląc się w duchu.

McIver rozprostował ramiona.

– Też się o to boję.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Nie sądzę. Przycisnąłem do muru naszych dwóch pozostałych partnerów.

McIver zdołał się z nimi skontaktować i wyrwał pięć milionów riali w gotówce – trochę ponad sześćdziesiąt tysięcy dolarów, grosze w porównaniu z tym, co byli im winni – oraz przyrzeczenie kolejnych spłat co tydzień w zamian za złożoną na piśmie obietnicę „zwrotu kosztów pobytu za granicą, w razie konieczności, a także udostępnienia stodwudziestki piątki, gdyby okazało się to niezbędne”.

– W porządku, ale oprócz zaległych spłat za sprzęt lotniczy jesteście nam jeszcze winni cztery miliony dolarów za wykonane prace – przypomniał partnerom.

– Jeśli otworzą banki, będzie pan miał swoje pieniądze. To nie nasza wina, że fałszywi sprzymierzeńcy szacha zrujnowali i jego, i cały Iran. Nie ponosimy winy za tę katastrofę. Co się tyczy długów, czy nie spłacaliśmy ich zawsze w przeszłości?

– Owszem. Na ogół z sześciomiesięcznym opóźnieniem, ale zgadzam się, drogi przyjacielu, na ogół udawało nam się wyrwać pieniądze. W jaki sposób będziemy jednak kontynuować naszą działalność, jeśli zgodnie z tym, co powiedział mi mułła Tehrani, wszelkie joint ventures mają być rozwiązane?

– Niektóre joint ventures, ale nie wszystkie... pańskie informacje są niedokładne i przesadzone.

Podejmiemy normalną działalność tak szybko, jak to będzie możliwe... piloci mogą wyjechać, kiedy dotrą tutaj bezpiecznie ich zmiennicy. Wydobycie ropy musi wrócić do poprzedniego poziomu. Nie będzie żadnych problemów. Żeby zapobiec ewentualnym kłopotom, po raz kolejny poszerzyliśmy naszą spółkę. Jutro mój czcigodny kuzyn, minister finansów Ali Kia wejdzie w skład rady nadzorczej...

– Chwileczkę! Wszelkie zmiany w składzie rady nadzorczej wymagają mojej uprzedniej zgody!

– Kiedyś wymagały, ale rada przegłosowała zniesienie tego przywileju. Jeśli chce pan wystąpić przeciwko radzie, może pan to zrobić na następnym posiedzeniu w Londynie, ale w tych okolicznościach zmiana jest konieczna i rozsądna. Minister Kia zapewnił nas, że firma nie zostanie zlikwidowana. Oczywiście to wy będziecie pokrywali jego pobory i prowizje...

McIver starał się nie patrzeć na teleks, lecz było to trudne. Próbował znaleźć wyjście z pułapki.

– Są momenty, że sytuacja wydaje się opanowana, a za chwilę wszystko znowu wali się w gruzy – mruknął.

– Tak. Dzisiaj dał nam w kość Talbot.

Spotkali się z nim wczesnym rankiem.

– Naturalnie, staruszk, joint ventures nie mają tutaj przyszłości. Bardzo mi przykro – oznajmił krótko. – „Góra” postanowiła, że wszelkie spółki z kapitałem zagranicznym zostają rozwiązane na mocy rozporządzenia, chociaż nie dodali, jakiego rozporządzenia i przez kogo wydanego. Oraz czym jest „góra”. Podejrzewamy, że olimpijski dekret wydał nasz kochany Komiteh Rewolucyjny, o którym nikt nie wie nic pewnego. Z drugiej strony, staruszk, ajatollah i premier Bazargan oznajmili, że wszystkie zagraniczne długi będą honorowane. Oczywiście Chomeini wkracza w kompetencje Bazargana i wydaje własne rozporządzenia, Bazargan wydaje dekry, które unieważnia Komiteh Rewolucyjny, lokalne komitehy traktują jak ewangelię swoje własne przepisy i ani jeden parszywy gnojek nie oddał dotąd broni. Wypełniają się więzienia, toczą głowy i chociaż nie posługują się gilotyną, wszystko to dziwnie przypomina mi stare dzieje. Moim zdaniem powinniśmy na jakiś czas wybrać się na urlop do Margate.

– Mówisz serio?

– Wciąż obowiązuje nasze zalecenie, aby ewakuować cały personel, który nie jest absolutnie niezbędny. Trzeba z tym poczekać na otwarcie lotniska, co nastąpi Bóg jeden wie kiedy. Irańczycy obiecali, że w sobotę British Airways podstawią wycarterowanego boeinga 747. Bądźcie przygotowani na szybki wyjazd.

– Ale co będzie z naszymi maszynami, częściami zamiennymi i hangarami? Na litość boską! Mamy tu zaangażowany cały kapitał spółki.

– To nie nasza sprawa, staruszk. Co do czcigodnego Alego Kii, to facet nie ma zbyt wiele do gadania i jest zmienny jak chorągiewka na wietrze. Dowiedzieliśmy się właśnie, że jakiś fundamentalista szyicki próbował porwać amerykańskiego ambasadora w Kabul, żeby wymienić go na innego mudżahedina, przetrzymywanego przez tamtejszy prosowiecki rząd. Ambasador zginął w trakcie strzelaniny, która się wywiązała. Robi się coraz goręcej.

Nagle zawarczał teleks. McIver i Pettikin wlepili w niego wzrok, ale po kilku sekundach urządzenie umilkło. Obaj zaklęli.

McIver usłyszał, jak otwierają się drzwi, i obrócił się przez ramię. Ku ich zaskoczeniu był to Eriki – razem z Azadeh miał się z nimi spotkać dopiero na kolacji. Fin uśmiechał się jak zwykle, ale miał zmęczone oczy.



– Cześć, Erikki. Co się stało? – zapytał McIver, bacznie mu się przyglądając.

– Mała zmiana planu. My... to znaczy Azadeh i ja wracamy najpierw do Tabrizu.

Poprzedniego wieczoru McIver sugerował, żeby Erikki i Azadeh natychmiast wyjechali z Iranu.

– Znajdziemy ci zmiennika – powiedział. – Lećcie jutro. Mamy zezwolenie na lądowanie należącej do firmy stowudziestkipiątki i na utrzymywanie stałej komunikacji z Szardżą po drugiej stronie Zatoki. Wysyłamy tam wszystkich, którzy nie są absolutnie niezbędni. Może uda nam się załatwić nowe papiery dla Azadeh w Londynie...

– Skąd ta zmiana? – zapytał teraz. – Azadeh nie chce stąd wyjeżdżać bez irańskich papierów?

– Nie. Przed godziną dostałem wiadomość... dostałem wiadomość od jej ojca. Proszę, przeczytaj sam. – Erikki podał kartkę McIverowi. „Od Abdollah-chana do kapitana Yokkonena – brzmiała ręcznie sporządzona notatka. – Chcę, żeby moja córka natychmiast tutaj wróciła, i proszę, żeby pan jej na to pozwolił. Abdollah-chan”. To samo napisane było w farszi po drugiej stronie.

– Jesteś pewien, że to jego charakter pisma?

– Azadeh jest pewna i zna człowieka, który przywiózł nam wiadomość. Nie powiedział nic więcej oprócz tego, że w Tabrizie trwają ciężkie walki.

– Szosą to wykluczone. – McIver odwrócił się do Pettikina. – Może nasz mułła Tehrani da Erikkiemu zezwolenie. Według Noggera po porannej przejażdżce gotów był mu jeść z ręki. Moglibyśmy wyposażyć twoją dwieścieszóstkę w dodatkowe zbiorniki z paliwem. Erikki mógłby polecieć z Azadeh i Noggerem albo kimś innym, kto przyprowadziłby helikopter z powrotem.

– Zdajesz sobie sprawę, jakie podejmujesz ryzyko, Erikki? – zapytał Pettikin.

– Tak – odparł Fin. Nie opowiedział im jeszcze o zabójstwach.

– Dobrze się nad tym zastanowiłeś? Pomyślałeś o Rakoczym, o blokadzie drogowej i o samej Azadeh? Moglibyśmy odwieźć ją do Tabrizu samą. Ty wsiadłbyś na pokład stowudziestkipiątki, a ją odesłalibyśmy w sobotę.

– Daj spokój, szefie. Sam nigdy nie zrobiłbyś czegoś takiego. Nie mogę jej zostawić.

– Oczywiście, ale musiałem to powiedzieć. W porządku. Zajmij się dodatkowymi zbiornikami, my załatwimy zezwolenie. Radzę, żebyście oboje wrócili jak najszybciej do Teheranu i wyjechali stąd w sobotę. Powinieneś chyba poprosić o transfer i przenieść się gdzie indziej... do Australii, Singapuru albo Aberdeen... chociaż tam mogłoby być za zimno dla Azadeh. – McIver podał mu z uśmiechem rękę. – Życzę przyjemnego pobytu w Tabrizie.

– Dziękuję – odparł Erikki. – Macie jakieś wiadomości o Tomie Locharcie? – zapytał po chwili.

– Nie, jeszcze nie. Nie możemy wywołać Kowissu ani Bandar-e Daylam. Dlaczego? Szarazad się niepokoi?

– Nie o to chodzi. Jej ojciec jest w więzieniu Evin i...

– Jezu Chryste – wyjąkał McIver. Pettikin był tak samo wstrząśnięty. Dotarły do nich informacje o aresztowaniach i plutonach egzekucyjnych. – Za co go wsadzili?

– Komiteh wezwał go na przesłuchanie... nikt nie wie, w jakiej sprawie i jak długo go zatrzymają.

– Jeśli chodzi tylko o przesłuchanie... co się stało?

– Szarazad wróciła przed półgodziną do domu. Cała zapłakana. Kiedy poszła wczoraj po kolacji do swoich rodziców, zastała tam prawdziwe piekło. Jacyś żołnierze Zielonych Oddziałów wdarli się na bazar, aresztowali Emira Paknouriego, starego przyjaciela jej ojca, za zbrodnie przeciwko islamowi, a samemu Bakravanowi kazali stawić się o świcie na przesłuchanie. Nikt nie wie dlaczego. – Erikki wziął głęboki oddech. – Wszyscy odprowadzili go rano do więzienia: Szarazad,

jej matka, siostry i brat. Rozstali się z nim zaraz po świcie i czekali przed bramą. Staliby tam do teraz, gdyby koło drugiej wartownik nie kazał im odejść.

Zapadła grobowa cisza.

– Spróbuj połączyć się z Kowissem, Mac – powiedział w końcu Erikki. – Niech skontaktują się z Bandar-e Daylam. Tom powinien wiedzieć o ojcu Szarazad. Będę leciał. Przykro mi, że przynoszę złe wiadomości, ale pomyślałem, iż powinniście wiedzieć. – Uśmiechnął się z przymusem. – Szarazad nie jest w najlepszej formie. Do zobaczenia w Szardży!

– Im szybciej, tym lepiej, Erikki. Słuchaj, jeśli zrobi się naprawdę gorąco, uciekaj przez granicę do Turcji.

– Dobrze. Nie musisz się o mnie martwić.

– To wredne czasy... podczas rewolucji zarówno śmigłowce, jak i piloci są warci każdej ceny. Jeśli prześlę ci wiadomość PRYSKAJ, rzucaj wszystko, bierz Azadeh i uciekaj przez granicę, bo wtedy rozpęta się tutaj prawdziwy syf. Natychmiast, rozumiesz?

– W porządku.

– Gdybyś spotkał się przypadkiem z Genny, nie wspominaj jej nic o ojcu Szarazad.

– Oczywiście – odparł Erikki i wyszedł.

– Bakravan jest zbyt poważnym kupcem, żeby go aresztowali – stwierdził po chwili McIver.

– Zgadza się z tobą – mruknął Pettikin. – Mam nadzieję, że Erikki nie wpadnie w pułapkę. Ten list nie bardzo mi się podoba...

Nagle zaterkotał teleks i obaj podskoczyli w miejscu. Czytali wiadomość linijka po linijce, nie czekając, aż wysunie się z maszyny.

„Przykro mi, Duncan – brzmiała – ale według ściśle tajnej dyrektywy Foreign Office, wszystkie nasze maszyny w Iranie zostaną w ciągu pięciu, sześciu dni skonfiskowane, a piloci nie otrzymają pozwolenia na wyjazd bez SPECJALNYCH NOWYCH WIZ. Jadę do Szardży. Przykro mi, lecz przygotuj się do jak najszybszej ewakuacji całego personelu”.

Pod teleksem widniał podpis Andy’ego Gavallana, prezesa S-G Helicopters.

McIver poczuł, jak serce wali mu w piersi. Stało się, pomyślał. Dwadzieścia lat starań poszło w błoto. Wszystko, nad czym pracowaliśmy – Andy, Genny i ja. Jesteśmy skończeni...

– Duncan...

Podniósł wzrok i zobaczył, że to Genny. Pettikin stał przy drzwiach i oboje obserwowali McIvera.

– Cześć, Genny. Przepraszam, ale myślami byłem milion mil stąd. – McIver wstał z krzesła. – To z powodu Avisyard.

Genny zrobiła wielkie oczy.

– Dostałeś Avisyard? Rozbił się jakiś helikopter?

– Nie, dzięki Bogu, nie.

Genny odetchnęła z ulgą. Miała na sobie grube palto i elegancki kapelusz.

– Mogę przeczytać? – zapytała widząc, jak pobladł. Rzuciwszy okiem na depeszę, od razu zrozumiała dlaczego. – Zrobię herbaty – powiedziała, kładąc ją na stół.

Dwaj mężczyźni zaczęli rozważać stojące przed nimi opcje. Za każdym razem dochodzili do tego samego niewesołego wniosku: trzeba mieć nadzieję, że sytuacja się unormuje, banki zostaną otwarte, długi spłacone, spółka będzie działać dalej i okaże się, że Foreign Office nie miało racji.

Genny przysłuchiwała im się uważnie, równie jak oni zaniepokojona. To oczywiste, myślała, że

nie ma tu dla nas przyszłości. Z radością wyjadę, pod warunkiem że Duncan zrobi to samo. Nie możemy jednak tak po prostu uciec z podkulonym ogonem, pozwolić, by ukradziono mu dzieło całego życia. To zabiłoby go skuteczniej niż kula. Uch! Żałuję, że nie zrobił tego, co mu radziłam – nie odszedł na emeryturę w zeszłym roku, kiedy szach był wciąż u władzy. Mężczyźni! Jacy oni są głupi! Chryste Wszechmogący! Jacy oni są głupi!

Nalała herbatę do trzech filiżanek. Duncan nie odzywał się. Widząc, jak go to przybiło, nie mogła powstrzymać łez. Dodała do herbaty skondensowane mleko i podała filiżankę najpierw Pettikinowi, potem mężowi.

– Dziękuję, Genny. – McIver otarł delikatnie jej łzy. – Lecisz w sobotę. Kiedy stodwudziestkapiątka stąd wystartuje, będziesz na jej pokładzie – powiedział łagodnym tonem. – Obiecuję, że wyjadę, kiedy tylko się z tym uporamy, ale tym razem naprawdę musisz opuścić Iran.

Pokiwała głową. McIver wypił herbatę. Była znakomita. Uśmiechnął się do niej.

– Parzysz cholernie dobrą herbatę, Genny – powiedział, ale to nie złagodziło jej lęku i żalu... a także wściekłości, którą czuła widząc, jak się szarpie, jak wszystko to odbija się na ich życiu i jak bardzo się z tego powodu postarzał. Zmartwienia zabijają go, pomyślała. Stopniowo ogarniał ją coraz większy gniew. A potem nagle przyszło jej do głowy rozwiązanie.

– Duncan – szepnęła. – Jeśli nie chcesz, żeby ci dranie ukradli nam naszą przyszłość, dlaczego nie zabierzemy wszystkiego ze sobą?

– Wszystkiego?

– Helikopterów, części zamiennych i personelu.

– Nie możemy tego zrobić, Genny. Powtarzałem ci to pięćdziesiąt razy.

– Możemy, jeżeli zechcemy i jeżeli wszystko zaplanujemy. – Powiedziała to z takim wewnętrznym przekonaniem, że przeszedł go dreszcz. – Andy nam pomoże. Przyjeżdża do Szardży. Andy może sporządzić plan, my nie możemy. Ty możesz go zrealizować, on nie może. Skoro nas tu nie chcą, w porządku, wyjedziemy, ale zabierzemy ze sobą nasze helikoptery, części zamienne i naszą godność. Musimy być bardzo ostrożni, ale zdołamy to zrobić. Uda się nam, wiem, że się uda.

# **Księga druga**

**SOBOTA**

## ROZDZIAŁ 8

**NIEDALEKO TABRIZU,  
GODZINA 11.49.**

Erikki prowadził dwieście szesnastkę w stronę przełęczy, za którą leżało miasto. Nogger Lane siedział obok, Azadeh z tyłu. Miała na sobie narciarski kombinezon, na który włożyła lotniczą kurtkę, ale w leżącej obok torbie był czador.

– Na wszelki wypadek – oznajmiła przed odlotem. Na głowie miała hełmofon, który Erikki pobrał specjalnie dla niej.

– Tabriz Jeden, słyszysz mnie? – odezwał się ponownie. Nie było żadnej odpowiedzi, mimo że znajdowali się w zasięgu bazy. – Może nikogo tam nie ma? A może zastawili pułapkę, tak jak na Charliego.

– Lepiej się dobrze rozejrzyjmy, nim wylądujemy – mruknął podenerwowany Nogger, omiatając wzrokiem niebo i ziemię.

Niebo było bezchmurne, góry pokryte śniegiem, temperatura spadła poniżej zera. Za zgodą teherańskiej kontroli lotów zatankowali bez żadnych przygód na lądowisku IranOil na przedmieściach Bandar-e Pahlavi – któremu nadano już nową nazwę.

– Chomeini wziął wszystkich za łeb. Otworzyli lotnisko, a ludzie z kontroli lotów byli całkiem życzliwi – stwierdził Erikki, starając się dodać im otuchy.

Azadeh nie mogła dojść do siebie po wiadomości o egzekucji Emira Paknouriego, oskarżonego o zbrodnie przeciwko islamowi, oraz jeszcze bardziej zatrważającej informacji o straceniu ojca Szarazad.

– To morderstwo – zawołała przerażona, gdy jej o tym powiedziano. – Jakie mógł popełnić zbrodnie on, który od lat popierał Chomeiniego i mułłów?

Nikt nie potrafił udzielić jej odpowiedzi. Rodzina, której kazano odebrać zwłoki, ogłosiła głęboką żałobę, Szarazad oszalała z rozpacz – dom był zamknięty nawet dla Azadeh i Erikkiego. Azadeh nie chciała wyjeżdżać z Teheranu, ale Erikki otrzymał od jej ojca drugą podobnej treści depezę: „Kapitanie, chcę się pilnie spotkać z moją córką w Tabrizie”.

A teraz byli prawie w domu.

Kiedyś to był dom, pomyślał Erikki. Dzisiaj nie jestem tego taki pewien.

Przed Kazwinem przeleciał nad miejscem, gdzie w jego range roverze skończyła się benzyna i gdzie Pettikin z Rakoczym uratowali jego i Azadeh przed motłochem. Samochodu już tam nie było. Potem minął nieszczęsną wioskę, w której postawiono blokadę i w której zabił podczas ucieczki grubego mudżahedina, z ich papierami w rękę. Powrót tutaj to szaleństwo, pomyślał.

– Mac ma rację. Wyjeżdż do Szardży – prosiła go Azadeh. – Niech Nogger poleci ze mną do Tabrizu i później przywiezie mnie z powrotem, żebym zdążyła na następny lot. Dołączę do ciebie w Szardży bez względu na to, co powie mój ojciec.

– Zawiozę cię do domu i wrócimy razem – odparł. – Koniec dyskusji.

Wystartowali z Doszan Tappeh zaraz po świcie. Baza była prawie pusta, wiele budynków i hangarów spalonych. Na pasach stały wraki samolotów irańskich sił powietrznych i ciężarówki, a także wypalony szkielet czołgu ze znakiem Nieśmiertelnych na wieżyczce. Nikt nie sprzątnął pobojuwiska. Nikt nie pilnował bazy. Zabrano z niej wszystko, co można było spalić – w mieście wciąż trwały walki między Zielonymi Oddziałami i komunistami i nie sposób było dostać oleju opałowego.

Hangar i warsztaty S-G nie ucierpiały tak bardzo jak inne budynki. Ściany podziurawione były pociskami, ale niczego nie ukradziono, do pracy przyszli wszyscy mechanicy oraz personel biurowy i baza działała w miarę normalnie. Magnesem były zaległe pobory, które McIver wypłacił z pieniędzy uzyskanych od wspólników. Dał również trochę gotówki Erikkiemu, żeby zapłacił ludziom w Tabriz Jeden.

– Módl się za mnie, Erikki! – powiedział, nim wystartowali. – Mam dzisiaj spotkanie w ministerstwie w sprawie pieniędzy, które są nam winni, oraz przedłużenia ważności naszych licencji. Załatwił mi to Talbot z ambasady. Uważa, że Chomeini i Bazargan zapanują nad sytuacją i rozbiorą komunistów. Musimy po prostu spokojnie czekać.

Łatwo mu mówić, pomyślał Erikki.

Kiedy minęli przełęcz, przechylił maszynę w lewo i zaczął szybko schodzić w dół.

– Widać bazę! – Obaj piloci skoncentrowali się. Jedyłą rzeczą, która się poruszała, był rękaw do pomiaru siły wiatru. Nigdzie nie widać było żadnego pojazdu. Z kominów nie unosił się dym. – Nie ma dymu! – Erikki zatoczył krąg na wysokości siedmuset stóp. Nikt nie wyszedł, żeby ich powitać. – Przyjrzę się bliżej.

Przelecieli na małej wysokości nad bazą. Nie dostrzegli śladu życia, w związku z czym Erikki wzniósł maszynę na tysiąc stóp. Przez chwilę się wahał.

– Mógłbym wylądować na dziedzińcu przed pałacem, Azadeh – powiedział w końcu. – Po zewnętrznej stronie murów.

Azadeh natychmiast potrzęsła głową.

– Nie, Erikki. Wiesz, jacy nerwowi są jego strażnicy i jak on sam nie lubi, gdy ktoś przybywa nieproszony.

– Ale my jesteśmy zaproszeni. W każdym razie ty. Choć może lepszym słowem byłoby „wezwani”. Moglibyśmy tam polecieć, zatoczyć krąg i jeśli wszystko będzie w porządku, wylądować.

– Możemy wylądować w innym miejscu i przejść...

– Żadnego chodzenia pieszo bez broni. – Nie udało mu się zdobyć pistoletu w Teheranie. Każdy cholerny chuligan ma tyle broni, ile zapragnie, pomyślał zdenerwowany. Powinien był coś sobie załatwić. Nie czuł się już bezpieczny. – Polecimy tam, zbadamy sytuację i wtedy podejmę decyzję.

Zmienił częstotliwość na wieżę w Tabrizie i zgłosił się. Bez odpowiedzi. Zgłosił się ponownie, po czym skręcił w stronę miasta. Kiedy mijali wioskę Abu Mard, wskazał palcem w dół i Azadeh zobaczyła maleńki budynek szkoły, gdzie spędziła tyle miłych chwil. W pobliżu było wiele polan i na jednej z nich, przy strumieniu, po raz pierwszy ujrzała Erikkiego. Z początku wzięła go za leśnego olbrzyma. Tam się w nim zakochała i tam skończyła się jej udręka.

Wysunęła rękę przez małe okienko i dotknęła jego ramienia.

– Dobrze się czujesz? Nie jest ci zimno? – zapytał i uśmiechnął się do niej.

– Nie, Erikki. W tej wiosce byliśmy tacy szczęśliwi, prawda?

Trzymała rękę na jego ramieniu. Bliski kontakt sprawił im obojgu radość.

Wkrótce zobaczyli lotnisko i linię kolejową, która na północy biegła do oddalonego o kilka mil sowieckiego Azerbejdżanu i dalej do Moskwy, a na południowym wschodzie ku leżącemu w odległości trzystu pięćdziesięciu mil Teheranowi. Tabriz był rozległym miastem. Widzieli cytadelę, Błękitny Meczet, zanieczyszczające powietrze stalownie oraz domy, rudery i chaty, w których gnieździło się sześćset tysięcy ludzi.

– Popatrzcie tam!

Dworzec kolejowy palił się, w górę waliły kłęby dymu. Języki ognia widać było także niedaleko cytadeli. Wieża lotniska nie odpowiadała i nic nie działało się na pasach, chociaż stało tam kilka małych samolotów. Duży ruch panował natomiast w bazie wojskowej, do której wjeżdżały i z której wyjeżdżały ciężarówki. Z tego, co widział, na ulicach było jednak spokojnie, a cały teren wokół meczetu wydawał się kompletnie wyludniony.

– Nie będę schodził zbyt nisko – mruknął. – Nie chcę sprowokować jakiegoś narwańca z palcem na cynglu.

– Lubisz Tabriz, Erikki? – zapytał Nogger, żeby ukryć zdenerwowanie. Nigdy tu jeszcze nie był.

– To imponujące miasto, stare, mądre, otwarte i wolne. Najbardziej kosmopolityczne w Iranie. Spędziłem tu wspaniałe chwile. Mogłeś dostać tanio żarcie i alkohole z całego świata: czarny kawior i rosyjską wódkę, szkockiego wędzonego łososia, a w starych dobrych czasach Air France dostarczał raz w tygodniu świeże francuskie pieczywo i sery. Towary tureckie i kaukaskie, brytyjskie, amerykańskie i japońskie. Tabriz słynie ze swoich dywanów i urody dziewcząt. – Erikki zaśmiał się, kiedy Azadeh uszczypnęła go w ucho. – To przecież prawda, Azadeh, czyż nie pochodzisz z Tabrizu? To porządne miasto, Nogger. Mówią dialektem farsi, który właściwie bardziej przypomina turecki. Przez długie wieki Tabriz był wielkim ośrodkiem handlowym: irańskim, rosyjskim, tureckim, kurdyjskim i ormiańskim. To miasto było zawsze zarzewiem buntu i zawsze mieli na nie chrapkę carowie i komuniści.

W kilku miejscach gapiły się na nich grupki ludzi.

– Widzisz, żeby mieli jakąś broń, Nogger?

– Mnóstwo, ale na razie z niej do nas nie strzelają.

Erikki ominął ostrożnie śródmieście i skierował się na wschód. Tutaj zaczynały się wzgórza; a na jednym z nich stał otoczony murami pałac Gorgonów. Prowadzącą do niego drogą nie jechały żadne samochody. Mury obejmowały wiele akrów ziemi: były tam sady, fabryka dywanów, garaż na dwadzieścia samochodów, szopy dla owiec, domki i czworaki dla mniej więcej stu osób służby i straży, i wreszcie liczący pięćdziesiąt pokoi, zwieńczony kopułą pałac, a także mały meczet z minaretem. Przed głównym wejściem stało kilkanaście samochodów. Erikki zatoczył krąg na wysokości siedmiuset stóp.

– Niezły zamek – mruknął z podziwem Nogger Lane.

– Na rozkaz cara zbudował go dla mojego pradziadka ksiązę Siergiejew – oznajmiła Azadeh, wpatrując się w dół. – Było to w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym, kiedy carowie zagarnęli już nasze kaukaskie prowincje i szukali pomocy Gorgonów, żeby po raz kolejny odłączyć Azerbejdżan od Iranu. Ale my byliśmy zawsze lojalni wobec Iranu, choć zależało nam na zachowaniu równowagi sił. – Obserwowała bacznie rezydencję. Z pałacu i sąsiednich domów wychodzili ludzie: służba i uzbrojeni strażnicy. – Meczet zbudowano w roku tysiąc dziewięćset siódmym dla uczczenia



nowego porozumienia rosyjsko-brytyjskiego, które sankcjonowało rozbiór naszego kraju i podział wpływów... och, zobacz, Erikki, czy to nie Nadzoud, Fazulia i Zadi? I popatrz tam, to chyba mój brat Hakim... co on tutaj robi?

– Gdzie? Aha, widzę go. Nie, to raczej nie on...

– Może... może Abdollah-chan mu wybaczył – zawołała podekscytowana. – To byłoby cudowne!

Erikki przyjrzał się ludziom na dole. Spotkał się z jej bratem tylko raz, podczas wesela, ale bardzo go polubił. Abdollah-chan pozwolił synowi wrócić na ten jeden dzień z wygnania, a potem wysłał go z powrotem do miasta Choj w północnej części Azerbejdżanu, niedaleko granicy tureckiej, gdzie należało do niego kilka kopalni. „Hakim pragnął zawsze tylko jednego: wyjechać do Paryża i uczyć się gry na fortepianie”, powiedziała Erikkiemu Azadeh. „Ale mój ojciec nie chciał go słuchać. Przeklął go i wygnał za spiskowanie...”.

– To nie Hakim – powiedział Erikki, który miał od niej lepszy wzrok.

– Och! – Azadeh zmrużyła oczy przed wiatrem. – Och... – W jej głosie słychać było rozczarowanie. – Tak, masz rację, Erikki.

– To Abdollah-chan.

Nie było mowy o pomyłce. Potężny korpulentny mężczyzna z długą brodą wyszedł wraz z dwoma uzbrojonymi ochroniarzami z pałacu i przystanął na schodach. Obok niego stało dwóch innych mężczyzn. Wszyscy byli ubrani w ciepłe palta.

– A to co za jedni?

– Obcy – odparła, starając się ukryć rozczarowanie. – Nie mają broni i nie są mułłami, więc nie należą do Zielonych Oddziałów.

– To Europejczycy – stwierdził Nogger. – Masz jakąś lornetkę, Erikki?

– Nie.

Erikki przestał zataczać kręgi, zszedł na pięćset stóp i zawisł w miejscu, obserwując bacznie Abdollah-chana. Ojciec Azadeh wskazał ręką helikopter i zamienił kilka słów z obcymi. Na dziedzińcu pojawiała się coraz więcej opatulonych w ciepłe palta członków rodziny, służby i kobiet w czadorach. Erikki zszedł kolejne dwieście stóp niżej, zdjął ciemne okulary i hełmofon, odsunął boczną szybę i wstrzymując oddech przed mroźnym powietrzem wychylił się na zewnątrz i pomachał ręką. Oczy wszystkich na dole zwróciły się na Abdollah-chana. Ojciec Azadeh pomachał mu w odpowiedzi. Bez wielkiego entuzjazmu.

– Azadeh. Zdejmij hełmofon i też go pozdrów.

Natychmiast go posłuchała. Kilka sióstr pomachało do niej radośnie, trajkocząc między sobą. Abdollah nie pozdrowił córki, po prostu stał i czekał. Matierjebiec, pomyślał Erikki, po czym wychylił się powtórnie i wskazał ręką szeroki pas ziemi za wyłożoną mozaiką, skutą lodem sadzawką na dziedzińcu, wyraźnie pytając o zgodę na lądowanie. Chan skinął głową, po czym powiedział coś do ochroniarzy, obrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do pałacu. Obcy podążyli za nim. Na dworze pozostał jeden ochroniarz, który zbiegł po schodach i ruszył w stronę miejsca lądowania, sprawdzając po drodze zamek strzelby.

– Prawdziwy komitet powitalny – mruknął Nogger.

– Nie musisz się niczego obawiać, Nogger – powiedziała z nerwowym śmiechem Azadeh. – Ja wysiądę pierwsza, Erikki, tak będzie bezpieczniej.

Kiedy wylądowali, otworzyła drzwi i wybiegła, żeby powitać swoje siostry oraz macochę, młodszą od siebie trzecią żonę ojca. Pierwsza żona, Chananam, była równa mu wiekiem, ale teraz

ciężko chorowała i nigdy nie opuszczała sypialni. Druga żona, matka Azadeh, zmarła przed wielu laty.

Strażnik podszedł do Azadeh i coś do niej powiedział. Grzecznie. Erikki odetchnął z ulgą. Był za daleko, żeby usłyszeć, co mówili – zresztą i on, i Nogger nie znali farsi ani tureckiego. Dwaj piloci zakończyli procedurę lądowania, obserwując strażnika, który również uważnie im się przyglądał.

– Nienawidzisz broni tak samo jak ja? – zapytał Nogger.

– Bardziej. Ale ten facet wie przynajmniej, jak się nią posługiwać. Najbardziej boję się amatorów.

Erikki wyjął bezpieczniki i schował do kieszeni kluczyk zapłonu. Ruszyli w stronę Azadeh i jej sióstr, lecz strażnik stanął im na drodze.

– On mówi, że mamy natychmiast iść do sali recepcyjnej i poczekać tam. Chodźcie ze mną – zawołała Azadeh.

Nogger zamykał pochód. Widząc, jak jedna z ładnych sióstr strzela w jego stronę okiem, uśmiechnął się i wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz.

W zimnej i nieprzytulnej sali recepcyjnej unosił się zapach wilgoci: na podłodze leżały dywany i poduszki, przy ścianach stały ciężkie wiktoriańskie meble i staroświeckie kaloryfery. Azadeh związała włosy przed jednym z luster. Jej kombinezon narciarski był elegancki i modny. Abdollah-chan nigdy nie wymagał od swoich żon i córek noszenia czadoru i w ogóle nie pochwalał tego zwyczaju. Więc po co włożyła go dziś Nadzoud? Azadeh coraz bardziej się denerwowała. Służący przyniósł herbatę. Po półgodzinie zjawił się kolejny ochroniarz i coś jej powiedział. Wzięła głęboki oddech.

– Ty, Nogger, zaczekaj tutaj. Ja z Erikkim mamy pójść z tym strażnikiem.

Erikki ruszył za nią spięty, lecz przekonany, że zawieszenie broni, które zawarł z Abdollah-chanem, w dalszym ciągu obowiązuje. Tkwiący za paskiem na plecach pukoh dodawał mu otuchy. Strażnik otworzył drzwi na końcu korytarza i dał znak, żeby weszli do środka.

Wsparty o kilka poduszek Abdollah-chan spoczywał na dywanie, zwrócony w stronę drzwi. Pokój urządzony był w sztywnym wiktoriańskim stylu, ale panowała w nim dekadencja, jakby rozwiązała atmosfera. Za Abdollahem stało kilku strażników, obok niego siedzieli po turecku dwaj mężczyźni, których Erikki i Azadeh widzieli wcześniej na stopniach pałacu. Pierwszy, zadbane barczysty sześćdziesięciolatek, miał słowiańskie oczy i przyjazną fizjonomię, drugi, młodszy, może trzydziestoletni, azjatyckie rysy i żółtawy odcień skóry. Obaj ubrani byli w ciepłe zimowe garnitury. Erikki poczuł, jak przechodzi go dreszcz. Zatrzymał się przy drzwiach, a Azadeh uklękła przed ojcem i ucałowała jego pulchną, upierścienioną rękę. Zniecierpliwiony Abdollah wskazał gestem, by się usunęła, i wbił ciemne oczy w Erikkiego, który grzecznie go pozdrowił, pozostając jednak przy samych drzwiach. Azadeh ponownie uklękła na dywanie, starając się ukryć wstyd i strach. Erikki zauważył, że obaj nieznajomi zmierz yli ją pożądliwym wzrokiem i temperatura skoczyła mu o jeden stopień. Nikt się nie odzywał.

Koło Abdollaha stał talerzyk z małymi kawałkami chałwy, słodkiego tureckiego smakołyku, który uwielbiał. Kiedy wepchnął ją sobie do ust, na pierścieniach zatańczyło światło.

– Wygląda na to – oznajmił chrapliwym tonem – że zabijasz wszystkich niczym wściekły pies.

Erikki zmrużył oczy i nie odezwał się.

– Co masz mi do powiedzenia?

– Jeśli zabijam, to nie jak wściekły pies. Kogóż to miałem zabić?

– Uderzeniem łokcia zabiłeś starca w tłumie niedaleko Kazwinu. Zmiażdżyłeś mu żebra, są na to świadkowie. Potem trzech mężczyzn w samochodzie i jednego na zewnątrz... był ważnym bojownikiem o wolność. Na to też są świadkowie. Trochę dalej przy drodze pięciu zabitych i kilku rannych w trakcie ucieczki helikopterem. Kolejni świadkowie. – Znowu zapadła cisza. Azadeh nie poruszyła się, chociaż krew odpłynęła jej z twarzy. – Co ty na to?

– Jeśli rzeczywiście są na to wszystko świadkowie, wiedziałby pan również, że próbowaliśmy spokojnie dostać się do Teheranu, że byliśmy nie uzbrojeni, że rzucił się na nas tłum i gdyby nie Charlie Pettikin i Rakoczy, najprawdopodobniej... – Erikki przerwał widząc, jak dwaj obcy wymienili między sobą spojrzenia. – Najprawdopodobniej byśmy zginęli. Byliśmy nie uzbrojeni, broń miał tylko Rakoczy i to do nas pierwszych strzelano.

Abdollah-chan również zauważył zmianę, jaka nastąpiła w zachowaniu mężczyzn. Zamyślony zerknął z powrotem na Erikkiego.

– Rakoczy? Czy to nie ten sam, który zaatakował waszą bazę razem z marksistowsko-islamskim mułłą? Ten sowiecki muzułmanin?

– Tak. – Erikki spojrzał ostro na dwóch nieznajomych. – Agent KGB, który utrzymywał, że przybył z Gruzji, z Tbilisi.

Abdollah-chan krzywo się uśmiechnął.

– Agent KGB? Skąd wiesz?

– Naogładałem się ich dosyć, żeby wiedzieć.

Dwaj obcy wpatrywali się w niego bez zmrużenia powiek. Na ustach starszego pojawił się przyjazny uśmiech, który zmroził Fina.

– Ten cały Rakoczy... skąd wziął się w helikopterze? – zapytał chan.

– W niedzielę uwięził w mojej bazie Charliego Pettikina... to jeden z naszych pilotów, który przyleciał do Tabrizu, żeby zabrać Azadeh i mnie. Zostałem wezwany do mojej ambasady w sprawach paszportowych. Tamtego dnia rządy wielu państw, w tym również rząd Finlandii, wezwały swoich obywateli, których pobyt tutaj nie jest niezbędny, do opuszczenia Iranu – dodał, przeinaczając trochę fakty. – W poniedziałek, kiedy stąd wyjechaliśmy, Rakoczy zmusił Pettikina, żeby poleciał z nim do Teheranu. – Opowiedział krótko, co się stało. – Gdyby nie zauważył fińskiej flagi na dachu, dawno już byśmy gryźli ziemię – podsumował.

Mężczyzna o azjatyckich rysach cicho się roześmiał.

– To byłaby wielka strata, kapitanie Yokkonen – powiedział po rosyjsku.

– Ten Rakoczy... gdzie on teraz jest? – zapytał nienaganną angielszczyzną jego kolega.

– Nie wiem. Gdzieś w Teheranie. Może się panowie przedstawia?

Erikki grał na zwłokę: nie spodziewał się, że to zrobią. Próbował się domyślić, czy Rakoczy jest przyjacielem, czy wrogiem dwóch gości chana, którzy najwyraźniej byli Sowietami i należeli do KGB lub GRU – tajnej policji sił zbrojnych.

– Mógłby pan powiedzieć, jak miał na imię? – zapytał uprzejmie starszy.

– Fedor, podobnie jak węgierski rewolucjonista. – Erikki mógł coś dodać, ale nie był taki głupi, by z własnej woli informować o czymś KGB bądź też GRU. Azadeh klęczała sztywno wyprostowana na dywanie, trzymając ręce na kolanach. Jej usta odbijały się czerwienią na tle poblądłej twarzy. Nagle zaczął się o nią bardzo bać.

– Przyznajesz więc, że zabiłeś tych ludzi? – zapytał chan, sięgając po kolejny kawałek chałwy.

– Przyznaję, że mniej więcej przed rokiem zabiłem kilku ludzi, żeby ocalić Waszej Wysokości

życie...

– I swoje własne! – przerwał mu z gniewem Abdollah-chan. – Mordercy zabiliby i ciebie. Bóg chciał, żebyśmy obaj ocaleli.

– To nie ja zacząłem i nie ja szukałem tej zwady. – Erikki dobierał starannie słowa. Czuł, że wracając tu, postąpił bardzo niemądrze, że grozi mu niebezpieczeństwo, któremu nie może w żaden sposób zapobiec. – Jeśli kogoś zabiłem, zrobiłem to tylko po to, żeby obronić pańską córkę a moją żonę. Nasze życie było w niebezpieczeństwie.

– Sądziś więc, że masz prawo zabijać, gdy tylko uznasz, że twoje życie jest w niebezpieczeństwie?

Erikki zobaczył, że chanowi krew uderza do twarzy. Dwaj Rosjanie pilnie go obserwowali. Przypomnił sobie opowieści dziadka o dawnych czasach, gdy Północne Kraje zaludniały olbrzymy, a trolle i upiory nie były mitem, o dawnych starodawnych czasach, gdy ziemia była czysta, dobro było dobrem, a zło złem i nie nosiło żadnej maski.

– Zabiję każdego, jeśli życie Azadeh... bądź moje znajdzie się w niebezpieczeństwie – odparł twardo.

Trzej mężczyźni poczuli, jak przechodzi ich lodowaty dreszcz. Azadeh przeraziła jego groźba, a strażnicy, którzy nie znali rosyjskiego ani angielskiego, poruszyli się niespokojnie, wyczuwając napięcie.

Abdollahowi wystąpiła żyła na czole.

– Pójdiesz z tym człowiekiem – oznajmił posępnym głosem. – Pójdiesz z tym człowiekiem i zrobisz, co ci każe.

Erikki spojrzał na mężczyznę o azjatyckich rysach twarzy.

– Czego pan ode mnie chce?

– Potrzebuję pańskiej dwieście dwunastki i pańskich usług jako pilota – odparł po rosyjsku facet. W jego głosie nie słychać było wrogości.

– Przykro mi, ale dwieście dwunastka przechodzi przegląd po półtora tysiącu godzin spędzonych w powietrzu, a ja pracuję dla S-G i Iran-Timber.

– Dwieście dwunastka jest gotowa do lotu, pańscy mechanicy zakończyli przegląd, a Iran-Timber oddał pana do mojej dyspozycji.

– Co mam robić?

– Latać – odparł poirytowanym tonem facet. – Słyszał pan o lataniu?

– Nie, ale wygląda na to, że pan słyszał.

Mężczyzna wypuścił powietrze przez zęby. Starszy Rosjanin dziwnie się uśmiechnął. Abdollah-chan odwrócił się do Azadeh, która prawie podskoczyła ze strachu.

– Idź do Chananam i złóż jej uszanowanie!

– Tak... tak jest... ojczyźnie – wyjąkała, zrywając się na nogi.

Erikki dał krok do przodu, ale strażnik był na to przygotowany i wziął go na muszkę.

– Nie, Erikki... ja... muszę iść... – powiedziała bliska płaczu i wybiegła, nim mógł ją powstrzymać.

Mężczyzna o azjatyckich rysach twarzy przerwał milczenie.

– Nie musi się pan niczego obawiać. Potrzebujemy po prostu pańskich usług.

Erikki Yokkonen nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że znalazł się w potrzasku, że zarówno on, jak i Azadeh są w potrzasku i spisani na straty. Gdyby nie strażnicy, zaatakowałby właśnie w tym

momencie, zabijając Abdollah-chana i prawdopodobnie dwóch jego gości. Wszyscy trzej mężczyźni dobrze o tym wiedzieli.

– Dlaczego wezwał pan do siebie moją żonę, Wasza Wysokość? – zapytał cicho Fin, znając dobrze odpowiedź. – Wysłał pan aż dwie depesze.

– Dla mnie ona nie ma wartości, ale jest dużo warta dla moich przyjaciół – odparł chan, uśmiechając się złośliwie. – Chodziło o to, żeby sprowadzić cię z powrotem i żebyś był posłuszny. I, na Boga i jego Proroka, będziesz posłuszny. Zrobisz to, czego chce ten człowiek.

Jeden ze strażników poruszył swoim pistoletem maszynowym i szcęk broni odbił się echem w całym pokoju. Rosjanin o azjatyckich rysach wstał z miejsca.

– Najpierw proszę oddać nóż.

– Niech pan sam mi go zabierze. Jeśli panu na nim naprawdę zależy...

Mężczyzna zawahał się. Abdollah-chan wybuchnął gromkim śmiechem. Zabrzmiało w nim okrucieństwo i wszystkich przeszedł dreszcz.

– Nie odbierajcie mu noża – powiedział. – Wasze życie stanie się dzięki temu bardziej interesujące. A ty – dodał, zwracając się do Erikkiego – lepiej bądź grzeczny i słuchaj tego, co ci każą.

– Lepiej byłoby zostawić nas w spokoju.

– Chcesz zobaczyć, jak wieszamy twojego drugiego pilota za kciuki?

Erikki zmrużył oczy. Starszy Rosjanin pochylił się i szepnął parę słów chanowi, który ani na chwilę nie spuszczał z oczu Fina. Palcami dotykał wysadzanego brylantami sztyletu.

– Powiesz swojemu koledze, żeby też był posłuszny – powiedział w końcu, zwracając się do Erikkiego. – Wyślemy go do bazy, ale twój mały helikopter zostanie tutaj. Na razie – dodał, po czym dał znak mężczyźnie o azjatyckich rysach, że może wyjść.

– Nazywam się Cimtarga, kapitanie. – Chociaż o wiele niższy od Erikkiego, Rosjanin był barczysty i silnie zbudowany. – Najpierw...

– Cimtarga to nazwa górskiego pasma, na wschód od Samarkandy. Jakie jest pańskie prawdziwe nazwisko? I stopień?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Moi przodkowie walczyli pod rozkazami Timura Tamerlana, tego Mongoła, który lubił sypać kopce z czaszek. Najpierw pojedziemy do bazy. Samochodem. – Minął go i otworzył drzwi, ale Erikki nie ruszył się z miejsca, wciąż wpatrując się w chana.

– Chcę zobaczyć się dzisiaj w nocy z moją żoną.

– Zobaczysz ją, kiedy... – Starszy Rosjanin ponownie nachylił się do ucha chana i zaczął coś szeptać. – Dobrze. Zgoda, kapitanie, zobaczysz ją dzisiaj, a potem co drugą noc. Pod warunkiem że...

Ojciec Azadeh celowo nie dokończył zdania. Erikki obrócił się na pięcie i wyszedł.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, napięcie opadło. Starszy Rosjanin zachichotał.

– Był pan niezrównany, Wasza Wysokość, jak zawsze niezrównany.

Abdollah-chan poruszył lewym ramieniem, poirytowany artretycznym bólem, jaki w nim odczuwał.

– Fin będzie posłuszny, Petr – oznajmił – ale tylko dopóki będę trzymał pod kluczem moją nieposłuszną i niewdzięczną córkę.

– Córki zawsze sprawiają wiele kłopotów – odparł Petr Oleg Mzytryk. Pochodził z północnej

granicy, z Tbilisi.

– Nie masz racji, Petr. Inne są posłuszne i nie sprawiają kłopotów, ale ta jedna doprowadza mnie do pasji.

– Więc odeślij ją, kiedy Fin zrobi to, czego od niego chcemy. Odeślij ich oboje. – Mzytryk zmrużył oczy. – Gdybym był o trzydzieści lat młodszy, a ona wolna – dodał lekkim tonem – poprosiłbym o jej rękę.

– Gdybyś zrobił to, zanim pojawił się ten szaleniec, oddałbym ci ją i pobłogosławił was oboje – stwierdził z goryczą Abdollah-chan. W słowach Rosjanina wyczuł cień nadziei, ale nie dał po sobie nic poznać. – Żałuję, że mu ją oddałem... sądziłem, że straci przez nią zmysły – dodał. – Żałuję złożonej przed Bogiem przysięgi, że zachowam go przy życiu. To był moment słabości.

– Może niezupełnie. Czasami dobrze jest być wspaniałomyślnym. Ocalił ci życie.

– InszAllah! Taka była wola Boga... on był tylko narzędziem.

– Oczywiście – odparł pojednawczo Mzytryk. – Oczywiście.

– Ten człowiek to istny diabeł, ateistyczny diabeł, który pała żądzą mordy. Gdyby nie moi strażnicy... sam widziałeś... walczylibyśmy z nim o życie.

– Nic takiego się nie zdarzy, póki ona jest w twoich rękach – stwierdził Mzytryk, dziwnie się uśmiechając.

– Bóg sprawi, że oboje będą się wkrótce smażyć w piekle.

Chana wciąż irytowało, że musi pozostawić Erikiego przy życiu, aby pomóc Petrowi Olegowi Mzytrykowi. Mógł go przecież oddać mudżahedinom i w ten sposób pozbyć się raz na zawsze kłopotu. Mułła Mahmud, jeden z przywódców marksistowsko-islamskich mudżahedinów w Tabrizie, którzy zaatakowali bazę, przyszedł do niego przed dwoma dniami i opowiedział, co wydarzyło się podczas blokady drogowej.

– Jako dowód przedstawiam ich papiery – oświadczył wojowniczo. – Jeden paszport należy do cudzoziemca, który musi być agentem CIA, drugi do twojej córki. Kiedy wróci do Tabrizu, postawimy go przed naszym sądem, skażemy, zawieziemy do Kazwinu i stracimy.

– Na Proroka, nie zrobicie tego, chyba że za moim przyzwoleniem – zagrzmiał chan, odbierając dokumenty. – Ten wściekły pies jest mężem mojej córki, nie ma nic wspólnego z CIA i dopóki nie zmienię zdania, znajduje się pod moją opieką. Jeśli spadnie mu z głowy choć jeden ryży włos, albo jeśli ośmielicie się bez mojej zgody niepokoić jego lub bazę, przestanę was po cichu popierać i nic nie powstrzyma Zielonych Oddziałów przed wyparciem wszystkich lewaków z Tabrizu! Oddam go wam, kiedy sam uznam to za stosowne.

Mułła Mahmud odszedł z ponurą miną, a Abdollah umieścił go na liście ludzi, na których musi uważać. Cieszył się, że ma paszport i dowód tożsamości córki, ponieważ dawało to mu władzę na nią i jej mężem.

Azadeh robi teraz wszystko, co jej każe, pomyślał, patrząc na Rosjanina.

– Niezbadane są wyroki boskie, ale moja córka może wkrótce zostać wdową – powiedział na głos.

– Miejmy nadzieję, że niezbyt szybko. – Mzytryk wybuchnął głośnym zaraźliwym śmiechem. – Nie wcześniej, nim jej mąż wypełni swoje zadanie.

Abdollah-chan rozpogodził się; obecność Rosjanina i jego rozsądne rady dodawały mu otuchy. Cieszył się, że Mzytryk robi to, czego od niego chciał. Ale jeśli mam przetrwać i jeśli ma przetrwać Azerbejdżan, pomyślał, muszę jeszcze sprytniej pociągać za sznurki.

W całej prowincji i w Tabrizie sytuacja była teraz bardzo napięta. Co chwila wybuchały zamieszki, walczyły ze sobą różne frakcje, a tuż za granicą czekały dziesiątki tysięcy sowieckich żołnierzy. I setki czołgów. Droga do Zatoki stała przed nimi otworem. Tylko ja jeden mogę ich powstrzymać, pomyślał chan. Bo kiedy opanują Azerbejdżan, Iran, czego już niejedyn raz dowiodła historia, nie zdoła się obronić i zgodnie z przepowiednią Chruszczowa wpadnie im w ręce niczym zgniłe jabłko. A wraz z Iranem Zatoka Perska, światowa ropa i cieśnina Ormuz.

Miał ochotę wyć z wściekłości. Niechaj Bóg pokarze szacha, który nie chciał go słuchać, nie chciał zaczekać, nie miał dość zdrowego rozsądku, by zmiażdżyć dwadzieścia lat temu inspirowaną przez mułłów rebelię i posłać ajatollaha Chomeiniego do piekła. Zaprzepaścił wtedy szansę wzięcia za mordę całego świata poza Rosją – która, bez względu na to, czy carska, czy sowiecka, jest naszym prawdziwym przeciwnikiem.

A byliśmy tak blisko celu: Ameryka jadła nam z ręki, wciskając najnowocześniejszą broń i błagając, żebyśmy pilnowali Zatoki, ujarzmili nikczemnych Arabów, przejęli ich ropę i podporządkowali sobie sunnickie szejkanaty, od Arabii Saudyjskiej do Omanu. Mogliśmy opanować Kuwejt w jeden dzień, a Irak w tydzień. Szejkowie z emiratów uciekliby do swoich luksusowych rezydencji na Riwierze, błagając o litość! Mogliśmy dostać każdą technologię, o jaką byśmy poprosili, statki, samoloty, czołgi, każdą broń, na Boga, nawet bombę! Nasze zbudowane przez Niemców reaktory dostarczyłyby do niej paliwa!

Byliśmy tak blisko spełnienia boskiej woli, my, irańscy szyici, z naszą wybitną inteligencją, starożytną historią, naszą ropą i władzą nad cieśniną Ormuz, aby rzucić w końcu na kolana wszystkie Ludy Lewej Ręki. Tak blisko zdobycia Jerozolimy i Mekki, najświętszego ze świętych miast.

Mało brakowało, byśmy zajęli należne nam miejsce pierwszego mocarstwa na ziemi, lecz teraz wszystko wali się w gruzy i musimy zaczynać od nowa, musimy ponownie starać się przechytrzyć barbarzyńców z Północy. A wszystko to z powodu jednego człowieka.

InszAllach, pomyślał, i to go trochę uspokoiło. Gdyby w pokoju nie było Mzytryka, piekliłby się i może kogoś uderzył. Ale facet siedział tutaj i musiał się z nim rozmówić przez wzgląd na problemy Azerbejdżanu, opanował więc gniew i zaczął się zastanawiać nad następnym posunięciem. Wziął w palce ostatni kawałek chałwy i wsunął go do ust.

– Chciałbyś poślubić Azadeh, Petr?

– Chcesz, żebym ja, starszy od ciebie, został twoim zięciem? – odparł ze śmiechem Rosjanin.

– Jeśli taka będzie wola boska – stwierdził chan, z odpowiednią dozą szczerości, i uśmiechnął się w duchu, widząc nagły błysk w oczach przyjaciela, błysk, który ten starał się ukryć. No tak, pomyślał, zapragnąłeś jej od pierwszego spojrzenia. Co mógłbyś dla mnie zrobić, gdybym naprawdę ci ją oddał, po tym, jak pozbedziemy się tego potwora? Wiele rzeczy. Masz duże wpływy i władzę. Byłoby to rozsądne z politycznego punktu widzenia i, w przeciwieństwie do Fina, który ją rozpieszcza, wybiłbyś jej szybko z głowy złe humory. Byłbyś narzędziem mojej zemsty. Ze wszech miar korzystny związek...

Przed trzema laty Petr Oleg Mzytryk przejął dużą daczę i ziemię, która należała do jego ojca – również starego przyjaciela Gorgonów – niedaleko Tbilisi, gdzie od wielu pokoleń Gorgonowie prowadzili ważne interesy. Od tamtej pory Abdollah-chan bliżej się z nim zaprzyjaźnił i zatrzymywał się na daczce Mzytryka w trakcie częstych podróży. Odkrył, że Petr Oleg jest jak większość Rosjan skryty i trochę nieobliczalny. W przeciwieństwie jednak do swoich ziomków był przy tym życzliwy i serdeczny – i najbardziej wpływowy ze wszystkich Rosjan, jakich znał. Wdowiec, miał syna

w marynarce, zamężną córkę i wnuków oraz dość specyficzne upodobania. Mieszkał samotnie w swojej wielkiej dacz, za towarzyszy mając tylko służbę i dziwnie piękną, dziwnie zajadłą dobiegającą czterdziestki Rosjankę o nazwisku Wertyńska, z którą pokazał się tylko dwa razy w ciągu trzech lat, jakby była jego prywatnym skarbem. W rzeczywistości była dla niego jednocześnie niewolnicą, więźniem, kompanem od kielicha, kurwą, dręczycielką i dziką kocicą.

– Dlaczego jej po prostu nie zabijesz, Petr? – zapytał kiedyś chan, gdy po kolejnej dzikiej awanturze Mzytryk, okładając pięściami, wygonił ją z pokoju. Plującą, wrzeszczącą i wierzgającą kobietę powlekli korytarzem służący.

– Nie, jeszcze nie teraz. – Mzytrykowi drżały ręce. – Jest dla mnie zbyt... zbyt cenna.

– No tak... teraz rozumiem – odparł tak samo podniecony Abdollah-chan. Coś podobnego odczuwał w stosunku do Azadeh: niechęć do wyzbycia się drogocennego przedmiotu, póki w pełni nad nim nie zapanuje; póki nie będzie czołgała się przed nim na kolanach, upokorzona i przerażona. Pamiętał, jak bardzo zazdrościł Mzytrykowi, że Wertyńska jest jego kochanką, nie córką, dzięki czemu mógł dopełnić się ostatni akt zemsty.

Niech diabli wezmą Azadeh, pomyślał, Azadeh, która jest tak bardzo podobna do swej matki i przypomina mi stale, jak wielką poniosłem stratę. Niech diabli wezmą ją i jej nikczemnego brata. Oboje przypominają Naphalę z twarzy i sposobu bycia, ale nie z charakteru. Myślałem, że dzieci Naphali, która była niczym hurysa z Pańskiego Ogrodu, będą mnie kochały i szanowały, ale kiedy ich matka odeszła, odłoniłi swoje prawdziwe oblicza. Wiem, że Azadeh spiskowała ze swoim bratem, żeby mnie zabić... czyż nie dostarczono mi dowodów? O Boże, chciałbym móc ją wychłostać, tak jak to czyni Petr ze swoją nemezis, ale nie mogę, nie mogę. Za każdym razem, gdy podnoszę na nią rękę, widzę przed oczyma moją Ukochaną. Niech piekło pochłonie Azadeh...

– Spokojnie – powiedział Mzytryk.

– Co?

– Sprawiałeś wrażenie bardzo podenerwowanego, przyjacielu. Nie przejmuj się, wszystko jakoś się ułoży. Znajdziesz sposób, żeby wygonić z niej diabła.

Abdollah-chan pokiwał ciężko głową.

– Znasz mnie jak zły szeląg – mruknął.

Niestety to prawda, pomyślał, zamawiając herbatę dla siebie i wódkę dla Mzytryka, jedyne go mężczyzny, w obecności którego czuł się swobodnie.

Ciekawe, kim naprawdę jesteś, zastanawiał się, obserwując go. W dawnych latach, kiedy spotykaliśmy się na dacz twojego ojca, mówiłeś, że jesteś na emeryturze, ale nigdy nie zdradziłeś, co robiłeś przedtem, a ja nie mogłem tego odkryć, mimo że bardzo się starałem. Z początku sądziłem, że służyłeś w sowieckim wojsku, ponieważ wyznałeś kiedyś po pijanemu, że w czasie drugiej wojny dowodziłeś czołgiem w Sewastopolu i potem odbyłeś cały szlak bojowy do Berlina. Później zmieniłem zdanie; doszedłem do wniosku, że ty i twój ojciec należeliście do KGB lub GRU, ponieważ żaden inny obywatel Związku Sowieckiego nie mieszkałby na takiej dacz i nie miał tyle ziemi w Gruzji, kwitnącej prowincji imperium. Twierdzisz, że odszedłeś na emeryturę... ale co robiłeś przedtem?

Sprawdzając we wczesnym okresie, jak daleko sięga władza Mzytryka, Abdollah-chan wspomniął mu, że tajna komunistyczna komórka Tudehu czyha na jego życie. Chciał, żeby została zlikwidowana. Wiadomość o zamachu nie była do końca prawdziwa, Abdollahowi chodziło głównie o to, że jednym z członków organizacji był syn człowieka, którego skrycie nienawidził i nie mógł



otwarcie zaatakować. Nie minął tydzień, gdy ich głowy zatknięto na włóczniach koło meczetu z napisem TAK SCZEZNĄ WSZYSCY WROGOWIE WIARY. Abdollah-chan płakał rzewnymi łzami na pogrzebie i śmiał się w zaciszu swej sypialni. Fakt, że Petr Mzytryk był w stanie zlecić likwidację własnych ludzi, świadczył, że ma rzeczywiście potężną władzę. Egzekucja dowiodła również – z czego chan zdawał sobie świetnie sprawę – jak ważna jest dla Sowietów jego własna osoba.

– Jak długo będziecie potrzebowali Fina? – zapytał Mzytryka.

– Kilka tygodni.

– Co będzie, jeśli Zielone Oddziały aresztują go albo nie pozwolą mu latać?

Rosjanin wzruszył ramionami.

– Miejmy nadzieję, że do tego czasu zadanie zostanie wykonane. Wątpię, żeby on albo Cimtarga uszli z życiem, jeśli złapią ich po tej stronie granicy.

– Znakomicie. Wracając do kwestii, którą omawialiśmy, nim nam przerwano: zgodziłeś się nie wspierać tutejszej komórki Tudehu, dopóki Amerykanie nie będą się wtrącać, a Chomeini nie dobierze się im do skóry.

– Azerbejdżan od dawna znajdował się w strefie naszych interesów. Zawsze twierdziliśmy, że powinien być niepodległym państwem... jest tu dość bogactw naturalnych, ropy, minerałów... – Mzytryk uśmiechnął się – oraz mądrych polityków. Ty, Abdollah, mógłbyś podnieść wysoko sztandar niepodległości. Jestem pewien, że otrzymasz wystarczające poparcie, żeby zostać prezydentem... oraz nasze natychmiastowe uznanie.

A nazajutrz, kiedy czołgi przekroczą granicę, padnę ofiarą zamachu, pomyślał bez złości chan. O nie, mój drogi przyjacielu. Zatoka stanowi zbyt wielką pokusę nawet dla was.

– To wspaniały pomysł – stwierdził szczerze – ale potrzebuję czasu. Tymczasem zaś mogę chyba liczyć, że również komunistyczny Tudeh opowie się za niepodległością?

Mzytryk nie przestał się uśmiechać, ale zmienił się wyraz jego oczu.

– Byłoby dziwne, gdyby Tudeh atakował swoich przyrodnych braci. Islamski marksizm znajduje uznanie u wielu muzułmańskich intelektualistów. Słyszałem, że nawet ty go popierasz.

– Zgadzam się, że w Azerbejdżanie powinna panować równowaga. Ale kto kazał komunistom zaatakować lotnisko? Kto kazał im zaatakować i spalić nasz dworzec kolejowy? Kto kazał im wysadzić ropociąg? Z pewnością nikt rozsądny. Doszły mnie słuchy, że to był mułła Mahmud z meczetu Hadzsra. – Obserwował uważnie Mzytryka. – Jeden z waszych ludzi.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Bardzo mnie to cieszy – odparł z udaną jowialnością Abdollah-chan – ponieważ to fałszywy mułła, który nie ma nic wspólnego z islamskim marksizmem. Typowy awanturnik... to on wtargnął na teren bazy Yokkonena. Niestety popiera go około pięciuset tak samo jak on niezdyscyplinowanych bojowników. Dostaje skądś pieniądze. I doradców, takich choćby jak Fedor Rakoczy. Mówi ci coś to nazwisko?

– Niewiele – odparł tym samym tonem Petr, dalej się uśmiechając. Był wystarczająco sprytny, żeby nie próbować wymigać się od odpowiedzi. – To sowiecki obywatel, inżynier z Astasy, pracował przy ropociągu niedaleko granicy. Wyznaje podobno islam i przyłączył się bez naszej zgody i poparcia do mudzahedinów.

Petr zachował spokój, ale w środku aż się w nim kotłowało. Synu mój, synu, czyżbyś zdradził, miał ochotę zawołać. Wysłano cię, żebyś szpiegował i informował o posunięciach mudzahedinów,

nic więcej! Miałeś zwerbować Fina, a potem pojechać do Teheranu i zorganizować studentów uniwersytetu, lecz nie wchodzić w przymierze z tym wściekłym mułłą, nie atakować lotniska ani nie zabijać wieśniaków przy drodze. Czyś ty oszalał? Co by było, gdyby cię raniono i złapano? Ile razy ci mówiłem, że zarówno oni, jak i my potrafimy złamać każdego i wycisnąć z niego wszystkie sekrety? Dlaczego tak głupio ryzykujesz? Fin jest dla nas chwilowo ważny, ale nie aż tak bardzo, żeby łamać rozkazy i narażać na szwank przyszłość swoją, a także twojego brata i ojca!

Jeśli podejrzany jest syn, wtedy cień podejrzania pada również na ojca. Jeśli cień podejrzania pada na ojca, wtedy podejrzana jest cała rodzina. Ile razy ci mówiłem, że KGB działa według wytycznych z góry i niszczy tych, którzy próbują myśleć na własny rachunek, ryzykują i przekraczają instrukcje.

– Rakoczy nie jest ważny – oznajmił gładko.

Nie daj po sobie nic poznać, nakazał sobie, powtarzając niczym litanię: nie ma się czym przejmować. Znam zbyt wiele tajemnic, żeby mnie ruszyli. Podobnie jak mój syn. Nie zrobił złego, musieli się pomylić. Został wielokrotnie prześwietlony przeze mnie i innych ekspertów. Nic mi nie grozi. Jestem silny i zdrowy, mogę zawlec do łóżka tę małą piękną Azadeh i tego samego dnia zgwałcić Wertyńską.

– Ważne jest, że od ciebie zależy przyszłość Azerbejdżanu, mój przyjacielu – dodał tym samym kojącym głosem. – Otrzymasz wszelkie niezbędne poparcie, a twoje poglądy na temat islamskiego marksizmu dotrą tam, gdzie trzeba. Będziesz miał równowagę sił, jakiej potrzebujesz.

– Doskonale. Liczę na ciebie – oświadczył chan.

– Tymczasem zaś – powiedział Mzytryk, wracając do głównego powodu swej nagłej wizyty w Tabrizie – co będzie z brytyjskim kapitanem? Czy możesz nam pomóc?

Przed dwoma dniami do jego domu w Tbilisi dotarła ściśle tajna, zaszyfrowana depesza. Centrala zawiadamiała go, że należąca do CIA stacja radarowa na północnym zboczu Sawalanu została wysadzona przez sabotażystów tuż przed przybyciem zaprzyjaźnionych miejscowych oddziałów, które miały przejąć cały sprzęt, książki szyfrowe oraz komputery. „Skontaktuj się natychmiast osobiście z Iwanowiczem”, polecono mu; pod tym kryptonimem krył się Abdollah-chan. „Poinformuj go, że sabotażu dokonali: brytyjski kapitan, dwóch Gurkhów oraz agent CIA Rosemont (kryptonim Abu Kurd), prowadzeni przez jednego z naszych najemników, którego zabili, nim zdążył wciągnąć ich w zasadzkę. Podczas ucieczki zginął agent CIA i jeden żołnierz. Pozostali dwaj podążają w stronę sektora Iwanowicza. Zwróć się do niego o pomoc. Klauzula 16/a. Potwierdzić”. Klauzula 16 oznaczała, że wymieniona osoba lub osoby mają zostać zatrzymane i przewiezione na przesłuchanie przy użyciu wszelkich dostępnych środków. Dodane po kresce „a” oznaczało, że jeśli okaże się to niemożliwe, należy zatrzymanych zlikwidować.

Mzytryk wypił trochę wódki i czekał.

– Zawsze wam pomagałem – oznajmił Abdollah. – Ale odnalezienie w Azerbejdżanie dwóch doświadczonych sabotażystów, którzy z pewnością są teraz w przebraniu, jest czystą niemożliwością. Mogą schronić się w brytyjskim konsulacie w Tabrizie, z gór prowadzi poza tym kilkadziesiąt ścieżek i nie jesteśmy w stanie wszystkich kontrolować. – Wstał i podszedł do okna. Widział stąd stojący na dziedzińcu helikopter, którego pilnował strażnik. Niebo było wciąż bezchmurne. – Na ich miejscu udałbym, że idę do Tabrizu, a potem zawrócił w stronę Morza Kaspijskiego. Jak tam dotarli?

– Od Morza Kaspijskiego. Ale idą tutaj. W śniegu odnaleziono dwa trupy, a ślady pozostałych prowadzą w tę stronę – odparł Mzytryk.

Fiasko operacji na Sawalanie wywołało prawdziwą burzę w centrali. Fakt, że w bliskim sąsiedztwie, nieomal pod ręką, znajduje się tak dużo tajnego sprzętu CIA, od wielu lat korcił do podjęcia jakiejś akcji i infiltrowania całego terenu. W ciągu ostatnich dwóch tygodni napłynęły informacje o tym, że w rezultacie paniki, którą zręcznie podsycali, niektóre ze stacji radarowych zostały ewakuowane, lecz nie zniszczone. Twardogłowi opowiadali się za natychmiastowym wkroczeniem regularnych oddziałów. Mzytryk, specjalista od tego obszaru, doradzał ostrożność i posłużenie się siłami miejscowymi, żeby nie ryzykować międzynarodowego incydentu i nie antagonizować Abdollah-chana, który był jego najważniejszym agentem.

– Parcie do konfrontacji jest bardzo nierozsądne – oznajmił, trzymając się wytycznych... oraz swego prywatnego planu. – Co w ogóle chcemy osiągnąć przez natychmiastową akcję? Zakładając oczywiście, że nie zostaliśmy oszukani i Sawalan nie jest jedną gigantyczną pułapką minową. Kilka książek szyfrów, których może jeszcze nie mamy, a może mamy? Co do komputerów, możemy je zdobyć dzięki operacji Zatopek.

Chodziło o wysoce kontrowersyjną i nowatorską operację, nazwaną tak na cześć czeskiego długodystansowca. KGB rozpoczęło ją w roku 1965. Ze wstępnym funduszem dziesięciu milionów dolarów, w trudnej do zdobycia twardej walucie, zapewniała ona stały dopływ najbardziej zaawansowanych, najlepszych zachodnich technologii, nie poprzez konwencjonalną i kosztowną działalność szpiegowską, lecz drogą zwykłych zakupów dokonywanych za pośrednictwem fikcyjnych firm.

„Wymieniona suma jest niczym w porównaniu do spodziewanych korzyści”, pisał w ściśle tajnym raporcie, kiedy w 1964 roku po raz pierwszy wrócił z Dalekiego Wschodu. „Tysiące skorumpowanych biznesmenów i naszych sympatyków sprzedadzą nam dla zysku najnowocześniejszy sprzęt. Wysokie gratyfikacje dla konkretnych osób będą dla nas drobnym wydatkiem, dzięki temu zaoszczędzimy bowiem miliardy na badaniach, miliardy, które możemy wydać na nasze siły morskie, powietrzne i lądowe. I co równie ważne, oszczędzimy sobie wielu lat znoјnej pracy, prób i błędów. Praktycznie za grosze będziemy dotrzymywać kroku ich osiągnięciom. Za kilka zgniłych dolarów zyskamy dostęp do ich wszystkich skarbów”.

Jeszcze teraz Mzytryk czuł przyjemny dreszcz, przypominając sobie dzień, kiedy zaakceptowano jego plan. Autorstwo przypisali sobie oczywiście zwierzchnicy, ale on sam też wykorzystał tylko pomysł, który podsunął mu jeden z głęboko zakamuflowanych agentów w Hongkongu, Francuz o nazwisku Jacques de Ville, zatrudniony w wielkim konglomeracie Struanów. To on otworzył mu oczy.

– Prawo Stanów Zjednoczonych pozwala sprzedawać najnowsze technologie do Francji, zachodnich Niemiec i kilkunastu innych państw. Ale prawo tych państw nie zabrania tamtejszym firmom sprzedaży tej samej technologii do innych krajów, skąd z kolei można ją przekazać do Związku Sowieckiego. Biznes jest biznes, Gregor, a dzięki pieniądзом kręci się ten świat. Tylko za pośrednictwem Struanów moglibyśmy wysłać wam tony sprzętu, którego nie wolno wam nabyć w Ameryce. Obsługujemy Chiny... dlaczego nie mielibyśmy obsługiwać Rosji? Wy, żeglarze, nie znacie się na interesach.

Mzytryk uśmiechnął się po wąsem. W tamtym okresie występował jako Gregor Susłow, kapitan małego sowieckiego frachtowca, który kursował między Władywostokiem i Hongkongiem. W rzeczywistości pełnił tajną funkcję zastępcy szefa sekcji azjatyckiej Pierwszej Dyrekcji KGB.

Od roku 1964, kiedy przedstawiłem swój plan, pomyślał z dumą, dzięki kosztującej zaledwie

osiemdziesiąt cztery miliony dolarów operacji Zatopek zaoszczędziliśmy Matce Rosji grube miliardy i zapewniliśmy stały i rosnący dopływ amerykańskich, japońskich i europejskich gadżetów, elektronicznych cudeniek, hardware'u, software'u, planów, robotów, układów scalonych i lekarstw, które możemy kopiować i wytwarzać bez żadnych ograniczeń. A wszystko to za pieniądze z pożyczek, których nigdy im nie oddamy. Co za głupcy!

Miał ochotę się głośno roześmiać. Co ważniejsze, operacja Zatopek pozwoliła mu swobodnie operować na tym terenie, brać udział w wielkiej grze, z której wycofali się durni Brytyjczycy.

Obserwował stojącego przy oknie Abdollah-chana, czekając cierpliwie, czego zażąda za pomoc w ujęciu sabotażystów. Pośpiesz się, Tłusty Draniu, pomyślał, używając prywatnego przezwiska, które mu nadał. Obaj wiemy, że jeśli zechcesz, na pewno złapiesz tych matierjebców – pod warunkiem że wciąż znajdują się w Azerbejdżanie.

– Zrobię, co w mojej mocy – oznajmił odwrócony do niego plecami Abdollah-chan. Mzytryk nie starał się ukryć uśmiechu. – Co mam uczynić, jeśli wpadną mi w ręce?

– Zawiadom Cimtargę. Wszystkim się zajmie.

– Znakomicie – stwierdził chan, kiwając głową, po czym usiadł z powrotem na dywanie. – Tę sprawę uważam zatem za załatwioną.

– Dziękuję – odparł bardzo zadowolony Mzytryk. W ustach jego gospodarza tego rodzaju stwierdzenie obiecywało szybki sukces.

– Ten mułła, o którym mówiliśmy... – odezwał się po chwili chan. – Jest bardzo niebezpieczny. Podobnie jak jego banda nożowników. Moim zdaniem stanowią zagrożenie dla wszystkich. Powinien nim się zająć Tudeh. Oczywiście po cichu.

Mzytryk zastanawiał się, czy Abdollah wie o poparciu, jakiego udzielają Mahmudowi, jednemu z ich najlepszych i najbardziej fanatycznych zwolenników.

– Tudeh musi pozostać pod ochroną, podobnie jak ich przyjaciele – oznajmił i natychmiast zobaczył błysk irytacji na twarzy chana. – Być może uda się przesunąć tego człowieka gdzie indziej – dodał pojednawczo. – Bratobójcza walka przyniesie tylko korzyść przeciwnikowi.

– Ten Mahmud jest fałszywym mułłą. W rzeczywistości w nic nie wierzy.

– W takim razie powinien odejść. Szybko.

Petr Mzytryk uśmiechnął się. Abdollah-chan nie.

– Bardzo szybko, Petr. Na zawsze. Razem ze swoją grupą.

Cena była wysoka, ale klauzula 16/a pozwalała Mzytrykowi ją przyjąć.

– Skoro twierdzisz, że to konieczne, bardzo szybko i na zawsze – odparł. – Zgoda, przekażę twoją sugestię.

Uśmiechnął się i tym razem Abdollah-chan zrobił to samo, w pełni usatysfakcjonowany.

– Cieszę się, że zawarliśmy porozumienie, Petr. Nawróć się na islam i ocal swoją nieśmiertelną duszę.

Petr Mzytryk roześmiał się.

– W swoim czasie. A ty póki masz czas, zostań komunistą i korzystaj z życia.

Chan wybuchnął śmiechem, pochylił się i nalał Rosjaninowi wódki.

– Nie zatrzymasz się u mnie na kilka dni?

– Dziękuję bardzo, ale nie mogę. Po obiedzie wyruszam z powrotem do domu. – Mzytryk uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Mam dużo roboty.

Chan był bardzo zadowolony. Mogę więc zapomnieć o tym nikczemnym mulle i jego bandzie.

Wyrwany został kolejny zepsuty ząb. Ciekawe, co byś zrobił, Petr, gdybyś wiedział, że obaj sabotażyści znajdują się już w mojej posiadłości i czekają na moment, kiedy będą mogli ją opuścić. Ale dokąd się udadzą? Do Teheranu czy do ciebie? Nie podjąłem jeszcze decyzji.

Wiedziałem, że przyjdiesz błagać mnie o pomoc, w przeciwnym razie nie spotkałbym się z nimi przed dwoma dniami w Tabrizie i nie ukryłbym ich w bezpiecznym miejscu. Szkoda, że zginął Rosemont, był użyteczny. Jeszcze bardziej użyteczna jest zakodowana informacja i ostrzeżenie, które przekazał mi za pośrednictwem kapitana. Trudno będzie go zastąpić.

Prawdą jest także, że za przysługę trzeba odwdzińczyć się przysługą. Wypożyczenie niewiernego Fina jest tylko jedną z nich. Abdollah zadzwonił i po chwili pojawił się służący.

– Powiedz mojej córce Azadeh, żeby usiadła z nami do stołu – rozkazał chan.

## ROZDZIAŁ 9

TEHERAN,  
GODZINA 16.17.

Jean Luc Sessonne zastukał mosiężną kołatką do drzwi McIverów. Obok niego stała Sajada Bertolin. Teraz, gdy znaleźli się sami, dotknął przez płaszcz jej piersi i pocałował ją.

– Zostaniemy tu tylko chwilkę. A potem z powrotem do łóżka!

Roześmiała się.

– Zarezerwowałeś stolik we French Club?

– Oczywiście. Mamy mnóstwo czasu!

– Tak, *chérie*.

Jean Luc miał na sobie elegancki ciepły płaszcz, który zarzucił na lotniczy mundur. Lot z Zagros nie należał do najprzyjemniejszych: nikt nie odpowiadał na jego wezwania, choć w eterze rozbrzmiewały podekscytowane głosy w farsy, którego nie rozumiał.

Trzymając się regulaminowej wysokości, podszedł do lądowania na międzynarodowym lotnisku w Teheranie. W dalszym ciągu nikt nie odpowiadał na jego wezwania. Rękaw był podniesiony i pokazywał silny boczny wiatr. Przy budynku terminalu stały cztery jumbo jęty i inne odrzutowce, w tym jeden doszczętnie spalony. Zobaczył, że wokół kilku samolotów kłębi się tłum usiłujących dostać się na pokład mężczyzn, kobiet i dzieci. Przednie i tylne schodki były niebezpiecznie przeciążone, wszędzie poniewierały się porzucone walizki i bagaż. Nie zauważył żadnej policji ani strażników. Wszystkie drogi dojazdowe po drugiej stronie terminalu były zakorkowane. Na przepełniony parking próbowały się wcisnąć kolejne samochody, chodnikami walił zbity tłum ludzi dźwigających bagaże.

Jean Luc dziękował Bogu, że siedzi za sterami śmigłowca. Wylądował bez kłopotów na pobliskim lądowisku Galeg Morghi. Wprowadził dwieścieosóstkę do hangaru S-G i za dziesięć dolarów załatwił sobie samochód do miasta. Najpierw zatrzymał się w biurze Schlumbergera i zafiksował na następny rano lot powrotny do Zagros. Potem popędził do apartamentu Sajady. Była w domu. Jak zwykle po tak długim rozstaniu, pierwszy stosunek był szybki, niecierpliwy, brutalny i samolubny. Oboje eksplodowali pożądaniem.

Spotkał ją na bożonarodzeniowym przyjęciu w Teheranie dokładnie przed rokiem, dwoma miesiącami i trzema dniami. Pamiętał tamten wieczór. W pokoju było dużo osób, ale gdy ją zobaczył, miał wrażenie, że wszyscy gdzieś zniknęli. Siedziała samotnie w białej cienkiej sukni, popijając drinka.

– *Vous parlez français, madame?* – zapytał, oczarowany jej urodą.

– Niestety, *m'sieur*, tylko kilka słów. Wolałabym angielski.

– W takim razie mówmy po angielsku. Niezmiernie miło mi panią poznać, ale mam pewien dylemat.

– Tak? Jaki?

– Chciałbym się z panią natychmiast kochać.

– Słucham?

– Jest pani postacią z mego snu... – O wiele lepiej brzmiałoby to po francusku, ale trudno. – Od dawna pani szukałem i muszę się z panią kochać. Jest pani taka ponętna.

– Ale... ale tam jest mój mąż. Jestem mężatką.

– To pewne utrudnienie, *madame*, ale nie przeszkoda.

Roześmiała się i wiedział już, że ją zdobył. Do pełni szczęścia brakowało mu tylko jednego.

– Umie pani gotować? – zapytał.

– Oczywiście – odparła z takim przekonaniem, że od razu wiedział, iż będzie wspaniała, boska w łóżku, a czego nie będzie umiała, szybko się od niego nauczy. Ma szczęście, że mnie spotkała, pomyślał zadowolony, stukając po raz drugi kołatką. Drzwi otworzył Charlie Pettikin.

– Dobry Boże, Jean Luc, co ty tu, do diabła, robisz? Cześć, Sajada, wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek. Wchodźcie!

Uścisnął rękę Francuzowi i ucałował w oba policzki Sajadę. Prawie nie było jej widać w długim płaszczu i kapturze. Wiedziała, co może jej grozić w Teheranie, i stosownie do tego się ubrała.

– To oszczędzi nam masę kłopotów, Jean Luc. Zgadzam się, że to głupie i niedzisiejsze, ale nie chcę, żeby na mnie pluli albo żeby jakiś obleśny typ machał przede mną członkiem lub onanizował się, kiedy przechodzę. Iran nie jest i nigdy nie będzie Francją. Masz rację, to straszne, że muszę nosić coś w rodzaju czadoru, podczas gdy jeszcze przed kilku miesiącami to było nie do pomyślenia. Cokolwiek powiesz, *chérie*, stary Teheran odszedł w przeszłość.

Jaka szkoda, pomyślała, wchodząc do mieszkania. To miasto miało w sobie wszystko, co najlepsze na Wschodzie i na Zachodzie... a także to, co najgorsze. Ale teraz współczuję Irańczykom, a jeszcze bardziej Irancom. Dlaczego muzułmanie, zwłaszcza szyici, są tacy ograniczeni i nie pozwalają kobietom ubierać się nowocześnie? Dlatego, że mają fioła na punkcie seksu? Czy dlatego, że boją się z tym zdradzić? Dlaczego nie potrafią pozbyć się uprzedzeń tak jak my, Palestyńczycy, jak Egipcjanie, mieszkańcy Dubaju i Szardży, jak Indonezyjczycy, Pakistańczycy i tyle innych nacji? To musi być impotencja. Nic nie powstrzyma mnie przed wzięciem udziału w marszu protestacyjnym kobiet. Jak Chomeini śmiał zdradzić kobiety, które szły dla niego na barykady!

W mieszkaniu było zimno, elektryczny kominek grzał tylko na pół mocy, więc zamiast zdjęć płaszcz, rozpięła go i usiadła na jednej z sof. Jej sukienka pochodziła z Paryża i była rozcięta do pół uda. Pettikin zauważył to. Sajada była już tu wiele razy i chociaż bardzo lubiła Genny, apartament sprawiał na niej wrażenie obskurnego i nieprzytulnego.

– Gdzie jest Genny?

– Dziś rano poleciała stodwudziestką do Szardży.

– Razem z Duncanem? – zapytał Jean Luc.

– Nie, sama. Mac wyszedł do...

– Nie mogę w to uwierzyć! – zawołał Jean Luc. – Zarzekała się, że nigdzie się nie ruszy bez starego Duncana!

– Ja też nie mogę w to uwierzyć, ale w ogóle nie protestowała – odparł Pettikin. Nadeszła chyba pora, żeby zdradzić Francuzowi prawdziwy powód jej wyjazdu, pomyślał.

– Sytuacja nie jest najlepsza? – zapytał Jean Luc.

– Tak i stale się pogarsza. Coraz więcej egzekucji. – Pettikin uznał, że przy Sajadzie lepiej

będzie nie wspominać o straceniu ojca Szarazad. Nie było sensu jej denerwować. – Co powiecie na filiżankę herbaty? Świeżo zaparzona. Słyszeliście o więzieniu Quasr?

– Co takiego?

– Zdobył je dzisiaj tłum – powiedział Pettikin, idąc do kuchni po dodatkowe filiżanki. – Wyłamali bramę, uwolnili wszystkich więźniów i powiesili kilku policjantów i agentów SAVAK. Krążą plotki, że Zielone Oddziały powołały sądy kapturowe. Zapełniają cele, kim tylko się da, i szybko je opróżniają z pomocą plutonów egzekucyjnych. Mac odwiózł rano Genny na lotnisko, a potem pojechał do ministerstwa. Powinien niedługo wrócić. Łatwo było wydostać się z lotniska, Jean Luc?

– Kilometrowe korki.

– Stary wysłał na kilka tygodni stowudziestkępiątkę do Szardży, żeby zabrać stąd, jeśli to konieczne, wszystkich naszych ludzi albo dostarczyć nowe załogi.

– To dobrze. Scot Gavallan i kilku naszych mechaników mają zaległe urlopy. Czy stowudziestkapiątka może dostać zezwolenie na lądowanie w Szirazie?

– Spróbujemy w przyszłym tygodniu. Chomeini i Bazargan chcą wznowić wydobywanie ropy, więc chyba będą z nami współpracować. Krążą pogłoski o tym, że będziemy musieli zamknąć sklepik... miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Co tutaj robisz i co słysząc w Zagrosie? Zostaniecie na kolacji? Dzisiaj ja mam dyżur w kuchni.

Jean Luc starał się ukryć przerażenie.

– Przepraszam, *mon vieux*, ale dzisiaj to niemożliwe. Co do Zagrosu, panuje tam zupełny spokój. To w końcu francuski sektor. Przyleciałem po Schlumbergera. Wracam jutro o świcie i za dwa dni będę go musiał odwiedzić. Nie mogłem się oprzeć, żeby tu nie przylecieć – dodał, uśmiechając się do Sajady, która odwzajemniła uśmiech.

Nagle zaterkotał brzęczyk w stojącej na kredensie radiostacji wysokich częstotliwości. Jean Luc wstał i przekręcił gałkę na głośniej.

– Tu biuro w Teheranie – powiedział.

– Mówi kapitan Ayre z Kowissu do kapitana McIvera. Pilne.

Głos kapitana z trudem przebijał się przez trzaski i szумы.

– Tu kapitan Pettikin. Kapitan McIver chwilowo nie jest obecny. Sygnał dwa na pięć. – Siłę sygnału mierzono w skali od jednego do pięciu. – Czym mogę służyć?

– Gotowość numer jeden.

Jean Luc odchrząknął.

– Co się dzieje z tobą i Freddym? – zapytał. – Kapitan Ayre? Kapitan Pettikin?

– To taki szyfr – odparł machinalnie Pettikin, wpatrując się w radiostację. Sajada nadstawiła uszu. – Oznacza, że słucha nas ktoś, kto nie powinien. Wróg. Odpowiadając tak samo oficjalnie, daję do zrozumienia, że zrozumiałem.

– Bardzo sprytnie – stwierdziła Sajada. – Dużo macie takich szyfrów, Charlie?

– Nie, ale zaczynam tego żałować. To cholernie deprymujące, kiedy człowiek nie wie, co się naprawdę dzieje. Nie działają telefony i poczta, szwankuje teleks i co krok spotyka się świra z palcem na cynglu. Dlaczego, do cholery, nie oddadzą broni, i nie pozwolą nam żyć w spokoju?

Radiostacja cicho szumiała. Za oknami dzień był ponury i szary, nisko wiszące chmury zapowiadały śnieg. W przedwieczornym świetle dachy domów i nawet góry wyglądały ponuro. Czekali z niecierpliwością.



– Tu kapitan Ayre z Kowissu... – Głos ponownie zakłóciły trzaski i musieli się maksymalnie skupić, żeby cokolwiek usłyszeć. – Najpierw przekażę wiadomość, jaką otrzymałem kilka minut temu od kapitana Scota Gavallana z bazy Zagros Trzy. Wiadomość brzmi, jak następuje: „Pan pan pan. Lokalny komiteh powiadomił mnie właśnie, że jesteśmy w Zagros personae non grata. Wszyscy obcy obywatele mają wraz ze sprzętem opuścić ten teren w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Proszę o szybkie instrukcje, co mamy robić dalej”. Koniec wiadomości. Zapisaliście?

– Tak – odparł Pettikin, robiąc szybkie notatki. „Pan pan pan” było międzynarodowym lotniczym sygnałem zagrożenia, tylko o jeden stopień niższym od „Mayday”.

– To wszystko, co powiedział. Miał zdławiony głos.

– Poinformuję kapitana McIvera i skontaktuję się z wami tak szybko, jak to będzie możliwe.

Jean Luc pochylił się do przodu. Pettikin pozwolił mu wziąć do ręki mikrofon.

– Tu Jean Luc, Freddie. Proszę, zawiadom Scota, że wracam jutro przed południem, tak jak planowaliśmy. Miło było cię usłyszeć, dziękuję, daję ci z powrotem Charliego.

Kiedy oddawał mikrofon, zniknęła gdzieś cała jego galanteria.

– Załatwione, kapitanie Sessonne – odparł Ayre. – Miło było z panem pogadać. Następna sprawa: stowudziestkapiątka zabrała panią Starke i kapitana Jona Tyrera, który został ranny podczas nieudanego szturmu lewaków na Bandar-e Daylam...

– Jakiego szturmu? – szepnął Jean Luc.

– Pierwsze słyszę – odparł tak samo przejęty Pettikin.

– ...i zgodnie z planem dostarczy w ciągu kilku dni nowe załogi. Następna sprawa: kapitan Starke.

– Ayre na chwilę przerwał. Słyszeli w jego głosie wahanie, niepokój i dziwną sztywność, jakby informacja była czytana z kartki. – Kapitan Starke został zabrany do komitehu w Kowissie na przesłuchanie... – Obaj mężczyźni wstrzymali oddech. – ...w sprawie popierających szacha oficerów sił powietrznych, którzy uciekli w zeszły wtorek, trzynastego lutego, z Isfahanu na pokładzie helikoptera pilotowanego podobno przez Europejczyka. Następna sprawa: funkcjonowanie firmy poprawia się pod ścisłą kontrolą nowego kierownictwa. Dyrektorem miejscowego oddziału IranOil jest teraz pan Esvandiary, który chce, żebyśmy przejęli wszystkie kontrakty Guerneya. W tym celu będziemy potrzebowali trzech dwieściedwunastek i jednej dwieścieszóstki. Proszę o instrukcje. Potrzebujemy części zamiennych dla HBN, HKJ i HGX oraz pieniędzy na zaległe wypłaty. To wszystko.

Pettikin notował, prawie nie myśląc.

– Zapisalem wszystko i poinformuję kapitana McIvera, kiedy tylko wróci. Wspomniałeś coś o szturmie na Bandar-e Daylam. Podaj szczegóły.

Sygnal na chwilę zanikł. Pettikin i Jean Luc czekali. W końcu usłyszeli ponownie głos kapitana Ayre, już nie tak sztywny.

– Wiem tylko, że miasto zaatakowali przeciwnicy ajatollaha Chomeiniego. Kapitanowie Starke i Lutz pomogli ich odeprzeć. Następnie kapitan Starke przywiózł tutaj rannych w celu udzielenia im pierwszej pomocy. Z naszego personelu ucierpiał tylko Tyrer. To wszystko.

Pettikin poczuł kroplę potu na czole i starł ją dłonią.

– Jakie... jakie obrażenia odniósł Tyrer?

– Lekka rana głowy – odparł po chwili Ayre. – Doktor Nutt twierdzi, że nic mu nie będzie.

– Zapytaj go, co się wydarzyło w Isfahanie – powiedział Jean Luc.

Pettikin patrzył jak przez sen na swój palec na przycisku nadawania.

– Co się stało w Isfahanie?

Czekali w milczeniu kilkanaście sekund.

– Nie mam żadnych informacji poza tymi, które wam podałem.

– Ktoś podpowiada mu, co ma mówić – mruknął Jean Luc.

Pettikin ponownie nacisnął przycisk nadawania, potem jednak zmienił zdanie. Miał na końcu języka wiele pytań, ale Ayre najwyraźniej nie mógł na nie odpowiedzieć.

– Dziękuję, kapitanie – powiedział zadowolony, że w jego głosie zabrzmiało zdecydowanie. – Powiedz Panu Szybkiemu, żeby zamówienie na dodatkowe helikoptery złożył na piśmie z sugerowanym terminem zawarcia kontraktu i terminami spłat. Przekaż to zamówienie pilotowi stodwudziestkiąpiątki, kiedy dostarczy wam zmienników. Informuj nas na temat kapitana Starke'a. McIver skontaktuje się z wami najszybciej, jak to możliwe.

– Przyjąłem. Wyłączam się.

Po chwili słychać było szum i trzaski. Pettikin poruszał przez chwilę gałkami. Obaj mężczyźni kompletnie zapomnieli o Sajadzie, która siedziała cicho na sofie, uważnie się przysłuchując.

– Pod ścisłą kontrolą? To brzmi niezbyt zachęcająco, Jean Luc.

– Owszem. Najprawdopodobniej muszą latać z uzbrojonymi strażnikami. – Jean Luc zaklął cicho. Zastanawiał się, jak poradzi sobie bez niego młody Scot Gavallan. – *Merde!* Kiedy wylatywałem dziś o piątej rano, wszystko grało, kontrolerzy z Szirazu byli uprzejmi jak szwajcarscy hotelarze poza sezonem. *Merde! Mon Dieu*, martwię się też o kapitana Starke'a. Te komitehy mnożą się jak grzyby po deszczu. Bazargan i Chomeini powinni zrobić z nimi szybko porządek.

Jean Luc wstał z ponurą miną z krzesła, a potem zobaczył siedzącą na sofie, uśmiechającą się do niego Sajadę. W jednej chwili wróciła cała jego *bonhomie*. Nie mogę teraz nic zrobić dla młodego Scota, ale mogę coś zrobić dla niej.

– Przepraszam, *chérie* – powiedział z uśmiechem. – Sama widzisz, kiedy tylko wyjadę, w Zagrosie zaczynają się kłopoty. Będziemy lecieć, Charlie. Muszę teraz zajrzeć do swojego mieszkania, ale wpadniemy przed kolacją. Powiedzmy, o ósmej. Do tego czasu Mac powinien chyba wrócić?

– Na pewno. Macie ochotę czegoś się napić? Przykro mi, ale nie mamy wina. Może whisky? – zaproponował bez większego entuzjazmu Pettikin, jako że była to ich ostatnia butelka.

– Nie, dziękuję, *mon vieux*. – Jean Luc włożył płaszcz, stwierdził w lustrze, że jest tak samo przystojny jak zawsze, i pomyślał o skrzynkach wina i puszkach sera, które kazał przezornie zgromadzić żonie w spiżarni. – *A bientôt*. Przyniosę wam trochę wina.

– Ludzie mówią, że Bachtiar uciekł z kraju i przedostał się do Paryża.

– Nie wierzę w to, Charlie – stwierdziła Sajada.

– A ja tak – oznajmił Jean Luc. – Gdybym był bogatym Irańczykiem, zwałbym stąd już dawno ze wszystkim, co udałoby mi się zabrać. Od kilku miesięcy wiadomo było, że szach nie panuje nad sytuacją. Nastaly czasy rewolucji i terroru, tyle że bez naszego francuskiego poczucia sensu i stylu, bez naszego dziedzictwa cywilizacyjnego i dobrych manier. – Jean Luc potrząsnął z niesmakiem głową. – Co za szkoda! Przez długie stulecia my, Francuzi, pchaliśmy tu pieniądze i staraliśmy się ich czegoś nauczyć, żeby mogli wyjść z mroków średniowiecza. I czego się nauczyli? Nie potrafią nawet porządnie upiec chleba!

Sajada roześmiała się, wspięła na palce i pocałowała go.

– Kocham cię i to, że zawsze wszystko wiesz najlepiej, Jean Luc. Teraz chodź, *mon vieux*, masz

jeszcze dużo do zrobienia!

Po ich wyjściu Pettikin podszedł do okna i spojrzął na dachy domów. Co jakiś czas rozlegały się strzały. Nad Dżaleh unosiły się rozrywane wiatrem smugi dymu. Chmury zawisły nad szczytami gór. Od okien ciągnęło chłodem, na parapetach leżał lód i śnieg. Na ulicy widać było wielu jadących ciężarówkami albo idących żołnierzy. A potem muezinowie zaczęli wzywać z minaretów do popołudniowej modlitwy i poczuł się osaczony przez ich nawoływania.

Nagle ogarnął go lęk.

MINISTERSTWO LOTNICTWA, 17.04.

Duncan McIver siedział na drewnianym krześle w zatłoczonym przedpokoju ministra. Był głodny, znużony, zmarznięty i bardzo poirytowany. Zegarek mówił mu, że czeka już trzy godziny.

Poza nim w pomieszczeniu było kilkanaście osób: Irańczycy, paru Francuzów, Amerykanin, Brytyjczyk i jeden Kuwejczyk w turbanie i galabii – luźnej arabskiej szacie. Przed kilkoma minutami Europejczycy uprzejmie umilkli w odpowiedzi na wołanie muezinów, w dalszym ciągu dobiegające przez wysokie okna. Muzułmanie uklękli, zwracając się twarzą do Mekki i odmówili popołudniową modlitwę. Trwało to krótko i po chwili znów podjęto przerwane zdawkowe rozmowy – nierozsądnie było poruszać jakiegokolwiek istotne kwestie w takim miejscu. W przedpokoju było chłodno i wszyscy mieli na sobie płaszcze. Kilka osób zachowywało stoicką postawę, inni wściekali się w duchu, każdy bowiem miał, podobnie jak McIver, spóźnione spotkanie na mieście.

– InszAllah – mruknął, ale niewiele mu to pomogło.

Jeśli nie wydarzyło się nic złego, Genny jest już prawdopodobnie w Szardży, pomyślał. Cholernie się cieszę, że stąd wyjechała i że sama znalazła sobie ważny powód wyjazdu.

– Porozmawiam w cztery oczy z Andym – oznajmiła. – Nie możesz mu wysłać listu.

– To prawda – przyznał. – Może Andy wymyśli jakiś plan, który uda się zrealizować... który będzie się nadawał do realizacji – dodał niechętnie mimo targających nim obaw. – W Bogu nadzieja, że nie będziemy musieli. To zbyt niebezpieczne. Mamy za wielu ludzi i za wiele maszyn stacjonujących w całym kraju. To zbyt niebezpieczne. Zapominasz, że to nie jest nasza wojna, Genny, chociaż znaleźliśmy się między dwoma liniami frontu.

– Owszem, Duncan, ale nie mamy nic do stracenia.

– Możemy stracić ludzi i śmigłowce.

– Chcemy tylko zorientować się, czy to możliwe, prawda?

Genny jest na pewno najlepszym łącznikiem, jakiego moglibyśmy sobie wymarzyć – gdybyśmy potrzebowali łącznika. Miała rację, niebezpiecznie byłoby pisać o tym w liście: „Jeśli chcemy wyjść cało z tego bajzlu, Andy, musimy opracować plan wycofania za granicę wszystkich części zamiennych i śmigłowców, które mają obecnie irańską rejestrację i formalnie rzecz biorąc należą do irańskiej firmy o nazwie IHC...”.

Chryste! Przecież to nielegalny spisek!

Wyjazd nie jest żadnym rozwiązaniem. Musimy tu zostać, pracować i odebrać należne nam pieniądze, gdy zaczną działać banki. W jakiś sposób skłonię partnerów do współpracy... może będzie mi w stanie pomóc ten minister. Jeśli to zrobi, to bez względu na koszty przetrwamy jakoś tę burzę. Każdy rząd musi wznowić wydobywanie ropy. Będą im potrzebne nasze helikoptery i dostaniemy nasze pieniądze...

Drzwi do sekretariatu uchyliły się i urzędnik wyczytał nazwisko następnego petenta. Nigdy nie

było wiadomo, kto zostanie zaproszony do środka. Nawet w epoce szacha ten, kto przyszedł wcześniej, niekoniecznie wchodził pierwszy. Decydowały wpływy i pieniądze.

Spotkanie z wicepremierem załatwił mu Talbot z ambasady, dając jednocześnie list polecający. „Przykro mi, staruszkule, nawet ja nie mogę spotkać się z premierem, ale jego zastępca, Antazam, to całkiem rozsądny facet i mówi po angielsku. Nie jest jednym z tych rewolucyjnych oszołomów”.

McIver wrócił z lotniska tuż przed lunchem i zaparkował jak najbliżej budynków rządowych. Kiedy przedstawił strażnikowi przy drzwiach napisany po angielsku i w farsi list, facet odesłał go po dłuższym czasie wraz z innym strażnikiem w inne miejsce. Stamtąd po kolejnych dociekaniach przywędrował do tego budynku i stukając do różnych gabinetów trafił w końcu tutaj, godzinę spóźniony i wściekły.

– Proszę się nie martwić, aga, ma pan mnóstwo czasu – oświadczył ku jego uldze dobrze mówiący po angielsku, życzliwy recepcjonista, oddając kopertę z listem polecającym. – Dobrze pan trafił. Proszę zająć miejsce w poczekalni za tymi drzwiami. Minister Kia przyjmie pana najszybciej, jak to możliwe.

– Ale ja nie chcę się z nim widzieć! – odparł, prawie krzyżąc, McIver. – Mam list polecający do wicepremiera Antazama!

– Owszem, do wicepremiera Antazama, aga, ale on nie jest już członkiem rządu premiera Bazargana. InszAllah – oświadczył uprzejmie młody człowiek. – Minister Kia zajmuje się wszelkimi sprawami, które dotyczą cudzoziemców, finansów i samolotów.

– Lecz mnie zależy na spotkaniu... – McIver przerwał nagle, gdy dotarło do niego nazwisko nowego ministra. Przypomniał sobie, że pozostali akcjonariusze IHC przyjęli tego człowieka do rady nadzorczej, z olbrzymim uposażeniem i bez żadnych gwarancji, czy okaże się pomocny. – Minister Ali Kia?

– Tak, aga. Minister Ali Kia przyjmie pana najszybciej, jak to będzie możliwe. – Recepcjonista był miłym młodym człowiekiem ubranym w elegancki garnitur, białą koszulę i niebieski krawat, dokładnie tak jak w dawnych czasach. McIver pamiętał, żeby wsunąć do koperty pięć tysięcy riali bakszyszu, tak jak w dawnych czasach. Pieniądze zniknęły.

Być może sytuacja rzeczywiście się unormuje, pomyślał, wchodząc do poczekalni i siadając na krześle w rogu. W kieszeni miał jeszcze jeden plik riali i zastanawiał się, czy nie powinien ich włożyć do koperty. Dlaczego nie, jesteśmy przecież w Iranie: niżsi urzędnicy zadowolają się niższymi sumami, wyżsi wyższymi. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, wsunął do koperty banknoty o wysokim nominale, a potem na wszelki wypadek dodał jeszcze kilka. Może ten sukinsyn naprawdę będzie nam w stanie pomóc: irańscy wspólnicy zawsze mieli dobre stosunki z rządem. Może tak samo będzie w wypadku Bazargana.

Od czasu do czasu do gabinetu wchodził i wychodził z niego zaafetowani urzędnicy z papierami w rękach. Z rzadka do środka zapraszano uprzejmie następnego interesanta. Wszyscy bez wyjątku wychodzili z ponurymi bądź wściekłymi minami, najwyraźniej nic nie wskórawszy. Czekający w kolejce popadali w coraz większą frustrację. Czas włókł się niemiłosiernie wolno.

– Aga McIver!

Wewnętrzne drzwi znowu się uchyliły. Urzędnik zapraszał go dłonią do środka.

Ali Kia siedział za bardzo wielkim biurkiem, na którym nie leżały żadne papiery. Na jego ustach widniał uśmiech, ale oczy miał twarde i małe. McIver poczuł do niego instynktowną antypatię.

– Bardzo się cieszę, że zgodził się pan ze mną spotkać – oświadczył grzecznie, podając mu rękę.

Ali Kia słabo ją uściśnął.

– Proszę, niech pan siada, panie McIver. Dziękuję, że zechciał mnie pan odwiedzić. Ma pan, zdaje się, list polecający?

Minister mówił po angielsku dobrze, z akcentem z Oksfordu, gdzie studiował przed drugą wojną światową, korzystając z przyznanego przez szacha stypendium. Odprawił znużonym gestem dłoni stojącego przy drzwiach sekretarza.

– Tak, oczywiście. List był do wicepremiera Antazama, ale rozumiem, że powinien być skierowany do pana.

McIver wręczył mu kopertę. Kia wyjął list, przeliczył tkwiące w środku pieniądze, rzucił niedbale kopertę na biurko, dając do zrozumienia, że będzie potrzebował więcej, po czym przeczytał uważnie napisany odręcznie list i położył go przed sobą.

– Pan Talbot jest honorowym przyjacielem Iranu, choć reprezentuje wrogi rząd – oświadczył gładko. – Jaką konkretną pomocą mogę służyć przyjacielowi tak znamienitej osoby?

– Chodzi o trzy rzeczy, panie ministrze. Najpierw jednak niech mi wolno będzie powiedzieć, jak bardzo cieszymy się w S-G, iż zdecydował się pan służyć nam swoim bezcennym doświadczeniem, wchodząc w skład rady nadzorczej.

– Mój kuzyn bardzo nalegał. Wątpię, czy będę w stanie pomóc, ale wszystko w rękach Boga.

– InszAllah – powtórzył McIver. Obserwował uważnie ministra, starając się go rozgryźć, nie potrafił jednak wyjaśnić antypatii, którą do niego z miejsca powziął i którą z wielkim trudem ukrywał. – Po pierwsze, krążą plotki, że zgodnie z zarządzeniem Komitehu Rewolucyjnego wszystkie joint ventures zostaną zlikwidowane.

– Zgodnie z zarządzeniem rządu – poprawił go oschle Kia. – I co z tego?

– Jak odbije się to na naszej wspólnej firmie, IHC?

– Wątpię, czy w ogóle będzie miało jakikolwiek wpływ, panie McIver. Iran potrzebuje usług lotniczych przy wydobyciu ropy. Inne firmy helikopterowe wycofały się. To chyba dobrze wróży pańskiej firmie.

– Od wielu miesięcy nie otrzymujemy jednak pieniędzy za wykonywane prace – oświadczył ostrożnie McIver. – Uiszczamy w Aberdeen wszystkie opłaty za leasing śmigłowców i mamy duże zaległości w płatnościach w stosunku do prac, które wykonaliśmy.

– Jutro na polecenie premiera... i oczywiście ajatollaha... wznawia działalność Bank Centralny. Jestem pewien, że jakaś część długu będzie spłacona.

– Czy mógłby pan określić w przybliżeniu, ile możemy się spodziewać, panie ministrze?

McIver poczuł, jak budzi się w nim nadzieja.

– Więcej niż trzeba, aby firma kontynuowała działalność. Załatwiłem już zezwolenia na wyjazd pilotów, gdy dotrą tutaj ich zmiennicy. – Ali Kia wyjął z szuflady cienką teczkę i wręczył McIverowi kartkę papieru. Był to skierowany do urzędów imigracyjnych na lotniskach w Teheranie, Abadanie i Szirazie rozkaz, na mocy którego zatrudnieni przez IHC piloci i mechanicy mogli opuścić kraj w momencie, kiedy pojawią się ich zmiennicy. Sporządzony w farsy i po angielsku dokument był niechlujny, lecz czytelny. Podpisał go dzień wcześniej członek komitehu odpowiedzialnego za IranOil.

– Dziękuję. Czy mógłbym również uzyskać zgodę na przynajmniej trzy lądowania tygodniowo naszej stowudziestkipiątki... oczywiście pod warunkiem, że otwarte zostaną wasze lotniska międzynarodowe... w celu dostarczenia nowych załóg, części zamiennych i sprzętu oraz wywiezienia

zbędnych materiałów – dodał lekkim tonem.

– Całkiem możliwe, że zgoda zostanie udzielona – stwierdził Kia.

McIver wręczył mu plik papierów.

– Pozwoliłem sobie zaoszczędzić panu fatygi, panie ministrze, i przygotować treść stosownego zezwolenia... z kopiami zaadresowanymi do kontroli lotów w Kiszu, Kowissie, Szirazie, Abadanie i Teheranie.

Kia przeczytał uważnie dokument. Napisany w farsy i po angielsku, był prosty, bezpośredni i w odpowiednim stopniu oficjalny. Ministrowi trzęsły się palce. Podpisując go, przekroczyłby znacznie swoje kompetencje. Ale teraz, gdy w rządzie pogłębiał się chaos, a wicepremier i jego zwierzchnik znaleźli się w niełasce – usunięci prawdopodobnie przez tajemniczy Komiteh Rewolucyjny – musiał podjąć to ryzyko. Dzięki temu on, jego rodzina i przyjaciele zyskiwali dostęp do prywatnego odrzutowca.

Mogę zawsze powiedzieć, że zezwolenie kazał mi podpisać mój zwierzchnik, pomyślał, starając się okazać po sobie zdenerwowania, Gdyby zaczęto rozpowszechniać o mnie jakieś kłamstwa, stodwudziestkapiątka okazałaby się istnym darem niebios. Przeklęty Dżared Bakravan! Przez przyjaźń z tym psem o mało nie zostałem wplątany w zdradę stanu. Nigdy w życiu nie pożyczałem pieniędzy, nie konspirowałem z cudzoziemcami ani nie popierałem szacha.

Chcąc wytrącić nieco McIvera z równowagi, rzucił papiery na biurko obok listu polecającego.

– Powiedziałem już, że zgoda może zostać udzielona. Opłata za każde lądowanie będzie wynosić pięćset dolarów amerykańskich. Czy to wszystko, panie McIver? – zapytał świetnie wiedząc, że to nie wszystko. Zdradziecki brytyjski pies! Wyobraża sobie, że zdoła mnie przechytrzyć?

– Jeszcze jedna sprawa, Ekscelencjo. – Wstrzymując oddech, McIver wręczył mu ostatni dokument. – Nasze trzy maszyny muszą zostać pilnie oddane do przeglądu i remontu. Potrzebuję wiz wyjazdowych, żeby wysłać je do Szardży.

– Nie musimy wysyłać cennych helikopterów za granicę, panie McIver. Niech pan zreperuje je tutaj.

– Zrobiłbym to, gdyby istniała taka możliwość, Ekscelencjo. Niestety nie mamy tutaj odpowiednich części zamiennych ani mechaników... a każdy dzień przestoju śmigłowców kosztuje naszych współników fortunę. Fortunę – powtórzył z naciskiem McIver.

– Na pewno może je pan zreperować na miejscu. Niech pan po prostu przyśle tutaj części zamienne i mechaników.

– Oprócz kosztów przestoju są jeszcze piloci, którym trzeba płacić. Wszystko to słono kosztuje; powinienem chyba wspomnieć, że irańscy współnicy... tak to zostało sformułowane w umowie... wzięli na siebie załatwienie wszelkich niezbędnych wiz wyjazdowych. Jeśli mamy przejąć kontrakty po Guerneyu i wykonać polecenie ajatolla... to znaczy rządu o wznowieniu wydobywania ropy, będą nam potrzebne wszystkie maszyny. Bez sprawnego sprzętu... – McIver zawiesił głos i po raz kolejny wstrzymał oddech, mając nadzieję, że wybrał właściwy argument.

Kia zmarszczył brwi. Wszelkie koszty pokrywane przez irańskich partnerów pochodziły w tej chwili częściowo z jego kieszeni.

– Jak długo potrwa ten remont?

– Jeśli wyślę je w ciągu kilku najbliższych dni, nie dłużej niż dwa tygodnie.

Kia ponownie się zawahał. Nowe i zawarte dawniej kontrakty, wraz z helikopterami, sprzętem, instalacjami i nieruchomościami warte były grube miliony, z których jedna szóstka należała teraz do

niego – choć nie zainwestował ani jednego riala. Wszystko dostarczyli za darmo cudzoziemcy! Zgoda na odlot trzech helikopterów? Zerknął na zegarek. Był to wysadzany brylantami cartier – bakszysz od bankiera, który przed dwoma tygodniami potrzebował na pół godziny dostępu do teleksu. Za parę minut miał spotkanie z kierownikiem biura kontroli lotów i mógł to bez trudu załatwić.

– Zgoda – odparł ciesząc się, że dysponuje tak rozległą władzą, że uczestniczy w realizacji rządowej polityki wydobywania ropy i przysparza jednocześnie pieniędzy własnej firmie. – Dostanie pan zezwolenia, ale będą ważne tylko przez dwa tygodnie. Koszt jednego wyniesie... – przez chwilę się zastanawiał – ...pięć tysięcy dolarów w gotówce przed wylotem. Śmigłowce muszą tu być z powrotem za dwa tygodnie.

– Nie... nie mogę tak szybko zorganizować takiej sumy. Mogę panu dać weksel albo czek płatny w szwajcarskim banku. Na dwa tysiące dolarów od helikoptera.

Po krótkich targach uzgodnili cenę na trzy tysiące sto dolarów.

– Dziękuję panu, aga McIver – powiedział grzecznie Ali Kia. – Wychodząc, niech pan zrobi zmartwioną minę, żeby zniechęcić tych szubrawców, którzy czekają za drzwiami.

Znalazłszy się z powrotem w samochodzie, McIver wyjął z teczki dokumenty i obejrzał podpisy i oficjalne pieczęcie.

– To zbyt piękne, żeby było prawdziwe – mruknął półgłosem.

Może niepotrzebnie wpadali w panikę. Stodwudziestkapiątka może teraz legalnie lądować, Kia twierdzi, że przepisy dotyczące joint ventures nie odnoszą się do nas, i mamy zgodę na odlot trzech dwieście dwunastek, które są potrzebne w Nigerii... Dziewięć tysięcy dolarów to wcale nie najgorzej, jeśli się zważy, że helikoptery są warte trzy miliony. Nigdy nie sądziłem, że mi się uda.

– Zasłużyłeś sobie na whisky, McIver – mruknął zadowolony. – Bardzo dużą whisky!

**NIEDZIELA**



## ROZDZIAŁ 10

### PAŁAC CHANA W TABRIZIE, GODZINA 3.13.

Kapitan Ross wyjął ze skórzanego futerału zegarek i spojrzał na fosforyzujące wskazówki.

– Wszystko gotowe, Gueng? – szepnął w gurkhali.

– Tak, sahibie – odparł Gueng, zadowolony, że oczekiwanie dobiegło końca.

Mała izba pogrążona była w mroku. Dwaj mężczyźni wstali szybko z sienników, które leżały na starych śmierdzących dywanach rzuconych na gliniane klepisko. Byli ubrani do wyjścia. Ross podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Ich strażnik drzemał skulony przy drzwiach, trzymając na kolanach strzelbę. Dwieście jardów dalej, za ośnieżonymi sadami i zabudowaniami gospodarskimi wznosił się trzypiętrowy pałac chana. Noc była ciemna i chłodna, chmury zasłaniały księżyc, który wyglądał zza nich od czasu do czasu.

Znowu spadnie śnieg, pomyślał Ross, uchylając drzwi. Przez chwilę obaj stali w progu, badając wszystkimi zmysłami mrok. Nie paliło się ani jedno światło. Ross pochylił się bezszelestnie nad strażnikiem i potrząsnął nim, ale mężczyzna nie ocknął się z narkotycznego snu, który powinien potrwąć jeszcze co najmniej dwie godziny. Nietrudno było podać mu narkotyk w czekoladce ze specjalnego zestawu, w który każdy z nich był zaopatrzony: część czekoladek nafaszerowana była środkami nasennymi, część zatruta. Czekali cierpliwie, aż księżyc zajdzie za chmurę. Ross podrapał się odruchowo w miejscu, gdzie ukąsiła go pluskwa. Miał przy sobie kukri i jeden granat.

– Jeśli nas zatrzymają, wybraliśmy się tylko na przechadzkę – uprzedził wcześniej Guenga. – Broń palną zostawimy w chacie. Dlaczego mamy noże i granaty? To stary gurkhijski zwyczaj: chodzenie bez broni stanowi obrazę dla pułku.

– Wolałbym zabrać całą broń, przedostać się z powrotem w góry i ruszyć na południe, sahibie.

– Jeśli nam się dzisiaj nie uda, będziemy chyba musieli to zrobić, ale mamy małe szanse – odparł Ross. – Bardzo małe. Ci, którzy nas ścigali, wciąż nas szukają i nie spoczną, póki nas nie złapią. Nie zapominaj, że cudem udało nam się dotrzeć do kryjówki. Ocaliły nas miejscowe stroje.

Po potyczce, w której zginęli Vien Rosemont i Tenzing, zabrali ubrania martwym napastnikom i włożyli je na mundury. Ross zastanawiał się, czy nie wyrzucić w ogóle mundurów, ale uznał, że to byłoby niemądre.

– Jeśli nas złapią, trudno, będzie z nami koniec – mruknął.

Gueng wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dlatego lepiej, żeby nawrócił się pan teraz na hinduizm. Jeśli pan zginie, będzie to dla pana początek, nie koniec.

– Jak mam to zrobić, Gueng? Nawrócić się na hinduizm?

Gueng zrobił zdziwioną minę i wzruszył ramionami. Zanim ruszyli dalej, doprowadzili do porządku ciała Viena Rosemonta i Tenzinga i zostawili je zgodnie ze starym góralskim zwyczajem na

śniegu: „To ciało nie ma już wartości dla duszy, którą czekają ponowne narodziny, i dlatego oddajemy je zwierzętom i ptakom, które są innymi duchami borykającymi się ze swoim karmanem na drodze ku Nirwanie – miejscu Niebiańskiego Pokoju”.

Nazajutrz rano spostrzegli grupę pościgową. Kiedy zeszli ze wzgórz na przedmieścia Tabrizu, ścigający byli zaledwie pół mili za nimi. Ocaliło ich przebranie, w którym zgubili się w tłumie. Wśród górali wielu było tak samo wysokich jak Ross, z niebieskimi oczyma, wielu tak samo dobrze uzbrojonych. Na szczęście od razu odnaleźli tylne drzwi do małego brudnego garażu, podali nazwisko Rosemonta i jego właściciel ukrył ich. W nocy pojawił się ze swoimi strażnikami Abdollah-chan, bardzo nieufny i wrogo nastawiony.

– Kto kazał wam się o mnie pytać?

– Vien Rosemont. To on podał nam ten adres.

– Co to za jeden, ten Rosemont? I gdzie się teraz znajduje?

Ross opowiedział mu o zasadzce i zauważył błysk w oczach chana, ale Abdollah wciąż traktował ich nieprzyjaźnie.

– Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? Kim jesteś?

– Przed śmiercią Vien poprosił, bym przekazał panu wiadomość. Był w malignie i bardzo cierpiał, ale kazał mi powtórzyć trzy razy, żeby upewnić się, czy zapamiętałem. „Przekaż Abdollah-chanowi – powiedział – że Peter chce głowy Gorgona, a syn Petera jest jeszcze gorszy od ojca. Zadaje się z Kurdami tak samo jak Peter, który posłuży się Meduzą, żeby złapać Gorgona”.

Abdollah zmienił się na twarzy i nie uszło to uwagi Szkota.

– Coś jednak to panu mówi?

– Tak. Przede wszystkim, że znałeś Viena. Mówisz, że nie żyje? InszAllah, ale to wielka szkoda. Vien był bardzo dobrym człowiekiem, bardzo dobrym i wielkim patriotą. Kim jesteś? Jaką wypełniałeś misję? Co takiego robiłeś w górach?

Ross zawahał się. Armstrong uprzedził go podczas odprawy, żeby nie ufał zbyt temu człowiekowi. Rosemont, do którego miał pełne zaufanie, twierdził coś przeciwnego. „Możesz zawierzyć temu staremu sukinsynowi życie – powiedział przed śmiercią. – Ja zrobiłem to kilka razy i nigdy mnie nie zawiódł. Idź do niego, on wyciągnie cię z opałów...”.

Abdollah-chan uśmiechnął się. Jego usta były tak samo okrutne jak oczy.

– Może mi pan ufać... chyba pan musi.

– Owszem.

Ufam, ale tylko do pewnego stopnia, dodał w duchu Ross. Nienawidził tego słowa, które miliony ludzi kosztowało życie, a kolejne miliony wolność; słowa, które spędza sen z powiek każdemu mieszkańcowi tej ziemi.

– Mieliśmy zneutralizować Sawalan – oznajmił i opowiedział mu, co się wydarzyło.

– Bogu niech będą dzięki. Przekażę informację Wessonowi i Talbotowi.

– Komu?

– Nieważne. Przemycę was na południe. Chodźcie ze mną, tutaj nie jest bezpiecznie. Poszukuje się „dwóch brytyjskich sabotażystów, wrogów islamu”. Wyznaczono za was nagrodę. Jak pan się nazywa?

– Ross. Kapitan Ross, a to sierżant Gueng. Kim są ci, którzy nas ścigają? Irańczykami czy Sowiecami? A może Irańczykami na żołdzie Sowieców?

– Sowieci nie operują jeszcze otwarcie w moim Azerbejdżanie. – Usta chana wykrzywiły się

w dziwnym uśmiechu. – Na zewnątrz stoi mój samochód. Wsiądźcie do niego szybko i połóżcie się z tyłu. Ukryję was i kiedy będzie to bezpieczne, wyekspeduję do Teheranu. Ale musicie wykonywać moje rozkazy. Co do joty.

To było dwa dni temu. Przybycie dwóch Rosjan, a następnie śmigłowca zmieniło sytuację. Ross zobaczył, że księżyc kryje się za chmurę, i klepnął Guenga po ramieniu. Mały Nepalczyk zniknął w sadzie. Po chwili w mroku zabrzmiał sygnał „droga wolna” i Ross podążył za nim. Przebiegając po kilkanaście jardów i przypadając do ziemi, dotarli w końcu do narożnika północnego skrzydła pałacu. Nie spostrzegli na razie żadnego strażnika ani psów, chociaż Gueng widział wcześniej kilka dobermanów na łańcuchach.

Wspięcie się na balkon na pierwszym piętrze nie było trudne. Gueng prowadził. Minął kilka zasłoniętych żaluzjami okien i dotarł do schodów, które prowadziły na drugie piętro. Na górze zatrzymał się i rozejrzał. Ross dołączył do niego po chwili. Gueng wskazał palcem okna i wyciągnął kukri, ale kapitan potrząsnął głową, pokazał mu skryte w cieniu boczne drzwi i nacisnął klamkę. Drzwi głośno zaskrzypiały. Nad sadem wzbiło się w powietrze kilka nocnych ptaków, nawołując się nawzajem. Obaj mężczyźni odwrócili się, wypatrując patrolu. Nikt się nie pojawił. Oczekali jeszcze chwilę, a potem napompowany adrenaliną Ross wszedł do środka.

Korytarz był bardzo długi, z kilkoma oknami wychodzącymi na południe i wieloma drzwiami po obu stronach. Kapitan zatrzymał się przy drugich po prawej stronie i nacisnął ostrożnie klamkę. Otworzyły się bezszelestnie. Ross wślizgnął się do środka, a za nim Gueng z nożem w jednej i granatem w drugiej ręce. To był przedpokój: dywany, poduszki, staroświeckie wiktoriańskie meble i sofy. Prowadziło z niego dwoje drzwi. Modląc się, by jego wybór okazał się słuszny, Ross otworzył te bliższe narożnika pałacu. Zasłony w pokoju były zaciągnięte, lecz w wąskiej smudze księżycowego światła zobaczył łóżko, a w nim leżących pod grubą kołdrą mężczyznę i kobietę. Mężczyzna był tym, którego szukał, nie spodziewał się jednak zastać kobiety. Gueng zamknął bezszelestnie drzwi. Bez wahania podeszli obaj do łóżka, Ross od strony mężczyzny, Gueng kobiety, i jednocześnie zakneblowali obojgu usta chustami, wciskając je z wystarczającą siłą pod nosy, by nie mogli krzyczeć.

– Jesteśmy przyjaciółmi, pilocie, nie wzywaj pomocy – szepnął Ross do ucha Erikkiemu, nie wiedząc, jak się nazywa i kim jest kobieta. Widział, jak dezorientacja i senność ustępuje miejsca ślepej furii, a spod kołdry wysuwają się wielkie ręce, by rozedrzeć go na strzępy. Uchylił się bez trudu i zwiększył nacisk na nos Erikkiego, nie pozwalając mu wstać.

– Zaraz cię puszczę, nie krzycz, pilocie. Jesteśmy przyjaciółmi. Brytyjskimi żołnierzami. Kiwnij głową, jeśli się obudziłeś i rozumiesz. – Po chwili bardziej poczuł, niż zobaczył, że wielki mężczyzna kiwa głową. Poznał po jego oczach, że grozi mu niebezpieczeństwo. – Nie puszcжай kobiety, Gueng, póki nie będę gotowy z tej strony – szepnął cicho w gurkhali. – Nie bój się, pilocie, jesteśmy przyjaciółmi – powtórzył, zwracając się ponownie do Erikkiego.

Zwolnił nacisk i natychmiast uskoczył przed jego atakiem. Fin obrócił się na łóżku w stronę żony i Guenga i zastygł w bezruchu. Światło księżycy zamigotało na zakrzywionym ostrzu kukri, które dotykało jej szyi. Azadeh miała oczy szeroko otwarte z przerażenia.

– Nie! Nie rób jej krzywdy! – wychrypiał po rosyjsku zdezorientowany Erikki, widząc tylko orientalne rysy Guenga i biorąc go za jednego z ludzi Cimtargi. Głowa bolała go po wielu godzinach lotu w fatalnych warunkach atmosferycznych. – Czego chcecie?

– Mów po angielsku. Jesteś chyba Anglikiem?

– Nie, Finem. – Erikki zerknął na Rossa, ale w mroku widział tylko niewyraźny zarys postaci. –

Czego, do diabła, chcecie?

– Przepraszam, że obudziliśmy cię w ten sposób, pilocie. – Ross podszedł trochę bliżej i starał się nie podnosić głosu. – Przykro mi, ale musiałem się z tobą dyskretnie rozmówić. To bardzo ważne...

– Powiedz temu sukinsynowi, żeby puścił moją żonę! Natychmiast!

– Żonę? No tak... oczywiście, oczywiście, przepraszam. Czy ona nie będzie krzyczeć? Powiedz jej, proszę, żeby nie krzyczała.

Ross patrzył, jak mężczyzna obraca się w stronę kobiety, która leżała nieruchomo pod ciężką kołdrą, z zakneblowanymi ustami i przytkniętym do szyi nożem. Fin dotknął jej i nie spuszczać oczu z kukri powiedział kilka słów. Ton jego głosu był łagodny i krzepiący, ale nie mówił po angielsku ani w farsi. Zdezorientowany Ross doszedł do wniosku, że to rosyjski, i to jeszcze bardziej wytrąciło go z równowagi. Spodziewał się zastać brytyjskiego pilota S-G bez partnerki w łóżku, a nie Fina z żoną Rosjanką. Bał się, że wciągnął Guenga w zasadzkę. Fin znowu utkwiał w nim oczy. Czaiła się w nich niema groźba.

– Powiedz mu, żeby puścił moją żonę – powiedział Erikki po angielsku. – Nie będzie krzyczeć.

– Co jej powiedziałaś? To było po rosyjsku?

– Tak, po rosyjsku. Ten sukinsyn zaraz cię puści, powiedziałem. Nie krzycz. Przesuń się tylko za mnie. Nie rób żadnych gwałtownych ruchów, po prostu przesuń się za mnie. Nie rób nic, dopóki nie dopadnę tego drugiego sukinsyna, a wtedy walcz o życie.

– Jesteś Rosjaninem?

– Powiedziałem ci już, jestem Finem, i wkurzają mnie ludzie, którzy przychodzą w nocy z nożem w rękę, bez względu na to, czy są Brytyjczykami, Rosjanami, czy Finami.

– Jesteś pilotem S-G Helicopters?

– Tak. Każ ją zaraz puścić, bo nie ręczę za siebie.

Ross nie pozbył się jeszcze wątpliwości.

– Czy ona jest Rosjanką?

– Moja żona jest Iranką i mówi po rosyjsku podobnie jak ja – odparł lodowatym głosem Erikki, przesuając się o kilka cali na łóżku, żeby nie padała na niego wąska smuga księżycowego światła. – Przesuń się w lewo, nie widzę cię. Powtarzam po raz ostatni: każ temu małemu sukinsynowi puścić moją żonę, powiedz, czego chcesz, i wynoś się do diabła.

– Przepraszam. Możesz ją puścić, Gueng.

Gueng nie poruszył się i nie poruszyło się zakrzywione ostrze kukri.

– Dobrze, sahibie – powiedział w gurkhali – ale najpierw zabierz mu nóż spod poduszki.

– Jeśli po niego sięgnie, choćby dotknie, zabij ją, bracie. Ja biorę go na siebie – odparł Ross w tym samym języku. – Pod poduszką masz nóż, pilocie – stwierdził łagodnie po angielsku. – Proszę, nie dotykaj go. Jeśli to zrobisz, zanim załatwimy to, co mamy do załatwienia, przykro mi, ale... proszę, okaż trochę cierpliwości. Puść ją, Gueng – powiedział, ani na chwilę nie spuszczać z oczu mężczyzny.

Kątem oka zobaczył niewyraźny owal twarzy i długie splątane włosy. A potem kobieta schowała się za wielkimi ramionami Fina i wygładziła na sobie ciepłą nocną koszulę z długimi rękawami. Stał tyłem do światła i z wyjątkiem oczu, w których płonęła nienawiść, prawie jej nie widział.

– Przepraszam, że pojawiliśmy się jak złodzieje w środku nocy. Proszę wybaczyć – powiedział

do niej i powtórzył przeprosiny w farsi. Kobieta nie odpowiedziała. – Przekaż żonie moje przeprosiny, pilocie.

– Ona mówi po angielsku. Czego, do diabła, chcecie? – Teraz, kiedy Azadeh była bezpieczna, Erikki poczuł się trochę pewniej. Wciąż jednak pamiętał o tym, jak blisko jest mężczyzna z zakrzywionym nożem.

– Jesteśmy kimś w rodzaju więźniów chana, pilocie. Przyszedłem cię ostrzec i prosić o pomoc.

– Ostrzec przed czym?

– Kilka dni temu pomogłem jednemu z waszych pilotów. Nazywał się Charles Pettikin.

Ross zauważył, że nazwisko nie jest obce Finowi, i odetchnął z ulgą. Opowiedział szybko Erikkiemu o Doszan Tappeh i SAVAK, a także o tym, jak stamtąd uciekli. Opisał Pettikina tak dokładnie, że nie mogło być mowy o pomyłce.

– Charlie wspominał o panu – stwierdził zdumiony, lecz zarazem o wiele spokojniejszy Erikki – nie mówił jednak, że wysadził was niedaleko Bandar-e Pahlavi. Powiedział tylko, że jacyś brytyjscy spadochroniarze uratowali go przed agentami SAVAK, którzy chcieli go zabić.

– Poprosiłem, żeby zapomniał, jak się nazywam. Mieliśmy coś do załatwienia...

– Charlie miał szczęście, że was... – Ross zobaczył, że kobieta szepcze coś do ucha mężowi, odwracając jego uwagę. Fin pokiwał głową i ponownie utkwiał w nim oczy. – Ty mnie widzisz, a ja ciebie nie. Przesuń się do światła. Co do Abdollaha, gdybyście byli naprawdę jego więźniami, siedzielibyście w lochu, przykuci łańcuchami, a nie włóczyli się po pałacu.

– Poinstruowano mnie, że chan nam pomoże, jeśli wpadniemy w opał. On sam obiecał, że ukryje nas, a potem, kiedy będzie to bezpieczne, odeśle do Teheranu. Na razie umieścił nas w małym domku, na tyłach swojej posiadłości. Przy drzwiach cały czas pełni straż jego ochroniarz.

– Obiecał, że ukryje was przed kim?

– Zostaliśmy wysłani w tajnej misji i teraz ścigają nas...

– Jakiej tajnej misji? Wciąż cię nie widzę, przysuń się bliżej światła.

Ross trochę się przesunął, ale ciągle znajdował się w cieniu.

– Mieliśmy wysadzić tajny amerykański sprzęt radarowy, żeby nie przejęli go Sowieci albo ich sojusznicy.

– Na zboczach Sawalanu?

– Skąd, do diabła, o tym wiesz?

– Zmuszono mnie, żebym latał z Rosjaninem i kilkoma lewakami, którzy plądrują przygraniczne stacje radarowe i przewożą zrabowany sprzęt do Astasy na wybrzeżu Morza Kaspijskiego. Jedna ze stacji, położona na północnym zboczu, była kompletnie zniszczona... nie udało im się z niej niczego zabrać i z tego, co wiem, w ogóle nie zdobyli niczego wartościowego. Mów dalej. Przed czym chciałeś mnie ostrzec?

– Zmuszono cię?

– Moja żona jest zakładnikiem chana i Sowieców. Dlatego muszę z nimi współpracować i grzecznie się zachowywać – wyznał Erikki.

– Chryste! – Umysł Rossa pracował na zwiększonych obrotach. – Rozpoznałem znak S-G, kiedy krążyliście nad pałacem. Przyszedłem was ostrzec, że są tu Sowieci. Przyjechali dziś rano i za wiedzą i łaskawym przyzwoleniem chana mają zamiar cię porwać. Wygląda na to, że stary Abdollah prowadzi podwójną grę. – Zobaczył na twarzy Erikkiego zdumienie. – Nasi ludzie powinni się o tym szybko dowiedzieć.

– Po co chcą mnie porwać?

– Tego nie wiem. Wysłałem Guenga na rekonesans już po waszym przyjeździe. Wyślizgnął się przez tylne okno domku. Opowiedz im, Gueng.

– To było po tym, sahibie, jak zjedli lunch, chan i Rosjanin. Stali przy samochodzie Rosjanina, który szykował się do wyjazdu. Ukryłem się w pobliskich krzakach i wszystko dobrze słyszałem. Mówili po angielsku. Dziękuję za informację i ofertę, powiedział Rosjanin. W takim razie zawarliśmy porozumienie, Patar, odparł chan. Tak, przekażę wszystkie twoje sugestie, powiedział Rosjanin. Dopilnuję, żeby pilot już nigdy ci się nie naprzykrzał. Kiedy skończy tutaj pracę, zabierzemy go na północ. – Gueng przerwał na chwilę, słysząc głośne westchnienie Azadeh. – Słucham, memsahib?

– Nie, nic.

Gueng skoncentrował się, pragnąc przekazać im dokładnie treść rozmowy.

– Dopilnuję, żeby pilot już nigdy ci się nie naprzykrzał, powiedział Rosjanin. Kiedy skończy tutaj pracę, zabierzemy go na północ. Na stałe. Potem... – Gueng przez chwilę się zastanawiał. – Co było potem? A tak! Mułła też nie będzie cię niepokoił, dodał Rosjanin. W zamian za to złapiesz brytyjskich sabotażystów. Żywych. Jeśli to możliwe, wolałbym ich mieć żywych. Dobrze, złapię ich, Patar, odparł chan...

– Petr – poprawiła go Azadeh, kładąc rękę na ramieniu Erikkiego. – On nazywa się Petr Mzytryk.

– Jezu Chryste! – jęknął Ross. Teraz wszystko ułożyło się w logiczną całość.

– Co takiego? – zapytał Erikki.

– Powiem wam później. Mów dalej, Gueng.

– Tak, sahibie. Złapię ich, Patar, powiedział chan, jeśli to możliwe, żywych. Co dostanę, jeśli będą żywi? Rosjanin roześmiał się. Wszystko w granicach rozsądku. A co ja dostanę w zamian? Następnym razem przyjadę razem z nią, odparł chan. To wszystko, sahibie. Rosjanin wsiadł do samochodu i odjechał.

Azadeh zadrżała.

– Co się stało? – zapytał Erikki.

– Chan ma na myśli mnie – odparła cichym głosem.

– Nie bardzo rozumiem – mruknął Ross.

Erikki zastanawiał się, czując coraz większy mętlik w głowie. Azadeh opowiedziała mu już wcześniej o lunchu, na który kazał jej przyjść ojciec i podczas którego Petr Mzytryk nadskakiwał jej i zapraszał do Tbilisi – „a także oczywiście pani męża, jeśli będzie miał czas. Chętnie pokażę pani moją wiejską posiadłość...”.

– To sprawa osobista. Nieważne – wyjąkał. – Wygląda na to, że oddałeś nam wielką przysługę. Jak mogę się odwdziaczyć? – Uśmiechnął się i wyciągnął rękę do Rossa. – Nazywam się Yokkonen, Erikki Yokkonen, a to moja żona, Aza...

– Sahibie! – syknął ostrzegawczo Gueng.

Ross zamarł w bezruchu. Dopiero teraz zobaczył, że lewa ręka Erikkiego tkwi pod poduszką.

– Nie ruszaj się – powiedział, wyciągając kukri.

Erikki wyczuł w jego tonie groźbę i usłuchał. Ross ostrożnie odsunął poduszkę. Dłoń Fina była daleko od noża. Kiedy zabierał go z prześcieradła, ostrze błysnęło w świetle księżyca. Przez chwilę się wahał, a potem oddał go Erikkiemu, rękojeścią do przodu.

– Przepraszam, ale lepiej dmuchać na zimne.

Uściskał wyciągniętą dłoń i poczuł drżącą w niej siłę. Uśmiechnął się do Fina i odwrócił w jego stronę. Jego twarz po raz pierwszy wyłoniła się z półmroku.

– Nazywam się Ross, kapitan Ross, a to jest Gueng...

Azadeh westchnęła nagle i wyprostowała się na łóżku. Wszyscy na nią spojrzeli i Ross nareszcie wyraźnie ją zobaczył. To była Azadeh. Jego Azadeh sprzed dziesięciu lat, Azadeh Gorden – pod takim znał ją wówczas nazwiskiem – Azadeh z górskich dolin, piękniejsza niż kiedykolwiek, w dalszym ciągu będąca darem niebios. Wpatrywała się w niego swoimi wielkimi oczyma.

– Mój Boże, Azadeh, nie widziałem twojej twarzy...

– Ani ja twojej, Johnny.

– Azadeh... wielki Boże – wyjąkał Ross. Rozpromienił się podobnie jak ona, a potem usłyszał Erikkiego i zobaczył, że Fin wlepia w niego wzrok, ściskając w dłoni wielki nóż. Oboje poczuli, jak przejmują ich lęk.

– To ty jesteś „Jasnooki Johnny”? – zapytał chłodnym tonem Erikki.

– Tak, to ja... Przed laty... przed wielu laty miałem zaszczyt znać twoją żonę. Dobry Boże, Azadeh, jak się cieszę, że cię znów widzę!

– Ja też się cieszę.

Dłoń Azadeh spoczywała na ramieniu męża. Jej dotyk palił go, ale Erikki nie ruszał się, patrząc jak zahipnotyzowany na stojącego przed nim mężczyznę. Opowiedziała mu o Johnie Rossie, o spędzonym z nim wspólnie lecie, o tym, jaki był jego rezultat, o tym, że Johnny nie miał pojęcia, że zaszła w ciążę, a ona nie próbowała go zawiadomić i nie chciała, żeby kiedykolwiek się dowiedział. „To była moja wina, Erikki, nie jego. Byłam zakochana, skończyłam dopiero siedemnaście lat, on miał dziewiętnaście. Nazwałam go Jasnooki Johnny; nigdy przedtem nie widziałam człowieka z takimi błękitnymi oczyma. Byliśmy w sobie głęboko zakochani, ale to była tylko wakacyjna miłość, nie taka jak nasza, która będzie trwała wiecznie. Jeśli ojciec pozwoli, wyjdę za ciebie i proszę o to Boga, ale tylko pod warunkiem, że pogodzisz się z tym, iż kiedyś dawno, dawno temu stałam się już kobietą. Musisz mi obiecać, musisz mi przysiąc, że będziesz szczęśliwy jako mąż i jako mężczyzna, ponieważ któregoś dnia może go spotkamy. Ucieszę się na jego widok i będę się uśmiechać, ale moja dusza będzie należeć do ciebie, moja dusza, ciało i wszystko, co mam...

Przysiągł, jak tego chciała, szczerze i z całego serca, zadowolony, że jej w ten sposób ulży. Był wyrozumiały i rozsądny – czyż Finlandia nie była zawsze postępową, czyż nie była drugim po Nowej Zelandii krajem, który dał kobietom prawo głosu? Nie było w nim złości. Ani trochę. Martwiło go tylko, że nie była dość ostrożna – martwiło, ponieważ powiedziała mu o gniewie ojca, gniewie, który rozumiał.

A teraz miał przed sobą tego mężczyznę, zdrowego, silnego i młodego, prawie tak dużego jak on i bliższego jej wiekiem. Zżerała go zazdrość.

Ross próbował wziąć się w garść. Obecność Azadeh zupełnie wytrąciła go z równowagi. Oderwał od niej wzrok i spojrzął na Erikkiego. Nietrudno było czytać w jego oczach.

– Dawno temu znałem twoją żonę – powtórzył. – To było w Szwajcarii, chodziłem tam przez krótki czas do szkoły.

– Wiem – odparł Erikki. – Azadeh opowiedziała mi o tobie. To... to bardzo niespodziewane spotkanie dla nas wszystkich. – Wstał z łóżka i stanął naprzeciwko Rossa. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że trzyma nóż w ręku. Gueng po drugiej stronie łóżka nie chował swojego kukri. – No tak... – mruknął Erikki. – Cóż, kapitanie, dziękuję za ostrzeżenie.

– Powiedziałeś, że zmuszono cię, byś woził Sowietów?

– Azadeh jest gwarancją, że będę się dobrze zachowywał – odparł Erikki.

Ross pokiwał w zamyśleniu głową.

– Niewiele możesz zdziałać, skoro chan jest przeciwko tobie. Chryste, co za syf! Myślałem, że skoro tobie też grozi niebezpieczeństwo, będziesz chciał uciec i zabierzemy się razem z tobą helikopterem.

– Gdybym mógł, zrobiłbym to... Tak, oczywiście. Ale kiedy latam, przez cały czas jest ze mną dwudziestu ludzi, a Azadeh... moja żona i ja jesteśmy tu bardzo ściśle strzeżeni. Jest jeszcze jeden Rosjanin, nazywa się Cimtarga, nie odstępuje mnie na krok. Abdollah-chan też jest bardzo nieufny.

Nie podjął jeszcze decyzji, co ma zrobić z Rossem. Zerknął na Azadeh i zobaczył, że jej uśmiech jest szczerzy, podobnie jak gest dłoni, którą oparła o jego ramię. Ten człowiek był dla niej teraz tylko starym przyjacielem. Nie uśmierzyło to jednak targającego nim ślepego gniewu. Uśmiechnął się do niej z przymusem.

– Musimy być ostrożni, Azadeh.

– Tak, bardzo ostrożni.

Poczuła dreszcz, który przeszedł jej męża, gdy rozpoznała Johnny'ego, i wiedziała, że z nich trojga tylko ona może uporać się z tym dodatkowym zagrożeniem. Jednocześnie zaś podniecała ją admiraacja dawno utraconego kochanka i zazdrość Erikkiego, którą tak bardzo starał się ukryć. O tak, mój Jasnooki Johnny, myślała, jesteś wspanialszy niż kiedykolwiek: szczuplejszy, silniejszy i bardziej podniecający z tym zakrzywionym nożem, nie ogolonymi policzkami, brudnym ubraniem i męskim zapachem. Jak mogłam cię od razu nie rozpoznać?

– Kiedy przed chwilą poprawiłam imię „Patar” na „Petr”, zareagowałeś, jakby to było bardzo ważne. Dlaczego, Johnny?

– Przekazałem chanowi zaszyfowaną wiadomość – odparł Ross, zdając sobie z bólem sprawę, że w dalszym ciągu znajduje się pod jej urokiem. – „Przekaż Abdollah-chanowi, że Peter... to może być „Patar” Guenga, albo Petr, czyli Rosjanin... chce głowy Gorgona, a syn Petera jest jeszcze gorszy od ojca. Zadaje się z Kurdami tak samo jak Peter, który posłuży się Meduzą, żeby złapać Gorgona”.

– To łatwe. Prawda, Erikki?

– Tak – odparł roztargnionym tonem Fin. – Ale dlaczego mowa tam o tym, że syn Petera „zadaje się z Kurdami”?

– Chodzi o to – powiedziała podekscytowana – że Petr Mzytryk z KGB chce głowy chana, a syn Mzytryka, prawdopodobnie też funkcjonariusz KGB, jest jeszcze gorszy od ojca. Syn zadaje się z Kurdami i zachęca ich do buntu, który zachwieje władzą chana w Azerbejdżanie. A Petr Mzytryk posłuży się Meduzą, żeby złapać Gorgona. – Przez chwilę się zastanawiała. – To chyba kolejny kalambur: oznacza, że Petr posłuży się kobietą, być może złą kobietą, żeby złapać w sidła mego ojca.

Ross był wstrząśnięty.

– Mój Boże! Abdollah-chan... chan jest twoim ojcem?

– Niestety tak. Nazywam się Gorgon, nie Gorden – przyznała Azadeh. – Ale dyrektorka szkoły w Château d'Or powiedziała mi już pierwszego dnia, że nie mogę się nazywać Gorgon... koleżanki zadreńczyłyby mnie na śmierć. Zostałam więc Azadeh Gorden. Śmieszyło mnie to, lecz dyrektorka uważała, że wyjdzie mi na dobre, jeśli będą zwyczajną Azadeh Gorden, a nie córką chana.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Jeśli prawidłowo odczytałaś wiadomość – odezwał się w końcu Erikki – chan wcale nie ufa



tym matierjebcom.

– Owszem, Erikki. Ale mój ojciec nie ufa nikomu. Absolutnie nikomu. Jeśli rzeczywiście gra na dwie strony, wtedy nie sposób przewidzieć, co zrobi. Kto dał ci do przekazania tę wiadomość, Johnny?

– Agent CIA, który twierdził, że mogę zawierzyć chanowi życie.

– Zawsze podejrzewałem, że agenci CIA mają nie po kolei w głowie – stwierdził ze złośliwym uśmiechem Erikki.

– Ten akurat był normalny – odparł Ross ostrzej, niż zamierzał.

Erikki zaczerwienił się, a Azadeh przestała się uśmiechać.

Po raz kolejny zapadło milczenie. Jeszcze bardziej niezręczne. Księżyc zaszedł za chmury i w pokoju zrobiło się ciemniej. Gueng, który przez cały czas nasłuchiwał i obserwował, wyczuł napiętą atmosferę i wezwał po cichu wszystkich bogów, aby wybawiły ich od Meduzy, pogańskiego demona z węzami zamiast włosów, o którym uczyli go misjonarze w szkole w Nepalu. A potem szósty zmysł ostrzegł go przed niebezpieczeństwem. Syknął cicho i podszedł do okna. Po schodach naprzeciwko wchodziło dwóch uzbrojonych strażników z dobermanem na smyczy.

Erikki, Azadeh i Ross zastygli w bezruchu. Słyszeli, jak strażnicy idą po tarasie, a pies węszy i szarpie się na smyczy. Po chwili podeszli do zewnętrznych drzwi. Rozległo się głośnie skrzypnięcie. Strażnicy weszli do budynku.

Stłumione głosy i węszenie psa na korytarzu. Potem przy drzwiach do przedpokoju. Gueng i Ross wyciągnęli kukri i zajęli pozycje po obu stronach drzwi. Po pewnym czasie strażnicy ruszyli dalej korytarzem, wyszli z budynku i po schodach na dół. Azadeh nerwowo się poruszyła.

– Normalnie nigdy tu nie przychodzą. Nigdy.

– Może zobaczyli, jak tu wchodzimy – szepnął Ross. – Zwijamy się. Gdybyście usłyszeli strzały, nie znacie nas. Jeśli nas nie złapią, czy możemy was odwiedzić jutro, powiedzmy po północy? Moglibyśmy wymyślić jakiś plan.

– Dobrze – odparł Erikki. – Ale lepiej wcześniej. Cimtarga uprzedził mnie, że możemy wylecieć jeszcze przed świtem. Umówmy się na jedenastą. I przygotujmy lepiej kilka alternatywnych planów... wydostanie się stąd będzie bardzo trudne, naprawdę.

– Jak długo będziesz jeszcze dla nich pracował?

– Nie wiem. Chyba nie dłużej niż trzy, cztery dni.

– Dobrze. Jeśli się z wami nie skontaktujemy, zapomnijcie o nas.

– Niech Bóg ma cię w opiece, Johnny – szepnęła z obawą Azadeh. – Nie ufaj mojemu ojcu. Nie daj mu się uwięzić.

Ross uśmiechnął się i w pokoju zrobiło się od razu jaśniej: dostrzegł to nawet Erikki.

– Poradzę sobie. Powodzenia.

Zasalutował im niedbale i w ciągu paru sekund on i Gueng zniknęli tak samo bezszelestnie, jak się pojawili. Erikki, który wyglądał przez okno, zobaczył tylko przemykające po schodach cienie. Zauważył, jak umiejętnie i sprytnie korzystają obaj z osłony nocy, i zazdrościł Rossowi jego beztroskiej elegancji i płynności ruchów.

O głowę niższa Azadeh stanęła obok, obejmując go w pasie i także wyglądając przez okno. Po chwili jego ręka spoczęła na jej ramieniu. Czekali, spodziewając się jakichś krzyków bądź strzałów, ale nic nie zakłóciło ciszy. Księżyc ponownie wyjrzał zza chmur. Na dziedzińcu panował spokój. Erikki zerknął na zegarek. Było dwadzieścia trzy po czwartej.

Spojrzał na niebo. Ani śladu świtu. O brzasku musiał wyruszyć, nie na północne zbocze Sawalanu, ale do innych stacji radarowych na zachodzie. Cimtarga powiedział mu, że CIA wciąż prowadzi obserwację z kilku stacji niedaleko granicy tureckiej, ale rząd Chomeiniego nakazał ich zamknięcie, ewakuację i pozostawienie w nienaruszonym stanie.

– Nigdy tego nie zrobią – odparł na to Erikki. – Nigdy.

– Może tak, może nie – roześmiał się Cimtarga. – Kiedy otrzymamy rozkazy, polecimy tam z moimi „góralami” i popędzimy im kota...

Matierjebiec! I matierjebiec Jasnooki Johnny, który przybył tu, żeby skomplikować nam życie. Mimo to dziękuję bogom za ostrzeżenie, które przekazał. Jaki los Abdollah chce zgotować Azadeh? Powinienem był dawno zabić tego starego wieprza. Ale nie mogę. Przysięgłem na starych bogów, że nie ruszę jej ojca, podobnie jak on przysięgł na Jedynego Boga, że nie stanie nam na drodze, choć teraz znajdzie na pewno sposób, żeby obejść tę przysięgę. Czy mogę postąpić tak samo? Nie. Przysięga jest przysięgą. Podobnie jak ta, którą złożyłem Azadeh: że będę z nią żyć szczęśliwie, wiedząc o tamtym mężczyźnie. Poczul, jak mrocznieją jego myśli, i cieszył się, że jest ciemno.

A więc KGB ma zamiar mnie porwać. Jeśli to prawda, już po mnie. A Azadeh? Co ten stary diabeł Abdollah chce z nią zrobić? A teraz w dodatku pojawił się, by nas dręczyć, ten Johnny – nigdy nie sądziłem, że będzie taki przystojny, taki twardy, z tym cholernym wielkim nożem, zabójczym nożem...

– Wracajmy do łóżka, Erikki. Jest bardzo zimno.

Skinął potakująco i ruszył za nią ze zwieszoną głową. Kiedy znaleźli się z powrotem pod wielką kołdrą, przytuliła się do niego. Nie tak namiętnie, by wywołać jego reakcję, ale żeby pokazać, że nic wielkiego się nie stało.

– Co za niezwykły zbieg okoliczności! John Ross... na ulicy nigdy bym go nie poznała. To było tak dawno temu, zupełnie o nim zapomniałam. Tak się cieszę, że się ze mną ożeniłeś – szepnęła spokojnie i czule, wiedząc, że Erikki ściera w duchu na pył jej dawno utraconego kochanka. – Czuję się z tobą taka bezpieczna... gdyby nie ty, umarłabym ze strachu.

Powiedziała to tak, jakby oczekiwała od niego odpowiedzi. Tak naprawdę wcale jej od ciebie nie oczekuję, pomyślała i westchnęła.

Erikki usłyszał to westchnienie i zastanawiał się, co może oznaczać. Czuł przy sobie jej ciepłe ciało i przeklinał gniew, który go trawił. Czy Azadeh żałuje, że uśmiechnęła się do swego kochanka? Czy jest na mnie wściekła – widzi przecież, jaki jestem zazdrosny. Czy martwi ją to, że zapomniałem o swojej obietnicy? A może nienawidzi mnie, bo dostrzega, że nienawidzę tego mężczyzny. Przysięgam, że wyegzorcyzmuję go z twojego serca...

Och, Jasnooki Johnny, myślała Azadeh, jakiej ekstazy doznawałam w twoich ramionach, nawet za pierwszym razem, kiedy miało boleć, lecz wcale nie bolało. Ból stał się płomieniem, w którym roztopiło się całe moje życie, roztopiło się, a potem wróciło do mnie, lepsze niż przedtem, o wiele lepsze niż przedtem. A później pojawił się Erikki...

Pod kołdrą było ciepło. Jej ręka powędrowała do jego krocza. Poczula reakcję męża i uśmiechnęła się w duchu, wiedząc, że na niego działa i że tak łatwo może go podniecić. Ale to byłoby niemądre, bardzo niemądre, bo kochałby się z nią, myśląc tylko o Johnnym, wbrew niemu, a nie z miłości do niej – być może nawet uważając, że ulega mu, ponieważ czuje się winna i próbuje się kajać. O nie, kochany, nie jestem głupim dzieckiem, to ty jesteś winien, nie ja. I chociaż kochałbyś się dzisiaj z większą mocą i brutalnością niż zwykle, co normalnie zwiększa moją przyjemność, tym

razem nic z tego nie będzie, ponieważ, czy tego chcesz, czy nie, opierałabym się jeszcze bardziej niż ty ze względu na tego drugiego. Dlatego, kochany, dziesięć tysięcy razy lepiej będzie poczekać. Do świtu. Przy odrobinie szczęścia zdążysz do tego czasu uznać, że nie masz racji, nienawidząc go i będąc zazdrosny. Do tego czasu staniesz się z powrotem moim Erikkim. A jeśli nie? W takim razie spróbuję znowu – istnieje dziesięć tysięcy sposobów, żeby uzdrowić moją mężczyznę.

– Kocham cię, Erikki – powiedziała. Pocałowała piżamę na jego piersi, po czym odwróciła się do niego plecami i zasnęła z uśmiechem na ustach.

**WTOREK**

## ROZDZIAŁ 11

**TABRIZ,  
GODZINA 5.12.**

W małej chacie na skraju posiadłości chana coś wyrwało Rossa ze snu. Przez chwilę leżał bez ruchu, starając się uspokoić oddech i natężając wszystkie zmysły. Nic się nie działo, to tylko owady i ciasnota małej izby. Przez okno widział, że noc jest ciemna, niebo zachmurzone. Na drugim sienniku leżał skulony Gueng, regularnie oddychając. Z powodu zimna obaj spali w ubraniu. Ross podszedł bezszelestnie do okna i przeszukał wzrokiem mrok. W dalszym ciągu nic.

– Co się stało, sahibie? – szepnął mu nagle do ucha Gueng.

– Nie wiem. Chyba nic.

Gueng szturchnął go i pokazał werandę. Na stołku przy drzwiach nie było strażnika.

– Może poszedł się odlać?

Zawsze pilnował ich co najmniej jeden strażnik. W dzień i w nocy. Zeszłej nocy było ich dwóch, w związku z czym Ross ułożył w swoim łóżku manekina, zostawił im Guenga, po czym wyslizgnął się przez tylne okno i sam odwiedził Erikkiego i Azadeh. W drodze powrotnej o mało nie wpadł na patrol, ale strażnicy byli zaspani i nieuważni i zdołał ich obejść.

– Wyjrzyj przez tylne okno – szepnął do Guenga.

Przez dłuższą chwilę czekali i obserwowali. Za godzinę zacznie świtać, pomyślał Ross.

– Może to był duch gór, sahibie – powiedział cicho Gueng.

W Kraju na Dachy Świata istniał przesąd, że w nocy duchy odwiedzają w dobrych i złych zamiarach śpiących mężczyzn, kobiety i dzieci, i że sny są opowiadany przez nie szeptem historiami. Gueng wyteżył wzrok i słuch.

– Myślę, że powinniśmy zwracać większą uwagę na duchy – dodał.

Podszedł do siennika, wzięł buty, wsunął do kieszeni munduru talizman, który trzymał pod poduszką, po czym włożył szybko turban i ubranie, które zabrali góralom. Sprawdzał karabin i granaty i zarzucił sobie na plecy plecak, w którym były granaty, amunicja, woda i prowiant. Nie musiał sprawdzać kukri, bo miał go zawsze w zasięgu dłoni, zawsze naoliwiony i wyczyszczony przed snem.

Ross był również gotów. Gotów do czego, pytał sam siebie. Pięć minut temu spał, a teraz stoi przy drzwiach z nożem i odbezpieczoną bronią. Czego się lęka? Gdyby Abdollah chciał mu zrobić coś złego, dawno już odebrałby im broń – albo próbował ją odebrać.

Wczoraj po południu usłyszeli startującą dwieścieszóstkę i zaraz potem odwiedził ich chan.

– Przepraszam za opóźnienie, kapitanie, ale wszyscy ciągle was szukają. Nasi sowieccy przyjaciele wyznaczyli za wasze głowy wysoką nagrodę. Tak wysoką, że być może sam się skuszę – stwierdził jowialnie.

– Miejmy nadzieję, że nie. Jak długo jeszcze będziemy musieli czekać?

– Nie dłużej niż kilka dni. Sowietom chyba bardzo na was zależy. Wysłali do mnie kolejną delegację z prośbą, żebym pomógł was ująć. Pierwsza była tutaj przed waszym przybyciem. Ale nie martwcie się. Wiem, co jest dobre dla przyszłości Iranu.

Zeszłej nocy Erikki potwierdził wiadomość o nagrodzie.

– Dzisiaj byłem niedaleko Sawalanu, opróżnialiśmy kolejną stację radarową. Kilku robotników wzięło mnie za Rosjanina... ludzie mieszkający przy granicy znają na ogół rosyjski. Mają nadzieję, mówili, że to właśnie im się uda złapać wysokiego brytyjskiego sabotażystę i jego pomocnika. Nagrodą jest pięć koni, pięć wielbłądów i pięćdziesiąt owiec. To prawdziwa fortuna i skoro wiedzą o was tam, na północy, możesz być pewien, że szukają was również w Tabrizie.

– Czy pilnują cię Rosjanie?

– Tylko Cimtarga, ale on nie jest szefem. Odpowiada wyłącznie za mnie i za helikopter. Ci, którzy mówią po rosyjsku i wzięli mnie za Rosjanina, pytali mnie, kiedy przekroczymy granicę.

– Mój Boże... czy te przypuszczenia mają jakieś realne podstawy?

– Wątpię. To tylko plotki. Ludzie karmią się nimi. „Nigdy”, odparłem, a wtedy ten facet wykił mnie i stwierdził, że na granicy czekają całe armie i setki czołgów, że sam je widział. Nie mówię w farsi i nie wiem, czy nie był kolejnym agentem KGB przebranym za górala.

– Co takiego wywozicie? Czy to coś wartościowego?

– Nie wiem. Trochę komputerów, dużo czarnych skrzynek i papierów. Trzymają mnie z daleka, ale wiem, że sprzętu nie rozmontowują eksperci. Wyrrywają go po prostu ze ścian, odcinają kable i rzucają na kupę. Robotników najbardziej interesuje zawartość magazynów, zwłaszcza papierosy.

Rozmawiali o ucieczce. Nie potrafili ułożyć sensownego planu. Za wiele było niewiadomych.

– Nie wiem, jak długo każą mi latać – powiedział Erikki. – Ten sukinsyn Cimtarga twierdzi, że premier Bazargan kazał Jankesom opuścić dwie bazy daleko na zachodzie, przy granicy tureckiej, ostatnie, które tam mieli. Mają się natychmiast wynieść i zostawić sprzęt w nienaruszonym stanie. Jutro tam lecimy.

– Latałeś dziś dwieścieszóstką?

– Nie. To był Nogger Lane, jeden z naszych pilotów. Przyleciał tu z nami, żeby zabrać dwieścieszóstkę do Teheranu. Kierownik naszej bazy powiedział, że kazali Noggerowi obwieźć się po miejscach, w których toczyły się ostatnio walki. Kiedy McIver nie dostanie od nas wiadomości, wścieknie się i wyśle grupę poszukiwawczą. To dałoby nam jakąś szansę. A co z wami?

– Chyba damy nogę. Robię się bardzo nerwowy w tej parszywej chatce. Jeśli się ewakuujemy, być może pójdziemy w stronę waszej bazy i ukryjemy się w lesie. Postaramy się z wami skontaktować. W porządku?

– Dobrze. Ale w bazie nie ufajcie nikomu, z wyjątkiem naszych dwóch mechaników, Dibble’a i Arberry’ego.

– Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić?

– Mógłbyś mi zostawić jeden granat?

– Oczywiście. Miałeś kiedyś do czynienia z granatem?

– Nie, ale wiem, jak działają.

– To dobrze. Wyciągasz tę zawleczkę, liczysz do trzech... nie do czterech... i rzucasz. Potrzebujesz broni palnej?

– Nie, dziękuję. Mam swój nóż... ale granat zawsze może się przydać.

– Pamiętaj, że ma dużą siłę rażenia. Będę leciał. Powodzenia.

Ross powiedział to, patrząc na Azadeh, podziwiając jej urodę i wiedząc, że ich czas został już na zawsze zapisany w gwiazdach, wietrze i dźwięku dzwonek, które podobnie jak szczyty stanowią nieodłączną część Alp. Zastanawiał się, dlaczego nigdy nie odpowiedziała na jego listy. A potem w szkole oznajmili mu, że wyjechała. Wyjechała do domu.

– To, co się wydarzyło, może się już nigdy nie powtórzyć, mój Jasnooki Johnny – powiedziała mu ostatniego dnia.

– Wiem. Jeśli się nie powtórzy, umrę szczęśliwy, bo wiem już, czym jest miłość. Naprawdę. Kocham cię, Azadeh.

Ostatni pocałunek. Potem zszedł na dół do pociągu i stojąc w oknie, machał dłonią, aż zniknęła mu z oczu. Zniknęła na zawsze. Chyba oboje wiedzieli, że na zawsze, pomyślał, stojąc w pograżonej w mroku izbie i próbując zdecydować, co robić dalej: poczekać jeszcze chwilę, położyć się spać, czy uciekać. Może chan nie kłamał i jesteśmy tutaj bezpieczni. Nie ma powodu mu nie ufać. Vien Rosemont, który nie był głupcem, powiedział, że można mu...

– Sahibie!

Ross też usłyszał ciche kroki. Obaj mężczyźni zajęli pozycje przy drzwiach, zadowoleni, że wreszcie zaczęło się coś dziać. Drzwi się uchyliły. Przez chwilę Ross miał wrażenie, że do mrocznej izby zagląda upiorny duch gór. Ku swemu zdumieniu rozpoznał Azadeh, w czadorze, który zlewał się kolorem z nocą, ze spuchniętą od łez twarzą.

– Johnny? – szepnęła niespokojnie.

Ross nie poruszył się, trzymając broń gotową do strzału. Spodziewał się wrogów.

– Tutaj, Azadeh. Przy drzwiach – odparł cicho.

– Chodźcie ze mną! Grozi wam niebezpieczeństwo. Szybko! – szepnęła i wybiegła na zewnątrz.

Zobaczył, że Gueng kręci głową, i zawahał się.

– Idziemy – postanowił w końcu.

Wyślizgnął się na zewnątrz i pobiegł do niej w przyćmionym świetle księżyca. Gueng ruszył za nim, instynktownie go osłaniając. Azadeh czekała przy kępie drzew. Jeszcze nim się z nią zrównał, dała znak, żeby biegł za nią dalej, i poprowadziła ich przez sad i wokół zabudowań gospodarskich. Śnieg tłumiał kroki, ale pozostawiali na nim ślady, i Ross zdawał sobie z tego świetnie sprawę. Biegł dziesięć jardów za nią, uważnie obserwując teren, zastanawiając się, co to za niebezpieczeństwo, dlaczego płakała i gdzie jest Erikki?

Księżyc krył się za chmurami. Gdy czasami zza nich wyglądał, Azadeh zatrzymywała się, dawała znak, żeby zaczekali, i dopiero po chwili ruszała dalej, starając się kryć w cieniu. Ross zastanawiał się, gdzie się tego nauczyła, a potem przypomniał sobie Erikkiego, jego wielki nóż i Finlandię – kraj jezior, lasów, gór, trolli i myśliwych. Skoncentruj się, głupcze, później będziesz miał czas, żeby rozmyślać o Finlandii, nie teraz, kiedy wszystkich narażasz. Skoncentruj się!

Rozglądał się, z każdej strony spodziewając się kłopotów, niemal pragnąc, żeby się zaczęły. Wkrótce zbliżyli się do wysokiego na dziesięć stóp muru, wzniesionego z ciosanych kamieni, który biegł wzdłuż całej posiadłości. Między murem i drzewami znajdował się pas odkrytej ziemi. Azadeh ponownie kazała mu się schować i wyszła na otwartą przestrzeń, szukając miejsca, gdzie najlepiej byłoby się wdrapać. Znalazłszy je, dała mu znak. Zanim zdążył dobiec do muru, była już w połowie drogi, bez trudu wynajdując palcami pęknięcia i szczeliny, niektóre naturalne, niektóre wykute, żeby ułatwić wspinaczkę. Księżyc znowu wyjrzał zza chmur i Ross, czując się kompletnie odsłonięty, przyspieszył. Kiedy dotarł do szczytu, ona była już prawie na dole. Przerzucił nogi na drugą stronę,

znalazł oparcie dla stóp i pochylił się, czekając na Guenga. Już zaczął się denerwować, kiedy od ziemi oderwał się ciemny kształt i dotarł bezpiecznie do muru.

Zejscie na dół było trudniejsze. W połowie muru Ross poślizgnął się i spadł na ziemię. Klnąc rozejrzał się dookoła. Azadeh była już po drugiej stronie wytyczonej za murem drogi i biegła pod górę ku oddalonym o jakieś dwieście jardów skałom. Niżej po lewej stronie widać było Tabriz. W pobliżu lotniska jaśniały łuny pożarów. Z oddali dobiegała kanonada.

Gueng wylądował zgrabnie koło niego, uśmiechnął się i pokazał, że powinni ruszać dalej. Dobiegli do skał, ale Azadeh jakby zapadła się pod ziemię.

– Tutaj, Johnny!

Zobaczył małą rozpadlinę i ruszył w jej stronę. Miejsca było akurat tyle, żeby się precyzyjnie. Zaczekał na Guenga i wszedł do środka. Po chwili z mroku wyłoniła się jej ręka i pociągnęła go w bok. Kiedy do jaskini wślizgnął się Gueng, Azadeh zasunęła ciężką skórzaną zasłonę przy wejściu. Ross sięgnął do plecaka po latarkę, ale zanim zdążył ją wyjąć, w mroku zabłysła zapałka. Azadeh osłoniła dłonią płomyk, uklękła i zapaliła stojącą w jaskini świeczkę. Ross rozejrzał się szybko dookoła. Skóra przy wejściu zasłaniała światło, jaskinia była przestronna, sucha i ciepła, na ziemi leżały stare dywany, kilka koców, na skalnej półce książki, zabawki oraz kilka naczyń i sztućców. Dziecinna kryjówka, pomyślał, zerkając na Azadeh. Klęczała przy świeczce, odwrócona do niego plecami. Teraz, gdy ściągnęła z głowy czador, bardziej przypominała Azadeh, jaką znał.

– Napij się – powiedział, podając jej butelkę z wodą.

Przyjęła jaz wdzięcznością, najwyraźniej jednak unikała jego wzroku. Ross spojrzał na Guenga i od razu domyślił się, co go niepokoi.

– Nie będzie ci przeszkadzało, Azadeh, jeśli zgasimy świeczkę? Wiemy już, gdzie jesteśmy. Moglibyśmy odsunąć zasłonę i obserwować, co dzieje się na zewnątrz. W razie potrzeby mam latarkę.

– Tak, tak, oczywiście. – Azadeh obróciła się z powrotem do światła. – Przepraszam, jeszcze chwileczkę.

Na półce stało lustro, którego nie zauważył. Przejrzała się w nim i przeraziło ją to, co zobaczyła: smugi potu na czole, podpuchnięte oczy. Starła szybko brud z twarzy, uczesała się i w miarę możliwości ogarnęła, a potem zerknęła po raz ostatni w lustro i zdmuchnęła świeczkę.

– Przepraszam – powtórzyła.

Gueng odsunął zasłonę, wyszedł na zewnątrz i przez kilka chwil nasłuchiwał. Kolejne strzały w śródmieściu. Płonące budynki za pasem startowym i po prawej stronie. Żadnych świateł w tamtym rejonie i w ogóle bardzo mało świateł w całym mieście. Nieliczne reflektory samochodów. W pogrążonym w mroku pałacu chana panował spokój. Nie wyczuwał żadnego zagrożenia. Wrócił do jaskini i powiedział Rossowi w gurkhali, co zobaczył.

– Lepiej, żebym został na zewnątrz, sahibie – dodał. – Bezpieczniej. Nie mamy dużo czasu.

– Dobrze. – Ross wyczuł niepokój w głosie Guenga, ale nic nie powiedział. Wiedział, o co mu chodzi. – Dobrze się czujesz, Azadeh? – zapytał cicho.

– Tak. Teraz już dobrze. Lepiej, że siedzimy po ciemku. Przepraszam, ale fatalnie wyglądam. Tak, czuję się lepiej.

– Co się stało? I gdzie jest twój mąż? – Użył tego słowa celowo; usłyszał, jak poruszyła się w ciemności.

– Wczoraj, zaraz po twoim wyjściu, pojawił się Cimtarga ze strażnikiem i kazał Erikkiemu ubrać



się i iść razem z nimi. Powiedział, że bardzo mu przykro, ale nastąpiła zmiana planu i muszą zaraz lecieć. A mnie wezwano do ojca. Natychmiast. Przed wejściem do jego pokoju usłyszałam, jak wydaje rozkazy, żeby zaraz po świcie was ująć... ująć i rozbroić. – Azadeh zacinała się lekko. – Zamierzał wezwać was do siebie, żeby omówić jutrzejszy wyjazd, ale w pobliżu zabudowań gospodarskich miano was złapać, związać i natychmiast wysłać na północ.

– Gdzie dokładnie?

– Do Tbilisi. Nie wiedziałam, co począć – podjęła po chwili. – Nie mogłam was ostrzec... jestem strzeżona tak samo dokładnie jak wy i nie mam kontaktu z innymi domownikami. Ojciec oznajmił, że wyjeżdża dziś w interesach do Tbilisi, że mam mu towarzyszyć i że Erikki wróci dopiero za kilka dni. Powiedział... powiedział, że spędzimy w Tbilisi jakiś czas i kiedy wrócę, Erikki zakończy swoją pracę i będziemy mogli wyjechać do Teheranu. – Była bliska łez. – Tak się boję. Boję się, że coś złego spotka Erikkiego.

– Nic mu nie będzie – odparł Ross, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi z tym Tbilisi, i starając się podjąć decyzję co do chana. Znowu przypomniał sobie słowa Viena: „Możesz zawierzyć Abdollahowi własne życie; nie wierz w kłamstwa, które o nim opowiadają”. A jednak Azadeh mówiła coś wprost przeciwnego. Obrócił się w jej stronę, nie widząc jej, przeklinając mrok, pragnąc zobaczyć jej twarz i jej oczy, mając nadzieję, że może coś w nich wyczyta. Żałował, że nie powiedziała mu tego wszystkiego po tamtej stronie muru albo w ich domku. Coraz bardziej zdenerwowany, przypomniał sobie, że na posterunku nie było strażnika.

– Wiesz, co się stało ze strażnikiem?

– Wiem. Przekupiłam go, Johnny, przekupiłam go, żeby na pół godziny opuścił posterunek. Tylko w ten sposób mogłam się do was dostać... tylko w ten sposób.

– Boże Wszechmogący – mruknął Ross. – Czy można mu ufać?

– Och, tak. Ali jest... służy u ojca od dawna. Znam go od kilkunastu lat. Dałam mu kilka klejnotów, za które może utrzymać rodzinę przez kilka lat. Ale ja martwię się o Erikkiego, Johnny. Co z nim będzie?

– Nie ma powodu się zamartwiać. Przecież powiedział, że wysyłają go blisko granicy tureckiej – odparł, dodając jej otuchy i pragnąc, żeby wróciła bezpiecznie do pałacu. – Nie wiem, jak ci dziękować, że nas ostrzegłaś. Lecz teraz powinnaś jak najszybciej wracać.

– Och nie, nie mogę – wybuchła. – Nie rozumiesz tego? Ojciec zabierze mnie na północ i nigdy się stamtąd nie wyrwę. On mnie nienawidzi i zostawi Mzytrykowi. Wiem, że to zrobi, wiem.

– Ale co będzie z Erikkim? – zapytał wstrząśnięty. – Nie możesz tak po prostu teraz uciec!

– Owszem, Johnny, muszę uciekać, muszę. Boję się czekać, boję się jechać do Tbilisi. Kiedy ucieknę, Erikki będzie w znacznie lepszej sytuacji. Znacznie lepszej.

– O czym ty mówisz? Nie możesz tak po prostu uciec! To szaleństwo! Co będzie, jeśli Erikki wróci dziś wieczorem i zobaczy, że cię nie ma? Co...

– Zostawiłam mu wiadomość. Umówiliśmy się, że w razie czego zostawię mu wiadomość w skrytce w naszej sypialni. Nie mieliśmy pojęcia, co zrobi ojciec podczas jego nieobecności. Erikki będzie wiedział. Jest coś jeszcze. Ojciec jedzie dzisiaj koło południa na lotnisko. Ma odebrać kogoś, kto przylatuje z Teheranu. Nie wiem, kto to jest, ale pomyślałam sobie, że być może... są tam inne samoloty... mógłbyś przekonać ich, żeby zabrali nas z powrotem do Teheranu... moglibyśmy wślizgnąć się na pokład, albo zmusiłbyś ich, żeby nas zawieźli.

– Oszalałaś – stwierdził gniewnie. – To wszystko szaleństwo, Azadeh. Głupotą jest uciekać

i zostawiać Erikkiego. Na litość boską, skąd wiesz, że nie jest tak, jak mówi twój ojciec? Twierdzisz, że cię nienawidzi... mój Boże, jeśli wymkniesz się stąd w ten sposób, wpadnie w szal bez względu na to, czy cię nienawidzi, czy nie. Narażasz Erikkiego na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

– Jak możesz być taki ślepy? Naprawdę tego nie widzisz? Dopóki tutaj jestem, Erikki nie ma żadnej szansy, żadnej. Jeśli ucieknę, będzie mógł myśleć tylko o sobie. Jeśli się dowie, że jestem w Tbilisi, poleci tam i będzie zgubiony. Nie widzisz tego? Jestem przynęta! Na miłość boską, Johnny, otwórz oczy! Musisz mi pomóc!

Usłyszał, że płacze, cicho, ale płacze, i to zwiększyło tylko jego gniew. Chryste Wszechmogący, nie możemy jej przecież ze sobą zabrać. Nie mogę tego zrobić. To byłoby morderstwo – jeśli to, co mówi o chanie, jest prawdą, za kilka godzin zacznie się oblawa i będziemy mieli szczęście, jeżeli dożyjemy zachodu słońca. Na litość boską, oblawa na nas trwa już od kilku dni, myśl rozsądnie! Ucieczka to nonsens!

– Musisz wracać. Tak będzie lepiej – stwierdził stanowczo.

Płacz umilkł.

– InszAllah – odezwała się innym tonem. – Jak sobie życzysz, Johnny. Powinieneś już iść. Nie masz wiele czasu. Którędy chcesz uciekać?

– Nie... nie wiem. – Był zadowolony, że w ciemności nie widać jego twarzy. Mój Boże, dlaczego to musi być Azadeh? – Chodź, odprowadzę cię bezpiecznie z powrotem.

– Nie ma potrzeby. Zostanę tu jeszcze chwilę.

Usłyszał w jej głosie fałsz i to jeszcze bardziej go zdenerwowało.

– Masz wrócić do pałacu. Musisz wrócić.

– Nie – odparła spokojnie. – Nigdy tam nie wrócę. Zostanę tutaj. Nie znajdzie mnie, chowałam się tu już wcześniej. Kiedyś spędziłam tu całe dwa dni. Jestem bezpieczna. Nie musisz się o mnie martwić, nic mi nie będzie. Idź już. Nie powinieneś dłużej czekać.

Miał ochotę ją złapać i wyciągnąć na zewnątrz, ale opanował się i usiadł, opierając plecami o ścianę jaskini. Nie mogę jej zostawić, nie mogę zawlec z powrotem wbrew jej woli, nie mogę ze sobą zabrać. Nie mogę zostawić, nie mogę zabrać. To znaczy, mogę ją zabrać, ale na jak długo? A potem, kiedy ją złapią, zostanie oskarżona o współpracę z sabotażystami i Bóg wie, o co jeszcze. Za takie rzeczy kamienują tu kobiety.

– Kiedy odkryją naszą nieobecność i ty też znikniesz, chan zgadnie, że nas ostrzegłaś. Jeśli tu zostaniesz, w końcu cię znajdą i chan też będzie wiedział, że to twoja sprawa. Zaszkodzisz tylko sobie i twojemu mężowi. Musisz wrócić.

– Nie, Johnny. Jestem teraz w rękach Boga i nie boję się.

– Na litość boską, Azadeh, pomyśl rozsądnie!

– Jestem rozsądna. Jestem w rękach Boga, wiesz o tym. Czyż nie mówiliśmy o tym stale w górach? Nie boję się. Zostaw mi granat tak jak Erikkiemu. W rękach Boga nic mi nie grozi. Idź już.

Dawno temu często mówili o Bogu. Na górskim szczycie było to łatwe i naturalne – z ukochaną, która znała Koran, potrafiła czytać po arabsku, czuła dotyk nieskończoności i wierzyła szczerze w islam. Tu, w mroku małej jaskini było inaczej. Wszystko wyglądało inaczej.

– InszAllah – mruknął, podejmując decyzję. – Wracamy, ty i ja. Wyślę Guenga – dodał wstając.

– Zaczekaj. – Usłyszał, że ona także wstała, i poczuł jej oddech. Ręka Azadeh dotknęła jego ramienia. – Nie, kochanie – powiedziała swoim dawnym głosem. – Nie, kochanie, to zniszczyłoby

mojego Erikkiego, a także ciebie i twojego żołnierza. Nie widzisz? Jestem magnezem, który zniszczy Erikkiego. Kiedy zniknie magnes, wtedy będzie miał jakąś szansę. Poza murami pałacu mego ojca wy też będziecie mieli szansę. Kiedy zobaczysz się z Erikkim, powiedz mu... powiedz mu...

Co mam mu powiedzieć, zapytał sam siebie. W ciemności wziął jej dłoń w swoją, poczuł jej ciepło i wydawało mu się, że znowu jest letnia noc i leżą razem w wielkim łóżku. Ulewa smaga szyby, a oni liczą sekundy pomiędzy błyskiem błyskawicy i grzmotem odbijającym się od ścian doliny – czasami upływały tylko jedna albo dwie. Och, Johnny, huknęło tuż nad naszymi głowami, InszAllah, jeśli nas trafi, zginiemy razem, trzymając się za ręce. Teraz też trzymamy się za ręce... ale nic nie jest takie jak wtedy, pomyślał ze smutkiem. Przysunął jej dłoń do ust i pocałował.

– Sama mu powiesz – stwierdził. – Spróbujemy się przedrzeć... razem. Gotowa?

– Chcesz powiedzieć, że idziemy razem?

– Tak.

– Zapytaj Guenga – powiedziała po chwili.

– I tak robi to, co każe.

– Oczywiście, lecz mimo to zapytaj go. Zrób mi tę grzeczność. Dobrze?

Ross podszedł do wyjścia. Gueng stał na zewnątrz, opierając się o skałę.

– Nic nam jeszcze nie grozi, sahibie – powiedział cicho w gurkhali, nim Ross zdążył się odezwać.

– Słyszałeś?

– Tak, sahibie.

– I co myślisz?

– To, co myślę, sahibie, nie liczy się i nie ma żadnego znaczenia. Karman jest karmanem. Zrobię, co każesz.

LOTNISKO W TABRIZIE, 12.40.

Stali w zagajniku na skraju pasa startowego. Ross obserwował terminal. Jeśli nie liczyć garstki żołnierzy, był pusty. Obok stało kilka wypalonych wraków samolotów pasażerskich.

– Sprawa jest beznadziejna – stwierdził. – Spróbujemy w bazie Erikkiego. Może uda nam się tam ukryć i poczekać na jakiś helikopter.

Zaprowadził ich głębiej w zagajnik, z konieczności trzymając się zarośniętej ścieżki. Do lasu przylegały skute mrozem pola, na których w lecie dojrzewały obfite plony i które mimo przeprowadzonej przez szacha reformy rolnej należały w większości do kilku obszarników. Za polami zaczynały się slumsy Tabrizu. Widzieli minarety Błękitnego Meczetu i gnane wiatrem dymy licznych pożarów.

– Możemy ominąć miasto, Azadeh?

– Tak, ale to dość długa droga.

Usłyszeli w jej głosie niepokój. Na razie szła szybko i nie skarżyła się, lecz mimo to była dla nich ciężarem. Ross i Gueng na mundury włożyli góralskie stroje. Ich zdarte buty i broń nie powinny zwrócić nikzyjej uwagi. Podobnie jak jej czador. Ross zerknął na nią, nie mogąc się przyzwycząić do tego, jak szpeci ją ten ubiór. Wyczuła jego spojrzenie i uśmiechnęła się z przymusem. Rozumiała, jak wygląda w czadorze i że jest dla nich ciężarem.

– Idźmy przez miasto – powiedziała. – Będziemy się trzymać bocznych uliczek. Mam trochę pieniędzy; kupimy za nie coś do jedzenia. Ty, Johnny, możesz udawać górala z Kaukazu, powiedzmy

z Astasy. Ty, Gueng, mów w gurkhali i zachowuj się ordynarnie i arogancko jak Turkmeni z północy. Jesteś do nich podobny; pochodzą od Mongołów, jak wielu Irańczyków. A może kupię wam zielone opaski i będziecie udawali żołnierzy Zielonych Oddziałów. To chyba najlepszy pomysł.

– Dobrze, Azadeh. Nie powinniśmy trzymać się razem. Gueng, idź za nami.

– Na ulicy Iranki chodzą za mężczyznami – stwierdziła Azadeh. – Będę... będę szła krok za tobą, Johnny.

– To dobry plan, memsahib – uznał Gueng. – Bardzo dobry. Poprowadzisz nas.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Wkrótce znaleźli się w targowej dzielnicy slumsów. Jakiś człowiek potrafił Guenga, który klął głośno w gurkhali uderzył go bez wahania pięścią w gardło. Nieuważny przechodzień wylądował nieprzytomny w rowie. Na ulicy na chwilę zapadła cisza, ale potem znowu zrobiło się gwarnie. Najbliżej stojący spuścili oczy i odeszli; niektórzy zrobili znak odczyniający urok, który mógł rzucić przybysz z północy, potomek hord nie znających Jedyne Boga.

Azadeh kupiła u ulicznych przekupniów świeży chleb, pieczony na węglach jagnięcy kebab i jarzynowo-fasolowy horiszt z ryżem. Usiedli na ławce, najedli się, a potem poszli dalej. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Od czasu do czasu ktoś namawiał Rossa, żeby coś kupić, ale zaraz wtrącała się Azadeh, przemawiając lokalną turecką gwara i chroniąc go przed natrętami. Kiedy mueżini wezwali do popołudniowej modlitwy, stanęła wystraszona. Wszyscy dookoła szukali jakiegoś skrawka dywanu, materiału, gazety albo tektury, żeby uklęknąć i pomodlić się. Ross zawahał się, a potem widząc jej błagalny wzrok, udał, że też się modli i niebezpieczny moment minął. Na całej ulicy nie uklęknęły może tylko cztery osoby, wśród nich Gueng, który oparł się o ścianę. Nikt nie przejmował się stojącymi. W Tabrizie mieszkali ludzie wielu ras i religii.

Ruszyli dalej, posuwając się na południowy wschód i mijając nędzne przedmieścia. Wśród stert śmieci kręciły się okryte parchami wygłodzone psy, jedynym ściekiem był rów. Ross wiedział, że wkrótce zabudowania się skończą i zaczną sady i pola, a za nimi las i wijąca się ku przełęczy droga do Teheranu, którą dotrą do bazy Tabriz Jeden. Nie miał pojęcia, co robi, gdy tam dojdą. Azadeh twierdziła, że zna w pobliżu kilka jaskiń, w których mogą się schronić do przylotu śmigłowca.

Minęli ostatnie rudery i wyszli na wyboistą drogę otoczoną z obu stron zaspami. Idąc po upstrzonym odchodami mułów i osłów śliskim śniegu, dołączyli do innych wędrowców, z których część prowadziła objuczone osły, a część ugiwała się pod niesionym na własnym grzbiecie brzemieniem. Mężczyźni, kobiety i dzieci wypróżniali się przy drodze, a potem brali garść śniegu w lewą dłoń, podcierali się i ruszali dalej – wielojęzyczna mieszanka narodów, plemion, nomadów i mieszkańców miasta, których łączyła tylko wspólna nędza i duma.

Azadeh była bardzo zmęczona – idąc przez miasto, przez cały czas bała się, że popełni jakiś błąd, że ktoś ich rozpozna. Poza tym umierała z obawy o Erikkiego, martwiła się, jak dotrą do bazy i co potem poczną. InszAllah, powtarzała w duchu. Bóg nie da skrzywdzić mnie, jego i Johnny'ego.

Dochodząc do skrzyżowania z szosą na Teheran, zobaczyli prowizoryczną blokadę i żołnierzy Zielonych Oddziałów oraz innych uzbrojonych mężczyzn, którzy sprawdzali samochody i pieszych. Nie sposób było ich ominąć.

– Ty idź, pierwsza, Azadeh – szepnął Ross. – Zaczekaj trochę dalej. Jeśli nas zatrzymają, nie wtrącaj się, idź do bazy. Osobno będzie bezpieczniej – dodał z uśmiechem. – Nie przejmuj się.

Kiwnęła głową z pobladałą ze strachu twarzą i poszła, niosąc jego plecak. Kiedy wyszli z miasta, uparła się, żeby go założyć.

– Spójrz na inne kobiety, Johnny. Nie niosąc niczego, będę się strasznie wyróżniać.

Ross i Gueng zatrzymali się na chwilę, a potem zeszli na pobocze i wysikali się. Niektórzy z idących zwrócili na nich uwagę. Kilku przekleło niewiernych – nieświadomie oddawali mocz w stronę Mekki, czego nie dopuściłby się żaden muzułmanin.

– Kiedy ona przejdzie, ty następny, Gueng. Ja ruszę za dziesięć minut.

– Lepiej, żebyś ty teraz poszedł, sahibie – odparł Gueng. – Ja jestem Turkmenem.

– Dobrze, ale jeśli mnie zatrzymają, nie wtrącaj się. Prześlizgnij się jakoś i zaprowadź ją w bezpieczne miejsce. Liczę na ciebie!

Niewysoki mężczyzna uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

– Ja też na ciebie liczę, sahibie. Masz jeszcze dużo do zrobienia, nim zostaniesz Władcą Gór.

Gueng spojrzał na oddaloną o sto jardów blokadę. Azadeh stała już w kolejce. Jeden z żołnierzy powiedział coś do niej. Odpowiedziała, nie patrząc mu w twarz, i żołnierz przepuścił ją.

– Nie czekaj na mnie przy drodze, sahibie. Pójdę chyba przez pola. Nie martw się, na pewno do was dołączę.

Gueng przepchał się przez strumień pieszych i ruszył z powrotem do miasta. Po przejściu stu jardów usiadł na odwróconej skrzynce i rozwiązał sznurowadła, jakby uwierały go buty. Skarpety były w strzępach, ale nie miało to znaczenia: podeszwy stóp miał twarde jak stal. Nie śpiesząc się, zasznurował buty. Bawiło go to, że udaje Turkmena.

Przy blokadzie Ross ustawił się w kolejce opuszczających Tabriz. Zielonym Oddziałom asystowali policjanci. Ludzie byli podenerwowani, nastawieni wrogo przeciwko każdej władzy i ograniczaniu ich prawa do podróżowania, gdzie i kiedy chcą. Niektórzy rwali się do bitki.

– Ty! – zwrócił się strażnik do Rossa. – Gdzie są twoje papiery?

Ross splunął gniewnie na ziemię.

– Papiery? Te lewicowe psy spaliły mój dom, a w nim moją żonę i dzieci. Nie mam niczego poza tym karabinem i kilku nabojami. Bóg tak chciał... ale dlaczego nie pójdziecie spalić tych szatańskich psów i nie wypełnicie bożego dzieła, zamiast zatrzymywać uczciwych ludzi?

– My też jesteśmy uczciwi – odparł ze złością strażnik. – I wykonujemy boże dzieło. Skąd jesteś?

– Z Astasy. Z Astasy na wybrzeżu. A ty? – zapytał nagle gniewnie Ross.

Następni w kolejce zaczęli kłać i krzyczeć na strażnika, żeby się pośpieszył i nie kazał im czekać na mrozie. W ich stronę zmierzał policjant. Ross postanowił skorzystać z okazji i razem z dwoma następnymi w kolejce przepchał się na drugą stronę blokady. Strażnik posłał za nimi kilka przekleństw i zaczął sprawdzać kolejnych pieszych.

Dopiero po kilku chwilach Ross zdołał uspokoić oddech. Szedł wolno, lustrując wzrokiem drogę. Nigdzie nie było śladu Azadeh. Mijały ich teraz samochody i ciężarówki, wlokące się pod górę i zjeżdżające zbyt szybko w dół. Co jakiś czas ludzie uciekali przed nimi na bok, sypiąc przekleństwami. Mężczyzna, który stał za nim przy blokadzie, szedł teraz obok. Strumień ludzi zmniejszał się; skręcali w boczne ścieżki prowadzące do stojących przy drodze domów i położonych w lesie wiosek. Niemłody już, ubrany ubogo mężczyzna miał porytą zmarszczkami twarz i porządną strzelbę na ramieniu.

– Ten strażnik to psi syn – stwierdził z wyraźnym akcentem. – Masz rację, aga. Powinni spełniać wolę Boga, wolę imama, a nie Abdollah-chana.

Ross natychmiast nabrał czujności.

– Kogo?

– Pochodzę z Astasy i poznaję po twoim akcencie, że ty stamtąd nie pochodzisz. Astaryjczycy nigdy nie szczają odwróceniu twarzą ani tyłem do Mekki. My w Astarze jesteśmy wszyscy pobożnymi muzułmanami. Sądząc po twoim wyglądzie, to ty jesteś tym sabotażystą, za którego chan wyznaczył nagrodę.

Ross milczał; chrząknął tylko, nie przyśpieszając kroku.

– Tak, chan wyznaczył wysoką cenę za twoją głowę. Dużo koni, stado owiec, dziesięć albo więcej wielbłądów. Każdy może je dostać. Za żywego więcej niż za martwego: więcej koni i wielbłądów, dość, żeby żyć w dostatku do końca życia. Ale gdzie jest ta kobieta, Azadeh, jego córka? Córka, którą porwaliście, ty i ten drugi mężczyzna?

Ross spojrzał na niego zaskoczony i mężczyzna zachichotał.

– Musisz być bardzo zmęczony, skoro dałeś się tak łatwo podejść. – Nagle jego rysy stwardniały. Sięgnął do kieszeni starej kurtki, wyjął z niej rewolwer i przystawił Rossowi lufę do boku. – Idź krok przede mną i nie uciekaj ani nie rób żadnych sztuczek, bo strzelę ci w plecy. Gdzie jest ta kobieta? Za nią także dają nagrodę.

W tej samej chwili zjeżdżająca z góry ciężarówka wpadła w poślizg na zakręcie, przejechała na drugą stronę drogi i trąbiąc głośno, ruszyła prosto na nich. Ludzie rozpierzchli się. Ross miał szybszy refleks; uskoczył na bok i pchnął ramieniem mężczyznę prosto pod ciężarówkę. Przejechały po nim przednie i tylne koła. Szofer zatrzymał się trzydzieści jardów dalej.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece, widzieliście? – zawołał ktoś. – Wpadł prosto pod koła.

Ross ściągnął ciało z drogi. Rewolwer zniknął gdzieś w śniegu.

– Czy ten, którego powołał do siebie Bóg, był twoim ojcem, aga? – zapytała jakaś stara kobieta.

– Nie... nie – odparł spanikowany Ross. Wszystko wydarzyło się tak szybko. – Nie... to jakiś nieznajomy. Nigdy przedtem go nie widziałem.

– Na Proroka, jacy nieuważni są ci piesi! Czy oni nie mają oczu? Nie żyje? – wołał, idąc pod górę, szofer, nieokrzesany brodaty mężczyzna o śniadej skórze. – Bóg mi świadkiem, że skoczył mi prosto pod koła. Wszyscy to widzieli. Pan – zwrócił się do Rossa – pan szedł obok niego, musiał pan to widzieć.

– Tak... było tak, jak mówisz. Szedłem obok.

– Taka była wola Boga – stwierdził zadowolony szofer. Wszystko było w porządku, sprawa zamknięta. – Ekscelencja to widział. InszAllah!

Ross oddalił się od grupki ludzi, którzy zatrzymali się przy wypadku, i ruszył dalej, nie za szybko i nie za wolno, próbując się uspokoić, nie śmiejąc obejrzeć się przez ramię. Za zakrętem przyśpieszył. Zastanawiał się, czy miał rację, reagując tak szybko, prawie bez namysłu. Ale ten człowiek chciał ją wydać, chciał wydać ich troje. Nie warto o nim myśleć, karman jest karmanem. Za kolejnym zakrętem wciąż nie było Azadeh. Coraz bardziej się niepokoił.

Droga biegła zakosami pod górę. Minął parę chat schowanych na skraju lasu. Kilka psów szukających padliny podbiegło do niego i odgonił je przekleństwami; często były chore na wściekliznę. Kolejny zakręt – czuł, jak oblewa go pot – i wreszcie ją zobaczył. Kucą przy drodze, odpoczywając razem z kilkunastoma starymi kobietami. Ona też go zobaczyła i pokręciła ostrzegawczo głową. Po pewnym czasie wstała i powlokła się dalej pod górę. Szedł dwadzieścia jardów za nią. A potem niżej rozległy się strzały. Wraz z innymi zatrzymali się i spojrzeli na dół. Nie było nic widać. Od blokady dzieliło ich co najmniej pół mili i kilka zakrętów. Po chwili strzały umilkły i wszyscy bez słowa ruszyli dalej.

Droga była trudna. Przeszli kolejną milę, schodząc na pobocze, kiedy jezdnią jechały samochody. Co jakiś czas mijały ich, rżąc ciężko, autobusy, wszystkie zatłoczone. Żaden się nie zatrzymał. Ostatnio nawet na przystanku trzeba było czekać dzień albo dwa, żeby się zabrać. Czasami zatrzymywały się ciężarówki. Za opłatą.

Jedna z nich przetoczyła się koło Rossa i mijając Azadeh zwolniła.

– Po co drałować na piechotę, skoro dzięki Cyrusowi... i Allachowi, ci, którzy są strudzeni, mogą pojechać ciężarówką? – zawołał szofer, łypiąc na nią okiem i trącając swojego towarzysza, równego mu wiekiem brodacza. Przez jakiś czas jechali obok niej, wpatrując się w kołyszące się biodra, których nie zdołał przysłonić nawet czador. – Taki Boży kwiatusek nie powinien iść, ale siedzieć w cieplej szoferce albo na dywanie z mężczyzną.

Azadeh posłała mu wulgarne przekleństwo.

– Mężu! – zawołała do Rossa. – Ten trędowaty psi syn ośmielił się mnie obrazić i robił jakieś świńskie uwagi, które naruszają prawa boskie...

Ross stał już obok niej i szofer zorientował się, że patrzy w lufę karabinu.

– Ekscelencjo... pytałem właśnie... czy pan i ona będziecie chcieli ze mną pojechać – wyjąkał przerażony. – Z tyłu jest dużo miejsca... jeśli Ekscelencja zechce zaszczyścić mój pojazd...

Skrzynię ciężarówki wypełniał do połowy żelazny złom, ale było to lepsze niż dalsza wędrówka na piechotę.

– Na twoją głowę, kierowco, dokąd jedziesz?

– Do Kazwinu, Ekscelencjo. Wyświadczy mi pan ten zaszczyt?

Ciężarówka się nie zatrzymała, ale Ross pomógł Azadeh wdrapać się w biegu na skrzynię. Znalazłszy się oboje na górze, skulili się przed podmuchami wiatru. Azadeh drżały nogi. Była przemarznięta i bardzo zdenerwowana. Objął ją ramieniem i przytulił.

– Och, Johnny, gdyby nie ty...

– Nie przejmuj się.

Starął się ją ogrzać. Kazwin, Kazwin? Czy to nie w połowie drogi do Teheranu? Oczywiście. Dojedziemy do Kazwinu, pomyślał, czując, jak wracają mu siły. A potem złapiemy inną okazję, pojedziemy autobusem lub ukradniemy samochód.

– Skręt do bazy jest za trzy kilometry – powiedziała, drżąc w jego ramionach. – Po prawej stronie.

Do bazy? No tak, baza. I Erikki. Ale najważniejsze, co z Guengiem? Co z Guengiem? Zastanów się. Co teraz zrobisz?

– Jaki tam jest teren? Płaski i otwarty, czy poprzecinany wąwozami?

– Bardziej płaski. Niedługo będzie nasza wioska, Abu Mard. Miniemy ją i zaraz potem zacznie się zalesiony płaskowyż, po którym biegnie droga do bazy. Za nim główna szosa znowu wznosi się w górę ku przełęczy.

Przed sobą widział fragmenty wijących się zboczem serpentyn.

– Wskoczmy za wioską, przed płaskim terenem i pójdziemy przez las do bazy. Czy to możliwe?

– Tak. Dobrze znam tę okolicę. Uczyłam tu w wiejskiej szkole i często chodziłam... chodziłam z dziećmi na spacer. Znam tu każdą ścieżkę.

– Schowaj się przed wiatrem. Zaraz robi ci się ciepłej.

Stara ciężarówka wlokła się pod górę niewiele szybciej niż ludzie, ale woleli to od pieszej wędrówki. Ross obejmował Azadeh ramieniem i w końcu przestała drzeć z zimna. Nad tylną klapą

zobaczył doganiający ich szybko z wyjąca skrzynią biegów samochód osobowy, a za nim półciężarówkę pomalowaną na zielony wojskowy kolor. Kierowca samochodu nie zdejmował ręki z klaksonu. Ich ciężarówka nie miała gdzie zjechać, żeby zrobić miejsce. Samochód zaczął ich wyprzedzać drugą stroną szosy. Mam nadzieję, że się zabijesz, idioto, pomyślał Ross, zdenerwowany hałasem i niewiarygodną głupotą kierowcy. W obu pojazdach zauważył uzbrojonych mężczyzn. W półciężarówce stali z tyłu, trzymając się metalowych uchwytów. Tylne klapy były spuszczone i waliła wściekle o skrzynię. Kiedy się z nimi zrównali, zauważył leżące u ich stóp zwłoki. Z początku myślał, że to jakiś starzec. Ale to nie był starzec. To był Gueng. Wiedział, że się nie myli, gdy dostrzegł strzępy munduru. I kukri, który jeden z mężczyzn zatknął za pasek.

– Co się stało, Johnny?

Siedział obok niej, zobojętniały na wszystko. W głowie kołatała mu tylko jedna myśl: stracił drugiego ze swoich ludzi. W oczach stanęły mu łzy.

– O co chodzi? Czy coś się stało?

– Nic. To tylko wiatr.

Otarł łzy, przyklęknął i spojrzał do przodu. Kręta droga pojawiała się i znikwała. Podobnie jak jadące przed nimi dwa pojazdy. Widział teraz wioskę. Za nią szosa wznosiła się nieco, a potem biegła po płaskim terenie, zgodnie z tym, co powiedziała Azadeh. Dwa pojazdy przejechały przez wioskę, w ogóle nie zwalniając. Ross miał w kieszeni małą, ale bardzo silną lornetkę. Wyjął ją i skierował na samochód, który dodał gazu, a potem skręcił w prawo, w drogę prowadzącą do bazy, i zniknął. Dotarłszy do skrzyżowania, półciężarówka zatrzymała się, blokując niemal całą szosę. Ze skrzyni wyskoczyło sześciu mężczyzn, którzy ustawili się na drodze, zwróceniem w stronę Tabrizu. Po chwili półciężarówka też skręciła w prawo i zniknęła w ślad za samochodem.

Ich ciężarówka zwolniła przed stromym podjazdem. Szofer wrzucił ze zgrzytem niższy bieg. Od szosy odchodziła jakaś ścieżka, w pobliżu nie było żadnych pieszych.

– Dokąd prowadzi ta ścieżka, Azadeh?

Uklękła i spojrzała tam, gdzie wskazywał.

– Do naszej wioski, Abu Mard. Biegnie zygzakiem, ale tam właśnie się kończy.

– Przygotuj się do skoku. Przed nami kolejna blokada.

W odpowiednim momencie zeskoczył ze skrzyni, pomógł jej zrobić to samo i szybko przypadli do ziemi. Ciężarówka nie zatrzymała się, szofer nawet się nie obejrzał. Wkrótce był już daleko. Trzymając się za ręce, pobiegli między drzewa.



## ROZDZIAŁ 12

### LOTNISKO W TEHERANIE, GODZINA 18.40.

McIver obserwował Talbota i Gavallana przez okno swojego gabinetu. Andrew Gavallan, wysoki postawny mężczyzna, przyleciał właśnie na pokładzie stowudziestki z Szardży na pilną konferencję.

Po chwili Talbot odjechał, a Gavallan wszedł z powrotem do biura, w którym tego dnia było całkiem sporo personelu. Nie tyle co zwykle, ale całkiem sporo: obsługa radiostacji, teleksu, kierownik i magazynierzy, lecz ani jednej kobiety.

– Przejdźmy się, Mac – powiedział.

– Jasne – odparł McIver, widząc jego poważną minę.

Nie mieli jeszcze okazji prywatnie porozmawiać.

Wyszli obaj na płytę lotniska. W powietrze wzniósł się z rykiem odrzutowiec JAL-u.

– Podobno tysiąc Japończyków zaszuwa radośnie w Iran-Toda – stwierdził obojętnym tonem McIver.

– Ich konsorcjum dostało nieźle w dupę. W dzisiejszym „Financial Times” piszą, że przekroczyli budżet o pół miliarda dolarów. Nie skończą inwestycji w tym roku i nie mogą się wycofać. Ta sprawa, a także światowy kryzys przemysłu stoczniowego mogą ich pogrążyć. – Gavallan upewnił się, że w pobliżu nikogo nie ma. – Nasz kapitał jest przynajmniej ruchomy, Mac – stwierdził z naciskiem. – W dużym stopniu ruchomy.

McIver popatrzył na jego poraną zmarszczkami twarz, krzaczaste siwe brwi i piwne oczy.

– To jest powodem „pilnej konferencji”? – zapytał.

– Jednym z powodów. Talbot dowiedział się od członka naszej rady nadzorczej Alego Kii, że mają zamiar znacjonalizować wszystkie zagraniczne firmy lotnicze, a zwłaszcza naszą. To oznacza, że poniesiemy duże straty... chyba że jakoś temu zaradzimy. Genny ma rację. Musimy to zrobić sami.

– Nie sądzę, żeby to było możliwe. Powiedziała ci o tym?

– Oczywiście, ale ja uważam, że nam się uda. Powiedzmy, że dziś mamy Dzień Pierwszy. Cały zbędny personel zaczyna opuszczać Iran, udając się na urlopy albo do nowych miejsc przeznaczenia. Na pokładzie naszej stowudziestki albo normalnych samolotów rejsowych, kiedy znowu zaczną latać, wywozimy wszystkie części zamienne... jako przestarzałe, niepotrzebne, wymagające naprawy, albo jako bagaż osobisty. Bazę Zagros Trzy przenosimy do Kowissu, Tabriz „tymczasowo” zamykamy. Dwieściedwunastka Erikiego leci do Szardży, a potem do Nigerii razem z Tomem Lochartem z Zagrosu i jedną dwieściedwunastką z Kowissu. Ty zamykasz biuro w Teheranie i przenosisz się do Szardży, skąd kierujesz trzema pozostałymi bazami w Lengeh, Kowissie i Bandar-e Daylam „do czasu unormowania się sytuacji”. Wciąż obowiązuje zalecenie naszego rządu, aby ewakuować cały personel, którego obecność w tym kraju nie jest absolutnie konieczna.

– To prawda, ale...

– Daj mi skończyć, chłopie. Powiedzmy, że uda nam się wszystko zaplanować i przygotować w trzydzieści dni. Dzień trzydziesty pierwszy będzie Dniem Zero. O określonej godzinie w Dniu Zero... względnie w dniu Zero plus jeden lub dwa, jeśli popsuje się pogoda albo wydarzy, Bóg wie co jeszcze... nadajemy zaszyfrowany sygnał z Szardży. Wszystkie pozostałe helikoptery startują jednocześnie i lecą przez Zatokę do Szardży. Tam zdejmujemy śmigła i pakujemy maszyny do jumbo jetów albo innych samolotów, które gdzieś wyczarteruję. Przewozimy je do Aberdeen i mogą nam naskoczyć.

McIver popatrzył na niego z powątpiewaniem.

– Jesteś szalony! Zupełnie ci odbiło. W twoim planie są same dziury.

– Wymień choć jedną.

– Mogę wymienić pięćdziesiąt. Po pierwsze...

– Po kolei, chłopie, i pamiętaj o swoim wysokim ciśnieniu. Swoją drogą, jak się czujesz? Genny prosiła, żebym cię zapytał.

– Czuję się dobrze i nie zmieniaj tematu. Po pierwsze, nie można wyznaczyć tej samej godziny startu; helikoptery z różnych baz mają do pokonania różne odległości. Te z Kowissu muszą dodatkowo tankować; nie przeskoczą za jednym zamachem Zatoki.

– Wiem o tym. Opracujemy odrębne plany dla każdej z trzech baz. Będzie za nie odpowiadać komendant każdej z nich. My przejmujemy kontrolę nad operacją, kiedy do nas dolecą. Scrag bez trudu może przeskoczyć Zatokę. Tak samo Rudi z Bandar...

– Nieprawda. Ani Rudi z Bandar-e Daylam, ani Starke z Kowissu nie dadzą rady dolecieć do Szardży. Po drodze muszą naruszyć przestrzeń powietrzną Kuwejtu, Arabii Saudyjskiej i Emiratów... każde z tych państw może kazać im lądować, aresztować i obciążyć grzywną. To samo dotyczy Szardży, nie widzę powodu, żeby miało być inaczej. – McIver potrząsnął głową. – Szejkanaty będą wymagać wszelkich oficjalnych zezwoleń irańskich... w tej chwili boją się jak zarazy rewolucji Chomeiniego. Wszędzie mają dużą mniejszość szyicką i w ogóle się nie liczą w starciu z irańską flotą, armią i lotnictwem.

– Po kolei – przypomniał mu Gavallan. – Masz rację co do Rudiego i Starke'a. Co powiesz jednak, jeśli będą mieli zgodę na przelot przez te kraje?

– Jak to?

– Wysłałem teleksy do wszystkich punktów kontroli lotów nad Zatoką. Odpowiedzieli, że przepuszczą lecące tranzytem helikoptery S-G.

– Tak, ale...

– Po kolei, chłopie. Następna sprawa. Powiedzmy, że wszystkie nasze śmigłowce odzyskają brytyjską rejestrację. Są przecież brytyjskie, są nasze, my za nie płacimy i należą do nas, bez względu na to, co twierdzą nasi partnerzy. Kiedy będą miały brytyjską rejestrację, Iran nie może się do nich przyczepić. Mam rację?

– Gdy znajdą się poza Iranem, owszem, ale irański urząd lotnictwa cywilnego nie zgodzi się na transfer, w związku z czym ich nie przerejestrujesz.

– Powiedzmy, że załatwię rejestrację bez względu na to.

– Jak zamierzasz to, do diabła, zrobić?

– Zwracając się z uprzejmą prośbą. Prosząc urzędników w Londynie, żeby poszli mi na rękę. Właściwie już to zrobiłem przed wyjazdem z Londynu. „W Iranie zrobiło się nieciekawie”,

powiedziałem im. „Masz rację, staruszk, totalny syf, odparli. „Chciałbym, żebyście tymczasowo przerejestrowali moje maszyny na brytyjskie znaki. Może zabiorę je stamtąd, póki sytuacja nie wróci do normy... irańskie władze oczywiście to aprobują, ale w tym momencie nie mogę dostać odpowiedniego papierka. Wiecie, jak to jest”. Pokiwali głowami. „Jasne, staruszk, wszędzie jest tak samo, z naszym rządem też... z każdym pieprzonym rządem. W końcu to twoje latawce, nikt w to nie wątpi. To trochę wbrew przepisom, ale świat się chyba nie zawali. Idziesz do Old Boys na piwo?”.

McIver stanął jak wryty i zerknął na niego z podziwem.

– Zgodzili się?

– Jeszcze nie, chłopie. Jakies dalsze zastrzeżenia?

– Mam sto zastrzeżeń, ale...

Poirytowany McIver ruszył dalej, żeby się rozgrzać.

– Ale co? – zapytał Gavallan.

– Ale kiedy wymieniam je po kolei, zawsze znajdujesz jakieś cholerne rozwiązanie. Co z tego, skoro biorąc wszystko razem pod uwagę, nie może nam się udać.

– Zgadza się z Genny. Musimy to zrobić sami.

– Lecz w granicach realnych możliwości. Mamy zezwolenie na wywóz trzech dwieściedwunastek. Może załatwimy zgodę na resztę.

– Te trzy maszyny jeszcze tu są, Mac. Nasi wspólnicy, a tym bardziej irański urząd lotnictwa cywilnego, nam nie popuszczą. Spójrz na Guerny: zajęli im wszystkie helikoptery. Czterdzieści osiem maszyn, w tym wszystkie dwieściedwunastki... trzydzieści milionów dolarów gnieje na śmietniku. Nie mogą ich nawet konserwować.

Spojrzelili na pas startowy. Lądował na nim hercules RAF-u.

– Talbot powiedział – mruknął Gavallan przyglądając się samolotowi – że do końca tygodnia wyjadą stąd wszyscy brytyjscy doradcy armii, marynarki i sił powietrznych. W ambasadzie zostaną tylko trzy osoby, między innymi on. Podczas zamieszek pod ambasadą amerykańską ktoś wślizgnął się podobno do środka, wysadził sejfy i zgarnął szyfry...

– Mieli tu jeszcze jakieś tajne materiały? – zapytał z niedowierzaniem McIver.

– Na to wygląda. Według Talbota rozmiary infiltracji sprawiają, że wszyscy dyplomaci z Zachodu, bloku sowieckiego i krajów arabskich dostają palpitacji serca. Najbardziej roztrzęsieni są Arabowie... żaden z naftowych szejków nie chce mieć u siebie rewolucji Chomeiniego i wydadzą ostatnie petrodolary, żeby do niej nie dopuścić. Stawiam pięćdziesiąt funtów, oznajmił, przeciw skrzywionej szpilce od kapelusza, że Irak wystawia już po cichu czeki, podobnie jak Kurdowie i wszyscy Arabowie, którzy są sunnitami i przeciwnikami Chomeiniego. Cała Zatoka jest niczym beczka prochu...

– Tymczasem jednak...

– Tymczasem nie jest już taki wyluzowany jak kilka dni temu i nie wie, czy Chomeini rzeczywiście wycofa się do Iranu. To będzie rzeczywiście Iran dla Irańczyków, powiedział, pod warunkiem że są mułłami albo zwolennikami Chomeiniego. Teraz na fali jest Chomeini, chyba że zabiją go szybko komuniści. Całą przeszłość potępia się w czambuł. A my należymy do przeszłości.

Gavallan klasnął w dłonie, żeby przyśpieszyć krążenie.

– Cholernie zmarłem. Nie ulega kwestii, Mac, że siedzimy tutaj po uszy w gównie. Musimy się z niego sami wydostać.

– To ogromne ryzyko. Moim zdaniem stracimy kilka maszyn.

– Jeśli odwróci się od nas szczęście.

– Za bardzo liczysz na szczęście, Andy. Pamiętasz tych dwóch mechaników w Nigerii, których skazali na czternaście lat tylko za to, że przygotowali do lotu stowudziestkępiątkę, która nielegalnie odleciała?

– To była Nigeria, a poza tym mechanicy zostali. My nie zostawimy nikogo.

– Jeśli zostanie choć jeden cudzoziemiec, wezmą go jako zakładnika, wsadzą do kryminału i zmuszą nas, żebyśmy zwrócili wszystkie maszyny. Chyba, że chcesz kogoś takiego poświęcić. Jeśli nie, posłużą się nim, żeby nas ściągnąć z powrotem i kiedy wrócimy, będą nieźle wkurzeni. A pomyślałeś o naszych irańskich pracownikach?

– Jeśli odwróci się od nas szczęście – nie dawał za wygraną Gavallan – dostaniemy w dupę bez względu na to, co zrobimy. Moim zdaniem na wszelki wypadek powinniśmy przygotować bardzo dokładny plan. To zajmie kilka tygodni... i lepiej zachowajmy to wszystko w tajemnicy, tylko między nami.

McIver potrząsnął głową.

– Jeśli mówisz serio, musimy wtajemniczyć w to Rudiego, Scraggera, Locharta, Erikkiego i Starke'a – powiedział.

– W porządku. – Gavallana rozboleła plecy i przeciągnął się. – Ale dopiero, kiedy plan będzie miał ręce i nogi... Przedtem nie musimy stawiać kropki nad i...

Przez chwilę szli w milczeniu; pod ich stopami skrzypiał śnieg. Doszli prawie do końca betonowego pasa.

– Wymagamy cholernie dużo od naszych chłopców – zauważył McIver.

Gavallan udał, że go nie słyszy.

– Nie możemy tak po prostu skreślić piętnastu lat naszej pracy – mruknął. – Nie możemy oddać im wszystkich naszych oszczędności, twoich, Scraga i w ogóle wszystkiego. Naszego Iranu już nie ma. Większość ludzi, z którymi tak długo współpracowaliśmy, uciekła, ukrywa się, nie żyje... albo chcąc nie chcąc są przeciwko nam. Nie wykonujemy prawie żadnych prac. Z dwudziestu sześciu helikopterów pracuje dziewięć, a i tak nic nam za to nie płacą, nie mówiąc o zaległych płatnościach. Według mnie, wszystko to trzeba będzie spisać na straty.

– Nie jest aż tak źle – upierał się McIver. – Partnerzy...

– Musisz zrozumieć, Mac, że nie mogę spisać na straty pieniędzy, które są nam winni, a na dodatek dać im w prezencie helikoptery oraz części i utrzymać się w tej branży. Nie mogę. Trzyście naszych dwieście dwunastek jest warte trzyście milionów dolarów, dziewięć dwieście sześćdziesiąt kolejny milion trzysta, trzy alouette milion pięćset. Jeśli dodasz to tego części za trzy miliony, wychodzi około dwudziestu milionów. Nie mogę tego spisać na straty. Absolutnie.

– Wymagasz cholernie dużo od naszych chłopców.

– I od ciebie, Mac, nie zapominaj o sobie. Wszyscy będą musieli się przyłożyć, nie tylko ja. Albo wygramy, albo pójdziemy na dno.

– Większość naszych pilotów bez kłopotu dostanie inną pracę. Na rynku ceni się pilotów śmigłowców, którzy pracowali przy wydobywaniu ropy.

– I co z tego? Założę się, że wszyscy chcą pracować u nas. Dbamy o nich, płacimy najwyższe stawki, mamy najniższy wskaźnik awaryjności. S-G to najlepsza firma helikopterowa na świecie i oni o tym wiedzą. Wiesz przecież, że stanowimy część Noble House, a to chyba też coś znaczy, na Boga.

– W oczach Gavallana zapaliły się iskielki. – Jeśli nam się uda, to będzie wspaniały numer. Kiedy przyjdzie odpowiedni moment, poprosimy chłopców. A na razie przygotujemy wszystko, co można przygotować. Tak, chłopie.

– Dobrze – odparł bez entuzjazmu McIver. – Zgoda na planowanie.

Gavallan spojrział na niego.

– Za dobrze cię znam, Mac. Wkrótce to ty będziesz mnie popędzał, a ja będę dmuchał na zimne i czepiał się szczegółów.

McIver nie słuchał go. Jego umysł pracował już nad planem, choć to, co chcieli zrobić, było kompletnie niemożliwe... no, może z wyjątkiem załatwienia brytyjskiej rejestracji. Ale czy to coś zmieni?

– Co się tyczy planu, Andy... Nadajmy mu lepiej jakiś kryptonim.

– Genny powiedziała, żeby nadać mu kryptonim „Tornado”. Właśnie się w nim znaleźliśmy.

**CZWARTEK**

## ROZDZIAŁ 13

### NA PÓLNOCNY ZACHÓD OD TABRIZU, GODZINA 11.20

Siedząc na schodkach kabiny stojącego wysoko w górach helikoptera, Erikki widział spory obszar sowieckiej Rosji. Daleko na dole płynęła na wschód, do Morza Kaspijskiego, rzeka Aras, wyznaczająca granicę między Iranem a Sowiecami. Po lewej stronie widział Turcję i wznoszącą się na wysokość pięciu tysięcy metrów górę Ararat. Dwieście dwunastka stała niedaleko wejścia do jaskini, w której Amerykanie mieli do niedawna swoją tajną stację nasłuchową.

Do niedawna, pomyślał, ponuro się uśmiechając. Kiedy wylądował tu wczoraj po południu – wysokościomierz pokazywał osiem tysięcy pięćset sześćdziesiąt dwie stopy – pstrokata banda lewicowych fedainów, których przywiózł, wpadła do środka, ale w stacji nie było już Amerykanów.

Cimtarga stwierdził, że cały wartościowy sprzęt został zniszczony i nie ma książek szyfrów. Wszystko wskazywało, że jaskinię opuszczono w pośpiechu, lecz nie zostało tam wiele do splądrowania.

– To nic, i tak ją wyczyścimy – oznajmił swoim ludziom. – Podobnie jak poprzednie. Możesz tam wylądować? – zapytał Erikkiego, wskazując położone wyżej miejsce, gdzie stały maszty radarów. – Chcę je zdemontować.

– Nie wiem – odparł Fin. – Polecę i zobaczę.

Pod lewą pachą wciąż miał przyklepiony taśmą granat, który dał mu Ross – Cimtarga i jego ludzie nie przeszukali go – a w pochwie na plecach nóż pukoh.

– Polecimy razem, kapitanie. I razem zobaczymy – stwierdził śmiejąc się Cimtarga. – Nie będzie cię wtedy kusiło, żeby nas opuścić.

Erikki zabrał go na górę. Maszty osadzone były w betonowych fundamentach na niewielkim płaskim terenie na północnym stoku góry.

– Jeśli pogoda będzie taka jak dzisiaj, mogę wylądować. Ale kiedy zerwie się wiatr, to niemożliwe. Mogę was wtedy spuścić na linie – oznajmił z wilczym uśmiechem.

Cimtarga roześmiał się.

– Nie, dziękuję. Nie chcę przedwcześnie zginąć.

– Jak na Sowietę, zwłaszcza kagebistę, nie jesteś taki zły.

– Ty też. Jak na Fina.

Od niedzieli, kiedy zaczął latać z Cimtargą, Erikki prawie go polubił. Oczywiście na tyle, na ile można polubić jakiegokolwiek agenta KGB. Ale facet był grzeczny i porządny i dawał mu uczciwe porcje jedzenia. Poprzedniego wieczoru osuszył z Erikkim butelkę wódki i dał mu najlepsze posłanie. Nocowali w wiosce, dwadzieścia kilometrów na południe, śpiąc na rzuconych na klepisko dywanach. Cimtarga twierdził, że choć w okolicy mieszkają głównie Kurdowie, wioska sprzyja

fedainom i jest bezpieczna.

– Więc dlaczego pilnuje mnie strażnik?

– Jest bezpieczna dla nas, kapitanie, nie dla ciebie.

Przedwczoraj w nocy w pałacu chana Cimtarga przyszedł po niego ze swoimi ludźmi niedługo po odejściu Rossa. Zawieźli go do bazy i łamiąc wszelkie przepisy IATC polecili po ciemku do górskiej wioski na północ od Choju. Tam o świcie wzięli na pokład uzbrojonych mężczyzn i polecili do pierwszej z dwu amerykańskich stacji radarowych. Była zniszczona i pusta, podobnie jak ta.

– Ktoś musiał ich przed nami ostrzec – stwierdził sfrustrowany Cimtarga. – Matierjebcy!

Później powtórzył Erikkiemu to, co szeptali miejscowi: Amerykanie ewakuowali się poprzedniej nocy wielkimi nieoznakowanymi helikopterami.

– Szkoda, że nie złapaliśmy ich na szpiegowaniu. Wielka szkoda. Podobno sukinsyny były w stanie zajrzeć na tysiąc mil w głąb naszego terytorium.

– Macie szczęście, że ich tu nie ma. Wywiązałyby się walka i mogłoby dojść do międzynarodowego incydentu.

Cimtarga znowu się roześmiał.

– My nie mielibyśmy z tym nic wspólnego, nic. To kolejna sprawka tych parszywych kurdyjskich bandytów. To oni są wszystkiemu winni. Po jakimś czasie odnaleziono by ciała... oczywiście na terenie zamieszkiwanym przez Kurdów. Dla Cartera i CIA byłby to wystarczający dowód.

Erikki przeciągnął się. Był zmarznięty, przygnębiony i skonany. Ostatniej nocy znowu źle spał. Dręczyły go koszmarne sny o Azadeh. Nie spał dobrze, odkąd pojawił się Ross.

Powtarzał sobie po tysiackroć, że jest głupcem. Wiedział o tym, ale to nie pomagało. Najwyraźniej nic nie było mu w stanie pomóc. Pewien wpływ miało też przemęczenie: zbyt wiele godzin lotu w złych warunkach atmosferycznych i w nocy. Martwił się o Noggera, rozmyślał o Rakoczym, o zabójstwach i o Rossie. A przede wszystkim o Azadeh. Czy jest bezpieczna?

Rano, po nocnej wizycie Rossa próbował się z nią pogodzić.

– Przyznaję, że byłem zazdrosny. To głupota. Przysięgłem na pradawnych bogów moich przodków, że jego wspomnienie nie będzie mi przeszkadzało. I nie będzie przeszkadzało – oświadczył, lecz te słowa wcale go nie oczyściły. – Nie sądziłem po prostu, że taki z niego mężczyzna... taki niebezpieczny. Jego kukri stanowiłoby wyzwanie dla mego noża.

– Nigdy, kochanie. Nigdy. Tak się cieszę, że jesteś tym, kim jesteś, i że jesteśmy razem. Jak możemy stąd uciec?

– Nie wszyscy razem i nie jednocześnie – odparł szczerze. – Ross i Gueng powinni uciec, kiedy tylko trafi się okazja. Co do Noggera... dopóki tu jesteś, nie wiem. Naprawdę nie wiem, jak moglibyśmy stąd uciec. Musimy chyba poczekać. Może udałoby nam się dostać do Turcji...

Spojrzał teraz na zachód, w stronę Turcji, tak bliskiej i tak odległej, skoro Azadeh była w Tabrizie. Trzydzieści minut lotu. Ale kiedy? Gdybyśmy dostali się do Turcji, gdyby helikopter nie został zarekwirowany i gdyby udało mi się zatankować, moglibyśmy polecieć do Szardży. Gdyby, gdyby... Bogowie moich przodków, pomóżcie mi.

Poprzedniego wieczoru przy wódce Cimtarga był tak samo małomówny jak zawsze, pił jednak równo, szklanka po szklance, do ostatniej kropli.

– Na jutrzejszy wieczór mam kolejną butelkę, kapitanie.

– To dobrze. Kiedy nie będę już potrzebny?



– Skończymy tu robotę za dwa, trzy dni i wracamy do Tabrizu.

– A co potem?

– Później się dowiem.

Gdyby nie wódka, Erikki by go przeklął. Wstał i popatrzył na Irańczyków gromadzących sprzęt, który mieli zabrać. Nie było tam nic nadzwyczajnego. Kiedy ruszył po skrzypiącym śniegu, strażnik podążył w ślad za nim. Nie miał szansy ucieczki. Ani jednej okazji przez pięć dni.

– Lubimy twoje towarzystwo – powiedział w którymś momencie Cimtarga, czytając chyba w jego myślach.

Wyżej widział kilku ludzi pracujących przy demontażu masztów. Strata czasu, pomyślał. Nawet on widział, że nie były wiele warte.

– To nieważne, kapitanie – stwierdził Cimtarga. – Moim zwierzchnikom zależy na ilości. Powiedzieli, żeby brać wszystko. Lepiej więcej niż mniej. Nie masz się co przejmować, płacą ci od godziny – dodał ze śmiechem, lecz bez złośliwości.

Czując, jak sztywnieją mu mięśnie karku, Erikki zgiął się wpół, dotknął palcami stóp i opuszczając luźno ramiona, zaczął kręcić głową, tak aby sam jej ciężar rozciągnął ścięgna, więzadła i mięśnie, likwidując odrętwienie.

– Co robisz? – zapytał Cimtarga, podchodząc do niego.

– To świetny sposób na bóle karku. – Erikki nałożył ciemne okulary; bez nich raziło go odbite od śniegu światło. – Wystarczy robić to dwa razy dziennie.

– Ciebie też boli kark? Mnie doskwiera bez przerwy. Co najmniej trzy razy w roku chodzę do kręgarza. Pomaga?

– Jak w banku. Powiedziała mi o tym pewna kelnerka; od chodzenia przez cały dzień z tacą bolą ją plecy i kark. Podobnie jak pilotów... to schorzenie zawodowe. Spróbuj, sam zobaczysz.

Cimtarga pochylił się i zaczął kręcić głową.

– Nie, nie tak. Opuść luźno głowę i ramiona, jesteś zbyt sztywny.

Cimtarga zastosował się do jego wskazówek i poczuł, jak coś chrupnęło mu w karku.

– Niesamowite, kapitanie. Jestem twoim dłużnikiem.

– Potraktuj to jako rewanż za wczorajszą wódkę.

– To jest warte więcej niż butelka wód...

Erikki patrzył zaskoczony na strumień krwi, który trysnął z piersi Cimtargi w miejscu, gdzie przeszył go wystrzelony z tyłu pocisk. Dopiero potem dobiegł go huk wystrzału, po którym nastąpiły dalsze. Zza skał i drzew wybiegli górale, strzelając, wyjąc „Allachu akbarr” i wydając inne bojowe okrzyki. Atak był gwałtowny i szybki. Erikki zorientował się, że ludzie Cimtargi ulegają przewadze liczebnej przeciwnika. Jego strażnik, jeden z nielicznych, którzy mieli broń, zdołał tylko raz wystrzelić i zaraz został trafiony. Brodaty góral stanął nad nim i z zapalem dobił go kolbą karabinu. Inni pognali do jaskini. Dobiegło stamtąd jeszcze kilka wystrzałów i zapadła cisza.

Dwaj mężczyźni doskoczyli do Erikkiego, który podniósł ręce do góry. Serce waliło mu w piersi; czuł się głupio, jakby stał przed nimi bez ubrania. Jeden z nich odwrócił Cimtargę na plecy i jeszcze raz do niego strzelił. Drugi minął Erikkiego i podszedł do kabiny dwieście dwunastki, żeby sprawdzić, czy nikt się tam nie schował. Góral, który zastrzelił Cimtargę, stanął dysząc ciężko przed Erikkim. Niski i brodaty, miał oliwkową cerę, ciemne oczy i włosy oraz cuchnącą zgrzebną odzież.

– Ręce w dół – powiedział prymitywną angielszczyzną. – Jestem szejk Bajazid, tutejszy wódz. Potrzebujemy ciebie i helikopter.

– Czego chcecie?

Górale dobijali rannych i zabierali zabitym wszystko, co mogło mieć jakąkolwiek wartość.

– CASEVAC. – Bajazid uśmiechnął się lekko, widząc minę Erikkiego. – Wielu z nas pracuje przy szybach naftowych. Co to za pies? – zapytał, trącając butem Cimtargę.

– Mówił, że nazywa się Cimtarga. Sowiet. Chyba z KGB.

– Oczywiście Sowiet – stwierdził obcesowo mężczyzna. – Oczywiście KGB. Każdy Sowiet w Iranie KGB. Dokumenty, proszę.

Erikki dał mu swój dowód. Góral sprawdził go, pokiwał głową i ku zaskoczeniu Fina oddał mu z powrotem.

– Dlaczego wozisz sowieckiego psa?

Erikki opowiedział mu o tym, jak złapał go w pułapkę Abdollah-chan. Bajazid słuchał go bez słowa, pociemniała mu tylko trochę twarz.

– Lepiej nie narażać się Abdollahowi – oświadczył. – Abdollah Okrutny ma bardzo długie ręce, nawet na ziemi Kurdów.

– Jesteście Kurdami?

– Tak – skłamał Bajazid.

Kłamstwo było mu na rękę. Przyklęknął i obszukał Cimtargę. Nie znalazłszy żadnych dokumentów, zabrał drobne pieniądze, samopowtarzalny pistolet i amunicję.

– Masz paliwo?

– Trzy czwarte zbiornika.

– Chcę polecieć dwadzieścia mil na południe. Pokażę gdzie. Weźmiemy stamtąd chorą i polecimy do szpitala w Rezaije.

– Dlaczego nie do Tabrizu? To o wiele bliżej.

– Rezaije w Kurdystanie. Kurdowie są tam bezpieczni, na ogół. Tabriz należy do naszych wrogów: Irańczyków, szacha, Chomeiniego. Bez różnicy. Lecimy do Rezaije.

– Dobrze. Najlepszy będzie Szpital Zamorski. Byłem tam już kiedyś. Mają lądowisko dla helikopterów i są przyzwyczajeni do CASEVAC. Może uda nam się zatankować. Mają paliwo lotnicze... w każdym razie dawniej mieli.

– Dobrze – zgodził się po chwili Bajazid. – Lecimy od razu.

– A co potem?

– Potem, jeśli nas bezpiecznie zawieziesz, może puścimy cię wolno, żebyś mógł odebrać swoją żonę chanowi Gorgonów. – Szejk Bajazid odwrócił się i wrzasnął na swoich ludzi, żeby się pośpieszyli i wsiedli do śmigłowca. – Możemy startować.

– Co z nim będzie? – zapytał Erikki, wskazując Cimtargę. – I z innymi?

– Zwierzęta i ptaki wkrótce oczyszczą teren.

Po kilku chwilach wystartowali. W Erikkiego wstąpiła nowa nadzieja. Bez problemu znaleźli małą wioskę. Pomocy medycznej potrzebowała stara kobieta.

– To nasz wódz – oznajmił Bajazid.

– Nie wiedziałem, że kobieta może być wodzem.

– Czemu nie, jeśli jest dość silna, mądra i sprytna i pochodzi z dobrej rodziny. Jesteśmy sunnitami, a nie lewakami albo szyckim heretyckim bydłem, które potrzebuje muły pomiędzy człowiekiem i Bogiem. Bóg to Bóg. Lecimy.

– Czy ona mówi po angielsku?

- Nie.
- Jest chyba bardzo chora. Może nie przeżyć lotu.
- Wola boska.

Przeżyła jednak. Po godzinie Erikki wylądował w Rezaïje. Szpital Zamorski wybudowały, prowadziły i finansowały zagraniczne firmy naftowe. Przez cały czas leciał nisko, omijając szerokim łukiem Tabriz i wojskowe bazy lotnicze. Bajazid siedział obok niego, a sześciu uzbrojonych górali z tyłu, razem ze swoją przywódczynią, która leżała na noszach, przytomna, lecz nieruchoma, cierpiąc bez słowa skargi.

Doktor i sanitariusze pojawili się na lądowisku kilka sekund po tym, jak maszyna dotknęła ziemi. Lekarz, mniej więcej trzydziestoletni Amerykanin z przekrwionymi, podkrążonymi oczyma, miał na sobie kilka grubych swetrów, na które nałożył biały fartuch z dużym czerwonym krzyżem na rękawie. Ukłękł przy noszach, które otaczali w milczeniu górale. Chociaż jego dłonie miały uzdrawiać, kobieta jęknęła cicho, gdy dotknął jej podbrzusza. Przez chwilę mówił coś do niej łamanym tureckim. Kobieta uśmiechnęła się słabo, skinęła głową i podziękowała mu. Lekarz zawołał sanitariuszy, którzy wynieśli chorą z kabiny. Na rozkaz Bajazida dwaj górale poszli razem z nimi.

– Muszę znać nazwisko i wiek chorej, Ekscelencjo – zwrócił się lekarz do szejka. Przez chwilę szukał właściwego tureckiego słowa. – A także historię jej choroby.

– Ja mówię po angielsku.

– To świetnie, dziękuję, aga. Jestem doktor Newbegg. Obawiam się, że jest umierająca, aga, puls jest prawie niewyczuwalny. Jest stara i chyba ma krwotok... wewnętrzny krwotok. Czy ostatnio nie upadła?

– Proszę mówić wolniej. Upadła? Tak, dwa dni temu. Poślizgnęła się na śniegu i upadła na skałę. Uderzyła się bokiem o skałę.

– Moim zdaniem nastąpił wewnętrzny krwotok. Zrobię, co będę mógł... ale nie mogę wiele obiecać. Przykro mi.

– InszAllah.

– Jesteście Kurdami?

– Tak, Kurdami. – Gdzieś niedaleko rozległy się strzały. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. – Kto to?

– Nie wiem, chyba ci sami co zawsze – odparł niechętnie lekarz. – Zielone Oddziały walczą z lewakami, lewacy z Zielonymi Oddziałami i Kurdami. Jest wiele grup, wszystkie uzbrojone. – Potarł oczy. – Zrobię, co będę mógł, dla starszej pani... może pójdzie pan ze mną, aga, i opowie mi po drodze coś więcej – poprosił i szybko się oddalił.

– Czy macie tu paliwo, doktorze? – zawołał za nim Erikki.

Lekarz zatrzymał się i spojrzał na niego, nie do końca rozumiejąc.

– Paliwo? A, paliwo do helikoptera... Nie wiem. Zbiornik jest za budynkiem – odparł, po czym łopocząc połami fartucha, wszedł po schodkach do szpitala.

– Zaczekaj, aż wrócę, kapitanie – powiedział Bajazid. – Tutaj.

– A paliwo? Mógłbym...

– Zaczekaj. Tutaj.

Bajazid pośpieszył za doktorem. Dwaj jego ludzie podążyli za nim, dwaj zostali.

Czekając Erikki sprawdził śmigłowiec. Zbiorniki były prawie puste. Co jakiś czas pod wejście podjeżdżały samochody i ciężarówki z rannymi, po których wychodzili lekarze i sanitariusze.

Helikopter wzbudzał zaciekawienie, ale nikt do niego nie podchodził. Zadbali o to jego strażnicy.

– My, Kurdowie, od stuleci walczyliśmy o niepodległość – powiedział mu podczas lotu Bajazid. – Jesteśmy osobnym narodem, mamy swój język i swoje obyczaje. Ponad sześć milionów Kurdów mieszka w Azerbejdżanie, w Kurdystanie nad granicą sowiecką, po tej stronie Iraku, w Turcji. – Ostatnie słowo wypłynęło z nienawiścią. – Od stuleci walczyliśmy z nimi, z wszystkimi naraz albo z każdym z osobna. Góry należą do nas. Umiemy się bić. Salah-al-din był Kurdem. Słyszałeś o nim?

Salah-al-din, Saladyn, był islamskim rycerzem, który w epoce krucjat w dwunastym wieku walczył z Ryszardem Lwie Serce, ogłosił się sułtanem Egiptu i Syrii, a w roku 1187 zwyciężył połączone wojska krzyżowców i zajął Królestwo Jerozolimy.

– Tak, słyszałem.

– Dzisiaj jest wśród nas wielu Salah-al-dinów. Któregoś dnia odzyskamy wszystkie święte miejsca... a Chomeini, ten zdrajca islamu, zdechnie w rowie.

– Zaczailiście się na Cimtargę i jego ludzi i zabiliście ich tylko po to, żeby przewieźć chorą do szpitala? – zapytał Erikki.

– Oczywiście. To nieprzyjaciel. Twój i nasz. – Bajazid skrzywił usta w uśmiechu. – W górach nic się nie dzieje bez naszej wiedzy. Nasza przywódczyni chora, wy byliście w pobliżu. Widzieliśmy, jak Amerykanie wyjeżdżają, jak potem zjawiają się rabusie. Poznano ciebie.

– Jak to?

– Wszyscy znają Rudzielca z Nożem. Niewiernego, który zgniótł jak wszy zabójców, a potem dostał w nagrodę młodą lwicę Gorgonów. Pilota CASEVAC. – W ciemnych oczach szejka zamigotały wesołe ogniki. – Tak, kapitanie, dobrze cię znamy. Wielu z nas pracuje przy wyrębie i wydobywaniu ropy. Człowiek musi pracować. Ale dobrze, że nie jesteś Sowietem ani Irańczykiem.

– Czy kiedy wrócimy, ty i twoi ludzie pomożecie mi przeciwko chanowi?

Bajazid roześmiał się.

– Twoje porachunki są twoimi porachunkami, nie naszymi. Abdollah-chan nie występuje w tej chwili przeciwko nam. Nie szukamy z nim zwady. Bóg zdecyduje, co zrobisz.

Na szpitalnym dziedzińcu było zimno, podmuchy wiatru potęgowały wrażenie chłodu. Erikki chodził w kółko, żeby się rozgrzać. Muszę się dostać do Tabrizu. Muszę tam się dostać, zabrać Azadeh i nigdy już tu nie wrócimy.

W pobliżu wybuchła strzelanina. Jadące ulicą samochody zwolniły, zabrzmiały klaksony, a potem cały ruch stanął. Za bramą szpitala przebiegali ludzie. Po kolejnej kanonadzie ci, którzy siedzieli w samochodach, zaczęli uciekać albo próbowali się gdzieś schować. Dwieściedwunastka stała odsłonięta na szerokim dziedzińcu. Strzały słychać było coraz bliżej. Na najwyższym piętrze szpitala wyleciały szyby. Dwaj górale padli na śnieg za helikopterem. Erikki był bliski szału: nie wiedział, gdzie uciec ani co robić, nie miał czasu, by wystartować, brakowało mu paliwa, żeby dokądś dolecieć. Kiedy obok niego odbiło się rykoszetem kilka zabłąkanych kul, przypadł do ziemi. Po jakimś czasie strzały umilkły tak samo nagle, jak się zaczęły. Ludzie powrócili do samochodów, znowu zabrzmiały klaksony i po chwili wszystko wróciło do normy.

– InszAllah – powiedział jeden z górali, po czym odbezpieczył karabin i stanął z powrotem na warcie.

Zza szpitala wyjechała do nich mała cysterna prowadzona przez młodego uśmiechniętego Irańczyka. Erikki wyszedł mu na spotkanie.

– Cześć, kapitanie – pozdrowił go radośnie kierowca z wyraźnym nowojorskim akcentem. – Mam

wam wlać paliwo. Załatwił to wasz nieustraszony przywódca, szejk Bajazid.

Powitał górali w tureckiej gwarze. Od razu się rozchmurzyli i odwzajemnili pozdrowienie.

– Lejemy pod korek, kapitanie. Ma pan jakieś dodatkowe zbiorniki?

– Nie, tylko normalne. Nazywam się Erikki Yokkonen.

– Oczywiście. Rudzielec z Nożem. – Młodzieniec wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jest pan tu kimś w rodzaju legendy. Tankowałem pana maszynę może rok temu – powiedział, podając mu rękę. – Jestem Ali „Benzyna”, tak naprawdę Ali Reza.

Uścisnęli sobie dłonie i młodzieniec zaczął napełniać zbiornik.

– Chodziłeś do amerykańskiej szkoły? – zapytał Erikki.

– Gdzie tam! Dawno temu, kiedy byłem mały, szpital jakby mnie przygarnął. To było jeszcze przed zbudowaniem tego gmachu. W dawnych czasach szpital stał w jednym ze Złotych Gett po wschodniej stronie miasta... wie pan, kapitanie, „Wstęp tylko dla amerykańskiego personelu”, tereny ExTeksu. – Chłopak uśmiechnął się, zakręcił starannie pokrywę zbiornika i zaczął napełniać następny. – Pierwszym lekarzem, który się mną opiekował, był doktor Abe Weiss. Fantastyczny facet, naprawdę. Wciągnął mnie na listę płac, nauczył, do czego służy mydło, skarpetki, sztućce, toaleta... kompletna czarna magia dla takiego ulicznego szczura jak ja, bez rodziców, bez domu, nazwiska, bez niczego. Mówił, że jestem jego hobby. Dał mi nawet nazwisko. A potem któregoś dnia wyjechał.

Erikki zobaczył w oczach chłopaka skrywany ból.

– Przekazał mnie doktorowi Templetonowi, który dalej mnie uczył. Czasami sam nie wiem, kim w końcu jestem: Kurdem, Jankesem, Żydem czy muzułmaninem. – Wzruszył ramionami. – Chyba jakimś mieszańcem. Nie?

– Chyba tak.

Erikki spojrzał w stronę szpitala. Bajazid i dwaj jego ludzie schodzili po stopniach, sanitariusze nieśli za nimi nosze. Głowa staruszki była zakryta.

– Lecimy, kiedy tylko zatankujesz – oznajmił krótko szejk.

– Przykro mi – stwierdził Erikki.

– InszAllah.

Patrzyli, jak sanitariusze wsuwają nosze z powrotem do kabiny. Bajazid podziękował im i odeszli. Wkrótce zbiorniki były pełne.

– Dziękuję, panie Reza – powiedział Erikki, podając rękę młodzieńcowi.

Ten wytrzeszczył oczy.

– Nikt jeszcze nie zwrócił się do mnie per pan, kapitanie. Nigdy. – Energicznie potrząsnął dłonią Erikkiego. – Dziękuję. Ma pan u mnie paliwo, kiedy tylko będzie pan chciał zatankować.

Bajazid usiadł koło Erikkiego, zapiął pas i nałożył hełmofon. Silniki nabierały mocy.

– Teraz polecimy do wioski, z której przylecieliśmy – oznajmił.

– A co potem?

– Zapytam nowego wodza – odparł Bajazid.

Za tego człowieka i za helikopter możemy dostać wysoki okup, pomyślał. Od chana, od Sowietów, nawet od jego ziomków. Moim ludziom potrzebny jest każdy rial, który uda nam się za niego wydusić.

Azadeh wzięła miskę ryżu i miskę horisztu, podziękowała żonie wodza i stąpając po brudnym, pokrytym odchodami śniegu ruszyła w stronę stojącej nieco na uboczu chaty. Miała wymizerowaną twarz i brzydtko kaszłała. Zapukała i weszła przez niskie drzwi do środka.

– Witaj, Johnny. Jak się czujesz? Lepiej?

– Dobrze – odparł niezgodnie z prawdą.

Pierwszą noc spędzili w pobliskiej jaskini, tuląc się do siebie i drżąc z zimna.

– Nie możemy tutaj zostać, Azadeh – stwierdził o świcie. – Zamarzniemy na kość. Musimy iść do bazy.

Brnąc w śniegu, dotarli do bazy i obserwowali ją z ukrycia. Widzieli dwóch mechaników i czasami nawet Noggera Lane'a oraz dwieścieszóstkę, ale teren bez przerwy patrolowali uzbrojeni mężczyźni. Kierownik bazy, Dajati, wprowadził się wraz z żoną i dziećmi do domku Azadeh i Erikkiego.

– Psie córki i syny – syknęła Azadeh, widząc żonę Dajatiego, która paradowała w jej wysokich butach. – Może uda nam się zakraść do domu mechaników. Ukryliby nas.

– Są wszędzie eskortowani, założę się, że pilnują ich również w nocy. Ale kim są strażnicy? Czy to Zielone Oddziały, ludzie chana, czy jeszcze ktoś inny?

– Nikogo nie poznaję, Johnny.

– Czekają na nas – stwierdził.

Czuł się fatalnie, dręczyły go wyrzuty z powodu śmierci Guenga. Zarówno on, jak i Tenzing służyli z nim od samego początku. Czuł się też odpowiedzialny za Rosemonta. A teraz za Azadeh.

– Jeszcze jedna noc na dworze i będzie po tobie. I po mnie.

– Chodźmy do naszej wioski, Johnny. Do Abu Mard. Należy do naszej rodziny od ponad stu lat. Jej mieszkańcy są lojalni, wiem o tym. Będziemy tam bezpieczni przez dzień albo dwa.

– A nagroda za moją głowę? I za ciebie? Zawiadomią twojego ojca.

– Poproszę, żeby tego nie robili. Powiem, że próbowali mnie porwać Sowieci i że mi pomogłeś. To w końcu prawda. Powiem, że musimy się gdzieś zaszyć do chwili, kiedy wróci mój mąż. On był tutaj zawsze bardzo popularny. Ocalił życie wielu ludziom, odwożąc ich helikopterem do szpitala.

Popatrzył na nią. Dziesiątki argumentów przemawiały przeciw jej propozycji.

– Wioska leży przy samej drodze i...

– Oczywiście masz rację. Zrobimy to, co uważasz za słuszne, ale część chat stoi w głębi lasu. Możemy się tam ukryć... nikt nas nie znajdzie.

Dostrzegł, jak bardzo jest zmęczona.

– Jak się czujesz? Zostało ci jeszcze trochę sił?

– Niewiele, ale czuję się dobrze.

– Moglibyśmy przejść kilka mil wzdłuż drogi i ominąć blokadę... idąc do wioski, o wiele bardziej ryzykujemy. Co ty na to?

– Chyba nie dam rady. Spróbuję. Ale nie dzisiaj – dodała po krótkim wahaniu. – Idź sam, ja poczekam. Może dziś wróci Erikki.

– A jeśli nie wróci?

– Nie wiem. Idź sam.

Ross spojrział na bazę. Istne gniazdo żmij. Zejście tam to samobójstwo. Z miejsca, gdzie stali, widział główną szosę do Teheranu, którą blokowali policjanci i Zielone Oddziały. W kolejce stał długi rząd samochodów. Nikt nas teraz nie podwiezie, pomyślał, chyba że będzie liczył na nagrodę.

- Ty idź do wioski, ja poczekam w lesie – powiedział.
- Bez ciebie oddadzą mnie po prostu ojcu. Znam ich, Johnny.
- Zdradzą cię tak czy owak.

– Wola boska. Ale może dadzą nam trochę jedzenia i pozwolą się ogrzać. Albo nawet przenocować. Wymknęlibyśmy się o świcie. Spróbujemy pożyczyć jakiś samochód... może ciężarówkę... kalendar ma starego forda.

Słumiła kichnięcie. W pobliżu kręcili się uzbrojeni ludzie. W drodze do tego miejsca o mało nie wpadli na jeden z patroli. Zejście do wioski to szaleństwo, pomyślał. Ominięcie blokady zajmie kilka godzin, a potem zrobi się ciemno... nie przetrwamy kolejnej nocy na mrozie.

- Chodźmy do wioski – zdecydował.

Zeszli tam wczoraj. Kalendar Mustafa wysłuchał opowieści Azadeh, nie patrząc w ogóle na Rossa. Ludzie powtarzali sobie z ust do ust wiadomość o ich przybyciu. Pamiętali o nagrodzie za ujęcie sabotażysty, który porwał córkę chana. Kalendar przydzielił Rossowi niezamieszkaną jednoizbową chatę z klepiskiem i nadgniłymi dywanami, daleko od drogi, na samym skraju wioski. Zauważył twarde jak stal oczy, zmierzwione włosy i zarost na policzkach – a także karabin, kukri i ciężki plecak z amunicją. Azadeh zaprosił do własnej dwuizbowej chaty bez prądu i bieżącej wody. Za toaletę służył tu rów.

O zmierzchu stara kobieta przyniosła Rossowi gorące jedzenie i butelkę wody.

– Dziękuję – mruknął. Bolała go głowa i czuł, że trawi go gorączka. – Gdzie jest Jej Wysokość? – Starucha wzruszyła ramionami. Miała ospowatą pomarszczoną twarz i brązowe pieńki zębów. – Proszę ją zapytać, czy mnie przyjmie.

Po jakimś czasie posłano po niego. W izbie kalandara, w obecności Mustafy, jego żony, kilkorga dzieci i kilku starszych, Ross pozdrowił ostrożnie Azadeh – tak jak cudzoziemiec powinien pozdrowić wysoko urodzoną osobę. Klęczała na dywanach przodem do drzwi, oczywiście w czadorze. Miała żółtawą niezdrową cerę, ale uznał, że to wina migoczącej lampy naftowej.

– Salaam, Wasza Wysokość. Jak pani zdrowie?

– Salaam, aga, dziękuję, a pańskie?

– Mam chyba lekką gorączkę.

Zobaczył, że na chwilę podniosła wzrok.

– Mam leki. Czy pan ich potrzebuje?

– Nie. Nie, dziękuję.

W obecności tylu widzów i słuchaczy nie mogło mu przejść przez gardło to, co chciał powiedzieć.

– Może będę mógł również jutro odwiedzić Waszą Wysokość? Pokój niech będzie z tobą, pani.

– I z tobą, panie.

Długo nie mógł zasnąć. Ona też. O świcie wioska zbudziła się, rozpalono ogień, wydojono kozy, podgrzano horiszt – niezbyt pożywny, gdzieniegdzie z kawałkami kurczaka, w innych chatach na łykowatej, starej, czasami cuchnącej baraninie. Miski ryżu, którego zawsze było za mało. W dobrych czasach jedli dwa posiłki dziennie, rano i przed zmierzchem. Azadeh miała pieniądze i płaciła za jedzenie. Zwrócono na to uwagę. Poprosiła, żeby do wieczornego horisztu wrzucono całego kurczaka, i na to też zwrócono uwagę.

– Zaniosę mu jedzenie – powiedziała, kiedy zaczęło się ściemniać.

– Wasza Wysokość nie powinna mu usługiwać – zaprotestowała żona kalandara. – Ja wezmę

miski. Jeśli Wasza Wysokość chce, możemy pójść razem.

– Lepiej będzie, jeśli pójde sama, bo...

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Sama? Do mężczyzny, który nie jest pani mężem? Och, nie, to byłoby niestosowne, bardzo niestosowne. Ja to wezmę.

– Dobrze, dziękuję. Będzie, jak Bóg chce. Wczoraj wspomniał coś o gorączce. To może być zaraza. Niewierni często zarażają nas paskudnymi chorobami, których nie potrafimy zwalczyć. Nie chciałam, żebyś zachorowała. Ale skoro chcesz mu to zanieść, proszę bardzo.

Wczoraj wieczorem wszyscy widzieli perlisty pot na twarzy niewiernego. Wszyscy wiedzieli, jak złośliwi są niewierni, w większości czciciele szatana i czarownicy. W głębi duszy uważali, że Azadeh została opętana, najpierw przez Człowieka z Nożem, a teraz przez tego sabotażystę. Żona kalandara oddała jej w milczeniu miski i Azadeh ruszyła przez śnieg.

Patrzyła teraz na niego w półmroku. Otwór w ścianie z wysuszonej na słońcu gliny zakryty był jutową tkaniną. W powietrzu unosił się odór moczu i odchodów z pobliskiego rowu.

– Jedz, póki ciepłe. Nie mogę tu długo zostać.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. Drzemał pod jednym kocem, w ubraniu, ale kiedy weszła, usiadł i skrzyżował nogi. Gorączka trochę ustąpiła dzięki lekowi z apteczki, lecz miał biegunkę. – Nie wyglądasz najlepiej.

– Ty też nie – odparła z uśmiechem. – Nic mi nie jest. Jedz.

Dokuczał mu głód. Zupa była rzadka, ale wiedział, że to lepiej dla jego żołądka. Złapał go kolejny skurcz kiszek, zdołał go jednak opanować.

– Myślisz, że uda nam się wymknąć? – zapytał. Starał się nie jeść zbyt łapczywie.

– Tobie tak, mnie nie.

W ciągu dnia, na pół drzemiac i starając się odzyskać siły, próbował wymyślić jakiś plan. A potem wybrał się na mały spacer. Śledziły go setki oczu. Doszedł do skraju wioski i zawrócił. Zobaczył jednak starą ciężarówkę.

– Co z ciężarówką?

– Pytałam kalandara. Twierdzi, że jest zepsuta. Nie wiem, czy kłamie, czy mówi prawdę.

– Nie wolno nam tu dłużej zostać. W każdej chwili może się pojawić patrol. Albo dowie się o nas twój ojciec. Jediną naszą nadzieją jest ucieczka.

– Możemy porwać dwieścieosóstkę z Noggerem.

Spojrzał na nią.

– Kiedy są tam ci wszyscy strażnicy?

– Jedno z dzieci powiedziało mi, że wrócili dziś do Tabrizu.

– Jesteś pewna?

– Nie jestem pewna, Johnny. – Nagle zapaliła się do tego pomysłu. – Ale dziecko nie miało powodu kłamać. Przed ślubem uczyłam tu w szkole. Byłam ich jedyną nauczycielką i wiem, że uczniowie mnie lubili. To dziecko powiedziało, że został tylko jeden albo dwóch strażników.

Przeszedł ją dreszcz i poczuła, że słabnie. W ostatnim czasie tyle nasłuchiwała się kłamstw, tyle wyłoniło się problemów. Nie chciało jej się wierzyć, że zaledwie dwa tygodnie minęły od dnia, kiedy Rakoczy i mułła napadli na nią i Erikkiego po wyjściu z sauny. Teraz ich sytuacja wydawała się taka beznadziejna. Gdzie jesteś, Erikki, chciała zawołać. Gdzie jesteś?

Ross zjadł horiszt do ostatniego ziarenka ryżu. Rozważał różne opcje, próbując coś wymyślić. Klęcząc naprzeciwko niego, Azadeh dostrzegła, jakie ma zmierzwiłone brudne włosy, jaki jest



zmęczony i chmurny.

– Biedny Johnny – mruknęła dotykając go. – Nie przyniosłam ci szczęścia, prawda?

– Nie opowiadaj głupstw. Nie jesteś niczemu winna – stwierdził, potrząsając głową. – Absolutnie. Oto, co zrobimy: przenocujemy tu i jutro o świcie opuścimy wioskę. Zajrzemy do bazy. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, ruszymy dalej. Postaraj się przekonać kalandara i jego żonę, żeby o nas nikomu nie mówili. Pozostali wieśniacy zrobią, co im każe. Obiecay wielką nagrodę, kiedy sytuacja się uspokoi, a na razie... – Sięgnął do schowka w plecaku i wyjął stamtąd dziesięć złotych rupii. – Daj mu pięć, resztę zachowaj na później.

– Ale co będzie z tobą? – zapytała zaskoczona. Widok tak dużej łapówki obudził w niej nadzieję.

– Mam jeszcze dziesięć – skłamał gładko. – Ze specjalnych funduszy rządu Jej Królewskiej Mości.

– Och, Johnny, chyba nam się uda. To dla nich wielkie pieniądze.

Wiatr poruszył zasłonę z juty i oboje spojrzeli na okno. Azadeh wstała i poprawiła ją najlepiej, jak umiała, ale i tak nie zakryła całego otworu.

– Zostaw to – powiedział Ross. – Chodź, usiądź tu. – Posłuchała, siadając bliżej niż przedtem. – Masz, na wszelki wypadek – mruknął, podając jej granat. – Wciska się dźwignię, wyciąga zawleczkę, liczy do trzech i rzuca. Do trzech, nie do czterech.

Kiwnęła głową, po czym uniosła czador i schowała granat do kieszeni narciarskiej kurtki. Obcisłe spodnie miała wsunięte w buty.

– Dziękuję. Teraz czuję się bezpieczniej. – Mimowolnie dotknęła go i od razu tego pożałowała czując, jak cała płonie. – Lepiej... lepiej już pójdę. O świcie przyniosę ci jedzenie i wyruszymy.

Ross wstał i otworzył przed nią drzwi. Na dworze było ciemno. Nie zauważyli postaci, która oderwała się od okna, ale oboje czuli wlepione w siebie oczy.

– Co z Guengiem, Johnny? Myślisz, że nas znajdzie?

– Na pewno nas obserwuje, gdziekolwiek jest. – Ross poczuł kolejny skurcz. – Dobranoc, słodkich snów.

– Słodkich snów, Johnny.

Dawniej zawsze tak do siebie mówili. Spojrzeli na siebie i spotkały się ich serca. Obojgu zrobiło się ciepło na duszy, lecz jednocześnie ogarnęły ich złe przeczucia. A potem odeszła i w czarnym czadorze prawie natychmiast zniknęła mu z oczu. Zobaczył, jak otwierają się drzwi chaty kalandara, jak Azadeh wchodzi przez nie i jak się zamykają. Słyszał rżenie silnika wspinającej się pod górę ciężarówki i klakson samochodu, który ją minął. Następny skurcz sprawił, że przykucnął na śniegu. Mimo silnego bólu prawie się nie wypróżnił. Ciesząc się, że Azadeh już odeszła, nabrał lewą ręką garść śniegu i podtarł się. Czuł, że pilnują go dziesiątki oczu. Sukinsyny, pomyślał, po czym wrócił do chaty i usiadł na sienniku.

W ciemności naoliwił kukri. Nie musiał go ostrzyć, zrobił to już wcześniej. Światło zamigotało na ostrzu. Zasnął, trzymając nóż wyjęty z pochwy.

W PAŁACU CHANA, 23.19.

Lekarz wziął chana za nadgarstek i ponownie zmierzył mu puls.

– Musi pan dużo wypoczywać, Wasza Wysokość – stwierdził zatroskany. – I co trzy godziny łykać tę pastylkę.

– Co trzy godziny... dobrze – odparł cicho Abdollah-chan, łapiąc z trudem oddech. Wsparty na

poduszkach, leżał na łożu z miękkich dywanów. Obok klęczały z pobladłymi twarzami jego najstarsza córka, trzydziestopięcioletnia Nadzoud, i trzecia żona, siedemnastoletnia Aisza. Przy drzwiach stali dwaj strażnicy, obok lekarza klęczał Ahmed. – A teraz... zostawcie mnie...

– Rano przyjadę ambulansem...

– Żadnego ambulansu! Zostaję w domu!

Twarz chana poczerwieniała i ponownie poczuł ból w piersi. Obserwowali go, nie wając się głośniej odetchnąć.

– Zostaję w domu – powtórzył ochryple, gdy zdołał się odezwać.

– Przeszedł pan już jeden atak serca, Wasza Wysokość, dzięki Bogu, dość łagodny – odparł drżącym głosem lekarz. – Trudno powiedzieć, co się zdarzy. Nie mam tu odpowiedniego sprzętu. Powinien pan pozostawać pod ścisłą opieką.

– Niech pan dostarczy tu wszystko, czego pan potrzebuje. Dopilnuj tego, Ahmed.

– Tak jest, Wasza Wysokość.

Ahmed spojrział na lekarza, który schował stetoskop i aparat do pomiaru ciśnienia krwi do swojej staroświeckiej torby, włożył przy drzwiach buty i wyszedł. Nadzoud i Ahmed podążyli w ślad za nim. Nieduża Aisza zawahała się. Była żoną chana od dwóch lat i urodziła mu syna i córkę. Abdollah miał niezdrową cerę i chrapliwy oddech. Aisza przysunęła się bliżej i wzięła go za rękę, ale on zabrał dłoń i przeklinając żonę, złapał się za pierś. Jej obawy pogłębiły się.

Doktor zatrzymał się w holu. Miał starą pomarszczoną twarz i siwe włosy.

– Jego Wysokość powinien pojechać do szpitala – powiedział do Nadzoud. – Szpital w Tabrizie nie jest dość dobry. Najlepszy byłby Teheran. Powinien tam pojechać, chociaż podróż może... Ma zbyt wysokie ciśnienie krwi... od dawna ma zbyt wysokie... cóż, będzie, jak Bóg chce.

– Sprowadzimy tu wszystko, co jest potrzebne – oznajmił Ahmed.

– Nie mogę tu sprowadzić sali operacyjnej ani aseptycznego powietrza, głupcze – burknął gniewnie lekarz.

– Czy on umrze? – zapytała Nadzoud, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma.

– Kiedy Bóg tego zechce, nie wcześniej. Ma zdecydowanie za wysokie ciśnienie. Nie jestem czarodziejem i brakuje nam sprzętu i leków. Może pani wie, co wywołało atak? Czy doszło do jakiejś kłótni?

– Nie, nie było żadnej kłótni. To przez Azadeh. Znowu przez nią. To moja przyrodnia siostra. – Nadzoud zaczęła wyłamywać palce. – Wczoraj rano uciekła z tym sabotażystą i...

– Z jakim sabotażystą? – spytał zdumiony lekarz.

– Z tym sabotażystą, którego wszyscy szukają, wrogiem Iranu. Jestem pewna, że jej nie porwał, że z nim uciekła. Jak mógł ją porwać ze środka pałacu? To ona tak strasznie rozgniewała Jego Wysokość... od wczorajszego ranka wszyscy jesteśmy przerażeni...

Głupia jędza, pomyślał Ahmed. Powodem szalonego wybuchu furii było to, czego domagał się od mojego pana Haszemi Fazir, szef wywiadu, który przyleciał samolotem z Teheranu. A przecież to taka drobnostka. Wydanie im Sowietą, fałszywego przyjaciela, który w rzeczywistości jest wrogiem, nie powinno go tak rozjątrzyć. Mój pan wszystko sprytnie załatwi: pojutrze ofiara przekroczy z powrotem granicę i wpadnie w sieć, w której znajdują się również dwaj wrogowie z Teheranu. Jego Wysokość podejmie decyzję i zleci mi, co mam robić. A tymczasem Azadeh i sabotażysta zgodnie z wolą mojego pana pozostaną w wiosce: kalandar natychmiast doniósł o ich przybyciu. Mało jest ludzi na świecie tak sprytnych jak Abdollah-chan i to Bóg zdecyduje, kiedy odejdzie z tego świata,

a nie ten psi syn doktor.

– Chodźmy – powiedział. – Wybacz nam, Wasza Wysokość, ale musimy sprowadzić pielęgniarkę, lekarstwa i sprzęt medyczny. Powinniśmy się pośpieszyć, doktorze.

Drzwi na końcu korytarza otworzyły się i pojawiła się w nich Aisza, jeszcze bledsza niż przedtem.

– Ahmed, Jego Wysokość wzywa cię na chwilę.

Kiedy zostali sami, Nadzoud złapała lekarza za rękaw.

– Jakie są rokowania? Musi mi pan powiedzieć prawdę. Muszę wiedzieć.

Doktor uniósł bezradnie ręce.

– Nie wiem, nie wiem. Co najmniej od roku spodziewałem się tego... albo czegoś gorszego. Atak był łagodny. Następny może być taki sam lub silniejszy... może nastąpić za godzinę lub rok. Nie wiem.

Kiedy przed kilku godzinami chan zemdlął, Nadzoud wpadła w panikę. Gdyby umarł, jego prawowitym następcą zostałby brat Azadeh, Hakim. Dwaj bracia Nadzoud zmarli w dzieciństwie. Syn Aiszy skończył zaledwie roczek. Chan nie miał żyjących braci, więc jego następcą powinien zostać brat Azadeh. Ale Hakim był w niełasce, wydziedziczony, trzeba więc będzie powołać regencję. Jej mąż Mahmud był najstarszym z zięciów; mógł zostać regentem, jeśli chan nie postanowi inaczej.

Dlaczego miałby to zrobić, pomyślała, ponownie czując, że żołądek podchodzi jej do gardła. Chan wie, że potrafię pokierować mężem i wzmocnić naszą rodzinę. Syn Aiszy to chorowity dzieciak, tak samo chorowity jak jego matka. Będzie, jak Bóg chce, ale niemowlęta umierają. W przeciwieństwie do Hakima nie stanowi zagrożenia.

Pamiętała, jak poszła do chana po powrocie Azadeh ze szkoły w Szwajcarii.

– Przynoszę złe wieści, ojcze, ale musisz znać prawdę. Podśledzałam Hakima i Azadeh, Wasza Wysokość. Powiedziała mu, że była w ciąży, ale poszła do lekarza i usunęła dziecko.

– Co takiego?

– Tak... tak powiedziała. Słyszałam na własne uszy.

– Azadeh nie mogła... nie mogła tego zrobić!

– Sam ją spytaj, ale błagam, nie mów, od kogo się dowiedziałeś. Każ jej przysiąc przed Bogiem, wypytaj, każ, by zbadał ją lekarz. Ale to nie wszystko. Hakim wciąż chce wbrew twojej woli zostać pianistą. Powiedział jej, że ma zamiar uciec i namawiał, żeby pojechała z nim do Paryża, gdzie będzie mogła „poślubić swojego kochanka”. „Ojciec sprowadzi cię z powrotem, zmusi nas do powrotu. Nigdy nie pozwoli nam wyjechać, nigdy”, odparła Azadeh. „Wyjadę! Nie chcę tu zostać i zmarnować sobie życia”, zawołał na to Hakim. „Ojciec nigdy na to nie pozwoli”, powtórzyła. „W takim razie lepiej, żeby zginął”, stwierdził Hakim, a ona się z nim zgodziła.

– Nie! Nie wierzę w to!

Twarz ojca zrobiła się purpurowa i Nadzoud przeraziła się nie na żarty.

– Przysięgam na Boga – powiedziała. – Słyszałam, jak ze sobą mówili, przysięgam! A potem stwierdzili, że muszą to zaplanować, że muszą... – Zadrżała, gdy chan wrzasnął, by powtórzyła dokładnie ich słowa. – „Wystarczy podsypać mu trucizny do chałwy albo napoju”, powiedział Hakim. „Może uda się przekupić służącego lub strażnika, żeby go zabił. Albo otworzymy w nocy bramę zabójcom. Są setki sposobów, może to za nas zrobić każdy z tysiąca jego wrogów. Wszyscy go nienawidzą. Musimy coś wymyślić i uzbroić się w cierpliwość”.

Nadžoud snuła dalej zdradziecką nić, dorzucając coraz to nowe szczegóły i wkrótce sama niemal w to wszystko uwierzyła. Teraz też w to prawie wierzyła i doskwierała jej tylko złożona w obliczu Boga przysięga.

Bóg mi wybaczy, pomyślała z przekonaniem. Bóg mi wybaczy. Azadeh i Hakim zawsze nas nienawidzili, pragnęli naszej śmierci albo wygnania, chcieli przejąć całe nasze dziedzictwo, oni i ta wiedźma, ich matka, która rzuciła urok na ojca, przez co się od nas odwrócił. Osiem lat pozostawał pod jej urokiem: Azadeh to, Azadeh tamto, Hakim to, Hakim tamto. Na osiem lat odsunął od siebie moją matkę, jego pierwszą żonę, nie zwracał na mnie uwagi, a potem wydał za tego ordynusa, śmierdzącego impotentą, podłego chrapiącego chama Mahmuda, marnując mi w ten sposób życie. Mam nadzieję, że mój mąż zdechnie i zeżrą go robaki, lecz najpierw musi zostać chanem, żeby mój syn mógł odziedziczyć po nim tytuł.

Przed śmiercią ojciec musi pozbyć się Hakima. Boże, utrzymaj go przy życiu, póki tego nie zrobi. A Azadeh musi zostać upokorzona, wygnana, zniszczona... najlepiej złapana, gdy parzy się z tym sabotażystą. Wtedy dopełni się moja zemsta.

# PIĄTEK

## ROZDZIAŁ 14

**W POBLIŻU BAZY TABRIZ JEDEN,  
WIOSKA ABU MARD,  
GODZINA 6.17.**

Twarz islamsko-marksistowskiego fałszywego mułły Mahmuda wykrzywił gniew.

– Czy spałaś z tym mężczyzną? – wrzeszczał. – W imię Boga, pytam, czy z nim spałaś?

Azadeh klęczała przed nim, ogarnięta paniką.

– Nie masz prawa wdzierać się do...

– Czy spałaś z nim?

– Jestem... jestem wierna... mężowi – wyjąkała.

Jeszcze przed kilkoma sekundami ona i Ross siedzieli w chacie, jedząc szybko posiłek, który przyniosła, ciesząc się, że są razem i wkrótce wyruszą w drogę. Kalandar z wdzięcznością i pokorą przyjął bakszysz – cztery złote rupie dała jemu, jedną w tajemnicy jego żonie – po czym błogosławiąc ją poradził, by zaraz po śniadaniu wymknęli się do lasu. A potem drzwi chaty otworzyły się i do środka wpadli obcy. Pobili do nieprzytomności Rossa, wywlekli oboje na dwór i rzucili Azadeh do stóp Mahmuda.

– Jestem wierna, przysięgam, że jestem wierna...

– Wierna? Dlaczego nie nosisz czadoru? – wrzasnął.

Otaczali ich w milczeniu wystraszeni wieśniacy. Sześciu napastników stało, opierając się o karabiny, dwóch pilnowało Rossa, który leżał twarzą w śniegu. Z rozbitego czoła płynęła mu krew.

– Miałam... miałam czador, ale zdjęłam go na chwilę, kiedy jadłam.

– Zdjęłaś czador, siedząc w zamkniętej chacie z obcym mężczyzną? Co jeszcze zdjęłaś?

– Nic, nic – zaprzeczyła coraz bardziej przerażona, otulając się nie zapiętą kurtką. – Jadłam tylko śniadanie, a on nie jest obcym mężczyzną, ale moim starym znajomym... starym znajomym mojego męża – poprawiła się szybko, ale nie uszło to ich uwagi. – Jestem córką Abdollah-chana i nie macie prawa...

– Starym znajomym? Jeśli jesteś niewinna, nie masz się czego bać! W imię Boga, czy z nim spałaś? Przysięgnij, że nie!

– Poślij kogoś po mojego ojca, kalandarze. Poślij po niego!

Kalandar nie ruszył się z miejsca. Wszyscy świdrowali ją wzrokiem. Bezradna spojrzała na splamiony krwią śnieg, na Johnny'ego, który jęknął, odzyskując przytomność.

– Przysięgam na Boga, że nie zdradziłam mego męża! – zawołała.

Jej krzyk zrobił wrażenie na wszystkich i wyrwał Rossa z odrętwienia.

– Odpowiedz na moje pytanie, kobieto! Tak czy nie? W imię Boga, czy z nim spałaś?

Mułła stał nad nią niczym nad chorą wroną, wieśniacy czekali, wszyscy czekali, nawet drzewa i wiatr, nawet Bóg.

InszAllah.

Poczuła, że opuszcza ją strach. Zamiast niego ogarnęła ją nienawiść. Wstała i spojrzała śmiało w oczy Mahmudowi.

– Przysięgam w imię Boga, że nigdy nie zdradziłam mego męża – oświadczyła. – I w imię Boga, tak, dawno temu kochałam tego mężczyznę.

Słyszając te słowa wielu ludzi zadrzało. Ross zdrętwiał z przerażenia.

– Ladacznico! Kobieto lekkich obyczajów! Przyznałaś się otwarcie do grzechu! Zostaniesz ukarana zgodnie...

– Nie! – krzyknął Ross, dźwigając się na kolana i ignorując dwóch mudżahedinów, którzy mierzyli do niego z karabinów. – Jej Wysokość jest niewinna. To wszystko moja wina, tylko moja!

– Nie martw się, niewierny psie, ty też zostaniesz ukarany – zapewnił go Mahmud. – Słyszeliście wszyscy, jak ta ladacznica przyznała się do nierządu i jak przyznał się do niego niewierny. Dla niej jest za to tylko jedna kara, a dla niewiernego... jaką karę powinien ponieść niewierny?

Wieśniacy czekali. Mułła nie był ich mułłą, nie pochodził z ich wioski i nie był prawdziwym duchownym, ale islamskim marksistą. Nikt go tu nie prosił. Nikt nie wiedział, dlaczego zjawił się nagle, niczym dopust boży, z lewakami, którzy też nie pochodzili z sąsiedztwa. To nie byli prawdziwi szyici, ale jacyś szaleńcy. Czyż imam nie powtarzał po pięćdziesiąt razy, że tacy ludzie są szaleńcami, że mówią tylko, iż służą Bogu, czcząc w tajemnicy szatana, Marksa i Lenina?

– No? Czy powinien ponieść taką samą karę?

Nikt mu nie odpowiedział. Mułła i jego ludzie byli uzbrojeni.

Azadeh czuła przeszywające ją spojrzenia; nie była w stanie poruszyć się ani odezwać. Uginały się pod nią nogi, głosy ludzi dobiegały z oddali, nawet krzyk Rossa.

– Nie macie prawa mnie sądzić... ani jej. Bezczęście imię Boga...

Jeden ze stojących nad nim mężczyzn przewrócił go z kłęczek i przygniół obcasem szyję do ziemi.

– Wykastrujemy go i po kłopocie – stwierdził.

– Nie, to ta kobieta go uwiodła – oznajmił ktoś inny. – Widziałem, jak wczoraj w chacie uniosła przed nim czador. Popatrzcie, nawet teraz kusi nas wszystkich. Mężczyźnie wystarczy sto batów.

– Położył na niej ręce, utnijmy mu ręce – padła kolejna propozycja.

– Dobrze – zgodził się Mahmud. – Utniemy mu ręce, a potem wymierzmy chłostę.

Azadeh chciała zaprotestować, ale głos uwiązał jej w gardle. Krew szumiała w uszach, żołądek zacisnął się, umysł przestał funkcjonować. Napastnicy podnieśli szarpiącego się i wierzgającego Johnny'ego i przywiązali go do belek wystających ze ściany chaty. Przypomniała sobie, jak kiedyś, gdy byli dziećmi, Hakim, chcąc się popisać, złapał kamień i cisnął nim w kota, który z piskiem wywrócił się i próbował odpełznąć. Przez cały czas przeraźliwie miauczał i w końcu zastrzelił go jeden ze strażników. Ale teraz... teraz nikt jej nie zastrzeli. Skoczyła na Mahmuda, chcąc rozorać mu twarz paznokciami, lecz nagle opuściły ją siły i osunęła się na ziemię.

Mahmud spojrzał na nią.

– Połóżcie ją tam, pod ścianą – powiedział do swoich ludzi. – I niech ktoś przyniesie jej czador. Czy jest wśród was rzeźnik? – zapytał, zwracając się do wieśniaków. – Kto jest u was rzeźnikiem? – Nikt nie odpowiedział. – Kto jest u was rzeźnikiem, kalandarze?

Naczelnik szybko wskazał jednego z wieśniaków, małego mężczyznę w zgrzebnym ubraniu.

– Abrim. Abrim jest naszym rzeźnikiem.

– Idź i przynieś swój najostrzejszy nóż – poleciał mu Mahmud. – Pozostali niech zbiorą kamienie. Abrim odszedł, żeby wykonać rozkaz. Wola boska, mrużeli do siebie ludzie.

– Czy oglądaliście kiedyś ukamienowanie? – zapytał ktoś.

– Ja raz widziałam – odparła jakaś starucha. – W Tabrizie, kiedy byłam mała. Cudzołożnicą była żona kupca z bazaru – dodała drżącym głosem. – Tak, pamiętam, była żoną kupca. Jej kochanek także handlował na bazarze. Jemu ucieli głowę przed meczetem, a ją ukamienowali. Kobiety też mogły rzucać w nią kamieniami, ale nie chciały. Nie widziałam, żeby to robiły. Trwało to bardzo długo i przez długie lata słyszałam jej krzyki.

– Cudzołóstwo jest wielkim złem i musi zostać ukarane, bez względu na to, kim jest grzesznica. Jeśli nawet jest nią ona. Mężczyźnie należy się sto batów, mówi Koran. To mułła stanowi prawo, nie my – mruknął kalandar.

– Ale to nie jest prawdziwy mułła. Imam ostrzegał nas przed nimi!

– Mułła jest mułłą, a prawo prawem – stwierdził posępnym głosem kalandar, w głębi duszy pragnąc śmierci kobiety, która zasiała ziarna buntu w umysłach ich dzieci. – Zbierzcie kamienie!

Mahmud stał na śniegu, nie zwracając uwagi na mróz, na wieśniaków, na kobietę leżącą bez ruchu przy ścianie chaty i na sabotażystę, który klnąc i jęcząc próbował wyzwolić się z więzów.

W drodze do bazy dowiedział się, że w wiosce są sabotażysta i ona. Ladacznica z sauny, pomyślał, czując, jak wzbiera w nim gniew, chodząca z dumnie podniesionym czołem córka przekłętego chana, który udawał naszego protektora, lecz zdradził nas, nasyłając na mnie zabójców. Serie karabinu maszynowego przed meczetem zabiły wielu, ale ja ocalałem. Chan próbował mnie zabić, mnie, którego chroni święta idea głosząca, że tylko islam połączony z marksizmem-leninizmem może odrodzić świat.

Spojrzał na nią, na długie nogi w niebieskich narciarskich spodniach, rozpuszczone włosy, rysujące się pod narciarską kurtką piersi. Ladacznica, pomyślał, nienawidząc jej za to, że go pociągała. Jeden z jego ludzi okrył ją czadorem. Jęknęła cicho, ale nie ocknęła się z odrętwienia.

– Jestem gotów – oznajmił rzeźnik, sprawdzając palcem nóż.

– Najpierw prawą dłoń – powiedział Mahmud. – Zwiążcie mu ręce powyżej nadgarstków.

Jego ludzie zacisnęli mocno pasy, na które porwali wcześniej zasłonę z juty. Wieśniacy pchali się, żeby coś zobaczyć. Ross ze wszelkich sił starał się opanować przerażenie. Widział przed sobą tylko ospowatą twarz, skołtunioną brodę i wąsy, pozbawione wyrazu oczy, przesuwaną się machinalnie po ostrzu kciuk. A potem zerknął w bok. Spostrzegł, że Azadeh odzyskała świadomość, i nagle go olśniło.

– Granat! – wrzasnął. – Azadeh, granat!

Usłyszała go wyraźnie i sięgnęła do bocznej kieszeni kurtki. Ross krzyczał dalej, ściągając na siebie uwagę wszystkich i zbijając z tropu rzeźnika, który zaklął pod nosem, zrobił krok do przodu, złapał jego prawą dłoń i poruszył nią zafascynowany w lewo i prawo, nie mogąc się zdecydować, gdzie przeciąć ścięgna. To dało czas Azadeh. Zerwała się na nogi, przebiegła dzielącą ją od rzeźnika niewielką odległość i pchnęła go w plecy, wywracając na ziemię. Nóż upadł w śnieg, a ona odwróciła się do Mahmuda, wyciągnęła zawleczkę i drżąc cała przytrzymała dźwignię drobną dłonią.

– Wynoś się stąd! – krzyknęła. – Wynoś się!

Mahmud nawet nie drgnął. Mieszkańcy wioski rozpierzchli się, klnąc, wrzeszcząc, depcząc tych, którzy upadli.



– Chodź tutaj, Azadeh, szybko! – zawołał Ross.

Usłyszała go jak przez mgłę i cofnęła się w jego stronę, nie spuszczać z oczu Mahmuda. W kąciку jej ust pojawiła się piana. A potem Ross zobaczył, że Mahmud podchodzi do jednego ze swoich ludzi, którzy stali poza polem rażenia granatu, i jęknął wiedząc, co się zaraz wydarzy.

– Podnieś nóż i przetnij mi więzy – polecił. – Nie zwalniaj dźwigni. Mam ich na oku.

Mahmud wziął karabin od swego towarzysza, odbezpieczył go i odwrócił się w ich stronę.

Azadeh trzymała już w ręku nóż i sięgała do więzów na prawej ręce Rossa. Wiedział, że pocisk zabije ją albo zrani, dźwignia zwolni się i po czterech sekundach zginą – ale szybko i czystą, nie plugawą śmiercią.

– Zawsze cię kochałem, Azadeh – szepnął uśmiechając się, a ona zaskoczona odwzajemniła jego uśmiech.

Huknął strzał i serce stanęło mu w piersi. A potem rozległy się następne, ale to nie Mahmud pociągnął za cyngiel. Mahmud jęczał, zwijając się na śniegu, a strzały padały od strony lasu.

– Allachu akbar! – dobiegł stamtąd czyjś głos. – Śmierć wrogom Boga! Śmierć wszystkim lewicowym psom! Śmierć wszystkim wrogom imania!

Jeden z mudzahedinów zaatakował z rykiem napastników i zaraz zginął. Reszta natychmiast uciekła, potykając się i szukając w popłochu schronienia. Na placyku pozostał tylko rzeźący Mahmud, któremu spadł z głowy turban. Przywódca czteroosobowej grupy zamachowców z Tudehu, która śledziła fałszywego mułłę od świtu, uciszył go serią z pistoletu maszynowego i cała czwórka zniknęła tak samo szybko, jak się pojawiła.

Ross i Azadeh spojrzeli z niedowierzaniem na opustoszałą wioskę.

– To niemożliwe... to niemożliwe – wymamrotała wciąż otumaniona.

– Nie zwalniaj dźwigni – powtórzył ochryłym głosem. – Przetnij mi do końca więzy, szybko!

Nóż był bardzo ostry. Trzęsły się jej ręce i skaleczyła go, ale niezbyt poważnie. Kiedy tylko uwolniła mu ręce, odebrał jej granat. Dłonie miał zdrętwiałe i obolałe, lecz odetchnął z ulgą, gdy tylko poczuł pod palcami wciśniętą dźwignię. Chwiejąc się na nogach, zajrzał do chaty i odnalazł kukri, który wpadł pod koc, kiedy wywleczono go na zewnątrz. Schował nóż do pochwy i zabrał karabin.

– Włóż czador i plecak i chodź ze mną – powiedział, stając w progu. Azadeh wbiła w niego wzrok. – Szybko!

Usłyszała go niczym automat, a on poprowadził ją do lasu, w prawej ręce trzymając granat, w lewej karabin. Przez kwadrans biegli nierównym krokiem; w końcu zatrzymał się i przez chwilę nasłuchiwał. Nikt ich nie ścigał. Azadeh dyszała, stojąc za nim. Zabrała plecak, ale zapomniała o czadorze. Jasnoniebieski narciarski kombinezon odbijał się wyraźnie na tle śniegu i drzew. Kiedy Ross ruszył dalej, potruchtała za nim bez słowa. Przebiegli kolejne sto jardów, przez nikogo nie ścigani.

Za wcześnie było na odpoczynek. Ross zwolnił, czując, jak chwyta go kolka. W ręku wciąż zaciskał granat. Chciało mu się wymiotować, Azadeh coraz częściej się potykała. Po chwili znalazł ścieżkę prowadzącą na tyły bazy. Czekał na Azadeh, zatrzymał się przy wzgórzu za domkiem Erikkiego, osunął na kolana i zwymiotował. Po chwili podniósł się na miękkich nogach i ruszył pod górę, szukając bardziej osłoniętego miejsca. Azadeh łapała z trudem oddech; wstrząsana torsjami padła obok niego na śnieg.

Przy hangarze widział dwieścieszóstkę, którą mył jeden z mechaników. To dobrze, może

przygotowuje ją do lotu. Trzech uzbrojonych rewolucjonistów siedziało na pobliskiej werandzie, paląc papierosy. Poza tym nie dostrzegał żadnych znaków życia, ale z kominów domu Erikkiego, chaty mechaników oraz kuchni unosił się dym. Z miejsca, gdzie się znajdował, widział skrzyżowanie z drogą do Teheranu. Blokady nie zlikwidowano, kilka samochodów i ciężarówek czekało na kontrolę.

Ponownie przyjrzał się mężczyznom na werandzie i pomyślał o Guengu, którego ciało ciśnięto niczym worek starych kości na brudną ciężarówkę. Może pod ich stopy, może pod stopy innych. Z nagłego gniewu rozboleła go głowa. Spojrzał na Azadeh. Torsje minęły, lecz wciąż znajdowała się w szoku. Patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem, po brodzie ciekły jej strużki śliny i wymiotów. Wytarł jej twarz rękawem.

– Tu jesteśmy bezpieczni. Odpocznij trochę, potem pójdziemy dalej.

Kiwnęła głową i podparła ją rękoma, zapadając w odrętwienie. Ross zaczął ponownie obserwować bazę.

Minęło dziesięć minut. Nic się nie działo. Nad ich głowami wisały szare śniegowe chmury. Dwaj uzbrojeni mężczyźni weszli do biura i widział ich od czasu do czasu w oknach. Trzeci nie zwracał prawie uwagi na dwieścieszóstkę. Po jakimś czasie z kuchni wyszedł kucharz, wysikał się na śnieg i wrócił do środka. Wreszcie jeden ze strażników wyszedł z biura i z przewieszonym przez ramię M16 pomaszerował po śniegu do domku mechaników. Otworzył drzwi, wlaźł do środka i chwilę później wyszedł razem z wysokim Europejczykiem w lotniczym kombinezonie i jeszcze jednym mężczyzną. Ross rozpoznał w nich pilota Noggera Lane'a oraz drugiego mechanika. Mechanik powiedział coś do Lane'a, po czym machnął ręką i wrócił do domu. Strażnik i pilot ruszyli w stronę dwieścieszóstki.

Mam ich wszystkich jak na dłoni, pomyślał z bijącym szybko sercem. Niezgrabnie sprawdził karabin... przeszkadzał mu w tym granat, który zaciskał w prawej dłoni... a potem przełożył z plecaka do kieszeni dwa ostatnie magazynki i granat. Nagle ogarnął go strach. Chciało mu się płakać, Boże, pomóż mi uciec, ukryć się, wrócić do domu, wszędzie byle nie tu...

– Teraz tam zejść, Azadeh – powiedział przez ściśnięte gardło. – Kiedy cię zawołam albo dam znak, biegnij do helikoptera. Jesteś gotowa?

Kiwnęła głową i wymówiła bezgłośnie „tak”, ale nie był pewien, czy go zrozumiała. Powtórzył jeszcze raz, co ma robić, i uśmiechnął się, żeby dodać jej otuchy.

– Nie martw się – szepnął.

Azadeh ponownie kiwnęła głową, a on poluzował kukri i wspiął się na szczyt wzgórza niczym polujący drapieżnik.

Zakradł się na tyły domku Erikkiego, tam, gdzie stała sauna. Ze środka dobiegały głosy kobiety i dzieci. Zaschło mu w ustach, w dłoni czuł ciepły metal granatu. Chowając się za wielkimi beczkami, stosami rur, pił i innych narzędzi do wyřębu lasu, zbliżał się do biura. Strażnik i pilot podchodzili do hangaru, mężczyzna na werandzie leniwie ich obserwował. Drzwi biura otworzyły się i na dwór wyszedł kolejny strażnik, a z nim jeszcze jeden mężczyzna, starszy, większy, gładko ogolony, w porządnym ubraniu, chyba Europejczyk, uzbrojony w sten. Do grubego skórzanego pasa miał przypięty nóż kukri.

Ross zwolnił dźwignię.

– Raz, dwa, trzy – policzył, po czym wyskoczył z ukrycia.

Cisnął granat w stronę oddalonej o czterdzieści jardów werandy, schował się za zbiornikiem

i wyjął z kieszeni następny.

Zobaczyli go. Na moment zastygli w bezruchu, a potem, kiedy rzucili się do ucieczki, granat wybuchł, niszcząc werandę i daszek, zabijając jednego, ogłuszając drugiego i okaleczając trzeciego. Ross natychmiast wybiegł na otwarte pole, z gotowym do strzału karabinem i kolejnym granatem w prawej dłoni. Na werandzie nikt się nie poruszył, ale mechanik i pilot padli w panice na ziemię niedaleko bramy hangaru i zakryli rękoma głowy. Strażnik puścił się biegiem w stronę bramy; przez sekundę był na linii strzału. Ross strzelił i chybił, ruszył w kierunku hangaru, a potem zauważył boczne drzwi, skręcił ku nim i wpadł do środka. Schowany za silnikiem przeciwnik celował w drugie drzwi. Ross odstrzelił mu głowę – huk wystrzału odbił się od ścian z falistej blachy – i podbiegł do wyjścia. Widział Noggera Lane'a i mechanika, leżących na śniegu obok dwieścieszóstki.

– Ilu ich jeszcze jest? – zawołał, nie wychodząc z ukrycia. – Szybko! Na litość boską, odpowiadajcie!

Poblądły Nogger Lane uniósł trochę głowę.

– Nie strzelaj, jesteśmy cywilami, Anglikami! Nie strzelaj!

– Ilu ich jeszcze zostało?

– Było... było ich pięciu... ten tutaj... i reszta... reszta jest w biurze... chyba w biurze.

Ross wybiegł z powrotem na zewnątrz tylnymi drzwiami, przypadł do ziemi i spojrzał przed siebie. Żadnego ruchu. Do biura miał pięćdziesiąt jardów, jedyną osłonę dawała ciężarówka. Kiedy zerwał się na nogi i ruszył w jej stronę, seria pocisków zabrzączała o metal. Ktoś strzelał do niego z wybitego okna.

Za ciężarówką, w polu ostrzału biegł rów. Jeśli nie ruszą się z miejsca, mam ich w garści. Jeżeli wybiegną na dwór, a powinni to zrobić wiedząc, że jestem sam, przepadłem.

Poczołgał się dalej, gnany żądzą mordy. Wszystko ucichło: ptaki, wiatr, nieprzyjaciel. Świat zamarł w oczekiwaniu. Ross był już w rowie; powoli sunął do przodu. Głosy i skrzypienie drzwi. Znowu cisza. Kolejny jard. I jeszcze jeden. Teraz! Wbił stopy w śnieg, ugiął kolana, zwolnił dźwignię granatu i policzył do trzech. Zrywając się na nogi, poślizgnął się, ale nie przewrócił. Cisnął granat przez wybite okno, obok celującego do niego z karabinu mężczyzny, i padł na śnieg. Od wybuchu omal nie popękały mu bębenki. Strzały ucichły. Ross ponownie ruszył do przodu, strzelając w biegu. Przeskoczył czyjeś zwłoki i nagle skończyła mu się amunicja. Czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła, wyrwał stary magazynek, włożył nowy, zastrzelił faceta z pistoletem maszynowym i zatrzymał się.

Cisza. A potem krzyk gdzieś w pobliżu. Ostrożnie kopnął wyrwane z zawiasów drzwi i wbiegł na werandę. Facetowi, który do niego celował, oderwało nogi; żył, ale był półprzytomny. Za skórzanym pasem miał kukri, który należał do Guenga. Furia zaślepiła Rossa.

– Zdobyłeś to przy blokadzie? – zawołał w farsi, wyszarpując nóż z pochwy.

– Pomocy! Pomóż mi, pomóż! – Mężczyzna bełkotał przez chwilę w innym języku, a potem przerzucił się na farsi. – Kim jesteś? Kim jes... pomóż miii... tak, to ja zabiłem sabotażystę... pomóż mi...

Z mrozącym krew w żyłach krzykiem Ross ciął w dół. Gdy ustąpiła mgła, przesłaniająca mu oczy, zorientował się, że trzyma w lewej ręce oderzniętą głowę. Ogarnięty wstrętem upuścił ją i odwrócił się. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest, lecz potem rozjaśniło mu się w głowie. Czując w nozdrzach woń krwi i kordytu, rozejrzał się dookoła.

Baza była zdobyta, lecz biegli ku niej strażnicy z blokady na drodze. Pilot i mechanik leżeli w śniegu obok helikoptera. Ross ruszył ku nim, przypadając co chwila do ziemi.

Nogger Lane i mechanik Arberry wpadli w panikę widząc, jak się zbliża – szalony zarośnięty mudzahedin albo fedain, który mówił świetnie po angielsku i na ich oczach, wyjąc dziko, jednym pociągnięciem noża oderznął człowiekowi głowę. Ręce miał unurzane we krwi i wciąż zaciskał w ręce nóż; w drugiej ręce trzymał karabin, w pochwie miał jeszcze jeden nóż. Uklękli na śniegu i podnieśli ręce do góry.

– Nie zabijaj nas! Jesteśmy przyjaciółmi, cywilami, nie zabijaj nas...

– Zamknijcie się. Przygotujcie helikopter do startu! Szybko!

Nogger Lane oniemiał z wrażenia.

– Co takiego?

– Na litość boską, pośpieszcie się! – zawołał Ross, wściekły, że tak się na niego gapią. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, jak wygląda. – Ty! Widzisz to wzgórze? – zapytał mechanika, wskazując je nożem, który należał do Guenga.

– Tak... tak, proszę pana – wyjąkał Arberry.

– Tam jest kobieta... pobiegnij po nią, tak szybko jak możesz, i sprowadź tutaj... – Nagle przerwał widząc, że Azadeh wyszła na skraj lasu i zaczyna zbiegać do nich po zboczu. – Zapomnij o tym. Biegnij po drugiego mechanika, szybko, na litość boską, teskurwysyny z blokady zaraz tu będą. Ruszaj!

Arberry wykonał polecenie, bojąc się Rossa, ale jeszcze bardziej ludzi, którzy biegli ku nim drogą.

– Mówiłem, żebyś przygotował maszynę do startu – powiedział Ross, odwracając się do Lane'a.

– Tak, proszę pana... czy ta kobieta to nie Azadeh? Azadeh Erikkiego?

– Tak. Kazałem ci startować!

Nogger Lane nigdy jeszcze tak szybko nie przygotował dwieścieczłowieczki do lotu, mechanicy nigdy tak szybko się nie zwijali. Azadeh dzieliło od helikoptera sto jardów, nieprzyjaciel był zbyt blisko. Ross dał nurka pod obracającymi się łopatami wirnika, klnąc opróżnił magazynek i rzucił go w stronę napastników, którzy padli na ziemię. Po chwili kilka głów się podniosło. Kolejne dwie serie, oszczędnie, żeby zatrzymać ich w miejscu. Azadeh była coraz bliżej, ale zwalniała. Goniąc resztkami sił, minęła go i wciągnięta za ramiona przez mechaników, opadła na tylne siedzenie. Ross puścił ostatnią serię, wskoczył do środka i wzniesli się w powietrze.

## ROZDZIAŁ 15

### MIĘDZYNARODOWE LOTNISKO W TEHERANIE, GODZINA 11.58.

Drzwi kabiny stodwudziestkipiątki zamknęły się. Siedzący w kokpicie John Hogg pokazał uniesione kciuki Gavallanowi i McIverowi, którzy stali przy samochodzie, po czym odskołał na pas startowy. Gavallan właśnie przyleciał z Szardży i dopiero teraz miał okazję porozmawiać na osobności z McIverem.

– Co się dzieje, Mac? – zapytał.

Zimny wiatr szarpał ich palta i zawiewał śniegiem z zasp.

– Mamy kłopoty, Andy.

– Domyślam się. Powiedz szybko, o co chodzi.

McIver przysunął się do Gavallana.

– Właśnie dowiedziałem się, że został nam tylko tydzień do nacjonalizacji – mruknął.

– Co takiego? – Gavallan nagle zeszywniał. – Talbot ci powiedział?

McIver skrzywił się.

– Tak. – Ze zdenerwowania aż się jękał. – Sukinsyn oznajmił to z tą swoją fałszywą grzecznością. „Na pana miejscu nie liczyłbym na więcej niż dziesięć dni. Bezpieczniej będzie przyjąć, że ma pan tydzień. I niech pan pamięta, panie McIver, że do zamkniętych ust nie wpadają muchy”.

– Mój Boże... czy on coś wie o naszych planach?

Wiatr sypnął im śniegiem w oczy. Wsiedli do samochodu.

– Nie wiem. Po prostu nie wiem, Andy.

Szyby w środku były zaparowane. McIver uruchomił dmuchawę i odmrażanie tylnej szyby. Ogrzewanie było włączone na maksimum. Wsunął kasetę do magnetofonu, zwiększył siłę głosu, a potem zaklął i ściszył.

– Coś jeszcze nie tak, Mac?

– Właściwie wszystko – mruknął McIver. – Eriki został porwany przez Sowietów czy KGB i lata swoją dwieście dwunastką gdzieś w pobliżu granicy tureckiej, robiąc Bóg jeden wie co... Nogger uważa, że pomaga im plądrować tajne amerykańskie stacje radarowe. Noggerowi, Azadeh, dwóm naszym mechanikom i brytyjskiemu kapitanowi cudem udało się uciec z Tabrizu. Przylecieli tu wczoraj i są teraz w moim mieszkaniu... w każdym razie byli tam, kiedy rano wychodziłem. Mój Boże, Andy, powinieneś wiedzieć, w jakim stanie tu dotarli. Kapitan to ten sam facet, który uratował Charliego w Doszan Tapeh i poleciał z nim do Bandar-e Pahlavi...

– Po co?

– Jakaś tajna operacja. Służy w regimencie Gurkhów, nazywa się Ross, John Ross. On i Azadeh mówili coś od rzeczy, Nogger też był strasznie podekscytowany... cóż, najważniejsze, że są już

bezpieczni... – McIverowi zadrżał głos. – Przykro mi, ale straciliśmy w Zagrosie mechanika, Effera Jordona.

– Jezu Chryste! Stary Effer nie żyje?

– Tak... niestety... a twój syn został ranny. – Gavallan zbladł. – Ale niezbyt poważnie – dodał prędko McIver. – Scot czuje się dobrze...

– Co to znaczy „niezbyt poważnie”?

– Pocisk przeszedł przez mięśnie prawego ramienia. Kości nie zostały naruszone... To tylko powierzchowne draśnięcie. Jean Luc powiedział, że mają penicylinę i lekarza, rana jest czysta. Scot nie będzie mógł polecieć jutro dwieście dwunastką do Szardży, więc poprosiłem Jeana Luca, żeby zabrał go tam ze sobą i wrócił do Teheranu na pokładzie stowudziestki. Potem wyślemy go z powrotem do Kowissu.

– Jesteś pewien? Ze to tylko lekka rana?

– Tak, Andy. Jestem pewien.

– Jak to się, do diabła, stało?

– Nie wiem dokładnie. Starke przekazał mi dziś rano wiadomość od Jeana Luca. Wygląda na to, że w Zagrosie działają terroryści, ci sami, którzy zaatakowali szyby naftowe Belissima i Rosa. Zaczaili się w lesie niedaleko bazy. Effer Jordon i Scot ładowali przed świtem części zamienne do dwieście dwunastki i oberwali. Biedny Effer dostał prawie całą serię, Scot trafił tylko jeden pocisk... Jean Luc zapewnił mnie, że czuje się dobrze, Andy, jak Boga kocham! – dodał szybko McIver, widząc twarz Gavallana.

– Nie chodzi mi tylko o Scotą. Effer pracował u nas od samego początku... miał chyba trójkę dzieci?

– Tak, troje. To straszne. – McIver wrzucił bieg i ruszył po śniegu w stronę biura. – Chodzą do szkoły.

– Zajmę się nimi zaraz po powrocie.

Gavallan był wstrząśnięty. Na tyle pytań trzeba znaleźć odpowiedzi, wszystko wali się w gruzy, tutaj i w domu. Czy rzeczywiście został im tylko jeden tydzień? Dzięki Bogu, że Scot... biedny stary Effer... Chryste Wszchemogący, postrzelili Scotą! Ponuro spojrział przez przednią szybę i zobaczył, że zbliżają się do rejonu załadunkowego.

– Zatrzymaj się, Mac. Chcę porozmawiać jeszcze chwilę na osobności.

– Tak, przepraszam. Jestem trochę rozkojarzony.

– U ciebie wszystko w porządku? Mam na myśli zdrowie.

– Nie narzekam... gdybym jeszcze mógł się pozbyć tego kaszlu. Chodzi po prostu o to... chodzi po prostu o to, że się boję. – McIver mówił beznamiętnym tonem, ale Gavallana przeszły ciarki, gdy to usłyszał. – Nie panuję nad tym, co się dzieje. Straciłem już jednego człowieka, Erikki jest w niebezpieczeństwie, wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie: S-G i cały nasz tutejszy dorobek. – Zabębnił palcami po kierownicy. – Gen dobrze się czuje?

– Tak, dobrze – odparł cierpliwie Gavallan. Już drugi raz odpowiadał na to pytanie. McIver zadał mu je, gdy schodził po schodkach z samolotu. – Genny czuje się świetnie – oznajmił, powtarzając to, co powiedział już wcześniej. – Mam od niej list. Rozmawiała z Hamiszem i Sarah, u obu rodzin wszystko w porządku, a małemu Angusowi wyrzyna się pierwszy ząbek. W domu wszyscy zdrowi i w dobrej formie. Próbowaliśmy namówić Johnny’ego Hogga, żeby przemycił ją w toalecie stowudziestki, choć już wcześniej uprzedziłem, że przykro mi, ale to niemożliwe.

W teczce mam dla ciebie od niej butelkę loch vay.

Po raz pierwszy zobaczył na twarzy McIvera uśmiech.

– Gen to twarda sztuka, bez dwóch zdań. Cieszę się, że jest tam, a nie tutaj, bardzo się cieszę, choć z drugiej strony ciekawe, że człowiek tak za nimi tęskni. – McIver patrzył prosto przed siebie. – Dziękuję, Andy – dodał po chwili.

– Nie ma za co. – Gavallan przez chwilę się zastanawiał. – Jedźmy do miasta. Mamy dość czasu? Spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia pięć po dwunastej.

– Oczywiście – odparł McIver. – Mamy do załadowania mnóstwo „zbędnych” części. Jeśli teraz wyruszymy, śmiało zdążymy z powrotem.

– To dobrze. Chciałbym się spotkać z Azadeh, Noggerem... tym całym Rossem... a przede wszystkim z Talbotem. Po drodze możemy zajrzeć do domu Bakravana.

– Świetny pomysł. Cieszę się, że przyjechałeś, Andy, bardzo się cieszę.

McIver zwolnił sprzęgło i ruszyli z lekkim poślizgiem do przodu.

– Ja też, Mac. Prawdę mówiąc, nigdy jeszcze nie byłem w takich opałach – odparł Gavallan. W środku aż się w nim gotowało. – Co z operacją Tornado? – zapytał, nie mogąc dusić tego w sobie dłużej.

– W gruncie rzeczy siedem dni, czy siedemdziesiąt... – McIver skreślił gwałtownie, po raz kolejny unikając wypadku, po czym odwzajemnił wulgarny gest, który wykonał pod jego adresem irański kierowca. – Udawajmy, że wszystko jest uzgodnione, że jeśli chcemy, możemy nacisnąć guzik za siedem dni. Albo nie... Talbot powiedział, że lepiej nie liczyć na więcej niż tydzień, więc zrobmy to, powiedzmy, za sześć dni, za sześć dni od dzisiaj, czyli w piątek. Piątek i tak jest najlepszy, prawda?

– Owszem. Wtedy świętują. Też o tym pomyślałem.

– W takim razie zreasumujmy to, co powinniśmy zrobić, Charlie i ja. Faza pierwsza: od dziś wysyłamy stąd wszystkich obcokrajowców i wszystkie, jakie się da, części naszą stodwudziestkapiątką, ciężarówkami do Turcji i Iraku, bądź też jako bagaż samolotami British Airways. Załatwię z Billem Shoemithem więcej miejsc pasażerskich i pierwszeństwo przy załadunku. Wysłaliśmy już dwie dwieście dwunastki „do remontu”; następna, z Zagrosu, wylatuje jutro. W Teheranie zostanie nam pięć maszyn: jedna dwieście dwunastka, dwie dwieście szóstki, trzy alouette. Przerzucimy dwieście dwunastkę i trzy alouette do Kowissu, spełniając niby to żądanie Pana Szybkiego, który domaga się więcej helikopterów, choć Bóg jeden wie, do czego mu są potrzebne... Duke twierdzi, że te, które tam są, nie mają nic do roboty. Dla niepoznaki zostawimy tutaj dwieście szóstki.

– Chcesz je zostawić?

– Nie zdołamy odzyskać wszystkich maszyn, Andy, nawet gdybyśmy mieli więcej czasu. Na dwa dni przed dniem zero, to znaczy w środę, reszta naszego personelu, czyli Charlie, Nogger, pozostali mechanicy i piloci oraz ja wsiadamy do stodwudziestkapiątki i dajemy wszyscy nogę do Szardży, chyba że uda się wysłać kogoś wcześniej British Airways. Nie zapominaj, że teoretycznie personel ma pozostawać w pełnym składzie: jeden wyjeżdżający za jednego przyjeżdżającego. Następnie...

– Co z dokumentami i wizami wyjazdowymi?

– Spróbuję wyciągnąć od Alego Kii puste blankiety. Potrzebuję kilku szwajcarskich czeków in blanco. Faceta można przekupić, ale jest także członkiem rady nadzorczej, bardzo cwany, chciwym i niezbyt skorym do nadstawiania własnego karku. Jeśli mi się nie uda, wejdziemy na pokład stodwudziestkapiątki, torując sobie drogę łapówkami. Kiedy Kia albo któryś z innych współników

odkryje, że nas nie ma, poinformujemy go, że zwołałeś pilną konferencję w Szardży. To nędzna wymówka, ale nieważne. Na tym kończy się faza pierwsza. Jeśli nie dadzą nam wyjechać, odwołujemy całą operację, ponieważ użyją nas jako zakładników, żeby odzyskać wszystkie maszyny, a wiem, że nie spiszesz nas na straty. Faza druga: przenosimy...

– A co z wszystkimi twoimi meblami? I rzeczami ludzi, którzy mają mieszkania albo domy w Teheranie?

– Firma będzie musiała wypłacić uczciwe odszkodowanie. To wchodzi w rachunek zysków i strat całej operacji. Zgoda?

– Ile to będzie kosztowało, Mac?

– Niedużo. Nie mamy innego wyboru, musimy płacić.

– Dobrze, zgoda.

– Faza druga: przenosimy kwaterę główną do Szardży. Do tego momentu trzeba załatwić kilka rzeczy. W dniu zero minus jeden zamówisz do Szardży na popołudnie towarowe boeingi 747. Starke ukryje tymczasem gdzieś dostateczną liczbę czterdziestogalonowych beczek, żeby przewieźć je przez Zatokę. Ktoś inny ukryje beczki z paliwem na jakiejś zapomnianej przez Boga wyspie u wybrzeża Arabii Saudyjskiej albo Emiratów, dla Starke'a, gdyby ich potrzebował, oraz dla Rudiego i jego chłopaków z Bandar-e Daylam, którym na pewno będą potrzebne. Scrag nie ma problemów z paliwem. Ty załatwiasz brytyjską rejestrację dla wszystkich maszyn, które zamierzamy „wyeksportować”, oraz pozwolenie na przelot przez przestrzeń powietrzną Kuwejtu, Arabii Saudyjskiej i Emiratów. Ja zarządzam całą operacją. O świcie w dniu zero mówisz mi, czy ruszamy, czy nie. Jeśli nie, decyzja jest ostateczna. Jeśli tak, ja również mogę odwołać rozkaz, o ile uznam, że tak będzie rozsądniej. Ta decyzja też jest ostateczna. Zgoda?

– Dwa zastrzeżenia, Mac. Zanim ty albo ja odwołamy operację, konsultujemy się ze sobą. Po drugie, jeśli nie uda nam się w dniu zero, próbujemy ponownie w dniu zero plus jeden i zero plus dwa.

– Dobrze. – Mac wziął głęboki oddech. – Faza trzecia: o świcie w dniu zero, zero plus jeden bądź też zero plus dwa... moim zdaniem nie możemy zwlekać dłużej niż trzy dni... nadajemy przez radio zaszyfrowany sygnał do odlotu. Trzy bazy potwierdzają go i wszystkie helikoptery natychmiast startują, kierując się do Szardży. Między przylotem Scraga i ostatniej załogi, prawdopodobnie Starke'a, powinny upłynąć cztery godziny... jeśli wszystko pójdzie dobrze. Kiedy tylko maszyny znajdą się poza Iranem, zmieniamy ich irańskie numery na brytyjskie i to daje nam przynajmniej pozory legalności. Po wylądowaniu helikopterów w Szardży ładujemy je do boeingów, które razem z całym naszym personelem odlatują w siną dal. – McIver wypuścił z płuc powietrze. – To proste.

Gavallan nie odpowiedział od razu. Analizował wszystkie słabe punkty operacji, liczne niebezpieczeństwa, na jakie byli narażeni.

– To dobry plan, Mac – stwierdził w końcu.

– Nie, Andy, wcale nie jest dobry.

W APARTAMENCIE McIVERA, 16.20.

– Nie wiem, panie Gavallan – mówił Ross. – Nie pamiętam zbyt wiele od momentu, kiedy zostawiłem Azadeh na wzgórzu i zszedłem do bazy, aż do przyjazdu tutaj. – Miał na sobie jedną z mundurowych koszul Pettikina, czarny sweter, czarne spodnie i czarne buty. Był ogolony i umyty, lecz na jego twarzy malowało się skrajne wyczerpanie. – Ale przedtem wszystko odbyło się... tak jak



powiedziałem.

– To straszne – skomentował Gavallan. – Lecz dziękuję Bogu, że pana zesłał. Gdyby nie pan, wszyscy by zginęli. Bez pana nie daliby rady. Napijmy się, zimno tu jak w psiarni. Mamy trochę whisky. – Odwrócił się do Pettikina. – Charlie?

Pettikin podszedł do kredensu.

– Jasne, Andy.

– Ja dziękuję, panie McIver – powiedział Ross.

– A ja chętnie się napiję, choć słońce nie zaszło jeszcze za reję – mruknął McIver.

– Ja też – oznajmił Gavallan.

Obaj przyjechali niedawno, zaniepokojeni, ponieważ w domu Szarazad nikt im nie otworzył, mimo że walili długo w drzwi żelazną kołatką. Kiedy weszli do mieszkania McIvera, drzemiący na sofie Ross zerwał się na nogi, grożąc im zaciśniętym w rękę kukri.

– Przepraszam – bąknął po chwili, chowając broń.

– Nic się nie stało – zbagatelizował sprawę Gavallan. – Jestem Andrew Gavallan. Cześć, Charlie. Gdzie jest Azadeh?

– Śpi w gościnnej sypialni – odparł Pettikin.

– Przepraszam, że pana obudziliśmy – powiedział Gavallan. – Co się wydarzyło w Tabrizie, kapitanie?

Ross opowiedział im chaotycznie, gubiąc wątek, wybiegając do przodu i cofając się. Wyrwany z głębokiego snu, z trudem zbierał myśli. Bolała go głowa i całe ciało, ale cieszył się, że może opowiedzieć, co się wydarzyło, zrekonstruować bieg wypadków, stopniowo wypełnić luki w pamięci, umieścić we właściwych miejscach fragmenty układanki. Z wyjątkiem Azadeh. Nie, dla niej nie znalazł jeszcze odpowiedniego miejsca.

Rankiem obudził się przerażony z niespokojnej drzemki. Wszystko mu się pomieszało: ryk silników, strzały, kamienie, huk eksplozji, przejmujące zimno. Spoglądał na swoje dłonie, próbując ustalić, co jest snem, co jawą. A potem zobaczył wpatrującego się weń mężczyznę.

– Gdzie jest Azadeh? – krzyknął.

– Wciąż śpi, kapitanie Ross, w sypialni przy końcu korytarza – odparł, uspokajając go, Pettikin. – Pamięta mnie pan? Jestem Charlie Pettikin... Doszan Tappeh...

Ross natężył pamięć. Wracały do niego powoli obrazy, potworne obrazy. Dużo rzeczy nie pamiętał. Doszan Tappeh? Co się zdarzyło w Doszan Tappeh? Miał stamtąd polecieć helikopterem i...

– Ach tak, kapitanie, jak się pan miewa? Miło pana widzieć. Mówi pan, że ona śpi?

– Tak, jak niemowlę.

– Niech śpi. To dla niej najlepsze – stwierdził Ross, nieco rozkojarzony.

– Najpierw filiżanka herbaty. Potem niech pan się wykąpie i ogoli. Dam panu jakieś ubranie i przybory do golenia. Jest pan mniej więcej mojego wzrostu. Głodny pan? Mamy jajka i trochę czerstwego pieczywa.

– Nie, dziękuję, nie jestem głodny. Bardzo pan uprzejmy.

– Jestem w końcu pańskim dłużnikiem... Cholernie się cieszę, że pana widzę. Mam wielką ochotę dowiedzieć się, co się stało... ale McIver pojechał na lotnisko po naszego szefa Andy'ego Gavallana i zaraz tu się pojawią. Będzie pan im musiał wszystko opowiedzieć i wtedy się dowiem. A tymczasem żadnych pytań. Musi pan być skonany.

– Dziękuję... rzeczywiście... rzeczywiście trudno mi się skupić. Pamiętam, że zostawiłem Azadeh na wzgórzu, a potem prawie nic, tylko jakieś przebłyski, jak we śnie, aż do czasu kiedy się przed chwilą obudziłem. Długo spałem?

– Szesnaście godzin. My, to znaczy Nogger i dwóch mechaników, pomogliśmy wam wejść na górę i oboje padliście jak nieżywi. Ja i Mac ułożyliśmy pana i Azadeh do snu jak dzieci. Rozebraliśmy was, obmyliśmy z brudu, zataszczyliśmy do łóżek... swoją drogą niezbyt delikatnie... ale żadne z was się nie ocknęło.

– Czy Azadeh dobrze się czuje?

– Tak. Zaglądałem do niej kilka razy, ale śpi jak kamień. Co zrobiliście... ale przepraszam, żadnych pytań! Najpierw niech pan się ogoli i wykąpie. Woda jest niestety zaledwie letnia, ale wstawiłem do łazienki elektryczny piecyk, więc jakoś pan wytrzyma...

Ross obserwował teraz Pettikina, który podawał whisky McIverowi i Gavallanowi.

– Na pewno się pan nie poczęstuje, kapitanie?

– Nie, dziękuję.

Ross potarł machinalnie prawy nadgarstek. Wciąż dawało mu się we znaki zmęczenie. Gavallan zauważył to i zorientował się, że zostało mu niewiele czasu.

– Co się tyczy Erikkiego... Może pamięta pan coś, co pomogłoby nam ustalić, gdzie się teraz znajduje?

– Nic poza tym, co już powiedziałem. Może będzie wam mogła pomóc Azadeh. Sowiet nazywa się chyba Certaga. To z nim Erikki musiał latać w pobliżu granicy. Jak już mówiłem, posłużyli się Azadeh, żeby zmusić go do uległości. Były jakieś komplikacje z jej ojcem i podróżą, którą zamierzali odbyć... przepraszam, ale nie pamiętam zbyt dobrze. Drugi Sowiet, ten, który przyjaźni się z Abdollah-chanem, nazywa się Mzytryk, Petr Oleg Mzytryk.

To nazwisko przypomniało Rossowi zaszyfrowaną wiadomość, którą Vien Rosemont przekazał chanowi, ale uznał, że nie powinno to obchodzić Gavallana. Podobnie jak zabójstwa, wepchnięcie starszego mężczyzny pod ciężarówkę i to, że pewnego dnia wróci do tamtej wioski i poderżnie gardła rzeźnikowi i kalendarowi, którzy, gdyby nie pomoc zesłana przez Boga albo duchy Wysokich Gór, ukamienowaliby ją i okaleczyli jego. Zrobi to po zdaniu raportu Talbotowi lub amerykańskiemu pułkownikowi, ale przedtem jeszcze zapyta ich, kto zdradził operację w Mekce. Ktoś musiał to zrobić. Pomyślał o Rosemoncie, Tenzingu i Guengu i oczy zaszyły mu mgłą. Kiedy ustąpiła, spojrzał na stojący na kominku zegar.

– Muszę się zgłosić w pewnym miejscu niedaleko ambasady brytyjskiej – powiedział. – Czy to daleko stąd?

– Nie. Jeśli pan chce, możemy pana zabrać. – Gavallan zerknął na McIvera. – Chodźmy już, Mac... może uda mi się złapać Talbota. Potem zdążymy jeszcze tu wrócić i porozmawiać z Azadeh i Noggerem, jeśli się pojawi.

– Dobry pomysł.

– Czy możemy już jechać? Przepraszam, ale boję się, że jeśli się nie pośpieszymy, znowu zmorzy mnie sen.

Gavallan wstał i włożył ciepłe palto.

– Pożyczę panu płaszcz i jakieś rękawiczki – powiedział Pettikin do Rossa. Zobaczył, że oczy kapitana pobiegły w głąb korytarza. – Chce pan, bym obudził Azadeh?

– Nie... nie trzeba. Zajrzę tylko do środka.

– Drugie drzwi z lewej.

Patrzyli, jak zwinnie niczym kot idzie korytarzem, otwiera bezszelestnie drzwi, stoi przez kilka sekund w progu i zamyka je. Ross wziął karabin i dwa noże, swój i Guenga, a potem po krótkim wahaniu zostawił swój na kominku.

– Gdybym nie wrócił – oświadczył – powiedzcie jej, że to prezent, prezent dla Erikkiego. Dla Erikkiego i dla niej.

W PAŁACU CHANA, 17.20

Kalandar wioski Abu Mard klęczał przed chanem półżywy ze strachu.

– Nie, nie, Wasza Wysokość, przysięgam, to mułła Mahmud kazał nam...

– To nie był prawdziwy mułła, psi synu, wszyscy o tym wiedzą! Na Boga! Ty chciałeś ukamienować moją córkę?! – ryknął chan. Na twarz wystąpiły mu czerwone plamy i z trudem oddychał. – Ty podjąłeś taką decyzję? Ty zdecydowałeś, że ukamienujecie moją córkę?

– To on, Wasza Wysokość – wyszeptał kalendar. – To mułła zdecydował, kiedy ją przesłuchał i przyznała się do cudzołóstwa z sabotażystą...

– Ty psi synu! Współdziałałeś z tym fałszywym mułłą i pomagałeś mu... Kłamco! Ahmed powiedział mi, co zaszło.

Abdollah oparł się o poduszki. Jeden ze strażników stał za nim, pozostali wraz z Ahmedem obok klęczącego kalendar. Najstarsza córka chana, Nadżoud, i jego młoda żona, Aisza, siedziały z boku, starając się ukryć przerażenie i bojąc się, że gniew Abdollaha zwróci się przeciwko nim. Przy drzwiach klęczał w przybrudzonym podróżnym ubraniu Hakim, brat Azadeh, który dopiero co przybył, został doprowadzony pod strażą przed oblicze ojca i z podobną jak on wściekłością wysłuchał opowieści Ahmeda o tym, co zdarzyło się w wiosce.

– Ty psi synu! – wrzasnął ponownie chan, tocząc ślinę z ust. – Pozwoliłeś uciec temu psu, sabotażyście... pozwoliłeś mu porwać moją córkę... udzieliłeś pomocy sabotażyście, a potem ośmieliłeś się sądzić członka mojej... MOJEJ... rodziny! I gotów byłeś ukamienować ją bez mojej... MOJEJ... zgody?

– To mułła... – powtórzył po raz setny kalendar.

– Uciszcie go!

Ahmed uderzył mocno wieśniaka w ucho, na chwilę go ogłuszając.

– Powiedz jeszcze słowo, a utnę ci język – syknął, podnosząc go z powrotem na kolana.

Chan próbował złapać oddech.

– Aisza... daj mi... daj mi jedną z tych... tych tabletek.

Aisza przysunęła się do niego na klęczkach, otworzyła buteleczkę, włożyła tabletkę do ust męża, otarła je chusteczką, a chan wsunął ją zgodnie z zaleceniem lekarza pod język. Po chwili spazm minął, huczenie w uszach ucichło i sala przestała się kołysać. Nabiegłe krwią oczy ponownie spoczęły na starszym mężczyźnie, który trząsał się ze strachu, nie mogąc opanować łkania.

– Ty psi synu! Więc ośmieliłeś się kasać rękę swego pana... ty, twój rzeźnik i cała wioska. Ibrim – zwrócił się do jednego ze strażników. – Zabierz go do Abu Mard i ukamienuj. Każ ukamienować go wieśniakom. I utnij rzeźnikowi rękę.

Ibrim z pomocą innego strażnika postawili na nogi i uciszyli kilkoma uderzeniami zawodzącego kalendar, po czym powlekli go do drzwi.

– A potem spalcie wioskę! – odezwał się chrapliwym głosem Hakim i dwaj strażnicy zatrzymali

się w progu.

Chan zmrużył oczy i spojrzał na syna.

– Tak, potem spalcie wioskę – oznajmił, nie spuszczać oczu z Hakima, który odwzajemnił odważnie jego spojrzenie.

Drzwi zamknęły się i zapadła cisza, w której słychać było tylko ciężki oddech Abdollaha.

– Nadzoud, Aisza, wyjdźcie – polecił.

Nadzoud zawahała się. Nie chciała wychodzić, chciała usłyszeć wyrok wydany na Hakima. Radowało ją to, że Azadeh przyłapano na nierządzie i że teraz nie uniknie kary. To wspaniale, wspaniale. A razem z Azadeh zginą Hakim i Człowiek z Nożem.

– Będę czekała na twoje wezwanie, Wasza Wysokość – powiedziała.

– Możesz wracać do siebie. Aisza, ty zaczekaj w korytarzu.

Obie kobiety wyszły. Ahmed zamknął za nimi drzwi, zadowolony, że wszystko odbywa się zgodnie z planem. Dwaj inni strażnicy czekali w milczeniu. Chan uniósł się z trudem na posłaniu i dał im znak głową.

– Zaczekajcie na zewnątrz. Ahmed, zostań.

Kiedy wyszli i w wielkiej chłodnej sali zostały tylko trzy osoby, spojrzenie chana ponownie spoczęło na Hakimie.

– Spalcie wioskę, powiedziałaś. Świetna myśl. Nie usprawiedliwia to jednak dopuszczenia się zdrady przez ciebie ani przez twoją siostrę.

– Nic nie usprawiedliwia zdrady wobec własnego ojca, Wasza Wysokość, lecz ani Azadeh, ani ja nie zdradziliśmy cię i nie spiskowaliśmy przeciw tobie.

– Kłamiesz! Słyszałeś, co mówił Ahmed. Przyznała się do cudzołóstwa z sabotażystą, sama się do tego przyznała.

– Przyznała się do tego, że go kochała, Wasza Wysokość, że kochała go przed wielu laty. Przysięgła przed Bogiem, że nigdy nie popełniła cudzołóstwa ani nie zdradziła swojego męża. Nigdy! Co miała mówić córka chana, stojąc przed tymi psami i psimi synami i, co gorsza, przed mułłą Lewej Ręki? Czyż nie próbowała bronić twojego imienia przed tym bezbożnym motłochem?

– Przekręcasz słowa? Usiłujesz ją chronić, choć stała się dziwką?

Hakim zrobił się szary jak popiół.

– Azadeh zakochała się, podobnie jak zakochała się moja matka. Jeśli jest dziwką, w takim razie ty zrobiłeś dziwkę z mojej matki!

Krew napłynęła ponownie chanowi do twarzy.

– Jak śmiesz mówić coś podobnego?

– To prawda. Sypiałeś z nią, zanim wzięliście ślub. Kochała cię i ryzykując własne życie, wpuściła cię do swojej sypialni. Narząła się tak bardzo, bo cię kochała i dlatego, że ją o to błagałeś. Czyż nasza matka nie przekonała swego ojca, żeby cię zaakceptował, i nie namówiła twojego ojca, by pozwolił poślubić ją tobie, a nie twojemu bratu, który chciał ją pojąć jako drugą żonę?

Hakimowi załamał się głos. Pamiętał, jak matka konała, kiedy miał siedem, a Azadeh sześć lat. Niewiele wtedy rozumieli poza tym, że odczuwa straszliwy ból, wywołany przez coś, co nazywa się „tumor”, a na zewnątrz na dziedzińcu rozpacza ich ojciec Abdollah.

– Czyż nie popierała cię zawsze w sporze z twoim ojcem i starszym bratem, a potem, gdy brat zginął i ty zostałeś dziedzicem rodu, czyż nie doprowadziła do ugody z twoim ojcem?

– Nie wolno ci... nie możesz wiedzieć takich rzeczy... byłeś zbyt młody!

– Opowiedziała nam o tym stara niania Fatma, zanim umarła. Opowiedziała wszystko, co zapamiętała.

Chan prawie go nie słuchał. On też wrócił myślami w przeszłość. Pamiętał wypadek brata na polowaniu, tak sprytnie przez niego sprokurowany. Stara niania mogła o tym wiedzieć, a jeśli tak, wiedzieli o tym również Hakim i Azadeh. To kolejny powód, żeby zamknąć im usta. Pamiętał także wszystkie czarowne chwile z Naphtalą, przed ślubem i po nim, aż do czasu gdy zaczęły się pierwsze symptomy choroby. Byli małżeństwem od niespełna roku, kiedy urodził się Hakim. Rok później przysłała na świat Azadeh. Naphtalą miała wtedy ledwie szesnaście lat, drobna, fizycznie podobna do Aiszy, ale tysiąc razy piękniejsza, z długimi włosami niczym złota przędza. Czekali ich jeszcze pięć niebiańskich lat, bez dzieci, ale to było bez znaczenia. Czyż nie miał wreszcie mocnego i dzielnego syna? Trzej synowie pierwszej żony urodzili się chorowici i mieli wkrótce umrzeć, a cztery córki były brzydkie i kłótniwe. Czyż Naphtalą nie miała zaledwie dwudziestu dwóch lat, nie cieszyła się dobrym zdrowiem i nie była tak samo silna i piękna jak dwójka dzieci, które urodziła? Mieli mnóstwo czasu na kolejnych synów.

A potem zaczęły się bóle. I agonia. Lekarze w Teheranie nie byli w stanie jej pomóc.

InszAllah, mówili.

Ulgę dawały tylko narkotyki, coraz mocniejsze, w miarę jak Naphtala marniała w oczach. Boże, daj jej wieczny odpoczynek w raju i pozwól, bym ją tam odnalazł. Patrzył na syna, widząc w jego twarzy rysy Azadeh, która odziedziczyła urodę po matce.

– Azadeh po prostu się zakochała, Wasza Wysokość – mówił Hakim. – Skoro kochała tego człowieka, możesz jej chyba wybaczyć. Miała tylko szesnaście lat i wygnano ją do tej szwajcarskiej szkoły, tak jak potem mnie wygnano do Choju.

– Oboje jesteście zdraźnieccy, niewdzięczni i ziejecie jadem – zawołał chan. Znowu zaczęło mu huczeć w uszach. – Precz stąd! Będziesz pozostawał w odosobnieniu, pod strażą, aż po ciebie poślę. Ahmed, dopilnuj tego i wróć tutaj.

Hakim wstał bliski łez. Wiedział, co go czeka, lecz nie potrafił temu zapobiec. Potykając się wyszedł. Ahmed wydał niezbędne polecenia strażnikom i wrócił na salę. Oczy chana były zamknięte, twarz szara jak popiół, oddech bardziej chrapliwy niż przedtem. Boże, spraw, żeby jeszcze nie umarł, pomyślał Ahmed.

Chan otworzył oczy i spojrzał na swego doradcę.

– Muszę podjąć decyzję w sprawie Hakima. Szybko.

– Ma pan tylko dwóch synów, jego i niemowlaka, Wasza Wysokość – odparł Ahmed, starannie dobierając słowa. – Jeśli Hakim umrze albo... – w tym momencie dziwnie się uśmiechnął – straci wzrok i stanie się kaleką, regentem zostanie Mahmud, mąż Jej Wysokości Nadzoud...

– Ten dureń? Po roku stracilibyśmy wszystkie nasze ziemie i wpływy! – Na twarzy chana pojawiły się czerwone plamy. Nie był w stanie racjonalnie myśleć. – Daj mi jeszcze jedną tabletkę.

Ahmed zrobił to i dał mu wodę do popicia.

– Wszystko jest w rękach Boga, Wasza Wysokość. Na pewno wróci pan do zdrowia.

– Nie martw się – mruknął chan, czując ból w piersi. – Bóg chciał, żeby mułła zginął dokładnie wtedy, kiedy było trzeba... to dziwne. Petr Oleg dotrzymał umowy... chociaż mułła zginął za szybko... o wiele za szybko.

– Tak, Wasza Wysokość.

Po chwili ból minął.

– Co... co radzisz w sprawie Hakima?

Ahmed udał, że się zastanawia.

– Pański syn Hakim jest dobrym muzułmaninem, szybko się uczy, dobrze zarządzał pańskimi interesami w Choju i nie uciekł, choć mógł to zrobić. Nie jest gwałtownym człowiekiem, chyba że występuje w obronie swojej siostry. Ale to ważne, gdyż dzięki temu można go kontrolować. Niech pan go zrobi swoim spadkobiercą, Wasza Wysokość... – dodał cicho, przysuwając się bliżej.

– Nigdy!

– Pod warunkiem że przysięgnie na Boga, że będzie bronił młodszego brata tak samo, jak broni siostry. I że siostra wróci natychmiast z własnej woli do Tabrizu. Prawdę mówiąc, Wasza Wysokość, nie ma przeciwko nim konkretnych dowodów. Wszystko to były tylko pogłoski. Proszę mi pozwolić dowiedzieć się prawdy. Wtedy zdam panu w tajemnicy raport.

Chan starał się skoncentrować, słuchając uważnie, choć wysiłek bardzo go wyczerpywał.

– Więc brat ma być przynętą, na którą złapiemy siostrę? Tak jak ona była przynętą, żeby złapać jej męża?

– Każde z nich jest przynętą, na którą można złapać drugie! Tak, Wasza Wysokość, wymyślił pan to wcześniej ode mnie. W nagrodę za przywrócenie brata do łask, ona musi przysiąc przed Bogiem, że zostanie tu, żeby mu pomóc.

– Zrobi to. Tak, na pewno to zrobi!

– Wtedy będzie pan miał oboje w ręku i będzie mógł bawić się nimi, okazując im swoją łaskę albo, jeśli taki będzie pański kaprys, cofając ją bez względu na to, czy są winni, czy nie.

– Są winni!

– Jeśli są winni, a pan da mi wszelkie pełnomocnictwa, szybko się tego dowiem. Wtedy wołaj Boga, aby umarli powoli, a pan ogłosi swoim następcą męża Fazulii, który nie jest wiele lepszy od Mahmuda. A jeśli nie są winni, wtedy spadkobiercą niech zostanie Hakim pod warunkiem, że ona tu wróci. I jeśli z woli Boga owdowieje, wyjdzie za mężczyznę, którego Wasza Wysokość jej wybierze. Zrobi wszystko, żeby tylko Hakim został pańskim następcą.

Abdollah westchnął, zatopiony w myślach. Ogarnęło go zmęczenie.

– Teraz trochę się prześpię. Przyślij z powrotem strażnika, a kiedy zjem wieczorny posiłek, każ zgromadzić się tutaj całej mojej „oddanej” rodzinie i zrobimy tak, jak proponujesz. – Na jego ustach ukazał się cyniczny uśmiech. – Mądrze jest nie mieć złudzeń – dodał.

– Tak jest, Wasza Wysokość.

Ahmed wstał. Chan pozazdrościł mu nagle zwinnego silnego ciała.

– Zaczekaj, chciałem cię o coś jeszcze zapytać. – Abdollah zastanawiał się przez chwilę, dziwiąc się, jak wiele kosztuje go to trudu. – A tak... gdzie jest Człowiek z Nożem?

– Z Cimtargą, niedaleko granicy, Wasza Wysokość. Cimtarga wspomniał, że może ich nie być przez kilka dni. Wylecieli we wtorek w nocy.

– We wtorek? A jaki jest dziś dzień?

– Sobota, Wasza Wysokość – odparł Ahmed, starając się ukryć niepokój.

– No tak, sobota. – Chan poczuł kolejną falę zmęczenia. Skóra twarzy wydawała mu się dziwnie obca i chciał ją rozmasować, ale zabrakło mu sił. – Dowiedz się, gdzie on jest, Ahmed. Jeśli coś się zdarzy... jeśli będę miał kolejny atak... dopilnuj, żeby natychmiast przewieźli mnie do Teheranu, do Szpitala Międzynarodowego. Natychmiast. Rozumiesz?

– Tak jest, Wasza Wysokość.

– Dowiedz się, gdzie on się znajduje... i przez następne kilka dni nie pozwól mu opuszczać pałacu. Bez względu na to, co powie Cimtarga. Człowiek z Nożem ma być w pałacu.

– Tak, Wasza Wysokość.

Kiedy do sali wrócił strażnik, chan zamknął oczy. Miał wrażenie, że zapada się w otchłań.

– Nie ma innego Boga prócz Boga... – mruknął, bardzo się bojąc.

NIEDALEKO PÓŁNOCNEJ GRANICY, NA WSCHÓD OD DŻULFY, 18.05.

Zbliżał się zmierzch. Dwieściedwunastka stała pod prymitywnym, naprędcie skleconym daszkiem, na którym po wczorajszej zamieci leżało trzydzieści centymetrów śniegu. Erikki wiedział, że pozostawiony na mrozie helikopter nie będzie się wkrótce do niczego nadawał.

– Nie możecie mi dać jakichś koców albo słomy, żebym mógł go okryć? – zapytał szejka Bajazida, gdy przed dwoma dniami wrócili z Rezaije ze zwłokami starej kobiety. – Śmigłowiec lubi niskich temperatur.

– Nie mamy dość okryć dla ludzi.

– Jeśli zamarznie, nie uruchomię go – odparł Erikki. Niepokoiło go, że szejk nie pozwolił mu natychmiast odlecieć do oddalonego zaledwie o sześćdziesiąt mil Tabrizu. Zamartwiał się o Azadeh i zastanawiał, co stało się z Rossem i Guengiem. – A jeśli go nie uruchomię, jak wydostaniemy się z tych gór?

Szejk, choć niechętnie, nakazał swoim ludziom wybudować daszek i dał trochę kozłich i owczych skór, którymi Erikki okrył kadłub w najbardziej wymagających tego miejscach. Wczoraj, zaraz po świcie, chciał odlecieć. Ku jego konsternacji Bajazid oznajmił, że będzie domagać się okupu za śmigłowiec i pilota.

– Może pan być grzeczny, kapitanie, chodzić po wiosce pod eskortą strażnika i majstrować przy swoim helikopterze – stwierdził krótko – albo może być niegrzeczny i wpaść w szal, a wtedy zwiążemy pana jak dziką bestię. Nie szukam kłopotów, kapitanie, i nie chcę się kłócić. Poprosimy o okup Abdollah-chana.

– Mówiłem wam już, że on mnie nienawidzi i na pewno nie zapłaci...

– Jeśli odmówi, zwrócimy się o okup do kogoś innego. Do pańskiej firmy w Teheranie, do pańskiego rządu... może nawet do pańskich sowieckich pracodawców. Tymczasem może pan tu przebywać jako gość, jedząc to, co my, i śpiąc razem z nami. Albo leżąc związany i głodny. Tak czy owak, nie wyleci pan aż do chwili, kiedy dostaniemy okup.

– Ale to może potrwać parę miesięcy, a ja...

– InszAllah!

Przez cały wczorajszy dzień i połowę nocy Erikki starał się wymyślić jakieś wyjście z pułapki. Zabrali mu granat, ale zostawili nóż. Strażnicy byli czujni i stale go pilnowali. Przy tym śniegu zejście do doliny w lotniczych butach i bez zimowego ubrania było prawie niemożliwe, a nawet gdyby to zrobił, w dalszym ciągu znajdowałby się we wrogim kraju. Do Tabrizu miał zaledwie pół godziny lotu helikopterem, ale kilka dni na piechotę.

– W nocy znowu spadnie śnieg, kapitanie.

Erikki obejrzał się. Bajazid stał krok za nim; nie usłyszał, jak się zbliża.

– Jeszcze kilka dni takiej pogody i moja maszyna, mój helikopter, nie odleci. Wyczerpią się akumulatory, przestanie działać większość przyrządów. Muszę go uruchomić, żeby doładować

akumulator i rozgrzać silniki. Kto da okup za złom, którego nie można będzie zabrać z tych gór?

Bajazid przez chwilę się zastanawiał.

– Ile czasu muszą pracować silniki? – zapytał.

– Co najmniej przez dziesięć minut dziennie.

– Dobrze. Codziennie po zmierzchu możesz je uruchomić, ale najpierw musisz mnie zapytać.

Pomożemy ci wytoczyć helikopter, a kiedy włączysz silniki, będziemy w ciebie celowali z pięciu karabinów. Żeby cię przypadkiem nie skusiło.

Erikki roześmiał się.

– W takim razie nic mnie nie skusi.

– Świetnie.

Bajazid uśmiechnął się. Gdyby nie zepsute zęby, byłby przystojnym mężczyzną.

– Kiedy wyślecie wiadomość do chana? – zapytał Erikki.

– Już ją wysłałem. Przy tym śniegu dotarcie do szosy zajmuje cały dzień nawet konnemu posłańcowi. Ale potem do Tabrizu jest już całkiem niedaleko. Jeśli chan udzieli odpowiedzi od razu, otrzymamy ją jutro albo pojutrze. Zależy od tego, ile napada śniegu.

– A może nigdy. Jak długo masz zamiar czekać?

– Czy wszyscy ludzie z Dalekiej Północy są tacy niecierpliwi?

Erikki wysunął do przodu podbródek.

– Nasi starożytni bogowie byli bardzo niecierpliwi, gdy przetrzymywano ich wbrew woli; odziedziczyliśmy to po nich. Źle jest trzymać kogoś wbrew jego woli, bardzo źle.

– Jesteśmy biednymi ludźmi i trwa wojna. Musimy brać to, co daje nam Jedyne Bóg. Branie okupu to starodawny zwyczaj. – Bajazid lekko się uśmiechnął. – Od Saladyna nauczyliśmy się traktować po rycersku naszych więźniów. W przeciwieństwie do wielu chrześcijan, którzy nie są znani z rycerskości, traktujemy ich... – Nagle przerwał. Słuch i wzrok miał lepszy od Erikkiego. – Tam... w dolinie!

Erikki również usłyszał warkot silnika, ale dopiero po chwili ujrzał lecący z północy, pomalowany na barwy ochronne helikopter.

– To sowiecki wojskowy śmigłowiec bliskiego wsparcia. Co on tutaj robi?

– Leci do Dżulfy. – Szejek splunął na ziemię. – Te psie syny przylatują i odlatują, kiedy im się podoba.

– Dużo ich teraz lata?

– Nie, ale nawet jeden to za dużo.



**NIEDZIELA**

## ROZDZIAŁ 16

### PÓLNOCNE PRZEDMIEŚCIA TEHERANU, GODZINA 21.14.

Azadeh pędziła małym poobijanym samochodem, naciskając co chwila klakson i oślepiając jadących z naprzeciwka długimi światłami. Przy ulicy, którą jechała, stały eleganckie wille i bloki mieszkalne – w większości puste i ciemne, niektóre zdewastowane. Nagle przyhamowała i, o włos unikając wypadku, skręciła z piskiem opon do garażu pod jednym z budynków.

W garażu było ciemno. Azadeh wyjęła z kieszeni latarkę, włączyła ją, wysiadła z samochodu i zamknęła drzwiczki. Ubrana była w eleganckie ciepłe palto, spódnicę, botki, futrzane rękawiczki i czapkę, spod której wystawały włosy. Po drugiej stronie garażu przy schodach był kontakt. Kiedy go wcisnęła, najbliższa żarówka rozjarzyła się na chwilę i zgasła. Ruszyła po schodach. Na każdym piętrze były cztery mieszkania. Apartament, który ojciec przeznaczył dla niej i Erikiego, znajdował się na trzecim piętrze od ulicy.

– Nic mi nie grozi, Mac – stwierdziła, gdy McIver starał się przekonać ją, żeby została w jego mieszkaniu. – Jeśli ojciec każe mi wrócić do Tabrizu, fakt, że mieszkam u ciebie, nic mi nie pomoże. Apartament jest tylko pół mili stąd, w zasięgu krótkiego spaceru. Mam tam telefon, stroje i służącego. Będę codziennie telefonowała i zachodziła do biura. Nie pozostaje mi nic innego jak czekać.

Nie powiedziała, że woli nie mieszkać razem z nim i Pettikinem. Bardzo obu lubię, pomyślała, ale nie da się ich porównać z Erikim. Albo Johnnym. Och, Johnny, jak mądrze postąpiłeś, wynosząc się od Maca. Ale wciąż jesteś tak blisko, twoja ambasada jest tak blisko. Co mam zrobić? Czy ośmielę się znów z tobą zobaczyć?

Na trzecim piętrze było ciemno, ale miała latarkę. Znalazła klucz, włożyła go w zamek i nagle poczuła, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się przerażona. Jakiś śniady nie ogolony prostak z rozpiętym rozporkiem wymachiwał przed nią swoim członkiem.

– Czekałem na ciebie, księżniczko wszystkich kurew. Niech Bóg mnie skarzę, jeśli nie przelecę cię od przodu, od tyłu i z boku...

Mężczyzna ruszył w jej stronę, wygadując sprośności. Azadeh oparła się plecami o drzwi, a potem sięgnęła za siebie, przekręciła klucz w zamku i otworzyła je. W mieszkaniu był doberman. Mężczyzna zastygł w bezruchu. Rozległ się złowrogi pomruk i pies zaatakował. Napastnik wrzasnął ze strachu. Próbował odepchnąć od siebie dobermana, a potem rzucił się do ucieczki. Pies pognął za nim po schodach, warcząc, gryząc go po nogach i plecach, szarpiąc ubranie.

– Teraz mi go pokaż! – krzyknęła za nim Azadeh.

– Och, Wasza Wysokość, nie słyszałem pukania, co się dzieje? – zawołał stary służący, wybiegając z kuchni.

Azadeh otarła z gniewem pot z twarzy.

– Niech Bóg cię pokarze, Ali, czyż nie powtarzałam ci dwadzieścia razy, żebyś czekał na mnie na

dole z psem? Wracam punktualnie, zawsze wracam punktualnie. Czy nie masz ani krztyny oleju w głowie?

Stary zaczął przeproszać, ale nagle przerwał mu czyjś grubiański głos.

– Idź po psa!

Azadeh rozejrzała się czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

– Dobry wieczór, Wasza Wysokość.

W drzwiach salonu stał Ahmed Dursak, wysoki, brodaty, nieprzyjemny. InszAllah, pomyślała. Czekanie skończyło się; teraz wszystko się wyjaśni.

– Dobry wieczór, Ahmedzie.

– Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość. Gdybym wiedział, że takie są zwyczaje teherańczyków, sam czekałbym na dole. Ali, idź po psa.

Wystraszony służący zbiegł po schodach, wciąż mamrocząc słowa przeprosin. Ahmed zamknął za nim drzwi i patrzył, jak Azadeh ściąga botki i wsuwa swoje drobne stopy w tureckie pantofle z zadartymi noskami. Po chwili weszła do urządzonego w zachodnim stylu komfortowego salonu i usiadła z bijącym mocno sercem na sofie. W kominku migotał ogień, na podłodze leżały bezcenne dywany, inne wisiały na ścianach.

Obok niej stał mały stolik, a na nim kukri, który zostawił jej Ross.

– Masz jakieś wiadomości od mojego ojca i męża?

– Jego Wysokość chan jest chory, bardzo chory i...

– Na co? – zapytała z autentyczną troską.

– Atak serca.

– Niech Bóg ma go w swojej opiece. Kiedy to się stało?

– W czwartek. – Ahmed czytał w jej myślach. – To stało się w dniu, kiedy Wasza Wysokość i sabotażysta byliście w wiosce Abu Mard. Zgadza się?

– Chyba tak. W ostatnich dniach tyle się wydarzyło – odparła lodowatym tonem. – Jak się czuje mój ojciec?

– Czwartkowy atak był, dzięki Bogu, łagodny. Tuż przed północą w sobotę miał kolejny, o wiele gorszy – dodał Ahmed, obserwując ją.

– O wiele gorszy? Proszę, nie igraj ze mną! Powiedz mi wszystko!

– Bardzo przepraszam, Wasza Wysokość, nie chciałem z panią igrać. – Ahmed był uprzedzająco grzeczny i nie gapił się już na jej nogi. Podziwiał jej temperament i dumę i w gruncie rzeczy bardzo chciał z nią poigrać. – Doktor mówi, że to udar. Jego Wysokość ma teraz lewą stronę częściowo sparaliżowaną. Wciąż może mówić, ale sprawia mu to pewną trudność. Doktor twierdzi, że o wiele szybciej wróciłby do zdrowia w Teheranie, jednak przewiezienie go tutaj nie jest na razie możliwe.

– Ojciec wróci do zdrowia?

– Nie wiem, Wasza Wysokość. Wszystko w rękach Boga. Mnie wydaje się bardzo chory. Doktor, o którym nie jestem najlepszego zdania, twierdzi, że szanse Jego Wysokości na wyzdrowienie są o wiele większe tutaj, w Teheranie.

– Więc przywieź go tu najszybciej, jak to możliwe.

– Zrobię to, Wasza Wysokość, bez obawy. Tymczasem mam dla pani wiadomość. Chan, pani ojciec, kazał mi przekazać, co następuje: „Chcę się z tobą widzieć. Natychmiast. Nie wiem, jak długo będę żył, ale trzeba podjąć i zatwierdzić pewne decyzje. Jest tu ze mną twój brat Hakim i...”

– Niech Bóg ma go w swojej opiece! – przerwała mu Azadeh. – Czy mój ojciec pogodził się

z Hakimem?

– Jego Wysokość uczynił go swoim spadkobiercą. Ale...

– Och, to wspaniale, wspaniale. Chwała Bogu. Czy jednak...

– Cierpliwości, proszę mi pozwolić przekazać do końca wiadomość. „Jest tu ze mną twój brat Hakim i uczyniłem go swoim spadkobiercą, ale pod pewnymi warunkami, zarówno z jego, jak i z twojej strony...”.

Ahmed na chwilę urwał. Uradowana i jednocześnie pełna obaw, chciała go ponaglić, ale nie pozwoliła jej na to duma.

– „Z tego względu musisz natychmiast powrócić z Ahmedem”. Tak brzmi wiadomość, którą miałem przekazać.

Otworzyły się frontowe drzwi. Ali zamknął je z powrotem i spuścił ze smyczy psa. Doberman wbiegł do salonu i położył łeb na kolanach Azadeh.

– Dobry piesek, Reza – pochwaliła psa, gładząc go i ciesząc się, że ma możliwość przez chwilę się zastanowić. – Siad! No, siad!

Pies z radością usłuchał, a potem położył się u jej stóp, obserwując drzwi i Ahmeda, który stał przy drugiej sofie. Ręka Azadeh mimowolnie dotknęła rękojeści kukri; nóż dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Nie uszło to uwagi Ahmeda.

– Przysięgnij na Boga, że powiedziałeś mi prawdę.

– Tak, Wasza Wysokość. Klnę się na Boga.

– W takim razie musimy natychmiast ruszać – stwierdziła wstając. – Przyjechałeś samochodem?

– Tak, Wasza Wysokość. Limuzyną z szoferem. Ale przywożę również inne wiadomości, dobre i złe. W niedzielę od Jego Wysokości zażądano okupu. Jego Ekscelencja, pani mąż, jest w rękach bandytów, górali... – Azadeh próbowała zachować spokój, lecz nagle ugięły się pod nią kolana. – ...gdzieś w pobliżu granicy sowieckiej. Porwano go razem z helikopterem. Ci bandyci to podobno Kurdowie, tak w każdym razie sami utrzymują, ale chan w to nie wierzy. Zaskoczyli Cimtargę i jego ludzi, zabili ich wszystkich i w czwartek rano porwali, jak twierdzą, Jego Ekscelencję i helikopter. Potem polecili do Rezaije, gdzie przed odlotem widziano Jego Ekscelencję całego i zdrowego.

– Bogu niech będą dzięki – wyjąkała. Na nic więcej nie pozwoliła jej duma. – Czy mój mąż został wykupiony?

– List z żądaniem dotarł do pałacu w sobotę wieczorem, przez pośredników. Wczoraj, kiedy tylko Jego Wysokość odzyskał przytomność, dał mi dla pani wiadomość i polecił panią sprowadzić.

„Sprowadzić”. Wiedziała, że się nie przejęczył. Ahmed z kamiennym wyrazem twarzy sięgnął do kieszeni.

– Oto list, który przywożę od Jego Wysokości Hakima – oznajmił, wręczając jej zapieczętowaną kopertę.

Rozerwała ją głośno, wrywając z drzemki psa. List skreślony był ręką Hakima. „Kochana, Jego Wysokość uczynił mnie swoim spadkobiercą i przywrócił nas do łask pod kilkoma warunkami, wspaniałymi warunkami, które nietrudno spełnić. Wracaj szybko. Ojciec jest bardzo chory i odkłada kwestię okupu do twojego powrotu. Salaam”.

Rozpromieniona spakowała w ciągu kilku chwil torbę i napisała liścik do McIvera, każąc Alemu doręczyć go nazajutrz. A potem, po krótkim namyśle, wzięła ze stolika kukri i wyszła z mieszkania. Ahmed podążył za nią bez słowa.

**WTOREK**

## ROZDZIAŁ 17

### TABRIZ. W PALACU CHANA, GODZINA 10.50.

Azadeh weszła w ślad za Ahmedem do urządzonego w zachodnim stylu pokoju i stanęła przy wspartym na czterech słupkach łożu. Teraz, kiedy znalazła się w tych murach, znowu przechodziły ją ciarki. Przy łożu siedziała pielęgniarka w wykrochmalonym białym fartuchu, trzymając na kolanach otwartą książkę i przyglądając im się z zaciekawieniem zza szkieł okularów. W oknach wisiały zbutwiałe brokatowe zasłony chroniące przed przeciągami. Światła były przyćmione, w powietrzu unosił się zapach starego człowieka.

Oczy chana były zamknięte, cera ziemista. Podłączony do stojącej przy łóżku kroplówki, z trudem oddychał. Na krześle drzemała skulona w kłębek Aisza, ze śladami łez na twarzy i potarganymi włosami. Azadeh uśmiechnęła się do niej niepewnie. Było jej żal macochy.

– Jak się czuje Jego Wysokość? – zapytała nieswoim głosem pielęgniarkę.

– Nieźle. Ale nie może doznawać gwałtownych wzruszeń i nie wolno mu zakłócać spokoju – odparła cicho siostra łamanym tureckim.

Azadeh przyjrzała jej się i stwierdziła, że pochodzi z Europy, ma około pięćdziesiątki, farbowane brązowe włosy i czerwony krzyż na rękawie.

– Jest pani Angielką? A może Francuzką? – zapytała po angielsku.

– Szkotką – odpowiedziała z wyraźną ulgą kobieta. – Jestem siostra Bain ze szpitala w Tabrizie – dodała cicho, nie spuszczając oczu z chana. – Chory czuje się dobrze, jeśli weźmie się pod uwagę jego stan i to, że nie wypełnia zaleceń lekarza. Z kim mam przyjemność?

– Jestem jego córką, mam na imię Azadeh. Właśnie przyjechałam z Teheranu... posłał po mnie. Jechaliśmy przez całą noc.

– Ach tak – odparła Szkotka, zdziwiona, że ktoś tak brzydki mógł spłodzić kogoś tak pięknego. – Jeśli mogę coś zasugerować, moja droga, lepiej nie przerywać mu snu. Kiedy tylko się obudzi, powiem, że tu jesteś i każe po ciebie posłać.

– Gdzie jest strażnik Jego Wysokości? – zapytał poirytowanym tonem Ahmed.

– W pokoju chorego nie musi przebywać uzbrojony strażnik. Odesłałam go.

– Strażnik będzie tu stale, chyba że chan albo ja każemy mu odejść – oświadczył gniewnie Ahmed, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– To tylko taki zwyczaj – stwierdziła Azadeh.

– No i dobrze. Kolejny zwyczaj, bez którego możemy się obejść.

Azadeh zerknęła na ojca, z trudem go rozpoznając i starając się opanować ogarniający ją strach. Nawet teraz, pomyślała, nawet złożony chorobą może zniszczyć mnie i Hakima... wciąż ma na swoje rozkazy tego gończego psa Ahmeda.

– Proszę mi powiedzieć, jak on się naprawdę czuje?

Pielęgniarka zmarszczyła brwi.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy – odparła.

– Czy nie byłoby dla niego lepiej, gdyby pojechał do Teheranu?

– Owszem, gdyby miał kolejny atak, byłoby dla niego lepiej. – Siostra Bain zmierzyła puls choremu. – Ale w tej chwili nie radziłabym go przenosić, zdecydowanie nie. – Wpisała coś do karty i zerknęła na Aiszę. – Proszę powiedzieć żonie chorego, że nie musi tu czuwać. Też powinna trochę odpocząć, biedactwo.

– Przykro mi, ale to nie moja sprawa. To kolejny tutejszy zwyczaj. Czy... jak duże jest prawdopodobieństwo następnego ataku?

– Nigdy nie wiadomo, moja droga, wszystko w rękach Boga. Mamy nadzieję, że nie nastąpi.

Drzwi za nimi otworzyły się i obie się obejrzały. W progu stał rozpromieniony Hakim. Azadeh zabłysły oczy.

– Kiedy Jego Wysokość się obudzi, proszę mnie natychmiast wezwać – powiedziała pielęgniarkę, po czym wybiegła na korytarz, zamknęła za sobą drzwi i uściskała brata.

– Och, Hakim, mój kochany, nie widzieliśmy się tyle czasu – szepnęła zdyszana. – Czy to wszystko dzieje się naprawdę?

– Tak, naprawdę, ale jak udało ci się... – Hakim przerwał, słysząc zbliżające się kroki. Korytarzem podeszli do nich Ahmed Dursak i strażnik. – Cieszę się, że wróciłeś, Ahmedzie – powiedział grzecznie brat Azadeh. – Jego Wysokość też się ucieszy.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. Czy coś wydarzyło się podczas mojej nieobecności?

– Nic oprócz tego, że dziś rano przyszedł odwiedzić ojca pułkownik policji Fazir.

Ahmed zmarszczył brwi.

– Czy go wpuszczono?

– Nie. Zostawiłeś instrukcje, żeby nie wpuszczać do ojca nikogo bez jego osobistej zgody, a Jego Wysokość w tym czasie spał, jak zresztą prawie przez cały dzień. Zaglądałem do niego co godzina. Pielęgniarka twierdzi, że jego stan nie uległ zmianie.

– To dobrze. Dziękuję. Czy pułkownik zostawił jakąś wiadomość?

– Nie. Będziemy w Niebieskim Salonie, wezwij nas, kiedy tylko ojciec się obudzi.

Ahmed patrzył, jak odchodzą razem korytarzem: wysoki przystojny młody mężczyzna oraz jego smukła i ponętna siostra. Czy byli zdrajcami? Nie zostało mu wiele czasu na zebranie dowodów. Wchodząc do pokoju chorego dostrzegł, jak bardzo jest blady, i wzdrygnął się, czując w nozdrzach nieprzyjemny odór. Przykucnął na piętach i nie zwracając uwagi na pełne dezaprobaty spojrzenie siostry, postanowił czuwać.

Zastanawiał się, czego chciał ten pies Fazir. W sobotę wieczorem przybył tajny kurier od Petra Mzytryka.

– Mam prywatną wiadomość dla Jego Wysokości – oświadczył i wprowadzono go do chana. – Wasza Wysokość, mam przekazać panu ten list na osobności.

– Ahmed jest moim najbardziej zaufanym doradcą. Daj ten list!

Kurier niechętnie spełnił polecenie. Ahmed zapamiętał nagły rumieniec na twarzy chana, kiedy zaczął czytać.

– Czy będzie jakaś odpowiedź? – zapytał obcesowo Sowiet.

Dławiąc się z gniewu, chan potrząsnął głową, odprawił mężczyznę i pokazał list Ahmedowi. „Przyjacielu, wstrząsnęła mną wiadomość o twojej chorobie – pisał Mzytryk. – Przyjechałbym do

ciebie, ale zatrzymały mnie niestety pilne sprawy. Mam złe wiadomości: niewykluczone, że wywiad wewnętrzny lub SAVAMA otrzymały informacje o tobie i twojej siatce szpiegowskiej. Wiesz, że ten farbowany lis Abrim Pahmudi kieruje teraz nową wersją SAVAK? Jeśli cię zdradzono, szykuj się do ucieczki, w przeciwnym razie możesz obejrzeć z bliska izbę tortur. Uprzedziłem swoich ludzi, żeby ci pomogli, gdyby okazało się to konieczne. Jeśli nic mi nie będzie grozić, odwiedzę cię we wtorek po zmierzchu. Powodzenia”.

Prawie jednocześnie do pałacu przybył szef policji Fazir, żeby aresztować kuriera. Chan nie miał wyboru: musiał mu pokazać list.

– Czy to prawda? O Pahmudim?

– Tak. Jest chyba twoim starym przyjacielem? – odparł Fazir, drażniąc się z nim.

– Nie... nie jest moim przyjacielem. Wyjdź!

– Już wychodzę, Wasza Wysokość. Ale pałac jest pod obserwacją. Nie ma potrzeby uciekać. I proszę nie robić niczego, co powstrzymałoby Mzytryka przed przyjazdem albo podsyciło buntownicze nastroje w Azerbejdżanie. Co się tyczy Pahmudiego i SAVAMA, nie zrobią niczego bez mojej aprobaty. W Tabrizie ja stanowią teraz prawo. Jeśli będzie pan posłuszny, Wasza Wysokość, włos nie spadnie panu z głowy. Jeśli nie, wydam im pana.

Kiedy Fazir wyszedł, Abdollah dostał ataku furii. Ahmed nigdy jeszcze nie widział go tak rozwścieczonego. A potem chan nagle osunął się na podłogę. Ahmed sądził, że nie żyje, ale mylił się. Błady jak wosk rzeźił, z trudem łapiąc oddech.

– Niezbadane są wyroki Boga – mruknął Ahmed, nie chcąc przeżyć jeszcze raz takiej nocy.

W NIEBIESKIM SALONIE, 11.15.

Kiedy znaleźli się sami, Hakim podniósł Azadeh i zakręcił nią dookoła.

– Och, jak wspaniale cię znowu widzieć, jak wspaniale... – zawołała.

– Nie tak głośno, Azadeh – przerwał jej. – Te ściany mają uszy i ktoś znowu może coś źle zrozumieć i znowu skłamać.

– Nadżoud? Niech będzie przeklęta na wieki...

– Ćśśś, kochana, ona nie może już nam nic zrobić. Zostałem oficjalnie mianowany spadkobiercą.

– Och, powiedz mi, co się wydarzyło, opowiedz wszystko!

Usiedli na długiej sofie. Hakim nie nadązał z przekazaniem jej wszystkich wiadomości.

– Po pierwsze, Erikki. Okup wynosi dziesięć milionów riali, za niego i za dwieście dwunastkę...

– Ojciec może się trochę potargować i zapłacić. Na pewno zapłaci, a potem odnajdziemy ich i rozedrzemy na strzępy.

– Tak, tak, oczywiście, może zapłacić. Powiedział mi w obecności Ahmeda, że zajmie się tą sprawą zaraz po twoim przyjeździe. To prawda, ustanowił mnie swoim następcą, pod warunkiem że przysięgnę na Boga, iż będę strzegł małego Hassana tak, jak strzegę ciebie. Oczywiście od razu mu to z radością obiecałem. Powiedział, że ty również musisz to uroczyście przysiąc. Oboje przyrzekniemy, że zostaniemy w Tabrizie; ja będę się uczyć od niego zarządzać majątkiem, a ty będziesz mi pomagać. Oboje będziemy tacy szczęśliwi!

– To wszystko, czego od nas wymaga? – zapytała z niedowierzaniem.

– Tak, tak, to wszystko... uczynił mnie swoim następcą w obecności całej rodziny... wyglądali, jakby zaraz mieli skonać, ale to nieważne, ojciec wymienił przy nich swoje warunki, a ja oczywiście natychmiast się zgodziłem, podobnie jak i ty się zgodzisz... dlaczego mielibyśmy tego nie zrobić?



– Oczywiście... przyrzekłabym wszystko. Bóg nas nie opuścił!

Ponownie uściskała brata, tuląc twarz w jego ramię i ocierając o nie łzy radości. Podróż z Teheranu miała fatalną, Ahmed prawie się nie odzywał. Przez całą drogę zastanawiała się z trwogą, jakie będzie musiała spełnić „warunki”.

– To niewiarygodne, Hakim, to jakieś czary. Oczywiście, że będziemy się opiekować małym Hassanem i przekażesz mu chanat, jeśli taka będzie wola ojca. Niech Bóg strzeże nas, jego i Erikkiego. Erikki będzie mógł latać, ile mu się podoba... dlaczego nie? Będzie wspaniale. – Znowu otarła łzy. – Na pewno strasznie wyglądam.

– Wyglądasz ślicznie. Teraz opowiedz, co ci się przytrafiło. Wiem tylko, że złapano cię w wiosce z tym... z tym angielskim sabotażystą i że udało ci się jakoś uciec.

– To kolejny cud, cud boski, że ocaleliśmy, ale wtedy wyglądało to strasznie. Ten podły mułła... nie pamiętam, jak stamtąd uciekliśmy... wiem tylko to, co opowiedział mi Johnny. Mój Jasnooki Johnny.

Hakim zrobił wielkie oczy.

– Johnny ze Szwajcarii?

– Tak. To on. To on był tym brytyjskim oficerem.

– Ale jak... to przecież niemożliwe.

– Ocalił mi życie, Hakimie. Och, tyle mam ci do opowiedzenia...

– Kiedy ojciec dowiedział się, co zdarzyło się w wiosce, posłał... Wiesz, że mułłę zastrzelił żołnierz Zielonych Oddziałów?

– Nie pamiętam tego, ale powiedział mi Johnny.

– Kiedy ojciec dowiedział się o wszystkim, posłał Ahmeda po kalandara, przesłuchał go, a potem odesłał z powrotem i kazał ukamienować. Kazał też uciąć ręce rzeźnikowi i puścić z dymem całą wioskę. To ostatnie to był mój pomysł! Niech te psy poznają smak zemsty!

Jego słowa wstrząsnęły Azadeh. Spalenie całej wioski było zbyt okrutnym odwetem.

Ogarnięty euforią Hakim nie zauważył jej reakcji.

– Ojciec nie trzyma mnie już pod strażą i mogę chodzić, gdzie mi się podoba. Wziąłem nawet dzisiaj samochód i pojechałem do Tabrizu. Wszyscy traktują mnie jak następcę chana, cała rodzina, nawet Nadżoud, choć wiem, że zgrzyta zębami i trzeba ją mieć na oku. Zupełnie... zupełnie się tego nie spodziewałem. – Opowiedział jej, jak ściągnięto go tutaj z Choju, jak się bał, że go zabiją albo okaleczą. – Pamiętasz, jak skazał mnie na wygnanie, przeklął i mówił, że szach Abbas umiał postępować ze zdrazieckimi synami?

Zadrżała na wspomnienie tego koszmaru, przekleństw, furii, zupełnie przez nich niezawinionych.

– Co sprawiło, że zmienił zdanie? Dlaczego zmienił swój stosunek do ciebie i do mnie?

– Wola Boga. Bóg otworzył mu oczy. Zdał sobie sprawę z tego, że zbliża się śmierć i musi poczynić pewne przygotowania. Jest przecież chanem. Może się boi i chce naprawić wyrządzone zło. Nic przeciw niemu nie zawiniliśmy. Jakie to ma zresztą znaczenie? Nie obchodzi mnie to. W końcu wyzwoliliśmy się z jarzma i jesteśmy wolni.

W POKOJU CHOREGO, 13.16.

Chan otworzył oczy i nie poruszając głową omiół wzrokiem pokój. Zobaczył Ahmeda, Aiszę i strażnika. Pielęgniarki nie było. Utkwił spojrzenie w siedzącym na podłodze Ahmedzie.

– Przywiozłeś ją? – zapytał z trudem formułując słowa.

– Tak, Wasza Wysokość. Przed kilku minutami.

W polu widzenia chana pojawiła się pielęgniarka.

– Jak się pan czuje, Ekscelencjo? – zapytała po angielsku, tak jak kazał, twierdząc, że jej turecki jest fatalny.

– Bez zmian.

– Pozwoli pan, że poprawię posłanie. – Z wielką delikatnością, troską, ale i siłą uniosła go i wygładziła poduszki oraz prześcieradło. – Potrzebuje pan basenu, Ekscelencjo?

Chan przez chwilę się zastanawiał.

– Tak – stwierdził w końcu.

Podawała mu basen i poczuł się zbrukany przez to, że obsługuje go niewierna. Przekonał się jednak, że jest niezwykle sprawna, mądra i dobra, najlepsza w całym Tabrizie... zadbał o to Ahmed... o wiele lepsza od Aiszy, która okazała się kompletnie do niczego i która uśmiechała się teraz do niego niepewnie, wytrzeszczając te swoje wielkie, przestraszone oczy. Ciekawe, czy wbije ją jeszcze kiedyś na mój pal, pomyślał, aż po nasadę, tak jak to było za pierwszym razem, gdy płakała i zwijała się, wzmagając tym moją rozkosz.

– Ekscelencjo?

Przyjął tabletkę i popił wodą; dotyk chłodnej dłoni pielęgniarki sprawiał mu przyjemność. A potem ponownie spojrzął na Ahmeda i uśmiechnął się doń, zadowolony, że wrócił jego zausznik.

– Podróż udana?

– Tak, Wasza Wysokość.

– Dobrowolnie czy siłą?

Ahmed uśmiechnął się.

– Tak jak pan przewidział, Wasza Wysokość. Dobrowolnie. Tak jak pan przewidział.

– Nie powinien pan chyba tyle mówić, Ekscelencjo – wtrąciła pielęgniarka.

– Odejdź.

Poklepała go delikatnie po ramieniu.

– Ma pan ochotę coś zjeść? Może trochę horisztu?

– Chałwy.

– Doktor powiedział, że słodczy nie są dla pana dobre.

– Chałwy!

Siostra Bain westchnęła. Lekarz zakazał słodczy, ale zaraz potem dodał: „Jeśli będzie się upierał, proszę mu dać tyle, ile chce. Teraz i tak nie robi to wielkiej różnicy”. Wsadziła Abdollahowi kawałek chałwy do ust i otarła z nich ślinę. Chałwa była nadziewana orzechami, miękka i taka słodka...

– Z Teheranu przyjechała pańska córka, Ekscelencjo – powiedziała. – Prosiła, żebym zawiadomiła ją, kiedy tylko się pan obudzi.

Abdollah ze zdziwieniem spostrzegł, że mówienie sprawia mu trudność. Chciał powiedzieć jakieś zdanie, ale usta nie otwierały się wtedy, gdy powinny się otworzyć. Słowa pozostawały przez dłuższy czas w umyśle, a potem, kiedy je w końcu wypowiadał, nie brzmiały tak, jak brzmieć powinny. Dlaczego tak się działo? Robił wszystko tak samo jak przedtem. Przedtem, to znaczy przed czym? Pamiętał tylko wszechobejmującą ciemność, huczenie krwi w uszach, rozpalone do czerwoności igły i trudności z oddychaniem.

Teraz mogę oddychać, świetnie słyszę i widzę, umysł pracuje bez przeszkód i potrafię snuć plany

nie gorzej niż przedtem.

– Jak...

– Słucham, Ekscelencjo?

Znowu musiał chwilę odczekać.

– Jak... mówić lepiej?

– Aha – odparła, od razu pojmując, o co chodzi; była doświadczoną pielęgniarką i widziała wiele udarów. – Proszę się nie przejmować, z początku będzie pan miał pewne trudności. W miarę powrotu do zdrowia odzyska pan całkowicie mowę. Musi pan jak najwięcej odpoczywać, to bardzo ważne. Odpoczywać, brać leki i nauczyć się cierpliwości, a wkrótce pan wyzdrowieje. Dobrze?

– Tak.

– Chce pan, żebym posłała po pańską córkę? Bardzo chciała się z panem zobaczyć, taka ładna dziewczyna.

Chwila oczekiwania.

– Późnię... Zobaczę ją później... Niech wszyscy odej... ale nie Ahme...

Siostra Bain zawahała się, a potem poklepała go łagodnie po dłoni.

– Daję panu dziesięć minut, jeśli obieca pan, że potem odpocznie. Dobrze?

– Tak.

Kiedy zostali sami, Ahmed podszedł do łóżka.

– Słucham, Wasza Wysokość?

– Która godzi...?

Ahmed zerknął na zegarek. Był złoty, bogato zdobiony i bardzo mu się podobał.

– Prawie wpół do drugiej po południu. Wtorek.

– Petr?

– Nie wiem, Wasza Wysokość. – Ahmed powtórzył to, czego dowiedział się od Hakima. – Jeśli Petr przybędzie dziś do Dżulfy, będzie tam na niego czekał Fazir.

– InszAllah. Azadeh?

– Szczerze zmartwił ją stan zdrowia Waszej Wysokości i zgodziła się natychmiast tu przyjechać. Przed chwilą widziałem ją razem z pańskim synem. Jestem pewien, że zgodzi się na wszystko, żeby go chronić... tak jak on robi wszystko, żeby chronić Azadeh. – Ahmed starał się mówić jasno i zwięźle, żeby nie przemęczyć chana. – Co mam zrobić?

– Wszyst...

Wszystko, o czym mówiliśmy, i jeszcze coś, pomyślał zadowolony Abdollah, czując, jak wzbiera w nim podniecenie. Teraz, gdy Azadeh wróciła, poderżnij gardło posłańcowi, aby rozwścieczeni górale zrobili to samo pilotowi. Dowiedz się wszelkimi środkami, czy te szczeniaki zdradziły. Jeśli tak, wyłup Hakimowi oczy, a ją wyślij na północ, do Petra. Jeśli nie, zadaj powolną śmierć Nadzoud i zatrzymaj ich tutaj aż do chwili, kiedy zginie pilot, a potem wyślij Azadeh na północ. Jest jeszcze Pahmudi. Wyzaczyłem za jego głowę tak wysoką nagrodę, że skusiłaby nawet szatana. Zaoferuj ją najpierw Fazirowi i powiedz mu, że chcę zemsty. Chcę, żeby Pahmudiego torturowano, otruto, poćwiartowano, okaleczono, wykastrowano...

Serce zaczęło mu bić szybciej i chciał pomasować pierś, lecz dłoń, którą usiłował podnieść, nie poruszyła się nawet o cal. Leżała nieruchomo na kołdrze, kiedy na nią patrzył. Nie miał czucia w ręce ani w ramieniu. Nagle przeszył go lęk.

Siostra powiedziała, żeby się nie przejmować, powtarzał sobie zdesperowany, słysząc szum

w uszach. Miałem po prostu zawał, zdaniem lekarza wcale nie taki silny; wiele osób ma zawały. Stary Komargi miał zawał przeszło rok temu i wciąż żyje, ma się dobrze i twierdzi, że jeszcze dmucha swoją młodą żonę. Przy dzisiejszych metodach leczenia... jestem dobrym muzułmaninem i pójdę do raju, więc nie ma się czego bać, nie ma się czego bać, nie ma się czego bać. Jeśli umrę, pójdę do raju...

Nie chcę umierać, zaskrzeczał raz i drugi, ale ten krzyk rozbrzmiewał tylko w jego głowie; żaden dźwięk nie wydobył się na zewnątrz.

– Co się stało, Wasza Wysokość?

Chan zobaczył troskę na twarzy Ahmeda i to trochę go uspokoiło. Bogu niech będą dzięki, że mam Ahmeda, któremu mogę ufać, pomyślał, oblewając się potem. Czego to ja od niego chciałem?

– Rodzina, cała rodzina... ale to potem. Wpierw Azadeh, Hakim, Nadzoud... rozumiesz?

– Tak, Wasza Wysokość. Aby potwierdzić sukcesję?

– Tak.

– Czy udziela mi pan pełnomocnictw, żeby przesłuchać Jej Wysokość?

Chan skinął głową. Powieki miał ciężkie jak ołów. Czekał, aż minie ból w piersi, spróbował poruszyć nogami. Miał wrażenie, że w stopy wbijają mu się setki małych igiełek. Nogi drgnęły dopiero za drugą próbą, ale kosztowało go to wiele wysiłku. Ogarnięty paniką zmienił zdanie.

– Zapłać szybko okup. Sprowadź tu pilota. Sprowadź Erikkiego. A mnie do Teheranu! Rozumiesz? – Zobaczył, że Ahmed kiwa głową. – Szybko – szepnął i chciał ponaglić go gestem dłoni, ale lewa ręka nie poruszyła się. Przerażony spróbował podnieść prawą i udało mu się, z trudem, lecz udało. Trochę się uspokoił.

– Zapłać zaraz okup... w tajemnicy. Sprowadź pielęgniarkę.

## W POBLIŻU GRANICY IRAŃSKO-SOWIECKIEJ, 23.05.

Leżąc w małej kurnej chacie, Erikki udawał, że śpi. Podbródek miał pokryty zarostem. W starym poobtłukiwanym glinianym naczyniu z olejem palił się knot; płomyk rzucał dziwne cienie. Na prostym kamiennym palenisku żarzyły się węgle. Erikki otworzył oczy i rozejrzał się. Poza nim w chacie nie było nikogo. Bezszelestnie wysunął się spod koców i zwierzęcych skór. Był zupełnie ubrany. Naciągnął buty, sprawdził, czy ma za pasem nóż, i otworzył cicho drzwi.

Przez chwilę stał w progu, nasłuchując z przechyloną na bok głową. Wysokie chmury zasłoniły księżyc; wiatr poruszał gałązkami sosen. Wioska leżała cicho pod pierzyną śniegu. Nie widział żadnych strażników. Żadnego ruchu pod daszkiem, gdzie stała dwieście dwunastka. Stąpając ostrożnie niczym myśliwy, ominął inne chaty i podszedł do helikoptera.

Dwieście dwunastka miała zamknięte wszystkie drzwi i wszędzie, gdzie to niezbędne, była okryta kocami i skórą. W bocznym oknie kabiny widział dwóch owiniętych kocami wieśniaków, którzy chrapali wyciągnięci na fotelach. Obok leżały ich strzelby. Dał kilka kroków do przodu. Siedzący w kokpicie strażnik nie spał, ściskając w rękach broń. Jeszcze go nie zauważył. Erikki usłyszał za plecami czyjeś kroki i poczuł wyprzedzającą szejka woń kóz, owiec i stęchłego tytoniu.

– Co się stało, pilocie? – zapytał go Bajazid.

– Nie wiem.

Strażnik, który ich usłyszał, wyrzwał przez szybę, pozdrowił swego przywódcę i zapytał, co się dzieje.

– Nic takiego – odparł Bajazid.

Dał znak strażnikowi, żeby skrył się z powrotem w kokpicie, i w zamyśleniu przeszukał wzrokiem noc. W ciągu tych kilku dni zdążył polubić obcego i nabrać doń szacunku jako do myśliwego i człowieka. Dziś zabrał go na próbę do lasu, a potem, poddając dalszej próbie, a także dla własnej przyjemności, dał mu do ręki strzelbę. Erikki położył od pierwszego strzału stojącą daleko, trudną do trafienia kozicę. Strzelał tak samo celnie jak Bajazid. Oddając obcemu strzelbę, szejek czuł podniecenie. Zastanawiał się, co zrobi: czy nie spróbuje, głupio, wziąć go na muszkę albo, jeszcze głupiej, zniknąć między drzewami, co dałoby im radosną sposobność zapolowania na niego. Ale Rudzielec z Nożem po prostu polował, nie zdradzając, co chodzi mu po głowie, choć wszyscy zdawali sobie sprawę, że może zrobić coś gwałtownego.

– Wyczuleś jakieś niebezpieczeństwo? – zapytał go.

– Nie wiem. – Erikki rozejrzał się dookoła. Żadnych dźwięków prócz szumu wiatru i głosów polujących w nocy zwierząt. Mimo to odczuwał niepokój. – W dalszym ciągu nie ma żadnych wiadomości?

– Nic oprócz tego, co wiemy.

Po południu wrócił jeden z posłańców. „Chan jest bardzo chory, zagląda śmierci w oczy”, oznajmił. „Ale obiecał szybko udzielić odpowiedzi”.

Bajazid powtórzył wszystko wiernie Erikkiemu.

– Zachowaj cierpliwość, pilocie – powiedział. Nie chciał mieć z nim żadnych kłopotów.

– Na co zachorował chan?

– Po prostu jest chory. Posłańcowi powiedziano, że jest chory, bardzo chory. Chory!

– Co będzie, jeśli umrze?

– Okup zapłaci jego następcę. Albo nie zrobi tego. InszAllah. – Szejek poprawił strzelbę na ramieniu. – Skryjmy się przed wiatrem, jest zimno.

Za węglą chaty widzieli dolinę, w której panowała cisza i spokój. Co jakiś czas mrok rozświetlały reflektory jadących daleko w dole samochodów.

Zaledwie trzydzieści minut dzielił go od pałacu i Azadeh, myślał Erikki, a mimo to nie miał szans ucieczki.

Za każdym razem, gdy włączał silniki, żeby naładować akumulatory, mierzyli do niego z pięciu luf. Czasami wypuszczał się na skraj wioski albo, tak jak dzisiaj, wstawał w nocy, gotów uciekać pieszo, ale nigdy nie nadarzyła się sprzyjająca okazja. Strażnicy byli zbyt czujni. Dziś podczas polowania strasznie kusilo go, żeby zwiać, ale to oczywiście nie miało sensu. Wiedział, że tak się tylko z nim bawią.

– Nic się nie dzieje, pilocie, wracaj do łóżka – powiedział Bajazid. – Możliwe, że jutro otrzymamy jakieś dobre wiadomości. Wszystko w rękach Boga.

Erikki nie odpowiedział, przeczesując wzrokiem ciemność, nie mogąc wyzbyć się złych przeczuć. Może Azadeh coś grozi... a może wszystko jest w porządku, a ja wariuję po prostu od tego czekania i zamartwiania się. Czy Rossowi i jego towarzyszowi udało się uciec? Co się dzieje z tym matierjebcem Mzytrykiem? Czy Abdollah jeszcze żyje?

– Wszystko w rękach Boga, tak, zgadzam się, ale ja mam już dość. Chcę stąd odlecieć.

Mężczyzna wyszczerzył w uśmiechu złamany ząb.

– W takim razie będę musiał cię związać.

Erikki uśmiechnął się tak samo zimno.

– Zaczekam do jutra i jutrzejszej nocy, a pojutrze o świcie odlatuję.

– Nie.

– Tak będzie lepiej dla ciebie i dla mnie. Możemy polecieć do pałacu z twoimi góralami. Mogę wylądować...

– Nie. Poczekamy.

– Mogę wylądować na dziedzińcu. Porozmawiam z nim, dostaniesz swój okup i...

– Nie. Poczekamy. Poczekamy tutaj. Tam nie jest bezpiecznie.

– Albo odlecimy razem, albo odleczę sam.

Szejk wzruszył ramionami.

– Ostrzegłem cię, pilocie.

W PAŁACU CHANA, 23.38.

Ahmed i dwaj strażnicy prowadzili korytarzem Nadżoud i jej męża Mahmuda, gnając ich przed sobą jak bydło. Oboje byli w nocnych koszulach, potargani i przerażeni, Nadżoud tonęła we łzach. Ahmed trzymał w dłoni nóż. Pół godziny wcześniej wpadł do ich pokojów ze strażnikami, ściągnął ich z posłań i oświadczył, że chan dowiedział się w końcu, iż okłamali go, zarzucając zdradę Hakimowi i Azadeh. Tej nocy ktoś ze służby przyznał, że podsłuchał tę samą rozmowę i ani brat, ani siostra nie powiedzieli nic złego.

– To kłamstwo – wyjąkała Nadżoud przygwożdżona do dywanu i oślepią latarką, którą skierował na jej twarz jeden ze strażników. Drugi trzymał na muszce Mahmuda. – To wszystko kłamstwo.

Ahmed wyjął nóż i zbliżył ostrze do jej lewego oka.

– To nie jest kłamstwo, Wasza Wysokość. Złożyłaś fałszywą przysięgę przed chanem i przed Bogiem. Przychodzę tu, żeby z rozkazu chana wyłupić ci oczy.

Dotknął ostrzem jej skóry.

– Nie, proszę, błagam! – wrzasnęła. – Błagam! Nie! Zaczekaj... zaczekaj...

– Przyznajesz się do kłamstwa?

– Nie. Nigdy nie skłamałam. Pozwól mi zobaczyć się z ojcem. Nigdy nie wydałby takiego rozkazu, przedtem się ze mną nie widząc...

– Nigdy już go nie ujrzysz! Po co miałby się z tobą spotykać? Okłamałabyś go znowu, tak jak okłamałaś przedtem!

– Nie. Nigdy nie skłamałam, nigdy...

Jego wargi skrzywiły się w uśmiechu. Od wielu lat wiedział, że kłamała. Przedtem go to nie obchodziło. Ale dzisiaj tak.

– Skłamałaś w obliczu Boga!

Ostrze przecięło skórę. Ogarnięta paniką kobieta chciała wrzasnąć, lecz on zatkał jej usta dłonią. Kusilo go, by pchnąć nóż o pół cala dalej, a potem wyciągnąć ostrze i powtórzyć to samo z drugiej strony. Wtedy wszystko byłoby skończone, raz na zawsze.

– Skłamałaś!

– Litości – wycharczała. – Litości, w imię Boga...

Rozluźnił uścisk, ale nie cofnął noża.

– Nie mogę okazać ci litości. Błagam o litość Boga. Chan wydał na ciebie wyrok!

– Poczekaj, poczekaj – powtarzała gorączkowo, czując, jak Ahmed szykuje się do pchnięcia. – Proszę, pozwól mi pójść do chana i błagać go o litość. Jestem jego córką...

– Przyznajesz, że skłamałaś?

Zawahała się. Powieki trzepotały jej w rytm uderzeń serca. Nagle nóż posunął się o ułamek cala dalej.

– Przyznaję! Przyznaję, że przesadzi...

– W imię Boga, odpowiadaj! Skłamałaś czy nie? – warknął Ahmed.

– Tak... tak... skłamałam... proszę, pozwól mi zobaczyć się z ojcem... proszę.

Łzy lały się jej z oczu, a on zawahał się udając, że nie wie, co robić. Po chwili zerknął groźnie na leżącego obok na dywanie, trzęsącego się ze strachu jej męża.

– Ty też jesteś winien!

– Nic o tym nie wiedziałem, nic – wyjąkał Mahmud. – Nigdy nie okłamałem chana, nigdy. Nic nie wiedziałem...

Strażnicy otworzyli drzwi do pokoju chorego i Ahmed pchnął ich oboje do przodu. Azadeh, Hakim i Aisza już tam byli, wezwani bez uprzedzenia, w nocnych koszulach, przestraszeni tak samo jak pielęgniarka. Chan nie spał; oczy podbiegły mu krwią.

Nadzoud padła na kolana i przyznała, że przesadziła, oskarżając o zdradę Hakima i Azadeh. Ahmed zbliżył się do niej i wtedy nagle kompletnie się załamała.

– Skłamałam... skłamałam, proszę, wybacz mi, ojczy, proszę, wybacz, łaski, łaski – bełkotała przerażona.

Mahmud jęczał i płakał, powtarzając, że o niczym nie wiedział, w przeciwnym razie wszystko by wyznał, na pewno by to zrobił, w obliczu Boga, na pewno by to zrobił. Oboje błagali o łaskę, na którą – o czym wszyscy wiedzieli – nie mieli co liczyć. Chan hałaśliwie odchrząknął. Zapadła cisza. Oczy wszystkich skierowały się w jego stronę. Usta Abdollaha poruszyły się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Pielęgniarka i Ahmed podeszli bliżej.

– Ahmed, Hakim i Azadeh zostają... inni wyjść... Nadzoud i jej mąż... wziąć pod straż.

– Czy nie możemy z tym zaczekać do jutra, Wasza Wysokość? – zapytała łagodnie pielęgniarka. – Bardzo pan się zmęczył. Proszę to przełożyć na jutro.

Chan potrząsnął głową.

– Teraz.

Siostra Bain też była bardzo zmęczona.

– Nie biorę odpowiedzialności za to, co się stanie, Ekscelencjo Ahmedzie. Proszę to jak najszybciej załatwić – powiedziała i wyszła.

Dwaj strażnicy podnieśli z klęczek Nadzoud i Mahmuda i wywlekli ich z pokoju. Aisza wyszła chwiejnym krokiem za nimi. Chan zamknął na chwilę oczy, zbierając siły. Ciszę przerywał tylko jego ciężki rżący oddech. Ahmed, Hakim i Azadeh czekali. Po dwudziestu minutach chan otworzył oczy; miał wrażenie, że minęło tylko kilka sekund.

– Mój synu, ufaj Ahmedowi i uczynź zeń swego pierwszego powiernika.

– Tak, ojczy.

– Przysięgnijcie na Boga, oboje.

– Przysięgamy na Boga ufać Ahmedowi i uczynić z niego pierwszego powiernika – powtórzyli zgodnie.

Chan wysłuchał uważnie ich przysięgi. Złożyli ją już wcześniej w obecności całej rodziny. Obiecali mu wszystko, czego żądał: że będą strzec małego Hassana, którego Hakim uczyni potem swoim spadkobiercą, że zostaną oboje w Tabrizie, a Azadeh przez co najmniej dwa lata nie będzie

wyjeżdżać z Iranu. „Dzięki temu, Wasza Wysokość – tłumaczył wcześniej chanowi Ahmed – nikt z zewnątrz, na przykład jej mąż, nie namówi jej do ucieczki i będzie ją można wysłać na północ, bez względu na to, czy jest winna, czy nie”.

To mądre posunięcie, pomyślał chan. Gardził Hakimem i Azadeh za to, że pozwolili Nadżoud przez tyle lat go bezkarnie okłamywać, i nienawidził Nadżoud i Mahmuda za to, że okazali się tak słabi. Żadnej odwagi, żadnej siły. Cóż, Hakim musi się jeszcze wiele nauczyć. I ona także. Gdybym miał trochę więcej czasu...

– Azadeh?

– Tak, ojcze?

– Nadżoud. Jak ją ukarać?

Zawahała się, znowu pełna obaw. Wiedziała, jak funkcjonuje jego umysł; wiedziała, że znalazła się w pułapce.

– Wygnaj ją. Wygnaj ją razem z mężem i całą rodziną.

Nigdy nie wychowasz chana Gorgonów, głupia, pomyślał, ale był zbyt zmęczony, żeby powiedzieć to na głos. Skinął głową i odprawił ją gestem dłoni. Azadeh podeszła do łóżka i pocałowała go w rękę.

– Bądź miłosierny, ojcze, proszę cię, bądź miłosierny – powiedziała, po czym uśmiechnęła się z przymusem, jeszcze raz go dotknęła i wyszła.

Abdollah patrzył, jak zamyka za sobą drzwi.

– Hakim?

Hakim też podejrzewał pułapkę. Bał się rozczarować ojca, pragnął zemsty, ale wzdragał się przed bezlitosnym wyrokiem, który miał zapaść.

– Wygnaj ich raz na zawsze – oświadczył. – Bez grosza przy duszy. Niech nauczą się sami zarabiać na chleb. I wyklucz ich ze szczepu.

Trochę lepiej, pomyślał Abdollah. Normalnie byłaby to straszna kara. Ale nie wtedy, kiedy ktoś jest chanem i wystawia się na zagrożenie z ich strony. Ponownie uniósł dłoń, odprawiając Hakima. Ten, podobnie jak Azadeh, pocałował go w dłoń i życzył dobrej nocy.

– Jak ich ukarać, Ahmedzie? – zapytał chan, kiedy zostali sami.

– Wygnać ich jutro pod eskortą na pustynię na północ od Meszhedu, bez grosza. Za rok i jeden dzień, gdy uznają, że uszli z życiem, założą jakiś interes, wybudują chatę albo dom, i wtedy puścić go z dymem i zabić ich. Oraz ich troje dzieci.

Chan uśmiechnął się.

– Dobrze, zrób to.

– Tak jest, Wasza Wysokość – odparł Ahmed, też się uśmiechając, bardzo zadowolony z siebie.

– Teraz będę spał.

– Przyjemnych snów, Wasza Wysokość.

Powieki chana opadły, twarz zwiotczała i po kilku sekundach chory głośno zachrapał. Ahmed wiedział, że musi teraz zachować maksymalną ostrożność. Cicho otworzył drzwi. Hakim i Azadeh czekali na korytarzu razem z zatroskaną pielęgniarką, która weszła do pokoju, zmierzyła choremu puls i uważnie mu się przyjrzała.

– Dobrze się czuje? – zapytała z progu Azadeh.

– Kto to może wiedzieć, moja droga? Zmęczył się, bardzo się zmęczył. Najlepiej będzie, jeśli wszyscy sobie pójdziecie.



– Co postanowił? – zapytał nerwowo Hakim, zwracając się do Ahmeda.

– Wygnać ich jutro z samego rana bez pieniędzy na pustynię na północ od Meszhedu. I wykluczyć ze szczepu. Sam panu to jutro powie, Wasza Wysokość.

– InszAllah – szepnęła z ulgą Azadeh; obawiała się bardziej surowego wyroku.

Hakim cieszył się, gdyż ojciec skorzystał z jego rady.

– Moja siostra i ja... eee... nie wiemy, jak mamy ci dziękować za pomoc, Ahmedzie. Za to, że w końcu prawda ujrzała światło dzienne.

– Dziękuję, Wasza Wysokość, ale wypełniam tylko polecenia chana. Kiedy przyjdzie czas, będę służył panu tak samo wiernie, jak służyłem Jego Wysokości. Kazał mi to przysiąc. Dobranoc.

Ahmed uśmiechnął się pod wąsem, zamknął za sobą drzwi i podszedł z powrotem do łóżka.

– W jakim jest stanie? – zapytał.

– Nie najlepszym – odparła siostra Bain. Bolały ją plecy i konała ze zmęczenia. – Jutro musi mnie ktoś zastąpić. Powinniśmy tu mieć dwie pielęgniarki i siostrę przełożoną. Przykro mi, ale nie mogę dłużej sama opiekować się chorym.

– Załatwimy wszystko, o czym pani mówi, pod warunkiem że pani zostanie. Jego Wysokość bardzo sobie ceni pani opiekę. Jeśli pani chce, poczuwam przy nim przez godzinę albo dwie. W sąsiednim pokoju jest sofa. Gdyby coś się działo, natychmiast panią zawołam.

– To bardzo miło z pana strony. Dziękuję, bardzo przyda mi się krótki odpoczynek, ale proszę mnie zawołać, jeśli się obudzi, a jeśli nie, za dwie godziny.

Ahmed zaprowadził ją do sąsiedniego pokoju, kazał strażnikowi wrócić za trzy godziny i sam zaczął czuwać przy chorym. Po półgodzinie cicho zajrzał do pielęgniarki. Mocno spała. Wtedy wrócił do pokoju chorego, zamknął za sobą drzwi na klucz, wziął głęboki oddech, potargał włosy, podbiegł do łóżka i bezceremonialnie potrząsnął chanem.

– Wasza Wysokość – syknął, udając przerażenie. – Proszę się obudzić! Proszę się obudzić!

Chan wynurzał się z kamiennego snu nie wiedząc, gdzie jest, co się dzieje i czy to nie kolejny koszmar.

– Co... co...

W końcu skoncentrował wzrok i zobaczył Ahmeda, najwyraźniej trzęsącego się ze strachu, co nie zdarzało mu się nigdy przedtem.

– Co...? – powtórzył zatrwożony.

– Prędko, musi pan wstać, na dole jest Pahmudi, Abrim Pahmudi ze swoimi oprawcami z SAVAMA. Przyszli po pana – wy dyszał Ahmed. – Ktoś otworzył im drzwi, został pan zdradzony, zdrajca Haszemi Fazir wydał pana Pahmudiemu i SAVAMA, prędko, proszę wstać, oni zabili strażników i idą tu po Waszą Wysokość... – Zobaczył szeroko otwarte ze strachu oczy. – Jest ich zbyt wielu, nie zdołam ich powstrzymać. Szybko, musi pan uciekać!

Umiejętnie odłączył kroplówkę, odsunął kołdrę i zaczął pomagać podnieść się z łóżka poruszającemu bezradnie ustami, oszalałemu ze strachu starcowi. Nagle pchnął go z powrotem i utkwiał wzrok w drzwiach.

– Za późno – stwierdził. – Słyszysz pan? Oni już tu są, przyszli, prowadzi ich Pahmudi, już tu są!

Piersz chana unosiła się z trudem. Wydawało mu się, że słyszy kroki na korytarzu, widzi Pahmudiego, widzi jego wąską zadowoloną twarz i narzędzia tortur. Wiedział, że nie okażą mu łaski, że zachowają go przy życiu tylko po to, by odebrać mu je w męczarniach.

Szybko, pomóż mi, chciał krzyknąć. Pomóż mi podejść do okna! Możemy zejść na dół, jeśli mi

tylko pomożesz! Na litość boską, Ahmedddd... ale w rzeczywistości z krtani nie wydobyło się ani jedno słowo. Spróbował ponownie, ale jego usta nie były zsynchronizowane z mózgiem, mięśnie szyi napięły się z wysiłku, żyły nabrzmiały.

Zdawało mu się, że bez końca krzyczy i wrzeszczy na Ahmeda, który w ogóle mu nie pomagał; stał tylko i gapił się na drzwi. Kroki zbliżały się.

– Pomocy! – wykrztusił w końcu, próbując wstać z łóżka, walcząc z kołdrą i narzutami, które przytłaczały go, krępowały, więziły. Ból w piersi wzrastał się, potężniał, słyszał jego dudnienie.

– Za późno na ucieczkę, już tu są! Muszę ich wpuścić!

Śmiertelnie przerażony zobaczył, że Ahmed idzie do drzwi. Ostatkiem sił krzyknął, żeby tego nie robił, ale z ust wydobył mu się tylko zdławiony skrzek. A potem poczuł, że coś zwichnęło się w jego głowie i coś pękło. Przez zwoje i korę mózgową przebiegła iskra. Ból zelżał, hałas ucichł. Zobaczył uśmiech na twarzy Ahmeda. Uświadomił sobie, że na korytarzu i w pałacu panuje cisza i że został naprawdę zdradzony. Ostatkiem sił rzucił się na Ahmeda. Płonące w jego głowie ognie, czerwone, ciepłe i płynne, oświetlały drogę w głąb tunelu i tam, w jego nadirze, zdmuchnął wszystkie i objął we władanie ciemność.

Ahmed upewnił się, że chan nie żyje. Cieszył się, że nie musiał użyć poduszki, by go zadusić. Szybko podłączył z powrotem kroplówkę, sprawdził, czy z igły nie wyciekły krople, po czym wygładził pościel i uważnie sprawdził cały pokój. Nie zobaczył niczego, co mogłoby go zdradzić. Oddychał z trudem i krew pulsowała mu w skroniach, ale rozpieszczała go radość. Sprawdził wszystko ponownie, a potem podszedł cicho do drzwi, przekręcił klucz w zamku i bezszelestnie wrócił do łóżka. Abdollah leżał z zamkniętymi oczyma na poduszkach, z ust i nosa ciekła mu krew.

– Wasza Wysokość! – zawołał Ahmed. – Wasza Wysokość! – Pochylił się, złapał chana za ramiona, a potem puścił go i podbiegł do drzwi. – Siostro! – ryknął, po czym wpadł do sąsiedniego pokoju, wyrwał Szkotkę z głębokiego snu i zaciągnął ją z powrotem do chana.

– O mój Boże – szepnęła z ulgą, ciesząc się, że to nie zdarzyło się podczas jej dyżuru. Wtedy o śmierć chana obwiniałby ją niechybnie ten nie rozstający się z nożem dziki ochroniarz albo inni wrzeszczący i miotający się szaleńcy. Otarła oczy i doprowadziła do porządku włosy, czując się naga bez czepka. Szybko zrobiła to, co do niej należało, i zamknęła zmarłemu powieki. Za sobą słyszała jęki zrozpaczonego Ahmeda.

– Nikt by mu nie pomógł, aga – pocieszyła go. – To mogło się zdarzyć w każdej chwili. Chan bardzo cierpiał i nadszedł jego czas... lepiej, że tak się stało, niż gdyby miał wegetować jak warzywo.

– Tak... tak, chyba tak. – Łzy Ahmeda były autentyczne. Łzy ulgi. – InszAllah. InszAllah.

– Jak to się stało?

– Drzemałem, a on nagle... nagle jęknął i krew pociekła mu z nosa i ust. – Ahmed otarł łzy. – Złapałem go, kiedy spadał z łóżka... a potem – dodał łamiącym się głosem – potem sam nie wiem... po prostu padł bez życia, a ja pobiegłem po panią.

– Proszę się nie przejmować, aga, nikt nie mógł tu pomóc. Czasami to dzieje się szybko i nagle, czasami śmierć jest powolna. Lepiej, kiedy jest szybka, naprawdę. – Westchnęła i poprawiła fartuch; cieszyła się, że jest już po wszystkim i może opuścić to miejsce. – Trzeba go będzie... eee... umyć, zanim wezwiemy innych – dodała.

– Tak. Chciałbym pani pomóc. Proszę mi pozwolić pomóc.

Ahmed zmył gąbką krew i asystował jej w pośmiertnej toalecie. Przez cały czas planował, co

trzeba zrobić: Nadżoud i Mahmuda wygnać jeszcze przed południem, ostateczna kara czeka ich za rok i dzień; sprawdzić, czy Fazir złapał Petra Mzytryka, i dopilnować, by zgodnie z tym, co rozkazał w imieniu chana, po południu poderżnięto gardło posłańcowi, który przybył z żądaniem okupu.

Głupcze, pomyślał, spoglądając na zwłoki, myślałeś, że wypłacę okup, żeby pilot wrócił tu i odwiózł cię do Teheranu, ratując życie? Po co przedłużać życie, które może potrwać najwyżej kilka dni albo miesiąc? Niebezpiecznie jest chorować, kiedy umysł odmawia posłuszeństwa i popada w aberrację, o tak, lekarze powiedzieli mi, czego się spodziewać... coraz większego obłędu, coraz większej mściwości. Mogłeś wystąpić nawet przeciwko mnie! Ale teraz, po załatwieniu sukcesji, okręcę sobie wokół palca tego szczeniaka i z boską pomocą ożenię się z Azadeh. Albo wyślę ją na północ; jej dziura nie różni się przecież od innych.

Pielęgniarka zerkała od czasu do czasu na Ahmeda, patrząc na jego zręczne i silne, a zarazem delikatne dłonie. Po raz pierwszy cieszyła się, że jej towarzyszy, i nie bała się go, obserwując, jak czesze brodę chana. Ludzie są tacy dziwni, pomyślała. Musiał bardzo kochać tego starego łotra.

# ŚRODA

## ROZDZIAŁ 18

TEHERAN,  
GODZINA 6.55.

McIver sortował wyjęte z wielkiego sejfu akta oraz dokumenty i wkładał najważniejsze z nich do swojej teczki. Zajmował się tym od wpół do szóstej; bolała go głowa, bolały plecy, a teczka była prawie pełna. Powinienem zabrać znacznie więcej, uświadomił sobie, pracując tak szybko, jak potrafił. Za godzinę, a może nawet wcześniej, pojawi się irański personel i będzie musiał zamknąć sejf.

Sukinsyny, pomyślał rozdrażniony. Kiedy byli potrzebni, nigdy ich nie było, a teraz, przez kilka ostatnich dni, nie sposób się ich pozbyć, są namolni jak pijawki. „Och, nie, Ekscelencjo, proszę mi pozwolić zamknąć, błagam o ten zaszczyt... och, nie, Ekscelencjo, otworzę za pana biuro, naprawdę nie wolno obarczać tym Jego Ekscelencji...”. Może dostaję paranoi, ale chyba wszyscy nas szpiegują, dostali rozkaz, żeby patrzeć nam na ręce. Wspólnicy nigdy dotąd nie byli tacy wścibscy. Zupełnie jakby coś podejrzewali.

A mimo to, odpukać w niemalowane drewno, na razie wszystko szło jak z płatka: my wyjeżdżamy dziś w południe albo trochę później; Rudi ze wszystkimi swoimi ludźmi ma wyznaczony lot w piątek; cała masa sprzętu jedzie z Bandar-e Daylam do Abadanu, skąd zabierze go BA trident wysłany po brytyjskich nafcjarzy; w Kowissie Starke ukrył już na pewno dodatkowe paliwo; wszyscy jego chłopcy, jeszcze raz odpukać, mają zezwolenia na jutrzejszy odlot stowdudziestkapiątką; trzy ciężarówki z częściami wyjechały do Buszeru, skąd zostaną przetransportowane do Szardży; w Lengeh Scrag nie będzie miał problemów; w porcie stoi dużo statków, na które może załadować swoje części. Pozostaje tylko czekać na Dzień Zero – nie, nie na Dzień Zero, ale Godzinę W.

Tylko jeden niewypał: Azadeh. I Eriki. Dlaczego, do licha, nie uprzedziła mnie, że leci jak wariatka ratować biednego starego Erikiego? Nigdy się po niej czegoś takiego nie spodziewałem! I pomyśleć, że mogłem ją poinformować o całej operacji! Mój Boże, ledwie uszła z życiem, uciekając z Tabrizu, a już pakuje tę swoją śliczną główkę w nowe tarapaty. Kobiety! Wszystkie są szalone. Okup? Gówno prawda. Założę się, że to kolejna pułapka, którą zastawił na nią ten podły stary skurwysyn, jej ojciec.

Zaburczało mu w brzuchu. Jak mamy ich, do diabła, stamtąd wyciągnąć? Muszę coś wymyślić. Zostały nam jeszcze dwa dni, może...

Odwrócił się zaskoczony; nie słyszał, jak otwierają się drzwi. W progu stał Gorani, wysoki łysiejący kierownik sekretariatu, pobożny szyita, porządny facet, który pracował u nich od wielu lat.

– Salaam, aga.

– Salaam. Wcześniej przyszedłeś.

McIver widział, że Gorani patrzy ze zdumieniem na panujący w biurze rozgardiasz – normalnie wszystko było porządnie poukładane. Czuł się niczym łasuch przyłapany z ręką w pudełku

czekoladek.

– Wola boska, aga. Imam nakazał powrót do normalności. Wszyscy mają pracować ciężko dla dobra rewolucji. Mogę w czymś pomóc?

– Nie, nie, dziękuję... eee... po prostu się śpieszę... mam dzisiaj dużo roboty, jadę do ambasady. – McIver zdawał sobie sprawę, że zdradza go własny głos, ale nie potrafił przestać mówić. – Mam... eee... różne spotkania przez cały dzień i muszę być w południe na lotnisku. Muszę też przygotować w domu kilka dokumentów dla komitehu w Doszan Tappeh. Z lotniska już tu nie wrócę, więc możesz zamknąć biuro wcześniej i wziąć sobie wolne popołudnie... właściwie możesz wziąć sobie cały wolny dzień.

– Och, dziękuję, aga, ale biuro powinno być otwarte...

– Nie, zamkniemy je, kiedy wyjdę. Pojadę prosto do domu i będę tam, gdyby ktoś mnie potrzebował. Zajrzyj do mnie za dziesięć minut. Chcę wysłać kilka teleksów.

– Tak, aga, oczywiście, aga – odparł Gorani i wyszedł.

McIver nie znosił kręactwa. Co się stanie z Goranim? Z nim i innymi naszymi irańskimi pracownikami rozszanymi po całym kraju, wieloma bardzo porządnyimi, z nimi i z ich rodzinami?

Podenerwowany skończył sortowanie dokumentów. W kasetce było sto tysięcy riali. Zostawił je, zamknął sejf i wysłał kilka pozbawionych znaczenia teleksów. Najważniejszy nadał o wpół do szóstej rano do Szardży: „Zgodnie z planem wysyłam samolotem do Szardży pięć skrzyń z częściami do naprawy”. Był to zaszyfrowany sygnał, że on, Nogger, Pettikin oraz dwóch ostatnich mechaników, których nie zdołał wyekspediować wcześniej z Teheranu, mają zamiar opuścić dzisiaj Iran na pokładzie stowudziestkapiątki, i że zaczyna się ostatnia faza operacji.

– O jakie skrzynie chodzi, aga?

Gorani znalazł jakimś cudem kopie teleksu.

– Z Kowissu, polecą stowudziestkapiątką w przyszłym tygodniu.

– Och, bardzo dobrze, na pewno tego dopilnuję. Czy przed wyjściem mógłby mi pan powiedzieć, kiedy wróci nasza dwieściedwunastka? Ta, którą wypożyczyliśmy do Kowissu.

– W przyszłym tygodniu. Dlaczego pytasz?

– Chciał to wiedzieć Jego Ekscelencja minister i prezes rady nadzorczej Ali Kia, aga.

McIvera przeszedł zimny dreszcz.

– Tak? Dlaczego?

– Chce ją chyba wycarterować, aga. Wczoraj wieczorem, już po pana wyjściu, przyszedł tu jego asystent i wypytywał mnie. Minister Kia chce także otrzymać raport na temat stanu zaawansowania remontów trzech dwieściedwunastek wysłanych do Szardży. Powiedziałem... eee... że dostanie go dzisiaj. Asystent ma przyjść rano, dlatego nie mogę zamknąć biura.

W ogóle nie rozmawiali na temat tych trzech maszyn ani wyjątkowo dużych transportów części, które wysyłali ciężarówkami, samochodami albo jako osobisty bagaż drogą lotniczą – frachtem okazało się to niemożliwe. Bardzo prawdopodobne, iż Gorani wiedział, że te dwieściedwunastki nie wymagały naprawy. McIver wzruszył ramionami, mając nadzieję, że jakoś to będzie.

– Będą gotowe zgodnie z planem. Zostaw wiadomość na drzwiach.

– Och, to byłoby bardzo niegrzeczne. Przekażę ją osobiście. Asystent powiedział, że przyjdzie przed południową modlitwą; bardzo zależało mu na spotkaniu z panem. Ma prywatną wiadomość od pana ministra.

– Muszę już jechać do ambasady. – McIver przez chwilę się zastanawiał. – Wrócę jak

najszybciej.

Poirytowany złapał teczkę i zbiegł po schodach, przeklinając ministra Kię, a także Ali Babę.

Ali Baba – nazwany tak, ponieważ przypominał McIverowi wodza Czterdziestu Rozbójników – przez dwa lata służył u nich w domu wraz z żoną i zniknął z nią, gdy zaczęły się zamieszki. Wczoraj o świcie wrócił, cały w skowronkach, zachowując się tak, jakby opuścił ich na jeden weekend, a nie na pięć miesięcy. I oczywiście uparł się, że obejmie swój stary pokój.

– Och, nie ulega kwestii, aga, mieszkanie musi być wysprzątane i przygotowane na powrót Jej Wysokości; moja żona przyjdzie tu w przyszłym tygodniu i zajmie się tym, a ja tymczasem zrobię panu zaraz herbatę i grzanekę, tak jak pan lubi. Niech będzie moja strata, ale kupiłem dzisiaj świeży chleb i mleko na targu za bardzo rozsądną cenę, ci zbóje i tak chcą za wszystko pięć razy tyle co w zeszłym roku, to smutne, ale proszę dać mi pieniądze już teraz, a kiedy tylko otworzą bank, wypłaci mi pan moje zaległe skromne pobory.

Cholerny Ali Baba, rewolucja ani trochę go nie zmieniła. Zaległe pobory? Na jeden bochenek chleba dla nas przypadało zawsze pięć bochenków dla niego, ale nieważne, przyjemnie było dostać do łóżka herbatę i grzanekę – choć może nie teraz, nie w dniu, kiedy chcemy prysnąć. Jak, do diabła, Charlie i ja mamy wynieść stąd bagaże, nie wzbudzając jego podejrzeń?

W garażu otworzył swój samochód.

– Lulu, staruszko – powiedział – przykro mi, nie mogę na to nic poradzić, musimy się rozstać. Nie wiem jeszcze, jak to zrobię, ale nie pozwolę, żeby cię spalili albo żeby zgwałcił cię jakiś cholerny Irańczyk.

W AMBASADZIE BRYTYJSKIEJ, 9.30.

Talbot czekał na niego w przestronnym eleganckim gabinecie.

– Prawdziwy z ciebie ranny ptaszek, drogi McIver. Słyszałem o tym, co przeszedł młody Ross... można powiedzieć, że wszyscy mieliśmy cholernie dużo szczęścia, nie sądzisz?

– Owszem, mieliśmy. Jak on się czuje?

– Dochodzi do siebie. Świetny facet, odwalił kawał wspaniałej roboty. Spotkam się z nim na lunchu, a potem wyprawimy go stąd dzisiejszym lotem British Airways. Nie wiemy, czy ktoś go nie namierzył... lepiej dmuchać na zimne. Masz jakieś wiadomości o Erikkim? Dopytywała się o niego fińska ambasada. Proszą nas o pomoc.

McIver opowiedział o liściku, który zostawiła mu Azadeh.

– Cholernie śmieszne – skomentował.

Talbot złączył obie dłonie.

– Okup? To nie brzmi zbyt miło. Krążą plotki, że chan jest naprawdę bardzo chory. Zawał.

McIver zmarszczył brwi.

– Czy to pomoże, czy raczej zaszkodzi Azadeh i Erikkiemu?

– Nie wiem. Jeśli wykorkuje, z pewnością naruszy to na pewien czas równowagę sił w Azerbejdżanie. Nasi nierozważni przyjaciele zza północnej granicy nasilą swoją działalność, a w odpowiedzi na to Carter narobi dużo szumu.

– Co on, do diabła, teraz robi?

– W zasadzie nic, staruszku, i na tym polega cały kłopot. Rozsypał swoje orzeszki i dał nogę.

– Wiesz coś nowego o grożącej nam nacjonalizacji?

– Niewykluczone, że wkrótce stracie kontrolę nad swoimi maszynami – odparł z udawaną

troską Talbot i McIver nadstawił uszu. – Mogą zostać... eee... osobiście przejęte przez zainteresowane strony.

– Masz na myśli Alego Kię i współników?

Talbot wzruszył ramionami.

– Nie do nas należy wyciąganie wniosków, nieprawdaż?

– To oficjalna wiadomość?

– Nie, dobry Boże, oczywiście, że nie. – Talbot był wstrząśnięty. – To tylko osobiste spostrzeżenie, poza protokołem. Co mogę dla ciebie zrobić?

– To, co przekażę ci teraz na polecenie Andy’ego Gavallana, też jest poza protokołem. Zgoda?

– Wolałbym zostać poinformowany oficjalnie.

Z lekko zaróżowionej twarzy Talbota zniknął wystudiowany uśmiezek. McIver z ulgą wstał z fotela.

– Nie ma mowy, George. To Andy, nie ja, wpadł na pomysł, żeby cię w ogóle informować.

– No dobrze, poza protokołem – zgodził się, wzdychając, Talbot.

McIver z powrotem usiadł.

– Przenosimy dzisiaj... eee... naszą siedzibę do Szardży.

– Bardzo rozsądnie. I co?

– Odlatujemy tam na pokładzie naszej stowudziestkipiątki. Cały cudzoziemski personel.

– Bardzo rozsądnie. I co?

– Likwidujemy... eee... całą naszą działalność na terenie Iranu. W piątek.

Talbot westchnął znużony.

– Bez personelu trudno prowadzić jakąkolwiek działalność. To chyba oczywiste. I co?

McIverowi trudno było wykrztusić z siebie to, co chciał powiedzieć.

– W piątek... w ten piątek zabieramy stąd wszystkie nasze maszyny.

– Niech mnie kule biją! – odparł z nie skrywanym podziwem Talbot. – Gratuluję! Jak, u licha, udało wam się przekabacić tego starego łotra Kię i załatwić zezwolenia? Obiecaliście mu chyba dożywotnią kartę wstępu do loży królewskiej na wyścigach w Ascot?

– Nie, nie, nic mu nie obiecywaliśmy. Postanowiliśmy nie prosić o zezwolenie. To tylko strata czasu. – McIver wstał. – No cóż, do zobaczenia.

Talbotowi zrzęda mina.

– Bez zezwolenia?

– Bez. Sam wiesz, że nasze maszyny miały zostać znacjonalizowane, przejęte, odebrane... nazywaj to, jak chcesz. Na pewno nie dostalibyśmy zezwoleń, więc po prostu odlatujemy. W piątek wyfruwamy z klatki – dodał bez troski.

– Słowo daję! – Talbot potrząsał energicznie głową, miętosząc jakieś leżące na biurku papiery. – Niech mnie szlag! To bardzo, bardzo nierozsądne.

– Nie mamy innego wyboru. No cóż, George, to wszystko, życzę miłego dnia. Andy kazał mi cię uprzedzić, żebyś mógł zrobić... to, co uważasz za stosowne.

– Co to ma, do diabła, znaczyć? – wybuchnął Talbot.

– A skąd mam, do licha, wiedzieć? – McIver był tak samo poirytowany. – Macie chyba chronić naszych obywateli.

– Ale...

– Nie zamierzam po prostu dać się zrujnować. To wszystko!



Talbot zabębnił nerwowo palcami po biurku.

– Muszę chyba napić się herbaty – stwierdził, wciskając guzik interkomu. – Celia, dwie filiżanki najlepszego gatunku i proszę dodać do nich kilka kropel nelson's blood.

– Tak jest, panie Talbot – odezwał się zakatarzony głos, po którym nastąpiło kichnięcie.

– Niech cię Bóg błogosławi – mruknął Talbot. Przestał bębnić palcami i uśmiechnął się słodko do McIvera. – Strasznie się cieszę, że o niczym mi nie powiedziałaś, staruszk.

– Ja też. Czy mógłbyś poprosić przez radio waszego człowieka w Tabrizie, żeby przesłał wiadomość Erikkiemu? Nie działają żadne telefony.

– Jak, u diabła, ma to zrobić?

– Nie wiem – odparł cierpliwie McIver. – Mógłby skontaktować się z Azadeh, a ona przekazałaby wiadomość dalej. Proszę, to ważne.

– Dobrze. Nasze połączenie radiowe nie działa, ale obiecali, że uruchomią je jutro albo pojutrze. Jak ma brzmieć wiadomość?

– Niech przekaże Erikkiemu albo poprosi Azadeh, żeby mu powtórzyła, że ma pryskać.

– Trafnie to ująłeś – stwierdził z przekąsem Talbot. – Co się tyczy reszty, jeśli dowiem się przypadkiem, że gnijesz... jak to się mówi... w ciupie, z radością odwiedzę cię w imieniu rządu Jej Królewskiej Mości i spróbuję stamtąd wyciągnąć. – Uniósł wysoko brwi. – Chcecie sprzątnąć im wszystkie ptaszki sprzed nosa! Niech mnie kule biją, ale życzę powodzenia, staruszk. I nie martw się o Erikkiego, postaram się go jakoś zawiadomić.

W APARTAMENCIE McIVERA, 11.50.

Pettikin wszedł z walizką do salonu i zaskoczony zobaczył Ali Babę, który ścierał kurz z kredensu.

– Nie słyszałem, jak wróciłeś. Dałem ci chyba dzień wolny – oznajmił podenerwowany, stawiając walizkę na podłodze.

– Och tak, aga, ale tyle jest do roboty, mieszkanie lepi się od brudu, a kuchnia...

Ali Baba uniósł ze zgrozą swoje krzaczaste brwi.

– Tak, to prawda, ale możesz zacząć sprzątać jutro. – Pettikin zauważył, że służący gapi się na walizkę, i zaklął pod nosem. Zaraz po śniadaniu odprawił Ali Babę, każąc mu wrócić po północy, co w normalnych okolicznościach dawało gwarancję, że pojawi się dopiero nazajutrz rano. – Teraz wyjdź.

– Tak, aga. Wybiera się pan na wakacje, czy wyjeżdża?

– Nie, chcę się tylko zatrzymać na parę dni u jednego z pilotów, więc nie zapomnij wysprzątać jutro mojego pokoju. Aha, i daj mi klucz do mieszkania. Zapodziałem gdzieś swój – dodał Pettikin, wyciągając rękę i żalując, że nie pomyślał o tym wcześniej. Ali Baba z dziwną niechęcią oddał mu klucz. – Kapitan McIver życzy sobie mieć mieszkanie tylko dla siebie. Ma pilną pracę i nie chce, żeby mu ktoś przeszkadzał. Wkrótce się zobaczymy, do widzenia.

– Ale, aga...

– Do widzenia!

Pettikin zaczekał, aż Ali Baba włoży płaszcz, otworzył drzwi i prawie wypchnął go na zewnątrz. A potem przekręcił klucz w zamku i nerwowo spojrział na zegarek. Zbliżało się południe, lecz w dalszym ciągu nie było McIvera. O tej porze powinni już być na lotnisku. Wrócił do swojej sypialni, zabrał stamtąd drugą spakowaną walizkę i postawił ją obok pierwszej, niedaleko

frontowych drzwi.

Dwie małe walizki i torba. Niewiele jak na tyle lat spędzonych w Iranie. Nie szkodzi, nie lubił targać ze sobą dużego bagażu. Może tym razem będę miał szczęście, pomyślał, i zarobię więcej szmalu albo założę na boku własny interes. Jest też Paula. Skąd, u licha, wezmę pieniądze na powtórny ożenek? Ożenek? Stać mnie najwyżej na romans. Tak, ale, do diabła, chciałbym się z nią ożenić i...

Zadzwonił telefon. Pettikin o mało nie podskoczył w miejscu, tak bardzo odzwyczaił się od jego dźwięku. Podniósł słuchawkę z walącym sercem.

– Halo?

– Charlie? To ja, Mac, dzięki Bogu, że to cholerstwo działa. Pomyślałem: a nuż się uda. Mam opóźnienie.

– Jakiś problem?

– Nie wiem, Charlie. Muszę się spotkać z Alim Kia... skurwysyn przysłał po mnie swojego asystenta i żołnierza Zielonych Oddziałów.

– Czego, do diabła, chce?

Muezini w całym mieście zaczęli wzywać wiernych do południowej modlitwy i zdekoncentrowało to trochę Pettikina.

– Nie wiem. Spotkanie wyznaczono za pół godziny. Lepiej jedź już na lotnisko, ja dołączę do ciebie, kiedy tylko będę mógł. Poproś Johnny'ego Hogga, żeby opóźnił start.

– Dobrze, Mac. Co z twoimi rzeczami? Masz je w biurze?

– Wyniosłem je rano, kiedy Ali Baba jeszcze chrapał. Są w bagażniku Lulu. W kuchni jest jedna z makatek Genny, „Precz z mięsnymi pierogami”. Zapakuj ją do swojej walizki, dobrze? Urwałaby mi jaja, gdybym zapomniał ją wziąć. Jeśli będę miał czas, wpadnę tam jeszcze i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku.

– Czy mam wyłączyć gaz i elektryczność?

– Chryste, nie wiem. Lepiej nie wyłączaj.

– Dobrze. Na pewno nie chcesz, żebym na ciebie czekał? – zapytał Pettikin. Płynące z głośników metaliczne nawoływania muezinów nie pozwalały mu się skupić. – Mogę poczekać. Tak będzie lepiej, Mac.

– Nie, jedź już. Niedługo do ciebie dołączę. Na razie.

– Na razie. – Pettikin zmarszczył brwi, a potem, słysząc sygnał centrali, wybrał numer ich biura na lotnisku. Ku jego zdumieniu połączenie doszło do skutku.

– Iran Helicopters, słucham?

Rozpoznał głos kierownika działu przewozów.

– Dzień dobry, Adwani, mówi kapitan Pettikin. Czy stowudziestkapiątka już wylądowała?

– Mamy ją na grafiku, kapitanie, powinna zaraz tu być.

– Czy jest tam kapitan Lane?

– Tak, chwileczkę...

Pettikin czekał, zastanawiając się, czego mógł chcieć Kia.

– Cześć, Charlie, tu Nogger. Masz ustosunkowanych przyjaciół.

– Nie, telefon po prostu zaczął działać. Czy możemy swobodnie rozmawiać?

– Nie, to niemożliwe. Co się dzieje?

– Wciąż jestem w mieszkaniu. Mac się spóźnia... musiał pojechać do Alego Kii. Ja jadę teraz na

lotnisko, on pojedzie tam prosto z ministerstwa. Jesteście gotowi do załadunku?

– Tak, Charlie, zgodnie z poleceniem kapitana McIvera wysyłamy silniki do naprawy i regeneracji. Wszystko zgodnie z rozkazem.

– Dobrze. Są tam dwaj mechanicy?

– Tak. Części też są gotowe do załadunku.

– To dobrze. Nie wyłoniły się żadne problemy?

– Na razie nie, stary.

– Do zobaczenia.

Pettikin odłożył słuchawkę i dziwnie zasmucony po raz ostatni omiół wzrokiem mieszkanie. Przeżył tu dobre i złe chwile, najlepsze z Paulą. Za oknem zauważył słup dymu nad Dżaleh. Teraz, kiedy umilkły głosy muezinów, słychać było sporadyczne strzały.

– Niech ich wszystkich diabli wezmą – mruknął.

Wyszedł z walizkami na korytarz i zamknął za sobą starannie drzwi. Wyjeżdżając z garażu, zobaczył Ali Babę, który wszedł do domu po drugiej stronie ulicy. Towarzyszyli mu dwaj nieznajomi mężczyźni. Co takiego znów kombinuje ten skurwysyn, pomyślał z niepokojem.

W MINISTERSTWIE TRANSPORTU, 13.07.

Choć w kominku płonął ogień, w wielkiej sali było zimno jak w psiarni. Ubrany w kosztowne astrachańskie futro i czapkę minister Kia nie krył złego humoru.

– Powtarzam: potrzebny mi jest na jutro helikopter do Kowissu i żądam, żeby mi pan towarzyszył.

– Przykro mi, ale jutro nie mogę – odparł McIver, starając się nie okazywać po sobie zdenerwowania. – Z radością będę towarzyszył panu w przyszłym tygodniu. Powiedzmy, w poniedziałek albo...

– Dziwię się, że po tylu ułatwieniach, które pan ode mnie uzyskał, muszę się w ogóle wyklócać. Jutro, kapitanie, albo... anuluję wszystkie zezwolenia na start naszej stodwudziestkiptki. Zatrzymam ją na lotnisku i każę przeprowadzić dochodzenie!

McIver stał przed olbrzymim biurkiem, Kia siedział w wielkim rzeźbionym fotelu, w którym wydawał się mniejszy niż w rzeczywistości.

– Nie możemy polecieć dzisiaj, Ekscelencjo? Mamy odstawić dziś do Kowissu alouette. Kapitan Lochart startuje...

– Nie dzisiaj, ale jutro. – Kia poczerwieniał na twarzy. – Daję panu polecenie jako członek rady nadzorczej. Poleci pan ze mną, startujemy o dziesiątej rano. Rozumie pan?

McIver pokiwał bezradnie głową, próbując znaleźć jakieś wyjście. W końcu fragmenty układanki na nowo ułożyły się w całość.

– Gdzie mam się z panem spotkać?

– A gdzie jest helikopter?

– W Doszan Tappeh. Będzie nam potrzebne zezwolenie. Stacjonuje tam major Delami i mułła. Obaj przysparzają nam niestety wielu kłopotów, więc nie bardzo wiem, jak to załatwimy...

Twarz ministra jeszcze bardziej pociemniała.

– Premier wydał nowe rozporządzenie zakazujące mułłom wtrącania się w prace rządu. Imam poparł go z całego serca. Major Delami i mułła niech lepiej uważają. Spotkamy się jutro o dziesiątej i...

W tym momencie na dworze nastąpił potężny wybuch. Obaj podbiegli do okna, ale zobaczyli

tylko słup dymu, który unosił się w chłodnym powietrzu za zakrętem ulicy.

– To chyba kolejna bomba w samochodzie – stwierdził zaniepokojony McIver.

W ciągu kilku ostatnich dni dokonano wielu zamachów. Lewicowi ekstremiści podkładali bomby w samochodach, dybiąc zwłaszcza na życie ajatollahów zajmujących wysokie stanowiska w rządzie.

– Parszywi terroryści. Niech Bóg spuści plagę na nich i ich ojców!

Kia był autentycznie przerażony, co ucieszyło McIvera.

– Taka jest cena sławy, panie ministrze – oznajmił zatroskanym głosem. – Ci, którzy zajmują eksponowane stanowiska, ważni ludzie tacy jak pan, stają się oczywistym celem ataków.

– Tak... tak... wiem o tym. Parszywi terroryści...

Idąc do samochodu, McIver nie przestawał się uśmiechać. A więc Kia chce lecieć do Kowissu. Zadbam o to, żeby tam trafił i żeby operacja potoczyła się zgodnie z planem.

Za rogiem ulicę częściowo tarasowało rumowisko; jeden samochód wciąż płonął, inne dogasały. W jezdni ziała wielka dziura; wybuch zniszczył restaurację i mieszczącą się obok, zabita deskami siedzibę zagranicznego banku. Wszędzie leżało potłuczone szkło. Wiele osób odniosło rany, kilka zginęło albo dogorywało. Słychać było jęki i okrzyki paniki, w powietrzu unosił się smród spalonej gumy.

Samochody stały w korku. Trzeba było czekać. Po trzydziestu minutach przyjechał ambulans, a żołnierze Zielonych Oddziałów i mułła zaczęli kierować ruchem. W końcu, klnąc i wymachując rękoma, przepuścili McIvera. Mijając w zgiełku klaksonów wypalony wrak samochodu, nie zauważył na pół zasypanego gruzem Talbota, któremu wybuch oderwał głowę, ani ubranego w cywilne ciuchy nieprzytomnego Rossa, który leżał oparty o ścianę w rozdartym płaszczu, krwawiąc z uszu i z nosa.

NA LOTNISKU W TEHERANIE, 18.05.

Johnny Hogg, Pettikin i Nogger patrzyli z osłupieniem na McIvera.

– Zostajesz? Nie wyjeżdżasz z nami? – wyjąkał Pettikin.

– Nie. Przecież mówię – odparł ze zniecierpliwieniem McIver. – Muszę lecieć jutro z ministrem Kią do Kowissu.

Stali przy jego samochodzie na parkingu, daleko od niepożądanych uszu. Robotnicy ładowali ostatnie skrzynie do stojącej na płycie stodwudziestkipiątki. Jak zawsze pod bacznym nadzorem żołnierzy Zielonych Oddziałów. I mułły.

– Nigdy przedtem nie widzieliśmy tego mułły – mruknął Nogger, starając się ukryć zdenerwowanie.

– Czy wszyscy poza tym są gotowi do odlotu?

– Owszem, Mac. Z wyjątkiem Jeana Luca. – Pettikin był wyraźnie wytrącony z równowagi. – Nie sądzisz, że lepiej byłoby olać ministra?

– To szaleństwo, Charlie. Nie ma się czym przejmować. Możesz przygotować wszystko z Andym na lotnisku w Szardży. Przylecę jutro z Kowissu na pokładzie stodwudziestkipiątki razem z resztą chłopaków.

– Ale, na litość boską, oni wszyscy mają zezwolenia. A ty nie – stwierdził Nogger.

– Na Boga, Nogger, nikt z nas nie ma zezwolenia na dzisiejszy wyjazd. Jak, do diabła, możemy mieć pewność co do chłopaków z Kowissu, póki nie wystartują i nie znajdą się poza przestrzenią powietrzną Iranu? Nie ma powodu martwić się na zapas. Wszystko po kolei, najpierw musimy odegrać ten akt przedstawienia.

McIver zerknął na hamującą ostro taksówkę, którą przyjechał Jean Luc. Francuz dał kierowcy drugą połowę banknotu i podszedł do nich, dźwigając walizkę.

– *Alors, mes amis* – oznajmił z szerokim uśmiechem. – *Ça marche?*

McIver westchnął.

– Robisz bardzo sprytnie, dając do zrozumienia wszystkim naokoło, że wybierasz się na wakacje.

– O co ci chodzi?

– Nieważne.

McIver lubił Jeana Luca za jego profesjonalizm, zdolności kulinarne i prostoduszność.

– Jasne, polecę jedną z dwieście dwunastek z Kowissu – odparł Francuz, gdy Gavallan zaznajomił go z planem operacji – ale musicie mnie zabrać w środę do Teheranu i dać kilka godzin wolnego.

– Po co?

– *Mon Dieu*, wy Anglicy... powiedzmy, że chcę się osobiście pożegnać z imamem.

McIver uśmiechnął się teraz do Jeana Luca.

– Jak było w mieście?

– *Magnifique!* – odparł Francuz, odwzajemniając uśmiech. Mac dawno już nie wyglądał tak młodo, pomyślał. Kim jest dama jego serca? – *Et toi, mon vieux?*

– Dobrze, dziękuję.

Za plecami Jeana Luca McIver zobaczył Jonesa, drugiego pilota, który przeskakując po dwa stopnie naraz, zbiegł po schodkach z samolotu i ruszył w ich stronę. Na betonie nie stała już ani jedna skrzynia. Ich irańscy pracownicy oddalali się w kierunku biura.

– Wszystko jest na pokładzie? – zapytał.

– Tak, kapitanie, prócz pasażerów – odparł rzeczowym tonem Jones. – Wieża zaczyna się niecierpliwić. Twierdzą, że mamy opóźnienie. Pośpieszcie się, dobrze?

– Macie pozwolenie na lądowanie w Kowissie?

– Tak, bez problemu.

McIver wziął głęboki oddech.

– W porządku, robimy wszystko zgodnie z planem, tyle że ja wezmę papiery, Johnny.

Johnny Hogg wręczył mu dokumenty i wszyscy trzej, McIver, Hogg i Jones, podeszli do muły, mając nadzieję, że jakoś go zabajerują. Dwaj mechanicy weszli już wcześniej na pokład, udając tragarzy.

– Dzień dobry, aga – powiedział McIver, ostentacyjnie wręczając mulle listę przewozową.

Stanęli tak, żeby zasłonić mu widok na schody do samolotu. Nogger, Pettikin i Jean Luc szybko wspięli się po nich i zniknęli w środku kabiny.

Muła przekartkował listę, najwyraźniej niezbyt dobrze zaznajomiony z tego rodzaju dokumentami.

– Dobrze. Teraz kontrola – oznajmił z wyraźnym irańskim akcentem.

– Nie ma potrzeby, aga, wszystko... – zaczął McIver, ale muła i dwaj strażnicy wchodzili już po schodkach. – Natychmiast uruchom silniki, Johnny – szepnął, idąc za nimi.

Kabina zastawiona była skrzyniami; pasażerowie siedzieli w zapiętych pasach. Wszyscy starannie unikali wzroku muły, który zmierzył ich baczny spojrzeniem.

– Co to za ludzie?

– Załogi do wymiany, aga – odparł niefrasobliwym tonem McIver. Usłyszał wycie silników

i przeszedł go dreszcz podniecenia. – To pilot do pracy w Kowissie – powiedział, wskazując pierwszego z brzegu Jeana Luca. – Komitech z wieży chce, żebyśmy już startowali. Czy możemy się pośpieszyć?

– Co w skrzyniach?

– Przepraszam, że przeszkadzam, Wasza Ekscelencjo – zawołał z kokpitu w doskonałym farsji Hogg i muła zerknął w jego stronę. – InszAllah, ale wieża każe nam natychmiast startować. Czy mamy pańskie zezwolenie, Ekscelencjo?

– Tak, tak, oczywiście, Ekscelencjo pilocie – odparł z uśmiechem Irańczyk. – Świetnie mówi pan w farsji, Ekscelencjo.

– Dziękuję, Ekscelencjo. Niech Bóg ma pana w opiece i niech błogosławi imama.

– Dziękuję, Ekscelencjo pilocie. Pana też niech Bóg ma w swojej opiece. W drodze do wyjścia McIver zajrzał do kokpitu.

– O czym tak gwarzyliście, Johnny? Nie miałem pojęcia, że znasz farsji.

– Wcale nie znam – odparł Hogg, po czym powtórzył mu treść rozmowy. – Nauczyłem się tego jednego zdania; pomyślałem, że może się kiedyś przydać.

McIver uśmiechnął się.

– U mnie masz celujący! Kiedy wylądujecie w Kowissie – dodał ciszej – powiedz Starke'owi, żeby załatwił to jakoś z Panem Szybkim i wysłał chłopaków z samego rana. Nie chcę, żeby startowali, kiedy będzie tam Kia. Wyekspedujcie ich najwcześniej, jak to możliwe. Dobrze?

– Tak, oczywiście. Nie pomyślałem o tym. Bardzo mądrze.

– Bezpiecznego lotu i do zobaczenia w Szardży.

Już na płycie lotniska McIver pokazał im podniesione kciuki. Samolot kołował na pas.

– Udało się! – ryknął radośnie Nogger, gdy tylko znaleźli się w powietrzu.

Wszyscy zawtórowali mu oprócz Jeana Luca i Pettikina, który odpukał w niemalowane drewno. Francuz przeżegnał się zabobonnie.

– *Merde!* Zachowaj te wiwaty na później, Nogger – zawołał. – Mogą nas jeszcze uziemić w Kowissie. Zaczekaj do piątku. Do tego czasu nad zatoką może się zerwać niejedna burza!

– Masz rację, Jean Luc – stwierdził siedzący koło niego Pettikin, obserwując oddalające się lotnisko. – Mac był w świetnym humorze. Nie widziałem go tak zadowolonego od kilku miesięcy, a rano był wściekły jak diabli. Dziwne, jak zmieniają się ludzie.

– Owszem. Ja też byłbym wkurzony, gdyby tak nagle pokrzyżowali mi szyki.

Jean Luc rozsiadł się wygodnie i powrócił myślami do Sajady i rozstania z nią, które było takie niezwykle i słodkie. Po chwili zerknął na Pettikina i zauważył marsa na jego czole.

– O co chodzi?

– Zastanawiam się właśnie, jak Mac dotrze do Kowissu.

– Helikopterem. Zostały dwie dwieścieszóstki i jedna alouette.

– Tom odleciał dzisiaj alouette do Kowissu i nie ma ani jednego pilota.

– Więc pojedzie samochodem. Dlaczego tak się tym przejmujesz?

– Chyba nie jest taki szalony, żeby się samemu za sterami. Jak sądzisz?

– Zwariowałeś? Oczywiście, że nie jest... – Brwi Jeana Luca powędrowały w górę. – *Merde*, właściwie to do niego całkiem podobne.

**CZWARTEK**

## ROZDZIAŁ 19

### W WIOSCE PRZY PÓŁNOCNEJ GRANICY, GODZINA 5.30.

Erikki naciągnął buty w świetle szarówki. Miał na sobie lotniczą kurtkę z miękkiej szeleszczącej skóry. Wyjął z pochwy nóż i wsunął go do rękawa, po czym uchylił drzwi chaty. Wioska spała spowita śniegiem. Nie widział żadnych strażników. Pod daszkiem, gdzie stał helikopter, również panował bezruch, ale wiedział, że dwieście dwunastka jest zbyt dobrze strzeżona, by zdołał nią odlecieć. Sprawdzał to już kilkakrotnie w różnych porach dnia i nocy. Za każdym razem siedzący w kokpicie i kabinie strażnicy tylko się do niego uśmiechali, czujni i grzeczni. Nie mógł nawet marzyć, że pokona wszystkich trzech i wystartuje. Jedynym wyjściem była ucieczka na piechotę, którą planował, odkąd przedwczoraj startł się z Bajazidem.

Przez chwilę badał zmysłami mrok. Gwiazdy kryły się za cienką warstwą chmur. Teraz! Wyślizgnął się na zewnątrz, pewnym krokiem minął inne chaty i nagle nie wiadomo skąd spadła na niego sieć i musiał walczyć o życie.

Czterej górale trzymali końce sieci, której używano na co dzień do łowienia kozic. Umiejętnie owijali ją wokół niego, coraz ciaśniej i ciaśniej, i chociaż rycząc z wściekłości zdołał rozerwać kilka sznurów, wkrótce leżał skrępowany, miotając się bezradnie na śniegu. Na moment legł bez ruchu, dysząc ciężko, a potem wyjąc z bezsilności, ponownie spróbował zerwać sznury. Jednak im bardziej się szarpał, tym bardziej się zaciskały. W końcu znieruchomiał i łapiąc oddech rozejrzał się dookoła. Ze wszystkich stron otaczali go ludzie. Cała wioska była na nogach, wszyscy ubrani i uzbrojeni. Najwyraźniej na niego czekali. Nigdy jeszcze nie zetknął się z taką nienawiścią.

Aż pięciu mężczyzn na pół zawlokło go, na pół zaniósł do gminnej chaty i rzuciło brutalnie na klepisko u stóp szejka Bajazida, który siedział ze skrzyżowanymi nogami na honorowym miejscu przy palenisku. W czarnym od sadzy wnętrzu chaty było pełno ludzi.

– A więc ośmieliłeś się naruszyć mój zakaz – stwierdził szejek.

Erikki leżał, zbierając siły.

– W nocy wrócił od chana jeden z moich ludzi. – Bajazid trząsał się ze złości. – Wczoraj po południu, gwałcąc rycerskie zasady, poderżnięto na rozkaz chana gardło mojemu posłańcowi. I co na to powiesz? Poderżnięto mu gardło jak psu! Jak psu!

– Nie... nie mogę w to uwierzyć – wyjąkał bezradnie Erikki. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Na wszystkie imiona Boga, poderżnęli mu gardło! Nie żyje, a my zostaliśmy zhańbieni. My wszyscy, a zwłaszcza ja! Zhańbieni z twojego powodu!

– Chan to diabeł. Przykro mi, ale...

– Potraktowaliśmy chana honorowo, ciebie też. Odbiliśmy cię z rąk naszych wrogów i wrogów chana. Jesteś mężem jego córki, a on sam ma więcej włosów złota niż koza ma włosów. Cóż to dla



niego jest dziesięć milionów riali? Tyle co kozie gówno! Co gorsza, nie potraktował nas honorowo! Niech Bóg ześle na niego wszystkie plagi!

Przez zgromadzonych przeszedł stłumiony pomruk. Nie rozumieli po angielsku, ale podobał im się gniewny ton szejka.

– InszAllah! – zasyczał Bajazid. – Teraz uwolnimy cię, żebyś ruszył, tak jak chciałeś, w dolinę. A potem zapolujemy na ciebie. Nie będziemy do ciebie strzelać, ale nie zobaczysz już zachodu słońca. Twoją głowę przełożymy w podarunku chanowi.

Szejk powtórzył we własnym języku, jaka czeka go kara, i uniósł dłoń. Górale podeszli bliżej.

– Zaczekajcie! – krzyknął Erikki, któremu przerażenie podsunęło pewną myśl.

– Chcesz błagać o łaskę? – zapytał z pogardą Bajazid. – Myślałem, że mam do czynienia z mężczyzną. Dlatego nie kazałem ci poderżnąć gardła we śnie.

– Nie błagam o łaskę, błagam o zemstę! – ryknął Erikki. – Chcę zemsty! – Zdumieni ludzie umilkli. – Zemsty za to, co zrobił tobie i co zrobił mnie! Czyż taka hańba nie woła o pomstę do nieba?

Bajazid zawahał się.

– Cóż to za krętactwa?

– Pomogę ci zmyć plamę na honorze. Napadniemy na pałac chana i obaj się zemścimy.

Erikki modlił się do swoich starodawnych bogów, by dali mu dar wymowy.

– Zwariowałeś?

– Chan jest moim wrogiem bardziej niż twoim. Po cóż miałby was okrywać hańbą, gdyby nie pragnął, byście obrócili swój gniew przeciwko mnie? Znam pałac. W jednej chwili mogę wysadzić ciebie i piętnastu uzbrojonych ludzi na głównym dziedzińcu...

– To szaleństwo – zaśmiał się szejk. – Chcesz, żebyśmy oddali życie niczym otumanieni haszyszem głupcy? Chan ma zbyt wielu strażników.

– Razem pięćdziesięciu trzech, z czego tylko czterech albo pięciu pełni w danym momencie wartość. Czy twoi wojownicy są tak słabi, że nie dasz sobie rady z pięćdziesięcioma trzema ludźmi? Będziemy mieli przewagę wynikającą z zaskoczenia. Atakując nagle z powietrza, zmyjesz plamę na honorze... mogę cię tam wysadzić i zabrać po kilku minutach. Abdollah-chan jest chory, bardzo chory, strażnicy ani domownicy nie będą się niczego spodziewać. Znam drogę, wiem, gdzie śpi, wiem wszystko...

Erikki usłyszał we własnym głosie podniecenie i uświadomił sobie, że to naprawdę jest możliwe: przeleci nisko nad murem, wyląduje, potem szybko po schodach na pierwsze piętro, kilkanaście jardów korytarzem, po drodze powali Ahmeda i innych, którzy staną mu na drodze, wpadnie do pokoju chana, pozwoli Bajazidowi i jego ludziom zrobić to, co chcą zrobić, a sam ruszy do północnego skrzydła, żeby ratować Azadeh, a jeśli jej tam nie będzie albo okaże się, że ktoś ją skrzywdził, zabije wszystkich: chana, strażników, ludzi Bajazida, wszystkich.

Własny plan coraz bardziej mu się podobał.

– Czyż dzięki takiemu czynowi nie zyskasz tysiącletniej sławy? Kurdyjscy bardowie będą przez wieki śpiewać pieśni o szejku Bajazidzie, który chcąc zmyć plamę na honorze dopadł i upokorzył chana Gorgonów w jego własnej norze. Czyż nie tak właśnie postąpiłby Saladyn?

Zobaczył, że w oczach otaczających go górali zapaliły się błyski. Bajazid wahał się, na moment zapadła cisza, a potem przemówił cicho do swoich ludzi. Któryś z nich zaśmiał się i zawołał coś, inni zawtórowali mu i w końcu wszyscy ryknęli jednym głosem na znak zgody.

Szybko rozcięto krępujące go sznury. Mężczyźni walczyli o zaszczyt udziału w wyprawie. Erikki drżącymi palcami wcisnął przycisk startera i po chwili zahuczał pierwszy silnik.

W PAŁACU CHANA, 6.35.

Coś wyrwało nagle Hakima ze snu. Czuwający przy drzwiach ochroniarz podniósł wzrok.

– Co się stało, Wasza Wysokość?

– Nie, nic, Isztar, to tylko sen. – Rozbudzony Hakim przeciągnął się na posłaniu, ciesząc się z nadejścia nowego dnia. – Przynieś mi kawę. Po kąpieli zjem śniadanie u siebie. Poproś moją siostrę, żeby zjadła razem ze mną.

– Tak jest, Wasza Wysokość, w tej chwili.

Ochroniarz wyszedł i Hakim ponownie się przeciągnął. Za oknem wstawał mroczny dzień. Bogato zdobiona sala, w której spał, była ogromna, chłodna i nieprzytulna, ale tu właśnie od lat mieściła się sypialnia chana. W wielkim kominku płonął ogień, podsycany całą noc przez Isztara. Nikomu nie wolno tu było wchodzić; ochroniarza wybrał osobiście spośród pięćdziesięciu trzech strażników, odkładając na później decyzję, co z nimi wszystkimi zrobi. Wstając z łóżka i wkładając ciepły brokatowy szlafrok – jeden z pięćdziesięciu, które znalazł w garderobie – zastanawiał się, gdzie szukać ludzi, którym może zaufać. A potem ukląkł twarzą do Mekki i otworzył Koran spoczywający w wyłożonej ozdobnymi płytkami niszy. Po odmówieniu porannej modlitwy klęczał tam jeszcze przez chwilę, wpatrując się w wysadzaną szlachetnymi kamieniami, ręcznie kaligrafowaną wielką księgę – bezcenny Koran Gorgonów, jego Koran. Za tyle rzeczy muszę podziękować Bogu, pomyślał, tyle się jeszcze nauczyć, tyle zrobić. Ale wspaniały początek już został uczyniony.

Poprzedniego dnia tuż po północy w obecności całej rodziny zdjął złoty pierścień ze szmaragdem – symbol starego chanatu – ze wskazującego palca prawej dłoni ojca i nasunął go na własny. Musiał ściągnąć pierścień przez fałdę tłuszczu, nie zwracając uwagi na unoszącą się w pokoju woń śmierci. Podniecenie, które odczuwał, przewyciężyło wstręt i w tym momencie stał się naprawdę chanem. Wszyscy po kolei uklękli i całując go w pierścień, przysięgli wierność, najpierw Azadeh, z dumą, i Aisza, drżąc ze strachu, potem Nadżoud i Mahmud, pozornie się płaszcząc, lecz w głębi duszy dziękując Bogu za odroczenie wyroku.

Na dole, w Wielkiej Sali, gdzie stanął razem z Azadeh, przysięgę na wierność złożyli mu następnie Ahmed i inni strażnicy. Pozostali członkowie szeroko rozgałęzionej rodziny mieli przybyć później wraz z innymi wodzami szczepów, domownikami oraz służbą. Hakim wydał polecenia dotyczące pogrzebu, po czym utkwiał wzrok w Nadżoud.

– Cóż...

– Z całego serca wieszamy ci, Wasza Wysokość, i przysięgamy służyć, ile tylko starczy nam sił – oświadczyła obłudnie.

– Dziękuję ci, Nadżoud – odparł Hakim. – Dziękuję. Jaki wyrok wydał chan przed śmiercią na moją siostrę i jej rodzinę, Ahmedzie?

Wszyscy wstrzymali oddech.

– Kazał bez zwłoki wygnać ich pod strażą i bez pieniędzy na pustynię na północ od Meszhedu, Wasza Wysokość – odparł Ahmed.

– Przykro mi, Nadżoud, ale o świcie zgodnie z wolą chana opuścisz razem z rodziną pałac.

Twarze Nadżoud i Mahmuda przybrały barwę popiołu.

– Ależ, Wasza Wysokość, ty jesteś teraz chanem i ty stanowisz prawo... – wyjąkała Nadżoud. – Nie sądziłam... ty jesteś teraz chanem...

– Chan, nasz ojciec, wydał ten wyrok, kiedy to on stanowił prawo, Nadżoud. Nie wolno mi unieważniać jego rozkazów.

– Ale to ty teraz stanowisz prawo – powtórzyła z mdłym uśmiechem Nadżoud. – Ty podejmujesz słuszne decyzje.

– Z Bożą pomocą, będę starał się to czynić, Nadżoud. Nie mogę unieważnić wyroku ojca, stojąc przy jego łożu śmierci.

– Ależ, Wasza Wysokość... – Nadżoud podeszła bliżej. – Proszę, czy nie moglibyśmy pomówić o tym na osobności?

– Lepiej w obecności rodziny. Co chciałaś mi powiedzieć?

Niepewnie przysunęła się jeszcze bliżej. Hakim zauważył, że Ahmed sięga dłonią po nóż, i zjeżyły mu się włosy na karku.

– To, że Ahmed powiedział, iż chan wydał taki wyrok, nie oznacza jeszcze... prawda? – Nadżoud próbowała mówić cicho, ale jej głos odbijał się echem od ścian sali.

Ahmed głośno westchnął.

– Obym smażył się przez wieczność w piekle, jeśli skłamałem.

– Wiem, że nie skłamałeś, Ahmedzie – stwierdził ze smutkiem Hakim. – Czyż nie byłem tutaj, kiedy chan wydał wyrok? Byłem tutaj, Nadżoud, i była tutaj Jej Wysokość, moja siostra. Współczuję ci...

– Ale ty możesz się zlitować! – wrzasnęła Nadżoud. – Proszę, wybacz mi!

– Oczywiście, Nadżoud. Ja ci wybaczam. Zostałaś ukarana za to, że złożyłaś fałszywą przysięgę w obliczu Boga, a nie za to, że powiedziałaś nieprawdę o mnie i mojej siostrze, skazując nas na długie lata poniewierki i odbierając nam miłość ojca. To drugie ci wybaczymy, prawda, Azadeh?

– Tak, to zostało ci wybaczone.

– To zostało ci szczerze wybaczone. Ale nie kłamstwo w obliczu Boga. Chan wydał wyrok. Nie mogę go unieważnić.

– Nic o tym nie wiedziałem, Wasza Wysokość – zawołał nagle, wybuchając płaczem, Mahmud. – Nic, przysięgam na Boga! Wierzyłem w jej kłamstwa. Rozwiodeę się z nią za to, że cię zdradziła! Nigdy nie wiedziałem nic o jej kłamstwach!

Obecni w Wielkiej Sali patrzyli, jak się oboje płaszczą, niektórzy nienawidząc ich, inni gardząc za słabość, jaką okazali, kiedy jeszcze mieli władzę.

– Jutro o świcie, Mahmudzie, ty i twoja rodzina zostaniecie wygnani na pustynię na północ od Meshedu – oznajmił ze smutkiem w głosie Hakim. – Bez pieniędzy i pod strażą. Pozostaniecie tam tak długo, jak mi się spodoba. Co się tyczy rozwodu, w moim domu jest on zakazany. Jeśli chcesz się rozwieść na północ od Meshedu... InszAllah. Ale, jeśli nawet to zrobisz, pozostaniesz tam tak długo, jak mi się spodoba.

Byłeś niezrównany, pomyślał z radością. Wszyscy oczywiście zdawali sobie sprawę, że to twoja pierwsza próba. Byłeś niezrównany! Ani razu nie okazałeś, jak bardzo się cieszysz, ani razu nie podniosłeś głosu, zachowałeś spokój i powagę, tak jakbyś rzeczywiście był zasmucony wydanym przez ojca wyrokiem, lecz, zgodnie z prawdą, nie mógł go zmienić. Na koniec zaś pozostawiłeś im rąbek nadziei, mówiąc, że pozostaną na wygnaniu tak długo „jak ci się spodoba”. Twoją wolą jest, aby nie wrócili stamtąd nigdy, a jeśli zaczną spiskować, zdmuchniesz ich niczym płomień starej

świacy. Na Boga i Jego Proroka, duch mojego ojca, który oby przez wieczność smażył się w piekle za to, że uwierzył w złośliwe kłamstwa tej starej jędzy, będzie na pewno dumny z nowego chana Gorgonów.

Za tyle rzeczy trzeba podziękować Bogu, myślał, urzeczony blaskiem ozdabiających Koran klejnotów. Czyż długie lata wygnania nie nauczyły cię skrywania prawdziwych zamiarów, podstępów i cierpliwości? Teraz musisz umocnić swoją władzę, obronić Azerbejdżan, podbić świat, znaleźć sobie żony, wychować synów i zapoczątkować nową dynastię. A Nadżoud i jej bachory niechaj zgniją w rynsztoku!

O świcie wraz z Ahmedem asystował „z zalem” przy ich wyjeździe. Nalegał, żeby nie uczestniczył w tym nikt z rodziny.

– Po co powiększać ich i mój smutek?

Obserwował, jak, wykonując jego rozkaz, Ahmed i strażnicy rewidują sterty bagażu, zabierając wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, tak że w końcu zostało po jednej walizce na Nadżoud, Mahmuda i każde z trojga dzieci, które patrzyły z przerażeniem na to, co się dzieje.

– Oddaj biżuterię, kobieto! – rozkazał Ahmed.

– Zabraliście już wszystko... wszystko... proszę, Hakimie, Wasza Wysokość... proszę... – szlochała Nadżoud.

Ukryty w specjalnym schowku w walizce woreczek z biżuterią dołączył już wcześniej do stosu kosztowności. Ahmed zerwał jej z szyi medalion i rozdarł kołnierzyk sukni. Pod spodem miała kilkanaście ciężkich naszyjników: brylanty, rubiny, szmaragdy i szafiry.

– Skąd to masz? – zapytał zaskoczony Hakim.

– Dostałam od... od mojej matki... i kupowałam przez wszystkie te lata... – Nadżoud przerwała widząc, jak Ahmed wyjmuje nóż z pochwy. – Już dobrze... dobrze... – załkała, część naszyjników zdejmując przez głowę, inne rozpinając i podając mu je. – Teraz masz już wszystko...

– Pierścionki!

– Proszę mi coś zostawić, Wasza Wy... – Wrzasnęła, gdy Ahmed złapał niecierpliwie jej palec, żeby uciąć go wraz z pierścionkiem. Ściągnęła szybko pierścionki i bransolety schowane pod rękawem i wyjąc z rozpaczyci rzuciła je na podłogę. – Teraz masz już wszystko...

– Podnieś to i podaj Jego Wysokości. Na kolanach! – syknął Ahmed, a kiedy nie usłuchała od razu, złapał ją za włosy i przycisnął twarz do podłogi.

Czołgając się, wykonała rozkaz.

To była prawdziwa rozkosz, pomyślał Hakim, przeżywając na nowo każdą sekundę ich poniżenia. A po śmierci niechaj smażą się w piekle.

Po raz ostatni pokłonił się i odłożywszy rozmowę z Bogiem do następnej, południowej, modlitwy, zerwał się na nogi czując, jak rozpiera go energia. Pokojówka na klęczkach naląła mu kawę; zobaczył lęk w jej oczach i bardzo go to ucieszyło. Wiedział, że musi od pierwszej chwili pokazać, kto tu jest panem. Wczoraj rano przeprowadził inspekcję pałacu. Kuchnia wydała mu się nie dość czysta, w związku z czym kazał zbić do nieprzytomności i wyrzucić za bramę pierwszego kucharza; następnie wyznaczył na jego miejsce drugiego kucharza, udzielając mu groźnego ostrzeżenia. Wyrzucił czterech strażników za to, że spali na służbie, i kazał wychłostać dwie pokojówki za opieszałość.

– Ależ, kochany Hakimie, przecież nie musiałeś ich chłostać – powiedziała Azadeh, kiedy zostali sami.

– Za dzień albo dwa nie będzie już takiej potrzeby. Służba dostosuje się do moich wymagań.

– Oczywiście sam wiesz najlepiej, kochany. Co z okupem?

– Ach tak, rzeczywiście.

Posłał po Ahmeda.

– Przykro mi, Wasza Wysokość, ale chan, pański ojciec, kazał wczoraj po południu poderznąć gardło posłańcowi.

Oboje, Hakim i Azadeh, zmartwieli z przerażenia.

– Ależ to straszne! Co teraz możemy zrobić? – zawołała Azadeh.

– Spróbuję się skontaktować z góralami... ponieważ chan, pański ojciec, zmarł, może zechcą pertraktować od nowa. Spróbuję...

Siedząc na tronie chana, Hakim spostrzegł skrywaną pod płaszczkiem uprzejmości pychę Ahmeda i zorientował się, że wpadł w potrzask.

– Wróc do mnie za pół godziny, Azadeh – powiedział, obracając na palcu pierścień ze szmaragdem.

– Oczywiście – odparła posłusznie.

– Jaką broń nosisz? – zapytał Ahmeda, gdy wyszła.

– Nóż i pistolet, Wasza Wysokość.

– Daj mi je.

Waliło mu serce i zaschło w ustach, ale musiał to zrobić, musiał to zrobić, kiedy byli sami. Ahmed usłuchał po krótkim wahaniu, najwyraźniej niezadowolony z tego, że został bez broni. Ale Hakim udał, że tego nie widzi. Sprawdził zamek pistoletu i w zamyśleniu odbezpieczył go.

– Posłuchaj mnie uważnie, doradco: nie będziesz próbował skontaktować się z góralami, po prostu skontaktujesz się z nimi, i to bardzo szybko, tak aby mąż mojej siostry wrócił bezpiecznie do pałacu. Od tego zależy twoja głowa, na Boga i Jego Proroka!

– Tak, oczywiście, Wasza Wysokość – odparł Ahmed, starając się powściągnąć złość.

Hakim leniwie wycelował z pistoletu w jego głowę i wziął go na muszkę.

– Przysięgłem na Boga uważać cię za pierwszego powiernika – oznajmił z krzywym uśmiechem – i będę cię za takiego uważać... póki żyjesz. Jeśli nawet zostaniesz okaleczony, wykastrowany lub oślepiony przez swoich nieprzyjaciół. Czy masz jakichś nieprzyjaciół, Turkmenie Ahmedzie Dursaku?

Ahmed roześmiał się z ulgą, zdając sobie sprawę, że ma przed sobą prawdziwego chana, a nie szczeniaka, którego się spodziewał; zawsze łatwiej porozumieć się z mężczyzną, pomyślał, odzyskując pewność siebie.

– Wielu, Wasza Wysokość, wielu. Czyż wartości mężczyzny nie ocenia się po tym, ilu i jakich ma wrogów? InszAllah! Nie wiedziałem, że tak dobrze potrafi pan posługiwać się bronią.

– Jest wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz, Ahmedzie – oświadczył z ponurą satysfakcją Hakim, ciesząc się z odniesionego zwycięstwa. Oddał mu nóż, ale zostawił sobie pistolet. – Zachowam to jako bakszysz. Przez rok i jeden dzień nie będziesz do mnie przychodził uzbrojony.

– Jak mam cię w takim razie bronić, Wasza Wysokość?

– Swoim sprytem. Musisz się czymś wykazać. Przede mną. Tylko przede mną. – Hakim pozwolił sobie na okazanie agresji, którą przez tyle lat taił. – To, co zadowalało mojego ojca, nie musi zadowalać mnie. Nastąpiła nowa era, a wraz z nią pojawiły się nowe możliwości i nowe zagrożenia. Pamiętaj, na Boga, że w moich żyłach płynie krew Abdollaha.

Pozostałą część dnia i wieczór spędził, przyjmując wizyty ważnych osobistości z Tabrizu i całego Azerbejdżanu. Pytał ich o powstanie i lewaków, o mudżahedinów, fedainów i inne frakcje. Przybyli kupcy z bazaru, mułlowie, dwóch ajatollahów, miejscowi dowódcy wojskowi oraz jego kuzyn, szef policji, którego zatwierdził na stanowisku. Wszyscy przynieśli mu prezenty.

Tak jak powinni, pomyślał zadowolony, pamiętając, jak gardzili nim w przeszłości, gdy nie miał ani grosza i wiedziano powszechnie, że przebywa w Choju na wygnaniu. Ta pogarda będzie ich wszystkich drogo kosztować.

– Kąpiel jest gotowa, Wasza Wysokość. Ahmed czeka na zewnątrz.

– Wprowadź go, Isztar. I nie wychodź.

Hakim patrzył, jak otwierają się drzwi. Ahmed był zmęczony, jego ubranie pogniecione.

– Salaam, Wasza Wysokość.

– Co z okupem?

– Późnym wieczorem odnalazłem górali. Było ich dwóch. Powiedziałem im, że Abdollah nie żyje, a nowy chan w dowód dobrej woli kazał mi natychmiast wypłacić połowę okupu i obiecał, że resztę dostaną po bezpiecznym powrocie pilota. Pojechali na północ naszym samochodem z zaufanym kierowcą. Drugi samochód ma ich dyskretnie śledzić.

– Wiesz, co to za jedni? Gdzie leży ich wioska?

– Powiedzieli, że są Kurdami; jeden nazywa się Iszmud, drugi Alilah. Ich wodzem jest niejaki al-Drah, a wioska nosi nazwę Złamane Drzewo i leży w górach na północ od Choju. Ale moim zdaniem to wszystko kłamstwa, Wasza Wysokość. Nie są wcale Kurdami, ale zwykłymi górskimi bandytami.

– Dobrze. Skąd wzięłeś pieniądze, żeby im zapłacić?

– Chan, pański ojciec, powierzył mi dwadzieścia milionów riali na nagłe wydatki.

– Przynieś mi resztę przed zachodem słońca.

– Tak jest, Wasza Wysokość.

– Czy jesteś uzbrojony?

– Mam przy sobie tylko nóż, Wasza Wysokość – odparł zaskoczony Ahmed.

– Oddaj mi go – rozkazał Hakim i wziął podany rękojeścią do przodu nóż ciesząc się, że Ahmed sam wpadł w zastawioną na niego pułapkę. – Czyż nie powiedziałem, byś przez rok i jeden dzień nie przebywał uzbrojony w mojej obecności?

– Ale... ponieważ oddałeś mi nóż, Wasza Wysokość, myślałem... myślałem, że nóż...

Ahmed umilkł widząc, że Hakim stoi przed nim, szykując się do ciosu. Zjeżyły mu się włosy na karku. Utkwione w nim ciemne oczy były tak samo twarde jak oczy jego ojca. Stojący z tyłu Isztar obserwował całą scenę z otwartymi ze zdziwienia ustami.

– Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość, myślałem, że mam pańskie pozwolenie – wyjąkał przerażony doradca.

Hakim-chan patrzył na niego jeszcze przez chwilę, a potem uderzył. Wymierzone precyzyjnie ostrze przecięło płaszcz Ahmeda i zadrasnęło skórę, a następnie wycofało się, gotowe do zadania ostatecznego pchnięcia. Ale chan nie zrobił tego, choć korciło go, żeby przelać krew, i był po temu odpowiedni czas. Wciąż jeszcze potrzebował Ahmeda.

– Zwracam ci... zwracam ci twoje ciało – oświadczył, używając tego słowa z pełną świadomością. – Nietknięte, po raz ostatni.

– Tak jest, Wasza Wysokość, dziękuję, Wasza Wysokość – wymamrotał Ahmed, padając na kolana i dziwiąc się, że jeszcze żyje. – To... to się już nigdy nie powtórzy.

– Na pewno się nie powtórzy. Zaczekaj na zewnątrz, Isztar.

Hakim-chan spoczął z powrotem na poduszkach i bawiąc się nożem czekał, aż opadnie mu poziom adrenaliny. Pamiętał, że zemsta jest daniem, którym najlepiej rozkoszować się na zimno.

– Opowiedz mi wszystko, co wiesz o tym Sowiecie Mzytryku. Co wiedział o moim ojcu i co mój ojciec wiedział o nim?

Ahmed wykonał rozkaz. Opowiedział Hakimowi wszystko, czego przez długie lata dowiedział się od Abdollaha: o dacy pod Tbilisi, którą sam też odwiedzał, o tym, jak chan kontaktował się z Mzytrykiem, jakie mieli tajne hasła, jakie groźby wysunął Haszemi Fazir, co było w liście od Mzytryka, a także co podsłuchał i zaobserwował w ciągu ostatnich dni.

Hakim wypuścił ze świstem powietrze z ust.

– Mój ojciec chciał zabrać moją siostrę... chciał zabrać ją na tę daczę i dać ją Mzytrykowi?

– Tak, Wasza Wysokość. Kazał mi wysłać ją na północ, gdyby musiał wyjechać do szpitala w Teheranie.

– Wezwij Mzytryka. Pilnie. Zrób to natychmiast.

– Tak jest, Wasza Wysokość – odparł Ahmed, wciąż drżąc na myśl, co mogło mu się przed chwilą przytrafić. – Najlepiej będzie przypomnieć mu od razu o obietnicach, które złożył Abdollah-chanowi, i dodać, że oczekuje pan ich spełnienia.

– Dobrze, bardzo dobrze. Czy powiedziałaś mi wszystko?

– Wszystko, co teraz pamiętam – odpowiedział szczerze Ahmed. – Są jeszcze inne sprawy... z czasem przypomnę sobie i przekażę panu wszystkie sekrety chana Gorgonów. I jeszcze raz przysięgam w imieniu Boga, że będę panu wiernie służyć.

Powiedziałem ci wszystko, pomyślał z pasją, z wyjątkiem tego, jak oddał życie chan i tego, że teraz jeszcze bardziej niż przedtem pragnę pojąć za żonę Azadeh. W jakiś sposób zmuszę cię do udzielenia zgody. Ona będzie moją jedyną tarczą przeciw tobie, pomioście szatana!

W POBLIŻU TABRIZU, 7.20.

Dwieściedwunastka wyłoniła się zza grzbietu zalesionego wzgórza. Przez całą drogę Erikki leciał tuż nad wierzchołkami drzew, omijając drogi, lotniska, miasteczka i wioski, myśląc tylko o Azadeh i zemście na Abdollah-chanie. Nagle tuż przed sobą zobaczył mknące ku niemu miasto i opadły go obawy.

– Gdzie jest pałac, pilocie?! – wrzasnął podekscytowany szejk Bajazid. – Gdzie jest pałac?!

– Za szczytem wzniesienia, aga – odparł do mikrofonu.

Może lepiej będzie, jeśli to przeanalizujemy, zastanowimy się, czy atak jest mądrym posunięciem, chciał dodać, lecz wewnętrzny głos podpowiadał mu: to twoja jedyna szansa, Erikki, nie możesz zmieniać planu. Ale jak, u licha, miał zamiar uciec z pałacu i przed tą bandą szaleńców?

– Każ swoim ludziom zapiąć pasy i nie rozpinać ich, póki nie wylądujemy. Dwaj niech zostaną i pilnują helikoptera. Powiedz im, że odpowiadają za niego głową. Przed lądowaniem policzę do dziesięciu, a potem... potem was poprowadzę.

– Gdzie jest pałac? Nigdzie go nie widzę.

– Za szczytem wzniesienia, minutę drogi stąd... uprzedź ich!

Drzewa zlewały się w jedną plamę. Oczy utkwione miał w uskoku grani, horyzont przechylał się w prawo i w lewo.

– Chcę mieć broń – powiedział.

Bajazid wyszczerzył zęby.

– Żadnej broni, dopóki nie opanujemy pałacu.

– Wtedy nie będę już jej potrzebował – stwierdził i zaklął. – Muszę mieć...

– Możesz mi ufać. Musisz mi ufać. Gdzie jest ten pałac Gorgonów?

– Tam! – Erikki wskazał wzniesienie dokładnie przed nimi. – Dziesięć, dziewięć, osiem...

Zdecydował, że nadleci od wschodu, mając miasto po prawej stronie i wypadając w ostatniej chwili znad zalesionego wzniesienia. Zostało jeszcze pięćdziesiąt jardów. Żołądek zacisnął mu się w węzeł.

Mknęły ku nim skały. Bardziej poczuł, niż usłyszał krzyk Bajazida, wyciągającego ręce w obawie przed nieuniknionym zderzeniem, a potem przeleciał nad uskokiem i pognął w dół, ku murom pałacu. Dokładnie w ostatniej chwili wyłączył ciąg, przeskoczył kilka cali nad krawędzią muru, przechylił lekko helikopter i uruchomiwszy procedurę awaryjnego lądowania, pozwolił mu swobodnie osiąść na ziemi. Dwieściedwunastka przesunęła się kilka jardów, zgrzytając płozami po płytach dziedzińca i znieruchomiła. Erikki prawą ręką wyłączył bezpieczniki, lewą odpiął pas, po czym odsunął drzwi, wyskoczył pierwszy na zewnątrz i pognął w stronę schodów. Tuż za nim biegł Bajazid; przez otwarte drzwi kabiny wyskakiwali zderzając się ze sobą pozostali górale. Łopaty wirnika wciąż się obracały, ale silniki przestały pracować.

Kiedy otworzył frontowe drzwi, z drugiej strony dobiegło do nich kilku służących oraz zdziwiony nagłym hałasem strażnik. Erikki wyrwał mu z rąk strzelbę i ogłuszył uderzeniem pięści. Służący rozpięchli się z krzykiem; niektórzy go poznali. Po kilku sekundach korytarz przed nim opustoszał.

– Szybciej! – wrzasnął.

Po chwili dołączył do niego Bajazid z garstką swoich ludzi. Pobiegli korytarzem, a potem po schodach na górę. Jakiś strażnik wystawił głowę znad balustrady i wycelował w Erikkiego, ale górale zasypali go gradem kul. Erikki przeskoczył trupa i pędził dalej.

W głębi korytarza otworzyły się drzwi i wyskoczył zza nich strzelając kolejny strażnik. Erikki poczuł, że pociski przeszywają jego kurtkę; on sam nie został trafiony. Bajazid położył trupem strażnika, który osunął się po framudze, i razem z Finem pobiegli dalej do pokoju chana. Erikki wyważył kopniakiem drzwi. Z pomieszczenia posypały się kule. Nie dosięgły Fina ani szejka, lecz mężczyznę, który biegł za nimi. Pozostali pochowali się, a ciężko ranny góral zaatakował strażnika, który go trafił, odpowiadając ogniem na kolejne dosięgające go pociski.

Na sekundę albo dwie zapadła cisza, a potem przerażony Erikki zobaczył, że Bajazid wyciąga granat i rzuca go do pokoju. Eksplozja była potężna, przez drzwi buchnęły kłęby dymu. Bajazid skoczył do środka z gotową do strzału bronią; Erikki wbiegł tuż za nim.

Pokój był zniszczony, okna wybite, zasłony oraz dywany, które służyły za posłanie, porwane w strzępy. Przy ścianie leżały skrecone zwłoki strażnika. W alkowie w drugim końcu pokoju zanosila się szlochom pokojówka, obok leżał przewrócony do góry nogami stół i dwa nieruchome ciała przykryte obrusem i skorupami potłuczonych naczyń. Serce zamarło Erikkiemu w piersi, gdy rozpoznał Azadeh. Podbiegł, ściągnął z niej obrus i skorupy – kątem oka dostrzegł, że drugą osobą jest Hakim – a potem wziął na ręce jej bezwładne ciało i zaniósł do światła. Odetchnął dopiero, gdy stwierdził, że Azadeh żyje – była nieprzytomna, Bóg jeden wiedział, jakie odniosła obrażenia, ale żyła. Miała na sobie długi błękitny peniuar z kaszmiru, osłaniający całe ciało, lecz jednocześnie wiele obiecujący. Górali, którzy wbiegli do pokoju, olśniła jej uroda. Erikki zdjął lotniczą kurtkę i przykrył ją, nie zwracając na nich uwagi.



– Azadeh... Azadeh...

– Kto to jest, pilocie?

Przez zasnuwającą mu oczy mgłę Erikki zobaczył stojącego przy szczątkach stołu Bajazida.

– To Hakim, brat mojej żony. Jest martwy?

– Nie.

Bajazid rozejrzał się dookoła z wściekłością. Nie widział miejsca, w którym mógł się ukryć chan. Jego ludzie tłoczyli się w progu. Klnąc głośno, kazał im wyjść i zająć pozycje obronne po obu stronach korytarza oraz na patio. A potem podszedł do Erikkiego i spojrzał na pobladłą twarz Azadeh i widoczny pod kaszmiem zarys jej piersi i nóg.

– To twoja żona?

– Tak.

– Żyje. To dobrze.

– Tak, ale Bóg jeden wie, czy nie jest ciężko ranna. Muszę ją zawieźć do lekarza.

– Później. Wpierw musimy...

– Teraz! Ona może umrzeć!

– Jak Bóg da, pilocie – mruknął Bajazid. – Powiedziałeś, że wszystko wiesz – wrzasnął gniewnie – wiesz, gdzie będzie chan! Pytam cię, w imię Boga, gdzie on jest?

– To jego prywatne apartamenty, aga. Nigdy nie widziałem tu nikogo innego, nie słyszałem, żeby wchodził tu ktoś obcy. Nawet jego własna żona przychodziła tu tylko, kiedy ją zaprosił... – Na dworze rozległy się strzały i Erikki przerwał. – Skoro są tu Azadeh i Hakim, on też tu musi być.

Rozejrzał się po pokoju, ułożył Azadeh jak mógł najlepiej i podbiegł do okien – były zakratowane, chan nie mógł przez nie uciec. Stąd, z obronnego bastionu pałacu, nie widać było dziedzińca ani helikoptera, tylko leżące na południu za murami ogrody, sady i odległe o milę miasto. Na razie nie zaatakowali ich jeszcze inni strażnicy. Odwracając się, spostrzegł kątem oka jakiś ruch w alkowie, zobaczył pistolet i odepchnął na bok Bajazida, ratując go przed przeznaczoną dla niego kulą. Zanim inni górale zdążyli zareagować, rzucił się na leżącego na pobojowisku Hakima, przygwoździł go do podłogi i wyrwał z ręki broń.

– Nic ci nie grozi, Hakim! – wrzasnął, chcąc wyjaśnić mu, co się dzieje. – To ja, Erikki, jesteśmy przyjaciółmi, przylecieliśmy uratować ciebie i Azadeh przed chanem... przylecieliśmy cię uratować!

– Uratować mnie... uratować mnie przed czym? – Wciąż półprzytomny Hakim patrzył na niego w osłupieniu. Krew sączyła się z małej rany na jego głowie. – Uratować?

– Przed chanem... – Erikki zobaczył, jak oczy Hakima rozszerzają się z przerażenia, odwrócił się i zatrzymał w ostatniej chwili kolbę strzelby Bajazida. – Zaczekaj, aga, zaczekaj, to nie jego wina, jest półprzytomny... zaczekaj, on celował nie w ciebie, ale we mnie. Pomoże nam! Zaczekaj!

– Gdzie jest Abdollah-chan?! – ryknął Bajazid. Jego ludzie stali za nim z odbezpieczoną, gotową do strzału bronią. – Mów szybko albo już po was!

Hakim milczał.

– Na litość boską – syknął Erikki. – Powiedz im, bo obaj zginiemy!

– Abdollah-chan nie żyje, nie żyje... zmarł wczoraj... nie, przedwczoraj. Zmarł przedwczoraj koło północy – wyjąkał Hakim.

Napastnicy patrzyli na niego z niedowierzaniem. Powoli zbierał myśli, lecz nie pojmował, dlaczego leży tu z obolałą głową i bezwładnymi nogami, dlaczego trzyma go Erikki, skoro Erikkiego porwali górale. Siedział z Azadeh przy śniadaniu, kiedy rozległy się strzały i schowali się

w alkowie. Strażnicy odpowiadali ogniem, a potem nastąpił wybuch. Zapłacił przecież połowę okupu.

Nagle rozjaśniło mu się w głowie.

– Na Boga, Erikki! – jęknął, próbując bezskutecznie wstać. – Dlaczego nas zaatakowałeś?

Połowa okupu została przecież zapłacona... dlaczego?

Fin podniósł się zdenerwowany.

– Nie było żadnego okupu. Posłańcowi poderżnięto gardło! Abdollah-chan kazał poderżnąć mu gardło!

– Ale okup... połowa okupu została wypłacona. Zrobił to wczoraj Ahmed!

– Zapłacił? Komu zapłacił? – warknął Bajazid. – Co to za kłamstwa?

– Wcale nie kłamstwa, połowa została zapłacona przez nowego chana w dowód dobrej woli po błędzie, jaki popełniono z posłańcem. Przysięgam na Boga, połowa została zapłacona!

– Kłamstwo – syknął Bajazid, biorąc go na muszkę. – Gdzie jest chan?

– To nie kłamstwo! Czyż skłamałbym w obliczu Boga? Przysięgam na Boga! Na Boga! Poślijcie po Ahmeda, poślijcie po niego, on im zapłacił.

Jeden z górali krzyknął coś i Hakim pobladł.

– W imię Boga – powtórzył po turecku – połowa okupu została już wypłacona! Abdollah-chan nie żyje! Chan nie żyje i połowa okupu została zapłacona. – Przez pokój przeszedł pomruk zdziwienia. – Poślijcie po Ahmeda, on powie wam prawdę. O co walczyacie? Nie ma powodu do walki.

– Abdollah-chan nie żyje, połowa okupu została zapłacona i wkrótce otrzymasz drugą połowę – odezwał się Erikki. – To oznacza, że zmyłeś plamę na swoim honorze, aga. Zrób to, o co prosi Hakim, i poślij po Ahmeda. On powie ci, komu i jak zapłacił.

Bajazid i jego ludzie nienawidzili zamkniętych pomieszczeń, chcieli jak najszybciej znaleźć się na otwartej przestrzeni, w górach, daleko od tych złych ludzi i pałacu, w którym czuli się zdradzeni. Ale jeśli Abdollah rzeczywiście nie żyje, a połowa okupu została zapłacona...

– Idź i sprowadź tego Ahmeda, pilocie – rozkazał Bajazid, odbierając Erikkiemu pistolet. – I pamiętaj, jeśli mnie oszukasz, oderżnę twojej żonie nos. – Idź po niego!

– Tak, tak, oczywiście.

– Erikki... wpierw pomóż mi wstać – wyszeptał słabym ochrypłym głosem Hakim.

Fin podniósł go z łatwością, precyzyjnie się między góralami i ułożył chana na sofie obok Azadeh. Obaj widzieli, jak bardzo pobladła, ale zauważyli również, że ma regularny oddech.

– Bogu niech będą dzięki – mruknął Hakim.

A potem Erikki kolejny raz miał wrażenie, że spełniają się jego najgorsze sny. Nie uzbrojony wyszedł z pokoju, stanął u szczytu schodów i zaczął wołać na Ahmeda, żeby nie strzelał.

– Ahmed! Ahmed! Muszę z tobą porozmawiać! Jestem sam...

Zszedł na dół, lecz nikogo nie widział, nikt nie strzelał. Nie przestawał wzywać Ahmeda; jego krzyk odbijał się głuchym echem od ścian komnat, do których zaglądał. Nigdzie nikogo nie było, wszyscy zniknęli, a potem nagle spojrzął w lufę pistoletu i poczuł, jak druga wbija mu się w plecy. To byli Ahmed i strażnik, obaj bardzo zdenerwowani.

– Mów szybko, Ahmed! Czy to prawda, że Abdollah nie żyje, że jest nowy chan i połowa okupu została zapłacona?

Ahmed milczał, wbijając w niego wzrok.

– Na litość boską, czy to prawda?

– Tak, to prawda. Ale...

– Szybko, musisz im powiedzieć! – Erikki odetchnął z ulgą, ponieważ nie do końca wierzył Hakimowi. – Szybko, bo zabijają jego i Azadeh!

– To znaczy... że oni nie zginęli?

– Oczywiście, że nie! Chodź!

– Zaczekaj! Co dokładnie powiedział Jego Wysokość?

– Jakie to, do diabła, ma znaczenie...

Lufa dotknęła twarzy Fina.

– Co dokładnie powiedział?

Erikki wyteżył pamięć i powtórzył mu, jak mógł najlepiej rozkaz Hakima.

– No już, na miłość boską, pośpiesz się! – dodał.

Ahmedowi zdawało się, że czas stanął w miejscu. Jeśli pójdzie z tym niewiernym, zapewne zginie. Zginie również Hakim-chan i jego siostra, a niewierny, który ponosił odpowiedzialność za cały ten atak, prawdopodobnie ucieknie z tymi diablami. Z drugiej strony, jeśli zdoła przekonać ich, żeby nie zabijali chana i jego siostry i opuścili pałac, udowodni ponad wszelką wątpliwość, jak bardzo jest przydatny chanowi. Pilota mógł zabić później. Mógł też zrobić to teraz, mógł bez trudu uciec i ocalić życie – i na zawsze pozostać już pogardzanym przez wszystkich zbiegiem, który zdradził chana. InszAllah! Jego twarz wykrzywił uśmiech.

– Jak Bóg da! – powiedział, oddając nóż i pistolet blademu jak kreda strażnikowi i ruszając za Erikkim.

– Chwileczkę – powstrzymał go Fin. – Powiedz strażnikowi, żeby sprowadzili lekarza. Pilnie. Hakim i moja żona... mogą być poważnie ranni.

Ahmed kazał strażnikowi to zrobić i ruszyli razem na górę. Górale na piętrze sprawdzili, czy nie ma broni, a potem przepychając się, zaprowadzili go do pokoju chana. Erikkiego zatrzymali przy drzwiach, przystawiając mu nóż do gardła.

– Chwała Bogu – mruknął Ahmed, widząc, że chan rzeczywiście żyje i siedzi oszołomiony na sofie obok nieprzytomnej Azadeh. – Posłałem już po doktora, Wasza Wysokość – powiedział spokojnie. – Jestem Ahmed Dursak, Turkmen – oznajmił dumnie, zwracając się po turecku do Bajazida. – Bóg mi świadkiem, to prawda, że Abdollah-chan nie żyje i prawda, że w imieniu nowego chana zapłaciłem wczoraj połowę okupu... pięć milionów riali... dwóm wysłańcom wodza al-Draha z wioski Złamane Drzewo, aby okazać dobrą wolę po nieuzasadnionej i haniebnej śmierci, która spotkała waszego posłańca z rozkazu zmarłego Abdollah-chana. Nazywali się Iszmud i Alilah i wyprawiłem ich na północ wygodną limuzyną.

Przez pokój przeszedł pomruk zdziwienia. Nie mogło być mowy o pomyłce: wszyscy znali fikcyjne imiona, nadane posłańcom, by chronić wioskę i szczep.

– W imieniu nowego chana zapewniłem ich, że druga połowa zostanie wypłacona, kiedy pilot wróci bezpiecznie, razem z helikopterem – dodał Ahmed.

– Gdzie jest ten nowy chan, jeśli w ogóle istnieje? – zapytał z przekąsem Bajazid. – Niech mówi sam za siebie.

– Ja jestem chanem wszystkich Gorgonów – oznajmił Hakim i zapadła nagle cisza. – Jestem Hakim-chan, najstarszy syn Abdollah-chana.

Oczy wszystkich zwróciły się na szejka, który dostrzegł niekłamane zdziwienie na twarzy

Erikkiego.

– To, że tak mówisz, nie znaczy jeszcze... – zaczął niepewnie.

– Zarzucasz mi kłamstwo w moim własnym domu?

– Mówiłem do tego człowieka – wyjaśnił Bajazid, wskazując kciukiem Ahmeda. – To, że mówi, iż zapłacił okup, połowę okupu, nie oznacza wcale, że go zapłacił, że nie zabił posłańców, tak jak zabito, na Boga, pierwszego!

– Powiedziałem prawdę, Bóg mi świadkiem, i przysięgam ponownie przed Bogiem, że wysłałem ich na północ z pieniędzmi – syknął Ahmed. – Daj mi nóż, sam też go weź, a pokażę ci, jaki los czeka człowieka, który zarzuca Turkmenowi kłamstwo! – Górale zorientowali się z przerażeniem, że ich przywódca postawił się w nader niezręcznej sytuacji. – Zarzuciłeś kłamstwo mnie i mojemu chanowi?

Leżąca na sofie Azadeh poruszyła się i jęknęła i to odwróciło na chwilę ich uwagę. Erikki chciał do niej podbiec, ale góral, który przystawiał mu nóż do gardła, zaklął i wcisnął go głębiej. Kolejny jęk Azadeh omal nie doprowadził Fina do szaleństwa, lecz potem zobaczył, że Hakim przysuwa się do siostry i bierze ją za rękę, i to pomogło mu ukoić nerwy.

Hakim bał się; bolało go całe ciało, wiedział, że jest bezbronny, że jego siostra potrzebuje lekarza, Ahmed i Erikki nie mogą mu pomóc, jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie, a władza nad chanatem legła w gruzach. Nie bacząc na to, zmobilizował całą odwagę. Nie po to przechytrzyłem Abdollah-chana, Nadżoud i Ahmeda, żeby teraz oddać owoce zwycięstwa tym psom! Spokojnie utkwiał wzrok w szejku.

– No? Czy nazwałś Ahmeda kłamcą? Tak czy nie? – zapytał ostro po turecku, żeby pozostali górale mogli go zrozumieć. Ahmed pokochał go za jego odwagę. – Mężczyzna musi odpowiedzieć na takie pytanie. Nazwałś go kłamcą?

– Nie – wymamrotał Bajazid. – Powiedział prawdę. Przyjmuję to, co powiedział, za prawdę.

– InszAllah – mruknął ktoś. Zaciśnięte na spustach palce cofnęły się, ale atmosfera pozostała nerwowa.

– Wola boska – powiedział Hakim, starając się ukryć ulgę. Z każdą chwilą coraz bardziej panował nad sytuacją. – Dalsza walka nic nie da. Połowę okupu już zapłacono, a drugą połowę obiecałem po uwolnieniu pilota. – Umilkł na chwilę czując, że robi mu się niedobrze, ale opanował mdłości i przyszło mu to łatwiej niż poprzednio. – Pilot jest tutaj i jest tutaj jego helikopter, a zatem wypłacę natychmiast drugą połowę.

Zobaczył w ich oczach chciwość i poprzysiągł im zemstę.

– Ahmedzie, tam przy stole. Leży tam gdzieś sakiewka Nadżoud.

Patrzył, jak Ahmed odpycha arogancko na bok górali i szuka wśród szczątków miękkiej skórzanej sakiewki z biżuterią. Pokazywał ją Azadeh tuż przed atakiem, wyjaśniając, że Nadżoud ukradła te rodzinne klejnoty, a potem, w akcie skruchy, oddała tuż przed swoim odejściem.

– Cieszę się, że nie uległeś jej błaganiom, Hakimie, bardzo się cieszę – stwierdziła Azadeh. – Nigdy nie byłbyś bezpieczny, gdyby została tutaj ze swoimi dziećmi.

Nigdy już nie będę bezpieczny, pomyślał bez lęku, obserwując Ahmeda. Jak to dobrze, że go nie zabiłem, jak to dobrze, że schroniłem się z Azadeh w alkwie na pierwszy odgłos strzałów. Gdybyśmy siedzieli dalej pośrodku pokoju... InszAllah. Obejmował palcami nadgarstek siostry; ciepło jej ciała pozwalało mieć nadzieję, oddech miała regularny.

– Chwała Bogu – mruknął, a potem zobaczył, że górale terroryzują Erikkiego nożem.

– Puśćcie pilota – rozkazał władcym tonem.

Zdezorientowani brodacze spojrzeli na Bajazida, który kiwnął głową. Erikki natychmiast podbiegł do Azadeh, podwijając po drodze sweter, żeby łatwiej było mu wyjąć nóż schowany pośrodku pleców. Klęknąwszy, wziął żonę za rękę i odwrócił się do Bajazida, osłaniając ją i Hakima.

– Proszę, Wasza Wysokość – powiedział Ahmed, podając sakiewkę Hakimowi, który otworzył ją leniwie i wysypał na obie dłonie kosztowności: szmaragdy, brylanty i szafiry, inkrustowane złote bransolety i kolie.

Przez salę przeszło głośnie westchnienie. Hakim wybrał rubinowy naszyjnik wart od dziesięciu do piętnastu milionów riali, udając, że nie widzi utkwionych w nim spojrzeń, nie czuje zapachu chciwości, który wypełnił pokój. A potem odrzucił nagle rubiny i wybrał kolie z brylantem, wartą dwa, trzy razy więcej.

– Oto pełna zapłata – powiedział po turecku i podał kolie Bajazidowi, który podszedł bliżej z wyciągniętą ręką, wpatrując się jak zahipnotyzowany w blask pojedynczego kamienia. Zanim zdążył go wziąć, Hakim zamknął dłoń. – Przysięgnij na Boga, że akceptujesz to jako pełną zapłatę.

– Tak... tak... jako pełną zapłatę, tak mi dopomóż Bóg – mruknął Bajazid, nie dowierzając, by Bóg rzeczywiście dał mu taką fortunę: wystarczy, żeby kupić stada, karabiny, granaty, jedwab i ciepłe okrycia. – Przysięgam w imię boskie – oznajmił, wyciągając ponownie rękę.

– I przysięgasz na Boga, że oddalisz się stąd natychmiast w pokoju?

Bajazid przestał na chwilę myśleć o swoim bogactwie.

– Wpierw musimy wrócić do naszej wioski – oznajmił. – Potrzebny jest nam helikopter i pilot.

– Na Boga, nie. Okup zapłaciłem za bezpieczny powrót pilota i za helikopter. – Hakim otworzył dłoń i utkwiał wzrok w szejku, który teraz widział już tylko brylant. – Przysięgasz na Boga?

Bajazid i jego ludzie wpatrywali się w płynny ogień płonący w nieruchomej jak skała dłoni.

– Co... co stoi na przeszkodzie, żebym zabrał wszystko? – stwierdził ponuro. – Żebym zabrał wszystko, zabił ciebie, spalił pałac, wziął ją jako zakładniczkę i zmusił pilota do odwiezienia nas?

– Nic. Nic prócz honoru. Czy Kurdowie są pozbawieni honoru? – zapytał ochryłym głosem Hakim. Jakie to podniecające, myślał: jeśli mi się uda, będę żył, jeśli przegram, umrę. – To więcej niż pełna zapłata.

– Akceptuję to jako pełną zapłatę... za pilota i za helikopter. – Bajazid oderwał na chwilę wzrok od brylantu. – Ale nie za ciebie i nie za kobietę. – Pot spływał mu po twarzy. Tyle widział tutaj bogactwa, tak łatwo było je zagarnąć, ale istniał przecież honor, o tak, nie pozwalał na to honor. – Za ciebie i za kobietę też należy mi się uczciwy okup.

Na zewnątrz ktoś uruchomił samochód. Mężczyźni podbiegli do wybitego okna. Samochód podjechał do głównej bramy i na ich oczach popędził do miasta.

– Szybko! – powiedział Bajazid. – Decyduj się.

– Kobieta jest bez wartości – stwierdził Hakim, obawiając się skutków tego kłamstwa i wiedząc, że musi się targować; w przeciwnym razie przegra. Wybrał bransoletę z rubinów. – Zgoda?

– Dla ciebie może być bez wartości, ale nie dla pilota. Ta bransoleta, ten naszyjnik i jeszcze ta bransoleta z zielonymi kamieniami.

– Na Boga, to za dużo – wybuchnął Hakim. – Sama bransoleta to już za dużo... jest warta więcej niż pilot i helikopter!

– Synu potępionego ojca! Chcę tę bransoletę, ten naszyjnik i bransoletę z zielonymi kamieniami!

Targowali się coraz bardziej zażarcie, obserwowani bacznie przez wszystkich prócz uwięzionego we własnym prywatnym piekle Erikkiego, którego obchodziła tylko Azadeh. Zastanawiał się, gdzie jest lekarz i jak mógłby pomóc jej i Hakimowi. Gładząc ją po włosach i słuchając gniewnych głosów mężczyzn miotających na siebie obelgi czuł, że zaraz poniosą go nerwy. A potem Hakim uznał, że nadszedł właściwy moment i wydał z siebie żalony jęk, który mieścił się w strategii całej gry.

– Na Boga, umiesz się targować lepiej ode mnie! Zrobisz ze mnie żebraka! Oto moja ostateczna oferta! – oznajmił, kładąc na dywanie dwie bransolety, złotą i brylantową, i mniejszy ze szmaragdowych naszyjników.

Była to uczciwa cena, niższa od tego, czego domagał się Bajazid, lecz przewyższająca wielokrotnie to, czego się pierwotnie spodziewał.

– Zgoda – powiedział szejek, zgarniając kosztowności i wszyscy odetchnęli z ulgą. – Czy przysięgasz na Najwyższego, że nie będziesz nas ścigał? I że nas nie zaatakujesz?

– Tak, tak, przysięgam.

– To dobrze. Pilocie, chcę, żebyś odwiózł nas do domu – oznajmił po angielsku Bajazid. – Ja proszę, nie rozkazuję, aga – dodał szybko, widząc wściekłość na twarzy Hakima, po czym podał Erikkemu złotą bransoletę. – Chcę cię wynająć, a oto zapłata za twoje usługi...

– Z miasta nadjeżdża samochód! – zawołał jeden z górali pełniących wartę na patio.

Bajazid coraz bardziej się pocił.

– Przysięgam na Boga, pilocie, że nie zrobię ci nic złego.

– Nie mam dość benzyny.

– W takim razie wysadź nas w połowie drogi...

– Nie mam dość benzyny.

– Więc zabierz nas i wysadź gdziekolwiek w górach. Tylko kawałek drogi stąd. Proszę cię, nie rozkazuję. Na Proroka, traktowałem cię dobrze, jego też... i nie zniewoliłem jej. Proszę.

Wszyscy usłyszeli zawartą w jego słowach groźbę. Może groził, może nie, ale Erikki wiedział ponad wszelką wątpliwość, że cała gadka o „honorze” i składane przed Bogiem przysięgi niewarte będą funta kłaków, gdy padnie pierwszy strzał. Musiał teraz naprawić fatalne konsekwencje ataku, który podjęli już po śmierci chana i wypłaceniu połowy okupu... ataku, w wyniku którego Azadeh odniosła, Bóg wie, jakie rany, a Hakim o mało nie zginął. Z kamiennym wyrazem twarzy po raz ostatni jej dotknął, po czym spojrział na chana i skinął głową, bardziej do siebie niż do niego. Wstał i wyrwał stena z rąk najbliższego górala.

– Przyjmuję twoją przysięgę złożoną w obliczu Boga i zabiję cię, jeśli mnie oszukasz – oznajmił.

– Wysadzę cię w górach na północ od miasta. Wszyscy do śmigłowca! Powtórz im!

Bajazidowi wcale się nie podobało, że ten ponury, dyszący zemstą potwór trzyma w ręku broń. Na pewno pamięta, że to właśnie ja rzuciłem granat, który omal nie uśmiercił hurysy, pomyślał. InszAllah! Nakazał odwrót i jego ludzie wyszli z pokoju, zabierając ze sobą zwłoki swego towarzysza.

– Wyjdziemy razem, pilocie. Dziękuję ci, aga, Hakim-chanie. Niech Bóg ma cię w opiece – powiedział i ruszył tyłem do drzwi, trzymając broń w pogotowiu. – Chodźmy!

Erikki pożegnał gestem dłoni Hakima. Gnębiły go wyrzuty z powodu awantury, jaką wywołał.

– Przykro mi...

– Niech Bóg będzie z tobą, Erikki. Wracaj bezpiecznie – zawołał Hakim i pocieszyło to nieco

Fina. – Leć z nim, Ahmed. Nie może użyć broni, pilotując helikopter. Dopilnuj, żeby bezpiecznie powrócił.

Musi wrócić, pomyślał mściwie. Musi zapłacić za to, że ośmielił się zaatakować mój pałac.

– Tak jest, Wasza Wysokość. Dziękuję, pilocie – powiedział Ahmed, biorąc od Erikkiego pistolet. Sprawdził zamek i magazynek, po czym uśmiechnął się złowrogo do szejka. – Na Boga i Proroka, którego Imię chwalimy, lepiej niech nikt nikogo nie oszuka.

Uprzejmie puścił Erikkiego przodem i ruszył w ślad za nim. Bajazid wyszedł ostatni.

U PODNÓŻA PAŁACU, 11.05.

Krętą drogą prowadzącą do bramy pędził policyjny samochód. Na tylnej kanapie siedział Haszemi Fazir, za nimi jechały inne pojazdy i wojskowa ciężarówka z żołnierzami. Pierwszy samochód wpadł z piskiem opon na dziedziniec, na którym stało już kilka aut i ambulans. Hakim-chan czekał na Fazira w sali audiencyjnej w nie zniszczonej części pałacu, blady i osłabiony, lecz wyniosły, w otoczeniu strażników.

– Bogu niech będą dzięki, Wasza Wysokość, że nie został pan ranny. Właśnie dowiedzieliśmy się o ataku. Pozwoli pan, że się przedstawię. Pułkownik Haszemi Fazir z wywiadu wewnętrznego. Czy mógłby pan opowiedzieć, co zaszło?

Hakim-chan przedstawił mu swoją wersję wydarzeń.

– Jak dawno odleciał pilot, Wasza Wysokość?

Hakim zerknął na zegarek.

– Dwie i pół godziny temu.

– Mówił, ile ma paliwa?

– Nie. Ale powiedział, że może ich podrzucić tylko kawałek.

Haszemi stał przed specjalnym podwyższeniem wysłanym dywanami i poduszkami. Ubrany w ciepłą brokatową szatę Hakim-chan miał na szyi sznur pereł i brylant cztery razy większy od tego, za który udało mu się okupić życie swoje i siostry.

– To nie byli Kurdowie, choć tak utrzymywali. To zwyczajni bandyci. Porwali Erikkiego i zmusili go, żeby pomógł im zaatakować mojego ojca. Chan nie powinien był zabijać ich posłańca – dodał zdecydowanym tonem Hakim. – Powinien potargować się trochę o wysokość okupu, następnie zaś wypłacić go i zabić ich za doznaną zniewagę.

– Dopilnuję, żeby wszyscy zostali ujęci.

– A moja własność odzyskana.

– Naturalnie. Czy jest jeszcze coś, co mógłbym dla pana zrobić... ja albo mój wydział?

Fazir obserwował bacznie twarz młodzieńca i dostrzegł, bądź też wydało mu się, że dostrzegł kpiący uśmiech, który go zaniepokoił. W tym momencie otworzyły się drzwi i do sali weszła Azadeh.

Ubrana była w pasujący do jej zielonych oczu szarozielony zachodni kostium oraz pończochy i buty z miękkiej skóry. Lekki makijaż nie krył bladości twarzy. Stąpiła powoli i z pewnym bólem, ale podszedłszy do brata, skłoniła mu się ze słodkim uśmiechem.

– Przepraszam, że przeszkadzam, Wasza Wysokość, lecz lekarz prosił, żebym ci przypomniała, iż powinieneś odpocząć. Zaraz wyjeżdża. Może chciałbyś, aby zajrzał jeszcze do ciebie?

– Nie, dziękuję. Dobrze się czujesz?

– Oczywiście – odparła, uśmiechając się z przymusem. – Stwierdził, że nic mi nie jest.

– Pozwól, że ci przedstawię. Pułkownik Haszemi Fazir, Jej Wysokość moja siostra Azadeh.

– Bardzo się cieszę, że ani pani, ani chan nie doznaliście obrażeń.

– Dziękuję.

Bardzo bolały ją uszy i głowa i poboływały plecy. „Musimy poczekać kilka dni, Wasza Wysokość, powiedział lekarz, ale chciałbym jak najszybciej was oboje prześwietlić. Najlepiej jedźcie do Teheranu, mają tam lepsze wyposażenie. Przy tego rodzaju eksplozji... nigdy nie wiadomo, Wasza Wysokość. Lepiej, żebyście pojechali, nie chciałbym być odpowiedzialny...”.

Azadeh westchnęła.

– Proszę mi wybaczyć, że przerwałam...

Nagle umilkła, przechyliła lekko głowę i zaczęła nasłuchiwać. Inni także nadstawili uszu. Ale to był tylko wiatr i jadący gdzieś daleko samochód.

– To jeszcze nie on – stwierdził łagodnym tonem Hakim.

– Będzie, jak Bóg chce – odparła ze słabym uśmiechem i wyszła.

Przez chwilę panowała cisza.

– My też powinniśmy się już zbierać, Wasza Wysokość – powiedział w końcu z szacunkiem Haszemi. – Może przyjmie nas pan jutro?

Chan oderwał wzrok od drzwi i spojrzał na niego spod ciemnych brwi. Miał przystojną spokojną twarz; palcami bawił się ozdobną rękojeścią zatkniętego za pasem sztyletu. Musi mieć serce z lodu, pomyślał Haszemi, czekając grzecznie, aż zostanie odprawiony.

Zamiast tego Hakim kazał wyjść strażnikom, z wyjątkiem jednego, któremu polecił stanąć daleko przy drzwiach, skąd nie mógł ich usłyszeć.

– Teraz będziemy mówić po angielsku. O co naprawdę chciał mnie pan prosić? – zapytał cicho.

Haszemi westchnął, pewien, że Hakim-chan już to wie. Uświadamiał sobie, że ma do czynienia z poważnym adwersarzem lub sprzymierzeńcem.

– Chodzi mi o dwie sprawy, Wasza Wysokość. Pańskie wpływy w Azerbejdżanie mogłyby nam bardzo pomóc w poskromieniu wrogich elementów zbuntowanych przeciwko państwu.

– A ta druga sprawa?

Haszemi usłyszał w głosie chana niecierpliwość i to go rozbawiło.

– Jest bardziej delikatna. Chodzi nam o Sowietów, niejakiego Olega Petra Mzytryka, znajomego pańskiego ojca. Od kilku lat często go tu odwiedzał, a także przyjmował w swojej dacy w Tbilisi. Mzytryk udawał przyjaciela Abdollah-chana i Azerbejdżanu, w rzeczywistości jednak jest wysokim oficerem KGB.

– Na stu Sowietów odwiedzających Iran dziewięćdziesięciu ośmiu należy do KGB i z tego względu są wrogami. Dwaj pozostali należą do GRU i to też czyni ich wrogami. Będąc chanem, ojciec musiał utrzymywać stosunki z bardzo różnymi osobami... – Na ustach Hakima znów pojawił się ten kpiący uśmieszek. – Z wszelkiej maści przyjaciółmi, z wszelkiej maści wrogami oraz tymi, którzy sytuują się pośrodku...

– Bardzo chcielibyśmy go przesłuchać. – Haszemi spodziewał się jakiejś reakcji, ale nie zauważył żadnej i jego podziw dla młodego chana wzrósł jeszcze bardziej. – Przed śmiercią Abdollah-chan zgodził się nam pomóc. Dowiedzieliśmy się od niego, że Mzytryk zamierza przekroczyć nielegalnie granicę w zeszłą sobotę i ponownie we wtorek, ale ani razu się nie pojawił.

– Jak miał to zamiar zrobić? – zapytał Hakim.

Haszemi Fazir wyjaśnił mu. Nie wiedział, co dokładnie wie chan, i z tego względu zachowywał ostrożność.



– Naszym zdaniem Mzytryk może się z panem skontaktować. Jeśli to zrobi, chcielibyśmy, żeby dał nam pan znać. Dyskretnie.

Hakim-chan uznał, że czas już pokazać temu wrogowi z Teheranu, gdzie jest jego miejsce. Czy sądzisz, że jestem tak naiwny, że nie wiem, co się dzieje, synu potępionego ojca?

– W zamian za co? – zapytał prosto z mostu.

– Czego pan chce? – odparł równie otwarcie Haszemi.

– Po pierwsze: wszyscy wyżsi rangą oficerowie SAVAK i policji w Azerbejdżanie zostaną zawieszani w czynnościach i poddani weryfikacji. Przeze mnie. W przyszłości będę zatwierdzał wszystkie nominacje.

Haszemi poczerwieniał. Nawet Abdollah-chan nigdy nie miał takich prerogatyw.

– A po drugiej? – zapytał oschle.

Hakim-chan roześmiał się.

– Świetnie, bardzo dobrze, aga. Ta druga sprawa może poczekać do jutra albo pojutrze, podobnie jak trzecia i czwarta. Co się tyczy pańskiej pierwszej prośby, jutro na dziesiątą rano chciałbym dostać szczegółowy raport o tym, jak wyobraża pan sobie moją pomoc w położeniu kresu zamieszkom w Azerbejdżanie... oraz jak pan osobiście, jeśli jest pan władny to uczynić, zagwarantuje nam bezpieczeństwo przed wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi. – Hakim zmarszczył brwi. – Jaki będę miał dostęp do informacji uzyskanych od Mzytryka? – zapytał.

– Pełny dostęp, Wasza Wysokość – zapewnił go Haszemi. – Kiedy tylko będzie pan sobie życzył.

Ponownie zapadła krótka cisza.

– Zastanowię się, co... – Hakim-chan urwał i zaczął nasłuchiwać.

Teraz obaj usłyszeli szum obracającego się śmigła i warkot silników. Haszemi ruszył w stronę wysokich okien.

– Niech pan zaczeka – zawołał Hakim. – Proszę mi pomóc.

Zaskoczony pułkownik pomógł mu wstać.

– Dziękuję – mruknął przez zaciśnięte zęby chan. – Już mi lepiej. Bolał mnie plecy, to przez ten wybuch.

Wspierając się na Haszemim, pokuśtykał do wysokiego okna, z którego rozciągał się widok na dziedziniec.

Dwieściedwunastka schodziła powoli do lądowania. Kiedy znalazła się bliżej, zobaczyli w kokpicie Erikkiego i najwyraźniej ранego Ahmeda, który osunął się w fotelu. W kadłubie widniały dziury po kulach, od bocznego okna odpadł wielki kawał plastikowej szyby. Ogarniał ich coraz większy niepokój. Helikopter idealnie wylądował i silniki natychmiast zgasły. Zobaczyli teraz krew na rękawie i kołnierzyku białej koszuli Erikkiego.

– Czy mógłby pan spróbować zatrzymać doktora, jeśli jeszcze nie wyjechał, aga – poprosił Hakim-chan i pułkownik wybiegł z sali.

Z okna widać było frontowe schody. Wielkie drzwi u ich szczytu otworzyły się i wybiegła przez nie Azadeh. Po kilku krokach zatrzymała się niczym posąg; wokół niej stanęli strażnicy, służba i członkowie rodziny. Erikki otworzył boczne drzwiczki, niezgrabnie wysiadł i ruszył ku niej. Choć był nieludzko zmęczony, szedł pewnym krokiem i po chwili znalazła się w jego ramionach.

# Księga Trzecia

**PIĄTEK**

## ROZDZIAŁ 20

**SZARDŹA,  
HOTEL OASIS,  
GODZINA 5.37.**

Gavallan stał w oknie, już ubrany. Była noc, tylko na wschodzie niebo poszarzało lekko przed świtem. Strzępy mgły płynęły od odległego o pół mili morza i znikwały nad pustynią. Niebo, dziwnie bezchmurne na wschodzie, gdzie indziej zasnuło się chmurami. Z miejsca, gdzie stał, widział prawie całe lotnisko. Światła na pasie startowym paliły się, do startu kołował już mały odrzutowiec. W powietrzu czuć było zapach ropy, niesiony wiatrem z południa. Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę! A, dzień dobry, Jean Luc, dzień dobry, Charlie.

– Dzień dobry, Andy. Jeśli chcemy złapać samolot, czas już ruszać – powiedział Pettikin, połykając ze zdenerwowania sylaby. Leciał do Kuwejtu, Jean Luc do Bahrajnu.

– Tak, lepiej ruszajcie w drogę. – Gavallan cieszył się, że w jego głosie słychać pewność siebie. Pettikin uśmiechnął się, Jean Luc zaklął pod nosem. – Jeśli nie masz nic przeciwko, Charlie, proponuję nacisnąć guzik o siódmej, tak jak planowaliśmy. Pod warunkiem że żadna z baz nie odwoła wcześniej akcji. Wtedy spróbujemy ponownie jutro. Zgoda?

– Zgoda. Nie było jeszcze żadnych wiadomości?

– Jeszcze nie.

Pettikin z trudem krył podniecenie.

– No to odlatujemy w siną dal. Chodź, Jean Luc.

Francuz uniósł brwi.

– *Mon Dieu*, przypominają mi się harcerskie czasy! Co z Erikkim, Andy? W dalszym ciągu nic nie wie o całej operacji?

– Nie, nie wie. Ale kilka dni temu Mac wysłał do niego i do Azadeh zakodowaną wiadomość za pośrednictwem Talbota z ambasady. Powinni już być dawno za granicą, na terytorium Turcji. Talbot na pewno nie nawalił. Mam zamiar spotkać się z Newburym z konsulatu. Niech uczuli naszych ludzi, że mogą się tam pojawić Eriki i Azadeh i trzeba im ułatwić życie. A wy lepiej już idźcie. Zadzwońcie do mnie zaraz po wylądowaniu. Będę w biurze od szóstej.

Zamknął za nimi drzwi sypialni. Teraz klamka zapadła. Chyba że któraś z baz odwoła akcję.

**BIURO W SZARDŹY, 6.59.**

Gavallan, jego syn Scot oraz Nogger Lane wpatrywali się w zegar. Na zewnątrz było pochmurno i wiał wiatr. W powietrze wzniosł się odrzutowiec British Airways. Cisza, która zapadła po jego starcie, dzwoniła im w uszach. W końcu wskazówka pokazała siódmą.

– No to do dzieła – mruknął Gavallan, biorąc do ręki mikrofon i wciskając przycisk nadawania. – Tu Sierra Jeden, czy mnie słyszycie?

– Słyszemy cię, Sierra Jeden – potwierdzały kolejno wszystkie bazy nad zatoką.

– Tu Sierra Jeden. Mamy dla was prognozę. Pogoda ma się polepszyć, ale uważajcie na małe trąby powietrzne. Słyszycie mnie?

– Słyszemy cię, Sierra Jeden, będziemy uważać na trąby powietrzne – nadchodziły kolejno odpowiedzi.

Po chwili w eterze słychać było tylko trzaski. Gavallan przygryzł dolną wargę. Stało się, pomyślał, czując, jak wali mu serce. Dziewięć dwieście dwunastek z załogami wystartowało w drogę, na dobre lub złe.

W biurze zapadła cisza. Scot położył mu krzepiącym gestem rękę na ramieniu, ale w ogóle tego nie zauważył. Zaczęło się długie oczekiwanie.

Po jakimś czasie zadzwonił telefon. Scot odebrał go.

– S-G Helicopters? Cześć, Charlie, zaczekaj chwilę. Z Kuwejtu – powiedział, podając słuchawkę ojcu.

– Się masz, Charlie. Wszystko w porządku?

– Tak, dziękuję. Jestem na lotnisku w Kuwejcie, dzwonię od Patricka, z biura Guerneya. – Obie firmy, mimo że rywalizowały ze sobą na całym świecie, utrzymywały przyjazne stosunki. – Co nowego?

– Delta Cztery, poza tym nic. Zadzwonię, kiedy tylko Jean Luc zgłosi się z Bahrajnu. Będzie z Delarnem w Gulf Air France, gdybyś chciał się z nim skontaktować. Czy jest z tobą Genny?

– Nie, wróciła do hotelu. To śmieszne, Andy, ale jest tu facet z British Airways, kilka innych osób i Patrick, i wszyscy są zdania, że chcemy wykreślić jakiś wariacki numer. Na przykład wycofać z Iranu wszystkie nasze ptaszki. Wyobrażasz sobie?

Gavallan westchnął.

– Nie ekscytuj się, Charlie, trzymaj się planu. – Musieli nabrać wody w usta, dopóki helikoptery z Kowissu nie znajdą się w przestrzeni powietrznej Kuwejtu. A potem ufać Patrickowi. – Zadzwonię, kiedy będę miał coś nowego. Aha, byłbym zapomniiał. Pamiętasz Rossa, Johna Rossa?

– Jak mógłbym go zapomnieć. Dlaczego?

– Słyszałem, że leży w szpitalu międzynarodowym w Kuwejcie. Konsul powiedział, że został ranny w Teheranie i go ewakuowali. Wpadnij do niego, kiedy się już roztasujesz, dobrze?

– Oczywiście, zajrzę do niego, Andy. Co mu jest?

– Nie wiem. Zadzwon, jeśli czegoś się dowiesz. Cześć. – Gallavan odłożył słuchawkę i wziął głęboki oddech. – W Kuwejcie już wiedzą.

– Chryste, jeśli to się rozniesie... – Scot urwał, słysząc dzwonek telefonu. – Halo? Chwileczkę. To Newbury z konsulatu, tato.

Gavallan wziął od niego słuchawkę.

– Dzień dobry, Roger, co słychać?

– Właśnie chciałem cię o to samo spytać. Jak przedstawia się sytuacja? Oczywiście nieoficjalnie.

– Świetnie, świetnie – odparł niezobowiązująco Gavallan. – Czy będziesz cały dzień w konsulacie? Wpadnę do ciebie, ale wcześniej zadzwonię.

– Proszę bardzo. Jestem tu do południa. Zaczyna się długi weekend, rozumiesz. Proszę, zadzwon do mnie natychmiast, kiedy czegoś się dowiesz. Oczywiście nieoficjalnie. Natychmiast. Jesteśmy trochę zaniepokojeni i eee... porozmawiamy o tym, kiedy przyjedziesz. Do widzenia.

– Poczekaj chwilę. Wiesz coś na temat młodego Rossa?

– Owszem. Powiedziano nam, że jest bardzo ciężko ranny. Cholerna szkoda, ale tak to bywa. Do zobaczenia przed południem.

Gavallan odłożył słuchawkę. Wszyscy utkwili w nim wzrok.

– Niestety, Ross jest chyba bardzo ciężko ranny – poinformował.

– Co za draństwo – mruknął Nogger. – Mój Boże, to takie niesprawiedliwe...

Już wcześniej opowiedział im wszystkim o Rossie, o tym jak ocalił życie im i Azadeh.

– Czy Newbury powiedział ci, co się stało, tato?

Gavallan potrząsnął głową, prawie nie słysząc syna. Myślał o Rossie, rówieśniku Scota, ale o wiele od niego twardszym, bardziej bezwzględny, na pozór niezniszczalnym... A teraz... Biedny chłopak! Może się z tego wyliże. Boże, mam nadzieję, że przeżyje! Co robić? Kontynuować akcję, nie ma innego wyjścia. Azadeh będzie zrozpaczona, biedna dziewczyna. Erikki też, chłopak ocalił w końcu jego żonę.

– Zaraz wracam – powiedział i wyszedł do drugiego gabinetu, gdzie mógł porozmawiać z Newburym na osobności.

Nogger stał w oknie, gapiąc się na lotnisko, ale nic nie widząc. Przed oczyma miał bazę Tabriz. Jeden i szalonego zabójcę o dzikim spojrzeniu, który wyjął niczym wilk do księżyca trzymał w ręku odrąbaną głowę... anioła śmierci, który ocalił im życie: jemu, Arberry'emu, Dibble'owi, a przede wszystkim Azadeh. Jeśli istniejesz, Boże, ocal go, tak jak on ocalił nas...

– Teheran, tu Bandar-e Daylam, słyszycie nas?

– Pięć minut co do sekundy – mruknął Scot. – Dżahan nie traci czasu. Czy Siamaki nie mówił, że będzie w biurze dokładnie o dziewiątej?

– Tak mówił.

Oczy wszystkich zwróciły się na zegar. Była 8.54.

## ROZDZIAŁ 21

### LOTNISKO W BAHRAJNIE, GODZINA 11.28.

Jean Luc i Mathias Delarne stali przy furgonetce nieopodal lądowiska, osłaniając oczy przed słońcem. Obserwowali nadlatującą dwieście dwunastkę, w dalszym ciągu nie mogąc rozpoznać pilota. Mathias był niskim korpulentnym mężczyzną o ciemnych falistych włosach, z połową twarzy paskudnie poparzoną podczas katastrofy niedaleko Algieru.

– To Dubois – stwierdził.

– Nie, mylisz się, to Sandor.

Jean Luc pokazał pilotowi, żeby lądował pod wiatr. Kiedy tylko płozy dotknęły ziemi, Mathias, nie zwracając uwagi na krzyczącego coś Sandora, podbiegł pod obracającym się śmigłem do drzwiczek kokpitu. Miał ze sobą duży pędzel i puszkę szybko schnącej lotniczej farby. Zamalował białą farbą irańską rejestrację pod szybą, a Jean Luc przyłożył w tym miejscu szablon, który wcześniej przygotowali. Namalował nowe czarne litery, a potem ostrożnie odsunął szablon. Teraz helikopter nosił rejestrację G-HXXI i miał prawo przebywać w Bahrajnie.

W tym czasie Mathias zamalował litery IHC po obu stronach ogona. Kiedy Sandor wysiadł, Jean Luc z entuzjazmem wymalował G-HXXI na drzwiczkach po drugiej stronie.

– *Voilà!* – stwierdził z zadowoleniem, po czym oddał przybory malarskie Mathiasowi, który schował je wraz ze swoimi pod plandeką furgonetki. Jean Luc uścisnął dłoń Sandora i zapytał go, co z Dubois.

– Nie mam pojęcia, stary – odparł Sandor. – Przez ostatnie cholerne dziesięć minut paliła się ostrzegawcza lampka i miałem wskaźnik paliwa na zerze. Co z innymi?

– Rudi i Kelly wylądowali na plaży Abu Sabh... szuka ich Rod Rodriguez. Nie mamy jeszcze żadnych wiadomości o Scragu, Willim ani Vossim, ale Mac siedzi w Kowissie.

– Jezu!

– *Oui*, razem z Freddym i Tomem Lochartem. Byli tam w każdym razie jeszcze przed kwadransem. – Jean Luc odwrócił się do Mathiasa, który do nich podszedł. – Czy nastawiliście radio na częstotliwość wieży?

– Tak, wszystko w porządku.

– Mathias Delarne, Sandor, a to Johnson, nasz mechanik.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

– Jak się udała podróż? *Merde*, właściwie nie musisz nic mówić – mruknął Mathias. Nagle zobaczył jadący w ich stronę samochód. – Mogą być kłopoty – ostrzegł.

– Zostań w kokpicie, Sandor – rozkazał Jean Luc. – Johnson, wracaj do kabiny.

Oznakowany oficjalnie samochód zatrzymał się dwadzieścia jardów od dwieście dwunastki i wysiedli z niego dwaj Bahrajńczycy – umundurowany kapitan służby granicznej i pracownik

kontroli lotów w luźnej białej szacie i związanym czarnym sznurem turbanie. Mathias wyszedł im na spotkanie.

- Dzień dobry, sajjid Jusufie, dzień dobry, sajjid Bin Ahmedzie. To kapitan Sessonne.
- Dzień dobry – odparli obaj grzecznie, przyglądając się dwieście dwunastce. – Gdzie pilot?
- Kapitan Petrofi i pan Johnson, mechanik, są w kabinie.

Jean Luc czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Świeża farba w odróżnieniu od starej lśniła w słońcu, a z podstawy litery I ściekały dwie czarne strużki. Za chwilę zapytają go, skąd wyleciał ten helikopter. „Z Basry w Iraku”, miał na to odpowiedzieć, czyli z położonego najbliższej Bahrajnu lotniska, ale przecież tak łatwo to sprawdzić, a właściwie nie trzeba nawet sprawdzać, wystarczy podejść pięć jardów, przejechać palcem po świeżej farbie i odkryć zamalowane pod spodem litery. Mathias był tak samo zdenerwowany. Dla Jeana Luca to bułka z masłem, pomyślał. Nie mieszka tu i nie musi tu pracować.

– Jak długo potrwa postój G-HXXI? – zapytał kapitan. Miał wygoloną gładko twarz i smutne oczy.

Jean Luc i Mathias jęknęli w duchu, słysząc wymówione z naciskiem litery rejestracji.

– Zaraz odlatuje do Szardży, sajjid – powiedział Mathias. – Zaraz po zatankowaniu. A także inne helikoptery, którym... eeee... skończyło się paliwo.

Bin Ahmed, pracownik kontroli lotów, westchnął.

– Szwankuje u was planowanie, skoro zużyliście całe paliwo. Co się stało z wymaganą przepisami trzydziestominutową rezerwą?

– To chyba... eee... przez ten czołowy wiatr, sajjid.

– Rzeczywiście silnie dziś wieje. – Bin Ahmed spojrzał na zatokę. Widzialność nie przekraczała jednej mili. – Jedna dwieście dwunastka tutaj, dwie na plaży, a czwarta... czwarta gdzieś tam. – Ciemne oczy ponownie skierowały się na Jeana Luca. – Może wróciła tam, skąd wyleciała?

Francuz posłał mu swój najbardziej promienny uśmiech.

– Nie wiem, sajjid Bin Ahmedzie – odpowiedział ostrożnie.

Dwaj Bahrajńczycy ponownie spojrzeli na helikopter. Śmigło przestało się obracać, łopaty wirnika drżały lekko na wietrze. Bin Ahmed wyjął z kieszeni teleks.

– Właśnie dostaliśmy to z Teheranu, Mathias. W sprawie jakichś zaginionych śmigłowców – oznajmił uprzejmie. – Z irańskiej kontroli lotów. „Pilne, pilne, pilne. Do wszystkich państw nad Zatoką. Prosimy zwrócić uwagę na nasze nielegalnie wyeksportowane helikoptery. Prosimy o ich zatrzymanie, aresztowanie tych, którzy znajdują się na pokładzie, i poinformowanie naszej ambasady. Zajmie się ona bezzwłoczną deportacją przestępców i zwrotem naszych maszyn”. – Bin Ahmed uśmiechnął się i podał kartkę Mathiasowi. – Ciekawe, nieprawdaż?

– Bardzo – odparł Mathias. Przeczytał teleks i zwrócił go.

– Był pan w Iranie, kapitanie Sessonne?

– Owszem, byłem.

– To straszne: wszystkie te zabójstwa, rozruchy, muzułmanie, którzy zabijają innych muzułmanów. Persja zawsze była odmienna, przysparzała problemów innym, którzy żyją przy brzegach zatoki. Nazywają ją Perską, tak jakby nas po drugiej stronie w ogóle nie było – stwierdził rzeczowym tonem Bin Ahmed. – Szach rościł nawet pretensje do naszej wyspy tylko dlatego, że przed trzema wiekami Persowie podbili nas na kilka lat. Nas, którzy zawsze byliśmy niepodlegli!

– Tak, ale potem zrezygnował z tych roszczeń.



– Owszem, to prawda, ale zajął naftowe wyspy Tums i Abu Musa. Władcy Persji są bardzo dziwni, bardzo hegemonistyczni, bez względu na to, skąd się wywodzą. Stawianie mułłów i ajatollahów między człowiekiem i Bogiem to świętokradztwo.

– Takie mają zwyczaje – rzucił pojednawczo Jean Luc. – Każdy żyje po swojemu.

Bin Ahmed zerknął na tył furgonetki i Jean Luc spostrzegł, że spod plandeki wystaje trzonek pędzla.

– Nad Zatoką nastały niebezpieczne czasy. Bardzo niebezpieczne. Od północy z każdym dniem zbliżają się do nas bezbożni Sowieci, na południu, w Jemenie, zbroją się bezbożni marksiści. Oczy wszystkich zwrócone są na nas i na nasze bogactwo. A także na islam. Tylko islam przeszkadza im zapanować nad światem.

A co z Francją i oczywiście Ameryką, miał ochotę zapytać Mathias.

– Islam nigdy nie upadnie – powiedział zamiast tego. – Podobnie jak państwa Zatoki, jeśli zachowają czujność.

– Owszem, z pomocą Boga. – Bin Ahmed pokiwał głową i uśmiechnął się do Jeana Luca. – Na naszej wyspie musimy bardzo uważać na wszystkich, którzy mogą nas wpędzić w kłopoty, prawda?

Jean Luc kiwnął głową. Mimowolnie wpatrywał się w teleks, który trzymał w ręku Bin Ahmed. Skoro dostali go w Bahrajnie, taka sama wiadomość musiała dotrzeć do wszystkich ośrodków kontroli lotów nad Zatoką.

– Z pomocą Boga odniesiemy sukces.

Kapitan służby granicznej pokiwał głową.

– Chciałbym obejrzeć dokumenty pilota i mechanika, kapitanie – powiedział. – Oraz ich samych.

– Oczywiście, w tej chwili. – Jean Luc podszedł do Sandora. – Teheran zawiadomił ich teleksem, żeby zwrócili uwagę na zarejestrowane w Iranie maszyny – szepnął szybko i Sandor pobladł. – Nie ma powodu do paniki, *mon vieux*, odzywaj się jak najmniej, ty też, Johnson, i nie zapominajcie, że przylecieliście z Basry i macie rejestrację G-HXXI.

– Jezu – jęknął Sandor. – Powinniśmy mieć jakieś irackie pieczętki, a ja prawie na każdej stronie mam tylko irańskie.

Kapitan służby granicznej wziął jego amerykański paszport i uważnie przyjrzał się fotografii, a potem jemu samemu. Sandor zdjął drżącą ręką ciemne okulary.

– Dziękuję – powiedział Bahrajńczyk, po czym, nie zaglądając dalej, oddał mu dokument i wziął do ręki brytyjski paszport Johnsona.

Ponownie interesowała go tylko fotografia. Bin Ahmed zrobił krok w stronę helikoptera. Johnson zostawił otwarte drzwiczki do kabiny.

– Co jest na pokładzie?

– Części zamienne – odpowiedzieli jednocześnie Sandor, Johnson i Jean Luc.

– Konieczna będzie odprawa celna.

– Helikopter jest tu tylko tranzytem, sajjid Jusufie, i wystartuje natychmiast po zatankowaniu – odezwał się grzecznie Mathias. – Może wystarczyłoby, gdyby pilot podpisał zgłoszenie tranzytowe i oświadczył, że nigdzie nie wylądaje oraz że nie przewozi broni, narkotyków ani amunicji. Jeśli ma to dla pana jakieś znaczenie, ja też mogę to zaświadczyć.

– Pańska obecność zawsze ma dla nas duże znaczenie, sajjid Mathias – stwierdził Jusuf. – Skoro chodzi o tranzyt i mamy do czynienia z brytyjskim helikopterem, to chyba wystarczy. To samo dotyczy tych dwóch na plaży, prawda?

Facet z kontroli lotów obrócił się plecami do śmigłowca.

– Czemu nie? Damy im zezwolenie na odlot do Szardży, kiedy tylko zatankują. – Ponownie spojrzał na morze i w jego ciemnych oczach pojawiła się troska. – A ten czwarty? Kiedy przyleci? Co z nim będzie? Rozumiem, że on też ma brytyjską rejestrację?

– Tak, oczywiście – zapewnił go Jean Luc.

Podał im nowy numer i zasalutował obu mężczyznom z całym swoim galijskim wdziękiem. Nie mógł uwierzyć, że im się upiekło.

Czy nie widzą na oczy, czy może nie chcieli nic zobaczyć? Nie wiem, nie wiem, ale dzięki niech będą Madonnie, że znowu otoczyła nas swoją opieką.

– Lepiej zawiadom Gavallana o teleksie, Jean Luc – powiedział Mathias.

LOTNISKO W KUWEJCIE, 14.56.

Genny i Charlie Pettikin siedzieli w restauracji na górnym tarasie lśniącego nowością terminalu. Był piękny, słoneczny dzień, wybrali miejsce osłonięte od wiatru, a nakryte jasnożółtymi obrusami stoliki stały ocienione tego samego koloru parasolami. Wszyscy dookoła cieszyli się życiem, pijąc i jedząc. Wszyscy oprócz nich. Genny prawie nie tknęła sałatki, Pettikin zaś dziobał w swoim ryżu i curry.

– Chyba napiję się martini z wódką, Charlie – oznajmiła nagle Genny.

– Świetny pomysł.

Pettikin dał znak kelnerowi i zamówił dla niej drinka. Sam też chętnie by się napił, ale miał zastąpić Locharta lub Ayre'a podczas lotu wzdłuż wybrzeża na wyspę Jellet. W drodze do Szardży czekało ich jeszcze co najmniej jedno, może dwa tankowania. Niech diabli wezmą ten cholerny wiatr.

– Już niedługo, Genny.

Na litość boską, ile razy jeszcze to powtórzysz, miała ochotę krzyknąć. Od tego czekania robiło jej się niedobrze. Udawała jednak stoicki spokój.

– Tak, Charlie. Mogą pojawić się w każdej chwili.

Oczy obojga zwróciły się w stronę morza. Nad wodą unosiła się mgiełka, widzialność była słaba, ale mieli dostać wiadomość, kiedy tylko helikoptery znajdą się w zasięgu kuwejskich radarów. W wieży kontroli lotów czuwał człowiek z Imperial Air.

Jak długo może trwać „niedługo”, pytała sama siebie czując, że traci siły. Próbowwała przebić wzrokiem mgiełkę, wypatrując Duncana, modląc się, nie tracąc nadziei i starając się go jakoś telepatycznie wesprzeć. Nie pomogła jej w tym wiadomość, którą przekazał jej rano Gavallan.

– Po jaką cholereę on wiezie tego Kię, Andy? Co to może znaczyć?

– Nie wiem, Genny. Powtarzam ci tylko, co od niego usłyszałem. Freddy poleciał chyba wcześniej tam, gdzie mają zatankować paliwo. Mac wystartował z ministrem Kią i albo poleci z nim w to miejsce, albo wysadzi go gdzieś po drodze. Tom zostanie w bazie jeszcze jakiś czas, żeby dać innym odetchnąć, a potem też poleci w umówione miejsce. Odebraliśmy pierwszy sygnał od Maca o dziesiątej czterdzieści dwie. Załóżmy, że on i Freddy wystartują o jedenastej. Godzinę zajmie im dotarcie do umówionego miejsca i zatankowanie, następne dwie i pół godziny lot. To oznacza, że w Kuwejcie powinni się pojawić nie wcześniej niż o wpół do trzeciej. Dużo zależy od tego, ile będą musieli czekać w umówionym miejscu...

Kelner przyniósł jej drinka. Na tacy leżał przenośny telefon.

– Do pana, kapitanie Pettikin – oznajmił kelner, stawiając szklankę przed Genny.

Charlie wziął telefon i wyciągnął antenę.

– Halo? A, cześć, Andy. – Genny obserwowała jego twarz. – Nie... jeszcze nie. Tak? – Przez dłuższy czas uważnie słuchał, pochrząkując tylko z rzadka lub kiwając głową i nie dając po sobie nic poznać. Zastanawiała się, co takiego mówi Gavallan, co nie jest przeznaczone dla jej uszu. – Tak, jasne... nie... tak, zachowujemy dyskrecję na tyle, na ile możemy. Tak, jest tutaj, w porządku, poczekaj. – Pettikin podał słuchawkę Genny. – Chce zamienić z tobą słówko.

– Cześć, Andy. Co nowego?

– Po prostu się zgłaszam, Genny. Nie musisz się martwić o Maca i innych. Nie wiemy, ile czasu czekali w umówionym miejscu.

– Czuję się dobrze, Andy. Nie przejmuj się mną. Co z innymi?

– Rudi, Pop Kelly i Sandor lecą z Bahrajnu. Zatankowali w Abu Dhabi i jesteśmy z nimi w kontakcie... za pośrednictwem Johna Hogga. Oceniamy, że przylecą za jakieś dwadzieścia minut. Johnny Hogg powinien już tam u was być i on też będzie prowadził nasłuch. Pozostajemy w kontakcie. Możesz mi znowu dać Charliego?

– Już daję, ale co z Markiem Dubois i Fowlerem?

– Na razie nic nie wiemy – odparł po krótkiej pauzie Gavallan. – Mamy nadzieję, że się znajdą. Rudi, Sandor i Pop cofnęli się i szukali ich, jak długo mogli. Na wodzie nie było żadnych wraków. W tamtym rejonie jest dużo statków i platform, na pewno ich znajdziemy.

– A teraz powiedz mi, co miało być przeznaczone wyłącznie dla uszu Charliego.

Skrzywiła się, kiedy w słuchawce zapadła cisza. Gavallan westchnął.

– Można o tobie książki pisać, Genny. No dobrze. Pytałem Charliego, czy dotarł do was z Iranu teleks podobny do tego, który dostaliśmy tu, w Dubaju i w Bahrajnie. Próbuję robić, co mogę, za pośrednictwem Newbury’ego i naszej ambasady w Kuwejcie, ale Newbury twierdzi, żeby nie oczekiwać zbyt wiele. Kuwejt utrzymuje bliskie stosunki z Iranem, nie chce urazić Chomeiniego i boi się, że ten wyśle do nich fundamentalistów, którzy podburzą kuwejckich szytów. Nie udało mi się jeszcze skontaktować z Erikkim.

– Mogą go aresztować razem z Azadeh i zatrzymać oboje jako zakładników.

– Owszem. Powiedziałem też Charliemu, że próbuję zawiadomić rodziców Rossa w Nepalu, a także jego pułk. Nie chciałem martwić cię bardziej, niż to konieczne – dodał łagodniejszym tonem.

– W porządku?

– Tak, dziękuję. Czuję się... czuję się dobrze. Dziękuję, Andy. – Oddała słuchawkę Pettikinowi i spojrzała na swoją szklankę. Po szkle spływały drobne kropelki. Zupełnie jak łzy po moich policzkach, pomyślała i wstała od stołu. – Za chwilę wracam.

Pettikin popatrzył za nią ze smutkiem.

– Tak, tak, oczywiście – przytaknął, wysłuchując ostatnich instrukcji Gavallana. – Nie martw się, Andy. Zajmę się... zajmę się Rossem i zawiadomię cię, kiedy tylko będziemy ich mieć na ekranie. Fatalna sprawa z Dubois i Fowlerem, możemy tylko żywić nadzieję, że się znajdą. Dobrze, że innym się udało. Cześć.

Odnalezienie Rossa wstrząsnęło nim. Zaraz po porannym telefonie od Gavallana popędził do szpitala. W piątek nie było prawie personelu, tylko jeden dyżurny recepcjonista, który mówił wyłącznie po arabsku. „Bokrah, jutro”, powtarzał, uśmiechając się i wzruszając ramionami. Pettikin nie dawał za wygraną i w końcu facet domyślił się, o co mu chodzi, i gdzieś zatelefonował. Po

dłuższym czasie pojawił się pielęgniarz i skinął na Pettikina. Odbyli długą wędrówkę korytarzami, aż w końcu weszli na salę i zobaczył Rossa, który leżał nagi na kamiennej płycie.

Wstrząsnęła nim nie sama śmierć kapitana, ale jego nagość, profanacja ciała, brak jakiegokolwiek szacunku. Ten człowiek, tak piękny za życia, leżał tu niczym padlina. Na płycie obok zobaczył prześcieradła. Nakrył jednym z nich zwłoki i to chyba trochę pomogło.

Ponad godzinę zajęło mu odnalezienie oddziału, gdzie leżał Ross, a następnie mówiącej po angielsku pielęgniarki i lekarza, który zajmował się rannym.

– Bardzo mi przykro, bardzo przykro, proszę pana – powtarzał doktor, Libańczyk, kiepską angielszczyzną. – Młody człowiek trafił do nas wczoraj w stanie śpiączki z rozbitą czaszką i prawdopodobnie uszkodzonym mózgiem. Powiedziano nam, że rany spowodowała bomba podłożona przez terrorystów. Miał pęknięte oba bębny w uszach oraz wiele mniejszych ran i sińców. Oczywiście prześwietliliśmy go, ale poza zabandażowaniem głowy nie mogliśmy dużo zrobić. Nie miał wewnętrznych obrażeń ani krwotoków. Zmarł dziś o świcie. Świt był dzisiaj piękny, prawda? Podpisałem świadectwo zgonu... chce pan dostać kopię? Przesłaliśmy już jedną do brytyjskiej ambasady, razem z jego rzeczami.

– Czy... czy przed śmiercią odzyskał przytomność?

– Nie wiem. Był na oddziale intensywnej opieki, a jego pielęgniarka... niech spojrzę. – Lekarz długo przeglądał listę i w końcu znalazł jej nazwisko. – Sivin Tahollah. Zgadza się, wyznaczyliśmy ją, bo był Anglikiem.

Pielęgniarka okazała się starszą kobietą o nieokreślonej narodowości. Miała brzydką ospowatą twarz, ale miły łagodny głos i ciepłe dłonie.

– Ani na chwilę nie odzyskał przytomności, efendi – oznajmiła po angielsku. – Tak naprawdę ani na chwilę.

– Czy coś mówił? Coś, co by pani rozumiała... w ogóle cokolwiek?

– Rozumiałam go i jednocześnie nie rozumiałam, efendi. – Starsza kobieta przez chwilę się zastanawiała. – W większości były to majaczenia umysłu, który boi się tego, czego nie należy się bać, pragnie tego, czego nie może dostać. „Azadeh”, szeptał często, co w farsy znaczy „wolno urodzony”, ale jest także imieniem kobiety. Czasami mruczał też inne imię, które brzmiało jak „Erri”, „Ekki” albo „Kukri”. A potem znowu „Azadeh”. Jego dusza była spokojna, choć nie przez cały czas. Ale nie płakał, jak robią niektórzy, ani nie krzyczał, przekraczając próg.

– Powiedział może coś jeszcze? Cokolwiek?

Siostra bawiła się przypiętym do klapy zegarkiem.

– Od czasu do czasu bolały go chyba nadgarstki, ale uspokajał się, kiedy je gładziłam. W nocy mówił coś w języku, którego nigdy nie słyszałam. Mówię po angielsku, trochę po francusku i w wielu arabskich dialektach, naprawdę wielu. Lecz tego języka nigdy nie słyszałam. Mówił nim w śpiewny sposób, wtrącając co jakiś czas to swoje „Azadeh” i słowa takie jak... – przez chwilę szperała w pamięci – ...”regiment”, „edelweiss”, „góry”, a także coś, co brzmiało jak „gueng” i „tensng”. I jeszcze imię „Rose” albo „góra Rose”... może to nie było imię, ale nazwa miejsca. Mówiąc to, sprawiał wrażenie smutnego. – Pielęgniarka miała łzy w oczach. – Widziałam wiele zgonów, efendi, każdy był inny, lecz zarazem taki sam. Ale on odszedł w spokojny sposób, przekroczył próg bez bólu. W ostatnim momencie po prostu głęboko westchnął... i jeśli chrześcijanie idą do raju, poszedł do raju i odnalazł swoją Azadeh...

## ROZDZIAŁ 22

**TABRIZ,  
W PAŁACU CHANA,  
GODZINA 15.40.**

Azadeh szła powoli korytarzem do Wielkiej Sali, gdzie czekał na nią brat. Plecy bolały ją po wczorajszym wybuchu. Boże w niebiosach! Czy to możliwe, że zaledwie wczoraj o mało nie zginęliśmy z ręki Erikkiego i przywiezionych przez niego górali? Miała wrażenie, że stało się to przed tysiącem dni, a rok świetlny upłynął od śmierci ojca.

To, co działo się przedtem, należało do innego życia, w którym nie było nic dobrego prócz matki, Erikkiego i Hakima, Erikkiego i... i Johnny'ego. Życia pełnego nienawiści, strachu, śmierci i szaleństwa. Byliśmy pariasami, Hakim i ja. A potem ta blokada drogowa za Kazwinem i ten podły mudżahedin o tłustej twarzy, zmiażdżony przez samochód niczym mucha. I szaleńcza ucieczka z Charliem i tym kagebistą... jak on się nazywał... a tak, Rakoczy, o mało nas wszystkich nie pozabijał. To, co zdarzyło się w Abu Mard i co zmieniło na zawsze moje życie... to, co zdarzyło się w bazie, gdzie spędziłam tyle miłych chwil z Erikkiem i gdzie Johnny zabił tak szybko i tak okrutnie tylu ludzi.

Ostatniej nocy opowiedziała wszystko Erikkiemu. Prawie wszystko.

– Tam w bazie... on zmienił się w dzikie zwierzę. Nie pamiętam wiele, tylko przebłyski... jak daję mu granat w wiosce, jak biegniemy do bazy... wybuchy granatów, ogień pistoletów maszynowych... jeden ze strażników miał kukri... a potem zobaczyłam, że Johnny trzyma w ręku jego odciętą głowę i wyje jak potępieniec. Teraz wiem, że kukri należał do Guenga. Johnny powiedział mi o tym w Teheranie.

– Nie mów nic więcej, odłóż to do jutra, kochanie. Idź spać, już nic ci nie grozi.

– Nie. Boję się spać, nawet w twoich ramionach, nawet pamiętając, kim jest teraz Hakim. Kiedy zasypiam, śni mi się, że znowu jestem w tej wiosce, w Abu Mard. Jest tam ten przeklęty przez Boga mułła, jest kalandar i rzeźnik ze swoim ostrym nożem.

– Nie ma już tej wioski ani mułły. Byłem tam. Nie ma już kalandara ani rzeźnika. Ahmed opowiedział mi, co się z nimi stało.

– Byłeś tam?

– Tak, dziś po południu, kiedy odpoczywałaś. Wziąłem samochód i pojechałem tam. Zostały same zgliszcza. I dobrze – stwierdził posepnie.

Idąc teraz korytarzem, zatrzymała się, oparła o ścianę i zaczekała, aż miną jej dreszcze. Tyle zabójstw i agresji, tyle okropności. Gdy wybiegła wczoraj z pałacu i zobaczyła w helikopterze zakrwawionego męża i leżącego obok bezwładnego Ahmeda, miała wrażenie, że zaraz skona. Kiedy ujrzała, że Erikki wysiada i rusza w jej stronę, nogi odmówiły jej posłuszeństwa, a potem, gdy wziął ją w ramiona, zmartwychwstała i całe przerażenie wypłynęło z niej razem ze łzami.

– Och, Erikki, och, Erikki, tak się bałam, tak się bałam...

Zaniósł ją do Wielkiej Sali, gdzie czekali już: lekarz, Hakim i pułkownik Haszemi Fazir. Jeden pocisk urwał mu kawałek lewego ucha, drugi trafił go w przedramię. Lekarz skauteryzował i zabandażował rany, po czym dał mu szczepionkę przeciwwężcową i penicylinę, o wiele bardziej bojąc się infekcji niż upływu krwi.

– InszAllah, poza tym niewiele mogę uczynić, kapitanie. Jest pan silny, ma pan regularny puls, chirurg plastyczny może zrobić coś z pańskim uchem. Słuch, dzięki Bogu, nie ucierpiał. Niech pan tylko nie dopuści do infekcji.

– Co się stało, Erikki? – spytał Hakim.

– Poleciałem z nimi na północ, w góry, i Ahmed nie był dość czujny... to nie jego wina, zrobiło mu się niedobrze. Zanim się zorientowaliśmy, Bajazid trzymał go na muszce, a jeden z jego górali mnie. „Leć do wioski, potem cię puścimy”, powiedział szejk. „Złożyłeś świętą przysięgę, że nie zrobisz mi nic złego”, odparłem. „Złożyłem przysięgę i nie zrobię tego, ale moi ludzie przysięgali”, odpowiedział, a ten, który trzymał mnie na muszce, roześmiał się. „Rób, co ci każe nasz szejk, na Boga, bo poczujesz taki ból, iż pożałujesz, żeś się urodził”, zawołał.

– Powinienem być o tym pomyśleć – mruknął Hakim i zaklął. – Powinienem kazać im wszystkim przysiąc.

– Nie miałyby to większego znaczenia. Zresztą to wszystko moja wina: ja ich tu sprowadziłem i o mało przeze mnie nie zginęliście. Nie potrafię ci powiedzieć, jak mi z tego powodu przykro, ale to był jedyny sposób, żeby się stamtąd wyrwać. Myślałem, że zastanę tu Abdollah-chana. No i nie spodziewałem się, że ten matierjebiec użyje granatu.

– Bóg nie chciał, żeby nam się coś stało, Azadeh i mnie. Skąd mogłeś wiedzieć, że Abdollah-chan nie żyje i że połowa okupu została spleciona? Opowiedz, co się stało dalej – poprosił Hakim.

Azadeh usłyszała w jego głosie jakiś dziwny ton. Hakim zmienił się, pomyślała. Nie umiem już tak jak kiedyś odgadnąć, jakie ma zamiary. Zanim został chanem, potrafiłam, teraz już nie. Wciąż jest moim ukochanym bratem, ale stał się jakiś obcy. Tak wiele się zmieniło, tak szybko. Ja też. I Erikki, mój Boże, jak bardzo się zmienił! Nie zmienił się jedynie Johnny...

– Tylko odwożąc wszystkich helikopterem, mogliśmy pozbyć się ich z pałacu bez dalszych awantur i strzelaniny – stwierdził Erikki. – Gdyby nie zażądał tego Bajazid, sam bym to zaproponował: tylko w ten sposób mogłem uratować ciebie i Azadeh. Musiałem wierzyć, że dotrzymają przysięgi. Ale bez względu na to, co bym zrobił, wybór był prosty: albo ja, albo oni. Zdawałem sobie z tego sprawę i oni także, ponieważ byłem jedynym człowiekiem, który wiedział, kim są i gdzie mieszkają, a zemsta chana to poważna sprawa. Czy wysadziłbym ich w połowie drogi, czy poleciał do wioski, nie pozwoliliby mi odejść. Nie mogli: naraziliby wtedy na niebezpieczeństwo wioskę, a ich Jedyny Bóg nie darowałby im tego bez względu na to, co uzgodnili i na co przysięgali!

– Na to pytanie tylko Bóg zna odpowiedź.

– Moi bogowie, moi starożytni bogowie, nie lubią, żeby się na nich powoływać, i nie lubią, żeby składać w ich imieniu przysięgi. Bardzo im się to nie podoba i właściwie jest to zakazane. – Azadeh usłyszała w głosie męża gorycz i delikatnie go dotknęła. – Nic mi nie jest – powiedział, przytrzymując jej rękę.

– Co się potem stało, Erikki? – zapytał Hakim.

– Powiedziałem Bajazidowi, że mam za mało benzyny, i próbowałem przemówić mu do rozumu,

ale on odparł tylko „InszAllah”, przyłożył lufę pistoletu do ramienia Ahmeda i strzelił. „Leć do wioski! Następnym razem oberwie w brzuch!”. Ahmed zemdłał, a Bajazid pochylił się, żeby podnieść stena, który ześlizgnął się na podłogę i leżał pod fotelem. Nie zdołał go jednak dosięgnąć. Byłem przypięty pasami, Ahmed też, ale oni nie, więc wykonałem kilka manewrów, których, jak mi się wydawało, nie wytrzyma żaden helikopter, a potem runąłem nim w dół i wylądowałem. To było kiepskie lądowanie; myślałem, że złamałem płożę, ale okazało się, że ją tylko wygiąłem. Kiedy dotknęliśmy ziemi, zabiłem z pistoletu i nożem tych, którzy byli przytomni i przejawiali wrogie zamiary. Następnie rozbroiłem nieprzytomnych i wyrzuciłem ich z kabiny. A potem po jakimś czasie wróciłem.

– Ot tak, czternastu ludzi...

– Pięciu, nie licząc Bajazida. Innych... – Azadeh trzymała dłoń na jego ramieniu i poczuła, jak przechodzi go dreszcz. – Innych oszczędziłem.

– Gdzie? – zapytał Haszemi Fazir. – Czy mógłby pan opisać dokładnie to miejsce, kapitanie?

Erikki zrobił to i pułkownik natychmiast wysłał tam swoich ludzi. Fin wsadził zdrową rękę do kieszeni, wyjął z niej kosztowności, które stanowiły okup, i oddał je Hakimowi.

– Teraz, jeśli nie macie panowie nic przeciwko, chciałbym porozmawiać z żoną – oświadczył. – Resztę opowiem wam później.

Kiedy znaleźli się w swoich apartamentach, Erikki nie powiedział ani słowa; po prostu wziął ją delikatnie w ramiona. Sama jej obecność była balsamem na jego rany. Wkrótce ułożyli się do snu. Azadeh nie mogła zasnąć: gdy tylko zamykała oczy, zdawało jej się, że jest znowu w wiosce, i dławilo ją przerażenie. Długo leżała cicho w jego objęciach, a potem przeniosła się na fotel i zadowolona, że jest przy niej, zapadła w lekką drzemkę. Erikki spał głęboko aż do zmierzchu.

– Najpierw się wykąpię i ogolę – stwierdził po obudzeniu. – Potem napiję się wódki i porozmawiamy. Nigdy jeszcze nie wydawałaś się taka piękna i nigdy bardziej cię nie kochałem. Przepraszam cię, że byłem zazdrosny... nie, Azadeh, na razie nic nie mów. Potem chcę się wszystkiego dowiedzieć.

Do świtu opowiedziała mu wszystko, co było do opowiedzenia – wszystko, co była w stanie kiedykolwiek wyznać – a on zrewanżował jej się tym samym. Nie ukrył niczego: mówił o targającej nim zazdrości, o morderczym szale, bitewnym uniesieniu i łzach, które uronił na zboczu góry, widząc, jak okrutny los zgotował góralom.

– Traktowali mnie porządnie w swojej wiosce, a branie okupu jest tutaj starodawnym zwyczajem. Gdyby Abdollah nie zabił ich posłańca... wszystko potoczyłoby się inaczej... może tak, może nie. Ale to nie usprawiedliwia tego, że ich pozabijałem. Jestem potworem. Poślubiłaś szaleńca, Azadeh. Jestem niebezpieczny.

– Nie jesteś szaleńcem, na pewno nim nie jesteś...

– Na wszystkich moich bogów! W ciągu dziesięciu dni zabiłem przeszło dwudziestu ludzi, a przecież przedtem nigdy nikogo nie uśmierciłem, jeśli nie liczyć tych zabójców, zamachowców, którzy wtargnęli tu, żeby zamordować twojego ojca jeszcze przed naszym ślubem. Poza Iranem nigdy nikogo nie zabiłem, nigdy nikogo nie skrzywdziłem. Brałem udział w wielu bójkach, z nożem i bez noża, ale nigdy serio. Nigdy! Gdyby ten kalandar żył, zabiłbym go bez namysłu i spalił całą wioskę. Rozumiem twojego Johnny’ego... tam, w bazie. Dziękuję wszystkim bogom, że go tu sprowadzili i że cię uratował, a zarazem przeklinam go, bo odebrał mi spokój ducha i wiem, że zawsze już będę jego dłużnikiem. Nie mogę się z tym uporać. Z tym, że jestem zabójcą, i z tym, że on istnieje. Nie mogę,

jeszcze nie mogę...

– To nie ma teraz znaczenia, Erikki. Mamy dużo czasu. Teraz jesteśmy bezpieczni, ja, ty i Hakim. Nic nam nie grozi, kochanie. Spójrz na świt, czyż nie jest piękny? Spójrz, Erikki, zaczyna się nowy dzień i jest taki piękny. Zaczyna się nowe życie. Jesteśmy bezpieczni.

W WIELKIEJ SALI, 15.45.

Hakim-chan przyglądał się spod oka Haszemi Fazirowi. Pułkownik przybył nieproszony pół godziny wcześniej, przeprosił za najście i wręczył mu teleks.

– Sądziłem, że powinien pan to niezwłocznie zobaczyć, Wasza Wysokość.

Depesza oznaczona była jako pilna. „Do pułkownika Fazira, wywiad wewnętrzny, Tabriz. Aresztować Erikkiego Yokkonena, męża Jej Wysokości Azadeh Gorgon, za zbrodnie przeciwko państwu, udział w piractwie lotniczym, porwaniu oraz zdradzie stanu. Zakuć go w kajdany i przysłać natychmiast do mojego sztabu. Dyrektor SAVAMA, Teheran”.

Hakim-chan odprawił strażników.

– Nie rozumiem, pułkowniku. Proszę mi wyjaśnić, o co chodzi.

– Po rozszyfrowaniu teleksu natychmiast zadzwoniłem z prośbą o dalsze szczegóły, Wasza Wysokość. Rzecz w tym, że w zeszłym roku S-G sprzedało IHC pewną liczbę helikopterów...

– Nie rozumiem.

– Przepraszam, Wasza Wysokość. IHC to Iran Helicopters Company, irańska firma, obecny pracodawca kapitana Yokkonena. S-G sprzedało jej między innymi dziesięć dwieście dwunastek, w tym tę, którą pilotuje kapitan Yokkonen. W dniu dzisiejszym pozostałe helikoptery, o wartości około dziewięciu milionów dolarów, zostały skradzione i porwane z Iranu przez pilotów IHC. Zdaniem SAVAMA, do jednego z państw Zatoki.

– Jeśli nawet tak się stało, to nie dotyczy Erikkiego – oświadczył chłodno Hakim. – Nie zrobił nic złego.

– Nie wiemy tego na pewno, Wasza Wysokość. SAVAMA twierdzi, że Yokkonen musiał wiedzieć o ucieczce. Planowano ją bez wątpienia już od dłuższego czasu. W akcję zaangażowane były trzy bazy: w Lengeh, Bandar-e Daylam i Kowissie, a także ich główne biuro w Teheranie. W SAVAMA są bardzo, bardzo poruszeni, ponieważ doniesiono również o kradzieży wielu kosztujących krocie irańskich części zamiennych. Co więcej...

– Kto doniósł?

– Dyrektor IHC, Siamaki. Co więcej, zniknęli także wszyscy zagraniczni pracownicy IHC, piloci, mechanicy i personel biurowy. Wszyscy, a więc mamy do czynienia ze spiskiem. Tydzień temu w całym Iranie przebywało czterdziestu pracowników, jeszcze wczoraj około dwudziestu, dziś nie ma ani jednego. W Iranie nie został ani jeden zagraniczny pracownik S-G, a dokładniej IHC. Z wyjątkiem kapitana Yokkonena.

Hakim natychmiast uświadomił sobie, dlaczego osoba Erikkiego stała się taka ważna, i żałował, że dał to po sobie poznać.

– No tak, oczywiście, pan też to spostrzegł, Wasza Wysokość! – zawołał radośnie Haszemi. – W SAVAMA powiedzieli mi, że jeśli nawet kapitan jest niewinny i nie brał udziału w spisku, można dzięki niemu przyprzeć do muru przywódców bandy, Gavallana i McIvera, oraz brytyjski rząd, który na pewno maczał we wszystkim palce, i zmusić ich, aby oddali nasze helikoptery i nasze części, zapłacili bardzo wysokie odszkodowanie, a także wrócili do Iranu i odpowiedzieli przed sądem za



zbrodnie przeciwko islamowi.

Hakim-chan uniósł się z trudem na poduszkach. Znów bolały go plecy i miał ochotę wyc z wściekłości, bo cała jego udręka była niepotrzebna i bał się, że zostanie kaleką na całe życie. Nie zaprzataj sobie tym głowy, pomyślał ponuro, teraz musisz postanowić, co począć z tym psim synem, siedzącym tu niczym sprzedawca drogocennych dywanów, który rozłożył swój towar i chce targować się o cenę. Tak jakbym w ogóle chciał od niego coś kupić.

Jeśli chcę wydostać Erikkiego z potrzasku, muszę dać temu psu jakiś bakszysz, coś, co ma wartość tylko dla niego, nie dla SAVAMA, niech Bóg przeklnie ich, jakkolwiek się nazywają. Co może być tym bakszyszem? Petr Oleg Mzytryk. Jeśli przyjedzie, mógłbym go bez większego żalu wydać. A przyjedzie. Ahmed wezwał go wczoraj w moim imieniu. Ciekawe, jak czuje się Ahmed i czy operacja się udała? Mam nadzieję, że ten głupiec nie umrze; jego wiedza będzie mi jeszcze przez jakiś czas potrzebna. Trzeba być głupcem, żeby tak się dać zaskoczyć! Ahmed jest głupcem, ale ten pies tutaj nie. Dając mu Mzytryka i obiecując przyjaźń i pomoc w Azerbejdżanie, mógłbym wydostać Erikkiego z potrzasku. Ale dlaczego miałbym to zrobić?

Dlatego, że Azadeh go kocha? Na swoje nieszczęście jest siostrą chana Gorgonów, a ja przede wszystkim jestem chanem, dopiero później jej bratem.

Erikki jest groźny dla mnie i dla niej. To niebezpieczny człowiek, ma krew na rękach. Górale, bez względu na to, czy są, czy nie są Kurdami, będą szukali zemsty. Od początku nie nadawał się na jej męża i nie mają dzieci, chociaż Azadeh była i jest z nim bardzo szczęśliwa. A teraz nie może zostać w Iranie. To niemożliwe. Nie potrafię mu zapewnić dwuletniej ochrony, a Azadeh przysięgła w obliczu Boga, że pozostanie tu przynajmniej przez dwa lata. Ojciec był bardzo sprytny, dając mi nad nią taką władzę. Jeśli wykupię Erikkiego, nie będzie mogła z nim wyjechać. Ich miłość może nie przetrwać dwuletniej rozłąki. Ale po co go ratować, skoro nie jest dla niej odpowiednim mężem? Dlaczego nie pozwolić im oskarżyć Erikkiego o zdradę? Kradzież naszej własności to przecież zdrada.

– Sprawa jest zbyt poważna, bym mógł od razu odpowiedzieć – stwierdził.

– Nie musi pan odpowiadać na żadne pytania, Wasza Wysokość. Interesuje nas wyłącznie kapitan Yokkonen. Rozumiem, że wciąż tu jest.

– Doktor kazał mu odpocząć.

– Czy nie mógłby pan go wezwać, Wasza Wysokość?

– Oczywiście, że mógłbym. Ale tak wykształcony i ustosunkowany człowiek jak pan rozumie chyba, że w Azerbejdżanie i w moim szczepie obowiązują pewne zasady honoru i gościnności. Kapitan Yokkonen jest moim szwagrem, a nawet w SAVAMA wiedzą, co przystoi, a co nie przystoi w rodzinie. – Obaj mężczyźni zdawali sobie sprawę, że to tylko gambit otwierający delikatne negocjacje; żaden nie chciał ściągnąć na siebie gniewu SAVAMA i żaden nie wiedział, jak daleko może się posunąć i czy nie uda się zawrzeć w tej sprawie prywatnej ugody. – Domyślam się, że wiele osób wie... o tej zdradzie?

– W Tabrizie wiem o tym tylko ja, Wasza Wysokość. W tym momencie – odparł natychmiast Haszemi Fazir. Widział, że Hakim-chan jest wytracony z równowagi, i był pewien, że ma go w garści. – Na pewno pan rozumie, Wasza Wysokość, że muszę szybko odpowiedzieć na ten teleks.

Hakim-chan zdecydował się na częściową ofertę.

– Zdrada i udział w spisku nie powinny ujść na sucho. Wszędzie ściga się te wykroczenia. Posłałem po zdrajcę, o którego panu chodzi. Pilnie.

Haszemi spostrzegł, że młody chan unosi się z bólem na poduszkach. Nie wiedział, czy zadowolić się tym zapewnieniem, czy kuć żelazo, póki gorące. Doktor zaznajomił go dokładnie z obrażeniami, które mogli odnieść chan i jego siostra. Na wszelki wypadek, kazał mu podać dziś wieczorem Erikkiemu silny środek nasenny.

– Dzięki pańskim porannym wskazówkom mamy teraz w Tabrizie tyle roboty, że wątpię, bym mógł wcześniej zająć się teleksem, Wasza Wysokość – oznajmił.

– Czy rozbije pan dziś w nocy kryjówki lewicowych mudżahedinów?

– Tak, Wasza Wysokość, skoro mam już pańską zgodę i gwarancje, że nie dojdzie do kroków odwetowych ze strony Tudehu. Ale byłoby bardzo niedobrze, gdybym nie mógł dzisiejszego wieczoru przesłuchać kapitana.

Hakim-chan zmrużył oczy, słysząc tę niepotrzebną groźbę. Tak jakbym tego nie wiedział, ty grubiański psi synu.

– Zgoda – mruknął. W tym momencie do drzwi rozległo się pukanie. – Wejść!

Do sali weszła Azadeh.

– Przepraszam, że przeszkadzam, Wasza Wysokość, ale prosiłam, abym pół godziny wcześniej przypomniała ci, że czas jechać do szpitala na prześwietlenie. Witam, niech pokój będzie z panem, pułkowniku.

– Panią też niechaj Bóg obdarzy pokojem, Wasza Wysokość. – Cieszę się, że jej urodę wkrótce skryje czador, pomyślał Haszemi. Skusiłaby samego szatana, nie mówiąc już o nie domytych irańskich analfabetach. – Powinienem już iść, Wasza Wysokość – powiedział do Hakima.

– Niech pan wróci o siódmej, pułkowniku. Jeśli będę miał wcześniej jakieś wiadomości, pošlę po pana.

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

Azadeh zamknęła drzwi za pułkownikiem.

– Jak się czujesz, kochanie? – zapytała.

– Jestem zmęczony. I bardzo mnie boli.

– Mnie też. Musisz zobaczyć się później z pułkownikiem?

– Tak. To nic ważnego. Jak się miewa Erikki?

– Śpi. – Azadeh tryskała radością. – Jesteśmy tacy szczęśliwi, wszyscy troje.

## ROZDZIAŁ 23

**TABRIZ,  
SZPITAL MIĘDZYNARODOWY,  
GODZINA 18.24.**

Hakim-chan, a w ślad za nim lekarz i strażnik weszli do separatki. Chanowi dano kule i łatwiej było mu teraz chodzić, jednak kiedy siadał albo się pochylał, bolało go tak samo jak przedtem. Mogły mu pomóc tylko środki przeciwbólowe. Azadeh czekała na dole. Mniej ją bolało i rentgen wykazał, że odniosła mniej poważne obrażenia.

Ahmed leżał na łóżku. Miał zabandażowaną klatkę piersiową i brzuch. Operacja, podczas której usunięto mu kulę z klatki piersiowej, udała się. Pocisk, który trafił go w brzuch, wyrządził więcej szkód. Ranny stracił bardzo dużo krwi i znowu zaczęło się wewnętrzne krwawienie. Mimo to widząc Hakim-chana próbował się podnieść.

– Nie ruszaj się, Ahmedzie – nakazał mu łagodnie chan. – Doktor twierdzi, że twój stan się poprawia.

– Doktor kłamie, Wasza Wysokość.

Lekarz chciał coś powiedzieć, lecz Hakim nie dał mu dojść do słowa.

– Kłamie czy nie, wracaj do zdrowia, Ahmedzie – powiedział.

– Tak jest, Wasza Wysokość. Z boską pomocą. Ale co z panem, czy dobrze się pan czuje?

– Jeśli zdjęcia nie kłamią, mam tylko zerwane więzadła. – Hakim wzruszył ramionami. – Z boską pomocą zrosną się.

– Dziękuję... dziękuję za separatkę, Wasza Wysokość. Nie przywykłem do... do takich luksusów.

– To dowód szacunku i wdzięczności za twoją wierność – Chan odprawił władcym gestem strażnika i lekarza. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, podszedł bliżej do łóżka. – Chciałeś się ze mną widzieć, Ahmedzie?

– Tak, Wasza Wysokość, proszę wybaczyć, że nie mogłem... nie mogłem przybyć do pana... – Ahmeda dławiała flegma, mówił z trudem. – Człowiek z Tbilisi, na którym panu zależy... Sowieci... przesłał dla pana wiadomość. Jest... jest pod szufladą... przyklepiona taśmą pod tą szufladą.

Ranny wskazał z wysiłkiem małe biurko.

Hakim poczuł, jak ogarnia go podniecenie. Niezgrabnie sięgnął dłonią pod szufladę; elastyczny bandaż utrudniał mu ruchy. W końcu wyczuł złożoną w kwadrat kartkę i z łatwością ją oderwał.

– Kto to przyniósł? I kiedy?

– To było dzisiaj... nie wiem dokładnie kiedy... chyba po południu. Posłaniec, Azer, a może Turek, miał lekarski fartuch i okulary, ale nie był lekarzem. Nigdy przedtem go nie widziałem. Mówił po turecku. „To dla Hakim-chana od przyjaciela z Tbilisi. Rozumiesz?”, powiedział tylko. „Tak”, odparłem, a wtedy on zniknął tak samo szybko, jak się pojawił. Przez dłuższy czas myślałem, że mi się to przyśniło...

List skreślony był charakterem pisma, którego Hakim nie rozpoznawał: „Proszę przyjąć gratulacje z okazji wyniesienia na tron chana; obyś żył tak długo jak twój przodek i dokonał tyle, ile on zdołał dokonać. Owszem, ja również chciałbym się z tobą pilnie spotkać. Ale u siebie, nie u ciebie. Przykro mi. Kiedy tylko zechcesz, będę zaszczycony, mogąc cię przyjąć, z pompą albo dyskretnie, jak sobie zażyczysz. Powinniśmy zostać przyjaciółmi, możemy dokonać wspólnie wiele dobrego i łączyć nas wspólne interesy. Proszę, powiedz Haszemiemu Fazirowi, że Jazernow został pochowany na rosyjskim cmentarzu w Dżaleh i że może go tam odwiedzić, gdy będzie miał chwilę czasu”. Pod spodem nie było podpisu.

Mocno zawiedziony Hakim pokazał list Ahmedowi.

– Co to wszystko ma znaczyć?

Ahmed nie miał siły, żeby wziąć list do ręki.

– Przepraszam, Wasza Wysokość, ale proszę przytrzymać kartkę, żebym mógł ją przeczytać... To nie jest pismo Mzytryka – oznajmił po chwili. – Na pewno bym je rozpoznał, ale... to wiadomość od niego. Przekazał ją swojemu łącznikowi i kazał tu dostarczyć.

– Kto to jest Jazernow i o co chodzi z tym cmentarzem?

– Nie wiem. To jakiś szyfr. Szyfr, który znali.

– Czy to zaproszenie do rozmów, czy groźba?

– Nie wiem, Wasza Wysokość. Moim zdaniem zapro... – Ahmeda przeszył nagły ból i zaklął w swoim języku.

– Czy Mzytryk wie, że dwa ostatnie spotkania to była pułapka? Wie, że Abdollah-chan go zdradził?

– Nie wiem, Wasza Wysokość. Mówiłem już, że Sowiet jest bardzo przebiegły, a chan, pański ojciec, zachowywał dużą... bardzo dużą ostrożność. – Te kilka zdań bardzo wyczerpało Ahmeda. – Mzytryk wie, że oni się z panem kontaktują, ma tutaj swoich szpiegów. Jest pan przecież chanem... chyba pan wie, że szpiegują pana różni ludzie, w większości wrogo nastawieni, którzy zdają raporty swoim mocodawcom, w większości jeszcze bardziej wrogo nastawionym. – Na twarzy Ahmeda pojawił się uśmiech i Hakim zastanawiał się, co może oznaczać. – Ale wie pan również, że trzeba ukrywać swoje prawdziwe zamiary. Abdollah-chan nigdy... nigdy nie wiedział, jak bardzo jest pan przebiegły. Gdyby zobaczył w panu choć jedną setną tego, co w panu drzemie, nigdy by pana nie wygnał, ale uczynił swoim następcą i pierwszym doradcą...

– Kazałby mnie zadusić – odparł Hakim. Nawet przez ułamek sekundy nie kusiło go, żeby zdradzić Ahmedowi, że to on wysłał zabójców, których zabił Erikki, i że to on również próbował bezskutecznie otruć ojca. – Tydzień temu kazałby mnie okaleczyć, a ty wykonałbyś jego rozkaz z radością.

Ahmed utkwiał w nim głęboko osadzone oczy. Czaiła się w nich śmierć.

– Skąd pan to wie?

– Wola boska.

Ahmed zaczynał odpływać i obaj zdawali sobie z tego sprawę.

– Pułkownik Fazir pokazał mi teleks w sprawie Erikkiego – oznajmił Hakim i w skrócie powiedział, o co chodzi. – Teraz nie będę już mógł mu wydać Mzytryka, nie w najbliższej przyszłości. Mogę pozwolić aresztować Erikkiego albo pomóc mu w ucieczce. W jednym i drugim wypadku moja siostra musi tu zostać; nie może z nim wyjechać. Jaka jest twoja rada?

– Bezpieczniej dla pana będzie wydać niewiernego pułkownikowi, a jej powiedzieć, że nie mógł

pan nic zrobić, żeby zapobiec... aresztowaniu. I prawdę mówiąc, jeśli pułkownik chce to załatwić w ten sposób, rzeczywiście nie może pan nic zrobić. Człowiek z Nożem.. stawia opór i zginie. Wtedy może pan obiecać ją w sekrecie Sowietowi. Ale niech pan jej nigdy nie oddaje... w ten sposób będzie pan go kontrolował... może będzie pan go kontrolował, chociaż wątpię, czy...

– A jeśli Człowiek z Nożem „przypadkiem” ucieknie?

– Jeśli pułkownik przymknie na to oczy... będzie chciał coś w zamian.

– Co?

– Mzytryka, Wasza Wysokość. Teraz albo... albo w przyszłości. Dopóki Człowiek z Nożem żyje, ona nigdy się z nim nie rozwiedzie. Sabotażysta się nie liczy, to było dawno temu... a kiedy miną dwa lata, ona pojedzie do niego... oczywiście jeśli Eriki w ogóle... jeśli w ogóle pozwoli jej tu zostać. Wątpię, czy nawet Wasza Wysokość...

Ahmed zamknął oczy i przeszedł go dreszcz.

– Co się stało z Bajazidem i bandytami? Odpowiedz!

Ahmed już go nie słyszał. Widział teraz stepy, rozległe równiny swojej ojczyzny, morza traw, skąd wyłonili się jego przodkowie galopujący u boku Czyngis-chana, a potem jego wnuków Kubilaja oraz Hulagu, który najechał Persję i wznosił stosy z czaszek tych, którzy stawili mu opór. Tutaj, w tej złotej ciepłej krainie, krainie wina, bogactwa i kobiet o zmysłowych pięknych sarnich oczach, które ceniono od starożytności, kobiet takich jak Azadeh... już nigdy nie zniewolę jej tak, jak powinna zostać zniewolona, nie powlokę za włosy, traktując niczym wojenny łup, nie przerzucę jej przez siodło, nie wezmę siłą i nie poskromię na wilczych skórkach...

Z oddali dobiegł go własny głos.

– Proszę o łaskę, Wasza Wysokość... chciałbym zostać pochowany w mojej ojczyźnie, zgodnie z naszym zwyczajem...

Wtedy będę żył wiecznie wraz z duchami moich przodków, pomyślał. Czuł, jak wzywa go umiłowany kraj.

– Co się stało z Bajazidem i bandytami, kiedy wylądowaliście?

Ahmed z wysiłkiem wracał do przytomności.

– To nie byli Kurdowie, ale górale udający Kurdów. Człowiek z Nożem pozabijał ich wszystkich, Wasza Wysokość... dokonał tego z wielkim okrucieństwem – dodał dziwnie oficjalnym tonem. – W ataku szalu zabił wszystkich... z pistoletu, nożem, gołymi rękoma, kopiąc ich i gryząc... wszystkich prócz Bajazida, który będąc związany przysięgą, nie mógł z nim walczyć...

– Zostawił go przy życiu? – zdziwił się Hakim.

– Tak, niech Bóg obdarzy go pokojem. Człowiek z Nożem dał mi pistolet i przysunął Bajazida bliżej, a ja...

Ahmed umilkł. Wzywały go sięgające aż po horyzont falujące trawy...

– Zabiłeś go?

– Tak... zrobiłem to, patrząc... patrząc mu w oczy. – W głosie Ahmeda zadźwięczał gniew. – Ten psi syn strzelił mi w plecy, dwa razy, niehonorowo, więc sam też... psi syn, zginął haniebną śmiercią, pozbawiony męskości. – Na sinych wargach pojawił się uśmiech i opadły powieki. Umierał szybko, trudno było zrozumieć, co mówi. – Zemściłem się...

– Czego jeszcze mi nie powiedziałeś? Co powinienem wiedzieć? – zapytał Hakim.

– Nic... – Oczy otworzyły się na chwilę i Hakim zobaczył w nich otchłań. – Nie ma innego Boga prócz Boga, a... – Z ust Ahmeda wyciekła strużka krwi. – To ja uczyniłem cię cha... – szepnął

i skonał.

Hakim poczuł się nieswojo pod nieruchomym spojrzeniem.

– Lekarza! – zawołał.

Doktor wszedł natychmiast, razem ze strażnikiem, i zamknął Ahmedowi oczy.

– Bóg tak chciał. Co mamy zrobić ze zwłokami, Wasza Wysokość?

– A co robicie na ogół ze zwłokami?

Hakim wyszedł, podpierając się kulami; strażnik podążył w ślad za nim. A więc odszedłeś, Ahmedzie, myślał chan, a ja zostałem sam, odcięty od przeszłości i bez żadnych zobowiązań. Uczyniłeś mnie chanem? To właśnie chciałeś powiedzieć? Czyżbyś nie wiedział, że w szpitalu ściany też mają uszy?

Na jego ustach pojawił się uśmiech, a potem zniknął. Teraz muszę zdecydować coś w sprawie pułkownika Fazira i Erikkiego. Człowieka z Nożem, jak go nazwałeś.

W PAŁACU, 18.48.

W gasnącym świetle dnia Erikki zaklejał starannie taśmą dziurę po pocisku w plastikowej przedniej szybie dwieście dwunastki. Trudno mu było robić to z ręką na temblaku, ale dłoń miał sprawną, a rana na przedramieniu była powierzchowna: ani śladu infekcji. Na uchu, wokół którego zgolono mu włosy, miał wielki opatrunek. Ta rana również szybko się goiła. Długa rozmowa z Azadeh pomogła mu w pewnej mierze odzyskać spokój.

Tylko w pewnej mierze, pomyślał. W dalszym ciągu nie potrafił wybaczyć sobie zabójstw i pogodzić się z tym, co w nim drzemie. Trudno. Takim uczynili mnie bogowie i taki jestem. Ale co będzie z Rossem i Azadeh? Dlaczego ona stale trzyma przy sobie kukri?

– To prezent dla ciebie, Erikki, dla ciebie i dla mnie.

– Niedobrze jest, kiedy mężczyzna dostaje w prezencie nóż, za który nie może choćby symbolicznie zapłacić. Kiedy go spotkam, zapłacę mu i przyjmę ten prezent.

Po raz kolejny nacisnął guzik startera. Silnik ponownie zaskoczył i zgasł. Co będzie z Rossem i Azadeh?

Siadł na skraju kokpitu i spojrzał w niebo, ale nie doczekał się stamtąd odpowiedzi. Podobnie jak od zachodzącego słońca, które wyrzało na chwilę zza posepnych chmur. Rozległy się nawoływania muezinów. Strażnicy przy bramie odwrócili się w stronę Mekki i zaczęli bić pokłony; to samo zrobili ludzie w pałacu oraz ci, którzy pracowali na polach, w fabryce dywanów i w owczych zagrodach.

Jego dłoń odruchowo spoczęła na rękojeści noża. Mimowolnie sprawdził, czy sten jest w kieszeni przy fotelu pilota i czy tkwi w nim pełny magazynek. W innych miejscach w kabinie ukryte były należące do górali karabiny AK47 i M16. Nie pamiętał, kiedy je zabrał i schował; odkrył broń rano, gdy szacował uszkodzenia i czyścił wnętrze kabiny.

Mając ucho zalepione plastrem, nie usłyszał zbliżającego się samochodu i zobaczył go dopiero, gdy stanął w bramie. Strażnicy chana rozpoznali szofera oraz pasażera i przepuścili auto, które zatrzymało się pośrodku wielkiego dziedzińca, niedaleko fontanny. Erikki ponownie nacisnął starter. Silnik dwieście dwunastki zaskoczył, a potem zadygotał i zgasł.

– Dobry wieczór, kapitanie – pozdrowił go Haszemi Fazir. – Jak się pan dzisiaj czuje?

– Jeśli rany będą się tak szybko goić, za tydzień będę zdrow jak ryba – odparł uprzejmie Erikki, zachowując czujność.

– Strażnicy mówią, że Ich Wysokości jeszcze nie wrócili. Chan spodziewa się mnie, przyjechałem tu na jego zaproszenie.

– Są w szpitalu na prześwietleniu. Wyjechali, kiedy spałem, powinni niedługo wrócić. Ma pan ochotę się czegoś napić? Jest wódka, whisky, herbata i naturalnie kawa.

– Chętnie się napiję – odparł Haszemi. – Co z pańskim helikopterem?

– Jest uszkodzony – odparł zniechęcony Erikki. – Od godziny próbuję uruchomić silniki. Ten tydzień był dla niego paskudny – dodał, prowadząc pułkownika po marmurowych schodach. – Awionika jest w opłakanym stanie. Potrzebny mi jest na gwałt mechanik. Nasza baza jest, jak pan wie, zamknięta. Próbowałem dodzwonić się do Teheranu, ale telefony znowu nie działają.

– Może uda mi się na jutro albo pojutrze załatwić panu mechanika z naszej bazy powietrznej.

– Naprawdę, pułkowniku? – Erikki szeroko się uśmiechnął. – To byłoby wspaniale. Przydałoby mi się także paliwo, pełen zbiornik. Czy to możliwe?

– Doleci pan do naszej bazy?

– Nie ryzykowałbym tego, nawet gdyby udało mi się uruchomić silniki. Nie, nie będę ryzykować. – Erikki pokręcił głową. – Pański mechanik musiałby tu przyjechać.

Minęli długi korytarz na parterze i Erikki otworzył drzwi do małego salonu, który Abdollah-chan urządził dla gości nie wyznających islamu. Nazywano go Pokojem Europejskim. Był tutaj świetnie zaopatrzone bar, sterty czekolady i uwielbianej przez chana chałwy, a w lodówce zawsze dużo lodu, woda sodowa oraz inne napoje orzeźwiające.

– Ja napiję się wódki – oznajmił Erikki.

Haszemi poprosił o lemoniadę.

– Też napiję się wódki, ale dopiero kiedy zajdzie słońce – wyjaśnił.

Wciąż słychać było zawodzenie muezinów.

– Prosit!

Erikki stuknął się z nim, wypił jednym haustem kieliszek i nalał sobie ponownie. Słyszając samochód, wyjrzeli przez okno. To był rolls.

– Przepraszani na chwilę, powiem Hakim-chanowi, że pan przyjechał. – Erikki wyszedł i przywitał się z Azadeh i jej bratem na schodach pałacu. – Co wykazały zdjęcia?

– Żadnych złamań u obojga. – Azadeh była szczęśliwa, na jej twarzy ani śladu troski. – A jak ty się czujesz, kochanie?

– Wspaniale – odparł, uśmiechając się szczerze do Hakima. – Tak się cieszę. Masz gościa. Zaprowadziłem go do Pokoju Europejskiego. – Dopiero teraz dostrzegł, że chan jest bardzo zmęczony. – Czy mam mu powiedzieć, żeby przyjechał jutro?

– Nie, nie trzeba. Azadeh, powiedz mu, że przyjmę go za kwadrans i niech czuje się jak u siebie w domu. Zobaczę się z tobą później, przy kolacji. – Hakim patrzył, jak siostra dotyka z uśmiechem Erikkiego i odchodzi. Jakie to dla nich szczęście, że tak bardzo się kochają. I jakie to smutne. – Ahmed nie żyje, Erikki. Nie chciałem jej o tym mówić.

Fin posmutniał.

– To moja wina, że zginął... ten matierjebiec Bajazid nie dał mu najmniejszej szansy.

– Taka była wola Boga. Muszę z tobą porozmawiać.

Hakim wszedł do Wielkiej Sali, opierając się coraz ciężiej na kulach. Strażnicy zostali przy drzwiach, poza zasięgiem głosu. Hakim podszedł do niszy, odstawił kule, odwrócił się w stronę Mekki, po czym jęcząc z bólu ukląkł i próbował złożyć pokłon. Kiedy nie udało mu się to dwa razy,

poprzestał na odmówieniu szahady.

– Możesz mi podać rękę, Erikki?

Fin bez trudu pomógł mu wstać.

– Przez kilka dni mógłbyś to sobie darować – stwierdził.

– Nie modlić się? – zdziwił się Hakim.

– Chciałem powiedzieć, że Jedyne Bóg chyba zrozumie, jeśli odmówisz modlitwę, nie klękając.

To pogorszy tylko twój stan. Czy doktor powiedział, co ci właściwie jest?

– Uważa, że mam zerwane więzadła. Kiedy tylko będę mógł, pojedę z Azadeh do Teheranu, do specjalisty.

Hakim wziął od Erikkiego kule i po chwili zastanowienia zamiast na poduszkach usiadł na krześle. Usadowiwszy się wygodnie, zamówił herbatę.

Erikki myślał o Azadeh. Mieli tak mało czasu!

– Najlepszym na świecie specjalistą od urazów kręgosłupa jest Guy Beauchamp w Londynie – powiedział. – Uzdrowił mnie w pięć minut, chociaż inni lekarze twierdzili, że muszę przez trzy miesiące leżeć na wyciągu, jeśli nie chcę, żeby diabli wzięli dwa kręgi. Nie wierz zwykłym lekarzom w sprawach kręgosłupa, Hakimie. Mogą ci co najwyżej dać leki przeciwbólowe.

Drzwi otworzyły się i służący wniósł herbatę. Hakim odprawił go razem ze strażnikiem.

– Dopilnujcie, żeby nikt nam nie przeszkadzał! – rozkazał. Miętowa herbata była gorąca i słodka, pili ją z małych srebrnych filiżanek. – Musimy ustalić, co masz robić. Nie możesz tu zostać.

– Zgadzam się – odparł Erikki, ciesząc się, że oczekiwanie dobiegło kresu. – Wiem... wiem, że przysparzam ci wielu kłopotów jako chanowi.

– Jednym z warunków, pod którymi Abdollah-chan przywrócił nas do łask i uczynił mnie swoim dziedzicem, było przyrzeczenie, że przez dwa lata ona i ja zostaniemy w Iranie, w Tabrizie. Dlatego, chociaż ty musisz wyjechać, ona tu zostanie.

– Mówiła mi o tej przysiędze.

– Grozi ci niebezpieczeństwo, nawet w moim pałacu. Nie mogę ochronić cię przed policją i władzami. Powinieneś natychmiast odlecieć, opuścić ten kraj. Po dwóch latach Azadeh, jeśli zechce, będzie mogła do ciebie wyjechać.

– Nie mogę odlecieć. Fazir powiedział, że może przyśle tu jutro mechanika. I paliwo. Gdyby udało mi się skontaktować z McIverem w Teheranie, na pewno kogoś by tu przysłał.

– Próbowaleś?

– Tak, ale telefony są wyłączone. Użyłbym radiostacji w naszej bazie, ale biuro jest kompletnie zniszczone... wracając tutaj przeleciałem nad bazą, zostały z niej ruiny. Nie ma żadnych pojazdów, żadnych beczek z paliwem. Kiedy dodzwonię się do Teheranu, McIver przyśle mechanika, który naprawi helikopter. Czy dwieście dwunastka może tu do tego czasu zostać?

– Tak. Oczywiście. – Hakim dolał sobie herbaty. Wierzył, że Erikki nie wie nic o ucieczce innych pilotów i porwaniu helikopterów. Ale to niczego nie zmienia, pomyślał. – Gdyby Tabriz obsługiwała jakaś linia lotnicza, załatwiłbym ci bilet. Naprawdę uważam, że powinieneś natychmiast wyjechać; grozi ci tu wielkie niebezpieczeństwo, bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Erikki zmrużył oczy.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Jakie to niebezpieczeństwo?



– Nie mogę powiedzieć. Jest poważne i nie mogę cię przed nim uchronić. Na razie nic nie grozi Azadeh, ale jeśli nie będziemy ostrożni, ona też może paść ofiarą zamachu. Ze względu na nią to musi pozostać między nami. Dam ci samochód. Wybierz, jaki chcesz; w garażu stoi chyba ze dwadzieścia. Co się stało z twoim range roverem?

Erikki wzruszył ramionami, zastanawiając się nad sytuacją.

– To kolejny problem. Zabiłem przecież tego matierjebca, który zabrał dokumenty moje i Azadeh. A potem załatwiłem innych.

– Nie mamy dużo czasu – przypierał go do muru Hakim.

Erikki pokręcił głową, żeby złagodzić ból w napiętych mięśniach karku.

– Kiedy może mi się coś stać?

– W każdej chwili. Dlatego radzę ci poczekać do zmroku, a potem wziąć samochód i jak najszybciej wydostać się z Iranu – dodał. – Jeśli tego nie zrobisz, Azadeh będzie bardzo cierpieć. Zdajesz sobie chyba sprawę, że nie powinieneś jej mówić o swoim wyjeździe?

– Sytuacja jest naprawdę aż tak poważna?

– Przysięgam na Boga, taka jest moja opinia – odparł Hakim. Zobaczył, że Erikki marszczy czoło, i cierpliwie czekał. Lubił go za jego uczciwość i prostolinijność, ale nie miało to w tej chwili znaczenia. – Czy możesz wyjechać, nic jej nie mówiąc?

– Tylko jeżeli opuścę pałac przed samym świtem, oczywiście pod warunkiem, że będzie spała. Jeśli wyjadę wieczorem, mówiąc, że wybieram się na przykład do bazy, będzie na mnie czekała. Kiedy nie wrócę, będzie to bardzo przeżywała. Nie może zapomnieć o tym, co zdarzyło się w wiosce. Wpadnie w histerię. Rozsądniej będzie wyjechać cichaczem, najlepiej przed świtem. Będzie wtedy spała; doktor dał jej środki nasenne. Będzie spała, a ja zostawię jej list.

Hakim pokiwał z zadowoleniem głową.

– W takim razie załatwione.

Nie chciał zbytnio zranić Azadeh ani narazić się na wyrzuty z jej strony.

Erikki usłyszał w jego głosie władczy ton. Wiedział ponad wszelką wątpliwość, że jeśli teraz zostawi Azadeh, nigdy już jej nie odzyska.

W ŁAŻNI, 19.15.

Azadeh zanurzyła się po samą szyję w gorącej wodzie. Płytki z tej strony basen miał piętnaście jardów długości i specjalne miejsca do siedzenia. Jego ściany i dno wyłożone były pięknymi kaflami, gorąca woda płynęła z mieszczącej się za ścianą kotłowni. Ciepła, pełna luster łaźnia była jednym z najprzyjemniejszych miejsc w pałacu. Azadeh, z włosami związanymi ręcznikiem, wyciągnęła nogi przed siebie i oparła się o pochyłą ścianę. Woda przynosiła jej ukojenie.

– Och, jakie to miłe, Mino – mruknęła.

Mina, jedna z jej trzech osobistych pokojówek, była silną przystojną kobietą. Ubrana tylko w opaskę na biodrach stała nad nią w wodzie i masowała ramiona i kark. Poza nimi w łaźni nie było nikogo; Hakim wysłał resztę rodziny do innych domów w Tabrizie, aby, jak powiedział, „przygotowali się do egzekwii po Abdollah-chanie”. Wszyscy wiedzieli, że to tylko pretekst i że w ciągu tych czterdziestu dni przeprowadzi inspekcję pałacu i wedle swego uznania przydzieli na nowo kwatery domownikom. Na miejscu została tylko stara Chananam i Aisza z dwojgiem małych dzieci.

Najdelikatniej jak mogła, Mina przesunęła Azadeh w płytsze miejsce, gdzie jej pani mogła

położyć się na wznak. Oparła jej wygodnie głowę o poduszkę i zaczęła masować piersi, biodra, uda i nogi. Dopiero potem, gdy woda ogrzeje całe ciało, miał nastąpić prawdziwy masaż z użyciem olejków.

– Och, jakie to miłe – powtórzyła Azadeh. Znacznie miłsze od naszej sauny, myślała, od tego powalającego żaru i szoku, jakim jest późniejsze wyjście na śnieg. Czowała się wtedy jak nowo narodzona, lecz sauna nie była tak miła jak zmysłowy dotyk perfumowanej wody, słodkie lenistwo i świadomość, że nie czeka jej żaden szok... ale dlaczego łaźnia zmienia się w centralny plac wioski, dlaczego robi się tak zimno i słyszy krzyki rzeźnika i fałszywego mułły: „Najpierw prawą rękę! Ukamienujcie ladacznice!”. Azadeh krzyknęła cicho i gwałtownie się wzdygnęła.

– Czy panią uraziłam, Wasza Wysokość? Proszę o wybaczenie!

– Nie, to nie twoja wina, Mino, nic się nie stało, masuj dalej.

Ponownie dotknęły ją przynoszące ukojenie palce. Serce uspokoiło się. Mam nadzieję, że już wkrótce przestanie mi się śnić ta wioska. Wczoraj w nocy z Erikkim było już trochę lepiej; w jego objęciach i blisko niego czułam się całkiem dobrze. Może dzisiaj będzie jeszcze lepiej. Ciekawe, co się dzieje z Johnnym? Pewnie dali mu urlop i jest już w drodze do domu, do Nepalu. Teraz, kiedy wrócił Eriki, znowu czuję się bezpieczna, ale tylko kiedy jest tuż przy mnie. Bez niego nie czuję się bezpieczna, nawet z Hakimem. Po prostu nie czuję się już bezpieczna.

Drzwi łaźni otworzyły się i do środka weszła Aisza. Na jej twarzy malował się smutek, w oczach czaił lęk. W czarnym czadorze wydawała się jeszcze bardziej wymizerowana.

– Witaj, droga Aiszo. O co chodzi?

– Nie wiem... Świat jest taki obcy, a ja nie mam... jestem kompletnie zagubiona.

– Wejdz do wody. – Aisza była taka chuda, taka krucha, przedwcześnie postarzała i bezbronna, że Azadeh zrobiło jej się żal. Trudno było uwierzyć, że to wdowa po jej ojcu, że ma już syna i córkę i tylko siedemnaście lat. – Chodź! Jest tak przyjemnie.

– Nie, nie, dziękuję... chciałam... chciałam z tobą tylko porozmawiać.

Aisza spojrzała na Minę, która czekała ze spuszczonego wzrokiem. Jeszcze przed dwoma dniami posłałaby po prostu po Azadeh, a ta przyszłaby niezwłocznie, uklękła i czekała na rozkazy. Teraz to ona klęczała przed nią niczym petentka. InszAllah, pomyślała; gdyby nie lęk o przyszłość dzieci, płakałabym z radości. Nie muszę już znosić tego straszego smrodu, chrapania, przez które nie mogłam zasnąć, gniotącego mnie cielska, ataków gniewu, gryzienia i desperackich prób osiągnięcia tego, co udawało mu się tak rzadko. „To twoja wina, twoja wina, twoja wina...”, powtarzał. Dlaczego moja? Ile razy błagałam go, żeby pokazał, jak mu dogodzić, ile razy próbowałam, lecz zdarzało się to tak rzadko... wtedy złaził ze mnie i zaczynał chrapać, a ja nie mogłam zasnąć leżąc w jego pocie i smrodzie. Ile razy chciałam umrzeć...

– Zostaw nas, Mino, i zaczekaj, aż cię zawołam – powiedziała Azadeh i pokojówka natychmiast spełniła jej polecenie. – O co chodzi, droga Aiszo?

Dziewczyna zadrżała.

– Boję się. Boję się o mojego syna i przyszłam cię błagać, żebyś nie dała go skrzywdzić.

– Nie musisz się bać Hakim-chana i mnie – wytłumaczyła jej łagodnie Azadeh. – Przysięgliśmy przed Bogiem, że będziemy się troszczyć o ciebie, a także o twojego syna i córkę... słyszałaś nas, zrobiliśmy to w obecności... twojego męża, naszego ojca, a potem ponownie po jego śmierci. Nie masz się czego obawiać.

– Boję się wszystkiego – wyjąkała dziewczyna. – Nie jestem już bezpieczna, ani ja, ani mój syn.

Czy... czy Hakim-chan nie mógłby... podpiszę każdy dokument, zrzeknę się na jego rzecz wszelkich praw. Chcę tylko żyć w spokoju... chcę, żeby mój syn żył i dorastał w spokoju.

– Twoje życie jest związane z naszym, Aiszo. Wkrótce przekonasz się, jacy będziemy wszyscy szczęśliwi – odparła Azadeh. Dziewczyna ma prawo się bać, pomyślała. Hakim nigdy nie odda chanatu, jeśli będzie miał własnych synów. Musi się teraz ożenić, muszę pomóc mu znaleźć odpowiednią żonę. – Nie martw się, Aiszo – dodała.

– Mam się nie martwić? Ty jesteś już bezpieczna, Azadeh, choć zaledwie kilka dni temu żyłaś w lęku i poniewierce. Teraz ja nie jestem bezpieczna i ja żyję w lęku.

Azadeh przyjrzała się jej. Nie mogła dla niej nic zrobić. Los Aiszy był przypieczętowany. Była wdową po chanie. Musiała pozostać w pałacu, pod ścisłym nadzorem, i ułożyć sobie życie, jak mogła najlepiej. Hakim nie pozwoli, żeby za kogoś powtórnie wyszła, i prawdopodobnie nie pozwoli jej zrzec się praw, które przyznał publicznie jej synowi umierający małżonek.

– Nie martw się – powtórzyła.

Aisza wyjęła spod czadoru pękata brązową kopertę.

– Proszę, to twoje – oznajmiła.

– Co to jest?

Azadeh miała mokre ręce i Aisza wyręczyła ją, otwierając kopertę. Kiedy pokazała jej zawartość, Azadeh otworzyła szeroko oczy. Był tam jej paszport, dowód osobisty i inne papiery, również Erikkiego, wszystko, co zabrał im mudzahedin przy blokadzie drogowej. Zaiste wspaniały bakszysz!

– Skąd to masz?

Aisza była pewna, że nikt ich nie podsłuchuje, ale i tak ściszyła głos.

– Ten lewicowy mułła... ten sam, który był potem w wiosce, dał to Jego Wysokości chanowi przed dwoma tygodniami, kiedy byłaś w Teheranie. Ten sam mułła, który potem był w wiosce.

Azadeh zmierzyła ją pełnym niedowierzania wzrokiem.

– Jak wpadło mu to w ręce?

Aisza wzruszyła nerwowo chudymi ramionami.

– Mułła wiedział o wszystkim, co zdarzyło się przy blokadzie. Przyszedł tutaj, bo chciał dostać w swoje ręce... twojego męża. Jego Wysokość... – Dziewczyna na chwilę umilkła, a potem mówiła dalej urywanym szeptem. – Jego Wysokość powiedział, żeby się wstrzymał, dopóki nie udzieli mu na to zgody. Odesłał go i zatrzymał dokumenty.

– Masz jeszcze jakieś papiery, Aiszo? Prywatne papiery?

– Nic, co by należało do ciebie albo twojego męża. – Aisza ponownie zadrżała. – Jego Wysokość tak bardzo cię nienawidził. Chciał zniszczyć twojego męża i oddać cię później Sowietowi... a twojego brata chciał wykastrować... Wiem dużo rzeczy, które mogłyby pomóc tobie i jemu, ale wielu z nich nie rozumiem. Uważaj na Ahmeda, Azadeh.

– Dobrze – odparła powoli Azadeh. – Czy to ojciec posłał mułłę do wioski?

– Nie wiem. Myślę, że tak. Słyszałam, jak prosił Sowiet, żeby pozbył się Mahmuda... tak nazywał się fałszywy mułła. Może Jego Wysokość chciał, żeby Mahmud pognębił ciebie i sabotażystę, a jednocześnie posłał go na śmierć... ale Bóg pokrzyżował jego plany. Słyszałam, jak Sowiet zgodził się nasłać na niego zabójców.

– Jakim cudem to wszystko słyszałaś? – zapytała obojętnym tonem Azadeh.

Aisza owinęła się nerwowo czadorem i przyklękła na skraju basenu.

– Ten pałac jest niczym plaster miodu, Azadeh, pełen dziur, przez które można podsłuchiwać i szpiegować. On... Jego Wysokość nikomu nie ufał i wszystkich szpiegował, nawet mnie. Moim zdaniem ty i ja powinniśmy zostać przyjaciółkami, sojuszniczkami. Jesteśmy bezbronni, ty też, być może nawet bardziej niż inni, i jeśli sobie nie pomożemy, będziemy zgubione. Mogę ci pomóc, mogę cię ochraniać. – Na czole Aiszy pojawiły się krople potu. – Proszę tylko, żebyś nie dała skrzywdzić mojego syna. Mogę ci pomóc.

– Oczywiście, powinniśmy zostać przyjaciółkami – odparła Azadeh, nie wierząc, że może jej coś grozić, lecz pragnąc poznać sekrety pałacu. – Pokażesz mi te wszystkie tajne miejsca i podzielisz się ze mną swoją wiedzą?

– Tak, oczywiście, zrobię to. – Twarz Aiszy się rozjaśniła. – Pokażę ci wszystko i te dwa lata szybko nam miną. O tak, zostaniemy przyjaciółkami.

– Jakie dwa lata?

– Kiedy twojego męża tu nie będzie, Azadeh.

Azadeh uniosła się zaniepokojona.

– On wyjeżdża?

Aisza spojrzała na nią zaskoczona.

– Naturalnie. Cóż innego mu zostało?

## W POKOJU EUROPEJSKIM.

Haszemi czytał nagryzmołony ręcznie list od Mzytryka, który wręczył mu przed chwilą Hakim.

– O co chodzi z tym Jazernowem i cmentarzem Dżaleh, pułkowniku?

– To zaproszenie, Wasza Wysokość. Jazernow jest pośrednikiem, z którego usług Mzytryk korzysta od czasu do czasu, gdy trzeba omówić pewne ważne dla obu stron sprawy. Powinniśmy się z nim spotkać najszybciej, jak to możliwe! Moim zdaniem, Wasza Wysokość, lepiej będzie, jeśli jutro udam się do Teheranu.

– Tak – odparł Hakim. Wracając razem z Azadeh ze szpitala doszedł do wniosku, że jedynym sposobem uporania się z Mzytrykiem jest parcie do konfrontacji. – Kiedy wróci pan do Tabrizu?

– Jeśli to panu odpowiada, w przyszłym tygodniu. Możemy wtedy omówić, jak zwabić tutaj Mzytryka. Z pańską pomocą mamy dużo do zrobienia w Azerbejdżanie. Dostaliśmy właśnie raport, że Kurdowie otwarcie wystąpili przeciwko władzy w pobliżu Rezaije. Są zaopatrywani w broń i pieniądze przez Irakijczyków, niech Bóg porazi ich ogniem. Chomeini rozkazał wojsku zrobić z nimi raz na zawsze porządek.

– Z Kurdami? – Hakim uśmiechnął się. – Nawet on, niech Bóg ma go w swojej opiece, nie zdoła tego zrobić. Na pewno nie raz na zawsze.

– Tym razem może zdoła, Wasza Wysokość. Wysyła fanatyków przeciwko fanatykom.

– Żołnierze Zielonych Oddziałów mogą wypełnić jego rozkaz i zginąć, ale nie opanują tych gór. Nie mają takiego hartu ducha jak Kurdowie i w drodze do rajy nie pragną tak bardzo zaznać owoców ziemskiej wolności.

– Pozwoli pan, Wasza Wysokość, że przekażę wyżej pańską sugestię.

– Czy potraktowana zostanie z większą uwagą aniżeli rady mojego ojca i dziada – odparł ostro Hakim – którzy obaj twierdzili to samo?

– Mam taką nadzieję, Wasza Wysokość, mam taką nadzieję...

Słowa pułkownika zagłuszył hałas silnika dwieście dwunastki. Motor zaskoczył, zakaszła kilka

razy i zgasł. Przez okno zobaczyli Erikkiego, który otworzył jedną z pokryw i świecąc sobie latarką, przyglądał się silnikowi. Haszemi odwrócił się z powrotem do chana, który siedział sztywno wyprostowany na krześle. Zapadła niezręczna cisza; obaj mężczyźni szukali gorączkowo wyjścia z sytuacji, obaj tak samo wpływowi i obaj skłonni do użycia przemocy.

– On nie może zostać aresztowany w moim domu i na mojej ziemi – stwierdził ostrożnie Hakim. – Chociaż nie wie nic o teleksie, zdaje sobie sprawę, że nie może zostać w Tabrizie i w ogóle w Iranie, a także z tego, że moja siostra nie może mu towarzyszyć i opuścić kraju w ciągu następnych dwu lat. Wie, że musi natychmiast wyjechać. Jego helikopter jest niesprawny. Mam nadzieję, że uniknie aresztowania.

– Mam związane ręce, Wasza Wysokość – odparł przeproszającym i pozornie szczerym tonem Haszemi. – Moim obowiązkiem jest przestrzeganie prawa. – Dostrzegł pyłek na rękawie i strzepnął go od niechcienia, robiąc odpowiednio smutną minę. – Naszym obowiązkiem jest przestrzeganie prawa – powtórzył.

– Jestem pewien, całkowicie pewien, że Erikki nie brał udziału w spisku i nie wie nic o ucieczce innych. Moim życzeniem jest, aby zostawiono go w spokoju.

– Będę rad, mogąc poinformować SAVAMA o pańskim życzeniu.

– A ja będę rad, jeśli pan zrobi to, co sugeruję.

– Zrobię to, Wasza Wysokość. Ale jeśli inni go złapią... – Haszemi wzruszył ramionami. – Będzie, jak Bóg chce.

## ROZDZIAŁ 24

**TABRIZ,  
W PAŁACU,  
GODZINA 22.05.**

Wszyscy troje siedzieli przy kominku, popijając kawę i wpatrując się w płomienie. Pokój był niewielki i przytulny, ściany obite brokatem, przy drzwiach stał jeden ze strażników Hakima, lecz atmosfera była napięta, choć udawali, że jest inaczej, teraz i przez cały wieczór. Patrząc w płomienie, każde widziało w nich coś innego. Erikki dostrzegał rozgałęzienie dróg; jedna droga wiodła ku samotności, druga – być może – ku szczęściu. Azadeh widziała przyszłość, której nie chciała oglądać.

Hakim-chan podniósł w końcu wzrok i przyjął wyzwanie.

– Przez cały wieczór coś nie daje ci spokoju, Azadeh – stwierdził.

– Tak, chyba wszystkim nam nie daje. – Jej uśmiech nie był szczery. – Nie sądzisz, że powinniśmy porozmawiać bez świadków, tylko we troje?

– Naturalnie. – Hakim dał znak strażnikowi. – Zawołam cię, jeśli będziesz potrzebny.

Mężczyzna wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Nastrój w pokoju od razu się zmienił. Wszyscy troje poczuli, że czeka ich walka na śmierć i życie i muszą uważać na każde słowo.

– O co chodzi, Azadeh?

– Czy to prawda, że Erikki musi natychmiast wyjechać?

– Tak.

– Musi być jakieś inne wyjście. Nie zdołam znieść dwóch lat rozłąki z mężem.

– Z Bożą pomocą dwa lata szybko miną.

Hakim-chan siedział sztywno wyprostowany, kodeina łagodziła ból w plecach.

– Nie zdołam znieść dwóch lat rozłąki – powtórzyła Azadeh.

– Nie możesz złamać przysięgi.

– On ma rację, Azadeh – odezwał się Erikki. – Złożyłaś dobrowolnie przysięgę. Hakim został chanem i cena była... uczciwa. A ja zabiłem wiele osób i muszę wyjechać. To moja wina, nie twoja ani Hakima.

– Nie zrobiłeś nic złego. Musiałeś bronić mnie i siebie... ci dranie chcieli nas zamordować... a jeśli chodzi o atak na pałac, zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne, nie mogłeś wiedzieć, że okup został częściowo wypłacony i że mój ojciec zmarł... chan nie powinien był zabijać posłańca.

– To nic nie zmienia. Dziś w nocy muszę odjechać. Musimy się z tym jakoś pogodzić – stwierdził Erikki, obserwując Hakima. – Dwa lata szybko upłyną.

– Jeśli przeżyjesz, kochanie.

Azadeh spojrzała na brata, który odwzajemnił jej spojrzenie, nie przestając się uśmiechać, nie zmieniając wyrazu oczu.

Erikki patrzył to na Azadeh, to na jej brata, tak różnych, a jednak tak do siebie podobnych. Co w nią wstąpiło, dlaczego poruszyła temat, który nie powinien zostać poruszony?

– Naturalnie, jeśli przeżyję – zgodził się z pozornym spokojem.

Na kratkę przed paleniskiem spadło żarzące się polano i odsunął je pogrzebaczem. Zauważył, że Azadeh nie spuszcza wzroku z Hakima, a on z niej. Ten sam spokój, ten sam grzeczny uśmiech, ten sam upór.

– Słuchani cię, Azadeh? – zapytał Hakim.

– Mułła mógłby mnie zwolnić ze złożonej przysięgi.

– To niemożliwe. Nie możemy tego zrobić... ani mułła, ani ja. Sam imam by się na to nie zgodził.

– Mogę zwolnić się sama. To sprawa między mną i Bogiem. Mogę...

– Nie możesz, Azadeh. Nie zdołasz tego zrobić i pozostać w zgodzie z samą sobą.

– Mogę. Mogę to zrobić i pozostać w zgodzie z samą sobą.

– Nie możesz, jeśli chcesz zachować wiarę.

– Więc jej nie zachowam – odpowiedziała po prostu.

Hakim westchnął.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

– Owszem, wiem. Wzięłam pod uwagę nawet to – stwierdziła matowym głosem. – Rozważyłam tę możliwość i uznałam, że jest do przyjęcia. Nie wytrzymam dwóch lat rozłąki, tak jak nie zniosę i nie wybaczę zamachu na życie mojego męża.

Czując, jak ogarniają ją mdłości, odchyliła się do tyłu i umilkła. Bała się, lecz jednocześnie była zadowolona, że postawiła sprawę jasno. Ponownie pobłogosławiła Aiszę za to, że ją ostrzegła.

– W żadnym wypadku nie pozwolę ci porzucić islamu – oznajmił Hakim.

Azadeh utkwiała z powrotem wzrok w płomieniach.

Otaczało ich pole minowe – wszystkie miny uzbrojone – i chociaż Hakim skupiał uwagę na niej, uważał również na Erikkiego, Człowieka z Nożem, który teraz, gdy karty zostały odkryte, rozgrywał własną grę. Żałował, że odprawił strażnika. Oburzony jej groźbą, czuł w nozdrzach zapach niebezpieczeństwa.

– Cokolwiek powiesz, Azadeh, i cokolwiek będziesz próbowała zrobić, nie mogę pozwolić na apostazję. To nie do pomyślenia. Chodzi o dobro twojej nieśmiertelnej duszy.

– W takim razie proszę, pomóż mi. Jesteś bardzo mądry. Jesteś chanem i tyle razem przeszliśmy. Błagam cię, nie narażaj na niebezpieczeństwo mojej duszy i mojego męża.

– Nie narażam na niebezpieczeństwo twojej duszy ani twojego męża – odparł Hakim, spoglądając na Erikkiego.

– Co takiego konkretnie mi grozi? – zapytał Fin.

– Nie mogę ci powiedzieć, Erikki.

– Wybacz, Wasza Wysokość, ale w takim razie musimy przyszykować się do wyjazdu – oznajmiła Azadeh wstając. Erikki wstał także.

– Nie ruszaj się z miejsca! – Hakim tracił nad sobą panowanie. – Erikki! Czy pozwolisz jej wyrzec się islamu, jej dziedzictwa i szansy na wieczne życie?

– Nie, to nie należy do mojego planu – odparł Fin. Oboje spojrzeli na niego zdezorientowani. – Proszę powiedz, co mi grozi, Hakimie.

– Jakiego planu? Masz jakiś plan? Co chcesz zrobić?

– Najpierw powiedz, co mi grozi. Azadeh nie musi się dla mnie wyrzekać islamu, przysięgam na

moich własnych bogów. Co mi grozi?

Hakim nigdy nie zamierzał im tego powiedzieć, ale wyprowadziło go z równowagi jej nieprzejednanie. Był przerażony, że Azadeh w ogóle rozważa możliwość porzucenia wiary, i zdezorientowany szczerością tego dziwnego człowieka. Opowiedział im więc o teleksie, o ucieczce pilotów i rozmowie z Haszemim. Dostrzegł, że chociaż Azadeh zrobiła tak samo wielkie oczy jak Erikki, jej zaskoczenie nie jest autentyczne. Tak jakby coś wiedziała... jakby słyszała obie rozmowy. Ale to przecież niemożliwe...

– Oznajmiłem mu – podjął po chwili – że nie może aresztować cię w moim domu, na mojej ziemi i w ogóle w Tabrizie, że dam ci samochód, którym wyjedziesz przed świtem, i że mam nadzieję, iż nie zostaniesz aresztowany.

Erikki był zdruzgotany. Ten teleks wszystko zmienia, pomyślał.

– To znaczy, że na mnie czekają?

– Owszem. Nie powiedziałem jednak pułkownikowi, że mam plan awaryjny: że wysłałem już do Tabrizu samochód i kiedy Azadeh zaśnie...

– Opuściłbyś mnie, Erikki? – wtrąciła z przerażeniem Azadeh. – Opuściłbyś mnie bez słowa, nie pytając o zdanie?

– Być może. Co mówiłeś, Hakimie? Proszę, dokończ to, co chciałeś powiedzieć.

– Kiedy Azadeh zaśnie, miałem zamiar przesznuć cię do Tabrizu, gdzie czeka już samochód, i wysłać w stronę granicy tureckiej. Mam przyjaciół w Choju, którzy z Bożą pomocą przerwiliby cię do Turcji – dodał Hakim, ogromnie się ciesząc, że na wszelki wypadek podjął te działania, które teraz okazały się bardzo przydatne.

– Ty też masz jakiś plan? – zapytał.

– Tak.

– Na czym polega?

– Co będzie, jeśli ci się nie spodoba?

– Wtedy postaram się nie dopuścić do jego realizacji.

– Więc wolę nie narażać się na twoją dezaprobatę.

– Bez mojej pomocy nie wyjedziesz stąd.

– Nie ukrywam, że chciałbym, abyś mi pomógł. – Erikki nie był już taki pewny siebie. Teraz, kiedy w Iranie nie było Maca, Charliego i całej reszty... jak udało im się, do licha, tak szybko stąd zwinąć? I dlaczego nie zrobili tego, kiedy byliśmy oboje w Teheranie? Dziękuję swoim bogom, że chanem jest teraz Hakim, który nie pozwoli przynajmniej skrzywdzić Azadeh. Wiadomo, jak zostanie potraktowany przez agentów SAVAK, kiedy mnie złapią... jeśli mnie złapią. – Miałeś rację twierdząc, że grozi mi poważne niebezpieczeństwo. Sądziś, że udałoby mi się wyśliznąć z pałacu?

– Haszemi zostawił przy bramie dwóch policjantów. Moim zdaniem można by cię przesznuć... trzeba odwrócić jakoś ich uwagę... nie wiem, czy ktoś pilnuje dalej drogi, ale to możliwe, bardzo możliwe. Jeśli są czujni i cię złapią... wszystko w rękach Boga.

– Spodziewają się, że pojedziesz sam, Erikki – odezwała się Azadeh – a pułkownik zgodził się nie aresztować cię w Tabrizie. Jeśli schowamy się w skrzyni jakiejś starej ciężarówki... przy odrobinie szczęścia może nam się udać.

– Ty nie możesz wyjechać – stwierdził poirytowany Hakim, ale Azadeh w ogóle go nie słuchała.

Przypomniała sobie Rossa, Guenga i swoją poprzednią ucieczkę. Z jakimi zmagali się trudnościami, choć byli wyszkolonymi sabotażystami i żołnierzami. Biedny Gueng. Przeszedł ją



dreszcz. Droga na północ jest tak samo trudna jak ta na południe, tak łatwo zastawić na nas pułapkę, tak łatwo postawić na szosie blokadę. Do Choju i północnej granicy nie jest daleko, ale droga tam może się wydłużyć do miliona mil... A z moimi obolałymi plecami wątpię, bym zdołała przejść choćby jedną.

– Nieważne – mruknęła. – Jakoś się tam dostaniemy. Z Bożą pomocą uda nam się uciec.

Hakim zapłonął gniewem.

– Na Boga i Jego Proroka, czyżbyś zapomniała o złożonej przysiędze?

Azadeh była blada jak ściana i z trudem powstrzymywała drżenie.

– Wybacz, Hakimie, ale będzie, jak powiedziałam. A jeśli uniemożliwisz mi teraz wyjazd z Erikkim albo Erikki nie będzie chciał mnie zabrać, i tak jakoś ucieknę, przysięgam, że to zrobię, przysięgam. – Zerknęła na męża. – Skoro Mac i inni uciekli, potraktują cię jak zakładnika.

– Wiem. Dlatego muszę stąd jak najszybciej wiać. Ale ty musisz zostać. Ja też nie wyobrażam sobie rozłąki z tobą, ale z powodu tych dwóch lat nie możesz wyrzec się wiary. Jesteś siostrą chana i przysięgłaś, że tu zostaniesz – dodał ostrożnie Erikki.

– To sprawa między mną i Bogiem – powtórzyła z uporem Azadeh.

– Muszę znać twój plan, Erikki – przerwał im chłodnym tonem Hakim.

– Przykro mi, ale w tej kwestii nie ufam nikomu.

Oczy chana zwęziły się w szparki. Całą siłą woli powstrzymywał się, żeby nie wezwać strażnika.

– Znaleźliśmy się więc w impasie. Azadeh, nalej mi kawy, proszę – powiedział i natychmiast spełniła jego polecenie. Chan spojrzał na rosnącego mężczyznę, który stał odwrócony plecami do ognia. – Znaleźliśmy się w impasie.

– Znajdź z niego jakieś wyjście, Hakim-chanie. Wiem, że jesteś mądrym człowiekiem. Ja nie zrobię nic, co by ci zaszkodziło i zaszkodziło Azadeh.

Hakim podziękował siostrze za kawę i wpatrując się w ogień, ważył w myśli racje. Chciał wiedzieć, co takiego planuje Erikki, i chciał już mieć to wszystko za sobą: Erikki powinien zniknąć, a Azadeh pozostać taką, jaką zawsze była: mądrą, łagodną, kochającą i posłuszną muzulmanką. Ale znał ją zbyt dobrze, by mieć pewność, że nie spełni swojej groźby. I za bardzo ją kochał, by mógł pozwolić ją spełnić.

– Może to cię usatysfakcjonuje, Erikki: przysięgam na Boga, że ci pomogę, jeśli twój plan nie zakłada złamania złożonej przez moją siostrę przysięgi, nie zmusi jej do porzucenia swojej wiary i nie ściągnie na nią duchowego ani politycznego potępienia... – Hakim przez chwilę się zastanawiał. – A także nie przyniesie szkody jej ani mnie – dodał – i ma szansę powodzenia.

– To bez sensu – zachnęła się Azadeh. – Skąd Erikki może wiedzieć...

– Azadeh! – przerwał jej ostro mąż. – Gdzie twoje maniery? Nie wtrącaj się. Chan mówi do mnie, nie do ciebie. Chce poznać mój plan, nie twój.

– Przepraszam, wybacz – odparła natychmiast. – Masz rację. Przepraszam was obu. Proszę, wybaczcie.

– Kiedy braliśmy ślub, przyrzekłaś, że będziesz mnie słuchać. Czy to już nieaktualne? – zapytał cierpko, wściekły, że niemal pokrzyżowała mu szyki, ponieważ widział w oczach Hakima gniew, a Hakim powinien zachować spokój.

– Aktualne, Erikki – odpowiedziała wstrząśnięta warunkami postawionymi przez Hakima, ponieważ zamykały one przed nią wszystkie drogi prócz tej, którą już wybrała... i która ją przerażała. – Bez żadnych zastrzeżeń, pod warunkiem że mnie nie opuścisz.

– Bez żadnych zastrzeżeń. Tak czy nie?

Pomyślała o wszystkich spędzonych z nim cudownych chwilach, o jego delikatności i miłości, ale również porywczosci, która nigdy nie obróciła się przeciwko niej, lecz mogła okazać się straszna dla tych, którzy jej zagrażali bądź też stanęli mu na drodze: dla Abdollaha, Johnny'ego, nawet Hakima... zwłaszcza Hakima.

Owszem, bez zastrzeżeń, pod warunkiem że nie skrzywdzisz Hakima i mnie nie opuścisz. Erikki świdrował ją wzrokiem i po raz pierwszy poczuła, że się go boi.

– Tak, bez żadnych zastrzeżeń – mruknęła. – Błagam cię, nie opuszczaj mnie.

– Przyjmuję do wiadomości to, co powiedziałaś – stwierdził Erikki, zwracając się do Hakima, i usiadł.

Po krótkim wahaniu Azadeh uklękła obok niego i położyła mu rękę na kolanach. Spragniona fizycznego kontaktu, miała nadzieję, że pomoże jej on stłumić lęk i gniew na samą siebie za to, że straciła nad sobą panowanie.

– Zgadzam się na postawione przez ciebie warunki, Hakim-chanie – oznajmił spokojnie Erikki. – Mimo to nie zamierzam wtajemniczać cię w mój... Spokojnie, spokojnie. Przysiągłeś, że pomożesz, jeśli nie narażę cię na niebezpieczeństwo, a ja nie zrobię tego. Przedstawię ci za to – dodał ostrożnie – hipotetyczny plan, który spełnia wszystkie twoje warunki. – Machinalnie pogładził Azadeh po włosach i po karku i poczuł, jak ją uspokaja. Jednocześnie nie spuszczał oczu z Hakima. I on, i chan byli bliscy wybuchu. – Co ty na to?

– Mów dalej.

– Założmy hipotetycznie, że mój helikopter jest całkiem sprawny, a ja udawałem tylko, że nie mogę go uruchomić, żeby wszystkich nabrać i przyzwyczaić do tego, że co chwila zapalam silniki. Założmy dalej, że kłamałem twierdząc, iż nie mam paliwa, i że wystarczy mi go na godzinę lotu, czyli na dotarcie do granicy i...

– To prawda? – mimowolnie przerwał mu Hakim. To otwierało zupełnie nowe możliwości.

– Hipotetycznie rzecz biorąc, tak. – Erikki poczuł, jak Azadeh zaciska dłoń na jego kolanie, ale udał, że tego nie zauważa. – Założmy, że za kilka minut, nim udamy się na spoczynek, uprzedzę cię, że chcę znowu spróbować go uruchomić, i zrobię to. Powiedzmy, że silniki zaskoczą i będą pracować dość długo, żeby się rozgrzać, a potem zgasną. Nikt się tym nie przejmie... Bóg tak chciał. Ten wariat i tak sam nie odleci, pomyślą wszyscy, dlaczego sobie nie odpuści i nie da nam spokojnie spać? A potem ponownie zapalę silniki, dam pełną moc i wystartuję. Hipotetycznie rzecz biorąc, mógłbym odlecieć w ciągu kilku sekund... pod warunkiem że nie będą do mnie strzelali strażnicy i że przy bramie i za murem nie będzie uzbrojonych policjantów ani żołnierzy.

Hakimowi zapało dech w piersiach. Azadeh poruszyła się i zaszeleścił jedwab jej sukienki.

– Modlę się, żeby ta hipoteza okazała się rzeczywistością – powiedziała.

– To tysiąc razy lepsze od ucieczki samochodem, dziesięć tysięcy razy lepsze – stwierdził Hakim. – Przeleciałbyś cały dystans w nocy?

– Tak, ale muszę mieć mapę. Większość pilotów, którzy przelatali ileś godzin w tym rejonie, ma taką mapę w głowie. Oczywiście to cały czas wyłącznie hipoteza.

– Owszem. Jak na razie całkiem interesująca. Mógłbyś w ten sposób uciec, gdybyś zdołał zneutralizować przeciwnika na dziedzińcu. Jaka rolę przeznaczasz w tym hipotetycznym planie mojej siostrze?

– Moja żona nie weźmie udziału w żadnej ucieczce: ani prawdziwej, ani hipotetycznej. Azadeh

nie ma wyboru. Musi tu zostać i odczekać dwa lata. – Erikki zauważył zdumienie na twarzy Hakima i czuł cichy bunt Azadeh pod palcami, którymi gładził ją po włosach i po karku. Mimo to nie przestał tego robić, starając się ją uspokoić. – Musi dotrzymać przysięgi. Nie wolno jej wyjechać. Nikt, kto ją kocha, a już na pewno nie ja, nie pozwoli jej porzucić islamu z powodu dwóch lat rozłąki. Ani hipotetycznie, ani w rzeczywistości, Azadeh, nie wolno ci tego zrobić. Rozumiesz?

– Słyszę, co mówisz, mój mężu – odparła przez zaciśnięte zęby, wściekła, że dała mu się omotać.

– Przez dwa lata jesteś związana przysięgą, potem możesz wyjechać. To rozkaz!

– Może po dwóch latach nie będę chciała wyjechać – mruknęła, mierząc go chmurnym spojrzeniem.

Erikki oparł swą wielką dłoń na jej ramieniu, obejmując lekko palcami kark.

– Wtedy, kobieto, wywlokę cię stąd za włosy – stwierdził cicho.

W jego głosie było tyle jadu, że przeszedł ją chłód. Po chwili spuściła wzrok i spojrzała w ogień, wciąż oparta o jego nogi. Erikki nie zdjął dłoni z jej ramienia, a ona nie próbowała jej strącić, lecz wiedział, że go przeklina i nienawidzi. Mimo to zdawał sobie sprawę, że musiał powiedzieć to, co powiedział.

– Proszę, wybaczcie mi na chwilę – oznajmiła lodowatym głosem.

Obaj mężczyźni patrzyli, jak wychodzi.

– Czy cię posłucha? – zapytał Hakim, kiedy zostali sami.

– Nie – odparł Erikki. – Chyba że zamkniesz ją na klucz, ale nawet wtedy... Nie... ona już się zdecydowała.

– Nigdy, przenigdy nie pozwolę jej złamać przysięgi i porzucić islamu. Musisz to zrozumieć. Nawet... nawet jeśli będę musiał ją zabić.

Erikki zmierzył go wzrokiem.

– Jeśli ją skrzywdzisz, a ja przeżyję, umrzesz – oświadczył.

NA DZIEDZIŃCU PAŁACU, 23.04.

Na tablicy przyrządów zapaliły się czerwone lampki oświetlające zegary podczas nocnego lotu. Erikki nacisnął palcem starter. Silniki zaskoczyły, po czym zakaszłały raz i drugi, kiedy włączał i wyłączał bezpieczniki. Gdy wsunął je na miejsce, zaczęły równo pracować.

Dziedziniec oświetlony był reflektorami. Azadeh i Hakim obserwowali go, stojąc w ciepłych płaszczach tuż za zasięgiem wirującego śmigła. Sto jardów dalej, przy bramie, dwaj strażnicy i dwaj policjanci Haszemiego też gapili się na helikopter, ale bez większego zainteresowania. W ciemności żarzyły się ogniki ich papierosów. Policjanci poprawili na ramionach swoje kałasznikowy i podeszli bliżej.

Silniki znów się zakrztusiły.

– Odsuść to sobie dzisiaj, Erikki – zawołał Hakim, przekrzykując ich huk.

Erikki go nie słyszał. Zmęczony hałasem Hakim-chan ruszył wraz z towarzyszącą mu niechętnie Azadeh w stronę bramy. Stawiając z trudem kroki, klął pod nosem: nie przywykł do chodzenia o kulach.

– Dobry wieczór, Wasza Wysokość – powitał go grzecznie policjant.

– Dobry wieczór. Twój mąż jest taki niecierpliwy, Azadeh. Stracił chyba rozum – oświadczył poirytowanym tonem chan. – Co się z nim dzieje? Te próby uruchomienia silników stają się śmieszne. Jeżeli nawet w końcu zaskoczą, co mu z tego przyjdzie?

– Nie wiem, Wasza Wysokość. – W półmroku twarz Azadeh wydawała się śmiertelnie blada i spięta. – Od czasu ataku bandytów bardzo się zmienił i trudno... trudno go zrozumieć... boję się go.  
– Wcale się nie dziwię. Ten człowiek przeraziłby samego diabła.  
– Wybacz mi, Wasza Wysokość, ale w normalnych okolicznościach tak się nie zachowywał. Dwaj policjanci odwrócili się grzecznie, ale Hakim zatrzymał ich.  
– Czy waszym zdaniem pilot ostatnio się zmienił?  
– Jest bardzo zły, Wasza Wysokość. Od wielu godzin. Widziałem, jak raz kopnął helikopter. Ale trudno mi powiedzieć, czy się zmienił. Przedtem nie miałem okazji go bliżej poznać.

Kapral miał koło czterdziestki i chciał uniknąć kłopotów. Drugi policjant był młodszy i jeszcze bardziej wystraszony. Mieli rozkaz obserwować pałac i kiedy pilot odjedzie, bądź w ogóle wyjedzie stąd jakikolwiek samochód, nie zatrzymywać go, lecz natychmiast poinformować przez radio dowództwo. Obaj zdawali sobie sprawę, w jak niezręcznej znaleźli się sytuacji. Chan Gorgonów miał bardzo długie ręce. Znali służących i strażników zmarłego chana, którzy, oskarżeni przez niego o zdradę, w dalszym ciągu gnili w policyjnych lochach. Wiedzieli jednak, że o wiele gorzej jest narazić się wywiadowi wewnętrznemu.

– Każ mu przestać, Azadeh. Niech zgasi silniki.  
– Nigdy jeszcze nie był... taki zagniewany na mnie, a dziś wieczorem... – Poirytowana przewróciła oczyma. – Chyba nie będę mu posłuszna.  
– Musisz być!  
– Kiedy jest nawet lekko wytrącony z równowagi – mruknęła po chwili – nie potrafię nad nim zapanować.

Policjanci widzieli, jaka jest blada, i było im jej żal, ale jeszcze bardziej obawiali się o siebie; słyszeli, co zdarzyło się w górach. Niech Bóg chroni nas przed Człowiekiem z Nożem! Jak ciężki musi być los żony tego barbarzyńcy, który, o czym wszyscy wiedzą, wypił krew zabitych przez siebie górali, czci leśne duchy, narusza boskie prawa, tarza się nago w śniegu i zmusza ją do tego samego!

Silniki zakrzuszyły się i zaczęły gasnąć. Eriki ryknął z gniewu i walnął swoją wielką pięścią w bok kokpitu, wgniatając aluminium.

– Za twoim pozwoleniem, Wasza Wysokość, pójdę już do łóżka – oznajmiła Azadeh. – Wezmę chyba tabletkę na sen. Mam nadzieję, że jutro będzie lepiej...

– Dobrze. Tabletkę to dobry pomysł, bardzo dobry. Obawiam się, że ja będę musiał wziąć dwie. Plecy bardzo mnie bolą i nie mogę zasnąć bez tych środków. To wszystko przez niego – dodał gniewnym tonem Hakim. – Przez niego teraz cierpię. Wezwij strażników, którzy pełnią wartę przy bramie – polecił ochroniarzowi. – Chcę im dać instrukcje. Chodź, Azadeh.

Stawiając z bólem kroki, oddalił się. Za nim posłusznie podreptała jego siostra. Silniki znowu zaczęły zawodzić i chan odwrócił się poirytowany.

– Jeśli nie przestanie w ciągu pięciu minut – warknął do policjanta – każ mu to zrobić w moim imieniu. Na Boga, daję mu tylko pięć minut!

Skrepowani sytuacją policjanci patrzyli, jak odchodzi, i jak biegną za nim po schodach ochroniarz i dwaj strażnicy spod bramy.

– Co mamy zrobić, skoro nie potrafi mu przemówić do rozsądku nawet Jej Wysokość – zauważył starszy policjant.

Światła na dziedzińcu zgasły. Po sześciu minutach silniki wciąż się krztusiły i zawodziły.  
– Lepiej wykonajmy rozkaz chana. – Młodszy policjant był bardzo podenerwowany. –

Powiedział: pięć minut. Minęło już więcej czasu.

– W każdej chwili bądź gotów do ucieczki i niepotrzebnie go nie denerwuj. Odbezpiecz broń. – Pełni obaw zbliżyli się. – Pilocie! – Ale Człowiek z Nożem odwrócony był do nich plecami i na pół schowany w kokpicie. Psi syn! Podeszli jeszcze bliżej, tuż pod wirujące śmigło. – Pilocie! – powtórzył głośniejszym głosem kapral.

– Nie słyszy cię. Kto by tu coś usłyszał? Idź do przodu, będę cię osłaniał.

Kapral kiwnął głową, poleciał swoją duszę Bogu i tuląc głowę w ramiona, wszedł w wir powietrza.

– Pilocie! – Musiał podejść bardzo blisko i dotknąć go. – Pilocie!

Dopiero teraz wielkolud odwrócił się z ponurym wyrazem twarzy i mruknął coś w swoim barbarzyńskim języku.

– Ekscelencjo pilocie, będziemy poczytywać sobie za zaszczyt – oznajmił kapral, z wymuszonym uśmiechem i grzecznością – jeśli wyłączysz pan silniki. To rozkaz Jego Wysokości chana.

Widząc zakłopotaną minę pilota, przypomniał sobie, że Człowiek z Nożem nie mówi w żadnym cywilizowanym języku, i powtórzył to samo wolniej i głośniejszym głosem, pomagając sobie rękoma. Ku jego olbrzymiej uldze, pilot kiwnął przeproszająco głową, przekręcił kilka wyłączników i wycie silników zaczęło cichnąć, a śmigło zwolniło obroty.

Dzięki niech będą Bogu. Świetnie się spisałem, jestem bardzo sprytny, pomyślał uszczęśliwiony kapral.

– Dziękuję, Ekscelencjo pilocie, dziękuję – powiedział.

Zadowolony z siebie zajrzał do środka kokpitu i zobaczył, że pilot daje mu jakieś znaki. Najwyraźniej zabiegał o jego względy – jak zresztą powinien, na Boga – i zapraszał, żeby usiadł w jego fotelu. Kapral z dumą obserwował barbarzyńcę, który pokazywał mu grzecznie stery i przyrządy.

Nie mogąc opanować ciekawości, młodszy policjant podbiegł pod obracającym się coraz wolniej śmigłem do drzwiczek kokpitu i wsadził głowę do środka, zafascynowany mnogością przełączników i jarzących się w mroku wskaźników.

– Na Boga, kapralu, widział pan kiedyś tyle zegarów? W tym fotelu wygląda pan jak doświadczony pilot!

– Chciałbym być pilotem – przyznał kapral. – Mógłbym...

Nagle urwał, czując, jak dalsze słowa giną w oslepiającej czerwonej mgle, która pozbawiła go tchu i otuliła nieprzeniknionym mrokiem.

Erikki złapał policjantów za głowy i walnął nimi o siebie, ogłuszając obu. Śmigło nad jego głową przestało się obracać. Rozejrzał się dookoła. W mroku nikt się nie poruszył, w pałacu paliło się niewiele świateł. Chyba nikt go nie obserwował. Szybko wepchnął broń policjantów pod fotel pilota, a potem w ciągu kilku sekund wciągnął ich do kabiny, wcisnął do ust tabletki nasenne z toaletki Azadeh i zakneblował. Przez chwilę łąpał oddech, a potem przeszedł do przodu i sprawdził, czy wszystko jest gotowe do szybkiego startu. Kiedy wrócił do kabiny, mężczyźni nie poruszali się. Opierając się o framugę, był gotów uciszyć ich ponownie, gdyby zaszła taka potrzeba. Miał sucho w gardle, na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Po pewnym czasie usłyszał szczekanie dobermanów i brzęk łańcuchów, na których je prowadzono. Odbezpieczył cicho stena, ale dwaj strażnicy nie zbliżyli się do helikoptera. Przez dłuższą chwilę obserwował pałac. Ręki nie trzymał już na temblaku.

NA DZIEDZIŃCU PAŁACU, 24.03.

Oparty o kadłub dwieście dwunastki Erikki zobaczył, że w apartamentach chana na pierwszym piętrze gaśnie światło. Przyjrzał się dwóm ogłuszonym policjantom, zamknął cicho drzwi kabiny, poprawił nóż za paskiem, wyjął stena i ze zwinnością nocnego łowcy ruszył bezszelestnie do pałacu. Strażnicy przy bramie nie zauważyli go; po cóż zresztą mieliby go obserwować? Chan powiedział wyraźnie, żeby zostawili go w spokoju i nie denerwowali. Na pewno wkrótce znudzi mu się zabawa z silnikami.

– Gdyby wziął samochód, nie przeszkadzajcie mu – rozkazał. – Jeśli policjanci będą szukali guza, to ich sprawa.

– Tak jest, Wasza Wysokość – odpowiedzieli zadowoleni, że nie ponoszą odpowiedzialności za Człowieka z Nożem.

Erikki wśliznął się przez frontowe drzwi i ruszył słabo oświetlonym korytarzem w stronę schodów prowadzących do północnego skrzydła pałacu, daleko od apartamentów chana. Wspiął się na górę i skręcił w kolejny korytarz. Spod drzwi ich apartamentu padała smuga światła. Bez wahania wszedł do przedpokoju i zamknął za sobą cicho drzwi. W sypialni, ku swemu zaskoczeniu, zobaczył Minę. Klęcząc przy łóżku, masowała pogrążoną we śnie Azadeh.

– Proszę o wybaczenie – wyjąkała, bojąc się go tak jak cała służba. – Nie usłyszałam Waszej Ekscelencji. Jej Wysokość prosiła, żebym masowała ją jak najdłużej, a potem została tu na noc.

Erikki wyglądał, jakby miał na twarzy maskę. Plamy oleju na policzkach i opatrunku na uchu nadawały mu jeszcze groźniejszy niż zwykle wygląd.

– Azadeh! – zawołał.

– Och, nie uda się panu jej obudzić, Ekscelencjo. Wzięła dwie tabletki na sen i prosiła, bym przeprosiła pana w jej imieniu, gdyby...

– Ubieraj ją! – syknął.

Mina zbladła.

– Ależ, Ekscelencjo!

Serce zamarło jej w piersi, gdy ujrzała w jego dłoni nóż.

– Ubieraj ją szybko. Piśnij tylko, a wypruję z ciebie flaki! Nie to! – zawołał, kiedy Mina wzięła do ręki jej suknię. – Ciepłe ubranie, kombinezon narciarski, na wszystkich bogów, nieważne co, masz się pośpieszyć.

Obserwując ją, zatarasował jej drogę ucieczki. Na stoliku przy łóżku leżał nóż kukri. Czując, jak przechodzi go dreszcz, oderwał od niego oczy i upewniwszy się, że Mina robi to, co jej kazał, wyjął z szuflady torebkę Azadeh. W środku były jej wszystkie dokumenty: dowód osobisty, paszport, prawo jazdy, świadectwo urodzenia. Pobłogosławił w myślach Aiszę za prezent, o którym Azadeh powiedziała mu przed kolacją. A potem podziękował swoim starodawnym bogom za to, że rano powiedzieli mu, co ma robić. Naprawdę myślałaś, że cię tu zostawię, kochanie?

W torebce był także jedwabny woreczek z biżuterią, który wydawał się cięższy niż zwykle. Erikki wytrzeszczył oczy, widząc połyskujące w środku szmaragdy, brylanty, naszyjniki z pereł i kolie. To klejnoty Nadzoud, pomyślał, te same, którymi Hakim zapłacił góralom i które odebrałem potem Bajazidowi. W lustrze zobaczył Minę wpatrującą się z otwartymi ustami w skarby, które trzymał w ręku. Azadeh była już prawie ubrana.

– Pośpiesz się! – warknął do pokojówki.

## PRZY BLOKADZIE DROGOWEJ PONIŻEJ PAŁACU, 24.17.

Siedzący w policyjnym samochodzie sierżant oraz jego kierowca wpatrywali się w oddalony o czterysta jardów pałac. Sierżant trzymał przy oczach lornetkę. Widział tylko słabe światło padające z okien wartowni; ani śladu strażników i jego dwóch ludzi.

– Podjedź tam – rozkazał zaniepokojony. – Na Boga, coś musiało się stać! Albo śpią, albo są już martwi. Jedź cicho i powoli.

Sięgnął po leżący obok karabin M16 i wsunął nabój do komory. Kierowca uruchomił samochód i ruszył pod górę pustą drogą.

## PRZY GŁÓWNEJ BRAMIE.

Strażnik Babak opierał się o kolumnę masywnych zaryglowanych wrót z kutego żelaza. Drugi strażnik spał zwinięty w kłębek na jakichś workach. Przez pręty bramy widać było zaśnieżoną drogę, która biegła w dół do miasta. Helikopter stał w odległości jakichś stu jardów, na dziedzińcu za nieczynną fontanną. Lodowaty wiatr poruszał lekko łopatami rotora.

Babak ziewnął, zatupał nogami z zimna, a potem wysikał się przez pręty bramy, kierując strumień moczu to tu, to tam. Kiedy chan odprawił ich i wrócili na posterunek, policjanci gdzieś zniknęli.

– Pewnie poszli wyłudzić jakieś żarcie albo śpią – stwierdził. – Niech szlag trafi wszystkich policjantów.

Ponownie ziewnął, nie mogąc się doczekać chwili, gdy zejdzie z posterunku. Tuż przed świtem otworzy bramę, żeby wypuścić samochód pilota, potem z powrotem ją zarygluje i wkrótce znajdzie się w łóżku obok ciepłego ciała kobiety. Machinalnie podrapał się w genitalia i poczuł, jak twardnieją. Leniwie odchylił się do tyłu i gmerając w rozporoku omiół wzrokiem bramę. Ciężka zasława tkwiła na miejscu, zamknięta była także boczna brama. Nagle kątem oka spostrzegł jakiś ruch. Odwrócił się w stronę pałacu. Wyszedł z niego pilot, dźwigając na ramieniu duży toboł. Nie miał ręki na temblaku i był uzbrojony. Babak zapiął szybko rozpiętkę, zsunął strzelbę z ramienia, cofnął się w cień i kopnął lekko drugiego strażnika, który natychmiast się obudził.

– Zobacz – szepnął. – Myślałem, że siedział przez cały czas w kabinie.

Patrzyli zdumieni, jak pilot skrada się chyłkiem, a potem przebiega cicho przez otwartą przestrzeń i znika po drugiej stronie helikoptera.

– Co on niesie? Co to za toboł?

– Wygląda jak dywan, jak zrolowany dywan – odparł szeptem drugi strażnik.

Dobiegł ich odgłos otwieranych drzwiczek kokpitu.

– Ale po co? Co on robi, na wszystkie imiona Boga?

Było ciemno, lecz obaj mieli dobry słuch i wzrok. Usłyszeli nadjeżdżający samochód, a następnie dźwięk drzwiczek otwieranych z drugiej strony helikoptera. Wstrzymując oddech zobaczyli, jak pilot rzuca dwa podobne do siebie toboły pod helikopter, daje nurka pod belką ogonową i pojawia się z ich strony. Przez chwilę stał, patrząc w kierunku bramy, lecz nie widząc ich, a potem otworzył drzwi kokpitu i wsiadł, zabierając ze sobą broń. Zwinięty dywan leżał na sąsiednim fotelu.

Nagle odezwały się silniki helikoptera i dwaj strażnicy podskoczyli w miejscu.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece... Co teraz zrobimy?

– Nic – odparł nerwowo Babak. – Chan powiedział wyraźnie: „Nie przeszkadzajcie pilotowi, cokolwiek będzie robił. Jest niebezpieczny”. Tak właśnie powiedział, pamiętasz? „Kiedy przed

świtem będzie chciał wyjechać samochodem, wypuście go”. – Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć coraz głośniejsze wycie silników. – Nie będziemy nic robić.

– Ale chan nie mówił, że pilot znowu uruchomi silniki i będzie się próbował wymknąć z dywanami.

– Masz rację. Będzie, jak Bóg chce, lecz masz rację.

Byli coraz bardziej zdenerwowani. Pamiętali o strażnikach, których poprzedni chan kazał wtrącić do więzienia albo wychłostać za zaniedbanie obowiązków, a także o tych, których wygnał nowy chan.

– Silniki pracują chyba całkiem równo?

Obaj podnieśli wzrok, kiedy w apartamentach chana na pierwszym piętrze zapaliło się światło, a potem odwrócili się gwałtownie, słysząc zgrzyt hamulców policyjnego samochodu, który stanął przed bramą.

– Co tu się dzieje, na Boga? – wrzasnął sierżant, wyskakując na zewnątrz z latarką w rękę. – Otwórzcie bramę! Gdzie są moi ludzie?

Babak podbiegł do bocznej bramy i odryglował ją.

W kokpicie ręce Erikkiego poruszały się tak szybko, jak to możliwe; przeszkadzała mu rana na przedramieniu. Pot spływał mu po twarzy, mieszając się ze strużką krwi ciekącą spod naderwanych plastrów na uchu. Wyczerpany długim biegiem z północnego skrzydła z zawiniętą w dywan, nafaszerowaną tabletkami Azadeh, łapał kurczowo oddech, przeklinając wskaźniki zegarów, które nie dość szybko podnosiły się w górę. Zobaczył, że w apartamentach Hakima zapaliły się światła i z okien wychylają się głowy. Przed wyjściem z ich sypialni ogłuszył niezbyt mocnym uderzeniem Minę. Miał nadzieję, że jej zbyt nie skrzywdził. Zrobił to zarówno w swoim, jak i w jej interesie, żeby nie wszczęła alarmu i żeby nie oskarżono jej o udział w zмовie. A potem zawinał Azadeh w dywan i zatknął kukri za pasek.

– No, szybciej! – warknął, ponaglając wskaźniki.

Przy głównej bramie dostrzegł dwóch ludzi w policyjnych mundurach. Helikopter znalazł się nagle w snopie światła i Erikki poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Nie myśląc wiele złapał stena, wysunął lufę przez okno i mierząc wysoko, nacisnął spust.

Czterej mężczyźni rozpierzchli się. Kule odbiły się rykoszetem od filarów bramy. Sierżant upuścił w panice latarkę, przedtem jednak zdążyli zobaczyć leżące na ziemi, nieruchome ciała kaprała i jego kolegi i doszli do wniosku, że obaj nie żyją. Kiedy strzały umilkły, sierżant ruszył na czworakach do bramy i pobiegł do samochodu po M16.

– Strzelaj, na Boga – wrzasnął policyjny kierowca.

Podniecony Babak pociągnął za spust, strzelając na oślep. Kierowca wybiegł nierozważnie na otwartą przestrzeń, żeby zabrać latarkę, ale cofnął się, gdy z helikoptera padły następne strzały.

– Syn przekłętego ojca...

Cała trójka schroniła się w bezpiecznym miejscu. Kolejne kule rozbiły latarkę.

Erikki zdawał sobie sprawę, że jego plan nie powiódł się; dwieście dwunastka stała na ziemi niczym cel na strzelnicy. Zabrakło mu czasu. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie dać za wygraną. Wskazania zegarów były zdecydowanie za niskie. Ale potem opróżnił cały magazynek, strzelając w stronę bramy i z mrozącym krew w żyłach pierwotnym wrzaskiem otworzył przepustnice. Obciążone maksymalnie silniki zawyły wściekle, a on pchnął drążek skoku, poderwał helikopter o kilka cali w górę i z podniesionym wysoko ogonem skoczył do przodu. Płozy zazgrzytały



po dziedzińcu. Maszyna opadła w dół, odbiła się w końcu zawisła niepewnie w powietrzu. Przy bramie kierowca wyrwał strzelbę z rąk strażnika, wychylił się zza filaru i widząc, że śmigłowiec odlatuje, pociągnął za spust.

Wyrwany ze snu hałasem silników, półprzytomny po zażyciu tabletek, Hakim-chan wychylił się z okien swojej sypialni na piętrze. Przy nim stał jego ochroniarz Margol. Na ich oczach dwieście dwunastka omal nie wpadła na drewnianą szepę, zerwała płozami fragment jej dachu, a potem z trudem uniosła się w górę. Za murami stał policyjny samochód; w światłach jego reflektorów widać było sierżanta, który brał na cel śmigłowiec. Hakim życzył mu, żeby spudłował.

Erikki usłyszał, jak pociski przeszywają metal, i modlił się, żeby nie uszkodziły nic ważnego. Przechylił niebezpiecznie maszynę, chcąc oddalić się od zewnętrznych murów i schować za gmachem pałacu. Zwinięty dywan, w którym ukryta była Azadeh, zsunął się z fotela i oparł o stery. Przez moment Erikki stracił kontrolę nad śmigłowcem, a potem używając całej swojej siły odsunął dywan na bok. Poczuł, że otworzyła mu się rana na przedramieniu.

Lecąc tylko kilka stóp nad ziemią, okrążył północne skrzydło i ruszył w stronę przeciwnego muru, niedaleko chaty, w której stary chan ukrył Rossa i Guenga. Zabłąkany pocisk przebił drzwi z jego strony i trafił w tablicę przyrządów, tłukąc szkło.

Kiedy helikopter zniknął mu z oczu, Hakim pokuśtykał przez sypialnię, mijając kominek, w którym płonął wesoło ogień, i wyszedł na korytarz.

– Widzisz go? – zapytał, stając przy jednym z okien i dysząc ciężko z wysiłku.

– Tak, Wasza Wysokość – odparł podekscytowany Margol. – Tam!

Dwieście dwunastka była już tylko czarnym zarysem na jeszcze bardziej czarnym tle. A potem zapaliły się reflektory i Hakim zobaczył, jak helikopter przelatuje zaledwie kilka cali nad krawędzią muru i znika po drugiej stronie. Kilka sekund później pojawił się ponownie, nabierając szybkości i wysokości. W tym samym momencie korytarzem nadbiegła Aisza, zanosząc się histerycznym płaczem.

– Wasza Wysokość, Wasza Wysokość... Azadeh zniknęła... nie ma jej... ten diabeł porwał ją i ogłuszył Minę...

Otumaniony tabletkami Hakim nie był w stanie się skoncentrować. Jeszcze nigdy tak nie ciążyły mu powieki.

– Co ty wygadujesz?

– Azadeh zniknęła, twoja siostra zniknęła, zawinął ją w dywan i porwał, zabrał ze sobą... – Aisza urwała przerażona, widząc popielatą w przyćmionym świetle twarz Hakima i jego podkrążone oczy. Nie wiedziała, że wziął tabletki. – On ją porwał! – powtórzyła.

– Ale to... to niemożliwe... niemo...

– Owszem, porwał ją! A Mina leży nieprzytomna!

Hakim zamrugał oczyma.

– Ogłoś alarm, Aisza – wyjąkał. – Jeśli została porwana... na Boga... ogłoś... ogłoś alarm! Wziąłem tabletki nasenne i... Porachuję się z tym diabłem jutro! Teraz nie mogę... nie mogę... ale wyślij kogoś... na policję i do Zielonych Oddziałów. Zarządź alarm, ogłoś, że chan wyznaczył nagrodę za jego głowę! Margol, pomóż mi wrócić do sypialni.

Wystraszeni strażnicy i służba stali przy końcu korytarza. Aisza podbiegła do nich i płacząc opowiedziała, co się stało i co zarządził chan.

Hakim dowlóknął się do łóżka i legł wyczerpany na plecach.

– Margol... każ strażnikom... każ strażnikom aresztować tych głupców spod bramy. Jak mogli do tego dopuścić?

– Nie zachowali czujności, Wasza Wysokość.

Margol wiedział, że to na nich spadnie wina... na kogoś przecież trzeba było ją zrzucić – choć sam słyszał, jak chan kazał im nie przeszkadzać pilotowi. Wyszedł, żeby przekazać rozkaz, i po chwili wrócił.

– Dobrze się pan czuje, Wasza Wysokość?

– Tak, dziękuję. Nie wychodź... i obudź mnie o świcie. Dokładaj drewno do ognia i obudź mnie o świcie.

Hakim zapadał z powrotem w błogi sen. Plecy przestały go boleć, myślał o Azadeh i Erikkim. Kiedy jego siostra wyszła z pokoju i zostawiła go samego z Erikkim, dał wyraz swemu smutkowi:

– Nie ma wyjścia z tej pułapki, Erikki. Znaleźliśmy się w niej wszyscy, ty, Azadeh i ja. W dalszym ciągu nie wierzę, że ona porzuci islam, lecz wiem, że nie będzie słuchać ani mnie, ani ciebie. Nie chcę jej skrzywdzić, ale nie mam wyboru. Jej nieśmiertelna dusza jest ważniejsza od doczesnego życia.

– Mógłbym ocalić jej duszę, Hakimie. Z twoją pomocą.

– W jaki sposób?

Chan widział ściągnięte rysy Erikkiego i jego płonące dziwnie oczy.

– Nie zmuszając jej do porzucenia islamu.

– Jak?

– Założmy hipotetycznie, że ten szalony pilot, który nie jest wyznawcą islamu, lecz barbarzyńcą, tak mocno kocha swoją żonę, że posunie się do jeszcze większego szaleństwa. I zamiast uciekać sam, ogłuszy ją, porwie wbrew jej woli z własnego kraju i nie pozwoli tu wrócić. W większości państw mąż może stosować skrajne środki, aby zatrzymać przy sobie żonę, aby zmusić ją do uległości i okiełznać. Dzięki temu nie będzie musiała łamać danej przysięgi, nie będzie musiała porzucać islamu. Ty nie będziesz musiał jej krzywdzić, a ja zatrzymam przy sobie swoją kobietę.

– To szwindel – stwierdził zdeorientowany chan. – To szwindel!

– Nieprawda. To tylko hipoteza, luźna ewentualność, ale hipotetycznie spełnia wszystkie warunki, pod którymi zgodziłeś mi się pomóc. Nikt nigdy nie uwierzy, że siostra chana Gorgonów dobrowolnie złamała przysięgę i porzuciła islam dla jakiegoś barbarzyńcy. Nikt. Nawet ty sam nie jesteś pewien, czyby się do tego posunęła, prawda?

Hakim próbował znaleźć jakiś słaby punkt w planie Fina. Nie było żadnego! Gdyby go urzeczywistnić, rozwiązałyby to większość... rozwiązałyby to wszystkie problemy. Pod warunkiem że Erikki zrobi to bez jej wiedzy i pomocy... Że ją porwie! To prawda, nikt nie uwierzy, że dobrowolnie złamała przysięgę. Została porwana! Mógłbym publicznie opłakiwać jej stratę, w głębi duszy ciesząc się z jej szczęścia. Oczywiście jeśli zgodzę się, żeby Erikki przeżył, a ona wyjechała. Ale muszę się zgodzić, to jedyne wyjście. Chcąc ocalić jej duszę, muszę ocalić mu życie.

Otworzył na chwilę oczy w zaciszu sypialni. Wśród tańczących na suficie płomieni widział Erikkiego i Azadeh. Bóg mi wybaczy, pomyślał zasypiając. Ciekawe, czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczę?

**SOBOTA**

## ROZDZIAŁ 25

### W POBLIŻU GRANICY IRAŃSKO-TURECKIEJ, GODZINA 7.59.

Azadeh osłoniła oczy przed blaskiem wschodzącego słońca. Coś błysnęło niżej w dolinie. Czy to światło odbite od broni czy uprząży? Odbezpieczyła M16 i podniosła do oczu lornetkę. Za jej plecami, w otwartej kabinie dwiesciedwunastki leżał na kilku kocach pogrążony we śnie Erikki. Stracił dużo krwi i był bardzo blady, ale powinien chyba szybko dojść do siebie. Przez lornetkę nie zobaczyła żadnego ruchu. Słabo zadrzewioną dolinę zasypał śnieg. Żadnych wiosek, żadnego dymu. Dzień był pogodny i bezchmurny, ale bardzo zimny. Wiatr ucichł w nocy. Lustrując powoli wzrokiem dolinę, w odległości kilku mil zobaczyła wioskę, której nie spostrzegła wcześniej.

Helikopter stał pośród gór, na niewielkim skalistym płaskowyżu. W trakcie wczorajszej ucieczki z pałacu kula strzaskała kilka instrumentów i Erikki stracił orientację w terenie. Bojąc się, że spali całe paliwo, i nie mogąc jednocześnie prowadzić helikoptera i tamować krwi płynącej z rany, postanowił wylądować i poczekać do rana. Po wylądowaniu wyciągnął z kokpitu dywan i rozwinął go. Azadeh wciąż słodko spała. Opatrzył ranę, jak mógł najlepiej, a potem zawinął żonę z powrotem w dywan, żeby nie zmarzła, i opierając się o płożę, stanął na straży. Nie zdołał jednak powstrzymać opadających powiek.

Obudził się nagle. Niebo rozjaśniała zorza fałszywego świtu. Azadeh była owinięta w dywan, ale nie spała: patrzyła na niego.

– A więc porwałeś mnie! – stwierdziła.

A potem jej udawany chłód stopniał i rzuciła mu się w ramiona, całując go, dziękując, że tak mądrze rozwiązał problem, z jakim zmagali się wszyscy troje, i mówiąc mu to, co ułożyła sobie wcześniej w myślach.

– Wiem, że żona nie może zrobić wiele wbrew woli męża, praktycznie nic. Nawet w Iranie, gdzie jesteśmy cywilizowani, nawet tutaj żona jest czymś w rodzaju sprzętu domowego. Imam nie pozostawia żadnych wątpliwości, jakie są jej obowiązki. Wyraźnie mówi o tym Koran i szariat. Wiem również, że poślubiłam niewiernego, i przyrzekam, że przynajmniej raz dziennie będę próbowała uciec, żeby dotrzymać złożonej przysięgi, choć strasznie się ciebie boję i jestem przekonana, że za każdym razem mnie złapiesz, zbijesz i pozbawisz pieniędzy. Wiem, że muszę wypełniać wszystkie twoje rozkazy, i będę to robić. – W jej oczach lśniły łzy szczęścia. – Dziękuję, kochany. Tak się bałam...

– Zrobiłabyś to? Wyrzekłabyś się swego Boga?

– Och, jak ja się modliłam, żeby Bóg dał ci jakąś wskazówkę!

– Zrobiłabyś to?

– Nie trzeba teraz myśleć o tym, co jest nie do pomyślenia, prawda, kochany?

– Chyba tak – odparł, rozumiejąc ją. – W takim razie chyba wiedziałaś? Wiedziałaś, że to właśnie musiałem zrobić!

– Wiem tylko, że jestem twoją żoną, kocham cię, muszę cię słuchać, że porwałeś mnie wbrew mojej woli i że ci w tym nie pomogłam. Nie musimy już o tym nigdy mówić.

Patrzył na nią zaspany i zdezorientowany, nie mogąc zrozumieć, jakim cudem jest w tak dobrej formie i mimo tabletek tak szybko obudziła się ze snu.

– Azadeh, muszę się teraz przez godzinę porządnie przespać. Przykro mi, ale nie dam rady dalej lecieć. Bez godziny snu nie dam rady. Jesteśmy tu chyba bezpieczni. Obejmij wartość.

– Gdzie się znajdujemy?

– Jeszcze w Iranie, gdzieś niedaleko granicy. – Dał jej załadowany M16, wiedząc, że potrafi się nim posługiwać. – Jeden z pocisków rozbił kompas.

Patrzyła, jak zataczając się idzie do kabiny, sięga po kilka koców i kładzie się. Zasnął prawie natychmiast. W oczekiwaniu na brzask rozmyślała o ich przyszłości i przeszłości. Dzieliła ich osoba Johnny'ego. Nic więcej. Jakie dziwne jest życie. Tysiąc razy myślałam, że narobię krzyku, leżąc w środku tego okropnego dywanu i udając odurzoną tabletkami. Nie jestem taka głupia, żeby brać tabletki na sen, kiedy mogło się okazać, że muszę mu pomóc! Tak łatwo było nabrać Minę, mojego kochanego Erikkiego i nawet Hakima, który nie jest już moim kochanym bratem. „Jej nieśmiertelna dusza jest ważniejsza niż doczesne życie!”. Gotów był mnie zabić! Mnie! Swoją ukochaną siostrę! Ale oszukałam go.

Była bardzo zadowolona z siebie i wdzięczna Aiszy, która wyjawiała jej, gdzie znajdują się otwory w ścianach. Dzięki temu mogła podsłuchać, co mówią Erikki i Hakim, kiedy udając gniew zostawiała ich samych. Och, Erikki, tak się bałam, że ani ty, ani Hakim nie uwierzycie, iż naprawdę złamałabym przysięgę... że na marne pójdą wskazówki, które dawałam ci przez cały wieczór. Ale ty byłeś jeszcze mądrzejszy ode mnie: zamiast samochodem uciekliśmy helikopterem! Och, jaki jesteś sprytny, jacy sprytni jesteśmy oboje. Dopilnowałam nawet, żebyś zabrał moją torebkę i woreczek z biżuterią, którą chciała wykraść Nadzoud i którą wyłudziłam od Hakima. Dzięki temu będziemy nie tylko bezpieczni, ale bogaci... jeśli tylko uda nam się wyrwać z tego opuszczonego przez Boga kraju.

– Bóg opuścił ten kraj – powiedział Ross, gdy po raz ostatni widzieli się w Teheranie.

Nie mogła rozstać się z nim bez pożegnania. Poszła do Talbota, żeby zasięgnąć o nim języka, i kilka godzin później Ross zapukał do jej drzwi. W mieszkaniu oprócz nich nie było nikogo.

– Najlepiej będzie, jeśli stąd wyjedziesz, Azadeh. Twój ukochany Iran po raz kolejny odchodzi w przeszłość. Ta rewolucja nie różni się niczym od poprzednich: nowa tyrania zastępuje starą. Nowi władcy wprowadzą swoje kodeksy, swoją wersję boskiego prawa, podobnie jak szach wprowadził swoją. Wasi ajatollahowie będą żyć i umierać, jak żyją i umierają papieże: niektórzy będą dobrzy, niektórzy źli, a jeszcze inni okrutni. Bóg sprawi kiedyś, że świat stanie się trochę lepszy, a tkwiąca w człowieku bestia, która pragnie gryźć, rżnąć, zabijać, dręczyć i torturować, ucywilizuje się i oswoi. To ludzie psują ten świat, Azadeh. Przede wszystkim mężczyźni. Wiesz, że cię kocham?

– Tak. Powiedziałeś mi to już w wiosce. Wiesz, że też cię kocham?

– Wiem. – Tak łatwo byłoby wrócić do czasów młodości. – Ale nie jesteśmy już młodzi, Azadeh, i czuję w sobie wielki smutek.

– To minie – odparła chcąc, żeby był szczęśliwy. – Podobnie jak kłopoty Iranu. W naszej historii nieraz zdarzały się ciężkie chwile, ale wszystkie mijały.

Pamiętała, jak siedzieli obok siebie, nie dotykając się, a jednak bez reszty sobą pochłonięci.

W końcu Ross uśmiechnął się, podniósł rękę w niedbałym salucie i bez słowa wyszedł.

W dolinie znów coś błysnęło. Azadeh ogarnął niepokój. Coś poruszyło się za drzewami i zaraz potem zobaczyła jeźdźców.

– Erikki! – Natychmiast się obudził. – Tam, na dole. Dwaj mężczyźni na koniach. To chyba miejscowi – powiedziała, podając mu lornetkę.

– Widzę.

Mężczyźni byli uzbrojeni i ubrani jak górale. Pędzili dnem doliny, szukając osłony tam, gdzie mogli ją znaleźć. Erikki przyglądał im się przez chwilę i spostrzegł, że od czasu do czasu zerkają w ich stronę.

– Widzą chyba helikopter, ale wątpię, żeby zauważyli ciebie albo mnie.

– Jadą w naszą stronę?

Mimo doskwierającego mu bólu i zmęczenia usłyszał w jej głosie strach.

– Może. Chyba tak. Ale dotarcie tutaj zajmie im co najmniej pół godziny. Mamy mnóstwo czasu.

– Szukają nas. – Azadeh zbladła i przysunęła się do Erikkiego. – Hakim wszystkich zawiadomił.

– Nie zrobiłby tego. Przecież mi pomógł.

– To było, zanim uciekliśmy. – Nerwowo omiotła wzrokiem płaskowyż, linię drzew i góry, a potem znowu spojrziała na dwóch jeźdźców. – Teraz zachowuje się jak chan. Nie znasz Hakima, Erikki. Jest moim bratem, ale przede wszystkim jest chanem.

Przez lornetkę dostrzegł przy drodze schowaną za drzewami wioskę. Słońce połyskiwało na drutach telefonicznych. Jego też ogarnął niepokój.

– Może to zwykli wieśniacy, których zaciekawiliśmy. Ale nie będziemy czekać, żeby się o tym przekonać. – Uśmiechnął się do niej znużony. – Głodna?

– Tak, lecz to nieważne. – Zaczęła szybko zwijać stary bezcenny dywan, który należał do jej ulubionych. – Bardziej spragniona niż głodna.

– Mnie też chce się pić, ale poczułem się lepiej. Sen bardzo mi pomógł.

Przez chwilę obserwował góry, porównując to, co widział, z tym, co zapamiętał z mapy. A potem zerknął po raz ostatni na jeźdźców na dole. Na razie nic nam nie grozi, chyba że inni są gdzieś bliżej, pomyślał, wchodząc do kokpitu. Azadeh wepchnęła dywan do kabiny i zatrzasnęła drzwiczki. Dopiero teraz zauważyła w nich dziurę po kuli. W lesie nieopodal błysnął odbity od metalu promień słońca, ale żadne z nich tego nie spostrzegło.

Erikkiego bolała głowa i czuł się osłabiony. Po raz pierwszy od wielu dni pomyślał o McIverze i innych. Przeklinał szefa za to, że go nie ostrzegł, a jednocześnie modlił się, żeby wszyscy bezpiecznie uciekli. Mac powinien przesłać mu wiadomość „Pryskaj”, ale z drugiej strony, jak miał to zrobić?

Skoncentrował się i nacisnął starter. Trzeba się stąd szybko zwijać. Szybki rzut oka na zegary. Licznik obrotów, kompas i radionamiernik były rozbite. Pewnych instrumentów nie potrzebował: dźwięk silników powie mu, kiedy igły znalazły się na zielonym polu. Wskaźnik zużycia paliwa pokazywał jedną czwartą. Nie miał czasu go sprawdzić i ocenić pozostałych szkód. Co by mu to zresztą dało? Wszyscy bogowie, wielcy i mali, starzy i nowi, żywi, martwi i ci, którzy się jeszcze nie narodzili, sprzyjajcie mi dzisiaj, potrzebuję wszelkiej pomocy, jakiej możecie mi udzielić. Spojrzał na nóż kukri, który, o czym dopiero teraz sobie przypomniał, wsunął do bocznej kieszeni fotela. Kiedy odruchowo dotknął palcami rękojeści, niemal go sparzyła.

Kuląc się z zimna, Azadeh podbiegła pod coraz szybciej wirującym śmigłem do kokpitu.

Wdrapała się na fotel i zatrzasnęła drzwiczki, starając się nie patrzeć na zaschniętą krew na siedzeniu i podłodze. Uśmiech spełził jej z ust, gdy zobaczyła ponurą minę Erikkiego i jego dłoń, która dotykała prawie rękojeści noża. Kolejny raz zadała sobie pytanie, po co go ze sobą zabrała.

– Dobrze się czujesz, Erikki? – zapytała, lecz on wydawał się jej nie słyszeć. InszAllah. Woła Boga było, że przeżył, że ja też przeżyłam i że jesteśmy razem, prawie bezpieczni. Ale teraz to ja muszę wziąć na siebie to brzemię i zachować nas ode złego. W tej chwili nie jest moim Erikkim – ani z ducha, ani z wyglądu. Prawie słyszę złe myśli, które kotłują się w jego głowie. Wkrótce zło ponownie weźmie górę nad dobrem. Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

– Dziękuję, Erikki – powiedziała, biorąc od niego hełmofon i szykując się psychicznie do starcia. Sprawdził, czy jest dobrze zapięta, i ustawił głośność w jej słuchawkach.

– Dobrze mnie słyszysz?

– Tak, kochanie. Dziękuję.

Jednym uchem wsłuchiwał się w dźwięk silników. Za minutę albo dwie będą mogli wystartować.

– Nie mamy dość paliwa, żeby dolecieć do Vanu, gdzie jest najbliższe lotnisko w Turcji. Mógłbym zatankować na południu, w szpitalu w Rezaije, ale to zbyt niebezpieczne. Polecę trochę dalej na północ. Widziałem tam jakąś wioskę przy drodze. Może to szosa z Choju do Vanu.

– Dobrze. Pośpieszmy się, Erikki. Nie czuję się bezpieczna. Czy w pobliżu nie ma jakichś lotnisk? Hakim z pewnością zawiadomił policję, a ta siły powietrzne. Możemy już lecieć?

– Jeszcze kilka sekund, silniki już są prawie rozgrzane. – Widział, jaka jest niespokojna i jednocześnie piękna, i po raz kolejny wyobraził ją sobie z Johnem Rossem. Niełatwo było mu wymazać spod powiek ten obraz. – Na pewno są jakieś lotniska w pasie przygranicznym. Polecimy tak daleko, jak się da. Mamy chyba dość paliwa, żeby przekroczyć granicę. Może znajdziemy po drodze jakąś stację benzynową – dodał, siląc się na lżejszy ton. – Myślisz, że przyjmują tam karty kredytowe?

Azadeh roześmiała się nerwowo i podniosła torebkę. Jej pasek owinęła mocno wokół nadgarstka.

– Niepotrzebne nam karty kredytowe, Erikki. Jesteśmy bogaci. Jesteś bogaty. Mówię po turecku i niech nie nazywam się Gorgon, jeśli nie uda mi się prośbą, pochlebstwem lub łapówką doprowadzić nas do celu. Ale dokąd pojedziemy? Do Istanbulu? Zasłużyłeś na bajeczne wakacje, Erikki. To dzięki tobie jesteśmy bezpieczni, ty wszystkiego dokonałeś i o wszystkim pomyślałeś!

– Nie, Azadeh, to twoja zasługa.

Twoja i Johna Rossa, chciał krzyknąć i spojrział na zegary, żeby ukryć targające nim uczucia. Ale to prawda, gdyby nie Ross, Azadeh już dawno by nie żyła i ja też byłbym martwy. Nie mogę się pogodzić z myślą, że byliście razem. Wiem, że go ko...

Nagle, nie wierząc własnym oczom, ujrzał jeźdźców, którzy wypadli z oddalonego o ćwierć mili lasu i pędzili galopem po skalistym gruncie, chcąc uniemożliwić im start. Byli wśród nich policjanci. Słuch powiedział mu, że silniki są gotowe do startu. Natychmiast dał pełną moc. Czas zwolnił swój bieg. Odrywali się w ślimaczym tempie od ziemi... napastnicy tak łatwo mogli ich zestrzelić... mieli milion lat na to, żeby ściągnąć cugle, wziąć na cel helikopter i pociągnąć za spust. Jadący w środku sierżant wyciągał M16 z olstra przy siodle.

Czas nagle z powrotem przyśpieszył. Erikki przechylił maszynę i zaczął uciekać, lecąc zygzakiem i spodziewając się, że każda sekunda może okazać się ostatnią w ich życiu. A potem przeskoczyli z rykiem nad granią i runęli w dół wąwozem, ocierając się o szczyty drzew.

– Wstrzymać ogień! – wrzasnął sierżant na podnieconych górali, którzy stanęli na skraju grani i nie zsiadając z koni strzelali jeden przez drugiego. – Na Boga, powiedziałem wam przecież, że mamy rozkaz wziąć ją żywcem! Zabić jego, ale nie ją!

Jego ludzie niechętnie usłuchali. Kiedy się z nimi zrównał, zobaczył, że dwieście dwunastka leci nisko nad doliną. Wyciągnął radiotelefon i nacisnął przycisk.

– Tu sierżant Zibi. Zasadzka się nie udała. Uruchomił silniki, zanim zajęliśmy pozycje. Ale wypłoszyliśmy go z kryjówki.

– W którą stronę leci?

– Skręca na północ w kierunku drogi Choj-Van.

– Widziałeś Jej Wysokość?

– Tak. Wyglądała na sterroryzowaną. Powiedźcie chanowi, że porywacz przywiązał ją do fotela i chyba skrępował nadgarstki. Helikopter skręca teraz na wschód – dodał podniesionym tonem sierżant. – Leci jakieś dwa, trzy kilometry na południe od drogi.

– Świetnie. Dobrze się spisaliście. Zawiadomimy siły powietrzne.



## ROZDZIAŁ 26

**W SZPITALU W BAHRAJNIE,  
PO DRUGIEJ STRONIE ZATOKI,  
GODZINA 13.16.**

– Dzień dobry, doktorze Lanoire. Jak się czuje kapitan McIver, dobrze czy źle? – zapytał Jean Luc.

Lekarz złożył dłonie jak do modlitwy. Był dobiegającym czterdziestki dystyngowanym mężczyzną, który studiował w Paryżu i Londynie i mówił płynnie po arabsku, angielsku i francusku.

– Będziemy to dobrze wiedzieć dopiero za parę dni; musimy jeszcze wykonać kilka badań. Dowiemy się czegoś więcej, kiedy zrobimy mu za miesiąc angiografię, na razie jednak ból ustąpił i terapia przebiega pomyślnie.

– Ale czy wydobrzeje?

– Objawy duszniczy nie odbiegają od normy. Wiem od jego żony, że w ostatnich miesiącach żył w dużym stresie, który spotęgował się w trakcie tej waszej operacji Tornado. Nic dziwnego. Co za odwaga! Chylę przed nim czoło za to, że przeleciał taki szmat drogi i bezpiecznie wylądował, i chylę czoło przed panem i innymi, którzy brali w tym udział. Moim zdaniem wszyscy piloci i członkowie załóg powinni teraz otrzymać dwa albo trzy miesiące urlopu zdrowotnego.

Jean Luc rozpromienił się.

– Może mi pan to dać na piśmie? Oczywiście ma pan na myśli pełnopłatny urlop zdrowotny ze wszystkimi świadczeniami?

– Naturalnie. Wszyscy oddaliście wielką przysługę firmie, ryzykując własne życie. Zasłużyliście na wysoką nagrodę. Dziwię się, że skończyło się tylko na jednym ataku serca. Dwa miesiące na odzyskanie sił, Jean Luc, a potem... to bardzo ważne... musisz się dokładnie zbadać przed podjęciem dalszych lotów.

Jean Luc sposepniał.

– To znaczy, że wszystkim nam grozi atak serca?

– Och, nie, skądże znowu. – Lanoire uśmiechnął się. – Ale rozsądniej będzie się zbadać, tak na wszelki wypadek. Atak może nastąpić w każdej chwili.

– Naprawdę? – Jean Luc jeszcze bardziej się zaniepokoił. Niech to szlag! Przy moim parszywym szczęściu na pewno zachoruję. *Mon Dieu*, jeszcze tego brakowało. – Jak długo Mac zostanie w szpitalu? – zapytał.

– Cztery albo pięć dni. Proponuję, żeby dał mu pan już dziś odpocząć i przyszedł jutro. I nie przemęczał go. Musi kurować się przez miesiąc, a potem poddać się kolejnym badaniom.

– Jakie ma szanse?

– Wszystko w rękach Boga.

Genny drzemała w fotelu na tarasie ładnego pokoju z widokiem na zatokę. Na kolanach miała rozłożony najnowszy egzemplarz „Timesa”, który rankiem dotarł tu samolotem British Airways z Londynu. Podmuchi bryzy obudził McIvera leżącego wygodnie w wykrochmalonej pościeli. Wiatr zmienił się, pomyślał. Znowu wieje, tak jak zwykle, z północnego wschodu. Przekręcił się na łóżku, żeby spojrzeć na morze, i Genny natychmiast się ocknęła. Złożyła gazetę i wstała z fotela.

– Jak się czujesz, kochany?

– Dobrze. Teraz już dobrze. Nie boli mnie. Jestem tylko trochę zmęczony. Słyszałem chyba, jak rozmawiałaś z doktorem. Co powiedział?

– Wszystko jest w porządku. Atak nie był zbyt ciężki. Przez kilka dni będziesz musiał leżeć. Potem miesiąc zwolnienia i kolejne badania... był bardzo dobrej myśli, bo nie palisz i zawsze byłeś w świetnej formie. – Genny stała nad łóżkiem, plecami do światła, ale widział jej twarz i wyczytał z niej prawdę. – Nie wolno ci już siadać za sterami – stwierdziła i uśmiechnęła się.

– Nieważne – burknął. – Kontaktowałaś się z Andym?

– Tak. Dzwoniłam wczoraj wieczorem i dziś rano. Za godzinę znowu się odezwę. Do tej pory nic nie wiadomo o Marcu Dubois, Fowlerze, Erikkim, Azadeh oraz Tomie. Scrag ma opóźnienie, ale już leci. Nasze maszyny są w tej chwili demontowane w Szardży. Jutro zostaną wywiezione. Andy był z ciebie bardzo dumny.

Na jego wargach pojawił się cień uśmiechu.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Och, tak. – Dotknęła jego ramienia. – Tak się cieszę, że już ci lepiej. Dałeś mi nieźle w kość.

– Sobie też dałem w kość, Gen. – Uśmiechnął się i podał jej rękę. – Dziękuję, pani McIver – dodał grubym głosem.

Wzięła jego dłoń i przyłożyła ją do policzka, a potem wzruszona siłą uczucia, które zobaczyła na jego twarzy, pochyliła się i dotknęła wargami jego warg.

– Dałeś mi nieźle w kość – powtórzyła.

Zauważył gazetę.

– Dzisiejsza?

– Tak, kochanie.

– Mam wrażenie, że minęły wieki, kiedy ostatnio trzymałem w ręku aktualną gazetę. Co słyhać?

– To samo co zwykle. – Złożyła gazetę i niedbale ją odłożyła. – Strajki, Callaghan rozpieprza biedną starą Brytanię. Mówią, że w tym roku ogłosi przyspieszone wybory. Jeśli to zrobi, Maggie Thatcher ma duże szanse. Czy to nie byłoby wspaniałe? Mieć wreszcie kogoś sensownego u steru rządów?

– Bo jest kobietą? – McIver uśmiechnął się z przekąsem. – To byłoby rzeczywiście coś nowego. Chryste Wszchemogący, kobieta premierem! Nie mam pojęcia, jak przede wszystkim udało jej się wygryźć Heatha... musi mieć żelazne barchany. Gdyby tylko nie przeszkadzali jej ci cholerni liberałowie...

McIver umilkł. Patrzył na morze, po którym płynęło kilka pięknych arabskich feluk. Wiedziała, że modli się, aby ci, którzy jeszcze nie dotarli, bezpiecznie wylądowali.

Cicho usiadła i czekała, chcąc, żeby ponownie zasnął albo podjął rozmowę. Musi się już czuć lepiej, skoro czepia się liberałów, pomyślała rozbawiona, patrząc na morze. Pachnąca morską solą bryza rozwiewała jej włosy. Jak przyjemnie było tak siedzieć wiedząc, że Duncan dobrze się czuje i „terapia przebiega pomyślnie”. „Nie ma się czym martwić, pani McIver”, oznajmił lekarz. Łatwo

powiedzieć...

W naszym życiu nastąpi teraz wielka zmiana, musi nastąpić, niezależnie od tego, że straciliśmy Iran i wszystkie rzeczy, które tam mieliśmy... przeważnie stare graty, których nie ma co żałować. Operacja dobiega końca... rzucając jej pomysł, byłam chyba szalona... ale prawie wszyscy nasi chłopcy są już bezpieczni. Nie chcę myśleć o Marcu, Fowlerze, Erikkim i Azadeh, Szarazad i Locharcie, a także Scragu, choć ten ostatni jest już prawie w domu. Niech Bóg ma ich wszystkich w opiece. Musimy na nich poczekać. Wydostaliśmy stamtąd większość sprzętu, zachowaliśmy twarz i utrzymamy się na rynku. Nie zostaniemy nędzarami i to jest wspaniałe.

– Powrót do Anglii nie będzie taki zły, Duncan, obiecuję.

Po krótkiej chwili pokiwał głową, bardziej do siebie niż w odpowiedzi na jej słowa.

– Zobaczmy, Gen. Na razie nie będziemy podejmować żadnych decyzji. Możemy się z tym wstrzymać przez najbliższy miesiąc. Martwisz się?

– Teraz się nie martwię.

– To dobrze, bo nie musisz.

Kolejny raz spojrzął na morze. Pokażcie się w końcu, pomyślał wiedząc, że ona modli się o to tak samo gorąco jak on. Na miłość boską, dacie przecież radę, dacie radę...

Anglia? Emerytura? Chryste, kiedy przestanę pracować, dostanę chyba kręcka. I prędzej szlag mnie trafi, niż zgodzę się do końca życia moknąć na cholernym angielskim deszczu... Z dziesięciu helikopterów siedem jest już bezpiecznych i czekamy na następne...

Daleko na morzu dostrzegł mały punkcik i przez moment zaparło mu dech w piersi. Ale to nie był helikopter, tylko miejscowa łódź. Niepokój powrócił, a wraz z niepokojem ból, który wzbudził jeszcze większy niepokój i wywołał jeszcze większy ból.

– O czym myślisz, Duncan?

– Że mamy piękny dzień.

– Tak, jest piękny, a operacja Tornado szczęśliwie się zakończy – stwierdziła z udawaną pewnością siebie.

Wziął ją za rękę i ścisnął. Oboje starali się ukryć lęk o przyszłość, o innych, o siebie nawzajem.

## ROZDZIAŁ 27

**W TURCJI,  
NIEOPODAL GRANICY,  
GODZINA 16.23.**

Rano wylądowali na obrzeżach wioski, zaledwie milę wewnątrz Turcji. Erikki poleciałby dalej, ale miał puste zbiorniki. Wcześniej dopadły go dwa myśliwce i dwa wojskowe hueye i musiał przez ponad kwadrans bawić się z nimi w ciuciubabkę, nim przeskoczył granicę. Hueye nie ścigały go, lecz wciąż krążyły po drugiej stronie granicy.

– Nie przejmuj się nimi – oznajmił z radością. – Jesteśmy bezpieczni.

Ale nie byli. Otoczyli ich wieśniacy. Przyjechała policja, sierżant i trzech niżsi funkcjonariusze, ubrani w pogniecione, niedopasowane mundury, z pistoletami w kaburach. Sierżant miał ciemne okulary, chroniące go przed odbitym od śniegu słonecznym blaskiem. Żaden nie mówił po angielsku. Azadeh przywitała się z nimi zgodnie z planem, który ustalili z Erikkim, i wyjaśniła, że pan Yokkonen, obywatel Finlandii, pracował w brytyjskiej firmie związanej kontraktem z Iran-Timber, że w Azerbejdżanie, w okolicach Tabrizu trwają rozruchy i walki, że lewacy grozili zamachem na jego życie, że ona, jego żona, czuła się tak samo zagrożona, w związku z czym uciekli.

– Efendi jest zatem Finem. Ale pani jest Iranką?

– Finką przez małżeństwo, efendi sierżancie. Iranką z pochodzenia. Oto nasze papiery. – Dała mu swój fiński paszport, w którym nie było wzmianki o ojcu, Abdollah-chanie. – Czy możemy skorzystać z telefonu? Oczywiście za opłatą. Mój mąż chciałby zadzwonić do naszej ambasady i do swojego pracodawcy w Szardży.

– Ach, do Szardży... – Sierżant pokiwał grzecznie głową. Był potężnie zbudowanym, gładko ogolonym mężczyzną. Mocny zarost nadawał jego złocistej skórze niemal niebieski odcień. – A gdzie to jest?

Powiedziała mu, zdając sobie świetnie sprawę, jak oboje wyglądają. Erikki z brudnym zakrwawionym bandażem na przedramieniu i naderwanym plastrem na uchu, ona w powalonym ubraniu, ze skołtunionymi włosami i brudną twarzą. W oddali krążyły dwa hueye.

– Dlaczego ich myśliwce i helikoptery ośmielają się naruszać w pościgu za wami naszą przestrzeń powietrzną?

– InszAllah, efendi sierżancie. Obawiam się, że po tamtej stronie granicy dochodzi teraz do wielu dziwnych rzeczy.

– Co się tam w ogóle dzieje?

Sierżant wskazał pozostałym policjantom dwieście dwunastkę i słuchał z uwagą Azadeh. Trzej policjanci zajrzeli do kokpitu, zobaczyli dziury po kulach, zaschlą krew, rozbite zegary. Jeden z nich otworzył drzwi do kabiny, zauważył kolejne dziury po kulach i cały arsenał broni.

– Sierżancie!

Sierżant skinął głową, ale poczekał grzecznie, aż Azadeh skończy opowiadać. Wieśniacy słuchali zadziwieni; w tłumie nie było ani jednego czadoru ani welonu. Sierżant wskazał im w końcu jedną z prymitywnych wiejskich chat.

– Proszę tam zaczekać – powiedział.

Dzień był zimny, wszędzie leżał śnieg, słońce raziło w oczy. Sierżant nie śpiesząc się obejrzał kabinę i kokpit. Wziął do ręki kukri, wysunął go do połowy z pochwy i wsunął z powrotem.

– Skąd pan wziął tę broń, efendi? – zapytał.

Podenerwowana Azadeh przetłumaczyła pytanie.

– Powiedz mu, że zostawili ją górale, którzy chcieli porwać helikopter.

– Ach, górale – mruknął sierżant. – Dziwi mnie, że górale pozwolili panu odlecieć z bronią, która warta jest prawdziwy majątek. Jak pan to wyjaśni?

– Powiedz mu, że wszyscy zostali zabici przez lojalistów, a ja uciekłem, korzystając z zamieszania.

– Przez lojalistów, efendi? Jakich lojalistów?

– Przez policję. Policję z Tabrizu – odparł Erikki, świadom, że z każdą minutą coraz bardziej się pograża. – Zapytaj, czy mogę skorzystać z telefonu, Azadeh.

– Z telefonu? Naturalnie. W swoim czasie. – Sierżant przyglądał się przez chwilę krążącym hueyom, a potem utkwił ponownie twarde piwne oczy w Erikkim. – Cieszę się, że policja okazała się lojalna. Policja ma obowiązki wobec państwa i wobec narodu. Policja stoi na straży prawa. Przemyt broni jest przestępstwem. Ucieczka przed policją, która strzeże prawa, również jest przestępstwem. Czyba pan nie zaprzeczy?

– Tak, ale my nie przemycaliśmy broni ani nie uciekaliśmy przed policją, która stoi na straży prawa, efendi sierżancie – odparła Azadeh, coraz bardziej się bojąc. Granica była tak blisko, zbyt blisko. Ostatnie chwile ucieczki były dla niej przerażające. Hakim musiał zaalarmować wojska pogranicza; nikt inny nie zdołałby zmobilizować tak szybko tak dużych sił na lądzie i w powietrzu.

– Jest pan uzbrojony? – zapytał grzecznie sierżant.

– Mam tylko nóż.

– Czy mógłby go pan oddać? – Sierżant wziął od Erikkiego pukoh. – Proszę za mną.

Zaprowadził ich na posterunek policji w małym ceglany budynku obok meczetu przy centralnym placu wioski. Był tam areszt, kilka pomieszczeń biurowych i telefony.

– W ciągu ostatnich miesięcy pojawiło się u nas wielu uchodźców: Irańczyków, Brytyjczyków, Europejczyków, dużo Azerów... ale ani jednego Sowietę. – Sierżant roześmiał się z własnego żartu. – Wielu uchodźców, bogatych, biednych, dobrych i złych, wśród nich wielu kryminalistów. Część została odesłana z powrotem, część pojechała dalej. InszAllah. Proszę tam zaczekać.

„Tam” nie oznaczało celi, lecz pozbawiony osobnego wyjścia pokój ze stołem, kilkoma krzesłami, kratami w oknach i rojami much. Było w nim jednak ciepło i względnie czysto.

– Czy moglibyśmy dostać coś do jedzenia i picia i skorzystać z telefonu, efendi sierżancie? – poprosiła Azadeh. – Możemy zapłacić.

– Zamówię dla was coś w tutejszym hotelu. Jedzenie jest dobre i niedrogie.

– Mój mąż pyta, czy może skorzystać z telefonu.

– Oczywiście. W swoim czasie.

To działo się rano; teraz było późne popołudnie. W ciągu tych godzin przyniesiono im jedzenie: gulasz barani, ryż, wiejski chleb i kawę po turecku. Azadeh zapłaciła rialami, wcale nie

przeplacając. Sierżant pozwolił im skorzystać ze śmierdzącej wygodki i umyć się w starej miednicy. Nie było żadnych medykamentów poza jodyną. Erikki przemył nią rany, jak umiał najlepiej, zgrzytając z bólu zębami; był słaby i wyczerpany. A potem usiadł przy Azadeh, położył nogi na drugim krześle i zapadł w sen. Od czasu do czasu drzwi otwierały się, do środka wchodził ten czy inny policjant i po chwili wychodził.

– Matierjebiec – mruzczał Erikki. – Dokąd możemy uciec?

Azadeh uspokajała go i nie odstępowała nawet na krok, zamknawszy swój własny lęk za stalową bramą. Muszę go podtrzymywać na duchu, powtarzała sobie bez przerwy. Czuła się lepiej, z uczesanymi i rozpuszczonymi włosami, umytą twarzą, w czystym kaszmirowym swetrze. Przez drzwi słyszeli stłumione rozmowy, co jakiś czas dzwonek telefonu, przejeżdżające drogą do granicy samochody i ciężarówki, bzyczenie much. W końcu zmęczenie okazało się silniejsze i zasnęła. Miała koszarne sny. Huk silników, strzały, Hakim pędzący za nimi na koniu niczym Kozak, ona i Erikki zakopani po szyje w ziemi, kopyta mijające o włos ich głowy. Potem biegli ku granicy zastawionej zasiekami z drutu kolczastego, a na drodze do wolności pojawiał się nagle fałszywy mułła Mahmud i rzeźnik...

Otworzyły się drzwi i oboje się zbudzili. W progu stał, mierząc ich groźnym spojrzeniem, wysoki major w nieskazitelnym mundurze. Towarzyszyli mu sierżant i jeszcze jeden policjant.

– Dokumenty, proszę – zwrócił się do Azadeh.

– Dałam je sierżantowi, efendi majorze.

– Dała mu pani fiński paszport. Chcę zobaczyć pani irańskie papiery.

Major wyciągnął rękę. Kiedy Azadeh ociągała się, sierżant dał krok do przodu, złapał jej torebkę i wysypał zawartość na stół. W tym czasie drugi policjant podszedł do Erikkiego, trzymając dłoń na kolbie rewolweru, i dał mu znak, żeby stanął w kącie. Major strzepnął jakiś pyłek z krzesła, usiadł i wziął od sierżanta jej irański dowód osobisty. Przeczytał go uważnie, a potem sprawdził to, co leżało na stole. Kiedy otworzył woreczek z biżuterią, zaświeciły mu się oczy.

– Skąd pani to ma?

– To moje. Odziedziczyłam po rodzicach. – Coraz bardziej się bała. Nie miała pojęcia, co major o nich wie, widziała jednak, jak jej się przypatruje. Erikki też to zauważył. – Czy mój mąż mógłby skorzystać z telefonu? Chciałby...

– W swoim czasie! Mówiono to pani już kilkakrotnie. W swoim czasie to znaczy w swoim czasie.

– Major zapiął torebkę i położył ją przed sobą na stole. Jego oczy powędrowały ku jej piersiom. – Pani mąż nie mówi po turecku?

– Nie, nie mówi, efendi majorze.

– W Tabrizie wydano nakaz aresztowania pana – oznajmił poprawną angielszczyzną major, zwracając się do Erikkiego. – Za usiłowanie zabójstwa i porwanie.

Azadeh zbladła. Erikki starał się nie wpadać w panikę.

– Kogóż to miałem porwać?

Major skrzywił się poirytowany.

– Niech pan nie próbuje ze mną żartować. Porwał pan tę panią. Azadeh, siostrę Hakima, chana Gorgonów.

– Jest moją żoną. Jak może mąż...

– Wiem, że jest pańską żoną i, na Boga, niech pan lepiej mówi prawdę. W nakazie piszą, że porwał ją pan wbrew jej woli i odleciał irańskim helikopterem. – Azadeh chciała coś powiedzieć,

ale major nie dopuścił jej do głosu. – Pytałem jego, nie panią. No więc?

– Porwałem ją wbrew jej woli, ale helikopter jest brytyjski, nie irański.

Major wlepił w niego wzrok, a potem odwrócił się do Azadeh.

– Co pani na to?

– Porwał mnie wbrew mej woli... – odparła cicho.

– Ale?

Azadeh zrobiło się niedobrze. Bolała ją głowa i była zdesperowana. Turecka policja znana była z szerokich prerogatyw i bezwzględności.

– Proszę, efendi majorze, czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? Czy mogłabym to wyjaśnić na osobności?

– Rozmawiamy na osobności, proszę pani – stwierdził oschle major. – Możemy mówić po angielsku, nie po turecku – zaproponował, widząc jej udrękę i podziwiając urodę.

Zacinając się i starannie dobierając słowa, opowiedziała mu więc o złożonej Abdollah-chanowi przysiędze, o Hakimie i dylemacie, który Erikki w swojej mądrości przeciął z własnej inicjatywy niczym węzeł gordyjski. Łzy płynęły jej po policzkach.

– Owszem, zrobił to bez mojej zgody, ale w pewnym sensie za zgodą mojego brata, który mu po...

– Skoro stało się to za zgodą Hakim-chana – przerwał jej z niedowierzaniem major – dlaczego wyznaczył on tak wielką nagrodę za głowę tego człowieka, żywego lub umarłego, i kazał wydać nakaz aresztowania, domagając się, w razie gdyby zaszła taka potrzeba, natychmiastowej ekstradycji?

Wstrząśnięta Azadehomal nie zemdliała. Erikki bez namysłu skoczył ku niej, ale w tej samej chwili w brzuch wbiła mu się lufa rewolweru.

– Chciałem jej tylko pomóc – wysapał.

– Więc niech pan nie rusza się z miejsca – warknął major. – Nie zabijaj go – powiedział po turecku do policjanta. – Słucham panią. Dlaczego to zrobił? – zwrócił się do Azadeh po angielsku.

Nie potrafiła odpowiedzieć na jego pytanie. Poruszyła ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– A co innego mógł uczynić chan, majorze? – odparł za nią Erikki. – Chodzi o jego honor, o zachowanie twarzy. Publicznie musiał to zrobić bez względu na to, na co zgodził się prywatnie.

– Być może, ale na pewno nie tak szybko. Na pewno nie tak szybko. Nie angażowałby do pościgu myśliwców i helikopterów... dlaczego miałby to robić, skoro chciał, żebyście uciekli? To cud, że nie musieliście przymusowo lądować i że was nie zestrzelili. Dla mnie to stek kłamstw... może ona tak się pana boi, że nic nie powie. Wróćmy teraz do waszej rzekomej ucieczki z pałacu: co się tam dokładnie wydarzyło?

Erikki opowiedział mu. Nic innego mi nie pozostało, myślał, muszę powiedzieć prawdę i nie tracić nadziei. Obserwował uważnie Azadeh, widząc, jaki przeszła szok. A przecież Hakim zareagował tak, jak można się było po nim spodziewać: chciał mnie żywego lub umarłego. Czyż w jego żyłach nie płynie krew ojca?

– A broń?

Po raz kolejny Erikki opowiedział z detalami, jak zmuszono go, żeby latał dla KGB, jak porwał go dla okupu szejka Bajazid, jak górale zaatakowali pałac, a potem, kiedy ich odwoził, złamali przysięgę i musieli zginąć.

– Ilu zabił pan ludzi?

– Nie pamiętam dokładnie. Pół tuzina, może więcej.

– Chyba pan lubi zabijać?

– Nie, majorze, nienawidzę tego, ale proszę mi wierzyć, wpadliśmy w sieć, którą zastawił ktoś inny. Chcieliśmy tylko, by pozwolono nam wyjechać. Niech pan pozwoli mi zadzwonić do mojej ambasady... oni mogą za nas poręczyć... nie stanowimy zagrożenia dla nikogo.

Major zmierzył go wzrokiem.

– Nie zgadzam się, pańska opowieść jest zbyt naciągana. Jest pan poszukiwany za porwanie i usiłowanie zabójstwa. Proszę iść z sierżantem – oznajmił i powtórzył to samo po turecku. Erikki nie poruszył się i zacisnął pięści. Był bliski wybuchu. Sierżant natychmiast wyciągnął broń. – Niezastosowanie się do poleceń policji jest w tym kraju ciężkim wykroczeniem. Proszę iść z sierżantem! W tej chwili! – warknął major.

Azadeh chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. Erikki odsunął wyciągniętą rękę sierżanta, opanował bezradną wściekłość i uśmiechnął się, żeby dodać jej otuchy.

– W porządku – mruknął i wyszedł razem z sierżantem.

Azadeh sparaliżował lęk. Drżały jej ręce i kolana, ale za wszelką cenę starała się zachować godność wiedząc, że jest bezbronna, zdana na łaskę majora, który siedział naprzeciwko, świdrując ją wzrokiem. InszAllah, pomyślała mierząc go nienawistnym spojrzeniem.

– Nie ma się pani czego obawiać – oznajmił z dziwnym wyrazem twarzy. A potem sięgnął przez stół i zabrał woreczek z biżuterią. – Schowam to w bezpiecznym miejscu – stwierdził bez przekonania w głosie.

Mała i brudna cela w końcu korytarza bardziej przypominała klatkę niż normalne pomieszczenie: kraty w małym okienku, łańcuch przymocowany do wystającego ze ściany uchwytu, prycza i cuchnący kubek w kącie. Sierżant zatrzasnął drzwi za Erikkim i zamknął je na klucz.

– Niech pan pamięta, że od pańskiej uległości zależy... „komfort” pani Azadeh – powiedział przez kraty major.

Kiedy policjanci odeszli, Erikki zaczął krążyć po celi, sprawdzając drzwi, zamek, kraty, podłogę, sufit, ściany i łańcuch. Szukał drogi ucieczki.

W HOTELU OASIS, SZARDŹA, 23.52.

W ciemności zaterkotał telefon, budząc Gavallana z głębokiego snu. Sięgnął dłonią po słuchawkę i zapalił lampkę przy łóżku.

– Halo?

– Cześć, Andrew, tu Roger Newbury, przepraszam, że dzwonię tak późno, ale...

– Nie szkodzi, mówiłem, żebyś telefonował do północy.

– W porządku. Nie mam pojęcia, jak to wszystko załatwiłeś... Nie lubię być zwiastunem złych wieści, ale dostaliśmy właśnie teleks od Henleya z Tabrizu.

Gavallana natychmiast opuściła senność.

– Jakież problemy?

– Niestety tak. Brzmi to dziwnie, przeczytam ci w całości. – W słuchawce zaszeleścił papier. – „Dotarły nas słuchy, że wczoraj wieczorem dokonano zamachu na życie Hakim-chana. Podobno zamieszany jest w to kapitan Yokkonen, który w nocy uciekł helikopterem w stronę granicy tureckiej, zabierając ze sobą wbrew jej woli swoją żonę Azadeh. W imieniu Hakim-chana wydano nakaz aresztowania Yokkonena za porwanie i usiłowanie zabójstwa. W Tabrizie trwają obecnie ostre walki między rywalizującymi ze sobą frakcjami, w związku z czym trudno jest dokładnie ustalić, co



się wydarzyło. Dalsze szczegóły przekażę, kiedy tylko będzie to możliwe”. To wszystko. Zdumiewające, prawda? – Gavallan milczał. – Andrew? Jesteś tam?

– Tak... tak... jestem. Próbuję po prostu... zebrać myśli. Nie może być mowy o jakimś błędzie?

– Wątpię. Wysłałem pilną depezę, domagając się szczegółów. Jutro powinniśmy dowiedzieć się czegoś więcej. Proponuję, żebyś skontaktował się z fińskim ambasadorem w Londynie. Oto numer ambasady: zero jeden, siedem sześć sześć, osiem osiem osiem osiem. Przykro mi, stary.

Gavallan podziękował mu i odłożył słuchawkę.

**NIEDZIELA**

## ROZDZIAŁ 28

### W TURECKIEJ WIOSCE, GODZINA 10.20.

Coś wyrwało Azadeh ze snu. Przez moment nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest, a potem rozejrzała się: mały obskurny pokoik, dwa okna, siennik rzucony na twarde łóżko, czysta, lecz zgrzebna pościel i koce. Znajdowała się w wiejskim hoteliku, dokąd wczoraj wieczorem, mimo że nie chciała się rozstawać z Erikkim, odprowadził ją major i jeszcze jeden policjant. Major nie zwracał uwagi na jej protesty i nalegał, żeby zjadła z nim kolację w małej restauracji, która opustoszała natychmiast po jego wejściu.

– Musi pani przecież coś zjeść, żeby zachować siły. Niech pani siada. Każę posłać mężowi to, co pani zamówi. Chce pani, żebym to zrobił?

– Tak, oczywiście – odparła po turecku i usiadła sztywno, rozumiejąc zawołaną groźbę. – Mogę za wszystko zapłacić.

Wargi majora skrzywiły się w ledwo dostrzegalnym uśmiechu.

– Jak pani sobie życzy.

– Dziękuję, efendi majorze. Kiedy mój mąż i ja będziemy mogli wyjechać?

– Porozmawiam o tym z panią jutro, nie dzisiaj. – Gestem głowy kazał policjantowi pilnować drzwi. – Teraz przejdziemy na angielski – oznajmił, częstując ją ze srebrnej papierośnicy.

– Dziękuję, nie palę. Kiedy będę mogła dostać z powrotem swoją biżuterię, efendi?

Major wziął do ręki papierosa i obserwując ją, zaczął bębnić palcami w papierośnicę.

– Kiedy tylko będzie bezpieczna. Nazywam się Abdul Ikail. Stacjonuję w Vanie i odpowiadam za cały region aż do granicy. – Zapalił papierosa i zaciągnął się, ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku. – Była pani kiedyś w Vanie?

– Nie, nie byłam.

– To małe senne miasteczko. Było senne przed waszą rewolucją – poprawił się – choć tu przy granicy nigdy nie mieliśmy spokoju. – Ponownie zaciągnął się dymem. – Stale mamy do czynienia z niepożądanymi po obu stronach osobami, które chcą przekroczyć granicę lub uciec. Z przemytnikami, handlarzami narkotyków, handlarzami broni, złodziejami, wszelkiej maści szumowinami...

Mówił niedbałym tonem, co pewien czas wypuszczając z ust dym. W małym pomieszczeniu było duszno, w powietrzu unosił się zapach zjełczałego tłuszczu, nie mytych ciał i zwiędłego tytoniu. Azadeh miała złe przeczucia. Gniotła palcami pasek torebki.

– Była pani kiedyś w Istambule? – zapytał major.

– Owszem. Kilka dni, kiedy byłam mała. Pojechałam tam z ojcem, miał do załatwienia jakiejś sprawy. Wsadził mnie do samolotu i poleciałam do szkoły do Szwajcarii.

– Ja nigdy nie byłem w Szwajcarii. Byłem kiedyś w Rzymie na urlopie. A także w Bonn

i Londynie na kursach policyjnych. Ale nigdy w Szwajcarii.

Przez chwilę jeszcze palił, uśmiechając się do własnych myśli, a potem zgasił papierosa w poobłukiwanej popielniczce i skinął na właściciela hotelu, który stał przy drzwiach, czekając na jego rozkazy. Jedzenie było proste, lecz smaczne, podawane z czolobitnością, która wyprowadzała ją z równowagi. W wiosce nie na co dzień oglądano tak dostojnych gości.

– Nie musi się pani bać, nic pani nie grozi – oznajmił, jakby czytał w jej myślach. – Wprost przeciwnie, cieszę się, że mam sposobność z panią porozmawiać. Jest pani niezwykle osobą, nieczęsto zdarza nam się gościć kogoś takiego.

Przez całą kolację cierpliwie i grzecznie wypytywał ją o Azerbejdżan i Hakim-chana. Sam mówił bardzo niewiele, nie chcąc dyskutować na temat Erikkiego i tego, co się z nimi stanie.

– Co będzie, to będzie. Proszę jeszcze raz opowiedzieć mi swoją historyjkę.

– Wszystko już opowiedziałam, efendi majorze. To nie historyjka, ale szczerą prawdą. Powiedziałam panu prawdę, podobnie jak męż.

– Naturalnie – odparł, jedząc z apetytem. – Niech mi ją pani jeszcze raz opowie.

Uczyła to więc, widząc czające się w jego oczach pożądanie, choć na razie starał się sprawiać wrażenie dobrze wychowanego i rozsądnego.

– To prawda – powtórzyła ostro. Prawie nie ruszyła jedzenia, straciła cały apetyt. – Nie popełniliśmy żadnego przestępstwa. Mój mąż bronił tylko siebie i mnie, Bóg mi świadkiem.

– Niestety, nie może On zeznawać na pani korzyść. Oczywiście, jeśli o panią chodzi, zakładam, że szczerze wierzy pani w to, co mówi. Na szczęście jesteśmy tu bliżsi światowych standardów, nie jesteśmy fundamentalistami, istnieje rozdział między islamem i państwem, nie uznajemy samowolnych pośredników między nami i Bogiem i nasz fanatyzm przejawia się wyłącznie w tym, że chcemy żyć po swojemu i nie pozwolimy, by ktoś wciskał nam na siłę swoje wierzenia i prawa. – Major przerwał i przez chwilę nasłuchiwał. Idąc o zmierzchu do hotelu, słyszeli w oddali strzały moździerzy. Teraz rozległy się kolejne detonacje. – To chyba Kurdowie. Bronią swoich domów w górach. Słyszeliśmy, że Chomeini wysyła przeciwko nim swoich żołnierzy.

– To kolejny błąd – stwierdziła. – Tak uważa mój brat.

– Zgadza się. Pochodzę z kurdyjskiej rodziny. – Major wstał. – Przy pani drzwiach będzie przez całą noc czuwał policjant. Dla pani bezpieczeństwa – dodał z tym samym dziwnym uśmiechem, od którego przechodziły ją ciarki. – Proszę nie opuszczać pokoju... aż po panią przyślę albo sam przyjdę. Stosując się do naszych poleceń, pomoże pani mężowi.

Poszła więc do pokoju, który jej wskazał, i widząc, że w drzwiach nie ma żadnego zamka ani zasuwki, podstawiała krzesło pod klamkę. Pokój był zimny, woda w dzbanku lodowata. Umyła się, odmówiła pacierz, dołączając specjalną modlitwę za Erikkiego, i usiadła na łóżku.

Ostrożnie wyjęła z oblamowania torebki sześciocalową stalową szpilkę do kapelusza i przez chwilę się jej przyglądała. Szpilka była ostra jak igła, a jej główka dość gruba, by móc ją dobrze chwycić i zadać pchnięcie. Wsunęła ją pod podszewkę poduszki, dokładnie tak jak pokazał jej Ross.

– W ten sposób sama się nie skaleczysz – powiedział jej z uśmiechem. – Napastnik nie zauważy jej i możesz ją łatwo wyjąć. Piękna młoda dziewczyna powinna być na wszelki wypadek zawsze uzbrojona.

– Ależ, Johnny... ja nigdy nie mogłabym... nigdy...

– Kiedy przyjdzie taki moment, będziesz mogła i powinnaś być na to przygotowana. Jeśli masz jakąś broń, wiesz, jak się nią posługiwać, i jesteś gotowa zabić napastnika, wtedy nigdy, przenigdy

nie musisz się bać. – W trakcie tych cudownych miesięcy w górach pokazał jej, jak się bronić. – Wystarczy, że wbijesz ją zaledwie na cal w odpowiednie miejsce... to mordercza broń.

Od tego czasu stale nosiła szpilkę przy sobie, ale nigdy nie musiała jej użyć... nawet w wiosce. Wioska... Niech jej wspomnienie prześladowuje ją w nocy, nie za dnia.

Dotknęła palcami główki. Może stanie się to dziś w nocy. InszAllah! Ale co będzie z Erikkim? InszAllah! Przypomniała sobie, co jej kiedyś mówił. „InszAllah brzmi nieźle, ale każdemu Bogu, nieważne, jak go nazwiesz, trzeba czasem pomóc”.

To prawda. Obiecuję ci, Eriki, że będę przygotowana. Jutro będzie nowy dzień i pomogę ci, kochanie. Jakoś cię stąd wydostanę.

Pokrzepiona na duchu zdmuchnęła świecę i ubrana w sweter i narciarskie spodnie zagrzebała się w pościeli. Przez okno padało światło księżyca. Wkrótce zrobiło jej się cieplej i zmorzył ją sen.

W środku nocy nagle się obudziła. Klamka cicho się obracała. Sięgnęła po szpilkę i wbiła wzrok w drzwi. Klamka powędrowała w dół, drzwi przesunęły się o ćwierć cala, ale nie ustąpiły, blokowane przez krzesło, które zaskrzypiało pod naporem. Po chwili klamka wróciła na miejsce i zapadła cisza. Żadnych kroków ani oddechu. Klamka już się nie poruszyła. Azadeh uśmiechnęła się. To Johnny pokazał jej, jak postawić krzesło. Mam nadzieję, że odnalazłeś szczęście, którego szukasz, kochany, pomyślała i zasnęła, zwrócona twarzą do drzwi.

Teraz była wyspana i wypoczęta. Wiedziała, że jest o wiele silniejsza niż wczoraj, lepiej przygotowana do czekającego ją starcia. Zastanawiała się, co wyrwało ją ze snu: warkot samochodu czy krzyki ulicznych sprzedawców. Nie, to było pukanie do drzwi. Po chwili rozległo się ponownie.

– Kto tam?

– Major Ikail.

– Chwileczkę. – Wciągnęła buty, wygładziła sweter, poprawiła włosy i odsunęła krzesło. – Dzień dobry, efendi majorze.

Zerknęła rozbawionym wzrokiem na krzesło.

– Mądrze pani zrobiła, blokując drzwi. Na przyszłość proszę tego nie robić bez zezwolenia. – Uważnie jej się przyjrzał. – Sprawia pani wrażenie wypoczętej. To dobrze. Zamówiłem dla pani kawę i świeże pieczywo. Czego jeszcze pani sobie życzy?

– Żebyście nas puścili wolno, mojego męża i mnie.

Major wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi, przysunął sobie krzesło i usiadł plecami do słonecznego światła, które wpadało do pokoju.

– Jeśli będzie pani z nami współpracować, to da się zrobić.

Kiedy wchodził, cofnęła się niepostrzeżenie i teraz siedziała na skraju łóżka, trzymając rękę o kilka cali od poduszki.

– O jakiej współpracy pan mówi, efendi majorze?

– Rozsądnie będzie uniknąć konfrontacji – zauważył zagadkowo. – Jeśli będzie pani z nami współpracować... i wróci wieczorem dobrowolnie do Tabrizu, pański mąż pozostanie dziś w areszcie, a jutro wyślemy go do Istambułu.

– Dokąd chcecie go posłać w Istambule? – usłyszała własny głos.

– Najpierw do więzienia... dla jego bezpieczeństwa. Będzie go tam mógł odwiedzić ambasador i jeśli Bóg zechce, zostanie zwolniony.

– Dlaczego chcecie go wysłać do więzienia? Przecież nie zrobił nic...

– Za jego głowę wyznaczono nagrodę. Za żywego lub umarłego. – Major uśmiechnął się krzywo.

– Trzeba go chronić. W tej wiosce i w jej okolicy jest kilkudziesięciu pani ziomek. Konają z głodu. Pani też potrzebuje chyba ochrony. Czy nie nadaje się pani idealnie do porwania? Chan z pewnością zapłaciłby za panią hojny okup.

– Chętnie wróciłabym, gdybym mogła pomóc w ten sposób mężowi – odparła natychmiast. – Ale jakie mam gwarancje, że jeśli wrócę, mój mąż rzeczywiście będzie chroniony i wysłany do Istambułu?

– Żadnych. – Major wstał i stanął nad nią. – Jeśli nie będzie pani współpracować z własnej woli, odeślemy panią dziś do Iranu, a mąż... mąż zostanie postawiony w stan oskarżenia.

Azadeh nie wstała, nie odsunęła dłoni od poduszki i nie podniosła wzroku. Chętnie bym to zrobiła, ale beze mnie Erikki będzie bezbronny. Współpraca? Czy to oznacza, że mam z własnej woli przespać się z tym człowiekiem?

– Na czym ma polegać moja współpraca? Co chce pan, żebym zrobiła? – zapytała, wściekła, że jej głos zabrzmiał mniej pewnie niż przedtem.

Major zaśmiał się półgębkiem.

– To, z czym mają kłopoty wszystkie kobiety – stwierdził zgryźliwie. – Ma pani być posłuszna, wykonywać bez szemrania polecenia i nie próbować się mądrzyć. – Odwrócił się na pięcie. – Zostanie pani w tym hotelu. Wrócę później. Mam nadzieję, że będzie pani wtedy gotowa... i udzieli mi prawidłowej odpowiedzi.

Major wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Jeśli spróbuje wziąć mnie siłą, zabiję go, pomyślała. Nie mogę mu się oddać w zamian za obietnicę wolności. Mąż nigdy by mi tego nie wybaczył i ja bym sobie nie wybaczyła. Nie miałabym żadnych gwarancji, że major spełni obietnicę, a nawet gdyby to zrobił, Erikki nie mógłby żyć ze świadomością tego, co się stało, i pałałby żądzą zemsty. Ja też nie mogłabym z tym żyć.

Wstała, podeszła do okna i spojrzała na rojącą się od ludzi wioskę, na otaczające ją góry i granicę, która była tak niedaleko...

– Erikki ma szansę się z tego wykaraskać tylko, kiedy wrócę – mruknęła. – Ale nie mogę tego zrobić bez zgody majora. I nawet wtedy...

NA POSTERUNKU POLICJI, 11.58.

W mocarnych dłoniach Erikkiego dolny koniec środkowego pręta okiennej kraty oderwał się od muru. Na podłogę posypało się trochę cementu. Erikki natychmiast wsadził pręt z powrotem i wyjrzał na korytarz. Nie pojawił się żaden strażnik. Szybko pozbierał kawałki cementu i gruzu i zamaskował nimi dziurę. Obluzowywał ten pręt przez większą część nocy, szarpiąc go tak jak pies szarpie kość. Teraz miał broń i dźwignię do podważenia pozostałych prętów.

To zajmie mi pół godziny, nie więcej, pomyślał i zadowolony usiadł na pryczy. Po dostarczeniu mu wczoraj wieczorem posiłku policjanci zostawili go w spokoju, przekonani, że nie wydostanie się z klatki. Rano przynieśli stęchlą kawę oraz kromkę czarnego chleba i gapili się na niego bezrozumnie, gdy zapytał o majora i swoją żonę. Nie wiedział, jak jest po turecku major, i nie znał jego nazwiska, ale kiedy dotknął ramienia, pokazując na migi oficerskie dystynkcje, chyba go zrozumieli. Jeden z nich wzruszył ramionami, powiedział coś po turecku i poszli. Sierżant już się nie pojawił.

Każde z nas wie, co ma robić, pomyślał Erikki. Każde uczyni wszystko, co w jego mocy, żebyśmy wydostali się z opresji. Ale jeśli ją ktoś skrzywdził albo uraził, nie pomoże mu, póki żyję, żaden bóg. Przysięgam.

Nagle na końcu korytarza otworzyły się drzwi i ukazał się w nich major.

– Dzień dobry – pozdrowił Erikkiego, marszcząc nos, kiedy w nozdrza wpadł mu nieprzyjemny zapach.

– Dzień dobry, majorze. Gdzie jest moja żona i kiedy pan nas wypuści?

– Pańska żona jest w wiosce, bezpieczna i wypoczęta. Niedawno się z nią widziałem. – Major przyjrzał mu się uważnie. Widząc, że ma brudne ręce, zerknął na zamek celi, na pręty krat, podłogę i sufit. – Jej bezpieczeństwo i sposób, w jaki będzie traktowana, zależą, od pana. Rozumie pan?

– Tak, rozumiem. I rozumiem, że pan jako najwyższy tutaj stopniem policjant ponosi za nią pełną odpowiedzialność.

Major roześmiał się.

– Owszem – rzucił kpiącym tonem, a potem spoważniał. – Najlepiej będzie uniknąć konfrontacji. Jeśli zgodzi się pan z nami współpracować, zostanie pan tutaj na noc, a jutro wyślę pana pod eskortą do Istanbułu, gdzie będzie się mógł z panem zobaczyć, jeśli zechce, pański ambasador. Czeka tam pana proces o zbrodnie, o które został pan oskarżony, względnie ekstradycja.

Erikki machnięciem ręki zbagatelizował własne problemy.

– Przywiozłem tu żonę wbrew jej woli. Nie zrobiła nic złego, powinna wrócić do domu. Czy może pan jej zapewnić eskortę?

Major bacznie go obserwował.

– To zależy od tego, czy będzie pan współpracować – stwierdził.

– Poproszę ją, żeby wróciła. Będę nalegał, jeśli to ma pan na myśli.

– Możemy wysłać ją z powrotem – mruknął drwiąco major. – Oczywiście. Nie można jednak wykluczyć, że w drodze do granicy, albo nawet z hotelu, zostanie ponownie „porwana”... tym razem przez bandytów, irańskich bandytów, złych ludzi, którzy będą ją trzymać w górach przez miesiąc lub dwa aż do chwili, kiedy dostaną okup od chana.

Erikki poszarzał na twarzy.

– Co pan chce, żebym zrobił?

– W pobliżu wioski przebiega linia kolejowa. Dziś w nocy możemy pana zabrać z celi i zawieźć do Istanbułu. Zarzuty przeciwko panu można oddalić. Otrzymałby pan dobrą pracę: mógłby pan przez dwa lata latać i szkolić naszych pilotów. W zamian za to zostałby pan naszym tajnym agentem i dostarczał nam informacji o Azerbejdżanie, zwłaszcza o tym Sowiecie, o którym pan wspomniał, Mzytryku, a także o Hakim-chanie, o tym, gdzie i jak mieszka, jak dostać się do pałacu... wszelkich informacji, jakie byłyby nam potrzebne.

– A co będzie z moją żoną?

– Przez miesiąc albo dwa zostanie dobrowolnie w Vanie w charakterze zakładniczki, gwarancji, że będzie się pan grzecznie zachowywał. Potem może zamieszkać z panem.

– Zrobię to, czego pan żąda, pod warunkiem że dziś zostanie odwieziona do Hakim-chana i dostanie informacje, że dotarła tam cała i zdrowa.

– Albo pan się zgadza, albo nie – odparł niecierpliwie major. – Nie przyszedłem tu się z panem targować.

– Proszę, ona nie ma nic wspólnego z moimi przestępstwami. Proszę ją wypuścić. Proszę!

– Bierze nas pan za głupców? Zgadza się pan, czy nie?

– Zgadzam się. Ale najpierw chcę wiedzieć, że jest bezpieczna. Najpierw!

– Może najpierw chce pan zobaczyć, jak pada ofiarą gwałtu? Najpierw?

Erikki rzucił się na niego przez kraty i całe drzewo zatrzęsły się od uderzenia. Ale major stał poza jego zasięgiem i śmiał się z bezradnie wyciągniętych ku niemu wielkich dłoni. Prawidłowo ocenił odległość. Był zbyt dobrze wyszkolony, by dać się zaskoczyć, zbyt doświadczony, by nie wiedzieć, kiedy szydzić, kiedy grozić i kiedy kusić, jak wykorzystać do własnych celów obawy i obsesje więźnia, jak nagiąć prawdę, żeby przedrzeć się przez zasłonę kłamstw i półprawd i dotrzeć do samego sedna.

Zwierzchnicy pozostawili w jego gestii decyzję w sprawie tych dwojga. Teraz ją podjął. Nie śpiesząc się, wyciągnął rewolwer, odbezpieczył go i wycelował w twarz Erikkiego. Fin nie cofnął się; dysząc ciężko, zaciskał dłonie na kratkach.

– Dobrze – stwierdził spokojnie major, chowając rewolwer do kabury. – Ostrzegałem, że pańskie zachowanie będzie miało wpływ na to, co stanie się z pańską żoną.

Kiedy odszedł, Erikki próbował wyrwać okratowane drzwi z zawiasów. Zaskrzypiały, ale nie ustąpiły.

NA POSTERUNKU POLICJI, 17.18.

– ...dokładnie tak jak pan powiedział, efendi. Rozumiem, że poczyni pan wszelkie niezbędne przygotowania – mówił z szacunkiem major, rozmawiając przez telefon. Siedział przy jedynym biurku w małym obskurnym biurze, obok stał sierżant, na blacie leżały kukri i pukoh. – Dobrze. Tak... tak, zgadzam się z panem. Salaam. – Odłożył słuchawkę, zapalił papierosa i wstał. – Będę w hotelu – oznajmił.

– Tak jest, efendi.

W oczach sierżanta błysnęły wesole ogniki, ale starał się niczego po sobie nie pokazywać. Patrząc, jak major poprawia mundur i włosy i nakłada fez, zazdrościł mu jego stanowiska i władzy. Nagle zadzwonił telefon.

– Halo, policja? A, dzień dobry, sierżancie. – Przez chwilę słuchał z rosnącym zdziwieniem. – Ale... tak... tak, dobrze. – Odłożył słuchawkę na widełki. – Dzwonił sierżant Kurbel z granicy, efendi majorze. Jedzie tutaj ciężarówka irańskich sił powietrznych z żołnierzami Zielonych Oddziałów i mułłą. Chcą zabrać do Iranu helikopter, więźnia i jego żonę.

– Na Boga, kto pozwolił bez mojej zgody przekroczyć wrogom granicę?! – ryknął major. – Obowiązuje przecież wyraźny rozkaz dotyczący mułłów i rewolucjonistów.

– Nie wiem, efendi – odparł sierżant, przestraszony tym nagłym wybuchem. – Kurbel mówił, że wymachiwali jakimiś oficjalnymi dokumentami i byli bardzo natarczywi. Wszyscy wiedzą, że stoi tutaj irański helikopter, więc ich przepuścił.

– Czy są uzbrojeni?

– Nie powiedział, efendi.

– Zbierz wszystkich swoich ludzi i każ im wziąć pistolety maszynowe.

– Ale... co będzie z więźniem?

– Zapomnij o nim – warknął major i klnąc wybiegł z posterunku.

NA SKRAJU WIOSKI, 17.32.

Pojazd irańskich sił powietrznych był właściwie pół ciężarówką, pół cysterną. Szofer skręcił z polnej drogi na zaśnieżone pole, zmienił napęd na cztery koła i ruszył w stronę dwieście dwunastki. Pilnujący helikoptera policjant wyszedł im na spotkanie.



Z ciężarówki wyskoczyło sześciu uzbrojonych młodzieńców z zielonymi opaskami na ramionach, trzech nie uzbrojonych mężczyzn w mundurach sił powietrznych i mułła, który zarzucił na ramię kałasznikowa.

– Salaam. Przybyliśmy, aby w imieniu imama i ludu zabrać naszą własność – oznajmił z ważną miną. – Gdzie jest porywacz i kobieta?

– Nic o tym nie wiem – odparł zaaferowany policjant. Otrzymał wyraźny rozkaz pilnować helikoptera i aż do odwołania nikogo do niego nie dopuszczać. – Pojedźcie lepiej na posterunek i tam zapytajcie. – Zobaczył, że mężczyzna w mundurze sił powietrznych otwiera drzwi kokpitu i zagląda do środka. Dwaj inni rozwijali węże, żeby zatankować paliwo. – Hej, wy trzej! Nie wolno zbliżać się do śmigłowca bez pozwolenia!

Mułła stanął mu na drodze.

– Oto nasze pozwolenie! – oświadczył, machając papierami przed nosem policjanta, którego jeszcze bardziej to zmieszało: nie umiał czytać.

– Lepiej pojedźcie najpierw na posterunek – wyjąkał, a potem z olbrzymią ulgą ujrzał pędzący z wioski policyjny samochód.

Auto skręciło na pole i po kilku jardach utknęło w śniegu. Wysiedli z niego major, sierżant i dwaj uzbrojeni policjanci. Mułła w towarzystwie żołnierzy Zielonych Oddziałów ruszył bez cienia lęku w ich stronę.

– Kim pan jest? – zapytał ostrym tonem major.

– Mułła Ali Miandiri z komitehu w Choju. Przybyliśmy, aby w imieniu imama i ludu zabrać naszą własność, a także porywacza i kobietę.

– Kobietę? Chodzi panu o Jej Wysokość, siostrę Hakim-chana?

– Tak. O nią.

– Imama? Jakiego imama?

– Imama Chomeiniego, niech Bóg ma go w swojej opiece.

– Aha, ajatollaha Chomeiniego – uściślił pogardliwie major. – Co to za „lud”?

Mułła z podobną pogardą podał mu dwie kartki papieru.

– Lud Iranu. Oto nasze upoważnienie.

Major wziął od niego nabazgrane naprędce w farsi dokumenty i szybko je przejrzał. Sierżant i jego dwaj ludzie otoczyli ciężarówkę, trzymając gotowe do strzału pistolety maszynowe. Mułła i żołnierze Zielonych Oddziałów patrzyli na nich wzgardliwie.

– Dlaczego dokument nie jest sporządzony zgodnie z formalnymi wymogami? – zapytał major. – Gdzie jest pieczęć i podpis komendanta policji w Choju?

– To niepotrzebne. Nakaz jest podpisany przez komiteh.

– Jaki komiteh? Nic nie wiem o żadnym komitehu.

– Rewolucyjny Komiteh w Choju sprawuje władzę na tym terenie. Podlega mu również policja.

– Na tym terenie? To przecież Turcja!

– Miałem na myśli władzę nad terenem przygranicznym.

– Z czyjego upoważnienia? Gdzie pan ma upoważnienie? Niech mi pan je pokaże!

Młodzi Irańczycy poruszyli się niespokojnie.

– Mułła już je pokazał – zawołał wojowniczo jeden z nich. – Dokument jest podpisany przez komiteh.

– Kto konkretnie go podpisał? Pan?

– Ja – odparł mułła. – Jest prawomocny. Całkowicie prawomocny. Komiteh jest legalną władzą. Na co czekacie? – zawołał widząc, że ludzie z personelu lotniczego patrzą na niego wyczekująco. – Tankujcie helikopter!

– Przepraszam, Ekscelencjo – powiedział z szacunkiem jeden z nich, zanim major zdążył się odezwać – ale tablica przyrządów jest zniszczona, a część instrumentów nie działa. Nie możemy wystartować, póki śmigłowiec nie zostanie sprawdzony. Bezpieczniej będzie odjechać...

– Niewierny dotarł nim bezpiecznie z Tabrizu, lecąc w nocy, a wy nie możecie polecieć w biały dzień?

– Bezpieczniej byłoby sprawdzić maszynę przed startem, Ekscelencjo.

– Bezpieczniej? A to dlaczego? – zapytał jeden z młodzieńców z zieloną opaską, podchodząc do pilota. – Bóg czuwa nad nami, wykonujemy bowiem Jego dzieło. Chcesz opóźnić Boże dzieło i zostawić tutaj helikopter?

– Nie, oczywiście, że nie...

– W takim razie rób, co ci kazał mułła, i zatankuj go!

– Tak, tak, oczywiście – odparł pokornie pilot. – Już się robi.

Cała trójka rażno zabrała się do tankowania. Wstrząśnięty major patrzył, jak pilot, bądź co bądź oficer, daje się tak łatwo zastraszyć młodemu łobuzowi, który mierzył go teraz wyzywającym spojrzeniem.

– Policja podlega komitehowi, aga – mówił mułła. – Policja służyła szatańskiemu szachowi i jest podejrzana. Gdzie jest porywacz i... siostra chana?

Majora ogarnęła zimna furia.

– Z czyjzego upoważnienia przekracza pan granicę i w ogóle zadaje mi jakiegokolwiek pytania?

– Na Boga, to jest wystarczające upoważnienie! – odparł mułła, dźgając palcem papiery.

Jeden z młodzieńców odbezpieczył broń.

– Nawet się nie waż! – ostrzegł go major. – Jeśli któryś z was pociągnie za cyngiel, nasze siły przekroczą granicę i spalą wszystko stąd do Tabrizu!

– Jeśli taka jest wola Boga...

Ciemnooki, czarnobrody mułła odpowiedział Turkowi równie hardym spojrzeniem. Gardził majorem i reżimem, który reprezentował w jego oczach ten człowiek i jego mundur. To, czy wojna wybuchnie wcześniej, czy później, nie miało dla niego znaczenia: znajdował się pod boską opieką i wykonywał Boże dzieło. Imam poprowadzi ich do zwycięstwa na wszystkich granicach. Teraz jednak za wcześnie było na wojnę. Za dużo zostało do zrobienia w Choju: trzeba było pokonać lewaków, stłumić bunt, zniszczyć nieprzyjaciół imama. W tych górach, jeśli chciał tego dokonać, każdy śmigłowiec był na wagę złota.

– Proszę... proszę o zwrot naszej własności – oznajmił bardziej pojednawczym tonem, pokazując irańskie znaki. – To nasza rejestracja, dowód, że helikopter należy do nas. Został skradziony w Iranie... musi pan wiedzieć, że nie miał zgody na opuszczenie kraju i z prawnego punktu widzenia wciąż należy do nas. Ten nakaz – dodał, wskazując trzymane przez majora papiery – jest prawomocny. Pilot porwał kobietę, więc ich także zabierzemy. Proszę ich wydać.

Major znalazł się w trudnej sytuacji. Nie mógł wydać Fina i jego żony nie upoważnionym osobom na podstawie pozbawionego mocy prawnej nakazu – stanowiłoby to poważne naruszenie regulaminu służbowego i całkiem słusznie kosztowałoby go głowę. Jeśli mułła okaże się uparty, będzie musiał bronić posterunku, miał jednak za mało ludzi i wiedział, że z pewnością poniesie klęskę. Zdawał

sobie w dodatku sprawę, że mułła i jego podkomendni są gotowi na śmierć. On nie był na nią gotów.

Postanowił zagrać *va bank*.

– Porywacz i pani Azadeh zostali dziś rano wysłani do Vanu – oświadczył. – O ekstradycję musicie zwrócić się do tamtejszego dowództwa armii, nie do mnie. Armia przejęła ich ze względu na osobę siostry chana.

Na twarzy mułły zastygł niechętny grymas.

– Skąd mamy wiedzieć, że to nie kłamstwo? – rzucił ponuro jeden z jego ludzi.

Major odwrócił się do niego i młodzieniec cofnął się o krok. Jego koledzy podnieśli broń, przerażeni piloci przypadli do ziemi, a dłoń majora powędrowała do rewolweru.

– Stać! – zawołał mułła.

Posłuchali go, posłuchał nawet major, wściekły, że porywczość i duma nie pozwoliły mu nad sobą zapanować. Mułła namyślał się przez chwilę, rozpatrując różne możliwości.

– Zwrócimy się do dowództwa w Vanie – oświadczył w końcu. – Tak, zrobimy to. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj zabierzemy naszą własność i wrócimy do Iranu.

Stał na lekko rozstawionych nogach, z karabinem na ramieniu, bezczelnie pewny siebie.

Major starał się nie okazywać uczucia ulgi. Śmigłowiec nie miał wartości dla niego ani dla jego zwierzchników; stanowił tylko kłopot.

– Owszem, rejestracja jest wasza – stwierdził. – Co się tyczy własności, nie wiem. Jeśli podpisze pan pokwitowanie bez określania kwestii własności, może pan go sobie zabrać.

– Podpiszę panu pokwitowanie za nasz helikopter.

Major nagryzmolił na odwrocie nakazu formułkę, która go zadowalała i być może zadowalała również drugą stronę. Mułła spojrzał groźnie na ludzi z sił powietrznych, którzy zaczęli szybko zwijać wąż. Pilot stanął przy kokpicie i odgarnął śnieg z szyb.

– Jesteś gotów, pilocie? – zapytał mułła.

– Za chwileczkę, Ekscelencjo.

– Proszę – mruknął major, podając mulle pokwitowanie.

Ten podpisał je, w ogóle nie czytając, prawie z jawną drwiną.

– Jesteś już gotów, pilocie?

– Tak jest, Wasza Ekscelencjo. – Młody kapitan spojrzał na majora. W jego oczach Turek zobaczył – lub zdawało mu się, że zobaczył – rozpacz i cichą prośbę o azyl, którego nie mógł mu udzielić. – Czy mogę już startować?

– Startuj – odparł władcym tonem mułła. – Oczywiście, startuj. – Po kilku sekundach odezwały się silniki i zaczęło obracać śmigło. – Ali i Abrim, wy wróćcie do bazy ciężarówką.

Dwaj młodzi ludzie siedli do ciężarówki razem z kierowcą. Mułła dał im znak, żeby odjeżdżali, a innym, żeby wsiadali do helikoptera. Łopaty wirnika cięły coraz szybciej powietrze. Mułła zaczekał, aż wszyscy znajdą się w kabinie, a potem zdjął z ramienia karabin, siadł obok pilota i zatrzaskał drzwiczki.

Silniki zawyły głośniej. Dwieściedwunastka niezgrabnie uniosła się w powietrze i lecąc na niskiej wysokości ruszyła ku granicy. Rozzłoszczony sierżant wycelował do niej z automatu.

– Mogę zestrzelić tych wypierdków, majorze.

– Owszem, moglibyśmy to zrobić. – Major wyjął papierośnicę. – Ale zostawmy to Bogu. Może Bóg uczyni to za nas. – Zapalił drżącą ręką papierosa, zaciągnął się i patrzył na oddalający się helikopter i ciężarówkę. – Tych psów trzeba nauczyć dobrych manier – mruknął, po czym podszedł

do samochodu i wsiadł do środka – Podrzucić mnie do hotelu.

W HOTELU.

Azadeh wychyliła się przez okno i przeszukała wzrokiem niebo. Usłyszała start dwieście dwunastki i zbudziło to w niej nierealną nadzieję. Czyżby Erikkiemu udało się uciec? Och, Boże, spraw, by okazało się to prawdą...

Wieśniacy także wpatrywali się w niebo. W końcu i ona dostrzegła helikopter, który znajdował się już bardzo blisko granicy. Żołądek podszedł jej do gardła. Czyżby sprzedał swoją wolność za moją? Och, Erikki...

A potem zobaczyła, jak na placu wjeżdża samochód i zatrzymuje się przed hotelem. Major Ikail wysiadł z niego i wygładził mundur. Krew odpłynęła jej z twarzy. Zamknęła szybko okno i siadła na krześle, obok leżącej na łóżku poduszki. Czekwała. Po chwili rozległy się kroki i drzwi otworzyły się.

– Proszę za mną – rozkazał Ikail.

Przez moment nie rozumiała, o co mu chodzi.

– Co?

– Proszę za mną.

– Po co? – zapytała podejrzliwie, spodziewając się jakiejś zasadzki i nie chcąc zostawiać ukrytej w poduszce szpilki. – Co się dzieje? Czy to mój mąż siedzi za sterami? Helikopter wraca do Iranu. Czy to pan go odesłał? – Czuli, że opuszcza ją odwaga. Myśl, że Erikki poddał się, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, doprowadzała ją do obłędu – Czy to on siedzi za sterami?

– Nie, pani mąż jest na posterunku. Irańczycy przyjechali po śmigłowiec, po niego i po panią. – Teraz, kiedy kryzys minął, major poczuł się o wiele lepiej. – Śmigłowiec był zarejestrowany w Iranie i nie miał zezwolenia na wyjazd, dlatego mogli rościć sobie do niego prawo. Proszę za mną.

– Dokąd, jeśli wolno spytać?

– Pomyślałem, że będzie pani chciała zobaczyć się z mężem.

Major z przyjemnością jej się przyglądał. Podniecało go niebezpieczeństwo. Zastanawiał się, gdzie ma ukrytą broń. Takie kobiety zawsze mają jakąś broń albo truciznę, którą mogą uśmiercić nie zdającego sobie z tego sprawy gwałciciela. Łatwo się przed tym ustrzec, jeśli człowiek jest przygotowany, jeśli patrzy im na ręce i nie śpi.

– Czy na posterunku... czy tam są Irańczycy?

– Nie. To jest Turcja, nie Iran, nie czekają na panią żadni cudzoziemcy. Chodźmy, nie ma pani się czego bać.

– Zaraz zejść. Za moment.

– Owszem, zejść pani... w tej chwili. Torebka nie jest pani potrzebna, wystarczy zakiet. Szybko, bo zmienię zdanie.

Zobaczył w jej oczach błysk furii i to jeszcze bardziej go rozbawiło. Tym razem jednak usłuchała. Włożyła zakiet i zeszła wściekła po schodach, nie mogąc znieść własnej bezbronności. Przechodząc wraz z nim przez placu, czuła utkwione w sobie oczy. Na posterunku zaprowadził ją do tego samego pomieszczenia co poprzednio.

– Proszę tu poczekać.

Major zamknął drzwi i przeszedł do dyżurki. Sierżant podał mu telefon.

– Dzwoni kapitan Tanazak z posterunku granicznego, efendi.

– Kapitanie? Mówi major Ikail. Granica jest aż do odwołania zamknięta dla wszystkich mułłów

i Zielonych Oddziałów. Niech pan aresztuje sierżanta, który wpuścił ich tutaj przed paru godzinami, i wyśle go do Vanu. Nie musi mu być zbyt wygodnie. Irańska ciężarówka wraca do was. Niech pan przetrzyma ją co najmniej dwadzieścia godzin i da im porządnie w kość! Grozi panu sąd wojenny za wpuszczenie na nasze terytorium uzbrojonych ludzi! – Major odłożył słuchawkę i zerknął na zegarek.

– Samochód gotowy, sierżancie?

– Tak jest, efendi.

– To dobrze.

Major wyszedł na korytarz i ruszył razem z sierżantem w stronę celi. Erikki nie podniósł się z pryczy. Poruszyły się tylko jego oczy.

– Teraz, panie pilocie, jeśli zachowa pan spokój, opanuje się i nie będzie wyprawiał głupot, pozwolę panu zobaczyć się z żoną.

– Jeśli pan albo ktoś inny dotknie jej, przysięgam, że pana zabiję – syknął Fin przez zaciśnięte zęby. – Rozszarpie pana na strzępy.

– Zgadzam się, że niełatwo jest mieć taką żonę. Lepiej już mieć brzydką niż kogoś takiego jak ona, chyba że trzyma się ją za parawanem. Chce pan się z nią zobaczyć, czy nie?

– Co mam zrobić?

– Po prostu zachować spokój, opanować się i nie wyprawiać głupot – odparł poirytowany major. – Idź po nią – zwrócił się po turecku do sierżanta.

Erikki spodziewał się najgorszego. Kiedy zobaczył ją na korytarzu, całą i zdrową, o mało nie rozplakał się z ulgi. Azadeh też miała łzy w oczach.

– Och, Erikki.

– Słuchajcie mnie oboje – oznajmił major. – Chociaż przysporzyliście nam wielu kłopotów i problemów, uznałem, że oboje mówicie prawdę. Zostaniecie bezzwłocznie wysłani pod strażą do Istambułu, dyskretnie przekazani waszemu ambasadorowi i dyskretnie wydaleny z tego kraju.

Patrzyli na niego oniemiałi.

– Uwalnia nas pan? – zapytała, trzymając się krat.

– Bezzwłocznie. Oczekujemy z waszej strony dyskrecji... to wchodzi w zakres naszej umowy. Zobowiązacie się do tego na piśmie. Do dyskrecji. To oznacza, że nie będzie żadnych przecieków, żadnego przechwalania się, jak to udało się wam uciec. Zgadzaście się?

– Tak, oczywiście – odparła Azadeh. – Nie ma tu żadnego kruczka?

– Nie.

– Ale dlaczego? Dlaczego po tym wszystkim... teraz pan nas wypuszcza? – wyjąkał Erikki, nie dowierzając mu.

– Sprawdziłem was oboje i wynik okazał się pozytywny. Nie popełniliście niczego, co uważamy za zbrodnię. Przysięga to sprawa między wami i Bogiem, sądy nie zajmują się takimi rzeczami. I na szczęście dla was, nakaz aresztowania nie miał mocy prawnej i dlatego nie mogłem go uznać. Komiteh! – mruknął z niesmakiem, a potem zauważył, jak na siebie patrzą, i przez moment im pozazdrościł.

Ciekawe, że Hakim-chan pozwolił, aby nakaz wystawił komiteh, a nie policja, uniemożliwiając w ten sposób ekstradycję.

– Wypuść go – rozkazał sierżantowi. – Czekam na was oboje w biurze. I proszę nie zapomnieć, że muszę wam zwrócić biżuterię. I dwa noże.

Drzwi celi otworzyły się z hałasem. Sierżant stał przez chwilę w miejscu, a potem odszedł.

Erikki i Azadeh nie zwracali uwagi ani na niego, ani na obskurne otoczenie, widzieli tylko siebie, ona stojąc na korytarzu, on zaciskając palce na prętach. Stali bez ruchu, uśmiechając się do siebie.

– InszAllah? – zapytała.

– Czemu nie?

A potem, wciąż nie mogąc uwierzyć, że uwolnił ich człowiek, którego jeszcze przed chwilą chciał rozszarpać na strzępy i uważał za wcielenie diabła, Erikki przypomniał sobie, co major Ikail powiedział o trzymaniu kobiet za parawanem. Nie chciał psuć tej cudownej chwili, ale nie mógł się powstrzymać.

– Azadeh, zostawmy za sobą całe zło. Co było z Johnem Rossem?

Nie przestała się uśmiechać, choć wiedziała, że znaleźli się na skraju przepaści. Skoczyła w nią bez wahania, ciesząc się, że może to raz na zawsze wyjaśnić.

– Na początku naszej znajomości powiedziałam ci, że znałam go, kiedy byłam bardzo młoda – powiedziała łagodnie, tłumiąc niepokój. – W wiosce i w bazie ocalił mi życie. Kiedy go spotkam, jeśli w ogóle go spotkam, uśmiechnę się i będę szczęśliwa. Błagam, żebyś zrobił to samo. Przeszłość należy do przeszłości i powinna tam pozostać.

Zaakceptuj to, Erikki, zaakceptuj raz na zawsze, prosiła go w duchu, w przeciwnym razie nasze małżeństwo szybko się rozpadnie, nie dlatego, że ja będę tego chciała, ale dlatego że stracisz swoją męską dumę, zatrujesz sobie życie i nie będziesz mógł na mnie patrzeć. Wtedy wrócę do Tabrizu i rozpocznę nowe życie. To smutne, ale tak właśnie zdecydowałam. Nie będę przypominać ci obietnicy, którą złożyłeś przed naszym ślubem. Nie chcę cię upokarzać, ale to brzydko, że o niej zapomniałeś; wybaczam ci tylko dlatego, że cię kocham. O Boże, mężczyźni są tacy dziwni, tak trudno ich zrozumieć, proszę, Boże, przypomnij mu to, co obiecał!

– Erikki... zostawmy przeszłość w spokoju – szepnęła, błagając go oczyma tak, jak potrafią błagać tylko kobiety.

On jednak unikał jej spojrzenia, zżerany przez własną głupotę i zazdrość. Azadeh ma rację, powtarzał sobie. To wszystko przeszłość. Opowiedziała mi o nim szczerze, a ja obiecałem z własnej woli, że nie będzie mi to przeszkadzać. A potem ocalił jej życie. Ona ma rację, ale wiem przecież, że wciąż go kocha.

Spojrzał jej prosto w oczy i nagle coś zatrzęsnęło się w jego głowie. Poczł w sercu dawną błogość, która go oczyściła.

– Masz rację! – zawołał. – Zgadzam się! Masz rację! Kocham cię! I zawsze będę cię kochał... ciebie i Finlandię!

Podniósł ją w górę i pocałował. Azadeh odwzajemniła pocałunek i, szczęśliwsza niż kiedykolwiek, przytuliła się do Erikkiego, kiedy niósł ją korytarzem lekką jak piórko.

– Czy w Istambule mają sauny? – zapytał. – Myślisz, że major pozwoli nam zatelefonować? Tylko jeden raz? Myślisz, że...

Ale Azadeh go nie słuchała. Uśmiechała się do siebie.